

SHIRLEY
CONRAN
Okno tygrysa

Przełożył Mariusz
Seweryński

*Książką tą dedykuję Mary Haft,
która dobrze wie,
co jest w życiu najważniejsze*

Rozdział pierwszy

Złowieszcza cisza zmroziła wewnątrz „Rosyjskiej Herbaciarni”. Kelnerzy zastygli w półobrocie, niewielka kozacka orkiestra urwała w połowie muzycznej frazy, a wytwornie ubrani goście podnieśli znad talerzy głowy i nadstawili ucha.

Na zewnątrz eksplodowało niebo.

Restauracja znalazła się w samym centrum nieopisanej wrzawy. Najpierw rozległy się świsty rakiet, potem dzikie wrzaski ludzi wyległych na pokryte śniegiem ulice, przy wtórze stanowczego wycia policyjnych sygnałów i natręczego, ochryplego pohukiwania syren alarmowych.

Na koniec powietrze nad 57 Ulicą wypełnił głos dzwonów, odtwarzany z taśmy i odpowiednio wzmacniony.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - krzyczeli wszyscy. Nowy Jork hałaśliwie wkroczył w 1992 rok.

Kelner, ubrany w ciemnozieloną kozacką tunikę i także spodnie, wciśnięte w karmazynowe buty z cholewkami, dolał szampana do kieliszka Plum. Kiedy podnosiła kryształowe naczynie, niesfornie zsunęło się jedno z ramiączek brązowej szyfonowej sukieneczki. Jasnoblękitne oczy Breeze Russella posłały żonie przez stół ostrzegawcze spojrzenie, zwieńczona blond włosami głowa poruszyła się ledwie dostrzegalnie. Ta udawana dezaprobata rozweseliła Plum: jak dobrze znała ten żart!

Ponad uroczystym śmietnikiem srebnego konfetti i sześcioma na wpół skończonymi deserami Breeze zatonął spojrzeniem w wielkich, hiacyntowoblękitnych oczach żony, zdobionych długimi czarnymi rzęsami, tak doskonale współgrających z rudymi kędziorami włosów. Chociaż skończyła już trzydzieści sześć lat, jej twarz zachowała niewinny, dziecięcy wyraz. Breeze patrzył na nią z miłością. Chociaż raz Plum spisała się na medal; tego wieczoru wyglądała

wspaniale. Delikatną kremową cerę rozświetlała emanująca od niej wewnętrzna energia, dzięki której wciąż oczarowywały go wzruszająco zadarty nos i wydatne, przepięknie ukształtowane różowe usta.

Plum buntowniczo uniosła kieliszek i potrząsając lokami swych krótkich, rudych włosów, uśmiechnęła się do męża.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie! - powiedziała, ciesząc się, że impreza ma się ku końcowi. Zawsze w sylwestra była niespokojna. Zbyt wiele razy przekonywała się, iż jest to najbardziej pechowy dzień w roku. Kiedy tylko życie wydawało się naprawdę cudowne, nadchodził sylwester, a wraz z nim zmiana na gorsze. Za późno zdawała sobie sprawę, że gdyby była bardziej przewidująca, mogłaby uniknąć katastrofy. Jakże jej brakowało tej magicznej zdolności zaglądania w przyszłość i wymykania się przeciwnościom losu...

Tak czy inaczej, obecny sylwester już prawie przeszedł do historii i nie straszego się nie stało. Najbliższa przyszłość rysowała się w bardzo jasnych kolorach. Plum była w drodze z Londynu do Australii, a ściślej do Sydney, gdzie miały być wystawiane jej obrazy. Breeze, pełniący funkcję osobistego agenta, zasugerował, by zrobiła przerwę w podróży i spotkała się z Pevenskim, właścicielem galerii, który wyrażał gotowość zorganizowania wystawy w Nowym Jorku. Już wcześniej wspólnie zdecydowali, że Święta Bożego Narodzenia spędzą w ciepłej rodzinnej atmosferze, więc do Nowego Jorku przyjechało także dwóch synów Plum (właśnie szaleli na jakiejś młodzieżowej prywatce).

Breeze potoczył wzrokiem dokoła stołu, przyglądając się czwórce swych gości. Najpierw Jenny, najbliższa przyjaciółka Plum, jeszcze z okresu studiów, rzutka kobieta ze starannie ułożoną burzą złotych włosów. Obok Leo, dziennikarz, prowadzący w „New Perspective” dział poświęcony modzie; potrafił czarować kobiety słowem w sposób zupełnie dla mężczyzn niezrozumiały. Lekko pucułowały, o świeżej cerze, nosił złote okulary, jeszcze tego wieczoru miał szansę zostać kochankiem Jenny. Miał dopiero trzydzieści cztery lata, lecz jego piaskowoszare włosy zaczęły się już przerzedzać jak u Kevina Costnera. Daleko mu było do próżności, toteż nie przyjmował się wyglądem. Jego najlepszą bronią, przydatną tak w zawodzie dziennikarza jak i w życiu, była umiejętność wzbudzania sympatii przyjaznym uśmiechem. Ten uśmiech mógł działać naprawdę wiele; nim kobiety zorientowały się w sytuacji, zaskoczone znajdowały Leo w swoim łóżku.

Breeze pochwycił spojrzenie Leo i wnosząc kieliszek rzekł:

- Chciałbym zaproponować toast za moich najlepszych klientów, jak Ameryka długa i szeroka, Suzannah i Victora. Wasze zdrowie!

Uroczą w swej powściągliwości Suzannah z wdzięcznością uśmiechnęła się do Breeze'a. Przez cały wieczór flirtowała z nim, pozując na „piękność

z Południa". Plum ukradkiem obserwowała taniec błękitnych oczu i kuszące ruchy pływających włosów. Breeze zachowywał się z chłodną galanterią, należąca żonie najlepszemu klientowi, nie angażując się emocjonalnie. Przynajmniej tak to wyglądało. Plum przywykła do kobiet, które flirtowały z Breeze'em: fascynowały je nordyckie kości policzkowe, kontrastujące z lekko zapadniętymi policzkami, szeroka, prosta linia ust oraz zharmonizowana z kolorem włosów błądź twarży. Proste, jasne brwi spotykały się nad okazałym nosem, dodając spojrzeniu przenikliwości.

Swoje przewisko wyniósł Breeze jeszcze ze szkoły, gdzie był kapitanem drużyny krykieterowej i zwykł przed każdym meczem lekceważąco wyrażać się o przeciwniku.

- Starczy lekka bryza (*breeze*) w plecy - mawiał. - Zdepczemy ich!

Ta śmiałość, nonszalancja i pewność siebie stały się później głównym atutem w karierze zawodowej, z łatwością zjednywały mu początkujących kolekcjonerów dzieł sztuki, takich jak Victor Marsh.

Breeze i Victor spotkali się w Londynie, na przyjęciu, gdzie zasypywano się nawzajem uprzejmościami. Nie tracąc pogody ducha Victor najpierw przyznał, że nie zna się na sztuce, a za chwilę zdecydował się zainwestować w europejskie malarstwo, całkowicie zdając się na wiedzę Breeze'a w tej materii.

Plum utkwiła wzrok w pobłażliwie uśmiechniętej, fałszywie rozpromienionej twarzy Victora. On także ukradkiem śledził rozwijający się flirt swojej żony z Breeze'em. Wciąż bardzo przystojny, elegancki w sposób charakterystyczny dla Wall Street, był około piętnastu lat starszy od małżonki i na zachowanie zgrabnej, barczystej sylwetki musiał zapracować. Suzannah wspomniała kiedyś Plum o trenerze, który zjawiał się codziennie o szóstej rano w ich apartamencie na Manhattanie.

Mimo narzuconych sobie rygorów Victor potrafił cieszyć się życiem z iście dziką rozkoszą. W college'u grał w piłkę nożną i był nawet szkolnym bohaterem, nie spotkało go najmniejsze rozczarowanie czy upokorzenie, tak często odciskające piętno na życiu wielu kolegów z drużyny. Victor mawiał czasami o sobie, że jest jednym z tych ukochanych przez Fortunę dusigroszy, którzy co rano śmiało mogą spojrzeć swojemu lustrzanemu odbiciu w oczy. Tak naprawdę uważał jednak, że żadna rzymska bogini nie ma z tym nic wspólnego: zawdzięczał to swej szybkości, gotowości przyjęcia każdego wyzwania i determinacji w uprzątnięciu z drogi wszystkich konkurentów.

Ojciec Victora posiadał niewielką sieć tanich sklepów jubilerskich, specjalizujących się w sprzedaży pierścionków zaręczynowych. Na szyldach miały wypisane cyniczne motto: „Diamenty również są wieczne”. Po szkole Victor znalazł się w Antwerpii i rozpoczął terminowanie w firmie Van Heyden

& Stein, u prawdziwych mistrzów obróbki drogich szlachetnych kamieni. Zanudził się niemal na śmierć i po powrocie do Nowego Jorku odmówił pracy w jubilerskim przedsięwzięciu ojca. Skierował kroki do Bear Sterns, firmy brokerskiej, gdzie chwycił się dorywczych zajęć, żyjąc od kontraktu do kontraktu, od umowy do umowy. Nim przekroczył trzydziestkę, miał już własną firmę brokerską.

Zdobył majątek w latach osiemdziesiątych, kiedy to nabywał całe kompanie używając ich własnych aktywów jako kapitału. Z entuzjazmem chłopca, który po raz pierwszy dorwał się do gier telewizyjnych, od świtu do nocy kupował i sprzedawał przedsiębiorstwa. Wieczorem, z równym zaangażowaniem, zadowoleniem i determinacją, używał części swej fortuny do rozwijania bogatego życia towarzyskiego.

Dawniej trzeba było dwóch pokoleń, by nuworysz został zaakceptowany w wyższych sferach, lecz w erze *Fast Everything*, „wszystko szybko”, akceptacja także uległa przyspieszeniu i nowe pieniądze stają się starymi pieniędzmi, gdy tylko posiadasz ich odpowiednio dużo. Suzannah też miała swój udział w łagodnej transformacji i awansie społecznym Marshów. Na początku lat osiemdziesiątych zasiadała w komitetach wielu organizacji dobroczynnych, poczynając od opieki nad lokatorami Zoo w Bronxie po stowarzyszenie zwane Córami Ameryki. Obecnie celem było miejsce w radzie Metropolitan Museum of Art - bardziej prestiżowe od prac w komisji zajmującej się operą czy pozycji w jakiegokolwiek organizacji politycznej. Działała z prawdziwym rozmachem: cztery razy w tygodniu jej manhattański kuchmistrz przygotowywał obiad dla trzydziestu dwóch biesiadników, a kolacje dla czterdziestu ośmiu. Przyjęcia wydawane w weekendy poza miastem prezentowały się równie okazale.

Breeze i Plum spędzili na zasypanej śniegiem farmie Marshów w Cornwall Bridge w stanie Connecticut weekend poprzedzający Boże Narodzenie. To właśnie tam Suzannah Marsh położyła fundamenty pod własną fortunę, wykonując żmudną i niewdzięczną codzienną pracę, której nikt nie zauważa do chwili, gdy kobieta przestaje ją wykonywać: prowadziła dom.

*

Suzannah i Victor mogliby stanowić wzór manhattańskiej pary, której się powiodło. Byli dowodem tezy, często wygłaszanej przez Breeze'a: „Nie można stać w miejscu na eskalatorze życia. Albo wspinasz się do góry, albo zjeżdżasz w dół”. Oczywiście była to szczerza prawda. Nie można osiągnąć trochę sukcesu, obojętnie jaką życiową drogę się wybierze. Czy jesteś fizykiem nuklearnym czy gwiazdą filmową lub akrobatą, w dzisiejszym świecie obowiązuje cię zasada „wszystko albo nic”.

Zgodnie z głoszoną regułą Breeze ze wszystkich sił popychał Plum w górę eskalatora życia, co zresztą było jego obowiązkiem, jako że podjął się roli jej agenta. Jednakże Plum odkryła, iż sukces nie wpływa dobrze na jej zdrowie, zrozumiała, że nikt nie może mieć wszystkiego. Jeśli pragniesz A, musisz poświęcić B, co oznacza często rodzinny dom, wszelkie pozazawodowe zainteresowania. Normalna rzecz, gdy nieustannie walczysz z nie zatrzymującym się ani na chwilę eskalatorem.

Breeze - wysoki i szczupły, silnej budowy ciała - nigdy nie chorował i nie mógł pojąć fizycznego wyczerpania żony, nerwowych załamań, które zatrzymywały ją w drodze na szczyt kariery. Zszokowany zauważył, że ostatnio powtarza się to przy każdej nowej wystawie.

W „Rosyjskiej Herbaciarni” kruche pomruki udawanej wesołości stały się odrobinę intensywniejsze, gdy Królowa Ogniska Domowego podniosła wypełniony szampanem kieliszek i zaproponowała drugi toast. Strojna w przesadnie wstydliwą, białą koronkową suknię od Christiana Lacroix Suzannah przybrała wyraz twarzy powszechnie znanej osobistości. Nie była to jej normalna twarz, raczej perfekcyjnie przygotowana maska na oficjalne okazje, bardziej łagodna, szczerza i otwarta niż twarz na prywatny użytek.

Przemówiła głosem wzbijającym się ponad karnawałowy gwar, głosem ociekającym miodem, którego używała w obecności przystojnych mężczyzn.

- Za zdrowie Plum, tak zabawnej ósóbki!

„Suka!”, pomyślała Plum, bez trudu rozpoznając zawołowaną zniewagę. Mogła użyć określenia „utalentowana malarka”, niechby nawet „zwarjowana mamuśka”. Uśmiechnęła się, ale wewnątrz pozostała zimna jak lód. W tym momencie zdała sobie sprawę, że wesołość należała do rzeczy, które zniknęły z jej życia, o czym miała okazję przekonać się podczas weekendu w Connecticut. Zdawało jej się wtedy, że znalazła się w połowie jakiegoś starego świątecznego filmu wytwórni MGM. Suzannah tymczasem pobierała w kasie opłatę za bilet.

Można o niej było wiele powiedzieć, ale na pewno dysponowała ogromnymi zasobami energii i równie imponującą samodyscypliną. Kobiety tego typu nie tylko same mogą uszyć sobie suknię ślubną, mogą także zrobić weselny tort własnego pomysłu. Zawsze i wszędzie prezentowała się wspaniale. Jej starannie przycięte włosy dwa razy w tygodniu były troskliwie pielęgnowane w salonie Saksa, dokładnie o siódmej rano, w towarzystwie najbardziej wpływowych kobiet Nowego Jorku. Podobnie jak one, Suzannah nigdy nie przestawała mówić do mikrofonu kieszonkowego dyktafonu, chyba że akurat korzystała z telefonu komórkowego.

Zanim wyszła za mąż, pracowała jako asystentka redaktora magazynu „House Beautiful” w dziale zajmującym się kuchnią domową. Po tym epizodzie założyła jednoosobowe przedsiębiorstwo, dostarczające gotowe

dania prywatnym klientom lub instytucjom. Jednym z jej klientów był Victor. Teraz miała nie tylko wiele firm rozwijających dania, ale także własną szkołę ciastkarstwa i co roku, w okresie poprzedzającym Święta Bożego Narodzenia, publikowała opasłe tomiszcze po brzegi wypełnione przepisami. Kiedy zarzucano jej ściąganie przepisów z innych książek, lodowato odpowiadała, że przecież nie istnieją prawa autorskie na przepisy kulinarne. Posiadała też własny program telewizyjny i radiowy, a J. C. Penny sprzedawał w całym kraju serię kreacji zwanych „Suzannah”. Wyprodukowana przez nią kaseeta wideo, będąca poradnikiem w stylu „popatrzcie, jak ja to robię”, była rozchwytywana nie tylko przez przeciętne gospodynie domowe, ale także przez absolwentów szkół średnich, którzy lepiej powinni wiedzieć, co biorą do ręki i na co dają się nabierać.

Plum często zastanawiała się, dlaczego Suzannah, inicjatorka i pierwsza przedstawicielka eskapistycznego modelu Nowej Tradycyjnej Kobiety, zmusza siebie (i wszystkich wokół siebie) do tak wyczerpującej pracy, skoro ma wystarczająco dużo pieniędzy, by zaspokoić wszelkie zachcianki. Podczas weekendu w Connecticut spytała o to, naiwnie oczekując wyjaśnienia.

- W głębi duszy jestem domatorką - usłyszała. - Po prostu lubię, gdy mój dom jest czysty i zadbane, i chciałam pomóc kobietom równie mocno cieszyć się ich domowym życiem.

Brzmiałoby to szczerze, gdyby Plum nie rozpoznała w tych słowach wstępu nagranego na kasecie wideo.

Z goryczą potoczyła wzrokiem po głowach gości, udekorowanych srebrnymi karnawałowymi kapelusikami. Suzannah oczywiście odmówiła przyjęcia papierowego kapelusza. Na pewno zrujnowałby jej wymuskaną fryzurę.

Sam akt twórczy - malowanie - nie wystawiał Plum na tak ciężką próbę jak życie towarzyskie, te wszystkie wymuszone grzeczności wobec klientów, wywiady dla prasy, żonglowanie wieloma wizerunkami, kreowanymi na potrzeby osoby publicznej, jaką się stała. Zawsze czuła się nieswojo, gdy była zmuszona uczestniczyć w oficjalnych kolacjach. Nie mogła się dobrze bawić ze świadomością, że właściwie przyszła do pracy. Będąc żoną ambitnego właściciela galerii miała szansę przekonać się, jak trudno jest pogodzić ze sobą dwa odmienne światy: świat mecenasów i świat artystów.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że jednym z głównych powodów rozgoryczenia współczesnych artystów jest fakt, że większość z nich nie zamieniła swego talentu na dolarowe fortuny. Dawno minęły czasy włoskiego renesansu, słynącego z wyjątkowej opieki nad mistrzami pędzla. Kiedy wznoszono Kaplicę Sykstyńską i powstawały brązowe drzwi bazyliki we Florencji, zdolni malarze byli ogólnie szanowani i należeli do ludzi bogatych. Rafael posiadał kilka pałaców, Giotto osiągnął popularność porównywalną do

statusu gwiazd rocka, natomiast Michał Anioł, którego przeznaczeniem było malowanie fresków w Kaplicy Sykstyńskiej, został wypożyczony papieżowi przez Wawrzyńca Wspaniałego na mocy specjalnej umowy, jakie dziś zawiera wytwórnia filmowa Warner Brothers na wypożyczenie swych największych gwiazd wytwórni Paramount.

W latach osiemdziesiątych XX wieku nagły wzrost zainteresowania dziełami sztuki wykreował kilkanaście malarskich supergwiazd i pozwolił im zbić spory majątek. Ale w listopadzie 1990 roku, niemal w ciągu jednego wieczoru, boom wygasł, jakby był tylko ulotną iskierką. Sytuacja pogarszała się, aż osiągnęła dno poniżej depresji z 1920 roku. Nadal działało kilku malarzy, których obrazy osiągały wartość rzędu miliona dolarów, jak Jasper Johns czy Brice Marden, ale można było ich policzyć na palcach jednej ręki. Atmosfera w środowisku ludzi zajmujących się handlem dziełami sztuki przypominała nastrój pasażerów „Titanica” tuż po zderzeniu z górą lodową: była to naprawdę głęboka depresja.

*

Leo wyczekał na odpowiedni moment, by wznieść następny toast. Wstał i uroczyście powiedział:

- Za Plum! Dziewczynę, która ma wszystko!

„Gdybym rzeczywiście miała wszystko - pomyślała Plum, śląc Leo obowiązkowy uśmiech - jak mogłoby dojść do tego, że spędzam sylwestra, najważniejszą noc w całym roku, zabawiając dwójkę prawie obcych ludzi? Dlaczego nie siedzę sobie w domu, nie łuskam razem z dziećmi orzeszków ziemnych przed kominkiem, odgrzewając dowcipy o noworocznych postanowieniach, co zawsze kończy się poważną dyskusją o planach na nadchodzący rok? Jeśli naprawdę mam wszystko - pytała siebie - dlaczego nie mogę robić tego, na co mam ochotę? I dlaczego dręczy mnie taki niepokój?”

Przyszła kolej na promieniującego życzliwością Victora. Jego głos wzniosł się ponad muzykę kozackiej orkiestry:

- Za naszą gospodynię i moją ulubioną malarkę, Plum Russell, Madonnę świata sztuki! Niech zwycięży w Biennale!

Plum drgnęła. W następnej sekundzie pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie męża i posłusznie przywołała na usta lekki uśmiech.

Biennale, konkursowa impreza odbywająca się zawsze w pięknej Wenecji, olimpiada artystów malarzy, to najstarszy i najwyżej ceniony międzynarodowy festiwal sztuki, będący najwspanialszą okazją do rozpoczęcia błyskotliwej kariery. Reprezentowanie własnego kraju w Biennale uważano za zaszczytne wyróżnienie i paszport w świetlaną przyszłość. Wystawiając prace w jakiejś galerii lub prezentując ich fotografie w specjalistycznych magazynach, młody

artysta miał szansę być zauważony przez kilku znawców. Gdy brał udział w Biennale, z miejsca przykuwał uwagę krytyków z całego świata, a zjawiało się ich przeciętnie około dwóch tysięcy. Oprócz nich do Wenecji ciągnął każdy, kto miał choć trochę do powiedzenia o współczesnym malarstwie i pragnął zorientować się w najświeższych pracach zarówno nowych, jak i uznanych artystów. Właśnie tam rozpoczęła się kariera Jaspera Johnsa i Roberta Rauschenberga, tam zdobywali laury zwycięzców Picasso, Matisse i Miro. Od czasów drugiej wojny światowej ponad czterdziestu artystów z Wielkiej Brytanii wybiło się właśnie na festiwalu sztuki w Wenecji. Wywalczyli znakomitą międzynarodową reputację, a ich obrazy były w cenie. Breeze z uporem maniaka powtarzał, że przeznaczeniem Plum jest dołączenie do tego dostojnego grona.

Leo chwycił dłoń siedzącej obok niego Jenny i ze sztucznym wzruszeniem w głosie zakrzyknął:

- Życzymy Jenny podobnego sukcesu w jej malarskiej karierze!

Jenny, najlepsza przyjaciółka Plum, wyglądała na zażenowaną. Charakterystycznym gestem zgarnęła znad czoła część karmelkowych włosów i wcisnęła je za ucho. Nerwowo utkwiała wzrok w talerzu, jakby chciała się tam ukryć, ale i tak nie potrafiłaby zatuszować zalewających policzki rumieńców.

Breeze porwał kieliszek i dodał swój toast:

- Za rozpoczęty rok! Niech szczerze zaspokoi pragnienia każdego z nas!

- Moje już zaspokoi! - mruknęła Suzannah, podnosząc wysoko dłoń i rozstawiając palce, ażeby lepiej wyeksponować owalny, ostro ścięty na brzegach brylant. Wątle światło świec wzbudzało w jego wnętrzu mikroskopijne tęcze, wyświetlane na białym ekranie obrusa. - Dwudziestokaratowy D Flawless - mruzczała dalej jego właścicielka. - Prezent pod choinkę.

Koniuszkami palców z długimi różowymi paznokciami przesłała mężowi dziękczynnego całusa. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w źródło magicznych błysków, zastanawiając się, ile mogło kosztować.

Nagle za plecami Suzannah zmaterializowała się jakaś kobieta w złotym, pokrytym cekinami żakiecie. Uśmiechając się przeprasząco, wyciągnęła przed siebie otwartą kartę dań.

- Czy mogłaby pani... Pani Suzannah Marsh, prawda? Marzę o pani autografie, pani jest moją boginią... Jak opowiem dzieciom!...

Suzannah z uśmiechem złożyła podpis i podnosząc wzrok powiedziała swym aksamitnym głosikiem:

- Powinna pani skorzystać z okazji i poprosić o autograf także moją przyjaciółkę. To Plum Russell, słynna malarka abstrakcyjna!

Kobieta wyglądała na zdezorientowaną.

Plum zaczerwieniła się, po części z wrodzonej nieśmiałości, a po części

z gniewu po doznanym upokorzeniu. Pozornie wielkoduszna, Suzannah doskonale zdawała sobie sprawę, że Plum, rozpoznawana w świecie miłośników sztuki, pozostaje absolutnie pusto brzmiącym nazwiskiem dla przeciętnej Brytyjki, nie wspominając o przeciętnej Amerykance.

Jenny, niedostrzegalnie dla innych gości przy stoliku, wyraziła swoją solidarność z przyjaciółką układając usta w niemą obelgę:

- Dziwka!

Breeze, zajmujący miejsce obok pani Marsh, pochylił się ku niej i szarmancko nakrywając zdobną w brylant dłoń rzekł:

- Kiedy Plum zdobędzie na Biennale pierwszą nagrodę, jej nazwisko stanie się częścią historii sztuki po wsze czasy. Będzie naprawdę sławna, sławą wieczną, a nie efemeryczną sławą jakiejś telewizyjnej gwiazdki...

Urwał, by zawołać kelnera.

Według Oscara Wilde'a dżentelmen to „gość, który nigdy nie jest niezamierzenie niegrzeczny”. Definicja wypłynęła z zakamarków pamięci i tym razem Plum uśmiechnęła się do męża z własnej inicjatywy. Breeze był wysoki, muskularny, dobrze ubrany i wyglądał na kogoś absolutnie bezpretensjonalnego. Jego garnitury miały metki Savile Row; koszule, krawaty, a nawet slipy, pochodziły z Jermyn Street.

- Bądźmy realistami - powiedziała dobitnie Plum. - Nie mam żadnych szans zdobyć nagrody na Biennale. Gdyby Włosi wymyślili inną formułę, nie przeszłabym nawet przez sito krajowych eliminacji.

Tematem przewodnim Biennale na rok 1992 był „Portret kobiety”. Członkowie Brytyjskiego Stowarzyszenia Sztuki, którzy przez sto lat działalności tylko raz wytypowali kobietę, Brigdet Riley, niechętnie zdecydowali się powtórzyć to rozwiązanie.

- Tak czy inaczej - zauważył Breeze - kobietą, którą wybrali, jesteś właśnie ty.

Ten optymizm sprzedawcy zachwalającego towar, wykraczający daleko poza granice zdrowego rozsądku, wcale nie poprawiał Plum samopoczucia. Przeciwnie, mając świadomość, że został niecały rok na wykonanie nowych i na odpowiednim poziomie prac, czuła spadającą na barki coraz większą odpowiedzialność.

- Jeżeli Plum zdobędzie nagrodę, w ciągu jednego wieczora ceny jej prac wzrosną przynajmniej czterokrotnie - spekulował Victor. Rozgarniając srebrne serpentyny, pochylił się i rzekł do Breeze'a: - Chciałbym mieć prawo pierwokupu prac Plum wystawianych w Nowym Jorku zaraz po Biennale.

Breeze oszczędnym ruchem głowy wyraził zgodę. Obecnie galerie usiłowały lansować młodych artystów uprawiających realizm posunięty do fotograficznej dosłowności, malujących wyrazistą, dosadną kreską. Nie było miejsca na

abstrakcyjny impresjonizm Plum, ale jej obrazy były naprawdę dobre i zaraz po ogłoszeniu nominacji Breeze rozpoczął ostrożną kampanię reklamową. Chociaż na ogół sam zajmował się podobnymi sprawami, tym razem zatrudnił specjalistę od kontaktów z prasą i telewizją. Osobnik ten, jak przystało na specjalistę, w tempie prawdziwie ekspresowym doprowadził Plum do rozpaczy: spotkania z przedstawicielami prasy były dla niej formą wymyślnych tortur. Zawsze gdy do nich dochodziło, paraliżujący strach odbierał jej mowę.

A przecież żaden współczesny artysta nie ma prawa liczyć na sukces, jeżeli ignoruje prasę, wykręca się od rozmowy pracą i chowa na poddaszu.

Breeze wiedział, że jego żona tylko robi wrażenie skrytej i niechętnie nastawionej do świata. W rzeczywistości tłumila ją nieśmiałość oraz brak wiary we własne możliwości. Posiadała rozległą wiedzę i potrafiła mówić o swoim malarstwie w sposób niezwykle zajmujący, lecz wydobyć to mógł tylko jeden poważny krytyk - przyjazny, niedźwiedziowaty Robert Hughes. W towarzystwie innych znanych malarzy nieodmiennie płoszyła się i zdobywała wyłącznie na półsłówka albo plotła banały. Choć wywalczyła sobie stosunkowo wysoką pozycję w kręgu osób zajmujących się malarstwem, wciąż brakowało jej pewności siebie.

Breeze wściekał się. Złośliwie twierdził, że rozmawia z dziennikarzami tak, jakby jej iloraz inteligencji był niższy od numeru buta, a słownictwo ograniczało się do monosylab. Jego zdaniem na widok mikrofonu zachowywała się jak idiotka.

- Nawet głos ci się zmienia - powiedział kiedyś. - Jest urywany albo drży jak osika na wietrze. A przecież mogłabyś doskonale się wypowiedzieć, gdybyś o tym nie myślała. Bądź tak nieobecna duchem, jak w swojej pracowni przy sztaludze.

- Kiedy maluję, nie myślę o niczym. Myślę o malowaniu.

- Właśnie! Nie rozprasza cię jakiś głupi, dziecięcy kompleks niższości.

- Kochanie, przysięgam, że próbowałam... Ale gdybym była dobrym mówcą, zostałabym politykiem, a nie malarką. Gdybym lubiła występować przed kamerami, zostałabym aktorką. Po tych wszystkich wywiadach już wiem, co czuje zając oślepiiony przez światła nadjeżdżającego samochodu: jego mózg jest sparaliżowany przerażeniem. Zadają pytania i tylko czekają na potknięcie.

- Nieprawda! Oni tylko są zbici z tropu, zaskoczeni, że tak drobna, nieśmiała kobietka jest zdolna tworzyć tak wspaniałe obrazy.

- Zgadza się. Miałam okazję zobaczyć niedowierzanie na ich twarzach. Któregoś dnia powiem im: „Poddaję się! Ja tylko weszłam w posiadanie tych obrazów, nie namalowałam ich. Zrobił to gang nastoletnich karłów, których trzymam w piwnicy na łańcuchu. Zadawoleni?”

- Może wizyta u psychoanalityka... - mruknął Breeze.

Nawet nie chciała o tym słyszeć.

Patrząc na Suzannah, zsuwającą z palca swój olbrzymi pierścionek z diamentem w toalecie „Rosyjskiej Herbaciarni” i spokojnie myjącą ręce, Plum pozazdrościła jej pewności siebie. Zdała też sobie sprawę, że najbardziej irytującą cechą tej kobiety jest niezmacona, niezależnie od okoliczności, pogoda ducha. Trochę szumiało jej w głowie, więc spytała zaczepnie:

- Nie boisz się nosić ten pierścień? Nawet tu, w centrum miasta, jakiś rabuś może razem z nim odciąć ci palec.

- Oczywiście, że się nie boję. Kiedy wychodzę z domu, obracam go kamieniem do wewnątrz. - Spojrzała w lustro w oczy Plum. - No i przy tej pogodzie obowiązkowo noszę rękawiczki. W każdym razie moim noworocznym postanowieniem jest nigdy więcej się nie bać. A co ty sobie postanowiłaś?

- Co sobie postanowiłam? - odparła Plum z ożywieniem. - Nigdy więcej obciągania druta.

Suzannah drgnęła, jakby ukłuto ją bardzo ostrą i bardzo długą szpilką. Nie wierzyła własnym uszom.

- Nie uważasz - ciągnęła dalej Plum - że robią nam pranie mózgu tym obciąganiem druta? Jeżeli nie chcesz tego robić, zaraz ci mówią, że coś z tobą jest nie w porządku, że jesteś seksualnie upośledzona.

Jenny kiwnęła głową, wyrażając aprobatę dla słów przyjaciółki.

- W zbereźnych powieściach kobiety, które nie zgadzają się na obciąganie druta, zawsze tracą mężów - dodała od siebie.

- Chyba lepiej wróćmy do naszych mężczyzn - powiedziała Suzannah lodowatym tonem. W następnej sekundzie zniknęła za drzwiami.

Plum roześmiała się głośno, patrząc w lustro na szeroko uśmiechniętą twarz koleżanki ze szkolnej ławy. Ten promienny uśmiech z powodzeniem mógł zastąpić blask słońca, nawet o północy. Jenny była prawdziwą, najlepszą przyjaciółką: pełną ciepła, serdeczną i zawsze skorą do okazania swego poparcia.

- Gdyby Suzannah nie wypadła stąd w takim pośpiechu - rzekła, przeczesując włosy - dorzuciłabym jeszcze, że ja osobiście bardzo lubię obciąganie druta. Uwielbiam moc, jaką mi daje. Uwielbiam, gdy mężczyzna wije się z rozkoszy i marzy o tym, bym nie przestawała.

- Szczęściarz z Leo.

- Jeszcze tego nie zrobiliśmy, ale może tej nocy... Jeżeli mi się nie uda, pójdę na konsultację do Lulu.

Jenny nie układało się z mężczyznami. Wikłała się w wiele przelotnych związków, z których żaden nie miał szans na przetrwanie. Często o tym rozmawiała z Lulu, którą uważały za autorytet w sprawach seksu po części pewnie dlatego, że wszystko, co mówiła na ten temat, brzmiało autorytatywnie.

Jenny poznała Lulu jeszcze w czasach przedszkolnych, Plum już w akademii sztuki, gdzie w trójkę instynktownie zbliżyły się do siebie i utworzyły zgraną paczkę. Jedna poszła za drugą w ogień, w trójkę mogły stanąć przeciw całemu światu. Tak było dwadzieścia lat temu i tak było teraz.

Lulu miała swoją teorię, według której problemy Jenny wynikały z faktu, że odstraszała mężczyzn chcąc zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Przecież jeśli kochanek wyczuje pragnienie usankcjonowania związku, przerażony bierze nogi za pas!

Jenny nie zgadzała się z tą teorią. Za swe niepowodzenia była skłonna winić tylko jeden czynnik: swój wzrost. I coś w tym było. Mając prawie metr osiemdziesiąt rzeczywiście można chodzić ze zwieszoną głową i powtarzać ponuro:

- Anatomia to przeznaczenie. Mężczyźni wołają kobiety przypominające lalki, takie jak Plum, przy których, na zasadzie kontrastu, mogą czuć się potężni i silni.

- Brednie! - protestowała zwykle Plum. - Wyglądasz jak jedna z tych czarujących, heroicznych kobiet z rozwianymi włosami, prosto z francuskiego znaczka.

- Ty jesteś drobna i śliczna, jak laleczka na szczycie choinki. Wystarczy, że mężczyzna na ciebie spojrzy, i już masz go w garści. Takiej wielkiej jak ja mężczyzna nawet nie zauważy. Jego wzrok prześlizgnie się po mnie i pomknie w bok. Tylko dlatego, że jestem duża. Tak duża jak on.

- Są mężczyźni, którzy kochają Amazonki - pocieszała Lulu. - Nam twój wzrost nie przeszkadza.

Całe lata upłynęły, nim Plum i Lulu udało się wyperswadować przyjaciółce noszenie kołnierzyków i wstążek, upodabniających ją do laleczki z choinki. Teraz ubierała się odpowiednio do swego wzrostu, nosiła szyte na miarę spodnie i wiązane paskami luźne trence w stylu Greta Garbo, a miodowozłote włosy upychała pod olbrzymimi kapeluszami od Herberta Johnsona. A mężczyźni wciąż widzieli w niej zagrożenie dla siebie.

Jenny ciągle poprawiała fryzurę, gdy Plum zaproponowała:

- Jedziemy jeszcze do Suzannah na kieliszek do poduszki. Może pojedziesz z nami?

- Dzięki, nie mogę. Leo zabiera mnie na tańce do Nella.

- Na pewno będziesz się lepiej bawić niż przy oglądaniu noworocznego prezentu Victora.

- Ten kawałek skały...

- Nie, kawałek skały dostała pod choinkę. Noworocznym prezentem jest obraz.

- Twój?

- Chyba żartujesz. Współczesne malarstwo nie komponuje się z otoczeniem Sunnybank Farm. Moje obrazy pasują w sam raz do biura Victora... Nie, nie, noworocznym prezentem jest martwa natura jakiegoś starego Holendra.

*

Limuzyna lincoln continental spokojnie sunęła przez wyludnione ulice przedmieścia. Victor wsunął w dłoń Breeze'a małą paczuszkę i zagaił:

- Jak obecnie wygląda sytuacja w handlu dziełami sztuki?

Breeze ostrożnie włożył przedmiot do kieszeni marynarki.

- Najgorzej w Wielkiej Brytanii, katastrofalnie w Skandynawii, w Niemczech całkiem znośnie, nieźle w pozostałych krajach europejskich, przerażająco w Hongkongu... Ogólnie, w porównaniu z latami osiemdziesiątymi sytuacja ulega stałej poprawie.

Załamanie kursów na giełdach w końcu lat osiemdziesiątych spowodowało wzrost cen dzieł sztuki, ponieważ wielu biznesmenów dostrzegło w nich bezpieczną lokatę kapitału. W ten sposób stali się kolekcjonerami kupującymi obrazy i rzeźby celem późniejszej odsprzedaży z zyskiem, tak jak kupuje się wieprzowinę, zboże czy paliwa. Ceny wciąż rosły i kilku właścicieli międzynarodowych domów aukcyjnych zaczęło pożyczać pieniądze klientom, aby podtrzymać hośbę. Ten kredyt pozwalał śrubować ceny... Ale wszystko kiedyś się kończy i przyszło zapłacić cenę chciwości. Rynek nasycił się, ceny spadły, a niektórzy sprzedawcy stanęli na krawędzi bankructwa.

- Rynek diamentów też nie wygląda kwitnąco. Mało kto kupuje teraz diamenty - poskarżył się Victor. - I może być jeszcze gorzej. Rosjanie posiadają rezerwy diamentów warte ponad trzy miliardy dolarów. Jeżeli zdecydują się sprzedać choćby część tych zbiorów, chcąc nabyć za otrzymane pieniądze paliwo i żywność dla swych głodujących milionów, rynek rozsypie się jak domek z kart. W Rosji rosną polityczne naciski, by pozbyć się tych diamentów. To jeszcze mało. Chcą to zrobić pomijając de Beers.

Breeze zdumiał się.

- Sądziłem, że de Beers mają światowy monopol na handel diamentami. Każdy handlarz jest zobligowany do sprzedaży za ich pośrednictwem, dlatego ceny utrzymują się na odpowiednio wysokim poziomie.

Victor przytaknął.

- Jeżeli de Beers stracą kontrolę, skończy się to prawdziwym krachem. Do tej pory dla utrzymania pożądanego proporcji między popytem a podażą niektóre kraje zmuszano do ograniczania produkcji diamentów. Na przykład de Beers przez lata utrzymywali wydobycie w Rosji dwadzieścia pięć procent poniżej ich możliwości. Teraz jednak na giełdzie w Amsterdamie pojawiły się tanie, nie autoryzowane diamenty, prawdopodobnie rosyjskie. De Beers, chcąc

utrzymać ceny, są zmuszeni skupować te diamenty i wszyscy zastanawiamy się, jak długo jeszcze będą w stanie to robić.

- Co się stanie, jeżeli zabraknie im pieniędzy? - wtrąciła Suzannah.

- Sprzedaż dużej partii diamentów, nie kontrolowana przez de Beers, zniszczy zaufanie do mechanizmów rynkowych i ceny pójną w dół - odparł Victor posepnie. - Kiedy Rosjanie zrobią swoje, inne kraje wydobywające diamenty pójną w ich ślady i zostawią de Beers z niczym. Nie będzie żadnej kontroli cen.

- Więc ceny będą spadały dalej? - spytał Breeze.

- Owszem. Diamenty przestaną być dobrą lokatą kapitału. Może dojść do paniki, prowadzącej do katastrofalnych skutków.

- I teraz mi to mówisz! - powiedziała Suzannah, udając wściekłość.

Victor roześmiał się.

- Nie mówiłbym tego wszystkiego, gdybym naprawdę się przejmował. Rosja trzyma de Beers za jaja. Zmusi ich, by sprzedawali rosyjskie kamienie na nowych warunkach.

- Drażnisz się z nami - rzuciła opryskliwie jego żona. Wiedziała, że Victor celowo wyprowadził ją z równowagi. Chciał tym sposobem powiedzieć, by nie posuwała się za daleko we flircie z ich gościem. Postanowiła sprowadzić rozmowę na bardziej żartobliwe tory: - Zawsze myślałam, że diamenty są dobrym zabezpieczeniem. Dlatego mówi się o nich, że są najlepszymi przyjaciółmi dla dziewczyny.

- Nie istnieje coś takiego jak dobre zabezpieczenie. - Victor był śmiertelnie poważny. - Nadmierne zaufanie zawsze jest błędem. Ale trafiają się też okazje. - Nachylił się w stronę Breeze'a. - Chodzi o to, że ktoś o silnych nerwach mógłby teraz zrobić wspaniały interes na obrazach.

- Wygląda na to, że już zacząłeś - rzekł Breeze. - Oczywiście to nie moja działka, ale wiem, że Balthazar van der Ast był jednym z najważniejszych malarzy swojego okresu. Starzy mistrzowie wciąż sprzedawani są poniżej wartości, szczególnie holenderscy i flamandzcy: Jan van Kassel, Thomas Heeremans, Jan Brueghel...

- Dlaczego? - weszła w słowo Suzannah.

- Po pierwsze, ich dzieła należą do rzadkości. Po drugie, nie są modni, zwłaszcza w porównaniu z impresjonistami. Po trzecie, nabywcy rozglądają się za obrazami starych mistrzów posiadającymi certyfikat autentyczności. Jest taki komunał: „Starzy bogacze kupują stare obrazy”. Pojęcie „stary obraz” oznacza, że na ogół mija pół wieku, nim znawcy należąycie wycenią dzieło.

Breeze nie dodał, że Leo Caselli, dziadunio dla wszystkich sprzedawców nowoczesnych obrazów, był jednym z nielicznych, którzy potrafili trafnie ocenić dzieło zaraz po jego powstaniu. Po co jednak robić reklamę konkurencji?

- Na pewno - rzekł - jest teraz dobra pora na zakup starych mistrzów.

Doradzam jednak ostrożność, zwłaszcza w przypadku siedemnastowiecznych Holendrów. Brak szczegółowej dokumentacji tamtego okresu sprawia, że identyfikacja jest dość niepewna.

Limuzyna zatrzymała się obok wykończonej ząbkami płóciennej markizy. Portier, ubrany jak dziewiętnastowieczny huzar, rzucił się w kierunku drzwiczek. Plum gdy tylko wystawiła głowę z samochodu i stanęła na czerwonym dywanie, wilgotnym na brzegach od topniejącego śniegu, znowu poczuła niespodziewane ukłucie niepokoju. Niejasne uczucie budzące się lęku. Niezrozumiałe przeczucie, że stanie się coś złego. Zawsze gdy była szczególnie szczęśliwa, obawiała się, że nagle rozstąpią się niebiosa i piorun spadnie wprost na jej głowę. Kiedyś w przeszłości nabrała przekonania, że za szczęście prędzej czy później trzeba zapłacić, a cena zawsze jest wysoka. Dlatego po raz kolejny zastanawiała się, jakie nieprzyjemne niespodzianki trzyma dla niej w zanadru ten Nowy Rok. Jak dotąd sprawy szły podejrzanie gładko. O wiele za gładko.

Rozdział drugi

Powietrze w apartamencie Suzannah przesycił zapach ziół. Wnętrze przypominało zminiaturyzowaną wersję Sunnybank Farm, a jedynym elementem dekoracyjnym, którego brakowało, była postać George'a Washingtona, zasiadająca na sofie bądź w głębokim fotelu. Niewidzialna służba przygotowała wieczorną przekąskę, zastawiając stół srebrnymi brytfankami, utrzymującymi w odpowiedniej temperaturze tuziny gorących placków bakaliowych. Obok nich wznosiły się ponad śnieżnobiały obrus precyzyjnie ułożone wieże z kawałków wędzonego łososia, znajdujące się pod strażą dwu tuzinów najlepszych roczników wina, wspartych świeżym sokiem pomarańczowym, ciepłym ponczem rumowym i koniakiem marki „Napoleon”. Patrząc na tak bogatą zastawę, wyraźnie obliczoną na jakieś czterdzieści osób, Plum zdała sobie sprawę, że Suzannah spodziewa się większej liczby gości.

W salonie na najbardziej eksponowanym miejscu, nieco w lewo od kominka, wisiała na ścianie sprezentowana przez Victora martwa natura. Obraz nie należał do dużych - miał wymiary mniej więcej pięćdziesiąt centymetrów na trzydzieści pięć - lecz był niezmiernie piękny. Utrzymany w kolorystyce brązów, wzbogaconych ochrą i kadmową żółcią, zawierał też kilka pomarańczowych błysków. W efekcie odnosiło się wrażenie, iż cały obraz promieniuje złotawym blaskiem. Centralny element stanowił zielonkawy szklany wazonik wypełniony wiosennymi kwiatami, narcyzami, tulipanami oraz irysami, otoczonymi gęstwą zielonych listków. Na najjaśniejszym żółtym tulipanie przysiadła mucha, tak zdumiewająco prawdziwa, że w pierwszym odruchu chciało się natrętnego owada zgonić. Na lewo od wazonika leżały rozsypane muszelki i kilka opadłych płatków, pomiędzy którymi przycupnęła mała żółtozielona jaszczurka. Po prawej stronie szklanego naczynia unosił się

w powietrzu motyl z gatunku *vanessa cardui*, o czarno-brązowych skrzydłach, nakrapianych pomarańczowymi plamami.

- Spójrz, tutaj jest podpis - powiedziała Suzannah, z dumą wskazując wykonany farbą napis „Balthazar”.

Plum przysunęła się do obrazu. Bardzo uważnie przyglądała się rozwiniętemu skrzydełku muchy, na którym artysta pozostawił mikroskopijną, jasną smugę pomarańczowej barwy.

- W sklepie Schneidera na 57 Ulicy mają martwą naturę z tego samego okresu - rzekł Victor - ale trzy razy droższą i nie tak dobrą, przynajmniej według mnie. - Zerknął na Breeze'a. - Powiedziano nam, że na tych obrazach nie można wyjść źle.

- Szczerą prawdą - odparł Breeze z szacunkiem. - Wcześni holenderscy malarze słyną z precyzji. Spójrzcie na te fantastyczne detale! Jaka wyrazistość!

- W kroplici wody na stole można nawet zobaczyć odbicie! - zauważyła Suzannah. - A mucha! Czyż nie jest cudowna? To mój ulubiony fragment.

- To nie jest zwykła mucha - wtrąciła Plum, przysuwając się jeszcze bliżej malowidła. - To mucha plujka... Gdzie go dostaliście?

- U Maltby'ego na Bond Street - odparła Suzannah, nalewając ponczu dla wszystkich. - Namierzyła go moja dekoratorka.

Stojąc plecami do reszty towarzystwa, Plum wyjęła z wieczorowej torebki awaryjną agrafkę i ostrożnie przytknęła ostry koniec do dwóch oddalonych od siebie miejsc na płótnie. Potem szczerze i lekkomyślnie, bez chwili zastanowienia powiedziała:

- No to jak najszybciej odnieście go z powrotem. To fałszykat.

Zapadła pełna konsternacji cisza. Plum w jednej chwili zdeptała towarzyską etykietę, stawiając pod znakiem zapytania zarówno wrażliwość estetyczną, jak i pozycję finansową gospodarzy. Suzannah oskarżycielsko zawyla.

- Co za bezczelność! Jesteś zazdrosna, jak wszyscy. Chcesz mi popsuć sylwestra!

Breeze gorąckowo przerzucił spojrzenie z jednej osoby na drugą.

- Plum na pewno się myli - rzekł przeproszającym tonem. - Nie zna się na starych obrazach. Jest już późno, pewnie jest zmęczona... Poza tym przez cały wieczór piliśmy szampana...

- Moja dekoratorka straciła całe miesiące na znalezienie tego obrazu. Powiedziałam kiedyś, że chciałabym mieć coś podobnego do jednego z jej obrazów. - Gniew Suzannah narastał z każdym słowem. - Jeżeli ten obraz jest fałszykatem, Cynthia wiedziałaby o tym pierwsza.

- Nie miałam złych zamiarów - broniła się Plum. - Chodziło mi tylko o to, że jeśli się pośpieszycie, możecie odzyskać pieniądze. Mam rację, Breeze?

Victor spojrział pytająco na zakłopotanego Breeze'a.

- Nie mam wątpliwości co do autentyczności obrazu - spróbował załagodzić spór mąż malarki. - Firma Maltby'ego ma wysmienitą reputację. Jednak jeśli chcesz, Victorze, mogę po powrocie do Londynu złożyć im wizytę i wypytać.

- Sam ich wypytam - odrzekł krótko Marsh.

- Skąd Plum wie, że to falsyfikat? - wściekała się Suzannah. - Przyglądała mu się zaledwie dwie minuty. Jakim sposobem nabrała takiej pewności? Nie ma nawet naturalnego światła.

- Nie potrzebuję dziennego światła. - W głosie Plum brzmiała niezachwiana pewność siebie. - Widzę, że nie ma w nim ducha. Ducha nie można podrobić.

- Co to za brednie o jakimś duchu?! - wrzasnęła pani Marsh. - Obraz oglądali eksperci. A ty do nich nie należysz!

Plum wytrzymała spojrzenie gospodyni i powiedziała:

- Nie można opisać ducha zaklętego w obrazie, można go tylko rozpoznać albo dojrzeć jego nieobecność.

To umiejętność podobna do zmysłu muzykalności, tylko o wiele rzadsza. Breeze czasem drażnił się z nią, twierdząc, że sekret jej dobrego oka kryje się w braku uprzedzeń i fałszywych nastawień. Inaczej mówiąc, w braku akademickiego przygotowania.

Ale o drugiej w nocy Breeze nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje na temat wrodzonego daru estetycznej wrażliwości. Podjął ostateczną próbę naprawienia sytuacji i pół żartem, pół serio powiedział:

- Obawiam się, że nasza Madonna wśród artystów nie może konkurować ze znawcami siedemnastowiecznego malarstwa holenderskiego.

Plum natychmiast zorientowała się, że mąż celowo użył znienawidzonego przez nią pseudonimu, nadanego przez brytyjską prasę, deprecjonującą w ten sposób wartość erotycznych akcentów zawartych w jej dziełach.

- Nie trzeba być ekspertem, aby wykryć fałszerstwo - powiedziała ostrym tonem. - Znasz stare powiedzenie: Corot namalował dwa tysiące obrazów, z czego cztery tysiące znajdują się w Stanach Zjednoczonych. Pamiętaj też, że wszystkie muzea na świecie dały się chociaż raz nabrać na podróbki, często dość niedbale wykonane. Sama czasem zachodzę w głowę, stojąc przed jakimś falsyfikatem w Metropolitan Museum, w Luwrze albo w British Museum, jak to możliwe, że ktoś miał tyle tupetu, by próbować sprzedawać je jako oryginały. - Spojrzała ze złością na męża. - To, czego trzeba do wykrycia fałszerstwa, nazywa się dobre oko, a ja mam dobre oko. Doskonale o tym wiesz!

- Co mają do tego twoje oczy? - jęknęła Suzannah.

Breeze westchnął. Jak wielu dobrych handlowców, miał prawo nie znać się na malarstwie. Potrafił co prawda określić, czy styl ubiorów namalowanych postaci w przybliżeniu odpowiada przypuszczalnej dacie powstania obrazu, ale na tym jego umiejętności się kończyły. Oczywiście w tym zawodzie musiał polegać na własnych osądach, co sprowadzało się w praktyce do oceny „na

oko". Taka metoda, aby była skuteczna, wymagała stałego doskonalenia, treningu i ćwiczeń, a to implikowało podejrzliwość w stosunku do każdego dzieła sztuki. Dobre oko przydawało się do rozpoznania młodego talentu, do stworzenia interesującej kolekcji, do wyszukania prawdziwego skarbu w jakimś podręcznym sklepieniu lub na prowincjonalnej aukcji. Dobre oko było niezbędne w tym zawodzie.

Historycy sztuki, w przeważającej większości nie byli biegli w ocenie „na oko” - z tej prostej przyczyny, że nie ufali tak nienaukowym, subiektywnym metodom. Szukali oparcia w intelekcie i historycznej wiedzy. A ponieważ posiadane przez nich wiadomości nigdy nie zasługiwały na miano absolutnie pewnych, wielu handlowców podchodziło z rezerwą do naukowych ekspertyz.

Plum, na ogół cicha i małomówna, teraz przemawiała silnym, pewnym głosem. Jak zawsze, gdy przedmiotem dyskusji było malarstwo.

- Niemal każdy znany artysta był podrabiany, nawet ci żyjący, jak na przykład David Hockney. Niektórych łatwiej podrobić, innych trudniej. Rubens posiadał tak głęboką wiedzę anatomiczną, że podrobienie jego obrazów jest prawie niemożliwe. Ale martwe natury...

- Stanowczo za dużo wypić! - Breeze gwałtownie przerwał wywód żony.
- Zabieram cię do hotelu. Bardzo przepraszam, Suzannah. Naprawdę bardzo mi przykro...

- Jedną chwilę! - Victor wydawał się lekko rozbawiony buntem Plum i zmieszaniem malującym się na twarzy Breeze'a. - Mam pewien pomysł. Skoro Plum jest tak pewna swego oka artystki, może zgodzi się na mały zakład, dotyczący tego obrazu?

- Nie! - Breeze natychmiast odgadł intencje Marsha. - Plum, zabraniam ci!

Jednak zbuntowana żona nie zamierzała złożyć broni. Rzuciła mężowi wyzywające spojrzenie i sądząc, że „mały zakład” oznacza postawienie sumy nie większej niż sto dolarów, kiwnęła głową na znak zgody.

- Przyjmuję zakład!

- OK. Jeśli wygram zakład, powiedzmy, że dostanę darmo jeden z twoich obrazów i sam go wybiorę. Jeśli przegram, zapłacę ci za niego tyle, na ile wyceniają obrazy galerii. - Wyciągnął do Plum otwartą dłoń. - Ale musisz dowieść fałszerstwa.

Uścisnęli sobie dłonie.

Breeze uśmiechnął się, zaciskając zęby. W przypadku wygranej Plum mógł spodziewać się utraty dobrego klienta. W przeciwnym wypadku Victor zgarnie jeden z obrazów przygotowanych na Biennale. Nie wspominając o tym, że wykorzysta Plum do zdobycia dowodów, które później sam wykorzysta przeciw firmie Maltby'ego.

Niczym doświadczony pokerzysta, Victor doskonale wiedział, jak złe karty obrócić na własną korzyść.

*

Zdaję sobie sprawę, że jej nie lubisz, ale napadać na tę biedną kobietę tylko dlatego, że wydaje jej się, że sra fiołkami, to już przesada - warknął Breeze, zatrzaszkując drzwi od ich hotelowego pokoju.

Plum zrzuciła wieczorową atlasową pelerynkę i skierowała się do łazienki.

- Biedna kobieta, też coś! Przyznaję, irytowała mnie, może nawet dlatego, że ma wszystko, czego mogłaby pragnąć kobieta, ale nie zmienia to faktu, że jest z niej kawał cholery!

- I dlatego zachowałeś się tak jak ona!

- No więc zrobiłam właściwą rzecz w niewłaściwy sposób! - odparła, zsuwając ze stóp aksamitne fioletowe czółenka.

Breeze nerwowo przemierzał sypialnię tam i z powrotem.

- To nie była właściwa rzecz! Wyprowadziłaś ich z równowagi, postawiłaś w bardzo kłopotliwej sytuacji. A przecież to nasi klienci, nasi przyjaciele, nasi goście!

- Wymieniłeś wszystkie powody, dla których należało im powiedzieć, że nabyli falsyfikat. Prawdopodobnie nadal mogą zwrócić obraz do Maltby'ego, jeśli od kupna nie minęło wiele czasu.

Włożyła ręce pod brązową szyfonową sukienkę i zaczęła ściągać rajstopy.

- Nie byłbym taki pewien. Przedstawiciele Maltby'ego wejdą w spór, bo nie mogą sobie pozwolić na poddanie się bez walki. A ty nie możesz pozwolić sobie na antagonizowanie środowiska. Nawet jeśli masz rację, w co wątpię, pamiętaj, że nikt nie lubi posłańca przynoszącego złe wieści. Będziesz miała przeciw sobie wszystkie duże salony sprzedaży w Nowym Jorku.

- Ja mam rację! - krzyknęła, rolując rajstopy.

- Dlaczego jesteś tak cholernie pewna? Suzannah miała rację, oglądałaś obraz w złym świetle, przez minutę, może dwie...

- Wiesz równie dobrze jak ja, że najważniejsze jest pierwsze spojrzenie.

W tej krótkiej chwili gdy oczy po raz pierwszy szybko omiatają płótno, rodzą się instynktowne serie skojarzeń, które wewnętrzny komputer przetwarza na głębokie przekonanie.

- Owszem, ale ty nie masz ani wiedzy, ani doświadczenia, ani treningu, ani dyplomu do podparcia swego przeświadczenia. Przeciw tobie, absolwentce jednego roku w prowincjonalnej akademii, Maltby wystawi tak imponujący zespół ekspertów, że pozostanie ci tylko zapaść się pod ziemię! - Obrzucił żonę wściekłym spojrzeniem. - Zrobią wszystko, byś wyszła na głupca! W najlepszym razie skończy się na jeszcze jednej akademickiej dyskusji, w najgorszym wplączą cię w publiczną kłótnię, obdarzając niepożądaną reklamą w okresie, gdy potrzebujesz jak najlepszej prasy.

- To falszyfikat. Jestem absolutnie pewna. - Plum obstawała przy swoim. - Kiedy nikt z was nie patrzył, zrobiłam agrafką drobny test.

Dawniej handlarze dziełami sztuki nie rozstawali się ze szpilką, zatkniętą pod klapą marynarki. W starych obrazach werniks powinien być twardy jak szkło. Jeśli farba ustępowała pod naciskiem szpilki - malowidło nie mogło być stare.

- Dzięki Bogu, że Suzannah tego nie widziała!

- Breeze, przecież ty też zauważyłeś, że z tym obrazem jest coś nie w porządku. Byłeś niespokojny, zakłopotany.

- Masz cholerną rację! Byłem zakłopotany i zaraz wytłumaczę ci dlaczego. Miałem nadzieję, że w przyszłym tygodniu podpiszę umowę z Pevenskim na zorganizowanie wystawy bezpośrednio po Biennale. Pevensky docenia twój potencjał twórczy, uznaje za zaletę fakt, że twoje obrazy nie kosztują zawrotnych sum, ale na pewno nie spodobałby mu się skandal.

- Skandal? Pevensky prowadzi jedną z najlepszych współczesnych galerii na Dolnym Broadwayu. Co obchodzą go spory dotyczące siedemnastowiecznej holenderskiej martwej natury?

Breeze nie odpowiedział. Patrzył tylko wymownie.

- Rozumiem. Nie powinnam wchodzić Maltby'emu w drogę, bo... - zawiesiła głos, sięgając do zamka sukienki.

- Bo nie wkłada się kija w mrowisko.

- Aha! Zmowa milczenia! - Falszerstwo było tematem tabu. Kto je naruszał, brał na siebie odpowiedzialność za zawalenie się w grzyby zaufania klientów, spadek sprzedaży, zagrożenie finansowych struktur całego świata handlu obrazami.

Breeze wzruszył ramionami.

- Jeśli falszerstwo zostanie dowiedzione, Maltby odkupi obraz? - spytała Plum, przypominając sobie o próbach zatuszowania skandalu w podobnych przypadkach. Obraz wracał wtedy do galerii, która płaciła uzgodnione odszkodowanie. Każdy chce przecież chronić swoją pozycję i uniknąć ośmieszenia. Każdy otacza ochroną własne inwestycje. Dla wielkich galerii, muzeów i publicznych instytucji posiadających pokaźne budżety oraz bezcenne kolekcje prestiż znaczył bardzo wiele.

- Może tak, a może nie - ostrzegł Breeze. - Chcesz zgadywać, bawić się we wróżkę? Ja od razu mogę ci wywróżyć wielkie, wielkie kłopoty, nawet gdy dowiedziesz, że obraz nie jest dobry.

- Zdaję sobie sprawę.

Wyrażenie „obraz nie jest dobry” było w środowisku powszechnie przyjętym eufemizmem na określenie falszyfikatu. Sprzedawcy, licytatorzy, historycy sztuki - wszyscy zachowywali się z rezerwą i wypowiadali wymijająco, gdy konfrontowano ich z podejrzanym obrazem. Częściowo dlatego,

że zabezpieczali się w ten sposób od strony prawnej, częściowo z powodu grzeczności i taktu: kolekcjonerzy zazwyczaj są dumni ze swych zbiorów. Jeden sprzedawca nie powie nawet drugiemu, że jego zdaniem obraz jest podrobiony. Takie przypuszczenie spotkałoby się z niepohamowanym atakiem gniewu jako reakcją na obrazę dla inteligencji lub zawodowej intuicji. Choć tylko kilku handlowcom udało się uniknąć w życiu nabrania na fałszywkę, niewielu przyznałoby się do błędu, bo takie wyznanie zrujnowałoby ich reputację. Mało tego, tylko nieliczni sprzedawcy i licytatorzy w ogóle godzą się rozważyć problem fałszyfkatów będących w obiegu, chociaż wszyscy doskonale o nich wiedzą.

- Mogłeś przynajmniej potwierdzić, że mam dobre oko - powiedziała Plum głosem pełnym wyrzutu. - Pomógłbyś mi.

Oboje wiedzieli, iż takie oko to prawdziwa rzadkość. Sprzedawcy, znawcy, artyści, historycy sztuki przez całe życie pielęgnują tę wymykającą się definicji tajemniczą umiejętność.

- Doprawdy jestem zdumiona, że nic nie dostrzegłeś. W tej martwej naturze nie było ducha, tylko tępa, pozbawiona życia najwyższa jakość... Brakowało pogody i radości, którą wkładali w swe prace holenderscy wirtuozi pędzła.

Breeze westchnął.

- Jakie to szczęście, że Suzannah nie dowiedziała się o braku pogody i radości w jej obrazie... Hmm, skoro jesteś tak pewna, jaki to rodzaj fałszerstwa?

- Nie chodzi o zmianę podpisu, to nowy obraz. Prawdopodobnie ktoś wybrał z prawdziwych dzieł van der Asta interesujące elementy i skopiował je, zbierając na jednym płótnie.

- Masz na myśli pastisz? - Breeze zamyślił się, by po chwili zamknąć dyskusję stwierdzeniem: - Masz rację czy nie, nie możesz sobie pozwolić na zmarnotrawienie cennego czasu i angażowanie się w skandal. Plum, nie mogę pozwolić, by twoja uwaga się rozpraszała. Wystarczające rozprężenie spowoduje ta nieszczęsna podróż do Australii w przyszłym tygodniu... Gdybym wiedział o Biennale, nigdy nie wyraziłbym na nią zgody... Teraz powinnaś skoncentrować się na tworzeniu. Masz przygotować materiał na festiwal w Wenecji, będziemy też potrzebowali kilku nowych obrazów na wystawę w Nowym Jorku. Nie będzie już lepszej okazji na wylansowanie ciebie, chyba że otrzymasz nagrodę na Biennale.

- Na miłość boską, przestań to ciągle powtarzać! - wykrzyknęła Plum. - Zejdź w końcu na ziemię! Przecież wiesz, jaka tam będzie konkurencja. Jeszcze nie tak dawno uważałeś wytypowanie mnie za rzecz absolutnie niemożliwą, fantazję albo pobożne życzenie, a teraz sam fantazjujesz bez umiaru! - Stanęła przed mężem i przemówiła spokojniejszym głosem: - Proszę, przestań karmić mnie takimi myślami. Nie chcę rozczarowania. Straciłabym całą radość, jaką czułam po otrzymaniu nominacji.

- Jesteś przewrażliwiona. Pewnie po tym artykule w „Post” z zeszłego tygodnia.

- Mam pełne prawo! Kopciuszek wśród artystów! Jak możesz spodziewać się, że ludzie będą traktowali mnie poważnie, gdy w gazetach wypisują takie bzdury? Niech szlag trafi ten zamek! Zaciął się... Możesz mi pomóc?

- Ja też nie lubię tych gazetowych bredni. - Breeze schylił się i obejrzał zamek u sukienki. - Jeżeli nie będziesz z tymi pismakami rozmawiała, wymyślą coś sami, a wtedy może być jeszcze gorzej. Lepiej, żebyś była dla nich uprzejma. Nie zapomnij o jutrzejszym wywiadzie dla „New York Telegraph”.

- W jednej chwili twierdzisz, że nie mam czasu do stracenia, a w następnej przypominasz o rozmowach z dziennikarzami!

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Nigdy nie byłaś tak agresywna! - Szarpnął zamek, ale pierwsze podejście mógł uznać za nieudane.

- Auu! Zaciąłeś mi skórę!

Plum zrobiła się czerwona na twarzy. Siłą woli powstrzymywała wybuch płaczu.

- Przestań się wiercić...

- Co ty ze mną robisz?! - krzyknęła, ale nie chodziło o bolesne manewry zamkiem błyskawicznym. - Nienawidzę wywiadów, tych pytań, publicznego obnażania. Kreujesz jakiś portret, ale to nie jestem ja! Nie wiem już, kim jestem, nie wiem, kim się staję, nie wiem, które myśli są moje własne! Czuję, że żyję fałszywym życiem w świecie fałszywych wartości. Czuję się jak fałszyfikat!

- To normalna reakcja na urok Nowego Jorku - skomentował wykrętnie Breeze. - Skończmy z tym. Chodźmy do łóżka. Możemy jutro rano jeszcze raz porozmawiać o tym spokojnie. - Pochwycił metalową końcówkę zamka, ostrzegając: - Muszę pociągnąć mocniej albo będziesz w tym spała. Uwaga... Już!

- Serdeczne dzięki. - Sukienka zsunęła się na podłogę. Plum wyszła z kręgu zmiętej sztyfonowej materii i kontynuowała słowną napaść: - Breeze, ty upokarzasz mnie wobec ludzi! Mówisz, że jestem pijana, kiedy tak nie jest! Pomniejszasz moje wykształcenie i zmysł artystyczny, a na dodatek lekceważąc odnosisz się do moich osądów! Traktujesz mnie jak dziecko. A kiedy już się znudzisz, proponujesz, żebyśmy poszli do łóżka!

- Miałem na myśli sen!

Ale patrząc na kremowe krągłości żony, zwątpił we własne słowa. Poczuł, jak do penisa napływa krew.

- Mam dosyć!

- Dosyć? - Przynął się bliżej. - Czego?

- Dosyć twojego ordynarnego zachowania! Dosyć twojej dominacji,

kierowania, rozporządzenia mną, czy jak to nazwiesz inaczej! Ty zawsze wiesz, co jest dla mnie najlepsze, i zawsze jesteś przekonany, że zrobię, co mi każesz!

- Taki jestem - przyznał roztropnie Breeze, sięgając dłonią w kierunku bezowego sutka Plum. - Ale musisz przyznać, że zanim mnie poznałaś, byłaś tylko jedną z wielu, jakąś tam studentką sztuk pięknych. Beze mnie zesłałabyś na manowce. Taka jest prawda...

Nachylił się, szukając ustami piersi żony, ale nie miał szans dotrzeć do celu. Odepchnięty, zatoczył się do tyłu.

- Plum, chyba nie tak powinno się zaczynać Nowy Rok...

- Czemu nie? Przynajmniej dowiem się ciekawych rzeczy.

- Plum, przepraszam cię - rzekł z wyraźnym wysiłkiem. - Źle rozegrałem tę partię u Marshów. Jednak spróbuj mnie zrozumieć; wprost nie wierzyłem własnym uszom! Podkrađał się do obrazu i nim ktokolwiek z nas zdążył posmakować płynnej cynamonowej mieszaniny, spokojnie powiedziałaś tej flądrze, że jej nowa wspaniała zabawka jest kompletnie bez wartości, a ona sama jest ślepa, ponieważ tego nie dostrzegła. W tej jednej chwili zobaczyłem, jak wymyka mi się najlepszy klient; ona już nigdy nie pozwoli, by Victor cokolwiek od nas kupił. Zobaczyłem, jak ta wiedźma zamiata swym plugawym językiem po całym Long Island, obmawiając moją ukochaną żonę. - Chwycił dłoń Plum i ucałował. Wyglądał na zawstydzonego. - Straciłem głowę. Może to ja za dużo dziś wypilem.

- Tym lepiej, że nie zdążyliśmy napić się tej cynamonowej mieszaniny, diabelskiego wywaru.

Dotknęła ustami kostek na grzbiecie dłoni Breeze'a.

- Jak zamierzasz dowieść, że obraz jest falsyfikatem?

Lewym ramieniem otoczył jej ciało i przycisnął sprężyste pośladki do swego uda. Prawą dłonią rozczesywał na karku miękkie, puszyste włosy.

- Jeszcze nie wiem, ale dowiodę tego, bo to jest falsyfikat! Wiem, że to falsyfikat!... Och, Breeze.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie.

Rozdział trzeci

Środa, 1 stycznia 1992

Plum leżała na plecach, z nogami i rękami swobodnie rozrzuconymi na posłaniu, pogrążona w rozleniwiającym ciepłe poranka pierwszego dnia 1992 roku. Nie obudziła się jeszcze. Ze świata, pozostającego za zamkniętymi powiekami i szczelnymi drzwiami apartamentu w hotelu „Ritz Carlton”, docierały nieliczne przytłumione odgłosy. Odczuwała chłód, niezbyt intensywny, który na pewno nie dokuczał jej, ale skłaniał do zastanowienia nad jego źródłem. Może puchowa kołdra zsunęła się podczas snu, może podwinęła się koszula nocna?

Czuła coś jeszcze. Delikatne drapanie i ciepły nacisk na wewnętrzną stronę uda. Po chwili zrozumiała, co to takiego.

Nie ogolony policzek Breeze'a.

Jej ciało zalała gorąca fala przyjemności.

- Twój zapach jest tak podniecający - usłyszała szept. - Gdyby ktoś zamknął go we flakonikach i sprzedawał jako perfumy, zrobiłby fortunę.

- Za dużo czasu spędzałeś w towarzystwie Victora, tej chodzącej maszyny do robienia pieniędzy - odpowiedziała szeptem Plum, sennie rozsnuwając myśl, że jedną z ogromnych zalet małżeństwa jest możliwość przekomarzania się w łóżku, kiedy ma się pewność, że nic nie zdoła przeszkodzić w byciu razem, byciu blisko siebie w każdym tych słów znaczeniu.

Długie silne dłonie Breeze'a rozłożyły szerzej jej nogi.

Sennie uległa, lekko poprawiła się i poddała nadpływającym wrażeniom. Nie była w stanie poruszyć się, pochłonęło ją łagodne omdlenie, rozluźnione mięśnie utraciły swą moc. Zupełnie jakby jej wiotkie ciało topniało pod wpływem podmuchów boskiego wiatru, tchniętego prosto ze słońca. Czuła żarzące węgle ust Breeze'a, rozniecające ogień pożądania, czuła jego sondujący język i delikatne palce, odkrywające jej mały ukryty klejnot. Subtelne,

rozmyślnie ocieężałe liźnięcia, monotonne, rytmiczne posunięcia wymuszały reakcję, namiętność z wolna rozlewała się po całym rozspanym ciełe.

Plum łapała powietrze otwartymi ustami, dyszała, od czasu do czasu wyrwały jej się z ust piśnięcia, niczym urywane ptasie trele. Jęki stawały się głośniejsze, a przerwy pomiędzy nimi coraz krótsze, aż nagle zwały się w jeden długi krzyk rozkoszy.

Breeze spojrział w górę z gęstwy wilgotnych, rudawych włosów.

- *Encore?* - zapytał.

Plum zdobyła się tylko na mruknięcie, będące w jednej połowie zachętą, w drugiej manifestacją zadowolenia.

Breeze pochylił głowę.

Niemal natychmiast Plum zaczęła ciężko dyszeć. Wygięła kręgosłup w łuk i wypchnęła biodra w kierunku ust męża.

Zaprzestał pieszczoł i uśmiechając się spojrział w jej zamglone oczy.

- Ty brutalu - wyszeptala, chwyciwszy go za blond czuprynę. - Drażnisz się ze mną, draniu.

- Nic nie mogę zrobić, dopóki trzymasz mnie za włosy... O, teraz to co innego...

Breeze włożył dłonie pod jej kremową muslinową nocną koszulkę. Sięgnął piersi, zamknął je w muszlach dłoni, ścisnął, muskał, głąskał sutki, aż Plum nie potrafiła znieść potęgującego się napięcia.

- Nie przestawaj, kochany, nie przestawaj... - powtarzała, zaciskając palce na skłębionej pościeli.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

To rzekłszy podniósł się. Pokrywał pocałunkami jej piersi, z początku delikatnie, potem gwałtowniej, w miarę jak wzrastało jego własne podniecenie. Oddychał chrapliwie, ocierał się ciałem o jej gładką skórę, zbliżając do granicy, poza którą traci się kontrolę. Aż nagle przestał myśleć tylko o rozkoszy Plum.

Wsparł się na łokciach, położył dłonie pod pośladkami żony i uniósł ją. Poczula twardość szukającą jedności, a zaraz potem jękiem powitała jej wtargnięcie. Ich ciała stały się jednym ciałem. Plum, uwięziona pod mężem, chłoneła zmysłami siłę męzczyzny wdzierającego się do jej wnętrza. Zniknęło poranne, erotyczne rozleniwienie. Obydwoje przypominali teraz dwa głodne siebie żywy, szukające bezsłownego porozumienia w huraganie wzajemnej żądzy. Ich ciała poruszały się w magicznym rytmie, coraz szybciej i szybciej, coraz gwałtowniej...

Już po wszystkim, leżąc na wznak w płataninie pościeli Plum wchłaniała znajomy, podobny do migdałowego aromatu zapach zaspokożenia.

- Co za wspaniały sposób na rozbudzenie - wyszeptala, zdając sobie sprawę, że Breeze właśnie przeprosił za brak wsparcia poprzedniej nocy.

Dopiero pukanie do drzwi sprawiło, że szerzej otworzyła oczy.

- Nasze śniadanie - wyjaśnił Breeze. - Zamówilem na jedenastą.

Założył na siebie biały płaszcz kąpielowy i poszedł otworzyć drzwi.

Plum posłyszała przyciszone głosy, a po chwili do pokoju wjechał stolik na kółkach, pchany przez dwóch kelnerów w błękitnych uniformach. W powietrzu rozeszła się pyszna woń kolumbijskiej kawy. Jeden z kelnerów rozsunął grube zasłony i oczom Plum ukazał się zasypany śniegiem Central Park. Drugi tymczasem przygotowywał stolik. Na lnianym obrusie w kolorze masła pojawiły się srebrne półmiski i sztućce, filiżanki oraz talerzyki z chińskiej porcelany, dzban z wymalowanym wzorem w przebiśniegi.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna - powiedział Breeze, gdy kelnerzy wyszli. Uniósł pokrywkę półmiska. - Mamy tu jajecznicę, bekon, grzybki, kielbaski, czyli autentyczne brytyjskie śniadanie. - Sprawdził zawartość następnego półmiska. - Na deser wafelki i syrop klonowy. Są też plasterki banana i śmietanka, są, bo wiem, jak je lubisz. - Zdjął z koszyczka bładoniebieską serwetkę i kontynuował prezentację: - Mamy ponadto do wyboru tosty z miodem albo *croissant* z dżemem truskawkowym. Jest też świeży sok pomarańczowy oraz czara pełna czereśni. To powinno cię ochronić przed omdleniem z głodu, nim przyjdzie pora obiadu.

- Już prawie zemdlałam z wrażenia, słuchając tego wykładu. Dla mnie tylko kawa.

- Może kilka czereśnierek?

- Nie, bardzo dziękuję. Tylko kawa ze śmietanką.

- Jestem pewien, że zasmakowałyby ci, takie lśniące, czerwoniutkie...

- Jeżeli uważasz czereśnie za coś tak wspaniałego, zachowaj je dla siebie.

- Ale przecież ty uwielbiasz czereśnie w środku zimy.

- Dlaczego tak nalegasz? - Przyjrzała się mężowi i coś ją zastanowiło w wyrazie jego twarzy. - Co się z tobą dzieje? Kupiłeś sad? Albo akcje przedsiębiorstwa importującego owoce? No, dobrze, wezmę kilka... dla świętego spokoju.

Breeze szarmanckim gestem wręczył jej porcelanowy pucharek. Odgarnęła z twarzy włosy, by móc zajrzeć do wnętrza naczynia.

- Zaraz, zaraz! Co tam jest?

- Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, skarbie.

Pochylił się i musnął ustami jej kark. Plum roześmiała się.

- Udało ci się, naprawdę mnie zaskoczyłeś. - Wyjęła spod owoców pudełeczko nieodmiennie kojarzące się ze sklepem jubilera. - Co tam jest? - zapytała zdumiona.

- Nic takiego, na co byś nie zasługiwała - odparł pieszczotliwie.

Otworzyła pudełeczko.

- Nie wierzę własnym oczom!

Na szkarłatnej wyściółce leżał pierścionek z diamentem. Kamień żarłocznie wchłaniał przyćmione z powodu zasłon światło dnia, by na moment uwieźć je w sobie, a potem, przy najmniejszym ruchu, wyemitować uszlachetnioną wiązkę błękitu, okraszona pomarańczowożółtymi błyskami.

Plum włożyła go na palec. Unosząc w górę dłoń, wyszeptwała z zachwytem:

- Jest porażająco piękny! I przynajmniej raz moje paznokcie są czyste!

Na ogół jej krótkie, nie lakierowane paznokcie były uwalane farbą, nawet po myciu i zdrapywaniu z chirurgiczną precyzją.

- Chciałem uczcić nominację. Jestem z ciebie dumny. - Pocałował ją w czoło. - Nie jest tak duży jak ten, co ma Suzannah...

- Tamten pierścień jest wulgarnie, ostentacyjnie olbrzymi. To nie pierścień, to kasa pancerna.

Zarzuciła mężowi ramiona na szyję.

Breeze z uśmiechem uwolnił się z uścisku. Patrząc na dłoń ozdobioną brylantem, rzekł:

- Nigdy nie dałem ci pierścionka zaręczynowego...

- Powiedziałam, że wolałabym jeepa, i podarowałeś mi go - przypomniała Plum.

- Tak. Jesteś prostodusznym, praktycznym i bezpośrednim kociakiem.

- Skoro tak, może po śniadaniu złamię moje noworoczne postanowienie.

Oповідziała o rozmowie w toalecie „Rosyjskiej Herbaciarni” i oboje się roześmiali. Żadne z nich taktownie nie wspominało o martwej naturze rzekomo holenderskiego malarza; to mogło poczekać, nowy rok dopiero się zaczynał.

Plum jeszcze raz rzuciła okiem na pierścionek. Z wahaniem spojrzała mężowi w oczy.

- Kochanie, jesteś absolutnie pewny, że możesz sobie pozwolić na taki wydatek? Zwłaszcza w tej chwili?

- Owszem, nie obawiaj się. Cleo Brigstall dała mi spory napiwek.

Państwo Brigstall także byli zaproszeni do „Rosyjskiej Herbaciarni”, lecz Cleo przeziębła się i czuła się na tyle źle, że sylwestra spędziła w łóżku. Według opisu Breeze'a Cleo miała nieco ponad trzydzieści lat, pracowała w korporacji zajmującej się handlem złotem, wyszła za mąż - raczej szczęśliwie - za początkującego prawnika, który jeszcze nie osiągnął wiele, ale specjalizując się w prawie autorskim miał szansę zająć wysoko w swojej firmie adwokackiej. Cleo rozsądnie planowała wydatki, nigdy nie przekraczając osobistego budżetu. Tenże rozsądek podpowiadał jej, by nie nabywać dużych obrazów, ponieważ trudniej je później odsprzedać.

- Poza tym - przyznał się Breeze - Victor nieco opuścił cenę.

- Ach, więc to knuliście wtedy w limuzynie! Dobrze, zniżka zniżką, ale to cudo i tak musiało sporo kosztować. - Diament połyskiwał błękitnozielonym światłem, czasem słał żółte promyki. Był piękny. - Wiem, że niepokoiła cię sprawa Steinerta... chciał się wycofać.

Geoffrey Steinert był mecenasem Breeze'a. Był też w przeszłości jego teściem. W 1972 roku, mając dwadzieścia siedem lat, Breeze pracował jako asystent w Pilkington Gallery. Praca zainteresowała go, ale jeszcze bardziej zafascynowała jedyna córka właściciela galerii, dziewiętnastoletnia Geraldine Ann. Jej rodzice nie zaakceptowaliby takiego związku, więc kontynuując tradycje nieszczęśliwych kochanków wybrali wspólną ucieczkę. Zakończyło się pozornym *happy endem*; zakochana nastolatka ugłaskała ojca, a ten wyłożył pieniądze, by Breeze mógł otworzyć swoją własną galerię przy Cork Street, słynącej z najlepszych galerii sztuki w Londynie.

Cztery lata później Geraldine Ann ponownie uciekła, tym razem ze swoją kochanką Eileen. Wspólnie dołączyły do lesbijskiej kolonii „Nowa Era” na słonecznej Ibizie. Pan Steinert i Breeze zjednoczyli się we wstydzie i gniewie. Chcąc uniknąć rozgłosu, Breeze przeprowadził cichą sprawę rozwodową, przyjąwszy na siebie odpowiedzialność za rozkład pożycia małżeńskiego. W zamian teść nie wycofał pieniędzy zainwestowanych w galerię Breeze'a. Przez niemal dwa dziesięciolecia pieniądze te przynosiły zyski, ale załamanie rynku na początku lat dziewięćdziesiątych spowodowało, że Steinert zapalał chęcią odzyskania swojego wkładu tak szybko, jak tylko będzie to możliwe bez stwarzania Breeze'owi poważnych finansowych problemów. Obecnie obaj panowie regularnie dyskutowali pojęcie „poważnych problemów”.

- No i wiem - dodała nieśmiało Plum - jak podchodzisz do pieniędzy, Breeze.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - odrzekł sztywno. Wstał i chodził po pokoju z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie płaszcza kąpielowego.

- Rozumiesz, doskonale rozumiesz.

Zawsze wpadał w gniew, gdy o tym wspominała. To był jego sekret. Czasem budził się w środku nocy z koszmaru, w którym grał rolę przymierającego głodem starucha, schorowanego, torturowanego zimnem, bez grosza i po uszy w długach, niezdolnego pokierować własnym, kończącym się życiem. W tym śnie odbijała się jak w lustrze prześladowająca go myśl, że kiedyś może zostać bez środków do życia.

Plum wiedziała, gdzie szukać jej źródeł. Dziadek Breeze'a, dzierzawca rolny, został niemal sparaliżowany przez artretyzm. Ani on, ani jego żona nie mogli dłużej prowadzić gospodarstwa, toteż ojciec Breeze'a zmuszony był wziąć dwoje starszków pod opiekę. Może stąd brała się jego surowość. W dzieciństwie nawet za drobne przewinienia Breeze był karany odebraniem kieszonkowego. Jego ojciec ponuro powtarzał:

- Lepiej mocno wbij sobie do głowy, że nawet jeśli teraz masz trochę grosza, to w jednej chwili możesz zostać z niczym.

I Breeze wbił to sobie do głowy bardzo mocno. W kwestii pieniędzy nieodmiennie reagował niepokojem, wręcz paniką. Starannie ukrywał to przed światem, lecz Plum wiedziała o nerwowych, odbywanych bladym światem spacerach męża po sypialni, wiedziała o nie przespanych nocach. Zdarzało jej się wyrywać go z koszmarów godnych Kafki, sennych światów pełnych nie kończących się rachunków do zapłacenia, chwytających za ramię poborców podatkowych i bankowców rozdających nakazy aresztowania. Czasem Breeze wręcz zginał się wpół i chwycił za brzuch, walcząc z fizycznym bólem szalejącym we wnętrznościach. Z ratunkiem mógł przyjść w takich wypadkach tylko księgowy, potwierdzający dobry stan finansów.

Plum poznała osobistego księgowego Breeze'a zaraz po jednym z takich ataków. Sidney był atletycznie zbudowanym mężczyzną, którego głos przypominał kołysankę wyśpiewywaną w środku cyklonu.

- Patologiczny lęk przed ubóstwem. Normalne - stwierdził lakonicznie. - Nie ma powodów do niepokoju. Breeze ma dług, ponieważ, aby cokolwiek zacząć przy braku własnego kapitału, po prostu nie ma innego wyjścia: trzeba pożyczać.

Na własny użytek zachował myśl, którą nie ośmielił się podzielić: jeśli wrażliwość Breeze'a nie pozwala mu znieść gorąca, powinien raczej wyjść z kuchni.

Plum przypomniała sobie wyjaśnienie Sidneya i w przytłumionym świetle apartamentu hotelu „Ritz Carlton” przyjrzała się mężowi. Siedział na krawędzi łóżka, wyładowując złość na czereśniach, wylawianych z naczynia z szybkością, zręcznością i precyzją mucholówki kanadyjskiej.

- Nie martw się, Plum. Stać mnie.

- W takim razie jest to wspaniały prezent od wspaniałego mężczyzny - powiedziała łagodnie. - I teraz już definitywnie złamię moje noworoczne postanowienie.

*

W południe Breeze podjął męską decyzję i postanowił pobiegać w Central Parku, stawiając czoło lodowatym powiewom wiatru.

- Tylko trzymaj się z dala od tego mostu, pod którym na filmach czyhają rabusie - postawiła warunek Plum, ziewając. Nadal leżała w łóżku i ledwie było ją widać spod poduszek. - Zawsze gdy widzę na ekranie ten most, coś we mnie chciałoby krzyknąć ostrzegawczo: „Nie! Nie idź tam! Uważaj!”

Breeze zaśmiał się głośno, a potem dostrzegł wiadomość, wsuniętą pod drzwi. Podniósł kartkę i przeczytał:

- „Mamo, nie dzwoń, my zadzwonimy do ciebie. Nie wrócimy przed szóstą. Nie ma żadnej taksówki, musimy kursować pieszo ze Spring Street”.

- W tym śniegu! A Max ma bronchit! Boże, powinnam była zorganizować dla nich limuzynę...

- Nie, Plum, nie powinnaś. Kto słyszał o nastolatkach rozbijających się limuzyną po Greenwich Village? Nie zachowuj się nadopiekuńczo; to do ciebie nie pasuje, nie jesteś zbyt zaborcza. - Już w drzwiach obejrzał się i dorzucił: - Poza tym już chyba za późno, by zaczynać. Na wypadek, gdybyś zapomniała: Toby ma dziewiętnaście lat, a Max szesnaście.

- Siedemnaście.

- W każdym razie jest wystarczająco duży, by poradzić sobie samodzielnie, nawet w Nowym Jorku - podsumował i pogwizdując wesoło zniknął za drzwiami.

Plum natychmiast rozpoczęła zadreczanie matczynego sumienia. Co miało znaczyć: „To do ciebie nie pasuje”? Albo „zbyt zaborcza”? Z całą pewnością nie myślała o swoich dzieciach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale złą matką nie była. Chyba nie... Jak się nad tym głębiej zastanowić, to która współczesna matka nie jest zła, gdy wziąć za wzór matki poprzedniego pokolenia, spędzające cały dzień w domu i dziergające na drutach? Czego się wszyscy spodziewali? Jakiejś unowocześnionej wersji Mary Poppins? Stała się z całych sił, inni nie zrobiliby tego lepiej.

Może gdyby chłopcy wychowywali się pod okiem ojca, byłoby inaczej. Samotna matka nie może skorzystać z wygodnego sposobu na utrzymanie dzieci w ryzach, nie może zagrozić: poczekaj tylko, jak tata wróci do domu! Dlatego gdy chłopcy byli mali, dyscyplina zawsze pozostawiała wiele do życzenia. Plum ograniczyła zakazy, co pociągnęło za sobą ograniczenie liczby przykrych awantur i nakładanych kar.

A potem zaczęła pracować. Musiała pracować. Wiązało się to z pojawiającymi się od czasu do czasu wyrzutami sumienia, zwłaszcza gdy praca dawała jej wiele radości, lecz nie przytłaczało, dopóki dzieci nie zdały sobie sprawy, jak bardzo przejmuje się ich wychowaniem. Teraz miały w swych niewinnych rączkach wspaniałą broń i wcale nie zamierzały z niej rezygnować. Większość dzieci to nieco gruboskórne aniołki, którym dokuczanie rodzicom sprawia przyjemność. Lubią przekonywać się, jak dużą mają nad nimi władzę. A jest to naprawdę wielka władza.

Plum zawsze pocieszała się myślą, że ciche, grzeczne i posłuszne dzieci wyrastają co najwyżej na przeciętniaków, a naprawdę interesujący i wartościowi ludzie rozwijają się z dzieci sprawiających najwięcej kłopotów... Miała nadzieję, że to prawda.

Zerknęła na zegarek na przegubie, lecz jeden rzut oka nie wystarczył. Musiała podnieść rękę przed oczy. Plastikowy, jednolicie czarny zegarek był

prezenterem pod choinkę od Maxa. Miał bardzo irytującą cechę: na cyferblacie nie wykonano żadnego znaku orientacyjnego, nie wspominając o cyfrach. Plum zdążyła już się przekonać, że bez trudu potrafi pomylić się o całą godzinę. Zbliżała się pora umówionego telefonu do matki. Zgodnie z różnicą czasu, wynoszącą pomiędzy amerykańskim Wschodnim Wybrzeżem a Wielką Brytanią pięć godzin, w Portsmouth dochodziła siódma rano. Matka zapewne przygotowywała w kuchni poranną kawę. W kuchni pachnącej czerstwym chlebem, tak samo, niezmiennie od czasów dzieciństwa Plum.

*

Mamo! Otwórz! To my.

Plum wyskoczyła z łóżka, porwała kremowy, koronkowy szlafroczek i pobiegnęła do drzwi.

- Ucałuj mamuszkę! - Max pochwycił ją w objęcia i ścisnął w niedźwiedzim uścisku, aż straciła oddech.

Toby, nie ukrywając ziewania, wykrzyknął tubalnym głosem:

- Szczęśliwego Nowego Roku, bogini!

Jak dla większości nastolatków, matka nie była dla nich interesującą osobą. Brakowało wspólnych tematów. Oczywiście kochali ją, lecz od pewnego czasu stosunki między matką i synami stały się wymuszone. Jedynie kiedy byli tylko we trójkę, Plum instynktownie, z wrodzoną wrażliwością i tolerancją, starała się udawać, że wszystko zostało po staremu. W takich chwilach to wciąż byli jej mali chłopcy. Jednak gra pozorów stawała się coraz trudniejsza. Obaj usamodzielnili się, stali się mężczyznami. Już nie zwierzały się, nie przybiegali na skargę z nadzieją, że rozwiąże ich problemy.

Żaden z nich nie zauważył diamentowego pierścionka. Podniosła wysoko dłoń, rozstawiając, wzorem Suzannah, szczuple palce artystki.

- Spójrzcie, co dostałam od Breeze'a!

Obydwaj zaledwie rzucili okiem na klejnot.

- Wspaniały! - uprzejmie zachwycił się Toby i pozegłował w kierunku telewizora.

Max też udał entuzjazm:

- Ekstra!

Przedmiot matmej dumy wcale ich nie obchodził; był tylko nudną, staroświecką błyskotką. Powinna się tego spodziewać. Zyskałaby ich uwagę, gdyby założyła srebrny sygnet Aniołów Piekła z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

Toby włączył telewizor i walcząc z opadającymi powiekami starał się skupić na programie. Z ciemnymi włosami, opadającymi falami na delikatną twarz, wyglądał zupełnie jak ojciec, nim jego twarz nabrała opryskliwego,

awanturniczego, nieprzyjemnego wyrazu. A może Jim zawsze był taki? Może miłość przesłoniła jej prawdę i widziała tylko to, co widzieć chciała?

Toby przetaił oczy, a potem za pomocą pilota zmienił kanał. Do pokoju wdarła się Madonna, lubieżna królowa muzyki pop. Ubrana w czerwoną atlasową sukienkę bez ramiączek, obwieszona brylantami i otoczona tancerzami w smokingach, śpiewała: *We are living in a material world, and I am a material girl!* „Żyjemy w materialistycznym świecie, a ja jestem materialistką!”

Max rzucił się na nie zasłane łóżko, podparł głowę rękami i zapatrzył w telewizor. Już na pierwszy rzut oka zauważało się w nim podobieństwo do matki. Miał długą szyję, niedużą głowę, te same wielkie ciemnoniebieskie oczy oraz ognistorude włosy.

Plum przyglądała się materialistce, dokładającej wszelkich starań, by zaszokować widza. W przeciwieństwie do Marilyn, bezwzględnie manipulowanej i eksploatowanej z zimną krwią, ta nowoczesna bogini seksu bezwzględnie eksploatowała samą siebie. Dawniej wszelkie profity z seksualnego wyzyskiwania kobiet przypadały mężczyznom. Madonna była pierwszą w historii królową seksu, która wszystko zgarniała do własnej kiesy. Prawdopodobnie właśnie ten fakt zadecydował, że dochodziło do historycznych napaści na piosenkarkę, oskarżaną o propagowanie łagodnego porno. W tym samym czasie nikt nie kiwnął nawet palcem, by zlikwidować przemysł *hard porno*.

- Muszę zadzwonić do babci. Wyłączcie to - powiedziała Plum, za stanowiąc się, czy Madonna jest szczęśliwa. A może jej gwiazdorski rozkład zajęć nie pozostawia na to miejsca?

Do jej uszu dotarł pomruk, który w pierwszej chwili uważała za zgodę. Chłopcy jednak nie poruszyli się nawet o milimetr.

- Wyłączcie telewizor - nalegała Plum. - Przecież wiecie, jak starsze osoby reagują, gdy coś im się obieca, a potem tego nie realizuje.

Synowie dobyli z siebie kolejne dwa mruknięcia, ale nie oderwali wzroku od szklanego ekranu. Madonna udzielała właśnie wywiadu jakiemuś tłustemu spikerowi.

- Mężczyźni boją się sławnych kobiet, prawda? - dopytywał się grubas.

- To ich problem - odparła Madonna hardo. - Ja podejmuję ryzyko i to ja muszę sprawować kontrolę.

Plum wyłączyła telewizor i połączyła się z Portsmouth. Jej matka uwielbiała biżuterię, nosiła ją jak mogła najczęściej i jak najwięcej. Gdyby zobaczyła pierścionek, na pewno by go doceniła. Plum postanowiła, że jutro kupi coś dla niej z wyrobów Tiffany'ego. Może dostanie ulubione przez mamę witrażowe pudełeczka w kształcie kaczego jaja.

Max porwał słuchawkę.

- Cześć, babciu, mam dla ciebie kawał. Powiedz, jaka jest różnica między niebem a piekłem?... Ależ trzeba próbować. Inaczej kawał nie jest śmieszny...

Nie... Nie... W takim razie powiem ci. W niebie każdy policjant jest Anglikiem, każdy kucharz Francuzem, każdy rachmistrz Szwajcarem, każdy żołnierz Niemcem, a każdy kochanek Włochem... Babciu, wiem, że to nie jest śmieszne, bo jeszcze nie skończyłem... no i zapomniałem dalszego ciągu!

Słuchawkę przejął Toby.

- W piekle każdy policjant jest Niemcem, każdy kucharz Anglikiem, każdy żołnierz Włochem, każdy rachmistrz Francuzem, a każdy kochanek Szwajcarem... Cóż, nam się udało. Zapamiętaliśmy ten kawał specjalnie dla ciebie.

Plum chichocząc wzięła słuchawkę. Gdy po drugiej stronie usłyszała głos ojca, zebrała się na odwagę i zapytała, czy wie, jak najlepiej wytropić fałszerza obrazów.

Nie zadając żadnych pytań, pan Phillips, inspektor celny w stanie spoczynku, przelknął głośno ślinę i nieco pompatycznym głosem wyraził swoją opinię:

- Trzeba prześledzić drogę pieniędzy, aż do samego źródła.

„Łatwiej powiedzieć niż zrobić” - pomyślała Plum. Postanowiła jeszcze porozmawiać z Jenny.

*

Jenny popijała kawę, siedząc w łóżku. Na powitanie rozłożyła szeroko ramiona.

- Śniadanie w łóżku! W „Ritz Carlton”! Plum, jesteś dla mnie zbyt łaskawa. Od czasu do czasu uwielbiam taki skok w wielki świat! Właśnie... Telefonałaś do naszej biednej Lulu?

- Jeszcze nie. Nie pali mi się, wiesz, jaka Lulu jest w Nowy Rok. - Plum schyliła się i podniosła z podłogi maskotkę wielkości kota. - Czy ten pluszowy osiołek nie psuje twojego obrazu wielkiego świata? - Rzuciła zabawkę przyjaciółce. - Jak wypadła zabawa u Nella?

Tak naprawdę miała na myśli co innego: jak wypadł Leo?

- Dużo zabawniej niż w nocnym klubie. Tłumek był odlotowy. Goście z nazwiskami jak marki włoskich samochodów. PaniENKI jak z reklam Cartiera, wyedukowane i światowe: co druga osobiście znała Stephanie, księżniczkę Monako. Wielkie czarne rzęsy i blond fryzurki. Mężczyźni też w tym stylu.

- Miłe towarzystwo, szkoda tylko, że niezupełnie w sam raz dla ciebie.

- Nie szkodzi. Ukąszenie zazdrości raz na jakiś czas też jest przydatne. Leo chyba znał ich wszystkich. Rozmawiali tylko o tym, skąd właśnie wrócili, dokąd się wybierają i co zamierzają na siebie włożyć, kiedy już tam będą. Kobiety musiały wydawać na ubiory szaleńcze sumy, choć tak nieprzyzwoicie krótkich spódniczek jeszcze nie widziałam. Nie nosiły biustonoszy. Leo

zdradził, że jeśli któraś z nich miała z tym problem, po prostu szła na zabieg *liftingu*... - Jenny przerwała paplaninę. Plum pomachała jej przed nosem dłonią z pierścionkiem. - Ukradłaś to z apartamentu Suzannah? Jest prawdziwy?

- Zapytaj Breeze'a. Podarował mi to dziś rano.

Jenny przytrzymała dłoń przyjaciółki.

- Ile taki kamień jest warty?

- Nie wiem. Breeze powiedział, że to ośmiokaratowy DNOS. Jak myślisz, co to znaczy?

- Dla Najlepszej Okolicznej Szprychy?

- Dla Najwspanialszej Oblubienicy pod Słońcem?

- Dar od Napalonego Ogiera Salonowego? - Jenny podniosła do ust filizankę.

- Dla Nienasyconej Okupantki Serc? Powinna być jeszcze jedna kategoria, ZZZU, Zabawki Zamykające Żonie Usta... Czyżbym zapomniała o waszej rocznicy?

- Nie, to za to, że jestem dobra w łóżku.

- Ho-ho! Jaka szkoda, że ja nie mam takiej wprawy!

- Dziwisz się? Ta szkaradna maskotka wystraszyłaby każdego gorąco-krwistego kochanka. Co za pomysł, by przywozić to coś do Nowego Jorku!

- Tam, gdzie ja, tam i Muffin, wiesz przecież. - Pół żartem, pół serio, Jenny przycisnęła zmiętego osiołka do piersi. - Ale Muffin nie mógł wystraszyć Leo, ponieważ on nawet mnie nie odprowadził. Powiedział, że jest zbyt zmęczony. A dzisiaj rano nie zadzwonił... Och, Plum, co ze mną jest nie tak? Przysięgam, że tej nocy nie narzucalam się!

- Czy Leo nie został z przyjaciółmi? Pewnie jeszcze śpią. Nie zdręczaj się. I nie wydzwaniał do niego, ja to zrobię. Potrzebuję jego rady, więc przy okazji przypomnę mu o tobie. - By odciągnąć uwagę Jenny od drażliwych tematów, dodała szybko: - Chciałabym poznać również twoje zdanie. Otóż wczoraj wieczorem wpędziłam się w poważne tarapaty. - Zachichotała. - Powiedziałam Suzannah, że jej holenderska martwa natura to falsyfikat.

Jenny nie roześmiała się. Z uwagą słuchała dalszego ciągu.

- I podjęłam się znaleźć fałszerza - zakończyła opowieść Plum - ale nie wiem, od czego zacząć! Pomyślałam, że zapytam Leo. Dziennikarze znają się na takiej robocie. To znaczy, wiedzą, jak kogoś wytropić.

- Zostało pięć miesięcy do Biennale. Naprawdę masz zamiar prowadzić śledztwo na własną rękę, ścigając cień jakiegoś fałszerza, który może znajdować się w dowolnym miejscu na świecie? Przecież to szukanie igły w stogu siana!

- Posłuchaj, Breeze robił wczoraj wszystko, co w jego mocy, by mnie poniżyć i obrazić. Tym razem nie puszcę tego płazem. Jestem zmęczona traktowaniem mnie jak dziecko, przywoływaniem do porządku, gdy nie mam ochoty robić tego, co on mi każe. Dla Breeze'a, gdy nie jesteśmy w łóżku, stanowią skrzyżowanie malarki z grzecznym dzieckiem. Tylko tyle.

- I skarżysz się? Zwykle nie jesteś tak buntownicza.

- Zupełnie jakbym słyszała Breeze'a. Tylko że to, co wy nazywacie buntowaniem się, ja nazywam samodzielnością. Nie będę więcej czymś popychadłem!

Jenny próbowała odwieść przyjaciółkę od pomysłu rozpoczęcia poszukiwań, lecz odniosła odwrotny skutek. Jeszcze silniej umocniła ją w postanowieniu.

- Plum, chciałaś usłyszeć moją opinię, czy tylko przysłałaś tu po aprobatę? Każdy, kto ma choć trochę zdrowego rozsądku, musi zgodzić się z argumentacją twojego męża. Poza tym chcesz wejść na ścieżkę wojenną, gdy obdarował cię tak fantastyczną błyskotką?

- Żaden brylant mnie nie powstrzyma. Nie dam sobie zamknąć ust kosztownymi zabawkami!

Trzaskając drzwiami, Plum opuściła apartament. Jenny zakopała się w pościeli i przytuliła do wytartego, szmacianego osiołka. Jeśli gwiazdy tenisa i kierowcy wyścigowi mogli podróżować z maskotkami, mogła też i ona. Muffin towarzyszył jej od dzieciństwa. Plum miała dwóch mężów i dwoje dzieci, co znaczyło, że wynik brzmiał cztery do zera na jej korzyść. Nigdy nie zrozumie, co czuje trzydziestosześcioletnia kobieta spędzająca dnie i noce na rozwikływaniu cholemej zagadki, dlaczego nikt nie chce się z nią ożenić.

Za panoramicznym hotelowym oknem błyszczało zapraszająco śnieżne wczesne popołudnie. Plum wzięła przykład z męża i wybrała się na spacer po Central Parku. Zostawiwszy synów przyklejonych do MTV, pomaszzerowała pod nagimi koronami wychudłych drzew, pod ubranymi w białe kreacje swierkami i sosnami, odciskając ślady stóp na świeżo spadłym śniegu.

Spotykała spacerowiczów z postawionymi kołnierzami palt, idących wolno z rękami w kieszeniach, poprzedzanych przez mgiełkę oddechu. Mijali ją biegacze, zręczne jak cyrkowcy dzieciaki na łyżwach, zatwardziali miłośnicy rowerów okutani w swetry po czubek nosa, a jednocześnie z gołymi nogami, w samych tylko kolarskich szortach.

Spoza białej, nieprzezroczystej zasłony na niebie nadal sączyło się rozprozone światło dnia, lecz ciemne konary szkieletów drzew oplatały naszyjniki elektrycznych świetlików. Światłne punkty odbijały się w lustrzanej powierzchni zamarniętego jeziora, nawiedzanej przez tancerzy na łyżwach, pary tańczące lodowego walca. Powietrze nasycał zapach prażonych kasztanów. Atmosfera w tej części Central Parku była tak czarująca, że Plum natychmiast przyszedł na myśl pewien stary obraz holenderskiego mistrza, przedstawiający wesołą zabawę na lodzie.

Chwilę później jej myśli i tak popłynęły w kierunku niedawnej rozmowy z Jenny. Dlaczego ta zawsze tak sympatyczna, dobroduszna, schlebająca

i oddana przyjaciółka wzięła tym razem stronę Breeze'a? I to właśnie wtedy, gdy sprawa jest takiej rangi? Gdy na szali postawiła swój honor? Plum była skonsternowana. Żałowała, że podniosła głos na Jenny. Nie powinna była tego robić tylko dlatego, że przyjaciółka ten jeden jedyny raz nie przyznała jej racji. Cóż, jutro na obiedzie w „La Grenouille” będzie mogła naprawić błąd. Przy okazji zweryfikuje jeszcze jedną opinię Breeze'a, zgodnie z którą „La Grenouille” to miejsce, gdzie jadają najbystrzejsze kobiety w Nowym Jorku.

Nagle pochłodziła. Plum rozgrzała dłonie uderzając jedną rękawiczką o drugą, a potem zawróciła w stronę południowej bramy Central Parku. Stopy zdążyły zamienić się w dwie bryły lodu, nim dotarła do linii czarnych drzew, rosnących na skraju parku, tuż obok przygnębiającego szeregu dorożek, cierpliwie czekających na turystów.

Wróciwszy do hotelu zatelefonowała do Leo i ustaliła datę wspólnego lunchu. Za chwilę wykręciła numer Lulu. Wsłuchując się w skrzęjące kieszki bzyczenie brytyjskich linii telefonicznych, cieszyła się, że Lulu nie odpowiada.

Rozdział czwarty

Wtorek, 2 stycznia 1992

Wywiad dla „New York Telegraph”, przeprowadzany przez Solę Schweitzera, odbył się o ósmej rano, przy śniadaniu w restauracji „Jockey Club”. Plum nie miała dalekiej drogi: „Jockey Club” znajdowała się na parterze hotelu „Ritz Carlton”.

Sol Schweitzer okazał się niskim, szczupłym mężczyzną o rysach kwalifikujących go do ról amantów filmowych. Wrażenie psuło fałszywe przypochlebianie się, będące głównym motorem napędowym jego zawodowej kariery. Wywiad był pomyślany jako część rubryki portretującej znane postacie, miał więc w zamierzeniu opowiadać o samej artystce, a nie o jej twórczości. Schweitzer zamierzenie to realizował z gorliwością godną lepszej sprawy, starannie unikając rozmowy na temat malarstwa. Nic dziwnego - jego specjalnością była krytyka teatralna.

Zaczął od standardowych pytań, jakie mogłyby pojawić się w każdej nudnej ankiecie, rozmyślnie zaplanowanych celem uśpienia czujności rozmówczyni. Z jakiej części Wielkiej Brytanii pani pochodzi? W jakiej rodzinie się wychowywała? Ile razy była zameżna? Jak układa się współpraca z obecnym mężem? Ile pani zarabia?

Plum odpowiadała nerwowo. „Urodziłam się w Portsmouth, portowym mieście na południu Anglii... Mój ojciec był inspektorem w urzędzie celnym; zyliśmy zwyczajnym, spokojnym życiem, jak wszyscy na naszej ulicy... W szkole byłam niezłą z wychowania plastycznego i na tym moje umiejętności się kończyły, więc mając szesnaście lat zaczęłam uczęszczać do Hampshire Art College... Breeze jest moim drugim mężem i jednocześnie agentem... Mieszkamy w Londynie. Nie mam pojęcia, ile zarabiam. Właśnie tymi sprawami zajmuje się mąż...”

Zdawała sobie sprawę, jak monotonna brzmią jej słowa, ale ku jej zaskoczeniu pytania dziennikarza rozjaśniły myśli i pozwoliły zobaczyć

własną przeszłość w całkiem nowym świetle. Widziała teraz wyraźnie, że wczoraj, próbując zrozumieć, co w jej życiu potoczyło się złą drogą, poruszała się po omacku. Nie była wtedy w stanie ani nazwać, ani poddać analizie źródeł rosnącego w głębi niej niezadowolenia, rozpierającego rzekomo godną pozazdroszczenia egzystencję tak, jak gorące powietrze rozdyma nadmuchiwany balonik. Teraz była pewna, że jedynym sposobem rozwikłania zagadki jest uporządkowanie przeszłości. Dlatego udzielając dziennikarzowi powściągliwych odpowiedzi, w myślach przeprowadzała ze sobą inny wywiad. Pytała, dlaczego to zrobiła; dlaczego to się stało; dlaczego pozwoliła, aby to się stało? Przypominając sobie zwrotne momenty życia miała świadomość, że nawet gdyby teraz z całych sił pragnęła zmienić swoje decyzje, one już się dokonały i nie istniała żadna droga odwrotu. Było za późno. Mogła tylko spojrzeć wstecz i bezradnie opuścić ręce. Może właśnie na tym polegał problem: wszystko w jej życiu po prostu się zdarzało, a ona stała z opuszczonymi rękami, jakby była tylko kibicem. Biernie akceptowała życzenia innych i pozwalała, by niosły ją prądy okoliczności. Posłusznej dziewczynce, którą wciąż była w głębi serca, sprzeciw nigdy nie przyszedłby do głowy.

Plum otrzymała na chrzcie imię Sheila. Była jedynaczką. Phillipsowie należeli do niższej klasy średniej, wiedli zwyczajne, szare życie w małym domku z ozdobnym łukiem nad wejściem i tarasem. Dom ich, wypełniony bibelotami aż po dach, zawsze był nienagannie czysty. Pani Phillips uznawała utrzymywanie pozorów za nadrzędny cel dla wszystkich działań. „Zawsze noś majteczki, bo może ci się przydarzyć jakiś wypadek na ulicy; nie otwieraj drzwi w papilotach; umyj butelki po mleku, nim postawisz je przed drzwiami dla roznosiciela; nie pozwalaj nikomu z rodziny przebywać w pokoju gościnnym, który musi pozostać czysty na wypadek nagłej, nie zapowiedzianej wizyty”. Najczęściej powtarzała zdanie: „Co sobie ludzie pomyślą?” albo: „Niech to zostanie w rodzinie”, co znaczyło, że sąsiadów trzeba trzymać na dystans.

W każdej najdrobniejszej sprawie, począwszy od jej opinii na temat rodziny królewskiej (o której wypowiadała się z takim znawstwem, jakby byli spokrewnieni) po kwestię wyboru toaletki, wspierał Patricję Phillips jej mąż Don. Był drobnej budowy ciała, o łagodnym temperamencie, maskującym nieustępliwość i wytrzymałość. Jak każdy biurokrata niższego szczebla postępował wyłącznie według regulaminu, nienawidził podejmować własnych decyzji i cieszył się, gdy petent drżał przed nim jak osika. W domu, gdzie wchodził w rolę zadowolonego z siebie pana na włościach, żona bezustannie karmiła go banalną krytyką poczynań rządu. Don Phillips nie mógłby stanowić

wzoru człowieka taktownego. Mając się za uczciwego obywatela, zawsze mówił szczerą prawdę i wierzył, że inni postępują podobnie. Nierzadko doznawał bolesnego zawodu.

Plum szczególnie utkwiła w pamięci pewna wigilijna kolacja, przygotowana przez ciocię Harriet. Byli na niej obecni Phillipsonie, ciocia, wujek dentysta oraz czwórka ich milczących synów. Kiedy w pierwszej butelce południowo-afrykańskiej wiśniówki pokazało się dno, ojciec Plum żartobliwie zauważył, że ciocia Harriet przybrała ostatnio na wadze. Jak zwykle w podobnych sytuacjach pani Phillips usiłowała złagodzić wymowę słów męża. Tłumaczyła, że szorstkość Dona była nie zamierzona i wynikała z uprzejmości.

Ale ciocia Harriet nie dała się przekonać.

- Nie, nie, ta szorstkość wynika właśnie z szorstkości. Don ma wielkie wymagania wobec innych, szkoda tylko, że siebie nie mierzy tą samą miarką. Dlaczego miałby to robić, przecież jest absolutnie doskonały! Ale Don jest doskonały tylko w jeden sposób: jest doskonałym wrzodem na dupie.

- Don, nie słuchaj jej - powiedziała szybko mama Plum. - Nie pozwól, by zepsuła ci święta.

Po posiłku, gdy wszyscy wyrażali zachwyty nad talentami gospodyni, ojciec Plum spokojnie stwierdził, że szczerze mówiąc, indyk był odrobinę zbyt wysuszony, farsz zbyt tłusty, ale żurawinowy sos całkiem niezły.

- Więc pozwól, że nałożę ci jeszcze trochę - powiedziała ciocia Harriet, wylewając z sosjerki resztki żurawin prosto na głowę szwagra.

Phillipsowie udali się do domu w wielkim pośpiechu.

Mała Plum, obserwatorka otaczającego ją świata, dostrzegała nie tylko dziwne i pełne sprzeczności zachowania dorosłych. Interesowało ją prawie wszystko. Godzinami potrafiła oglądać różne rzeczy, podnosząc je blisko oczu. Nie wahała się kłęknać na środku trawnika i pobrudzić rajstopy, by dobrze przyjrzeć się kwiatom mniszka. Zanim zjadła truskawkę, najpierw dokładnie oglądała owoc z odległości kilku centymetrów. Zaniepokojona takim postępowaniem matka dwukrotnie zabrała ją na badanie wzroku. Oczywiście zupełnie niepotrzebnie.

Plum była skrytym, wrażliwym dzieckiem. Szybko nauczono ją powściągliwości w okazywaniu uczuć: grzeczna dziewczynka nie pecha się na kolana, bo pogniecie mamusi ubranie. Zdławiła w sobie naturalną skłonność do radosnej wylewności, stała się cichym jak myszka pod miotłą, niedokuczliwym dzieckiem. Nigdy nie była niegrzeczna - z jednym, jedynym wyjątkiem. Kiedy miała trzy lata, wykradła z łazienki kostkę pachnącego mydła i schowała się pod kuchennym stołem, aby wyrzeźbić nożem pieska Scottie, takiego jak w telewizyjnej reklamie. Prymitywna rzeźba stała na półce nad kominkiem kilka miesięcy, dopóki pieskowi nie stopniały nogi. W ten oto sposób mała Sheila objawiła światu swą artystyczną duszę. Jej matka nie miała pojęcia,

skąd mogły wziąć się takie zdolności w ich rodzinie. O podobne skłonności podejrzewała ciotkę Harriet, która również miała rude włosy.

Plum najmilej wspominała dziesiąte urodziny. Otrzymała wtedy od cici Harriet pudełko prawdziwych farb olejnych. Spędziła cały dzień dziko rozkoszując się nimi, całkowicie zignorowawszy inne podarki. Niestety, w zapale twórczym pomazała farbą meble i poplamiała najlepszą sukienkę. Aby już nigdy nie mogła zrobić takiego bałaganu, matka zamknęła farby w szafce. Na klucz.

Szkolna kariera Plum osiągnęła nieoczekiwane apogeum pewnego lata, gdy jej szkoła zorganizowała wakacyjną wymianę z francuskimi dziewczętami mieszkającymi w Bordeaux. Piętnastoletnia Plum zakochała się we Francji, pełnej słońca, jedzenia przesyconego aromatem czosnku i zmysłowej atmosfery. Wizyta nigdy nie została powtórzona, gdyż Francuzce z wymiany nie przypadła do gustu deszczowa aura, angielska kuchnia i pruderyjność Portsmouth.

Rok później, 27 maja 1971 roku, czyli dokładnie w szesnaste urodziny, Plum nerwowo zakomunikowała, że pragnie kształcić się w jakimś artystycznym kierunku. Ku jej zdumieniu rodzice nie zgłosili zastrzeżeń. Oboje popatrzyli po sobie i kiwnęli głową na znak zgody - piesek Scottie wyrzeźbiony w mydle dowiódł, że ich córka ma talent. Poza tym Sheila (rodzice ciągle jeszcze tak ją nazywali) nie błyszczała na innych przedmiotach. Matka podjęła więc decyzję: Hampshire Art College, klasa projektantek mody. Pani Phillips, zawsze wybiegająca myślami w przyszłość, wyobraziła sobie, że paraduje na przyjęciach w okazałej sukni uszytej przez Sheilę podczas jakiegoś weekendu. Pani Phillips miała nawyk zapisywania wydarzeń w pamięci, związawszy je z ubraniem, które miała wtedy na sobie. („Spotkaliśmy ich na weselu, kiedy miałam na sobie brązową koronkową sukienkę... To było tego dnia, gdy po raz pierwszy założyłam tę niebieską atlasową spódnicę...”)

Dziewczęta z klasy projektantek kreśliły na bładoniebieskim papierze wzory sukni ślubnych, zużywając najwięcej białej farby na zaznaczenie luźnych tiulowych spódnic. Plum prędko przeniosła się do klasy malarstwa, gdzie błyskawicznie poczuła się jak u siebie, w wymarzonej miejscy na ziemi. Tu, pośród sztalug rozstawionych na świeżym powietrzu była pewna siebie i ufnie rozwinęła swoje własne poczucie doskonałości. Zwykle spokojny i schłodnie uporządkowany charakter dziewczyny tu nagle przechodził metamorfozę, by znaleźć ujście w irracjonalnych, prowokacyjnych, a czasem chaotycznych obrazach.

- Próbujesz biec, zanim nauczyłaś się chodzić - skomentował jej prace pan Davis, ulubiony nauczyciel. - Powinnaś więcej czasu poświęcić na studia nad klasyczną formą i dopiero po kilku latach pójść w stronę abstrakcji. Musisz zrozumieć strukturę, nim świadomie zdecydujesz się, co z tej struktury wydobyć w formie abstrakcji.

W pokoju nauczycielskim wszyscy byli zgodni, że nowa słuchaczka, ten mały rudzielec, ma zdumiewające wycucie koloru. Jest tak naturalne, że mogłoby jej wróżyć wspaniałą przyszłość. Szkoda tylko, że jest dziewczyną.

Pani Phillips nie była zachwycona ze zmiany kierunku. Z konsternacją przypatrywała się obrazowi malowanemu przez Plum w sypialni.

- Ta brązowa plama na zielonym kawałku... To chyba krowa?

- Nie, mamó, to tylko fragment barwnego wzoru.

Pani Phillips pomyślała o wzorach swoich robótek ręcznych. Spojrzała jeszcze raz na płótno i orzekła:

- Jak może to być element wzoru, jeśli się nie powtarza? Co on ma oznaczać, kochanie?

Plum wzruszyła ramionami.

- Utwory muzyczne też nie mają znaczeń, wywołują określone nastroje, stany emocjonalne. Ludzie nie skarżą się, że IX Symfonia Beethovena nic nie oznacza. Ja po prostu maluję swoje uczucia.

- Cóż... Ale chyba jeszcze nie skończyłaś tego obrazu?

- Prawdę mówiąc, skończyłam.

- Po czym ty to poznajesz?!

*

Plum i Jenny spotkały się już w pierwszej godzinie pierwszego dnia zajęć w college'u, w odrapanej, wyłożonej białymi kafelkami łazience. W powietrzu unosił się zapach spirytusu terpentynowego, ponieważ wszyscy czyścili tutaj swoje pędzle.

- Dlaczego nie używasz szminki? - zapytała Jenny. - Może spróbujesz mojej?

Plum wypróbowała „Szokujący Róż” z kolekcji Mary Quant.

Na zajęciach siadały w jednej ławce, a poza klasą zachowywały się jak papużki nierozłączki. Wspólnie eksperymentowały z makijażem, wypróbowały bananową dietę-cud, rozmawiały o seksie. Zastanawiały się, czy nosy nie przeszkadzają w całowaniu się oraz jak w trakcie tej słodkiej czynności złapać oddech. I kto robi pierwszy ruch: on czy ona? A może jednocześnie? Mimo zabawnej różnicy wzrostu - Jenny była wyższa prawie o jedną trzecią metra - ubierały się identycznie. Oprócz obowiązujących w szkole białych fartuszków zawsze miały na sobie czarne dżinsy i lekkie czarne swetry, opinające się na nagich piersiach.

Pierwszą nieśmiałą oznaką narastającego w Plum buntu było wybranie sobie pseudonimu. Nigdy nie lubiła, gdy wołano ją Sheila, poza tym w tej samej klasie były jeszcze dwie dziewczyny o tym samym imieniu.

Jenny poparła pomysł.

- Dlaczego mielibyśmy przejmować się imionami nadanymi przez rodziców? Dlaczego nie mielibyśmy wybrać sobie imienia? Wybierz sobie jakieś oryginalne, na przykład Mercedes? A może Petronela? Persefona? Delila? Propozycje zostały odrzucone. Były zbyt długie, zbyt nadęte, trudne do wymówienia. Zalutujące mitologią lub Biblią. Brrrr! W końcu Jenny powiedziała:

- Wiem, co pasowałyby do ciebie, zwłaszcza do tych włosów. Plum!

Rodzice byli przerażeni. Ich mała Sheila, zawsze posłuszna i grzeczna, przybrała ohydne imię, brzmiące jak nazwy sklepików z tandetną odzieżą - Biba, Shiva czy jakoś tak...

- Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, nie posłalibyśmy cię do college'u - żaliła się matka.

Wszystkie oskarżenia i lamenty pani Phillips, jak stworzone przez Hokusai *Sto widoków góry Fuji*, ulegały tylko niewielkim fluktuacjom - zawsze brzmiały identycznie.

*

Lata sześćdziesiąte były ekscytujące dla każdego miłośnika sztuki. Op-art powoli stawał się przeszłością, w mediach eksplodował pop-art. Na malarski piedestał wynoszono Oldenburga, z jego wzbudzającymi nudności hamburgerami, Jaspiera Johnsa, malującego pozbawione grama szacunku flagi, Lichtensteina, wyrysowującego komiksowe postacie z dialogami w dymkach, nieprzyzwoitego Rauschenberga oraz Warhola, posługującego się Marilyn w złowroziej parodii kampanii reklamowej. W Hampshire Art College nikt nie chciał siedzieć i wieczór w wieczór rysować flegmatycznie pozujących modeli; zwłaszcza studenci pierwszego roku. Na tyle głośno, na ile się odważyły, Plum i Jenny krytykowały staromodne metody nauczania, stosowane w college'u. One wołałyby jeździć rowerami po sadzawkach wypełnionych farbą, by potem przejechać się po rozciągniętych na podłodze prześcieradłach. Sądziły, że tak właśnie robi się w londyńskich szkołach.

Cały pierwszy rocznik z pogardą odrzucał starych mistrzów, preferując artystów współczesnych. Jednak wszelkie studenckie próby, począwszy od abstrakcji geometrycznych po kinetic art, uważane przez nich samych za bardzo nowoczesne i odkrywcze, były natychmiast demaskowane przez pana Davisa jako kopie dokonań rosyjskich konstruktywistów albo zapożyczenia z wczesnych lat szkoły Bauhaus. Znaczyło to, że co najmniej od czterdziestu lat nikt nie określiłby takich prób mianem nowoczesnych. Za to dałoby się o nich powiedzieć, że są naiwnie pretensjonalne.

- Ale czego spodziewać się po kimś, kto opuszcza wieczorne lekcje rysunku - dodawał Davis, patrząc znad okularów.

Ostatecznie wszyscy pierwszorocznicy robili, co stary Davis kazał. Uczyli się rysunku. W wielu innych brytyjskich szkołach nauczano według programów z lat sześćdziesiątych, kiedy to malarstwo alegoryczne zostało z pogardą oczernione i odrzucone. W konsekwencji wielu absolwentów tych szkół - stanowiących następną generację artystów i nauczycieli - nie miało szans na opanowanie klasycznych dyscyplin malarskiego rzemiosła.

Jeśli chodzi o życie pozaszkolne, studenci pierwszego roku entuzjastycznie zaakceptowali pozerski sposób bycia, właściwy często nieobecnym duchem starszym kolegom. Wszyscy stali się normalnymi buntownikami, konformistycznymi nonkonformistami.

W tydzień po tym, jak zostały przyjaciółkami, Jenny przedstawiła Plum swoją koleżankę z przedszkola. Lulu Frazer była młodsza od nich o rok, wciąż uczęszczała do szkoły, ale za rok wybierała się do college'u. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie skończy szesnaście lat. Będzie wtedy mogła dołączyć do Jenny, nosić czarne ubrania i rozchlapywać farbę przez cały boży dzień.

Lulu mogła uchodzić za piękność. Miała kremoworóżową skórę, figlarne, kryształowo czyste, szare oczy, chmurę silnie kręconych, czarnych włosów. Była wysoka; Plum oceniła jej wzrost na doskonały, taki, o jakim marzyła - około stu siedemdziesięciu centymetrów. Plum chciała też móc poruszać się tak, jak długonoga Lulu: wielkimi, zamaszystymi susami.

Lulu wcale nie zachowywała się jak najmłodsza osoba w ich trójce. Gardziła jakimikolwiek regułami i konwenansami. Urodzona buntowniczką, przyrównywała życie do ciągłego przeskakiwania z jednej gorącej patelni na inną, jeszcze bardziej rozpaloną patelnię. Lubiła przemieszczać się wielkimi, zamaszystymi susami, podobnie do równie długonogiej Jenny.

Rodzice Lulu poznali się w szkole medycznej. Oboje byli lekarzami i pracowali w szpitalu miejskim Portsmouth. Specjalnością mamy była psychologia dziecięca, ojca - pediatria. Mama Lulu była kobietą o wyjątkowo rozległych horyzontach. Bardzo starannie poinstruowała córkę w sprawach seksu - mając dwanaście lat Lulu zawstydzilaby niejednego lekarza swoimi wiadomościami o jajowodach.

Rodzice adoptowali ją, co obydwie przyjaciółki uznały za fakt wielce romantyczny. Lulu często zachowywała się, jakby była nieślubnym dzieckiem jakiegoś księcia i pięknej, ognistej Cyganki, ale prawda wyglądała inaczej. Była owocem nielegalnego związku miłosnego, wiążącego żonatego lekarza i pielęgniarkę. On był Żydem, ona katoliczką. Naturalna matka widziała swą niechcianą córeczkę jeden jedyny raz, zaraz po wydobyciu z łona. Wszelkie formalności adopcyjne załatwiono wcześniej. Poród przyjmował przyszły tatuś dziecka.

Jej starszy brat, Dennis (też adoptowany), który w wieku, gdy inni chłopcy marzą o zawodzie astronauty, postanowił zostać chirurgiem mózgu, skutecznie realizował swe zamierzenia: studiował w akademii medycznej. W przeciwieństwie do niego Lulu nie miała głowy do nauki. Nie tracąc pogody ducha oblewała każdy egzamin w swojej szkole.

Rodzice byli bliscy spisania jej na straty, kiedy nieoczekiwany sukces córki radykalnie odmienił ich nastroje. Lulu zwyciężyła w Miejskich Warsztatach Malarskich. Natychmiast zamienili poddasze domu w prawdziwą pracownię, zakupili niewielką przenośną sztalugę i farby olejne. Z dumą tłumaczyli krewnym, że dzieci uzdolnione artystycznie na ogół wolniej się rozwijają i później dojrzewają.

Koniec pierwszego semestru przyniósł Jenny nagrodę za najlepsze portfolio. Na nagrodę tę wszyscy ostrzyli sobie zęby, nawet jeśli była nią tylko książka. Koledzy i koleżanki z pierwszego roku nie uważali wyróżnienia za zasłużone, ale musieli pogodzić się z faktem, że Jenny wykonała dwa razy więcej prac niż ktokolwiek z roku. Podczas gdy oni korzystali ze swobody życia pozbawionego dozoru rodziców i zabawiali się, Jenny ciężko pracowała. Braki w naturalnych zdolnościach nadrabiała wysiłkiem i determinacją, niezrozumiałą dla innych.

Źródło tej ambicji tkwiło w podświadomym przekonaniu Jenny - nigdy nie potwierdzonym - że nie dysponuje ona przesadnie oryginalnym talentem. Plum podchodziła do malowania inaczej. Nie koncentrowała się na osiągnięciu jak najwyższej pozycji, nie zależało jej na wielkiej karierze. Dla niej liczyło się tylko to, że może wziąć do ręki pędzel i malować. Żyła pod nieprzekładalną na słowa presją malowania, nie zastanawiając się, czy jest w tym dobra. Ani ona, ani żaden ze studentów nie potrafił tego ocenić.

Plum zdobyła nagrodę w kategorii „Historia sztuki” i było to osiągnięcie porównywalne do zwycięstwa w wyścigu, w którym startował tylko jeden zawodnik. W całej szkole chyba tylko ona jedna poświęciła trochę czasu na zapoznanie się z malarstwem minionych wieków. Wszystko zaczęło się od całodziennego wycieczki do National Gallery, kiedy to zafascynowała ją precyzja i doskonałość techniki dawnych malarzy. Później chciała rozeznac się w nieco nowszych kierunkach w malarstwie, ale przychodziło jej to z trudem. Dopiero pan Davis, znalazłszy ją pewnego dnia nad księgą zatytułowaną „Instytucjonalna kultura późnego modernizmu”, rozjaśnił nieco mroki terminologicznego labiryntu. Doradził, aby nie dała się zwieść tajemniczym *neo, nouveau, post i trans*.

- Takie etykiety tworzą artyści, desperacko symulujący, że różnią się od swoich poprzedników - rzekł. - Ekspresjonizm, na przykład, stale powraca, tyle że pod różnymi etykietami.

Tuż przed końcem zimowej przerwy świątecznej Jenny wyczerpała zapas wymówek i niechętnie zaprosiła Plum do swojego domu na herbatę. Przyczyna dziwnej niechęci wyjaśniła się, gdy wróciwszy niespodzianie z pracy pojawił się w mieszkaniu ojciec Jenny. Tom Black pracował dla elektrociepłowni jako akwizytor, zaopatrując w systemy grzewcze szkoły, szpitale i inne budynki miejskie. Podczas rozmów z klientami dla podtrzymania dobrej atmosfery zwykł wypijać szklaneczkę czegoś mocniejszego. Z czasem towarzyskie popijanie przerodziło się w nawyk: kieliszek przed obiadem, jeszcze jeden do obiadu, no i koniecznie jeden maluch przed snem. Stąd był już tylko krok do ostatniej fazy - ciągłego picia, od rana do wieczora.

Jenny, będąc najmłodszym dzieckiem i jedyną córką Toma, wiele po nim odziedziczyła. Miała jego bursztynowe oczy i jego bursztynowe włosy. Była jak on wysoka i jak on zdolna rozweselić towarzystwo, czym łatwo zjednywała sobie ludzi.

Niezwykle dumny ze swej córeczki, w krótkich przeblyskach trzeźwości Tom Black zwykł mawiać, że Jenny jest jego oczkiem w głowie. Jednak kiedy był pijany - a po czwartych urodzinach Jenny rzadko bywał całkowicie trzeźwy - stawał się nieprzewidywalny w swych odruchach i agresywny. Często pouczał wtedy swą córę, jak osiągnąć w życiu sukces. Jego życiowe motto brzmiało: „Sukces za każdą cenę!”

Bełkocząc mówił:

- Jeśśli nie wdrapiesz się na... na szczyt, to... to wiesz, kim je... jesteś? Złamasem! Twój taaatuuś wygrał konkurs na naj... najlepszego sprzedawcę południowoowego regionu trzy... trzy razy pod rząd! Jenny, ty też mu... musisz odnieść sukces.

Jeśli nie była najlepsza w klasie, ona, oczko w głowie tatusia, natychmiast dostawała lanie jego skórzanym paskiem. Dla jej dobra.

Nocą, gdy docierały do niej wrzaski ojca, przemieszane z krzykami lub szlochem matki, chowała głowę pod koldrę i mocno tuliła do piersi szmacianego osiołka. Tylko Muffin wiedział, jak bardzo chciała znać sposób na powstrzymanie ojca, na sprawienie, by już nigdy więcej nie robił mamie tych strasznych rzeczy. Rzeczy, które mężczyźni robią w ciemności.

Mama Jenny - jak wiele kobiet jej pokolenia - radziła sobie z problemem udając, także przed samą sobą, że on nie istnieje. Wstydząc się zachowania męża, ignorowała żałośnie chaotyczną egzystencję. Stwarzała w swym umyśle iluzję wygodnego, spokojnego życia, jakie toczyły bohaterki jej ulubionych powieści. Nawet przed córką udawała, że wszystko jest w najlepszym porządku. To od niej Jenny nauczyła się ukrywać lęki i wstyd. Nauczyła się żyć w permanentnym zakłamaniu.

Dorośla Jenny, na zewnątrz pogodna i życzliwa, skrywała wewnątrz przestraszone, zdezorientowane dziecko, przekonane o konieczności ukrywania własnych słabości i braku zaufania do mężczyzn.

Już pod koniec pierwszego semestru okazało się, że Jenny nie umie radzić sobie w kontaktach z płcią przeciwną. Zachowywała się niespokojnie, jak ktoś cierpiący na klaustrofobię, kogo czeka podróż windą na setne piętro. Już na pierwszej randce żądała proklamacji stałego związku. To kończyło fiaskiem każdą znajomość, nim na dobre się zaczęła.

Pewnego wieczora Plum pomagała Lulu wykańczać kostium dla jej matki, grającej w bożonarodzeniowym, charytatywnym przedstawieniu Złą Wiedźmę Zachodu. Obie kłęzczały na podłodze i obrębiając suknię rozmawiały o ostatnim sercowym niepowodzeniu Jenny. Niepowodzenie było przystojnym kadetem Królewskiej Marynarki, który w wieku dziewiętnastu lat uznał, że jest za młody na małżeństwo.

Nieoczekiwanie matka Lulu przystąpiła do analizy osobowości Jenny. Stojąc w samych pończochach, roztargnionym głosem zauważyła, iż wszystkie obecne problemy Jenny wynikają z przeszłości, w której główna, niechlubna rola przypada postaci ojca. Tatuś alkoholik ugruntowuje w małej dziewczynce przekonanie, że mężczyźni są nierzetelni i nieprzewidywalni, że należy się ich bać. Gdy takie dziewczynki dorastają, nie zapominają bynajmniej lęków z dzieciństwa. Przenoszą je na dorosłych partnerów, wpadają w panikę i paradoksalnie niszczą zaczątki każdego trwalszego związku, za którym tak bardzo tęsknią.

- Akrobaci, tancerze na linie ufają swoim partnerom. Wiedzą, że gdy będą spadać, ktoś ich złapie - snuła swe rozważania matka Lulu. - Kobieta, która miała takie dzieciństwo, nigdy nie zaufa seksualnemu partnerowi. Bojąc się, że zostanie skrzywdzona, nigdy nie otworzy się, nie zrobi kroku ku nowym doświadczeniom, nie zrealizuje się seksualnie. Sądzę, że Jenny cierpi na anorgazmię.

Plum słuchała wyводу ze zdumieniem i rosnącą fascynacją.

- Taka kobieta jest przerażona stratą mężczyzny, w którym lokuje uczucie. On to wyczuwa, czuje się jak w pułapce, więc wyrывa się na wolność. Można powiedzieć, że Jenny sama sabotuje swoje związki.

- Teraz wszystko jasne! - wykrzyknęła Lulu. - Mamo, powinnaś prowadzić kącik porad w „Portsmouth Evening News”.

- Nie, skarbie. Oni nigdy nie wydrukowaliby słowa „orgazm”.

*

W przerwach między zajęciami studenci wydziału sztuk pięknych gromadzili się w nędznej, hałaśliwej, zadymionej kafejce na rogu. Przy centralnym stoliku, zarezerwowanym dla najstarszych studentów, snuto plany

wszelkich zabaw tanecznych, studenckich popisów i manifestacji. Przy pozostałych toczono zawzięte spory, najczęściej dotyczące nieruchawego zespołu piłkarskiego z Portsmouth. Regularnie powtarzały się też sprzeczki o to, kto miał największy wpływ na współczesną sztukę. Każdy upatrywał swojego faworyta i bronił go z dużo większym zaangażowaniem niż ulubionego piłkarza. Najgłośniej zachowywali się nowi eksperci z pierwszego roku.

- Największy wpływ musiał mieć Picasso - przekonywała oponentów Jenny pewnego mglistego ranka - ponieważ on pierwszy wymyślił *collage*.

Plum poparła koleżankę.

- Metalowa gitara Picassa prowadzi w prostej linii do rosyjskiego konstruktywizmu i zachodnich rzeźb montowanych za pomocą spawania.

- Duchamp ze swoimi „gotowcami” obnażył pustkę takiej sztuki - odezwał się trzeci dyskutant. - On pierwszy przeciwstawił się pseudosakralnej sztuce. Był też pionierem, jeśli chodzi o wykorzystanie do fragmentów dzieła zwyczajnych, codziennych przedmiotów.

- A co powiecie o dadaistach? - wtrąciła dziewczyna siedząca obok Plum. - Oni pierwsi zdecydowali się na swobodne eksperymenty...

Jenny prychnęła pogardliwie.

- Dadaści byli pod wpływem futurystów, którzy z kolei czerpali od kubistów. No i z powrotem jesteśmy przy dokonaniach Picassa... Oooh, spójrzcie! Przyszedł Jim!

Raptem przy stole zapadła cisza. Do kafejki, stawiając kroki na usztywnionych ciasnymi dżinsami nogach, wkroczył heros college'u.

Jim Slade był na trzecim roku grafiki projektowej. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a jego smukła sylwetka, z długimi nogami i rękami, przywodziła na myśl wyprężonego charta. Jego przyblada, przystojna twarz ściągała spojrzenia wszystkich przedstawicielek płci pięknej. Nie potrafiły oderwać wzroku od cienkich, szerokich ust, od prostego i wąskiego nosa oraz szarych oczu, błyszczących pod bujnymi, czarnymi brwiami. Delikatność rysów i wewnętrzna siła, tchnąca z głębi spojrzenia, sprawiały, że po dziewczęcych plecach przebiegały rozkoszne ciarki. Ale atrakcyjność Jima nie polegała wyłącznie na czarującym wyglądzie. Wpływ miała także znakomita pozycja Jima w college'u: pełnił on funkcję wiceprzewodniczącego organizacji studenckiej i był organizatorem corocznego „Tygodnia Gałganów” oraz innych studenckich imprez.

Jenny krew odpłynęła z twarzy.

Pochyliła się do Plum i wyszeptwała:

- On idzie do nas!... Zaraz wpadnę pod stół!

Jim powoli przypląnął w pobliże ich stolika. Dla nieopierzonych pierwszorzeczników było to tak, jakby z niebios zstąpił ku nim złoty bóg w błyszczą-

cym rydwanie. Plum i Jenny mdlały z rozkoszy, mogąc patrzeć z tak bliska w jego jasne oczy. Cudowne oczy -to jedyne określenie, jakie przychodziło im do głowy.

- Hej, dziewczyny - przemówił złoty bóg, wyraźnie zwracając się do Jenny i Plum. - Macie już coś na dzisiejszy wieczór?

Obydwie pokręciły przecząco głowami, w jednej chwili decydując się na opuszczenie wieczornych zajęć.

- No, to może pomogłybyście mi przy... pokrowczykach?

Jim był znany ze sprośnych żarcików.

Dziewczyny zachichotały. Jeszcze raz kiwnęły głowami, tym razem na znak zgody, i Jim odplynął do swojego stolika.

Oceniając Jima po czarującej powierzchowności, przypisywało mu się wiele pozytywnych cech, ale pod mesmeryczną skorupą płynął chłodny strumień niegodziwości i okrucieństwa. Pokochać Jima znaczyło tyle, co złożyć własną broń, podczas gdy on swojej nie odkładał nigdy i używał jej bez skrępułów. Uwielbiał sprawdzać swą potęgę - moc sprawiania bólu.

Jak to się stało, że Jim zakochał się w Plum? Instykt łowcy popchnął go w kierunku młodzieńczej świeżości i dziewczęcej niewinności, równie ponętnych jak bładofioletowa mgiełka na dopiero co zerwanej śliweczce. Nie możesz oprzeć się chęci sprawdzenia, czy mgiełka zniknie, gdy potrzesz owoc palcem. Trzesz więc, a mgiełka znika. Zawsze, nieodmiennie znika.

Poza tym istniał jeszcze jeden powód. Plum, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, była najpiękniejszą dziewczyną na roku.

A Plum? Dlaczego tak błyskawicznie oddała swe serce Jimowi Slade? Nieśmiało udało jej się wyrwać spod dominacji ojca, lecz życie nie znosi próżni, toteż gdy tylko na horyzoncie pojawił się mężczyzna równie pewny siebie, zdający się znać odpowiedzi na wszystkie pytania świata, natychmiast zapragnęła oddać mu się we władanie. Tak właśnie. Niewinna Plum pragnęła oddać mu nie tylko ciało, ale cały swój świat - talent, marzenia, nadzieje i przymus malowania. Chciała oddać każdą najdrobniejszą myśl. Na postaci Jima zogniskowała wszystkie zmysły, pozwoliła, by teraźniejszość i przyszłość przesłoniła projekcja wizerunku wyimaginowanego, złotego mężczyzny. Żeńska połowa college'u zazdrościła jej, gdy została pomocnicą Jima przy jego największym projekcie.

Plum brała udział w powstawaniu przestrzennej formy, zbudowanej z wraków samochodów, ściągniętych z lokalnego złomowiska, zatytułowanej *Autostrada do Los Angeles 16.5*. I stopniowo coraz bardziej pogłębiało się oczarowanie człowiekiem, który był równie pewny siebie co samolubny.

Plum niewiele pamiętała z sylwestrowego balu przebierańców, zorganizowanego w college'u na jej pierwszym roku: wirujące baloniki, smak piwa, dobroduszną atmosferę. Tylko tyle. Za to pamiętała każdą minutę powrotnej drogi do domu, przez śnieżne zasy. W starym fordzie cortina Jima Slade'a było z początku dość tłoczno, ale w pewnej chwili zostali już tylko we trójkę: Jim, Jenny i Plum. Niedaleko była ulica Plum, Jim jednak minął ją, chcąc w pierwszej kolejności odwiedzić Jenny. Zapinając palto, Jenny rzuciła zdawkowe „dobranoc”. Nie kryła rozczarowania. Wskoczyła z samochodu, pomachała na pożegnanie i pośpiesznie skierowała się zasypaną ścieżką do domu.

Jim zatrzymał wóz na przykościelnym dziedzińcu i zgasił światła. Teraz, w słabym świetle odległych lamp ulicznych, mogli widzieć tylko mgliste zarysy swoich sylwetek. Chłopak wziął ją w ramiona, napałł ustami na jej gorące usta, językiem rozdzielił wargi. Plum nie miała pojęcia, że daje właśnie pożegnalny pocałunek swojej przyszłości.

Powoli zdjął jej z głowy chustkę i tymi samymi, powolnymi ruchami rozpiął palto. Jego dłonie obmacywały różową, szyfonową sukienkę (zwalająca z nóg kreacja z kolekcji Zandry Rhodes, zakupiona na przedświątecznej wyprzedaży w domach towarowych Handleya), znalazły drogę do celu i zanurzyły się w dekolcie, wydobywając obydwie piersi spod materiału.

Jim pochylił się i zamknął usta najpierw na jednej, potem na drugiej sutce. Pieścił i całował piersi, aż Plum poczuła ból, lecz jednocześnie pragnęła więcej i więcej. Tymczasem dłoń Jima wśliznęła się ukradkiem pod szyfonową spódniczkę, palce zaczęły o skraj majteczek i w umyśle Plum rozdzwoniły się dzwonki alarmowe: nigdy jeszcze nie pozwoliła na tak wiele. Każda inna dziewczyna na jej miejscu chętnie wyskoczyłaby z ubrania - Jim wielokrotnie przekonywał ją o tym - lecz Plum bała się, że... coś... może się stać. „Coś” oznaczało ciążę.

Próba powstrzymania Jima okazała się spóźniona - Plum usłyszała eks-cytujący dźwięk towarzyszący rozdzieraniu szyfonu i dłoń chłopaka prześliznęła się po brzuchu, zanurkowała w majteczki, by ostatecznie zatrzymać się między udami. Przez chwilę gładziła jedwabiste włosy łona.

- Widzisz? - wyszeptał chłopak. - Nie ma się czego bać...

Nie musiał jej przekonywać, Plum podpisała już akt kapitulacji. Teraz rozptywała się w narastających zmysłowych doznaniach.

Zdradzając bogate doświadczenie, Jim nagle poprowadził dłoń niżej. Dotarł do dziewiczej szparki i wydał pomruk zadowolenia, gdy odkrył wilgotną gotowość. Cofnął dłoń odrobinę wyżej. Wskazującym palcem szukał magicznego czułego miejsca. Kiedy Plum drgnęła, wiedział, że znalazł to, czego szukał. Rozpoczął delikatne pocieranie... i nagle dziewczyna targnęła się pod nim, jakby chciała

wyrwać się przez dach samochodu, prosto w zimne noworoczne niebo, na którym zakwitły barwne kwiaty sztucznych ogni, rac i petard.

Gdy przez ciało Plum przetaczał się jej pierwszy orgazm, z ust wyrwał się jej okrzyk niedowierzania.

- Nie miałam pojęcia!... Myślałam, że to boli... Och, kochany Jim... Zrób to jeszcze raz!

Jim nie potrzebując dodatkowej zachęty, złapał kciukiem gumkę przy jej majteczkach i zsunął je na uda.

Szyby fordą cortiny zaparowały, a przednie siedzenia pojazdu były mieszaniną rąk i nóg, na wpół uwięzionych przez ubrania. Chłopak chwycił dłoń dziewczyny i położył ją na tej rzeczy, zdającej się żyć własnym życiem, skaczącej i wymykającej się z uścisku. Plum nie była pewna, co ma z tym robić: ścisnąć, pompować czy ostrożnie muskać palcami? Nie miała czasu na zastanowienie. Wszystko działo się w przyspieszonym rytmie, jak na starym filmie z Charlie Chaplinem. To zaraz miało się stać!

Jim jedną ręką szerzej rozłożył jej nogi, drugą podłożył pod krzyż. Napart podbrzuszem na jej delikatny, nagi brzuch... to zaraz miało się stać...

Nagle ktoś zapukał w szybę samochodu. Oni jednak, zignorowawszy stukanie, kontynuowali szalony pęd do połączenia ciał.

Ktoś stojący na zewnątrz nie dawał za wygraną. Rozległo się jeszcze bardziej natarczywe pukanie, a potem męski głos:

- Policja, proszę otworzyć!

- Aaaaaach, Jim, nie waż się otwierać! - Plum bezskutecznie usiłowała uwolnić nogę, zablokowaną przez kierownicę. Nie mogła też znaleźć futerka. Spróbowała ukryć piersi pod skrzyżowanymi rękami.

- Jeśli ktoś ma tak chore poczucie humoru - mruknął Jim - to przysięgam, że skreślę mu pieprzony kark!

- Proszę otworzyć! Nie można tutaj parkować z wyłączonymi światłami. Będą państwo musieli odjechać stąd.

To nie był żart.

Później, już bez niespodzianek, zrobili to. I było to tak bolesne, jak Plum się spodziewała. Nawet w części nie tak ekscytujące, jak odczucia, które stały się jej udziałem podczas pierwszej próby.

Jenny i Lulu, nadal będące dziewicami, koniecznie chciały wiedzieć, jak to jest. Plum była jednak zbyt nieśmiała, by udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Robiła uniki twierdząc, że tych przeżyć nie da się ująć słowami.. Niedługo same o tym się przekonają. Tak naprawdę niechęć do szczegółowego opisywania zdarzeń wynikała z faktu, że Plum czuła się zawiedziona. Podczas stosunku nawet nie zbliżyła się do orgazmu.

Przysięgając, że dotrzymają tajemnicy, Lulu i Jenny doradziły (przyjaciółce, by jak najszybciej załatwiła sobie pigułki.

- Nim to się stanie znowu - dodały, piniąc się z zazdrości.

Plum była jednak zbyt skrepowana, by odwiedzić lekarza rodzinnego.

Na początku bała się powtórzyć doświadczenie sylwestrowej nocy, ale Jim nie potrafił utrzymać rak przy sobie. I jak każda zakochana para uwierzyli, że znajdują się pod opieką życzliwej, magicznej gwiazdy. Im po prostu nie mogło się to przytrafić.

Lulu zapytała mamę, co koleżanka (anonimowa) powinna w takim wypadku zrobić. Matka, przekonana, że anonimową przyjaciółką córki jest sama Lulu, bezzwłocznie kupiła dla niej pigułki antykoncepcyjne. Lulu przekazała pigułki koleżance w potrzebie.

Plum nareszcie odetchnęła. Czowała się całkowicie bezpieczna. Tylko że było już za późno - podstępna Matka Natura zastawiła pułapkę i dziewczyna, nie zdając sobie z tego sprawy, wpadła w nią. Od kilku tygodni była w ciąży. Teraz, jeszcze zanim rozpoczęła własne życie, spoczywała na niej odpowiedzialność za jeszcze jedno istnienie.

Rozważając spokojnie przebieg wydarzeń, Plum doszła do wniosku, że podświadomie odkładała decyzję wzięcia pigułek, ponieważ chciała mieć dziecko. Dziecko, które byłoby węzłem spajającym ją i Jima.

Nie odważyła się poinformować matkę, że jest w błogosławionym stanie. Kiedy dłużej nie potrafiła ukryć zaokrąglonego brzucha, poprosiła ciotkę Harriet, by w jej imieniu powiadomiła rodziców. Okazało się to gorszym występkiem niż zajście w ciążę.

- Jak mogłaś to powiedzieć tej kobiecie? Co za wstyd! Co za upokorzenie! - wrzeszczał pan Phillips, aż ściany drżały w małym pokoiku na tyłach domu, gdzie czytali, spożywali posiłki, oglądali telewizję i kłócili się przy każdej nadarzającej się okazji.

- Ależ, Don, Harriet należy do rodziny - przypomniała rzeczowo matka Plum. - Wkrótce i tak wszyscy będą wiedzieć.

- Czy nie możesz... Czy nie można czegoś zrobić?

Na aborcję było jednak za późno.

Jim nie należał do mężczyzn, których można by zmusić do małżeństwa (był przecież nonkonformistą i zdeklarowanym buntownikiem), ale jeszcze raz postanowił wszystkich zaskoczyć. Dlaczego nie skorzystać z drogi wskazanej przez Naturę? Dlaczego nie poddać się gwałtownej, seksualnej namiętności? Później wszystko się ułoży. Był tego pewien, ale jego młodzieńcza, arogancka pewność siebie nie miała nic wspólnego z mądrością. Dlatego łatwo mógł się pomylić. .

Pani Phillips zaprowadziła córkę, będącą wtedy w szóstym miesiącu, do domu towarowego Handleya. Miały kupić sukienkę ciążową. Tuż przed wejściem pani Phillips zsunęła z palca obrączkę i wręczyła Plum, mówiąc:

- Lepiej załóż to.

W trakcie ceremonii w Urzędzie Stanu Cywilnego matka Jima z wyrzutem przypatrywała się narzeczonej zza grubych okularów. Od czasu do czasu podnosiła do nosa haftowaną chusteczkę. Była wdową. Edgar, jej mąż, zmarł na raka płuc, gdy Jim miał osiem lat. Był stroicielem fortepianów i nałogowym palaczem.

Spoglądając w przeszłość, Plum zdumiała się, z jak zawrotną prędkością zachodziły zmiany w jej życiu. W jednej chwili tańczyła w różowej szyfonowej sukience... a potem... niepewność, nerwowe zerkanie na kalendarz, lzy, strach, wyznanie, histeria, udawanie wobec obcych, że wszystko jest jak dawniej, tort weselny, błyszczący jak miejski ratusz po ulewnym deszczu, wzruszające przemowy, prom na wyspę Wight, miodowy miesiąc w pensjonacie z tekturnymi ścianami, a potem powrót do jej sypialni przy Mafeking Road, zmienionej nie do poznania - matka zrobiła im niespodziankę i pomalowała ściany bładobłękitną farbą, a ciocia Harriet podarowała podwójne, mosiężne łóżce. Jim, rozkochany w rosyjskim konstruktywizmie, przypiął nad łóżkiem plakat z reprodukcją posępnego dzieła Rodczenki, przedstawiającego butelki z piwem. Obok, dla spotęgowania wrażenia, zawisł obraz Lissickiego, znany pod tytułem *Bić białych czerwonym klinem*.

Rzadko używany salonik na parterze domku także przeszedł transformację i pełnił teraz funkcję pokoju dzieciennego. Dziecko Jima potrzebowało jakiegoś elementu stymulującego zmysł wzroku, więc przyszyły tatuś rozpiął na ścianie barwny kilimek ze zwierzęcymi bohaterami kreskówek Disneya. To nie wystarczyło. Postanowił zmienić kolor ścian i z początku myślał o jakimś wzorze wykorzystującym czerwień i purpurę, potem jednak zdecydował się na coś ze szkoły de Stijl. To był odpowiedni styl dla współczesnego świata, proste geometryczne wzory i tylko trzy podstawowe barwy. Jim zrealizował swój projekt, biorąc za wzór *Broadway Boogie-Woogie* Mondriana. Całą jedną ścianę dziecięcego pokoju pokrył równoległymi pasami żółtymi, czerwonymi i niebieskimi.

Uśmiechając się dumnie, pani Phillips szła małe białe kaftaniki. Mimo że Jim prosił o czarne.

*

Seks w podwójnym mosiężnym łóżu rozczarował Plum. Ani ona, ani Jim nie mogli znieść świadomości, że znajdują się pół metra od rodziców Plum śpiących w sąsiednim pokoju. Porozumiewali się szeptem i nawzajem uciszali. Jim robił to teraz szybko, jakby przy łóżku stał trener ze stoperem. Do wewnątrz i na zewnątrz. Brał ją od tyłu, bo brzuch nabrał już rozmiarów dobrze napompowanej piłki. Jeśli czasem Plum udało się osiągnąć orgazm, a zdarzało się to naprawdę rzadko, mąż zamykał jej usta dłonią.

- Zupełnie nie panujesz nad sobą! - utyskiwał.

Winą za brak satysfakcji obarczała Plum swoje ciało, podejrzewając, że jest to wpływ ciąży. Nie była pewna, czy nadal powinni to robić. Mogli przecież zaszkodzić dziecku.

Wątpliwości co do reakcji własnego ciała oraz nieśmiałość nie pozwalały Plum zabiegać o osiągnięcie rozkoszy. Tylko raz odważyła się wyszeptać:

- Jim, zróbmy to tak jak za pierwszym razem, w fordzie.

- To znaczy jak? - spytał zaintrygowany, przyglądając się jej dziecięcej twarzy, okolonej kasztanowymi kędziorami. - W ubraniach?

- Nie. Zrób to ręką.

- Ale ty robisz tyle hałasu!

Ostatecznie, ukradkiem zrobiła to sama, podczas poobiedniej drzemki. Nie tego jednak pragnęła. Chciała, żeby to Jim ją dotykał, chciała, by czule sięgnął po jej ciało. Marzyła, że znów poczuje wzbierającą falę pożądania, porywającą ją jak za pierwszym razem, falę mieszającą zmysły, odpływającą i napływającą ponownie ze zdwojoną siłą, wynoszącą ją coraz wyżej i wyżej, aż swobodnie poszybuję w obłokach rozkoszy. Marzyła, że poczuje spokojne, łagodne opadanie ku odprężającemu zaspokojeniu.

Pragnęła erotyzmu.

Plum na zawsze opuściła college po zakończeniu drugiego semestru, latem 1972 roku. Nadal małowała, pracując przy sztaludze, gdy tylko nie miała nudności. Ojciec zrobił dla niej generalne porządki w garażu na tyłach domu. Planowała zimą ogrzewać go piecem olejowym, nie zważając na biadolenia mamy, która uważała urządzenia tego typu za niebezpieczne.

Aby podnieść Plum na duchu, mama Lulu nabyła jeden z jej obrazów.

- To nie z litości - upierała się Lulu. - Mama lubi abstrakcje. Często i powtarza, że artyści nie kierują się przytomnością umysłu.

Matka Lulu była jedyną przedstawicielką swojego pokolenia rozumiejącą korzenie abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Nic więc dziwnego, że zgodnie z zasadą obowiązkowego buntu Lulu okazała się jedyną studentką pierwszego roku, której obrazy tchnęły realizmem i zachwycały precyzyjną kreską.

W ostatnim miesiącu ciąży Plum nie wyglądała kwitnąco, była wyczerpana i opuchnięta. Jim natomiast, na zasadzie kontrastu, osiągał wyżyny dobrego samopoczucia. W college'u po rozpoczęciu jesiennego semestru jego akcje podskoczyły jeszcze o kilka punktów. Oto prawdziwy bohater dokonał kolejnego heroicznego czynu, słusznie postępując z tą głupią małą dziwką (nie tak głupią, jak się miało później okazać). Jako żonaty mężczyzna Jim stanowił terytorium zakazane, ale to tylko zwiększało jego atrakcyjność i niewiele dziewcząt

odstraszało. Było jasne, że Jim nie jest wcale niedostępny. Tym bardziej że Plum przypominała rozdepty, brzydki, ponury balon. Miała to, na co zasłużyła.

Czterokilowy chłopiec miał długie nogi taty. Popatrzył na matkę i otworzył małe usteczka do krzyku. Uciszył się, gdy pielęgniarka przysunęła jego główkę do matczynej piersi. Natychmiast zamknął wargi na sutce. Kiedy zaczął ssać, Plum zdumiała się siłą i determinacją, tkwiącymi w tej drobince, będącej na świecie zaledwie od kilku minut. A gdy jedna miniaturowa dłoń, z absolutnie doskonałymi, delikatniejszymi niż u lalki paznokietkami, przylgnęła do jej piersi, młoda mama poczuła, że zaraz eksploduje z radości. Właśnie poznała swego syna i od pierwszej chwili zaakceptowali siebie, obdarzyli wzajemnym zaufaniem, pokochali się. Paradoksalnie, dopiero gdy Toby opuścił jej ciało, poczuła łączącą ich ścisłą więź.

Od samego początku stało się jasne, że Jim wręcz ucieka z domu. Atmosfera przy Mafeking Road stała się jeszcze bardziej napięta, gdy Plum zaczęły odwiedzać jej przyjaciółki. Za ich plecami Jim nazywał Jenny „Miss polowania na mężczyzn”, a Lulu „Tą ze słowną biegunką”.

Jenny była teraz na drugim roku, po zdobyciu nagrody dla najlepszego studenta pierwszego roku i utracie dziewictwa z profesorem historii sztuki. Natomiast Lulu triumfalnie wkroczyła na pierwszy rok, dokonując wyczynu, który długo nie miał być zapomniany. W cielistym kostiumie, przebrana za nagą Lady Godiva, wjechała do college'u po szerokich schodach, dosiadając śnieżnobiałego rumaka. Problemy zaczęły się, gdy przerażony koń stanowczo odmówił zejścia schodami w dół z powrotem na ulicę. Trzeba było wzywać strażaków z linami i tresera koni z Petersfield. Zjawił się też lokalny przedstawiciel RSPCA, Królewskiego Towarzystwa Obrony Praw Zwierząt.

Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia 1972 roku Lulu i Jenny spędziły całe niedzielne popołudnie bawiąc się Tobym - żywą lalką. Kiedy wychodziły, Jim trzasnął za nimi drzwiami, informując podniesionym głosem, że w przyszłości będzie wychodził z domu, gdy one będą przekraczać próg.

- Myślisz, że mogę tu wytrzymać? Wszędzie ich pełno! I ten ich idiotyczny chichot!

- Przynajmniej dotrzymują mi towarzystwa! - krzyknęła Plum. - Mnie nie przeszkadzają twoi znajomi, nawet ta kurewka, wydzwanająca po nocy.

Plum nie ośmieliłaby się głośno awanturować w obecności ojca, ale tego wieczora byli sami w domu. Mogła więc krzyczeć do woli.

- Mówisz o Jilly Thompson? - Na twarzy Jima wykwitł głupawy uśmieszek. - Jest z pierwszego roku, jak twoja gadatliwa przyjaciółeczka Lulu. Pomaga mi organizować manifestację przeciw rządowym cięciom w budżecie w nakładach przeznaczonych na kulturę. Oczywiście, szaleje za mną. Jesteś zazdrosna?

Zachwycony, że w końcu udało mu się sprowokować Plum do kłótni, poczuł nagły przypływ pożądania. Otoczywszy ją w tali ramieniem, przyciągnął do siebie. Wiedział, że są w domu sami. Rzucił dziewczynę na ulubiony fotel jej ojca, zdarł z niej sweter i opadł na nagie od pasa w górę, migdałowobiałe ciało żony. Od miesięcy nie był tak podniecony.

Zaczął gryźć jej piersi, gdy nagle w dziecięcym pokoju rozległ się dziki ryk, po którym nastąpiła cała seria mrożących krew w żyłach wrzasków.

- Chyba nie jest znowu głodny... - wymamrotała Plum. Chcąc nie chcąc, uwolniła się z mężowskiego uścisku. Półnaga rzuciła się w kierunku dziecięcego pokoju i... w przedpokoju wpadła na ojca. Z powodu ulewnego deszczu mecz piłkarski został odłożony na inny termin. Wskutek miłosnego napadu Jima nie usłyszeli klucza w zamku.

Następnego dnia Plum zaczęła wypytywać Lulu o Jilly Thompson. Przyjaciółka wyglądała na podenerwowaną, wydusiła jednak z siebie odpowiedź:

- Co mam ci powiedzieć? Wygląda jak każda niechłujna, długowłosa studentka pierwszego roku, jedna z tych nawiedzonych lewicówek wykorzystujących każdą okazję, by protestować w imieniu robotników, ale nigdy nie plamiących sobie rączek własną pracą.

- Dobrze, ale czy jest ładna?

- Skądże - uspokajała Lulu. - Bładożółta twarz, wyłupiaste oczy, długie czarne włosy, typowe dla wiedźmy. Nie masz czym się martwić.

Jim jeszcze silniej zaangażował się w politykę wewnątrz college'u. Ostrzył sobie zęby na fotel przewodniczącego Związku Studentów, ale przegrał wybory. Doznał przykrego zawodu i wpadł w furię. Nowy przewodniczący był pełnym temperamentu rebeliantem, który pomiałał studentami przy byle okazji, wyzywając ich od dupków. Ubóstwiali go za to. Jim nie miał zamiaru wchodzić z nim w konflikt, broniąc własnych przekonań. Owszem, był żądny sukcesu, ale nie miał zamiaru podejmować ryzyka, by go odnieść.

We wrześniu 1973 roku Jim ukończył studia w college'u. Wyjechał do Londynu, gdzie miał odbyć dwuletni kurs podyplomowy w Royal College of Art. Zamierzał każdy weekend spędzać w domu, od którego dzieliło go tylko półtorej godziny drogi. Sam pokrzyżował sobie te plany, natychmiast angażując się w serię studenckich manifestacji, wywołanych śmiercią prezydenta Allende, pierwszego na świecie marksisty wybranego w demokratycznych wyborach na głowę państwa. Niestety, w Chile doszło do wojskowego zamachu stanu i Jim rzadko zaglądał do Portsmouth.

Małżeństwo Jima i Plum z wolna zaczęło walić się w gruzy. Pan Phillips przestał traktować zięcia przyjaźnie. Pani Phillips, pozostając wierną zasadom

swego pokolenia, wobec nieszczęścia zachowywała się jak struś - chowała głowę w piasek. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, myślała. Konsekwencją determinacji w wyszukiwaniu pozytywnych aspektów każdej życiowej klęski było zamykanie oczu na kłopoty, wątpliwości i lęki tych, których kochała. Nie chciała zrozumieć; nie przyszło jej do głowy, że mogłaby pomóc.

Pani Phillips broniła Jima mówiąc, że jest podobny do bohaterów Clinta Eastwooda, że jest typem samotnika, który w gospodarstwie domowym czuje się skrępowany. Do życia potrzebuje otwartych przestrzeni. Wmawiała sobie, że dobrze, iż Plum jest zajęta opieką nad dzieckiem. Zwłaszcza teraz, gdy Jim przebywa w Londynie. Szkoda tylko, że w każdej wolnej chwili znika w garażu. Niepotrzebnie zwraca sobie głowę tymi obrazami. Jest już dojrzałą kobietą i powinna zapomnieć o dziecięcych zabawach.

*

W Wigilię Bożego Narodzenia, gdy leżeli obok siebie smakując opadające napięcie po miłosnym akcie, Plum wyjąkała, że znowu jest w ciąży. Jim gwałtownie usiadł i zapalił światło.

- Przecież zawsze do środka wkładałaś tę rzecz!
- Widocznie krążek nie jest absolutnie pewnym środkiem.
- Widocznie nie jest. Spodziewam się, że chcesz je zatrzymać, inaczej nie mówiłabyś mi...

- Nie uważasz, że byłoby miło? Naszemu maluchowi przyda się rodzeństwo.

Jim położył się na posłaniu, a potem odwrócił się do żony plecami.

Zastanawiał się przez chwilę i burknął:

- Może będzie miło.

Chciał ją urazić. I udało mu się.

Zawiedziona, zgasiła nocną lampkę.

Na zabawę sylwestrową poszli, jak zwykle, do Hampshire Art College.

- Co się dzieje z Lulu? - Jenny siedziała po drugiej stronie stolika i Plum musiała przekrzykiwać hałaśliwe popisy Brenta Forda i towarzyszącego mu zespołu Nylonowe Pończochy. - Wysławia się, jakby ktoś przyłożył jej w głowę czymś bardzo ciężkim. Chyba nie dokończyła żadnego zdania. Co sekundę gubiła wątek, tak, że nie sposób było zrozumieć, o co jej chodzi. A przecież nie wypiła nawet jednego kieliszka wina.

Jenny kiwnęła znacząco głową, wskazując na toaletę. Kiedy już tam doszły, rzeczowym tonem powiedziała:

- Lulu bierze narkotyki. Jej koleżanka z tej snobistycznej szkółki jeździeckiej przedstawiła ją w Londynie jakimś Nigeryjczykom przemycającym towar pod płaszczykiem immunitetu dyplomatycznego. Zabrali dziewczyny do najlepszych w Londynie dyskotek, a potem naćpane wsadzili w pociąg do Portsmouth.

- Ale rodzice Lulu...

- Oni nic nie wiedzą. Myślą, że dziwne zachowanie Lulu to połączenie jej normalnego samopoczucia z ekscentrycznością typową dla studentki sztuk pięknych. Ale nawet nie wiadomo, czy ona dalej będzie studiować. Przyjęli ją na drugi rok warunkowo.

- Dlaczego ona to robi?

- Twierdzi, że czuje się wspaniale, narkotyki dają jej pewność siebie. Noc na tańcach w „Annaber pozwala jej zapomnieć, że jest grubą dziewczyną z prowincji.

- Przecież Lulu nie jest gruba! - zaprotestowała Plum.

- Ona myśli, że jest. Uważa, że powinna mieć w talii tyle co ty. Nie powinienam zwracać ci głowy, jesteś przecież w ciąży, ale proszę cię, spróbuj wbić jej do głowy trochę rozsądku. Może tobie się uda?

Plum spróbowała i nie udało jej się. Lulu zachowywała się wyzywająco. Według niej nie było to nic poważnego, w każdej chwili mogła przestać brać. Nie brała nic ciężkiego, żadnej heroiny. Na koniec stwierdziła, że teraz biorą wszyscy, więc niech Plum się odczepi.

Dwa miesiące później, w kwietniu, wychowawca wziął Lulu na stronę i rzekł:

- Wiemy, że nadal bierzesz narkotyki.

- I co z tego? Radzę sobie.

- To jak wytłumaczysz fakt, że najlepsza studentka na roku wykonuje teraz zaledwie mierne prace? - zapytał ze złością pan Davis. - Jeśli się nie pozbierasz, będziesz musiała odejść.

W maju Lulu została zawieszona. Pograżeni w rozpacz rodzice posłali ją do drogiej kliniki.

- Uzależnienie jest jak choroba - tłumaczyła mama Lulu w rozmowie z Plum.

- Nie winiłabyś jej za złapanie odry, prawda? Ona nie chciała, aby tak się stało.

Max urodził się 10 czerwca 1974 roku. Był wcześniakiem, poród odbywał się w wielkim pośpiechu na szpitalnym korytarzu dwa tygodnie przed terminem. Matka Jima nie doczekała narodzin kolejnego wnuka. Zabrakło jej jednego dnia. Kupując plastry na odciski w sklepie chemicznym Bootsa nagle przewróciła się i zmarła na miejscu.

- Przynajmniej nie cierpiała - powiedziała pani Phillips do męża.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

*

W sierpniu Lulu była już po kuracji - oczyszczona ze śladów nałogu, ale na samym dnie psychicznej depresji. Na krok nie ruszała się z pokoju i prawie nie jadła. Nie potrafiła zmusić się do jedzenia; była teraz chorobliwie wychudzona.

Plum odwiedzała ją tak często, jak tylko mogła, pchając obydwu synów w jednym wózku. Niestety, Max nie wytrzymał długo bez płaczu, a Toby wymagał bezustannego dozoru. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, by włożył swoje drobne paluszki do gniazdka z prądem elektrycznym. Dwójka takich urwisów to było aż nadto dla napiętych nerwów Lulu.

Jenny także starała się pomóc przyjaciółce. Malowała w studiu Lulu, chcąc zachęcić ją do powrotu do pracy. Wysiłki okazywały się bezskuteczne. Lulu nie miała ochoty malować; to tylko odnawiało bolesne wspomnienia terapii w klinice. Jenny była cierpliwa i wyrozumiała, do momentu, gdy usłyszała:

- Dlaczego uparła się być taka współczująca? Nie widzisz, że chcę zostać sama?

A potem, ku ogólnemu zaskoczeniu, Lulu zaczęła chodzić z porządnym chłopakiem. Mo był studentem architektury. Pełen rezerwy, mało mówny, skoncentrowany na nauce, skutecznie izolował się od wszelkich studenckich grup: nie pił i nie palił, oszczędzał każdy grosz na książki. Mo pilnował, by Lulu nie opuściła ani jednego spotkania u Anonimowych Narkomanów. Ich związek, oparty na obopólnym zaufaniu, wyglądał na poważną więź. Rodzice dziewczyny, słuchając grzmiących taktów symfonii Beethovena dochodzących z poddasza, gdzie Lulu malowała jeden portret Mo za drugim, bali się, że wszystko to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Mo ciężko pracował, przymuszając Lulu do wysiłku w wydobywaniu się na powierzchnię. I nic jej nie mówiąc, przekonywał profesora, by użył swojego autorytetu i pomógł Lulu wrócić na drugi rok studiów.

Pod koniec tego roku Toby złapał szkarlatynę. Tuż przed końcem jego kwarantanny Maxowi raptownie podskoczyła temperatura. Nim udało się go wykurować z jednej przypadłości, obaj chłopcy zapadli na wietrzną ospę, po której dopadła ich odra. Lekarz sarkastycznie zauważył, że ich matce należą się gratulacje: chłopcy jednym ciągiem złapali wszystkie ciężkie choroby.

Pani Phillips była skłonna dołączyć się do tych gratulacji. Przynajmniej będą mieli to już za sobą. Raz, a dobrze. Niepokoilią się jednak o zdrowie córki; pewnego zimnego majowego popołudnia, gdy dzieci zasnęły, zaniosiła Plum filiżankę herbaty.

- Może też byś się zdrzemnęła? - zasugerowała.

Córka odparła ziewając:

- To jedyny spokojny moment w całym dniu. Muszę zrobić przynajmniej jeden szkic. Tym razem narysuję ciebie, dobrze? - Podniosła szkiełko i szybkimi, precyzyjnymi ruchami nakreśliła portret matki siedzącej w fotelu przy kominku.

- Jedna strona dziennie - przykazał profesor Davis, gdy opuszczała college. - Niech będzie to nawykiem, jak jedzenie śniadania. Jeśli zauważysz, że zabraknie czasu na szkicowanie, zrób to zamiast śniadania. Codzienne sporządzanie szkiców pozwoli ci utrzymać ostrość spojrzenia, obojętne, czy będziesz malować czy nie.

W następnym miesiącu Jim ukończył kurs grafiki i wpadł w furie, ponieważ okazało się, że nie może znaleźć pracy. Biuro projektowe „Pentagram” nie błagało go, by dołączył do ich grupy, Wolff Olins nie otwierał przed nim drzwi na oścież. Żadna mniej znacząca firma też o niego nie zabiegała. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że świeżo upieczeni absolwenci Royal College posiadają bardzo skąpe doświadczenie, a na dodatek są bezgranicznie arogancy. A Jim? Był na tyle utalentowany, by dostać się do college'u, lecz jego prace nie były na tyle oryginalne, by zdecydowanie wyróżniać się na tle pozostałych. On sam zdawał się tego nie dostrzegać. Narastało w nim zgorzknienie i uraza do niewrażliwego, wrogiego świata.

I tak po dwóch beztróskich latach spędzonych w Londynie dwudziesto- pięcioletni Jim ponownie znalazł się w Portsmouth, pośród swoich bliskich, przy których się dusił. Tu nareszcie znalazł winnego: żonę.

Frustrację częściowo rozładował podczas manifestacji przeciw militarystyce w Portugalii, gdzie próbowano zmienić konstytucję i dać władzę siłom zbrojnym.

Ale manifestacje nie odbywały się codziennie, toteż Jim musiał poszukać lepszego piorunochronu dla swoich humorów i poczucia bezsilności. Plum znajdowała się najbliżej i ponieważ głośno nie protestowała, stała się celem jego prześmiewczych napadów. Serwowane przezeń okrutne dowcipy dorównywały ostrością dentystrycznym wiertłom, sięgającym najczulszych, najlepiej unerwionych miejsc.

Plum była najwygodniejszym celem złośliwych kpin, ale w obecności teściów Jim hamował swoje zapędy. Kiedy zostawali sami, poddawał krytyce intelekt żony i jej brak towarzyskiej swobody, twierdził, że ubiera się bez gustu, nie potrafi opiekować się dziećmi i jest do niczego w łóżku. Plum zdawała sobie sprawę, że podłożem męzkowskich złośliwości jest odczuwana przez niego utrata własnej wartości i wolności. Nie zmieniało to faktu, iż takie zachowanie wbijało się między nich klinem, niszcząc ostatnie łączące ich więzi.

Jedynym obszarem, na który Jim nie odważył się wkroczyć ze swoimi kpinami, był niewątpliwie, twórczy talent Plum. Doskonale wiedział, że nie

może się z nim równać. Podświadomie wierzył, że zawsze będzie gorszy od własnej żony. To przekonanie okazało się ukrytą pod powierzchnią codzienności górą lodową, o którą rozbiło się ich małżeństwo.

Plum i Jim znali się teraz na tyle dobrze, że bez zastanowienia znajdowali słowa, które najcelniej i najgłębiej raniły. Bezbłędnie trafiali na odpowiednie struny, gdy chcieli sprowokować gwałtowną reakcję partnera. Mistrzowsko opanowali gniewne spojrzenia, oskarżycielski ton, gesty męczenników. Awantury wybuchały z byle powodu, a katastroficznemu łańcuchowi akcji i reakcji przybywało ogniw, aż taka sytuacja zakrzepla w codziennej rutynie. W ostatniej fazie dokuczali sobie, nawet tego nie dostrzegając.

Plum borykała się ze zmęczeniem przytłoczona obowiązkami związanymi z opieką nad dziećmi. Unikala Jima, a wolny czas, jaki potrafiła wygospodarować, spędzała w garażu, gdzie zawsze było albo za zimno, albo za duszno. Jednak niełatwo przychodziło skoncentrować się na malowaniu. Dzieci wymagały bezustannego doглядania i zawsze znalazło się coś, co odciągało jej uwagę. Beznamiętny kierat prac domowych niemal wpędzał ją w obłęd: robota nie miała końca i nie czekała ją za nią żadna nagroda; tu nie można było otrzymać awansu czy podwyżki. Wszelkie skargi, że nie jest doceniana, kwitowano uwagą, iż zbliża się jej miesięczka.

Plum coraz trudniej przychodziło dopasowywanie się do wizerunku doskonałej żony i matki. Rozbijała się po domu towarowym, jakby prowadziła czołg, a nie dziecięcy wózek. Docierało do niej, że coś jest nie w porządku - ale co? W zamkniętym już rozdziale życia była zawsze milcząco posłuszną, pełniła rolę popychadła, zarówno w domu, jak i w szkole. Na mniej więcej sześć sekund przeobraziła się w głupiotkę, frywolną nastolatkę. Nie żałowała, że związała sobie życie dziećmi. Trafiły się przypadkiem, ale nie były pomyłką. Pragnęła mieć dzieci, choć może nie tak wcześnie. I właśnie tu czegoś nie rozumiała. Miała wszystko, czego pragnie każda dziewczyna: przystojnego męża i dwójkę przepięknych, ukochanych dzieci. Była zmieszana i zawstydzona, że to jej nie wystarcza.

Próbowała rozmawiać o tej cichej, nieuzasadnionej tęsknocie za czymś nieokreślonym z matką, lecz pani Phillips jak ognia bała się dyskusji o uczuciach. Z obowiązku zdobyła się na diagnozę, nacechowaną typowo kobiecą tendencją do racjonalizowania czynników wywołujących depresję - zawsze tak było, jest i będzie, że małe dzieci przyprowadzają rodziców o ból głowy. Jim zmieni się, gdy dostanie pracę. Znowu usiłowała szukać pozytywnych aspektów. A potem zabrała córkę do lekarza, który przepisał preparat z żelazem wzmacniający nerwy.

Na jesieni 1975 roku Plum czuła wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, że prawie niedostrzegalnie, a jednak kropla po kropli, życie przecieka jej przez palce. Była w pułapce. Uczucie to pogłębiało się, gdy myślni towarzyszyła Lulu, entuzjastycznie rozpoczynającej studia na trzecim roku college'u, oraz Jenny, która

wyrwała się z Portsmouth i korzystając z nieograniczonej swobody mieszkała teraz w Londynie przy ulicy Westbourne Grove, w brudnym, nędznym pokoiku w suterenie. Plum i Lulu były zaskoczone, gdy dowiedziały się o przyjęciu Jenny do Akademii Slade (jakkolwiek nigdy nie przyznałyby się do takiej nieojalności), ponieważ obie uważały alegoryczny styl koleżanki, oparty na sekwencjach zaczerpniętych ze snów i fantazji, za statyczny, monotony, manieryczny i wtórny. Każdy, kto próbował prac alegorycznych, był wyśmiewany przez innych studentów, gardzących wszystkim, co nie było na fali najświeższej mody.

Lulu na nowo przywykła do komplementów, wynoszących jej talent pod niebiosa, a wygłaszanych przez tych, którzy chcieli zahamować nierozważne jego trwonienie. Nie była jednak zadowolona. Frustrująco wpływała na nią świadomość, że jest tylko studentką jakiegoś prowincjonalnego college'u, podczas gdy Jenny znalazła się w jednej z najlepszych londyńskich szkół. Depresję pogłębiał fakt, że Mo dostał się do Architectural Association School i także przeprowadził się do Londynu. Po spokojnych sprzeczkach z Plum i kłótniach z nauczycielami oraz rodzicami, obawiającymi się, że córka ponownie sięgnie po narkotyki, Lulu rzuciła studia w środku trzeciego roku, aby dołączyć do swego chłopca.

Nad łóżkiem Mo wisiała reprodukcja obrazu Malewicza *Projekt bazy pilotów* z 1924 roku. Obok miała swoje honorowe miejsce przypięta pinezkami fotografia spiralnego modelu pomnika, wykonanego przez Tatlina na cześć Trzeciej Międzynarodówki i niesionego ulicami Leningradu w 1926 roku. Pod tymi symbolami triumfalnych sukcesów Mo i Lulu kochali się, planowali, w jakich zebrań będą wspólnie uczestniczyć, zabawiali się spierając, co stanowi lepsze rozwiązanie problemów mieszkaniowych świata: geodezyjne kopuły Bucky Fullera czy plastikowe jurty wytwarzane z surowców wtórnych.

Po kilku zwariowanych tygodniach, kiedy kładła się spać bladym świtem i wstawała w południe, Lulu podjęła próbę dostania się do jednego z londyńskich college'ów, ale w tym roku było na to już zdecydowanie za późno - brak wolnych miejsc... Ale też nie starała się za bardzo. Wiedziała, że aby gdziekolwiek ją przyjęto, potrzebna jest rekomendacja z Hampshire Art College, a na taki dokument nie miała prawa liczyć.

Widząc, jak jej dwie przyjaciółki zrezygnowały z nauki, Jenny włożyła klapki na oczy i stwierdziła, że przypadek Plum i Lulu niezbitnie dowodzi, dlaczego Szekspir nie mógł być kobietą. Tak więc Jenny gorączkowo pracowała nad swoimi reprezentacyjnymi, wymuskanymi w każdym szczególe obrazami i ślubowała, że nie pozwoli mężczyznom odciągnąć się od malowania. Jim powiedział kiedyś do Plum wyjątkowo cierpkim tonem, że Jenny nie będzie miała okazji złamać swoich ślubów. Każdy chłopak widział, jak się na niego napala, a mężczyźni nie chcą robić za zwierzynek. To oni są myśliwymi tropiącymi wymykający się łup i to im ma przypaść w udziale uczucie triumfu, gdy polowanie dobiega szczęśliwego końca.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1975 roku, po sześciu miesiącach bezrobocia Jim nieoczekiwanie otrzymał propozycję z Hampshire Art College. Mógł zaczynać od przyszłego miesiąca. Z powodu choroby pracownika pojawił się wakat na wydziale, na którym studiował. Jim był w siódmym niebie. Już wyobrażał sobie, jak zwiększa swoją atrakcyjność, dodając do dawnej popularności autorytet pracownika naukowego.

Tego samego dnia Plum otworzyła kopertę, by poznać zdumiewającą i radosną nowinę: wygrała konkurs na najbardziej obiecującego artystę południowej Anglii. Do dyplomu załączono czek na tysiąc funtów. Po raz pierwszy wzięła udział w jakimś konkursie i sądziła, że ma równie duże szanse na wygraną, jak jej ojciec w loterii narodowej.

Czek publicznie zaprezentowano na ceremonii w Portsmouth Civic Centre, a przewodniczący komisji odczytał uzasadnienie nagrody: „Mimo widocznych braków w umiejętnościach praktycznych młoda malarka wydaje się zarówno oryginalna i natchniona, jak i utalentowana”.

- Malowałam swój nastrój - tłumaczyła Plum zdezorientowanym rodzicom.

Barwny wzór, odmienny od jej poprzednich malowideł, przedstawiał rozwirowaną płataninę ciemnozielonych linii i plam czerni, w której zawarła całą głęboko skrywaną frustrację i gniew narastający w duszy młodej matki.

Potem odbył się uroczysty obiad w „Queen's Hotel”, na którym rolę gospodarza pełnił pan Phillips. Wieczorem, po powrocie do domu, zastali Toby'ego w pokoju na tyłach domu - był rozbawiony i ani myślał iść spać. Wynajęta niańka była już niemal u kresu wytrzymałości, a pokój wyglądał jak po przejściu cyklonu.

Plum chwyciła syna i zaniósła do łóżka. W dziecięcym łóżeczku stojącym obok leżał jego braciszek. Też nie spał, ale przynajmniej zachowywał się cicho i spokojnie. Rudowłosy Max, witający matkę uśmiechem, był wprost niewiarygodnie do niej podobny. Odziedziczył po niej wielkie hiacyntowoniebieskie oczy i różowawą karnację skóry, miał ten sam delikatny nos, tę samą łagodną linię podbródka, identyczne kości policzkowe, a włosy miały taką skłonność do skręcania się jak u elfa. Spojrzenie Maxa było pełne rezerwy i ostrożności, podczas gdy Toby spoglądał na świat śmiało, wręcz bezczelnie, zupełnie jak niegdyś jego ojciec. Teraz Jim patrzył na świat pogardliwie, jego spojrzenie utraciło spokój i pewność siebie: był zmuszony błagać i został odrzucony. Świat okazał się wrogi, a taki świat można darzyć tylko nienawiścią. Oczywiście, nie była to wina Jima. Zawsze ktoś inny był winny; zwłaszcza

londyńskich niepowodzeń na drodze do wielkiej kariery. Świat powinien przynajmniej dać mu szansę zostania gwiazdą. Jim szczerze wierzył, że zasługuje na nią. Należała mu się.

Plum pochyliła się, by pocałować Maxa na dobranoc. Jej matka weszła na palcach do dziecięcego pokoju. Wzięła córkę na stronę i szeptem powiedziała, że nie chciałyby wtrącać się w nie swoje sprawy, ale wszyscy wypili co najmniej dwa kieliszki, toteż prosi Plum, aby była ostrożna tej nocy. Nie poradziliby sobie z trzecim takim gagatkiem.

Z głębi łóżeczka Toby rzucił spojrzenie na swoją matkę. Wyglądał zupełnie jak jego ojciec, z jaśniejącymi szarymi oczami, które zdobiły długie czarne rzęsy.

- Możesz być spokojna, mamó - wyszeptła Plum w odpowiedzi i dobrze wiedziała, co mówi. Nie robili tego już od miesięcy.

*

Po południu 31 grudnia 1975 roku Toby zakradł się do zakazanej strefy, czyli do stojącego w ogrodzie garażu. Przewrócił piecyk olejowy i urządzenie natychmiast stanęło w płomieniach. Garaż doszczętnie spłonął, a te obrazy, które nie uległy spopieleniu, zostały zniszczone przez wodę ze strażackich sikawek. Plum pomyślała w pierwszej chwili, że Toby został wewnątrz garażu. Doznała szoku. Otrząsnęła się dopiero, gdy mały Max zdradził, że brat ukrywa się pod łóżkiem.

Wróciwszy do domu i dowiedziawszy się, co zaszło, Jim gwałtownie pobrał. Złapał Plum za łokieć i zaciągnął do sypialni na piętrze.

- Ty dumna dziwko! Toby mógł przez ciebie zginąć! Zamieniłaś to miejsce w jakąś pierdoloną ognistą pułapkę... Dlaczego w końcu nie przestaniesz malować? Nie masz nawet cienia szansy, by gdziekolwiek z tym się dostać! To, że wygrałaś jakiś prowincjonalny konkursik, nie robi z ciebie żadnego Leonarda da Vinci, do cholery!

- Jestem już zmęczona wypełnianiem roli twojego kozła ofiarnego - odpowiedziała krzykiem Plum. - Dłużej tego nie zniosę! Tej zazdrości, zawiści. Dlaczego to mnie winisz za swoje niepowodzenia? Kiedy wychodziłam za ciebie, nie tego się spodziewałam!

- A czego? Czego się spodziewałaś?! - wrzeszczał Jim. - Zapieszczania komplementami?

- Na pewno nie spodziewałam się samotności! Oczekiwałam wsparcia. Tymczasem jestem sabotowana przez kogoś, kto uważa, że gdyby szympansowi dać pędzel, też malowałby jak Picasso. Dlaczego nie miałabym dalej malować? Co jest złego w tym, że chcę robić coś więcej, niż tylko być matką? Czy nie wolno mi mieć własnego życia? Dlaczego wywołujesz we mnie poczucie winy?

Wyrzucając z siebie słowa, Plum nagle zdała sobie sprawę, że znalazła się

w więzieniu, z którego nie będzie ucieczki przez następne dwadzieścia lat. Przeobrazi się w jedną z tych matek, które czekają na swoje dzieci przed szkołą. Stanie się zabieganym, jednoosobowym zespołem wychowawczym, dzień w dzień pilnującym, by dzieci były czyste i nakarmione, a dziury w ich ubraniach zacerowane. Będzie zamartwiać się tym, że się spocili, przegrzali, wyziębili albo że ich zawiało. Będzie biegać z nimi do dentysty, na zabawy świąteczne, zawody sportowe i na inne imprezy, których lista nie ma końca. Teraz dopiero odkryła, jak oszukuje się młode dziewczęta: to nie małżeństwo będzie niszczyć ich osobiste życie - to dzieci są za to odpowiedzialne!

Plum spróbowała zapanować nad gniewem i z wysiłkiem zaczęła tłumaczyć Jimowi swój punkt widzenia.

- Nie będę dłużej znosił twojego egoizmu - warknął.
- Ja nie mam czasu na egoizm - zazgrzytała zębami Plum. - Więcej czasu dla siebie, niczego więcej nie chcę. Dlaczego mam czuć się winna, że myślę o własnym szczęściu?!
- Ty samolubna dziwko! W łóżku też jesteś do niczego.
- Niby skąd znasz różnicę? - odparła bez namysłu, ale prawdopodobnie Jim rzeczywiście miał okazję do porównań.

Plum nie potrafiła udawać „kociaka miesiąca”, gdyż wieczorami była tak zmęczona, że nie miała sił, by się rozebrać. Poza tym nie śpieszyło jej się do łóżka, bo seks bez zaspokojenia tylko wpędzał ją w depresję.

- Przypuszczam, że Jilly Thompson jest w tym lepsza - rzuciła złośliwie.
- Jilly z tego wyłączmy. Czego, do cholery, chciałaś od życia?
- Na pewno nie tego!

Plum niejasno wyobrażała sobie, że poślubia malarza. Malowaliby razem, znajdując wzajemne zrozumienie i szczęście w pokrewieństwie dusz. Mieliby trójkę albo czwórkę jasnowłosych dzieci, dorastających w spokojnej atmosferze wiejskiej prostoty - wszystkie nosiłyby słomkowe kapelusze i biegały wieczorami po polach kukurydzy; kukurydza zawsze byłaby dojrzała, a deszczowe chmury nigdy nie pojawiałyby się na niebie. Doskonała rodzina w komplecie zasiadałaby do olbrzymiego kuchennego stołu, wykonanego z sosnowego drewna. Wszyscy byłiby dla siebie mili; żadnego rzucania szpinakiem, żadnych nie zjedzonych resztek. Naturalnie w swojej wizji Plum była znakomitą kucharką.

- Rozwód! - wrzasnęła Jim.
- Załatwione! - warknęła Plum. Chwilę później trzasnęła drzwiami od sypialni.

Nie mogła już schować się w garażu, z którego zgłiszcz wciąż jeszcze unosił się dym. Jak burza wpadła do kuchni, a za nią jej matka. Pani Phillips, chcąc nie chcąc, słyszała niemal całą wymianę ostrych zdań, zwłaszcza słowo „rozwód”. Chwyciwszy puszkę z kawą rozpuszczalną, wyraziła swą troskę i podjęła próbę przemówienia córce do rozsądku.

Plum doskonale wiedziała, co usłyszy, więc skoncentrowała się raczej na popijaniu kawy niż na matczynym monologu.

- Dlaczego nie jesteś wdzięczna za to, co masz?... Powinnaś się cieszyć, że nie harujesz w fabryce jak ja... Powinnaś się cieszyć, że nie jest jeszcze gorzej... Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!... Masz więcej niż większość ludzi... Pomyśl o dzieciach... Sama sobie nie poradzisz... Gdybyś tylko zapomniała o tym bezsensownym malowaniu... Gdybyśmy przewidzieli, że stanie się to obsesją, nigdy nie posłalibyśmy cię do college'u... Jesteś tak uparta jak twój ojciec!

Plum odstawiła filiżankę. Czowała się bardzo zmęczona.

- Mamo, ty czegoś nie rozumiesz. Jestem malarką, nawet jeśli nie trzymam w ręce pędzla. Malowanie dominuje nad całym moim życiem. Jest powodem, dla którego podejmuję decyzje mogące wydawać się tobie dziwnymi, ekscentrycznymi albo wręcz szkodliwymi. - Patrzyła matce prosto w oczy i widziała, że nic nie wskórała. - Nie potrafię przekazać ci, jaka moc kryje się w malowaniu. To nie jest mój kaprys, ja po prostu nie mogę nie malować. To jest czymś w rodzaju wewnętrznego nakazu, jak dawanie życia: decyzje nieubłaganie zostały podjęte za nas.

Matka nerwowo drgnęła.

Plum westchnęła i spróbowała jeszcze raz.

- Mamo, bardzo bym chciała umieć ci opisać, jak kocham malowanie. Bez niego nie wyobrażam sobie życia. To pierwsza rzecz, o której myślę po otwarciu rano oczu, i ostatnia przed zaśnięciem. Cokolwiek robię, czyszczę podłogę, wycieram nos czy gotuję obiad, zawsze myślę o malowaniu. Gdybym nie mogła malować, gdyby, na przykład, Bóg nagle zdecydował, że fabrykanci farb są zarazą na ziemi, i zmiotł z jej powierzchni wszystkie farby, wpadłabym w bezdenną rozpacz, moje serce skurczyłoby się, stanęłabym twarzą do ściany i umarła. Tak więc nigdy nie prosz mnie, bym przestała malować. Nie zdołam tego uczynić.

Wypowiadając ostatnie słowa, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Jim wyszedł na sylwestrową zabawę w college'u. Nigdy z niej nie wrócił. Małżeństwo Plum rozsypało się w proch.

*

Szesnaście lat później w sali "Jockey Club" dziennikarz pochylił się nad stolikiem i z rosnącym zniecierpliwieniem powtórzył pytanie:

- Podoba się pani Nowy Jork?
- Jest wspaniała.

Co się z nią działo? Była na kacu? Czy jej monosylabiczne słownictwo rzeczywiście ogranicza się do dziesięciu słów? Sol Schweitzer zdecydował się poruszyć temat, którego miał unikać.

- Widziałem niektóre z pani obrazów - rzekł. - Przywodzą mi na myśl ten fragment z *Antoniusza i Kleopatry*, kiedy Eros usiłuje powiedzieć Antoniuszowi, że Kleopatra nie żyje, zwracając się doń tymi słowami:

*Czasem widzimy smoczy chmury kształt
mglistą postać niedźwiedzia lub lwa
Cytadelą z wieżami, wiszącą skalą,
Rozwidlone szczyty gór
albo błękitne przyłądki
Porastające drzewami...*

Twarz Plum rozjaśniła się.

- To prawda, tak właśnie czasem się to czuje...

- W jaki sposób zaczyna pani nowy obraz? Co pani wtedy myśli?

- Najczęściej odczuwam zalew nerwowej stymulacji, swobodnie przepływającej przeze mnie energii, wzbudzającej i wyolbrzymiającej emocjonalną huśtawkę nastroju - mówiła Plum, starannie dobierając słowa. - Ta nerwowa energia wytwarza w głębi mojego jestestwa dręczące, nekające pragnienie: czuję, że muszę uporządkować wewnętrzny chaos. Czuję, że coś musi być zrobione - nigdy jednak nie wiem co, dopóki nie stanę przed sztalugą.

- A potem?

Plum uśmiechnęła się.

- Potem stopniowo dociera do mnie, co powinnam uczynić. Nieświadoma, dezorganizowana, chaotyczna część mojej duszy zostaje skoncentrowana w strumień energii, który wylewa się ze mnie tak długo, aż przestaje być niespójny. Staje się ostrym, wyrazistym i nieomylnie eksplozywnym wyrażeniem moich uczuć, z własnym rytmem i równowagą. A efekt znajduje się przede mną, na płótnie.

- Co dzieje się po skończeniu pracy nad obrazem?

- Czasami towarzyszy temu uczucie, podobne do tego, jakie powstaje przy wsłuchiwaniu się w czysty, wesoły dźwięk trąbki. Radość i duma, nareszcie, stworzyłam coś naprawdę wspaniałego! Ale to uczucie szybko mija, a na jego miejsce napływa zmęczenie. Cały następny dzień powoli wychodzę z głębi fizycznego wyczerpania, aż w pewnej chwili przyłapuję się na tym, że mój umysł robi nowe szkice, notuje pewne szczegóły, zarysowuje pomysły, szuka obiektów... czyli planuje nowy obraz. I wszystko znowu się powtarza. Znowu nie mogę oderwać wzroku od sztalug.

- Jeszcze kawy, proszę pana? - zapytał kelner, błyskając srebrną tacą.

Sol Schweitzer potrząsnął głową przecząco. Oderwał plecy od oparcia i wyłączył magnetofon. Miał już to, co chciał. Plum Russell wydawała się jednocześnie dwiema różnymi osobami: pełną życia i energii malarką oraz stłumioną i pasywną kobietą. Dlaczego?

Rozdział piąty

Czwartek, 2 stycznia 1992

Była dziesiąta rano, gdy Plum i Jenny wpadły do przeszkłonej windy tuż przed zamknięciem drzwi. Sekundę później zorientowały się, że mają zaszczyt podróżować w towarzystwie współczesnej bogini, patronki wszystkich rozwiedzionych kobiet. Ukradkiem omiotły ją spojrzaniem od stóp do głów. Jej jasne włosy były splecione w warkocz i opadały spod białego filcowego kapelusza. Miała na sobie kowbojskie buty i opadające do kostek futerko z ciemnych nerek. Historia jej życia mogłaby stanowić znakomitą ilustrację dla nowoczesnej wersji bajki o Kopciuszkę, z tą różnicą, że Ivana przemieniła się w księżniczkę bez niczyjej pomocy. A teraz, jak każda praktyczna kobieta, robiła zakupy wcześniej rano, nim dom towarowy nawiedzą prawdziwe tłumy.

Plum przypomniała sobie, jak czuje się kobieta opuszczona przez męża.

Ale Ivana, gdy mąż porzucił ją dla innej, nie powiedziała ani jednego mściwego słowa. Zachowała się godnie. Wynajęła najlepszego specjalistę do kontaktów z mediami, poddała się operacji plastycznej i - jak Madonna - przybrała nową osobowość. Magiczna moc książeczki czekowej pozwoliła jej stać się młodszą wersją Brigitte Bardot. Nowy wizerunek Ivany, rozpowszechniony na całym świecie, mógł teraz posłużyć reklamie, przekonującej kobiety do kupna sportowych ubrań, bielizny, perfum, książek, poślacanych sedesów - słowem, wszystkiego. Ivana triumfalnie powróciła na pierwsze strony gazet. Miała wszystko, o czym marzyła: odpowiednio wysoką pozycję społeczną, dzieci, fantastyczną karierę zawodową, wielomilionowe alimenty, skrzynie pełne biżuterii, szafy pękające w szwach od najmodniejszych strojów, jachty, samochody i prywatne tereny do uprawiania narciarstwa lub wylegiwania się na słońcu.

Plum miała ochotę zadać jej pytanie: czy mając wszystko, czego kobieta mogłaby pragnąć, jest szczęśliwa? Domyślała się, co nastąpiłoby potem. Ivana

rzuciłaby jej spojrzenie zza błękitnych szkieł kontaktowych, skrywających piwne oczy, i odparła w jedyny możliwy sposób:

- Jasne, skarbie.

Plum nie zdążyła zweryfikować swych domysłów. Winda zatrzymała się i bogini wysiadła.

Znacznie później, gdy już złożyły zamówienie w „La Grenouille”, Plum zwróciła się do Jenny:

- Myślisz, że Ivana jest szczęśliwa?

- Spokojnie może każdemu splunąć w twarz - powiedziała przyjaciółka wesołym tonem. - Jest panią własnego losu, a nie wszystkie kobiety mogą to o sobie powiedzieć.

- Wszystkie kobiety w tym lokalu mogą to powiedzieć - zauważyła Plum, rozglądając się po restauracji. - Myślisz, że one są szczęśliwe?

Najmądrzejsze i najbardziej wpływowe damy Nowego Jorku siedziały wokoło przy stolikach, przybranych delikatnymi wiosennymi kwiatkami. Plum patrzyła na ich naciągniętą skórę twarzy, czaszki prześwitujące przez rzadkie włosy, zniszczone trwałymi ondulacjami i farbowaniem. Obserwowała, jak manifestuje się ich żelazna wola, gdyż damy bawiły się kosztownymi daniami, przekładając je z jednego miejsca na talerz w drugie. Ich wychudłe ciała mogły znieść tylko wodę mineralną. Aż trudno było uwierzyć, że te ponure szkielety mogły być najbardziej wpływowymi, niezależnymi kobietami na świecie.

- Chyba nie tak wyobrażałam sobie szczyt osobistego sukcesu - mruknęła Plum. - Wiesz, co mnie przygnębia? One wyglądają tak, jak ja się czuję. Worek z kośćmi, pusty w środku. Mam teraz wszystko, o czym marzyłam: rodzinę, sławę, pieniądze. Dlaczego nie jestem szczęśliwa? Dlaczego wciąż czuję, że coś jest nie w porządku? A najgorsze, że nie wiem, co jest nie tak.

- Może masz za dużo. - Jenny nie opuszczała wesołość. - Pewnie jesteś rozkapryszonym brzdącem. Większość kobiet nie ma czasu na zastanawianie się, czy jest szczęśliwa.

Po lunchu rozstały się. Jenny udała się na wielkie plądrowanie domu towarowego Bloomingdale'a, a Plum musiała ostatecznie zatwierdzić ubrania na wyjazd do Australii. Wioząca ją żółta taksówka z piskiem opon zatrzymała się na Siódmej Alei. Kierowca, nie znający ani jednego słowa w języku angielskim, w jakimś serbskochorwackim narzeczu wyklócał się o napiwek. Plum wręczyła mu na odczepnego kilka dodatkowych dolarów i dopiero wtedy zamki w drzwiach taksówki wypuścili ją na zewnątrz.

Anna Sui, mała, pucułowata Chinka, pod wieloma względami była bardzo podobna do Plum: nieśmiała i równie fanatycznie nastawiona do własnej pracy. Plum uwielbiała oryginalność ubrań projektowanych przez Annę - coś w rodzaju niebanalnej mieszaniny wyrafinowania z nostalgią. Niektóre

z przygotowanych przez nią kreacji można było zaliczyć do historyczno-romantycznych, inne nawiązywały w stylu do lat sześćdziesiątych i epoki dzieci-kwiatów. Znalazły się też sukienki jakby zaprojektowane dla bardzo dużej lalki Barbie oraz kostiumy przeznaczone dla kobiety interesu, skłonnej ukazać nieco swoich wdzięków. Anna wykonała także kilka kapeluszy z olbrzymim rondem, aksamitne spodnie w kolorze bursztynu i zawadiackie buty. Plum była gotowa zakochać się w cudownie teatralnych ciuszkach Anny Sui. Włożyła jeden z fantastycznych kapeluszy, którego projekt oparto na wzorze japońskiego hełmu z czasów samurajów. Zrobiła groźną minę i podziwiała siebie w lustrze. Szkoda, że nie mogła być tak wyekwipowana podczas zmagania z krytykami.

Plum zdecydowała położyć się do łóżka wcześniej. Zanim jednak zakopała się w pościeli, odsłoniła okna, by nacieszyć się czystym, rozgwieżdżonym niebem nad Nowym Jorkiem. Breeze oglądał najnowsze obrazy Dicka Smitha i na pewno nie wróci prędko.

*

Okolo jedenastej obudziła się raptownie. Pokój hotelowy był doskonale cichy, lecz nękała ją nieokreślone, złowrogie przecucie. Nieświadomie napięła wszystkie mięśnie, drżała, jak w gorączce. W ustach miała sucho, język zdawał się w nich nie mieścić. Bała się przełknąć ślinę czy odetchnąć, gdyż narobiłaby hałasu. Wystarczy, że jej serce waliło jak opętane, tak głośno, że mogłoby ją zdradzić. Z ciemności uśpionego pokoju nie dochodziły żadne dźwięki. Mimo to próbowała wyłowić jakiś najsłabszy odgłos i udało jej się. Zza uchylonych drzwi prowadzących do westybulu dobiegł ledwie słyszalny szelest. Najciszej, jak potrafiła, sięgnęła ku nocnej lampce i zapaliła światło, spodziewając się, że z mroku wystrzeli niewidzialna do tej pory dłoń i zamknie się na jej gardle lodowatym, żelaznym uściskiem.

Nic takiego się nie stało. Skąpany w świetle pokój wyglądał tak, jak wyglądać powinien. Białe wazony z narcyzami zajmowały swoje miejsca, solidne angielskie meble twardo stały na puszystym zielonym dywanie. W tym samym miejscu wisiała na ścianie gustowna rycina przedstawiająca scenę z polowania. W pokoju nie było nikogo.

Najpewniej przyśnił jej się jakiś koszmar... tylko że nie pamiętała żadnego snu.

I nagle znowu, jeszcze silniej niż przedtem, wyczuła czyjąś obecność. Była niemal pewna, że ktoś czai się w pobliżu, czekając, aż zgasi światło. Wtedy

ostrożnie wyjdzie z kryjówki, trzymając w wyprostowanych rękach napięty sznur albo kawał drutu... Skąd? Skąd wyjdzie?! Z salonu? Z łazienki? Z gabinetu? A może z małego westybulu?

Naga, drząc na całym ciele, Plum wysunęła się spod nakrycia i wstała z łóżka. Lepkimi od potu rękami zamknęła drzwi łączące sypialnię z salonem. Potem zakradła się na palcach do hallu, by sprawdzić główne drzwi. Mosiężny łańcuch był na miejscu. Żadnych powodów do niepokoju.

Wtem przypomniała sobie filmy, w których bohaterka sama zamyka się z mordercą ukrytym w pokoju. Zołądek podszedł jej do gardła.

Pobiegła z powrotem do sypialni, rzuciła się przez łóżko do telefonu. Chwyciła słuchawkę, odłożyła ją i ponownie chwyciła, wykręciła numer recepcji, zmieniła zdanie, wybrała numer obsługi hotelowej. Nikt nie odbierał. Przyszło jej do głowy, że wyszłaby na idiotkę, gdyby wezwała detektywa hotelowego tylko z powodu złego snu. Zmusiła głos do posłuszeństwa i zamówiła ciepłe mleko z miodem. Tylko szybko. Postanowiła poprosić kelnera, by sprawdził łazienkę i gabinet.

Zanim kelner się zjawił, Plum trochę się uspokoiła. Wpadała w histerię bez żadnego powodu. A jednak pomimo miłego ciepła rozlewającego się po ciele za sprawą mleka oraz zapewnień kelnera, że hotelowy system bezpieczeństwa jest niezawodny, nie mogła zasnąć. Leżała w ciemności, nadal wyraźnie wyczuwając czyjaś obecność. Ponownie zapaliła światło, sięgnęła po książkę, *Lark Rise To Candleford* - zawsze wozila ją ze sobą. Spróbowała czytać. Spokojna, pogodna atmosfera wiejskiego życia wymykała jej się, umysł nie potrafił wchłonąć znaczeń wydrukowanych słów. Nie zauważyła, że zbliża się sen... Książka powoli wysunęła się jej z dłoni i opadła na piersi...

Obudziło ją przytłumione pukanie do drzwi. Czy była to tylko wyobraźnia? Znowu powróciły dreszcze, zaschło jej w ustach, z trudem oddychała.

Pukanie powtórzyło się. Zaraz potem usłyszała znajomy głos:

- Plum, jesteś tam?

To Breeze! Po drugiej stronie zamkniętych drzwi.

Słyszając jego głos, natychmiast poczuła się bezpieczna. Wyskoczyła z łóżka, by otworzyć drzwi.

Piątek, 3 stycznia 1992

Był to jeden z tych wspaniale jasnych zimowych dni zdobionych modrym niebem, w które miasto wygląda prawdziwie romantycznie i tak czarująco jak na okładce „New Yorkera”. Przynajmniej Plum tak uważała, jadąc ulicami centrum na lunch z Leo.

Kiedy płaciła taksówkarzowi, poczuła zimne ukłucia mrozu na policzkach.

Na szczęście już za chwilę mogła wejść do oazy przyjaznego ciepła, miłych zapachów i gwaru wesołych głosów. „Odeon” był typową francuską *brasserie*, żywcem wyjętą z lat trzydziestych: można tu było zjeść niebiański posiłek, składający się z sześciu dań i suto zakrapiany najlepszymi winami albo siedzieć całymi godzinami przy filiżance kawy, przeglądając zagraniczne gazety i kolorowe pisma specjalnie sprowadzane przez właścicieli lokalu. Był czas, gdy „Odeon” nawiedzało snobistyczne towarzystwo z wyższych sfer, ale obecnie spotykało się tu regulamie malarzy, pisarzy albo maklerów Wall Street.

Leo czekał przy barze. Miał na sobie pomiętą jedwabną koszulę od Turnbulla & Assera w kolorze kości słoniowej oraz siermiężną, zamszową kurtkę od Josepha, której przydałoby się porządne czyszczenie. Zaniedbane zamszowe buty też błagały o poświęcenie im choćby kilku minut. Drogie ubrania Leo zawsze wyglądały jak nabyte w sklepie ze starzyzną.

Leo obrzucił okiem znawcy wymyślny kapelusz Plum, bladezieloną minispódniczkę i bezlitośnie długi żakiet, wszystko wykonane z tweedu.

- Ładna bluzeczka. - Dotknął kremowego materiału przy mankietach i rzekł: - Podoba mi się to zestawienie koronkowych trykotów w kolorze lawendy z purpurowymi pantoflami. Kochana, wyglądasz jak kolejne wcielenie Twiggy!

- Nigdy nie będę tak szczupła, ale można pomarzyć...

- No to za nasze marzenia. - Leo wznosił toast trójkolorowym koktajlem. - Zawsze będąc w Nowym Jorku pijam martini. To moje *vin du pays*.

- Ja wolę sok cytrynowy. A skoro mówiliśmy o marzeniach: powiedz, Leo, jakie jest twoje marzenie?

- Takie jak każdego architekta. - Do 1987 roku Leo najpierw studiował, a potem pracował jako architekt. - Zbudować własny dom w jakiejś idyllicznej, zielonej okolicy, gdzieś nad wodospadem, w samym sercu zielonego lasu. Konkretnie marzy mi się wodospad Franka Lloyda Wrighta... - Nagle pochwyił dłoń Plum i obejrzał brylant. - Skąd to masz?

- Z domu towarowego Woolwortha.

- Koniecznie musisz powiedzieć mi, w jakim dziale to sprzedają. - Leo zamówił dla Plum świeży sok cytrynowy i rzekł: - Żałuję, że tamtego wieczora nie spotkałem się z Cleo Brigstall. Słyszałem ostatnio, że gdzieś niedaleko stąd ma odlotowe mieszkanie. Mógłbym wykorzystać je do artykułu.

- Nie wydaje mi się, aby Cleo zależała na rozgłosie - ostudziła jego dziennikarskie zapędy Plum. - W Morgan Grenfell nigdy nie mieli tak dystyngowanej lokatorki. Jej roczne dochody sięgają miliona dolarów, ale nie lubi się tym afiszować.

- Miło byłoby mieć takie możliwości wyboru!

Usiedli przy stoliku, niedaleko okna. Leo zapoznawał się z jadłospisem i nie mógł odmówić sobie komentarza:

- Łosoś na dziko... Czy to oznacza, że podają go jak dzikusom w stanie surowym, czy też to, że rybka nie pochodzi z farmy hodowlanej? Co powiesz na ostrzygi, tak na rozgrzewkę?

Leo uwielbiał cieszyć się życiem, co oznaczało, że bardzo szybko pozbywał się gotówki. Upierał się, że nie jest wymagający i nie potrzebuje wiele, lecz Plum dostrzegła jego zamiłowanie do opróżniających kieszenie rozrywek. Leo znał wiele kobiet. Rzadko widywała go dwa razy z tą samą. Breeze uważał, że Leo ma naturę sępa - nigdy nie przepuści okazji podczepienia się do czyjegoś rachunku. Może tak było, ale nie umniejszało to zalet Leo: znał wiele osób na całym świecie z kręgu handlarzy dziełami sztuki, poznał niejednego dyktatora mody, a przy tym był jowialnym i pociesznym towarzyszem.

Usłyszał już, że Plum poinformowała Suzannah, iż jej holenderska martwa natura jest falsyfikatem, i podjęła się to udowodnić. Plotka o jej zakładzie z Victorem rozeszła się bardzo szybko po kablach telefonicznych.

Gdy smakowali łososia w zalewie z szampana, Plum powiedziała:

- Jeśli mnie pamięć nie myli, kilka lat temu pisałeś artykuł o fałszerzach obrazów.

Leo skinął głową.

- Miałem przyjaciółkę, która pracowała dla dużej agencji detektywistycznej.
- Zdaje się, że chciałeś wykazać, iż fałszerstwo nabrało cech charakterystycznych dla zorganizowanej przestępczości.

- Zgadza się. To teraz wielki biznes. Przeliczając na zaangażowane w ten proceder pieniądze, jest to trzeci co do wielkości problem dla wszystkich policji na świecie. Handlarze narkotykami i bronią używają rynku dzieł sztuki do prania brudnych pieniędzy. Nawet dystrykt Ginza w Tokio, najbardziej prestiżowy okręg w handlu dziełami sztuki, został zinfiltrowany przez Yakuze, japońską mafię. To takie proste!

Umoczył usta w winie i kontynuował:

- Gdybym szukał obrazu, Japonia byłaby ostatnim miejscem, które chciałbym penetrować. Obowiązuje tam tylko dwuletni okres przedawnienia, co oznacza, że miałbym tylko tyle czasu na odnalezienie go, wykazanie, że jest sfalszowany, i wytoczenie procesu. To nieprawdopodobne, by zdążyć z tym w dwa lata. Tak więc każdy kryminalista może upchnąć w japońskim banku skradzione dzieło sztuki, odczekać dwa lata, a potem bezkarnie sprzedać. W innych krajach wcale nie jest trudniej. Kanciarze przekraczają granice, nie płacąc za szmuglowane obrazy ani centa cła. Wypisują lewe listy przewozowe i bez trudu wwożą łupy.

- Ale co mają z tym wspólnego fałszerze?

- Kanciarz szybko odkrywa, z jaką złotą żyłą ma do czynienia, więc wydaje mu się logiczne, że dobry interes polega na kradzieży obrazów. Jeśli żadnego nie ma pod ręką, trzeba coś namalować.

- Czyli nic nowego - podsumowała Plum. - Durer był fałszowany już za życia, podobnie jak David Hockney.

Leo zaśmiał się.

- Według archiwów urzędów celnych między 1909 a 1951 rokiem sprowadzono do Stanów Zjednoczonych ponad dziewięć tysięcy rembrandtów. - Wzruszywszy ramionami, dodał: - Oczywiście, nie jest zbrodnią kopiować lub podrabiać znane dzieła. W szkole robi się to rutynowo, a muzea posiadają wiele takich dzieł.

Plum uśmiechnęła się.

- Breeze mówi, że przy obecnej recesji tylko te galerie nie odczuwają jej skutków, które otwarcie sprzedają kopie.

- Są jeszcze inne instytucje maczające palce w oszustwach...

Leo opowiedział, jak niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe potajemnie nakłaniały właścicieli ubezpieczonych u nich obrazów do wystawiania kopii i przechowywania oryginałów w bankowym skarbcu. Jeśli dochodziło do utraty dzieła sztuki, przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeniowego posuwali się do negocjacji ze złodziejami, nakłaniając ich - często za plecami policji - do zwrócenia łupu. Wydaje się to zupełnie zrozumiałe, bo przecież towarzystwo ubezpieczeniowe wołało zapłacić złodziejom dziesięć procent wartości obrazu niż sto procent wartości właścicielowi i posiadaczowi ubezpieczenia.

Większości europejskich muzeów nie stać na ubezpieczenia. Po kradzieży często wolą zatrzeć ślady niż przyznać się do niekompetencji. Jeśli to możliwe, podejmują próbę rozmów z włamywaczami. Jeśli nie są w stanie tego uczynić, skradzione dzieła zasilają czarny rynek. Pewne kościelne towarzystwo ubezpieczeniowe przeprowadziło badania, z których wynikało, że co cztery godziny z brytyjskich kościołów znika jeden antyk.

- Boga się nie boją! - wykrzyknęła Plum.

Leo nie podjął żartobliwego tonu.

- Niewiele z tych zrabowanych przedmiotów udaje się wytropić i odzyskać. Dodatkowym problemem w przypadku fałszerstw obrazów jest to, że przestępstwo ma szansę wyjść na jaw tylko podczas sprzedaży fałszyfikatu jako oryginału.

- I wtedy wzywa się gliny?

- Gliny mogą o niczym się nie dowiedzieć. Chciwi nabywcy nie przejmują się tym, że kupują kradzione dzieła. Na przykład, jednym z najczęściej podrabianych klejnotów jest Faberge. Jak najłatwiej opchnąć imitację? Wystarczy, że paser zwróci się do kolekcjonera słowami: „Hej, mam tu jajeczko wysadzane szlachetnymi kamieniami... ale to gorący towar... kradzione”. Kolekcjoner bez skrępowań, wręcz entuzjastycznie, połknie haczyk i kupi podróbkę, ciesząc się, że płaci tak mało.

- Chciwość oglupia ludzi.

Leo ochoczo przytaknął.

- Tuż przed pierwszą wojną światową rabusie wykorzystali lukę w systemie bezpieczeństwa i skradli z Luwru słynną *Mona Lisę*, a potem sprzedali jakiemuś Włochowi, który skwapliwie nie chwalił się transakcją. Ale złodzieje byli wyjątkowo perfidni. Jeszcze przed kradzieżą zgromadzili wiele kopii *Mony Lisy*. Nie sprzedali jednej, ale co najmniej piętnaście, i to za nie byle jakie sumy. Dwa lata później policja znalazła oryginał i zwróciła do Luwru. Nikt, kto potajemnie nabył rzekomy oryginał, nie ośmielił się poskarżyć policji. - Leo uśmiechnął się. - Posłuchaj, Plum, nie możesz pójść z tym na policję. Nie posłuchają cię.

- Dlaczego?

- To Suzannah jest właścicielką obrazu, a nie ty. - Odginał palce, wyliczając kolejne argumenty. - Właścicielka uparcie twierdzi, że nie było żadnego przestępstwa. No i nie masz nawet cienia dowodu.

- Na razie.

- Prawdopodobnie będziesz musiała zwrócić się do jakiejś międzynarodowej agencji detektywistycznej. Jules Kroll specjalizuje się w sprawach tego typu, ale jego usługi są bardzo kosztowne.

- Jak bardzo?

- Biorą tyle, co dobry prawnik. Pokaż mi takiego, co prywatnie mógłby sobie na niego pozwolić? Taka impreza kosztowałaby około tysiąca pięciuset dolarów dziennie dla każdego agenta w terenie... - Leo nakrył ręką dłoń Plum. - Nie możesz nawet myśleć o ponoszeniu takich kosztów. Zresztą, dlaczego miałabyś to robić? Ten obraz powinien cię obchodzić tyle, co zeszloroczny śnieg. A dochodzenie może okazać się niebezpieczne... Nie, Plum, mówię poważnie... Mogłabyś po lunchu zajrzeć do biura Victora i odwołać zakład.

- Jak grzeczna dziewczynka, co? Nie tym razem. Doprowadzę tę sprawę do końca.

- Zdążyłem już przekonać się, że ludzie wygadują takie rzeczy, gdy zamierzają zrobić coś cholernie głupiego. - Westchnął. - Skoro jesteś zdecydowana... Radziłbym zacząć od sprawdzenia, czy obraz nie został komuś skradziony, bo jeśli tak, jest to sprawa dla policji. W jednej chwili pozbędziesz się problemu. Zajrzyj do rejestru Trace'a.

- Co to takiego?

- Międzynarodowy miesięcznik zawierający listę zrabowanych dzieł sztuki.

- A może ktoś dysponuje także listą falsyfikatów?

- Owszem. IFAR, Międzynarodowa Fundacja do Badań Dzieł Sztuki. Mają w centrum swoje biura, ale pracują głównie dla muzeów, galerii i towarzystw ubezpieczeniowych. Może wskażą ci najlepszych w Stanach i na świecie ekspertów od holenderskich martwych natur, ale nie będą mieli ochoty udzielić ci większej pomocy.

- Dlaczego nie?

- Bo nie legitymujesz się dyplomem akademii. Bo nie stoi za tobą wielka organizacja, która byłaby w stanie zapłacić pokaźną sumę za ich konsultację.

- Chcesz powiedzieć, że będę traktowana serio, gdy będę gotowa wyłożyć za to duże pieniądze? - zapytała wojowniczo. - Nadal nie rozumiem, dlaczego policja nie miałaby się tym zająć?

- Nie jesteś ekscentryczną, starszą damą i nie jemy lunchu w powieści Agathy Christie. W prawdziwym świecie NYPD, Wydział Policji Miasta Nowy Jork, jest zajęty wyławianiem z rzeki Hudson prawdziwych ciał, ściganiem prawdziwych handlarzy narkotyków, zwalczaniem prawdziwych gangów młodzieżowych. Policja nie ma czasu na fałszerzy obrazów. Takie przestępstwa działają na nich tylko frustrująco, ponieważ za cholerę nie mogą dojść, o co w tym wszystkim chodzi. Tylko dwóch gliniarzy z NYPD myśli inaczej, ale Joe Keenan i Vincent Sabo raczej nie znajdą dla ciebie wolnej minutki.

Przerwał wywód, gdyż kelner podawał sałatkę z kałamarnicy.

- Niemal wszyscy gliniarze nie radzą sobie z przestępstwami w świecie sztuki. To kwestia pieniędzy. Ile może wydać rząd na zabezpieczenie dzieł sztuki, które ściągają do kraju turystów? Turyści nie jadą przecież do Włoch, by oglądać fabryki Fiata. W Europie turystyka jest jedną z trzech najbardziej dochodowych gałęzi gospodarki, lecz rządy wolą zaoszczędzić środki. Na pewno nie wydadzą ich na szkolenie policjantów albo celników tak, by mogli oni rozpoznawać antyki. Jeżeli oszust potrafi zwieść historyków sztuki pracujących po trzydzieści lat i zawodowych handlowców ćwiczących oko wcale nie krócej, to tym bardziej uda mu się zwieść policjanta.

- Ale może uda im się znaleźć fałszerza?

- Możliwe, ale na pewno nie byłoby to łatwe. Oni specjalizują się w zupełnie innych wykroczeniach, prawdziwych zbrodniach. Doskonale rozumieją motywy działania mordercy, mogą odpowiednio spenetrować kryminalny półświatek, ale w twoim świecie, Plum, nie potrafią się poruszać. Z równym powodzeniem mogliby próbować utrzymać wodę w złożonych dłoniach. Oni muszą widzieć czarno na białym, muszą mieć czego dotknąć, jak na przykład zwłok, i wtedy w końcu łapią, o co chodzi.

Ponownie przerwał, przyglądając się, jak kelner stawia na stole srebrny półmisek z tartym parmezanem.

- W świecie sztuki - mówił po chwili dalej - gliny nie widzą przestępstwa, nawet jak na nie patrzą, a wszystko przez to, że nie umieją odróżnić autentyku od fałszywki. Zresztą nie można od nich żądać takich umiejętności. Jednak jeśli sami nie dostrzegają żadnej różnicy, nie mogą uwierzyć, iż ktoś może mieć absolutną pewność, że dany obraz nie jest dziełem Picassa albo jakiegokolwiek innego „pędzłownika”.

- Leo, chcesz powiedzieć, że przeciętny policjant nie może służyć mi pomocą, ponieważ nie odróżni Guardiiego od Canaletta?

- Mniej więcej. Zwłaszcza w Stanach, bo to wielki kraj, a niewielu stróży prawa i porządku zna się jednocześnie na sztuce.

- Dobrze, ale skoro, przeliczając na pieniądze, jest to trzeci co do rozmiarów przestępczy proceder na świecie, FBI i Interpol muszą chyba jakoś reagować?

- W FBI znalazłabyś może jednego specjalistę, w Interpolu kilku. Znam w Londynie trzech ludzi zajmujących się przestępstwami mającymi jakiś związek ze sztuką, w Nowym Jorku dwóch i tylko jednego w Los Angeles. Wszyscy pozostali, którzy byliby użyteczni w takiej sprawie, należą do specjalnie wyszkolonej włoskiej grupy operacyjnej. Wątpię, by ruszyli się dokądś z Włoch.

- Specjalnie wyszkolona grupa? - Plum chciała wiedzieć więcej.

- Jeden człowiek na czterech jest w pewnym stopniu upośledzony, jeśli chodzi o rozpoznawanie kolorów. Szkolenie zaczyna się więc od testów. Potem uczą się malować, oceniać wiek użytych materiałów, umiejętnie korzystać z technik kopiowania, zaznajamiają się z charakterystycznymi, indywidualnymi cechami malarstwa znanych artystów, a na koniec przechodzą skrócony kurs podstaw chemii, przygotowujący do analiz pigmentu.

- Więc tak naprawdę uczą się fałszować obrazy?

- Tak. Włosi uważają, że musisz być malarzem i fałszerzem, aby rozpoznać fałszyfikat.

- Wspaniale, bo w takim razie, przy braku kompetencji ze strony policji, jestem jak najbardziej kompetentną osobą do prowadzenia śledztwa. Więc jak, pomożesz mi?

Leo spuścił wzrok.

- Raczej nie.

- Rozmawiałeś z Breeze'em? Prosił cię, byś wybił mi to z głowy? Albo przekonał, że postępuję głupio?

- To nie jest głupota, to cholera lekkomyślność! I to jest moja własna opinia.

Leo traktował Breeze'a z szacunkiem, gdyż był to jeden z jego najlepszych kontaktów. Czuł też do niego wiele sympatii. Breeze wspinał się na swoją obecną pozycję w latach osiemdziesiątych i opornie przystosowywał się do nowych warunków w latach dziewięćdziesiątych. Dlatego Leo miałby mu jeszcze bardziej utrudniać?

- Lubię Breeze'a - rzekł. - Lubię jego towarzystwo i muszę przyznać, że nie chcę wchodzić mu w drogę.

- Ja także - powiedziała Plum szybko. - Nie wypowiedzieliśmy sobie wojny.

Leo sięgnął przez stół i dotknął dłoni Plum, jakby chciał dodać jej otuchy.

- Plum, najważniejszym powodem, dla którego odmawiam ci pomocy, jest to, że szukanie tego fałszerza może okazać się koszmarnie niebezpieczne. Nikt

nie powinien zadzierać z dobrze zorganizowanymi przestępcami. Nie pozwól, by ośli upór i sprzeczką z mężem zagroziły twojemu życiu.

Przypomniała sobie panikę, w jaką wpadła poprzedniego wieczora. To był tylko wymaginowany strach, jak lęki z dzieciństwa. Nic ponadto. A Leo prawdopodobnie dużo przesadzał, mówiąc o czyhających na nią gangsterach. Miał zawodową skłonność do wyolbrzymiania pewnych spraw: był przecież pisarzem.

Wyprostowała się, dumnie podnosząc głowę. Nie pozwoli się zastraszyć, o nie! Lecz gdy sięgnęła po zawieszony na oparciu krzesła bładozielony zakiet i zarzuciła go na ramiona, mimo że w restauracji było bardzo ciepło, poczuła zimny dreszcz przebiegający po krzyżu.

Rozdział szósty

Po wyjściu z przytulnego ciepła restauracji podniosła twarz do czystego, obiecująco pogodnego nieba, błękitnego, jak na freskach we włoskich katedrach, i zdecydowała się na mały spacer. Skierowała się w stronę Wall Street, idąc przez South Street Seaport. Dzielnica ożywała w jej pamięci obraz Portsmouth - tak wiele stało tu pięknych osiemnastowiecznych budynków i małych, jednopiętrowych domów.

Zostawiła rękawiczki w taksówce, toteż przyszło jej do głowy, że mogłaby przy okazji sprawić sobie nową parę. Równym krokiem szła Zachodnim Broadwayem. Kojarzył *jej* się z przydymionymi, pokrytymi sadzą murami z czerwonej cegły, malowanymi przez Edwarda Hoppera. Przywoływał uczucia niepokoju, osamotnienia i zagubienia w wielkim mieście, które towarzyszyły jej w pierwszych dniach zamieszkiwania w Londynie.

Zaskoczyła ją niewidzialna potęga południowego wiatru, szalejącego na ulicy. Dzień był do tej pory ciepły, śnieg nawet zaczął topnieć, ale zimne powiewy ponownie zmroziły Nowy Jork. Chodniki błyskawicznie pokryły się lodem, każdy krok był niebezpieczny.

Ulicą szło, zmagając się z wichrem, zaledwie kilku przechodniów ubranych w ciężkie palta. Plum postawiła kołnierz i wcisnęła nagie dłonie głęboko w kieszenie, wspominając czasy, gdy musiała chodzić pieszo, ponieważ nie było jej stać na bilet autobusowy.

Leo zaoferował, że ją odprowadzi, lecz nie przyjęła propozycji. Chciała wykorzystać wolną chwilę i spokojnie pomyśleć o czymś, co przez lata spychała na dalszy plan. To coś sprowadzało się do pytania: dlaczego wewnątrz wciąż odczuwa dziwną, trudną do wytłumaczenia samotność? Otaczali ją przyjaciele, miała męża i dzieci, a jednak niezmiennie doświadczała tego śmiesznego uczucia, jakby gdzieś straciła część siebie, wzywającą ją,

wołającą z ukrycia, nalegającą na kontynuowanie poszukiwania. Uczucie z czasem nie słabło. Rzewna tęsknota, jak część na wół zapomnianego snu, nawiedzała ją coraz częściej, ostrzegając, że nie jest osobą kompletną.

Tylko czego jej brak? Jak nazwać tę zaginioną część? Nie wiedziała. Walcząc z wiatrem, ślizgając się w delikatnych butach, nieodpowiednich do takiego spaceru, bardzo wolno zbliżała się do Wall Street.

Na skrzyżowaniu Zachodniego Broadwayu z Chambers skręciła w lewo. Wicher był tu dużo łagodniejszy, ale nadal dawał się we znaki. Plum przyspieszyła kroku, minęła szybko kilka sklepików, w których można nabyć prażone orzeszki i gorącą kawę; neony oferowały różne usługi: brudno-pomarańczowy „Dostarczamy do domu - Jasne piwo Michelob”, bładniebieski „Wypożyczalnia smokingów”, jasnozielony "Analizy psychiki na poczekaniu".

Koło koreańskich delikatesów skręciła w zaułek, zamierzając dostać się na tyły sklepu. Ukryta za monstrialną lodówką pełną puszek piwa zsunęła z palca pierścionek z brylantem i wrzuciła do głębokiej kieszeni pałta. Przestała być celem dla rzezimieszków. A może powinna schować pierścionek do torebki? Nie, torebkę łatwo wyrwać, tylko idiotki noszą w nich coś wartościowego. Czuła się nieswojo wiedząc, że jej skarb leży luzem w kieszeni. I nagle Plum zidentyfikowała nękające ją uczucie: był to brak poczucia bezpieczeństwa. Tylko skąd to się brało?

Na następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo. Na Broadwayu wicher uderzył w jej twarz ze zdwojoną siłą. Ciął mrozem jak brzytwą, zabierając oddech. Zmusił Plum do otwarcia ust, a wtedy lodowate powietrze wtargnęło w głąb gardła, zaatakowało płuca i rozszerzało inwazję zimna na całe ciało. Niemal natychmiast zamknęła usta i przycisnęła dłoń do piersi. Chyba nigdy jeszcze nie czuła tak przenikliwego chłodu.

Niebo wciąż miało barwę rozwodnionego błękitu. Na tym tle wyjątkowo korzystnie prezentowała się spiralna wieża na budynku Woolwortha. Rzeka samochodów powoli sunęła wzdłuż krawężników. Po przeciwnej stronie ulicy kilka kobiet z torbami pełnymi zakupów skupiło się przy wylocie podziemnego systemu ogrzewania miasta. Na ławkach w niewielkim parku otaczającym ratusz siedzieli stłoczeni włóczędzy, trzęsący się z zimna przy każdym podmuchu wiatru. Kilku było już zbyt pijanych, by się trząść - puste butelki wały się im pod nogami.

„Popatrz na nich, ty biedna mała burzujko! - zbeształa siebie w myślach. - Jeszcze ci mało? Czego ty właściwie chcesz?” Miała wszystko, o czym marzy każda kobieta, a nawet znacznie więcej. Miała talent i mogła go rozwijać, w przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy nie posiadali warunków, by doskonalić uzdolnienia. Niektóre kobiety w ogóle nie zdawały sobie sprawy, jaki twórczy potencjał w nich drzemie. Ale od kiedy to malarzowi wydają się niezbędne do szczęścia sportowy samochód i basen *jacuzzi*? Jej przesycone niezdrową

ambicją życie towarzyskie było jedynie kosztownym sposobem rywalizowania ze znajomymi, sąsiadami, ze wszystkimi... Robiła to, mimo że nie cierpiała takiego zachowania u własnej matki. Nienawidziła tego zamykania się w sobie, tej destrukcyjnej, zbytkowej agresji, wynikającej z lęku przed wymyślanym złem świata.

W perspektywie wąskich uliczek South Street Seaport widziała maszty dziewiętnastowiecznych barek przycumowanych do nabrzeża. Wiekowe, zbudowane z drobnej cegły budynki dawnego targu rybnego przy Fulton Street, które kiedyś pełniły funkcje składów towarowych lub kamienic z pokojami do wynajęcia, teraz otworzyły podwoje dla eleganckich sklepów z żywnością lub szykowną odzieżą. Plum weszła do firmowego sklepu Laury Ashley. Kupiła parę różowych rękawiczek i dobrany pod kolor szalik, a potem weszła do przymierzalni, by wydobyć z kieszeni pała pierścionek z brylantem. Pomyślała, że z radością opuści to miasto. Nie będzie już musiała ukrywać biżuterii.

Po drodze, skuszona przez smakowity zapach świeżo upieczonego chleba, kupiła torbę ciastek dla chłopców. Potem przypomniała sobie, że pucowałowy Max jest na diecie, a Toby, zwariowany na punkcie zdrowej żywności, nie tknąłby niczego, co zawiera cukier. Często przyłapywała się na tym, że wciąż myśli o nich jak o dzieciach. Nic nie mogła na to poradzić, choć wiedziała, że doprowadza chłopców do szału. Zawsze myślała o nich w ten sposób i nie mogła z dnia na dzień przestać tylko dlatego, że już przeszli mutację.

Nagle zatrzymała się. Zrozumiała, na czym polega problem, skąd to uczucie braku ważnej części własnego ja. Spełniała się jako malarka, spełniała jako matka, ale wciąż nie spełniła się jako kobieta.

Kiedy po raz ostatni nie czuła się rozbita? Może gdy zaczynała wykuwać własny los, gdy rozpoczynała samodzielne życie w Londynie? Nic wtedy nie przychodziło łatwo, każdy dzień był walką o przetrwanie - ale miała synów, swoje ukochane obrazy i przyjaciółki, na których mogła polegać. Paradoksalnie miała wtedy więcej czasu na wesoły śmiech i inne codzienne drobnostki, dodające życiu uroku. Być może utrata zwyczajnej radości życia była ceną sukcesu. Być może już nigdy nie będzie w stanie cieszyć się cierpkim smakiem jabłka, naiwnymi czułością, niebem na głowę. Słońcem zachodzącym za widnokrąg.

Rozdział siódmy

Plum wysiadła z prywatnej windy w biurze Victora i stanęła przed jednym ze swoich obrazów, pikantnym od przemieszanych barw: szafranowej, cytrynowej i żółci chromowej. Napęlił człowieka radością i beztrudną. Zachowało się w nim uczucie szczęścia, którego doświadczyła w trakcie malowania. Było to tuż po tym, jak Toby zapragnął zostać dzikim lokatorem i wyprowadził się z domu, by wraz z czterema innymi studentami zamieszkać w opuszczonym budynku. Czuli wtedy, jakby nagle spadła z barków połowa dźwiganego ciężaru. Ale euforia minęła. Potem przez wiele miesięcy na palecie oraz na stoliku do mieszania farb dominowały ciemne i ponure odcienie.

Jenny próbowała ją pocieszać.

- Większość kobiet poświęca życie dzieciom, a gdy opuszczają dom, mamusia zostaje z niczym. Ty przynajmniej masz swoje obrazy.

I rzeczywiście: w malarstwie znajdowała pocieszenie.

Malując przelewała na płótno wzruszenia, obnażała swoje emocje. Wyznawała przy tym zasadę, że obraz był nieudany, jeśli dawało się go opisać słowami. Chciała dzielić się emocjami i szukała zrozumienia, ale w sposób, jakiego używa kompozytor przyodziewający swe myśli w serie odpowiednio uporządkowanych dźwięków. Z tą różnicą, że ona operowała barwami. Teraz, wchodząc do biura Victora, zastanawiała się, jak mogłaby wyrazić najświeższe uczucia przygnębienia, apatii i rozgoryczenia.

Jak zwykle, patrząc na olbrzymie płótno natychmiast zapragnęła wprowadzić poprawki. Światło było tu zupełnie inne niż w jej londyńskim studiu. W subtelnych promieniach styczniowego słońca, odbijających się od wód nowojorskiego portu, niektóre kadmowe odcienie wyglądały zbyt surowo w towarzystwie partii malowanych ochrą, natomiast fragmenty nakreślone sjeną paloną za słabo kontrastowały z resztą obrazu, wydawały się zbyt delikatne.

Sekretarka wprowadziła ją do gabinetu Victora. Plum spodziewała się znaleźć wewnątrz typowe dla hollywoodzkiego magnata, tymczasem wkroczyła raczej do małego muzeum sztuki współczesnej. Jedna ze ścian, ta od strony portu, była w całości przeszklona; na innej znajdowały się szklane półki, na których porozstawiano kolekcję obrzędowych masek z Nowej Gwinei. Na trzeciej ścianie wisiał jeszcze jeden obraz Plum, należący do serii melancholijnych kompozycji czerwieni i czerni. Za całe umeblowanie służyły trzy kanapy obite szarą flanelą, zgrupowane wokół niskiego stolika, na którym leżała cienka pomarańczowa teczka. Obok stała szklana czara wypełniona po brzegi wizytówkami Victora z wypisanymi szesnastoma prywatnymi numerami telefonów łącznie z telefonem w limuzynie i samochodowym faxem.

Wyrzała przez szklaną ścianę na zaśmiecony, szarobury obszar East River, złowieszczo cichy, nieubłaganie tchnący zimmem. Przeciwny brzeg wyglądał jak ciemna linia, nakreślona węglem drzewnym, z której wyrastały dyskretne, szarofioletowe zarysy budynków. Scena żywcem wyjęta z obrazu Moneta.

Nagle drzwi otworzyły się i pokój wypełniła ekspansywna obecność Victora Marsha.

- Czyżby wracały lata sześćdziesiąte? - spytał przyglądając się jej ubraniu.
- Co się stało z twoimi butami? Lepiej szybko je zdejmij, całe przemokły... Odeślę cię rollsem... Panno Ohrbach, proszę przygotować samochód. Będzie potrzebny za pół godziny! - Złapał Plum za dłoń z pierścionkiem. - Podoba ci się, co?

Poruszyła palcami, obserwując błękitne, zielone i złote błyski, miotane przez szlachetny kamień.

- Jest bajeczny! Czuję się, Victorze, jak gwiazda z jakiegoś starego filmu.

Victor wzruszył ramionami.

- Powiedziałem Breeze'owi, że to dobry moment na kupno. - Podeszedł do okna i zapatrzył się w odległą, lawendową smugę linii brzegowej. - Zaczęłaś już swoje... dochodzenie?

- Tak.

- Wiedziałem, że nie stchórzysz. Nawet założyłem się z Suzannah o pięć tysięcy dolarów. - Uśmiechnął się. - Ona nie przejmuje się twoją sugestią, ale ja chcę poznać prawdę. Naturalnie, udzieli ci pomocy w możliwie najszerszym zakresie, nie będę jednak niepokoić Suzannah w jej mieszkaniu. Jak wiesz, jest bardzo zapracowana.

- Ale... Victorze, ja naprawdę muszę bardzo dokładnie przebadać obraz, choćby obejrzeć go w świetle dziennym!

- Przykro mi, Plum. To nie wchodzi w grę.

Poznała po głosie Victora, że kwestia nie podlega dyskusji. Właśnie powiedziano jej, żeby trzymała się z daleka od mieszkania Marshów. „No, tak - pomyślała. - Suzannah przegrała zakład i była to kropla, która dopełniła

czary. Teraz nie pozwoli mi obejrzeć obrazu w świetle dziennym ani sprawdzić wzoru tkackiego płótna!" Każda żona człowieka profesjonalnie zajmującego się handlem obrazami wie, jak istotne jest ocenianie podejrzanego dzieła w ściśle określonych etapach. Zaczyna się od oceny wzrokowej, korzystając z nagromadzonego przez lata doświadczenia. Potem wykonuje się test szpilką, a na koniec sprawdza odwrotną stronę malowidła.

Stare obrazy mogą być malowane na drewnie, metalu lub płótnie. Jeżeli jest to płótno, należy zbadać wzór tkacki. Płótna neapolitańskie są grube i szorstkie jak płótno workowe; stare płótna weneckie mają ścieg jodelkowy. Im dalej na północ Europy położony jest kraj twórcy, tym lepsze płótno, gdyż malarze mieli dostęp do coraz doskonalszych produktów rozwijającego się przemysłu tekstylnego.

Na odwrotnej stronie obrazu często można znaleźć znak kolekcjonera -jakiś monogram albo inicjały właściciela z dodanym numerem inwentarzowym. Stare płótna mogą mieć naklejone etykiety po przebytych wystawach. Mogą też nadal mieć numer wypisany w domu aukcyjnym, przez co łatwiej przesledzić ich historię: u Sotheby'ego używa się naklejek albo wypisuje numer kredą, u Phillipsa korzysta się tylko z błękitnej kredy, natomiast Christie jest jedynym domem aukcyjnym pozostawiającym trwały ślad - dwie litery i trzy cyfry, zawierające informację o dacie sprzedaży i numerze w specjalnym rejestrze biblioteki Christiego.

Plum w jednej chwili popadła w głęboką frustrację. Żywiła nadzieję, iż odwrotna strona niepewnej martwej natury dostarczy dowodu potwierdzającego fałszerstwo. Jej zdaniem podróbka nie była aż tak dobra.

Victor podniósł ze stołu cienką pomarańczową teczkę i rzekł:

- Panna Ohrbach wykonała kopię metryki obrazu. Dodałem do tego fotokopię czeku, którym zapłaciłem, oraz list pozwalający ci zadawać w moim imieniu wszelkie pytania dotyczące obrazu. Jest coś, czego potrzebujesz oprócz tego?

- Chciałabym pojechać do Los Angeles i spotkać się z dekoratorką, która znalazła dla was tego Balthazara van der Asta. - Victor bezzwłocznie pochylił się nad stołem i wduśił przycisk przywołujący sekretarkę. Plum przypomniała sobie jeszcze jeden drobiazg. - Wspomniałeś, że jakiś pośrednik z centrum miasta ma podobny obraz. O kim mówileś?

- O Arturze Schneiderze. Ma sklep na 57 Ulicy. Zaaranżuję spotkanie z Cynthią Bly w Los Angeles. Jest zaszokowana. Powiedziała mi, że firma Maltby'ego z Bond Street ma znakomitą reputację. Powiedziała też, że nasz obraz na pewno przechodził jakieś prace renowacyjne, ale w niczym to nie ujmuje mu autentyczności. Niewiele starych obrazów może obejść się bez zabiegów konserwatorskich.

Plum kiwnęła głową na znak zrozumienia.

- Czasem trudno znaleźć granicę, gdzie kończy się praca renowacyjna, a zaczyna zwykle fałszerstwo... Niektóre prace renowacyjne mogą oznaczać namalowanie nowego obrazu w dziewięćdziesięciu procentach, lecz w przypadku waszej martwej natury na pewno tak nie było.

- Cynthia mówiła, że mogłaś mieć na myśli sytuację, w której obraz nie jest w całości malowany przez van der Asta. Może pomagali mu asystenci.

Cynthii chodziło o to, że wielu artyści, począwszy od renesansu, aby sprostać społecznemu zapotrzebowaniu, zakładali wielkie pracownie. Uczniowie często pomagali mistrzowi przy kolejnych dziełach. Zaczynali od malowania nieba. W miarę nabierania biegłości w posługiwaniu się pędzlem przechodzili do malowania elementów tła, ubrań, psów, koni, by ostatecznie osiągnąć najwyższy stopień wtajemniczenia i przystąpić do malowania ludzkiego ciała.

- Nie to miałam na myśli, Victorze.

- Cynthia miała jeszcze jeden pomysł. Może chodziło ci o to, że obraz został skopiowany jeszcze w pracowni van der Asta, natychmiast po jego namalowaniu? Podobno często tak się postępuje.

Rzeczywiście, w przeszłości praktykowano kopiowanie zaraz po zakończeniu pracy znanego malarza. Na przykład asystenci Leonarda da Vinci wykonywali czasem do czterdziestu kopii jednego obrazu. Powszechnie uznawano te kopie za dorównujące standardowi Mistrza.

Plum zaprzeczyła ruchem głowy.

- Więc wydaje ci się, że nasza martwa natura jest wierną kopią innego obrazu van der Asta, a oryginał znajduje się w jakimś muzeum?

- Podejrzewam, że jest mieszkanką elementów zapożyczonych z różnych obrazów van der Asta. A to znaczy, że został w całości namalowany przez doświadczonego fałszerza.

- W porządku. Udowodnij to.

Plum wygodnie oparła się o miękkie siedzenie kasztanowego rollsa i otworzyła pomarańczową teczkę. Idealna metryka obrazu powinna zawierać dokumenty pozwalające nabywcy dzieła prześledzić jego drogę przez wszystkie poprzednie transakcje aż do samego twórcy. Ponadto powinna być swego rodzaju kroniką, posiadać listę wystaw, na których gościł obraz, oraz wykaz publikacji książkowych zawierających informacje o dziele. Jednak bliskie ideałowi metryki należały do rzadkości. Właściciele nie zaprzęтали sobie głowy takimi sprawami.

Jeżeli metryka nie była przejrzysta, zawsze rodziły się wątpliwości co do autentyczności. Breeze prowadził szczegółowe notatki na temat każdego sprzedanego obrazu. Nakłonił Plum, by oprócz podpisu z przodu malowidła

składała na odwrocie odcisk kciuka umazanego w farbie. Podobny odcisk palca figurował też na rachunku ze sprzedaży.

Pomarańczowa teczka zawierała dwie koperty. W pierwszej była fotografia o wymiarach 25 na 20 centymetrów przedstawiająca martwą naturę w całej krasie oraz pełny opis obrazu. Oba dokumenty nosiły podpis Maltby'ego. Materiały w drugiej kopercie obejmowały skąpo udokumentowane dzieje obrazu, kopie różnych rachunków z poprzednich transakcji, ekspertyzę wypisaną po holendersku jeszcze w 1922 roku. Obraz nigdy nie był wystawiany. Gdy limuzyna skręciła w 57 Ulicę, Plum zamknęła teczkę. Metryka, jak sam obraz, mogła być sfalszowana.

Plum wysiadła z auta i zajrzała przez dyskretnie zabezpieczoną szybę do wnętrza galerii Artura Schneidera. Na tle ciemnozielonej aksamitnej zasłony stała niewielka sztaluga, a na niej holenderska martwa natura. Obraz miał około 35 centymetrów na przekątnej i przedstawiał stół z włoskiego orzecha, na którym stała waza z czasów dynastii Ming, o szerokiej krawędzi, ze ślicznym błękitnym wzorem. Wypełniały ją świeże truskawki i wiśnie. Kilka owoców leżało na stole, w sąsiedztwie liści truskawki, płatków goździka oraz pobłyskujących kropeł wody. Na jednej z truskawek przysiadła mucha plujka. Napis na małej tabliczce przypiętej obok sztalugi głosił, że obraz jest dziełem Jacoba van Hulsdoncka i powstał między 1615 a 1630 rokiem.

Plum zadzwoniła do drzwi. Po chwili stanął w nich wysoki mężczyzna w średnim wieku, w pozłacanych binoklach, zza których mierzyły ją nienaturalnie jasne, rybie oczy. Sklep przypominał salon Suzannah: pod pomalowanymi na ciemnozielony kolor ścianami stało kilka antyków, a na wysokości oczu rozmieszczono parę niewielkich obrazów, przeważnie w ozdobnych, złożonych ramach. Każdy z nich był oświetlony przez osobną lampkę.

Obrazy wręcz lśniły czystością, nawet trzy siedemnastowieczne malowidła. Jedno z nich przedstawiało łódź rybacką na wzburzonym, granatowym morzu, inne scenę w tawernie, gdzie brzuchaci wieśniacy żłopali piwo lub grali w karty, paląc długie gliniane fajki, a pozostali goście tańczyli w rytm muzyki skrzypka o wyjątkowej tuszy. Trzecie było wesołym, zimowym krajobrazem. Na zamarznętej rzece kilka postaci jeździło na łyżwach, obok stały sanki, a dalej grupa mężczyzn z kijami grała na lodzie w jakąś grę.

- Szkoła Hendricka Avercampa. Ci ludzie grają w golfa, grę wynalezioną w Niderlandach około 1300 roku, będącą załączkiem dzisiejszego golfa i hokeja na lodzie - wyjaśnił Schneider, przeciągając sylaby, jakby sepleniał.

Zauważył, że klientka przyjechała kasztanowym rolls-royce'em, więc nie miał nic przeciwko zdjęciu obrazu z wystawy w oknie. Plum powiedziała, że pomaga komuś wybrać jakiś niecodzienny prezent urodzinowy dla żony.

- Siedemnastowieczna martwa natura to bardzo niecodzienny prezent. - Pośrednik wyczuł okazję. - Z całą pewnością orientuje się pani, że był to złoty

wiek holenderskiego i flamandzkiego malarstwa. Proszę spojrzeć na tę przejrzyistość, dopracowanie najdrobniejszych szczegółów. Ileż w tym światła i pogody!

- Mam wrażenie, jakbym tę błękitno-białą wazę widziała już na innym, podobnym obrazie - zadumała się Plum. - Nie ma wątpliwości, że obraz jest namalowany przez van Hulsdoncka?

- Żadnych - odparł mężczyzna odrobinę chłodniejszym tonem. - Jestem pewien, że pani wie, jak pracowali malarze w tamtych czasach. - Oczywiście sądził, że klientka nie ma o tym zielonego pojęcia. - Każdy z nich sumiennie przechowywał szkice, które były bez końca używane przez samego artystę, jego uczniów, a czasem nawet przez jego kolegów, gdyż malarze mieli w zwyczaju wymieniać się szkicami. Takie zbiory szkiców stawały się dziedzictwem następnych pokoleń. Na pewno słyszała pani o słynnej parze tancerzy na lodzie, która po raz pierwszy pojawiła się w scenie na zamrzniętej rzece z obrazu Hendricka Avercampa, by potem wielokrotnie powracać na innych jego obrazach, a także na obrazach Barenta Avercampa i Arenta Arentsa.

- A cena?

- Proponowana cena wynosi sto osiemdziesiąt pięć - wygłosił niewzruszonym tonem Schneider. Spostrzegł, że klientka nawet nie drgnęła.

- Otwarta do negocjacji?

Pośrednik ostrożnie zrobił pauzę, jakby rozważał odpowiedź.

- W rozsądnych granicach. Czy mógłbym poznać imię szczęśliwej solenizantki?

- To żona pana Victora Marsha.

Artur Schneider zamrugał powiekami. Najwidoczniej nie czytywał regulamnie „Wall Street Journal”.

- Suzannah Marsh - dodała Plum.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się.

- Ach, farma Sunnybank? Katalog sprzedaży wysyłkowej?

Niemal wszystko, co składało się na wiejski, dekorowany kwiatami luksus Sunnybank Farm - z wyjątkiem białych perskich kotów i dwóch tępych córeczek Suzannah - można było wybrać z katalogu „Suzannah z Sunnybank Farm” i kupić za pośrednictwem poczty.

- Ten obraz znakomicie będzie pasować do atmosfery jej domu - zawołał z entuzjazmem sprzedawca. - Kiedy pani Marsh chciałaby go zobaczyć?

- To ma być niespodzianka. Pan Marsh zobaczył obraz na wystawie i poprosił mnie, bym sprawdziła jego metrykę.

Nie zamierzała zapytać Schneidera wprost, gdzie nabył obraz. Wiedziała, że nie powie. Mogła jednak zobaczyć wszystko w metryce.

Zachowanie pośrednika raptownie się zmieniło. Zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z przyjaciółką czy osobistą dekoratorką właściciela rolls-

-royce'a (nie zobaczył żadnej wizytówki, klientka nie targowała się). Najprawdopodobniej miał przed sobą tylko sekretarkę.

Ale gdy Plum drobiazgowo obejrzała malowidło, a potem je odwróciła, by przyjrzeć się przeciwnej stronie, mężczyzna był zmuszony przyznać w myślach, że jego gość zna się na rzeczy. A ten gość w pół godziny nabrał całkowitej pewności, że mały piękny obrazek Jacoba van Hulsdoncka jest falsyfikatem. Plum sądziła, iż Schneider domyśla się, że poznała się na obrazie. Jednak oboje udawali, że nikt nic nie wie.

- Spodziewam się, że... - powiedziała grzecznie - dostanę chyba...

- Oczywiście. Dziesięć procent prowizji.

- Zwykle dostaję piętnaście... - Zdawała sobie sprawę, że gdyby nie targowała się o prowizję, sprzedawca nie traktowałby jej poważnie i nie zobaczyłaby nawet skrawka kopii metryki. - Dziękuję. Czy mogłabym otrzymać kopię metryki?... Pani Russell... Apartament w hotelu „Ritz Carlton”... Tak, oczywiście, jutro panu zwrócę. Bardzo panu dziękuję...

Kiedy Schneider odwrócił się do niej plecami, by w szafce z dokumentami znaleźć metrykę obrazu, Plum ostrożnie wyjęła z torebki podręczny komplet do szycia i wydobyla igłę. Ostrze bez trudu zagłębiło się w warstwie farby.

Dziesięć minut później dowiedziała się, że Artur Schneider nabył obraz w znanym, lecz drugorzędnym, paryskim domu aukcyjnym Levi-Fontaine. Nigdy nie licytowano by tam Matisse'a, ale byłoby to dobre miejsce do wystawienia na wpół ukończonego szkicu Fantin-Latoura.

- Powinna pani wiedzieć - uprzedził mężczyzna lekkim tonem, gdy opuszczała galerię - że tym obrazem interesuje się przynajmniej jeszcze jedna osoba. Jeden z pani rodaków.

- W takim razie powinnam sprowadzić tu pana Marsha tak szybko, jak to możliwe. Czy ten rodak zajmuje się handlem obrazami?

- Odniosłem wrażenie, że przeprowadzał prywatne rozpoznanie. Rozmawiał z moim asystentem. Vernon powiedział mi, że Brytyjczyk oglądał obraz przez pół godziny i obiecał wrócić później. Nie wydaje mi się, aby był pośrednikiem. Vernon zauważyłby to.

Rozdział ósmy

Limuzyna utknęła w ulicznym korku, więc Plum zerknęła do pożyczonej od Schneidera metryki. Zapisy wyglądały dużo mizerniej niż w metryce obrazu zakupionego przez Victora. Mimo wszystko zrobi w hotelu kopię i rano zwróci dokument Schneiderowi. Leniwie zastanawiała się, czy rzeczywiście jakiś Anglik interesował się martwą naturą van Hulsdoncka, czy też handlarz wymyślił go, by dać Plum dodatkowy bodziec do szybkiego podjęcia korzystnej dla niego decyzji.

Plum rozparła się na tylnym siedzeniu, tuż za szerokimi plecami ubranego w kasztanowy mundur kierowcy, i cieszyła się ciepłym i przytulnym wnętrzem, chroniącym przed nieprzyjazną pogodą.

Błyski rzucane przez brylantowy pierścionek znowu przyciągnęły jej wzrok. Uczucie niepokoju wywietrzało z głowy. Oto miała na palcu namacalny dowód, że wbrew szyderczym uwagom Jima osiągnęła bardzo wiele.

Poniedziałek, 1 marca 1976

Dokładnie po dwóch miesiącach od pamiętnego sylwestra, gdy Jim opuścił jej życie, Plum z wahaniem odważyła się poinformować rodziców o swych dalszych planach.

Siedzieli przed kominkiem w salonie popijając herbatę. Ciche pomruki niezadowolenia, bez końca powtarzane zdanie: „nigdy nie było rozwodu w tej rodzinie” okazały się niczym wobec agresywnej napaści, której celem stała się po wygłoszeniu tych kilku prostych słów:

- Przenoszę się do Londynu.

Jeśli znajdzie pracę, kto zajmie się dziećmi? A jeżeli nie znajdzie pracy,

z czego się utrzymają? Pieniądze z nagrody kiedyś się skończą. Plum nie może być tak samolubna!

Próbowała tłumaczyć, że przecież Jim podjął pracę i będzie zmuszony przez prawo do łożenia na dzieci ze swej pensji. (Nie odkryła wtedy jeszcze, że alimenty nie wystarczają nawet na wyżywienie). Przekonywała, że w Londynie ma większe szanse na dobrze płatną pracę niż na miejscu, w Portsmouth.

Jej matka natychmiast wpadła na myśl, że przy swoim braku doświadczenia nie znajdzie nic prócz pozowania nago jakiemuś malarzynie. I zaczęła histeryzować. Dlaczego, dlaczego robi to własnym rodzicom?!

- Bo chcę rozwijać swój talent. Jimowi się udało, dlaczego ja miałabym rezygnować?

- Naprawdę chcesz ciągnąć dzieci do Londynu? Myśl o nich! - wkrzykiwała pani Phillips urażonym tonem. - Co takiego znajdziesz w Londynie, czego nie ma w Portsmouth?

- Już mówiłam. Londyn jest jednym z największych na świecie centrów kulturalnych. W Portsmouth nie osiągnę zupełnie nic, ponieważ nie sprzedam ani jednego obrazu. Proszę, wymień mi choćby jednego pośrednika w handlu dziełami sztuki działającego w naszym mieście!

- Nie wiem, co w ciebie wstąpiło! - ciskała gromy matka, przyzwyczajona do potulności córki. Dzika stanowczość Plum była dla niej czymś absolutnie niezrozumiałym. - Stałaś się kimś obcym! A wszystko przez tę obsesję na punkcie malowania! Jesteś chora, chora, słyszysz?! Nie jesteś sobą!

- Tak, mamo, kiedy maluję, przestaję być sobą, czyli taką, jaką mnie znasz. Dokładnie wiem, co robię i dlaczego to robię. A teraz wiem, że chcę przestać być sobą już na zawsze.

- Dość! Starczy tych bzdur, moja panno! - włączył się ojciec, sięgając po gazetę. - Ani słowa więcej o wyjeździe do Londynu! Wystarczająco zdenerwowałaś matkę. Czy nie czas, by dzieciom podać kolację?

Minęły dwa miesiące i pewnego słonecznego majowego ranka matka wybrała się na wyprzedaż u Handleya. Plum tymczasem pobiegła do pubu na rogu i telefonicznie wezwała taksówkę. Razem z synami zdążyła jeszcze na pociąg o 11.20 do stacji Waterloo.

Jenny znalazła dla nich dwupokojowe mieszkanie na poddaszu, ogrzewane zabytkowym piecem i wyposażone w porządnie zlew, w Kentish Town, jednej z najgorszych dzielnic północnego Londynu. Pokryte sadzą, poszczerbione i dziobate budynki były pierwotnie siedzibami dobrze prosperujących, wiktoriańskich rodzin, które wyniosły się stąd, gdy pod ich oknami zaczęto kłaść szyny nowej linii miejskiej kolejki. Teraz każdy dom zamieszkiwało wiele rodzin. Korytarze były zastawione baterią wózków i dziecięcych rowerów.

Z powodu nieprzyjemnego, dokuczliwego zapachu farb i rozpuszczalnika

oraz ogólnego bałaganu Plum malowała w mniejszym z dwóch pokoi, drugi przeznaczyła na kombinację sypialni z salonem. Toby nie miał jeszcze czterech, a Max dwóch lat. Obaj byli za mali na szkołę, a przedszkole nie wchodziło w rachubę z powodu czesnego, więc chłopcy bezustannie kręcili się pod nogami wyjąwszy porę poobiedniej drzemki. Wieczorami Plum czuła się znękana i oziębiała bardziej niż w Portsmouth. Szybko zrozumiała, że nie można być tradycyjną matką, gdy w rodzinie brakuje tradycyjnego ojca i nie zostało jej nic innego, jak przemienić się w moralistkę i przywódcę gangu w jednej osobie. A mimo to zachowywała się jak niepoprawna optymistka. Przecież w końcu udało jej się wydostać z domu. Jest w Londynie!

Lecz podobnie jak Lulu (starająca się udowodnić razem z Mo, że we dwójkę można żyć wydając tyle co jedna osoba), Plum nie otrzymała zasiłku ani nie znalazła miejsca w akademii. Ostatecznie dostała słabo płatną pracę kelnerki w nocnym lokalu. Za dnia pilnowała dziecko sąsiadki z parteru, która pracowała w tym czasie w piekarni. Odwdzięczała się pilnując Toby'ego i Maxa wieczorem. Po kilku takich wymianach Plum zgodziła się opiekować za dnia jeszcze dwójką dzieci. Ironia losu. Mieszkając w wymarzonej Londynie była bardziej uwiązana do dzieci i miała mniej czasu na malowanie.

Być może właśnie dlatego pierwsze londyńskie obrazy Plum były niemal całkowicie monochromatyczne. Czuła się obco w tym wielkim mieście. Była tylko bezimienną twarzą w tłumie, wśród mnóstwa rozpraszających myśli czynników, na gruncie sprzyjającym bujnemu wzrostowi niepokoju i depresji. Z biblioteki Camdena wypożyczyła książkę z reprodukcjami Edwarda Hoppera. Czuła pokrewieństwo z samotnymi postaciami na jego obrazach.

Pewnej październikowej nocy, gdy z mordowana wróciła z pracy, na schodach pod drzwiami znalazła Lulu. Zerwała z Mo.

- Znalazł sobie inną emocjonalną kalekę do zaspokajania swoich instynktów, godnych Armii Zbawienia - konstatowała gorzko. - Dziś rano wyrzucił mnie, a ona się wprowadziła. Nie mam dokąd pójść, nie mam pieniędzy, nie mam pracy. Byłam u Jenny, ale ona zajęła się nakłanianiem mnie do powrotu do domu. Nie zgodziła się, abym z nią zamieszkała na jakiś czas, chociaż płacił tak niski czynsz, że nawet ja mogłabym płacić połowę!

Jenny zaczęła właśnie drugi rok studiów w Akademii Slade. Nadal mieszkała w kamienicy czynszowej przy Westbourne Grove. Okna jej sutereny wychodziły na podwórze, zawałone pordezwałym żelastwem i gnijącymi starymi siennikami.

- Jenny pewnie obawiała się, że jeśli się wprowadzisz, nigdy już się nie wyprowadzisz. Możesz zostać u mnie.

Plum doskonale wiedziała, jaką determinację wykazuje Lulu, jeśli chodzi o utrzymanie się w świecie sztuki. To oznaczało, że koniecznie chciała pozostać w Londynie. Rozumiała ją.

- Dzięki - bąknęła ponuro Lulu. - A mnie się wydaje, że Jenny ma romans. Inaczej nie byłaby tak podejrzliwie skryta.

Lulu została na miesiąc. Sypiała w pokoju będącym pracownią i każdego ranka budziła się z bólem głowy. To wtedy przyrzekła sobie, że nigdy nie będzie miała dzieci: nie zniosłaby takiego domu wariatów.

Jenny znalazła dla Lulu pracę: trzy dni w tygodniu za marne grosze przemieniała się w szeregowego pracownika obsługi technicznej teatru eksperymentalnego. Inaczej mówiąc, była sprzątaczką w Round House. Jenny przysłużyła się jej jeszcze bardziej, namawiając Jima, by wypisał dla Lulu list polecający na oficjalnym papierze Hampshire Art College.

- Jak, u licha, udało ci się go przekonać? - zdumiała się Plum. - Nigdy by tego nie zrobił, gdybym to ja go poprosiła.

- To było bardzo łatwe. Bardzo kocha dzieciaki, prawda? Więc zadałam mu niewinne pytanie, czy chce, aby mieszkała z nimi ćpunka.

- Ale Lulu już nie bierze.

- Jim o tym nie wie.

- Jenny, posłuchaj, nie chcę żadnych kłopotów z kuratorem...

*

Po kilku tygodniach spędzonych w Londynie Plum czuła się zawiedziona. Do tej pory naiwnie wierzyła, że życie wreszcie ułoży się po jej myśli. Całymi dniami będzie mogła malować jak szalona, a potem, do piątej rano, będzie dyskutować przy kawie i piwie „Abbot ale”, z ubranymi w czarne swetry artystami, skrywającymi twarze za długimi brodami. Wspólnie będą zastanawiać się, jak zmienić społeczeństwo za pomocą swoich pędzli.

Nic z tego. Świat ludzi zajmujących się sztuką był w istocie skażony cynizmem i bezwzględną rywalizacją. Tylko prace studentów Royal College i Royal Academy Schools były oglądane przez właścicieli galerii pod kątem wyłowienia nowych talentów. Pozostali studenci, jeśli nie posiadali wpływowego protektora, mogli obejść się smakiem.

W wynajmowanym przez Plum pokoju na poddaszu trójka dziewcząt z prowincji wymieniała się swymi niewesołymi doświadczeniami. Wszystkie zdążyły poznać na własnej skórze działanie przygnębiającego „paragrafu 22” świata sztuki, zaznajomiły się z frustrującymi zasadami gry prowadzonej przez galerie, polegającej na tym, że nikt nawet nie rzucał okiem na portfolio, które nie otrzymało specjalnej rekomendacji. A rekomendować mogli tylko koledzy po fachu właściciela galerii. Tak więc nie można było dostać się do tego światka bez wcześniejszego w nim przebywania. Zakłęty krąg!

Studentka z prowincji, która na dodatek nie ukończyła college’u, nawet jeśli mogła pochwalić się zdobyciem nagrody w prowincjonalnym konkursie, nie

miała najmniejszych szans na zaprezentowanie swoich prac. Naturalnie było to jeszcze bardziej utrudnione w sytuacji, gdy większość tych prac zamieniła się w popiół w spalonym garażu. Plum razem z przyjaciółkami doszła do wniosku, że wobec takich układów przed kobietą otwierają się tylko dwie drogi do sukcesu. Może być traktowana poważnie, gdy będzie brzydka, przestanie dbać o siebie, będzie nosić powalane farbą kombinezony i manifestować w miejscach publicznych swoje niezadowolenie. No i powinna mieć przynajmniej trzydzieści cztery lata. Drugi sposób polega na skorzystaniu z własnych wdzięków i spaniu ze wszystkimi profesorami, znanymi osobistościami, właścicielami galerii i popularnymi malarzami, którzy nie są homoseksualistami. Tą drogą można uzyskać wystawienie swoich prac, aczkolwiek wyłącznie w jakiejś podrzędnej, położonej na uboczu galerii.

Jeśli jednak wystawia się prace, choćby w podrzędnej galerii, otrzymuje się zaproszenia na inne wystawy, co pozwala włączyć się do gry prowadzonej przez galerie. Chodzi się tu i tam, pozuje na wielką artystkę i uczy rozpoznawać dziennikarzy, którzy mają największy wpływ na opinię publiczności oraz handlowców. Ważne jest to, żeby zaczęli cię rozpoznawać, wylawiać twoją twarz z tłumu (nie muszą przecież być zainteresowani wyłącznie twoimi pracami) i pozdrawiać, choćby tylko skinieniem głowy. Żeby to osiągnąć, trzeba jak najczęściej bywać w „towarzystwie”. Trzeba też brać udział w każdym konkursie; jeżeli wygra się jakiś, można liczyć na cieplejsze pozdrowienia.

Korzystając z telefonu w Round House i udając swoją osobistą sekretarkę, Lulu obdzwoniła wszystkie galerie w Londynie. Zdecydowała się poznawać wieczorami świat artystów, podczas gdy przez cztery dni w tygodniu - wolne od pracy - uczyła się pisać na maszynie, by potem móc podejmować dorywcze prace jako sekretarka.

Na początku wszystko szło po jej myśli. Popijała wino i zjadała darmowe kanapki na każdym uroczystym otwarciu nowej wystawy, spotykała się z artystami, zawierała użyteczne znajomości. Plum nie miała takiego szczęścia. Była zbyt zmęczona, by cieszyć się życiem w Londynie. Wieczorami nie miała wolnej ani chwili, za dnia zajmowała się dziećmi. Nawet gdy w sobotę do południa opiekę nad nimi przejmowała Jenny, a od południa na kilka godzin Lulu, Plum wykorzystywała ten czas na zakupy i odwiedziny w pralni.

W sądzie toczyła się sprawa rozwodowa; dowodzono, że nastąpił trwały rozkład pożycia małżeńskiego. Jim przyjeżdżał teraz co sobotę, by zobaczyć się z synami. Czasem zaglądała także pani Phillips, ale Plum zawsze o takiej wizycie wiedziała wcześniej. Gość oglądał czyste, schludne mieszkanko, bez żadnych dodatkowych dzieci, i wdychał apetyczny zapach piekącego się ciasta drożdżowego.

Jednak pewnego sobotniego popołudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, pani Phillips przyjechała bez uprzedzenia. Celowo.

Córeczka kobiety pracującej w piekarni przejadła się czekoladą i dopiero co zwymiotowała na podłogę, dwójka innych berbeci darła się na całe gardło, a Max właśnie zamierzał solidarnie dołączyć do wrzaskliwego duetu. Plum nie miała szans dosłyszeć dzwonka u drzwi.

Matka weszła do środka, opadła na nie zaścielone łóżko i zatonąła we łzach. W przerwach między spazmami dobywała z siebie urywane zdania:

- Moje dziecko, żeby tak... w tej nędzy... Biedne dzieci... moi jedyni wnuczkowie... Wiedzieliśmy, że będziesz artystką, jak tylko wyrzeźbiłaś tego pieska, Scottie'ego... I zdobyłaś nagrodę... Ja nigdy nie miałam szansy, przerwałam naukę i poszłam do pracy w fabryce pończoch... Jim ma szansę, dlaczego ty miałabyś nie mieć?... Sheila, jeśli tak bardzo chcesz malować... Tak nie może być... Żle i dla ciebie, i dla dzieci... Mogę się nimi zajmować... Będziesz przyjeżdżać do Portsmouth w piątek wieczorem, a w poniedziałek rano wrócisz sobie do Londynu... Może uda mi się postawić ciebie na nogi.

Z pewnymi oporami Plum zgodziła się, że jeśli po dwóch latach nadal nie będzie w stanie znaleźć środków na utrzymanie, zachowa się zgodnie ze zdrowym rozsądkiem - wsiądzie w pociąg do Portsmouth, by poszukać tam odpowiedniej pracy.

Pokornie i z wdzięcznością otoczyła matkę ramionami.

- Mamo, nigdy tego nie zapomnę. Jesteś prawdziwym skarbem!
- Nie, po prostu jestem matką.

*

J im był zachwycony tym, że będzie widywał synów częściej. Po rozwodzie znowu mógł cieszyć się wolnością. Mieszkał w hotelu asystenckim, dzieląc pokój z dwoma innymi nauczycielami. Wszyscy popijali piwo prosto z puszki i nie przejmowali się bałaganem. O swojej byłej żonie Jim nie wyrażał się pochlebnie.

- Nic z niej nie będzie. Brak jej talentu. - Twarz mu tężała, zaciskał zęby. - Zdobyła nagrodę, ale to był fuks. Trafiło się ślepej kurze ziarno. Tylko w jeden sposób mogłaby zrobić karierę: rozkładając nogi. Ale w tym też nie jest dobra.

Po raz pierwszy w życiu Plum nie musiała o nikogo się troszczyć i nikt nie mówił jej, co ma robić. Tego dnia, gdy wróciła do Londynu sama, pojechała metrem z Waterloo na Trafalgar Square i cały dzień spędziła w National Gallery, będąc w stanie intensywnej ekstazy, wypływającej z poczucia niezwykłej wolności. Przyprawiające o zawrót głowy podniecenie wielką przygodą utrzymywało się aż do czasu, gdy nadeszła pora snu. Rozebrała się,

położyła do łóżka i zaczęło narastać w jej duszy nieprzyjemne dygotanie. Zimny, wędrujący po grzbiecie dreszcz, wczepiający się pazurami w głab psychiki. Z tego uczucia wykielkował lęk, by stopniowo wzrosnąć w paniczny strach: została zupełnie sama i miała to, co chciała... ale, tak naprawdę, pragnęła tylko wrócić do dzieci. Tęskniła za domem. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna.

Nie mogła spać. Ubrała się i poszła do pubu na rogu ulicy, gdzie znajdował się automat telefoniczny.

Głos Jenny podniósł ją trochę na duchu.

- Plum wszystkim nam jest trudno...

Cały tydzień zajęło jej dojście do wniosku, że dręcząca ją samotność jest tylko odwrotną stroną złotej monety zwanej wolnością. Jak każdy, wypracowała kilka sposobów odsuwania od siebie uczucia izolacji, które często opadało na nią jak lepka, zimna mgła. Jednym z nich było skontaktowanie się z Lulu, błyskawicznie przemieniającą życie w zwariowaną przygodę, albo z Jenny, zawsze cierpliwie pocieszającą, przypominającą, że uczucie osamotnienia jest częścią zmiany trybu życia, przejścia na własny rozrachunek. Z czasem minie.

- Nie możesz mieć wszystkiego. Nie wierz temu, co wypisują w pismach dla kobiet - powtarzała Jenny. - Masz tylko tę jedną szansę, by żyć tak, jak sobie wymarzyłaś. Nie wolno ci jej zmarnować.

A potem przypominała, że już za parę dni zobaczy dzieci i zatęskni do spokoju.

Jenny też nie wiodło się dobrze: zarobki ojca przekroczyły określony próg i odebrano jej stypendium. Musiała z tego powodu opuścić Slade przed ukończeniem ostatniego roku studiów. Nie ugięła się. Pracowała w pubie jako kelnerka, a wieczorami w domu towarowym układała na półkach towary - wszystko po to, by pozostać w Londynie.

W styczniu 1977 roku, po dwóch tygodniach smakowania gorzko-słodkich owoców londyńskiej swobody, Plum otrzymała ofertę pracy od obdartego, cuchnącego zwietrzałym piwem malarza w średnim wieku. Została przedstawiona Billowi Hobbsowi w galerii, podczas uroczystego otwarcia wystawy, na które zaciągnęła ją Lulu. Mylnie sądziła, że zajęcie polegające na asystowaniu artyście może stanowić namiastkę nauki w akademii sztuk pięknych. Praca była beznadziejnie monotonna i bardziej przypominała odrabianie pańszczyzny niż uczestniczenie w jakimkolwiek twórczym akcie. Gdy po trzech zimowych miesiącach spędzonych w wiecznie niedogrzejanej piwnicy została bez uprzedzenia zwolniona, przyjęła to niemal z ulgą.

Po tej przygodzie z zawodowym malarstwem chwyciła się różnych dorywczych zajęć: obsługiwała gości w kawiarni, zmywała naczynia, chodziła od drzwi do drzwi przeprowadzając tak zwane badanie rynku, czyli próbowała zamęczać ankietą ludzi, którzy właśnie mieli zamiar wygodnie usiąść przed

telewizorem. Wracła do swego mieszkania późnym wieczorem, padając z nóg. O świcie, kiedy tylko światło było wystarczająco jasne, wyskakiwała z łóżka, aby malować. Za mało czasu poświęcała na sen, a przecież organizm nie da się oszukać. Wkrótce wyniknął z tego powodu poważny problem. Musiała walczyć z ogarniającą ją sennością i często przegrywała, zwłaszcza w autobusach. Przejżdżała swój przystanek i budziła się dopiero na pętli.

*

Przez następne dwa lata życie Plum pozbawione było znaczących wydarzeń, za to po brzegi wypełnione zmęczeniem. Praca, malowanie i weekendy z dziećmi - po tym wszystkim zostawało jej niewiele wolnego czasu i energii, ale niekiedy wyrwała się z kierunku na jakąś dziką studencką zabawę, nawiązała kilka znajomości, które kończyły się na przelotnym flircie. Centrum jej londyńskiego życia towarzyskiego stanowiły pralnia i dom towarowy, gdzie jakoś nigdy nie zderzyła się wózkiem z wysokim, przystojnym kawalerem, kochającym dzieci i uwielbiającym gotować.

W ciągu tych dwóch lat Lulu weszła w rolę autorytetu w sprawach seksu.

- Nie przyszło ci do głowy, że zachowujesz się zbyt swobodnie? - wykrzyknęła Plum pewnego niedzielnego popołudnia. Miała przed chwilą sposobność dowiedzieć się o ostatnich eksperymentach przyjaciółki. Lulu stwierdziła tonem znawczyni, że dla niektórych mężczyzn należałoby rysować specjalną mapę, głośno wbijając im do łba: „Tutaj jest łechtaczka!”

- Jestem poważną badaczką spraw seksu - odparła Lulu, zdecydowana bronić swojej postawy. - Nigdy nie zawierzę mojego szczęścia jednemu mężczyźnie. Nigdy!

Wciąż bolała nad utratą Mo.

- Dlaczego kobieta bez mężczyzny nigdy nie może liczyć na szczęście? - filozofowała Jenny, rozlewając do kieliszków tanie algierskie czerwone wino.

- Dlaczego mężczyzna doskonale czuje się tylko we własnym towarzystwie, a kobiecie nigdy to nie wystarczy?

- Dlatego, że kobiety mają niskie mniemanie o sobie i wielkie oczekiwania - odparła Lulu. - Fatalna kombinacja. Nie jesteśmy dla siebie zbyt łaskawe.

*

W październiku 1978 roku Jenny wystawiła sześć obrazów w galerii „Avant Avant” przy Fulham Road. W listopadzie Lulu zorganizowała wystawienie ośmiu obrazów Plum w zapuszczonej galerii Shoestring w dzielnicy Camden Town.

Przesycone zielenią martwe natury, czarne pejzaże i ponure, bladeżółte

portrety pędzła Jenny po tygodniu prezentacji nadal nie znalazły nabywcy. Do galerii „Avant Avant” przybyła niewielka grupa studentów Hampshire Art College, by dodać otuchy debiutującej artystce. Na jej czele stał Jim.

- Nie przejmuj się - pocieszał, kładąc dłoń na ramieniu malarki. - Taka jest specyfika tego zawodu. Wszyscy artyści przymierali głodem, bo krytycy nie dostrzegli ich geniuszu. Jak dobrze to znamy! Przypomnij sobie, co Brendan Behan powiedział o krytykach: są oni niczym eunuch w haremie, chcą to robić, wiedzą, jak to robić, widzą innych, którym się udaje, ale sami nie potrafią!

Plum wspominała te słowa przez cały następny miesiąc, czekając na rezultat debiutanckiej wystawy w Shoestring Gallery. Ubrana w ściśle przylegającą do ciała, długą do kostek koszulę z aksamitu w kolorze śliwki, robiła wrażenie osoby bardzo pewnej siebie, lecz w głębi jej duszy narastało podenerwowanie. W następnym miesiącu kończył się już ten dwuletni okres, w którym dziećmi zajmowała się mama. Plum wpadła w panikę, jak Kopciuszek na odgłos pierwszych uderzeń zegara wybijającego północ.

W Shoestring Gallery, mieszczącej się przy ulicy Chalk Farm Road w Camden Town, unosił się niezbyt dyskretny zapach trocin i taniego białego wina. Wystrój wnętrza był cokolwiek ascetyczny: czarne chodniki na podłogach, czarna matowa farba na ścianach i niskim suficie, czarne lampki oświetlające obrazy. Lulu sporządziła listę zaproszonych gości. Plum nikogo z tej listy nie знаła. Nikogo też nie spodziewała się zobaczyć. Lulu upierała się, że nigdy nie wiadomo.

- Tutaj w ogóle prawie nic nie widać - powiedziała, starając się przebić wzrokiem przez piwniczny mrok. - Powinam przynieść pochodnię. - Nagle chwyciła przyjaciółkę za rękę i wykrzyknęła: - Patrz! Tam! Przy twoim największym obrazie! Ten kafar o blond włosach!

- Przystojniak - oceniła Plum. - Kto to?

- Breeze Russell! Wiesz, Russell Gallery na Cork Street. Wpisałam go na listę twoich gości i proszę! Nigdy nie wiadomo! Kim jest ta dziewczyna obok? Pani „Kotek w butach”?

Breeze podążał krok w krok za pracownicą Shoestring Gallery, platynową blondynką w butach na wysokim obcasie i czarnym, obcisłym uniformie, do której należało oprowadzanie klientów. Absolwentki wydziału sztuk pięknych Sotheby (współczesnego odpowiednika szkoły apretury), mogące pochwalić się rozległymi znajomościami, często znajdowały zatrudnienie w galeriach sztuki. Taka praca nie kolidowała z życiem towarzyskim, nie zabierała weekendów, nie ograniczała swobody. Im bardziej wyzywająco panienka wyglądała, tym lepszymi legitymowała się kontaktami w sferach towarzyskich.

Pół godziny po tym, jak Lulu zauważyła znajomego gościa, Plum stanęła z nim twarzą w twarz. Nigdy nie spotkała tak dobrze ubranego i zadbanego mężczyzny. Unosiła się wokół niego woń cytryn i aura życia w bogactwie.

Spojrzała w głąb jego błękitnych oczu - takiego błękitu jeszcze nie widziała - potem na szeroką, prostą linię ust, gładką skórę policzków. Nie mogła uwierzyć, że ten człowiek mówi do niej, i to o jej obrazach, wyraźnie nimi zainteresowany. Uśmiechał się.

- Całkiem niezłe - dosłyszała. - Abstrakcyjny ekspresjonizm nie jest obecnie popularny, ale pani prace są przejmujące. Robią wrażenie.

Nie potrafiła o niczym myśleć. Podziwiała tylko jego cudowne, doskonale uzębienie. Dostrzegł grymas na twarzy malarki i dodał:

- Proszę się nie martwić. Po siedemdziesięciu latach wszyscy przywykli już, że abstrakcjonizm jest tak samo dobrym środkiem wyrazu, jak każdy inny styl w malarstwie.

- Więc mają szansę nawet dziś?

Breeze Russell przytaknął.

- Poza tym żaden obraz nie jest całkowicie abstrakcyjny albo całkowicie realistyczny. - Jeszcze raz ołśnił ją uśmiechem. - Tylko proszę nie malować tak dużych płócien. Pokoje robią się przez to mniejsze i choć to nie lada gratka sprzedać coś bankowi lub muzeum, dopiero na ścianach u prywatnych nabywców obrazy nabierają odpowiedniej oprawy. Słyszałem, że podpisała pani trzyletni kontrakt z Shoestring...

- To jedna z ich standardowych wersji - wtrąciła Plum przeproszającym tonem.

- Jak mogłem panią przegapić? Sprawdzam wszystkie duże wystawy w londyńskich szkołach.

- Ukończyłam tylko jeden rok college'u. Jestem samoukiem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Jak to się stało, że nic o pani nie słyszałem?

Artyści często wymieniali pomiędzy sobą informacje o kolegach po fachu. Takie szeptane wieści szybko docierały do handlarzy, potem do kolekcjonerów i krytyków.

- Moje prace oglądało tylko kilkoro przyjaciół. Płótna są za wielkie, żeby obnosić je po okolicy.

- Jak mogę kontaktować się z panią?

Onieśmielona, oniemiała z przejęcia, wypisała na odwrocie broszury katalogowej numer swojego telefonu. Gość uśmiechnął się i wyszedł.

Jeszcze przed końcem miesiąca Plum sprzedała wszystkie wystawiane obrazy z wyjątkiem największego, zyskując 3000 funtów, już po odliczeniu prowizji dla galerii.

Matka zaproponowała następnym roku opieki nad wnukami, ale Plum stwierdziła, że złożyła wystarczający dowód własnej zaradności. Potrafiła zarobić na życie malowaniem, mogła ponownie mieszkać z synami. Tym bardziej że Toby spędzał w szkole cały dzień, a Max kilka porannych godzin.

Lulu była wniebowzięta, Jenny mniej. Zbyt wyraźny kontrast zarysował się między sukcesem Plum a brakiem powodzenia Jenny.

Plum nie mogła w pełni delektować się swym szczęściem, patrząc na ciężko pracującą, coraz bardziej przygnębioną przyjaciółkę. Czuliła się winna. Często powtarzała sobie, że wszystko to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. Nie zasłużyła na to. Los na pewno wystawi jej wysoki rachunek.

I wystawił. Breeze nie zatelefonował.

Młynieły trzy miesiące i w lutym 1979 roku Plum spełniła jedno ze swoich wielkich marzeń. Wspominając dziewczęce zachwyty Francją, z częścią pieniędzy pochodzących ze sprzedaży obrazów popłynęła do Bordeaux. Po całym tygodniu oglądania rozpadających się szop i niezbyt malowniczych ruin nabyła walący się domek w Valvert, małej wiosce w departamencie Lot-et-Garonne. Od strony drzwi kuchennych rosło drzewo magnolii, a od drogi dom odgradzał gąszcz wysokich rododendronów.

Pani Phillips, która nigdy nie postawiła stopy poza Anglią, nie widziała najmniejszego sensu w tym zakupie.

- Chciałam, żebyśmy mieli dom, własny dom - tłumaczyła Plum po powrocie. - W Wielkiej Brytanii nigdy nie byłoby mnie na to stać. A ten domek we Francji kosztował tylko około dwóch tysięcy funtów. Tutaj nie kupiłabym za to nawet psiej budy.

Zbliżała się Wielkanoc. Lulu pożyczyła od rodziców furgonetkę volvo. Zapakowali się do niej całą piątką (trzy przyjaciółki i dwóch chłopców Plum) i złapali w Southampton wieczorny prom do Francji.

Z zewnątrz domek w Valvert zaczął przypominać willę. Lokalny cieśla i „złota rączka”, monsieur Laforge, naprawił dach oraz wstawił nowe drzwi i okiennice. Wewnątrz warunki nadal były spartańskie, lecz rozgościli się - rozłożyli śpiwory, nie przejmując się brakiem bieżącej wody, elektryczności i mebli. Wszystko to, podobnie jak odmalowanie ścian, musiało poczekać, aż Plum będzie dysponować gotówką. Tymczasem renowację zamierzali ograniczyć do ścian w kuchni.

Południowo-Zachodnia Francja ugościła ich słońcem i czarującą atmosferą miejsca, w którym zatrzymał się czas. Wytwarzane w tym rejonie wina i wiejska żywność były rewelacyjne, a koszt utrzymania bardzo niski. We wsi szybko zaakceptowano trzy młode Angielki. Plum zaprzyjaźniła się zwłaszcza z rodziną sąsiada, monsieur Merlina, pełniącego funkcję naczelnika wsi.

Max i Toby ubóstwiali wizyty na farmie Merlina. Obserwowali, jak madame Merlin doi krowy, pomagali jej karmić kaczki, kurczaki, króliki i kozy. Pomagali dzieciom Merlina zbierać wczesne warzywa (brokuły, brukselkę,

kabaczki, marchewkę, rzodkiewki i rabarbar) i całe naręcza narcyzów z opadającego ku samej rzece sadu. Każdego wieczora goście z Anglii kąpali się w chłodnych wodach tej otoczonej cyprysami rzeki, przepływającej obok ogrodu Plum.

Monsieur Merlin widział, jak Plum pływa razem z synami. Poprosił ją, by nauczyła pływać jego czternastoletniego syna. Paul, wysoki, silnie zbudowany i nieśmiały chłopak, w dzieciństwie wypadł z łódki i niewiele brakowało, by się utopił. Od tamtego czasu lękał się wody. Dzięki cierpliwym instrukcjom Plum przezwyciężył ten strach.

Były to niemal doskonałe wakacje, niemal... Rychło okazało się, że Lulu nie jest „czysta”. Zachowywała się dziwnie, często nieobliczalnie, traciła koordynację ruchów. Plum musiała zrezygnować z jej pomocy przy malowaniu kuchni, gdyż sprzątanie po niej zabierało więcej czasu, niż to było warte. Jenny podkraśla kluczyki od volvo, a Plum przeszukała worek na odzież, należący do Lulu. Nic nie znalazła. Obie doszły do wniosku, że nie należy zostawiać Lulu samej w domu albo z dziećmi. Ostatecznie podejrzana przyznała się, iż znowu spotkała się z Nigeryjczykami. Jak Oscar Wilde - tłumaczyła - mogła się oprzeć wszystkiemu, tylko nie pokusie.

Niemal natychmiast po powrocie do Wielkiej Brytanii Lulu straciła pracę w Round House. W narkotykowym zamroczeniu otworzyła szczytowe okno budynku i rozrzuciła po okolicznych dachach papiery z biura, śpiewając przy tym *Białe Boże Narodzenie*.

Jej rodzice ponownie pogrążyli się w bólu i niepokoju. Ponownie pytali siebie, co poszło nie tak. Ojciec opłacił kolejne trzy miesiące odwyku w klinice.

W lipcu Jenny oraz Plum z chłopcami, tym razem bez Lulu, pojechali do Valvert volkswagenem pożyczonym od mamy Jenny. Tuż przed zachodem słońca znaleźli się na szczycie wzgórza nad doliną. W dole leniwie wiła się rzeka, rząd smukłych topoli stał na straży jej oliwkowych brzegów, a za nimi, po obu stronach wąskiej drogi, przycupnęły wiejskie domostwa.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Plum. - Monsieur Laforge musiał mnie źle zrozumieć! Popatrzcie tylko!

Wałace się ściany domku zostały odnowione i pomalowane kremową farbą. Gdy podjechali bliżej, przekonali się, że nowe drewniane okiennice także zostały odmalowane. Na bładoniebiesko, z ledwie zauważalnymi śladami czerwieni.

- Nie mogę mu zapłacić! - denerwowała się Plum. - Przecież nie mam pieniędzy!

Kiedy weszła do środka, wzburzenie jeszcze się spotęgowało. Wszystkie ściany, z wyjątkiem sypialni, pomalowano na kremowo. Sypialnia była różowa. W kuchni znalazła sosnowe meble. I pralkę automatyczną.

- To przerażające! To znaczy piękne, dokładnie takie, jakie sobie wymarzy-

łam. Monsieur Laforge pytał, jak chcę urządzić wnętrze, więc powiedziałam mu... ale mówiłam też, że w tej chwili nie mogę sobie na to pozwolić! Boże, musiałam coś pokręcić tą moją łamaną francuszczyzną!

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Monsieur Laforge zauważył obcy samochód zajeżdżający pod domek.

- Podoba się pani teraz dom, tak? - zapytał, promieniejąc z dumy.
- Tak, jest przepięknie, ale... Czy prosiłam pana o wykonanie tych prac?
- Nie, madame Plum.
- Dzięki Bogu! Więc dlaczego pan to zrobił?
- Byłem akurat bez pracy. Znałem pani życzenia, toteż nie marnowałem czasu. Na elektryka nająłem kuzyna. Jacques jest już na emeryturze i bardzo przygnębia go brak zajęcia.
- A pralka? Skąd tu pralka?
- Ach, no tak, będzie pani musiała za nią zapłacić. Przy takich chłopakach automatyczna pralka jest niezbędnym sprzętem. Nabyłem ją tanio, na wyprzedży, gdy Jacques likwidował swój sklep.
- Czyżby doprowadził pan bieżącą wodę z miasteczka?
- Owszem. I elektryczność. Za to też trzeba będzie zapłacić.
- Ale ja nie mam pieniędzy!
- Rozumiem, muszę być konsekwentny. Nie można przecież spodziewać się zapłaty za pracę, która nie była zlecona.
- Lecz ja... Nie mogę przyjąć tej pracy w darze!
- Zgadza się z panią! Może pani zapłacić w bardziej dogodnym terminie.
- U nas nie można znaleźć hydraulika do zepsutego kranu - dziwiła się Jenny - a tu fachowcy odnowili ci dom i nawet nie musisz za to płacić.
- Ale ja jestem bez grosza, monsieur Laforge - powtórzyła jeszcze raz Plum. - Jak mam zapłacić za wodę, elektryczność i pralkę?

Była bliska płaczu. Nie chciała kłopotów. Lokalne kompanie zarządzające elektrowniami nie będą czekać na pieniądze, a mieszkańcy mogą uznać ją za jeszcze jedną niepewną cudzoziemkę.

- Ach, mam pewien pomysł. Jest pani malarką, prawda? W takim razie niech pani maluje okoliczne rezydencje, portrety domów zamiast ludzi. Wiem, kto ma pieniądze. Pokażę, które domy malować.

Jenny wybuchnęła śmiechem.

- On sugeruje, żebyśmy zarabiała na życie jak osiemnastowieczni wędrowni malarze, którzy przemieszczali się od jednego zamożnego domostwa do drugiego i malowali portrety właściciela, jego rodziny, psów i koni. Nie widział twoich obrazów, Plum! Mój styl wydaje się jednak odpowiedni. Wręcz idealny!

1 Jenny przez całe lato malowała portrety domostw. Ich właściciele stali obok sztalugi, z szacunkiem przypatrując się powstającym obrazom

i gorączkowo zastanawiając się, ile będą musieli zapłacić. Ceny dyktował monsieur Laforge. Wszystkie obrazy znalazły nabywców. Plum i Jenny zadeklarowały, że będą spędzać w Valvert szkolne wakacje. Snuły plany następnej podróży, kupna turystycznych łóżek, zwiedzenia sklepów ze starzyzną i umeblowania domku.

Lulu ponownie stała się cicha, zamknięta w sobie. Znowu wróciła do ogryzania paznokci. Jesienią ojciec opłacił jej roczny kurs zarządzania, po którym będzie mogła znaleźć własne miejsce w świecie sztuki. Szanował wolę Lulu, która za wszelką cenę chciała uniezależnić się od rodziców, lecz nie mógł zrezygnować z zapewnienia córce przyszłości. Jeśli po kursie nadal będzie chciała malować, nie będzie miał nic przeciwko temu.

*

Rok później, wciąż „czysta”, Lulu rozpoczęła pracę administracyjną w Birmingham, organizując promocję młodych artystów i wystawy. Odkryła, że jest to bardzo ekscytujące, twórcze zajęcie. Pokochała je i udowodniła, iż jest w tej dziedzinie wyjątkowo dobra.

*

W październiku 1981 roku, po dwóch wystawach, na których pokazała swoje prace w „Avant Avant” wspólnie z innymi artystami, Jenny dostała zaszczytu wystawienia prac samodzielnie. Niestety, obrazy znalazły tylko niewiele większe zainteresowanie. Jenny podejrzewała, że jej ojciec skrzyknął kolegów i kolektywnie zrzucili się na tych kilka sprzedanych obrazów. Rozpoznała jednego ze znajomych, który nigdy przedtem nie interesował się malarstwem.

Kiedy Plum, chcąc pocieszyć przyjaciółkę, przypomniała sukces odniesiony we Francji (właśnie zakończyły kompletowanie umeblowania domku), Jenny wykrzyknęła ze złością, że nie chce takiego sukcesu. Pragnie być uważana za poważną artystkę - tak jak Plum.

W następnym miesiącu, dokładnie 3 listopada 1981 roku, sprawa rozwodowa dobiegła wreszcie końca. Dwa tygodnie potem rozwódka miała pierwszą własną wystawę. Nieznośnie chłodna Shoestring Gallery zmieniła

wystrój - ściany i sufit lśniły bielą, naga podłoga błyszczała czystością. Tylko białe wino pozostało bez zmian.

Plum przyszła do galerii jeszcze przed otwarciem. Miała na sobie czarną aksamitną sukienkę od Fenwicka, która wyglądała na droższą niż w istocie była. Trzęsła się ze strachu i mdliło ją.

Siegfried, właściciel galerii, też ubrał się w czarny aksamit. Wykonano z tego materiału zarówno obcisłe dżinsy, jak i bluzę z kapturem. Kaptur ten, opadający na łusą czaszkę, nadawał mężczyźnie wygląd mnicha.

- Zgadnij, kochanie, co się stało! Dwa obrazy zostały sprzedane jeszcze przed prezentacją. - Machnął ręką w stronę dwóch płócien oznaczonych czerwonymi gwiazdkami. - Ale nabywca postawił dwa warunki: po pierwsze, masz dzisiaj wieczorem zjeść z nim kolację...

- Kto to taki? - spytała ochoczo.

- Oto właśnie drugi warunek: nie możesz się dowiedzieć.

- Jakie to romantyczne! A może raczej sytuacja typu *la belle et la bete*? Nie wyglądasz na zachwyconego, Siegfried. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że dopiero co sprzedałeś dwa obrazy.

- Gdy wejdiesz do „Cafe Royal”, zrozumiesz, dlaczego nie jestem zachwycony - rzekł gorzko Siegfried. Odwrócił się, zamierzając odejść.

- Ale ja nie mogę pójść! Jenny przyprowadzi tu moich chłopców. Obiecałam im, że zobaczą moją pierwszą wystawę!

- Dlaczego nie weźmiesz ich ze sobą na spotkanie z tajemniczym nabywcą? Nie wspominał, że masz przyjść sama. Przy okazji: czy już mówiłem, że nie widział białej kobiety przynajmniej od dwóch tygodni? - Na jego ustach pojawił się złośliwy uśmiešek. - Uwaga! Nadchodzi reporter „Ham and High”. Na miłość boską, nie wpadaj w panikę. Uśmiechaj się!

*

Weszli do wypełnionego złoconymi ozdobami i lustrami na ścianach rokokowego wnętrza Grill Room w „Cafe Royal”, gdzie niegdyś królowali tacy mistrzowie kuchni jak Augustus John i Arnold Bennett. Starszy kelner eskortował Plum i jej synów do centralnego stolika. Siedział już przy nim Breeze. Serce Plum zatrzepotało w piersi niczym kanarek w klatce.

Gdy wszyscy troje zasiedli na wyściełanych szkarłatnym aksamitem krzesłach, Breeze odrzącił podawane przez kelnera menu.

- Proszę tylko przynieść największe lody na świecie.

Mrugnął do kelnera tak, by dzieci tego nie dostrzegły.

- Mogę zaproponować czekoladowe, miętowe, kawowe, karmelkowe, kremowe, o smaku syropu klonowego, orzeszków włoskich, rajskiego owocu, brzoskwińowe, malinowe, jagodowe, jeżynowe lub tutti frutti.

Breeze z powagą kiwnął głową.

- Bierzemy wszystkie.

Gdy na stole stanęły prawdziwe lodowe wieże, Toby'emu opadła szczeka, a Max głęboko westchnął. Obaj nerwowo czekali na reakcję mamy. Spodziewali się jej sprzeciwu.

Tymczasem to Breeze wyraził swój sprzeciw.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że tak wyglądają największe lody na świecie - rzekł, zwracając kelnerowi naczynia. - Proszę poprosić szefa kuchni, żeby spróbował jeszcze raz.

Max nie potrafił ukryć rozczarowania.

Za chwilę na stole pojawił się srebrny półmisek z wielobarwną piramidą, która została zaakceptowana.

- Poprosimy jeszcze jedną porcję - powiedział Breeze. Później pochylił się w stronę Plum i szeptem wyjaśnił: - Moja mama zawsze mówi, że jeśli bez ograniczeń dasz chłopcu to, czego chce, nigdy nie zje tyle, by się pochorował.

Plum bynajmniej nie poczuła się spokojniejsza.

- Mam nadzieję, że pańska matka się nie myli.

- Moja mama wychowała czterech synów. Przywykła do chłopców, ja zresztą także. Najmłodszy z nas, Pete, urodził się, gdy miałem siedemnaście lat. Może na początek weźmiemy omlet Arnolda Bennetta nadezwany wędzonym łupaczem, śmietanką i tartym parmezanem? Kelner, prosimy więcej szampana.

*

Po posiłku Breeze odwiózł ich do Kentish Town srebrnym mercedesem.

- Plum, czy mogę wejść? - zapytał niedbałym tonem. - Chciałbym obejrzeć inne twoje obrazy, a potem porozmawiać o przyszłości.

Jej serce wciąż trzepotało w piersi, gdy szybko kładła sennych chłopców do łóżek. Drzwi dzielące ich pokój od pracowni zamknęła na klucz.

- Przepraszam za bałagan...

- A jak powinna wyglądać pracownia? - rzucił nieoczekiwany gość.

Bez skrepowania buszował po zimnym pokoju. W surowym świetle zawieszonych pod sufitem nagej żarówki oglądał z uwagą wszystkie przypięte do ścian szkice. Przejrzał wszystkie płótna, leżące na stercie w rogu pokoju. Zechciał nawet zerknąć do szkicownika. Potem drobniaczkowo obejrzał autorkę.

- Brakuje mi zęba z tyłu, a z przodu mam dwie plomby - powiedziała cierpko.

- Dlaczego jesteś tak niechętnie nastawiona? Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać, zanim się tobą zajmę. Masz talent, ale czy jesteś wytrwała, a przy tym skora do wyrzeczeń? Innymi słowy: czy jesteś gotowa stawić czoło opinii publicznej?

Plum natychmiast dała zepchnąć się do defensywy.

- A jeśli nie chcę, żebyś się mną zajął?
- Oboje wiemy, że chcesz. - Uśmiechnął się, zrobił krok do przodu i wziął ją w ramiona. Czuła za uchem jego gorący oddech, gdy szeptał: - Jesteś taką delikatną małą laleczką.

Zadrżała, czując ciepłą dłoń na cienkim czarnym aksamicie, zakrywającym jej piersi. Zdążyła już zauważyć, że dłonie mężczyzny są smukłe, z długimi palcami. Teraz mogła przekonać się, jak delikatnie i czule potrafią pieścić - Breeze, z rozmysłem, bardzo powoli badał piersi dziewczyny.

Plum przylgnęła do niego, drżąc z podniecenia na całym ciele. Rozpięła mu kurtkę i zanurkowała dłonią głębiej. Walczyła z jedwabną koszulą, starając się dotrzeć do gorącego, muskularnego ciała.

Mężczyzna pochylił głowę. Ustami naparł na wargi Plum, jego wielkie ciało otoczyło dziewczynę. Chwyił jej rękę i wcisnął między nich tak, by czuła jego podniecenie. Potem sięgnął za plecy dziewczyny, podciągnął aksamitną sukienkę. Położył dłonie na jej pośladkach i jeszcze mocniej przycisnął. Wtuleni w siebie jak dwa gołąbki dygotali i chwiali się, niesieni przez fale namiętności ku nieuniknionemu spełnieniu.

- Czy nie możemy pójść gdzie indziej? - wyszeptał.

Pracownia była zupełnie pozbawiona mebli. Znajdowała się tu tylko sztaluga, płótna i poplamiony farbami stół, na którym leżała paleta, w otoczeniu wyciśniętych tubek farby.

- Nie. Chłopcy mogliby usłyszeć.

Uniósł dziewczynę w powietrze, zrobił dwa kroki do przodu i przycisnął ją do ściany. Sięgnął do kontaktu i zgasił światło. Zwolnił swój uścisk na krótką chwilę, potrzebną na zdjęcie z Plum sukienki. Została naga, przyparta do lodowatej, chropowatej ściany. Nie wiedziała już, czy drży z podniecenia czy z zimna. W ciemności czuła, że mężczyzna odsuwa się od niej, ale zaraz dosłyszala odgłosy świadczące o pośpiesznym zdzieraniu ubrania.

Miał wysuszone usta, gdy dosięgnął jej warg. Czuła dotknięcia penetrujących dłoni; opuściły ją wszystkie siły, pomyślała, że zaraz osunie się na podłogę. Wtedy dłoń mężczyzny dotarła do wzgórka łonowego, sprawnie odnalazła lechtaczkę i rozpoczęła rytmiczne pocieranie, wlewające w jej ciało rozkoszną energię, gromadzącą się, koncentrującą, aż do niepowstrzymanej eksplozji. Nigdy nie zaznała tak intensywnych wrażeń. Mężczyzna łagodnie rozsunął jej uda. Wchodząc w nią, znowu przycisnął ją do ściany, lecz nie czuła już zimna.

Następnego popołudnia pojechała autobusem na Piccadilly, a stamtąd pieszo, na stopach prawie nie dotykających chodnika, przeszła na Cork Street, w samo serce świata galerii. Tu ponownie wróciła jej nieśmiałość. Zatrzymała

się przed oknem Russell Gallery, wykonanym z drogiego szkła taftowego, i długo przyglądała się samotnemu obrazowi Christophera Wooda, przedstawiającemu łodzie rybackie. Dopiero po kilku minutach pchnęła drzwi galerii.

Biuro Breeze'a mieściło się na tyłach budynku, w pokoju bez okien, i było całkowitym przeciwieństwem przestronnej, uporządkowanej, pogodnej sali wystawienniczej. Tutaj obrazy stały poupychane pod ścianami, dwie płaskorzeźby z czasów panowania Jakuba I, przedstawiające anioły, wały się po podłodze, a drogie wydania albumowe leżały na nie uporządkowanych stosach wszędzie, gdzie dało się znaleźć wolny skrawek płaskiej powierzchni. Z wyjątkiem biurka. To miejsce wyraźnie rezerwowano dla listów, prospektów, fotografii obrazów, wycinków z prasy i porannych gazet.

Breeze, ubrany w różową jedwabną koszulę, właśnie odkładał słuchawkę telefonu. Usiłował wytropić nie udokumentowany szkic do obrazu *Wyspa umarłych* Arnolda Böcklina, melancholijnego szwajcarskiego malarza, który wywarł znaczący wpływ na de Chirico.

- Cześć! - przywitał ją, podnosząc wzrok. - Widziałas już, co napisali o tobie w „Standardzie”? Nie? - Podniósł z pliku gazetę i rozłożył. - „Zarzące się, wibrujące malowidła, których barwy wirują, szemrzą, krzepną, zbierają się w chmury, sugerując naturalistyczny krajobraz, czasem romantyczny, czasem złowieszczy, zawsze jednak potężny w swym wyrazie... te liryczne, odręczne, malowane pod wpływem nastroju obrazy są cudownie radosne”. - Uśmiechnął się szeroko. - „Cudownie radosne”. Czego chcesz więcej? Szczególnie wychwalane są te dwa, które zakupiłem.

Podał gazetę Plum, a sam sięgnął po następną.

- Posłuchaj tego. W dzisiejszym „Timesie” tak napisali: „Niektóre z jej obrazów subtelnie uwodzą oglądającego, inne uderzają zmysły niczym eksplodujący granat... Malarka nie wpada w intelektualne schematy, tworzy w piorunujących eksplozjach... inteligentna zmysłowość i euforyczna intensywność... dzikie, pierwotne, nieokrzeseane...” - Breeze roześmiał się. - „Express” też nie zapomniał o pochwałach. Posłuchaj: „Omawiając te ekscytujące prace nie można pominąć zawartych w nich erotycznych podtekstów; nie chodzi tu tylko o zmysłowe podejście do tworzywa, lecz o jawną symbolikę, zawartą w kształtach i mglistych konturach, atakujących jaźń widza. Na jednym obrazie, mierzącym mniej niż metr kwadratowy, naliczyłem dziewiętnaście symboli fallicznych”... Obawiam się, że jeśli dojrzał te symbole krytyk pisujący dla „Telegraph”, nie za bardzo spodobała mu się twoja wystawa. Pominiemy jego opinię.

- Wspaniale! Chyba nie drażnisz się ze mną? - Plum podeszła bliżej i sięgnęła po wycinek prasowy. - Co on, do cholery, rozumie przez symbole falliczne? Przecież moje obrazy są abstrakcyjne!

- Przede wszystkim są nieświadomie seksowne, jak ty, moja kochana.

- Spójrz, tutaj jest moje zdjęcie z Siegfriedem.
- Ach, Siegfried. Raczej nie jest teraz szczęśliwy. Dzwonił przed chwilą, bo nie zastał cię w domu.
- Nie rozumiem, dlaczego jest nieszczęśliwy? Przecież to znakomite recenzje!
- Dokładnie dlatego. Przekonał się na własnej skórze, że chciwość nie popłaca. Zrobił zły interes, wypuszczając cię z ręki, bo teraz ze mną jesteś związana kontraktem. To znaczy, mam nadzieję, że zaraz sfinalizujemy umowę.
- Podeszedł do niej i objął ramionami. Znowu oddychała jego zapachem, znowu czuła jego sprężyste ciało.
- Czyżbym przegapiła swój awans na sam szczyt? - wymruczała. - Jim mówił, że karierę mogę zrobić tylko rozkładając nogi.
- Ten Jim, kimkolwiek jest, miał sporo racji. W każdym razie sprawdźmy.
- Tutaj przynajmniej jest dywan.

*

Lunch zjedli w „La Bania”, staromodnej hiszpańskiej restauracji, w której ścienne kafelki pomalowano w ultramarynowe wzory. Lokal chlubił się cierpkim czerwonym winem, pyszną *paellą* i miłą dla ucha muzyką gitarową.

- Jak Jim mógł pozwolić ci odejść? - czule zapytał Breeze.

Właśnie podano im kawę.

- Teraz wydaje mi się, że wiem, co poszło nie tak - odparła Plum. - Problem był bardzo prosty, choć żadne z nas go nie dostrzegło. Jim spodziewał się, że nadal pozostanę tą samą dziewczyną, z którą się zenił... ale to nie byłam ja. Gdy zaczęliśmy chodzić ze sobą, pragnęłam jego miłości, więc, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam udawać. Chciałam być dziewczyną, której on pragnie. Oglądałam mecze piłki nożnej, cierpliwie słuchałam, co mówił o złych posunięciach premiera...

Z niechęcią wspominała siebie z tamtego okresu, kiedy w skupieniu pilnie wpatrywała się w Jima, jasno dając mu do zrozumienia, iż jest najmądrzejszym człowiekiem na ziemi i do zaszczytów należy samo przebywanie w jego towarzystwie.

Westchnęła.

- A po ślubie zaczęłam udawać, że jestem typem żony, jakiego pragnął. „Typ doskonałej żony”, cicho adorującej, odbijającej, jak w krzywym zwierciadle, postać męża. Po pewnym czasie TDZ przestał mi odpowiadać. Tłumił mnie, niszczył, a na to nie mogłam pozwolić. TDZ stopniowo odszedł do lamusa, a ja wyszłam z cienia. Jim obudził się pewnego ranka i zrozumiał, że poślubił nie tę dziewczynę. Poczul się oszukany. Przynajmniej tak sędzę.

- To już przeszłość. Lepiej porozmawiajmy o twojej przyszłości. - Breeze porzucił czuły uśmiech i przybrał poważny wyraz twarzy. - Zdajesz sobie sprawę,

co się dzieje? Mam nadzieję, że nie masz złudzeń. Plum, w handlu dziełami sztuki, jak wszędzie, gdzie obraca się wielkimi pieniędzmi, istnieje wielkie zakłamanie. Wszystko to tylko promocją, przepychanie i krzykliwa reklama. Trzeba być śmiesznym romantykiem i idealistą, aby sądzić, że jest inaczej. Zrozum, iż wszyscy musimy podjąć grę, jeżeli chcemy osiągnąć sukces. Artyści, którzy nie zaakceptują jej reguł, nigdy nic nie osiągną. Jeśli nie zagrasz, nie wygrasz.

- Rozumiem. Co mam robić?

- Zaczynj od porzucenia tego prowincjonalnego akcentu. Zorganizuję lekcje wymowy. Obawiam się, że będziesz musiała zmienić swój czarująco niedbały wygląd: pójdz do najlepszego fryzjera, a potem kup sobie lepsze ubrania. Przyda ci się stylistka, bo powinnaś wyglądać naprawdę wyjątkowo. Potem pošlę cię na kurs, na którym nauczą cię stawiać czoło natrętnym dziennikarzom i swobody przed telewizyjnymi kamerami.

- Kiedy zaczynamy?

Spojrzał na zegarek.

- Mniej więcej za dziesięć minut.

Christina Viera, wzięta stylistka, była piękną, smukłą modelką z Argentyny. Przymrużyła oczy i oglądała Plum, od czasu do czasu udzielając instrukcji w rodzaju: „Obróć się, skarbie. Tak dobrze. Jeszcze raz”. W końcu Plum czuła się jak niewolnica na targu.

- Nie zmienimy jej, tylko poprawimy. Niech rzuci mężczyzn na kolana, niech wygląda jak gwiazda! - zdecydowała Christina. - Włosy zostawimy krótkie, ale musimy je starannie wypiełgnować. Dwie wizyty w tygodniu u Johna Michaela powinny wystarczyć. Na każdą wystawę ubierzemy ją pod kolor najlepszego obrazu, tego z okładki katalogu.

Plum czuła się zawstydzona tak jawną komercjalizacją. Uznała to jednak za dobry pomysł: godny pogardy, ale rozsądny.

*

Równolegle z rozkręcaniem kariery Plum i Breeze kontynuowali namiętny romans.

Pewnego wieczora, po miłosnym seansie przed kominkiem w sypialni Breeze'a, Plum, pijana szczęściem, wyszeptła:

- Mógłbyś mieć każdą dziewczynę w Londynie. Dlaczego wybrałeś akurat mnie? Nieśmiałą prowincjuszkę, nie posiadającą nawet własnego kąta?

Skubnął jej uszko i odrzekł:

- Bo przypominasz mi Kopciuszka.

Natchnął ją swą absolutną pewnością siebie, przy nim czuła się bezpiecznie. I jak wiele rozwódek obarczonych dziećmi oraz niskim mniemaniem o sobie, z łatwością pomyliła wdzięczność z prawdziwą miłością.

*

Breeze starał się zapewnić sukces na kilka sposobów. Wystawiał prace Plum w modnej galerii - swojej własnej. Skrupulatnie zaprezentował malarzkę prasie brukowej i specjalistycznej, która dodatkowo posiadała własne działy plotkarskie. Organizował też przyjęcia, zarówno w snobistycznych restauracjach, takich jak „Caprice”, albo we własnym pięciopiętrowym domu przy Chester Terrace, którego wnętrza projektował Nigel Coates. Tutaj, w białych pokojach przyjęć, ustawiono szereg wysokich krzeseł w stylu cesarstwa, wyściełanych miękką, błękitną materią. Kinkiety oświetlały zawieszane na ścianach imponujące i piękne obrazy - do czasu zawarcia transakcji sprzedaży.

Wobec klientów Breeze był czarujący i przyjacielski, zawsze uważnie słuchał ich życzeń i dostosowywał się do stawianych wymagań. Niekiedy nawet dobremu klientowi pożyczał obraz na mniej więcej pół roku, dając czas do namysłu co do ewentualnej transakcji. Uwielbiał popisywać się swym szerokim gestem, ale trzeba przyznać, że wiedział, jak olśnić klientelę urzekającą kolacyjką na środku rzeki, wieczorkami w małej prywatnej mansardzie na Serpentyń przy Hyde Parku albo bankietami w osiemnastowiecznej Oranżerii w Holland Parku. I dokładnie wiedział, jak na eleganckich kolacjach, operowych premierach i balach dobroczyńnych pomnożyć użyteczne kontakty.

Są ludzie uważający łączenie sztuki i pieniędzy za herezję; są też tacy, którzy tych dwóch rzeczy nie potrafią rozdzielić. Breeze, jak większość ludzi zajmujących się handlem dziełami sztuki, należał do tych ostatnich. Jego galeria wystawiała prawdopodobnie najlepszych młodych brytyjskich artystów. Dzięki temu często pojawiała się w publikacjach prasowych i w telewizji, lecz niewiele zyskiwała pieniędzy. Prawdziwe pieniądze tkwiły w handlu dziełami nowoczesnymi, czyli wszystkim, co zostało namalowane po 1900 roku. Dopóki twórca aktywnie działa, jest zaszufładowany jako malarz współczesny. Wystarczy, że popelni samobójstwo - od razu awansuje na malarza nowoczesnego.

Breeze często prowadził interesy przez telefon. Zdarzało się, że kupował i sprzedawał obiekt, którego nigdy nie widział na własne oczy. Znał go tylko z katalogu i prospektów. Potrafił na pół godziny zniknąć z uroczystej kolacji, tłumacząc gospodyni o dziesiątej wieczorem, że pięciogodzinna różnica czasu między Londynem i Nowym Jorkiem zmusza go do natychmiastowego skontaktowania się ze sprzedawcą bardzo ważnego Oldenberga.

W lutym 1982 roku, gdy wracali samochodem z przyjęcia, w trakcie którego Breeze nabył niewielki olejny szkic Braque'a, Plum zapytała, czy podnieca go wydawanie przez telefon pół miliona dolarów na coś, czego nigdy nie widział.

- Oczywiście, że nie. - Przyjrzał jej się uważnie. - To z twórczych

aspektów mojej pracy czerpię satysfakcję. Najwięcej radości sprawia mi odkrywanie następnej generacji artystów, wyprzedzanie konkurentów, penetrowanie pracowni w poszukiwaniu nieznanego malarza To mój hazard. To mnie podnieca.

- A co robisz potem?

- Znasz swój przypadek. Kiedy już wyszukam artystę, muszę zdecydować się na sposób, w jaki go zaprezentuję, aranżuję wystawy, wzbudzam zainteresowanie prasy. Wszystko to przypomina podniecającą przygodę. - Nagle sposepniał. - Pozostałe dziewięćdziesiąt procent mojej pracy polega na prowadzeniu tej cholernej galerii, co, tak naprawdę, sprowadza się do prowadzenia sklepu. Nienawidzę tego. To skoncentrowana nuda i wyrzucanie pieniędzy. Sam dom z gruntem przy Cork Street kosztuje majątek, a do tego dochodzi czynsz, pensje pracowników, składowe... koszty rosną w zastraszającym tempie. Dlatego biorę czterdzieści procent prowizji od wszystkiego, co sprzedaję. Niektóre galerie liczą sobie znacznie więcej. - Zahamował przed swoim domem. - Artyści narzekają na wysokość prowizji, ale powinni zrozumieć, że gdyby nie galerie, nie zarobiliby ani centa. Sztuka współczesna znajduje nabywców tylko dzięki temu, że właściciele galerii chcą ją wystawiać. To oni ryzykują swoją reputację i pieniądze. - Pocałował Plum w nosek i dokończył: - Skoro mowa o pieniądzach, chcę ci coś pokazać.

Klaustrofobicznie mała winda wyniosła ich na ostatnie piętro budynku. Plum opuściła jej ciasne wnętrze i znalazła się w pracowni, powstałej z połączenia trzech niewielkich sypialni, której wielkie okno wychodziło na północ stolicy.

- Podoba ci się? Czy teraz zdecydujesz się przeprowadzić do mnie?

Chłopcy już się ze mną oswoili... Nigél zamienił piwnicę w przytulne mieszkanko, w sam raz dla nich. Łóżka wyglądają jak średniowieczne namioty, ale reszta aż się skrzy nowoczesnością. Chcesz zobaczyć?

Mama była zachwycona, chłopcy jeszcze bardziej. Mogli puszczać latawce w Regens Parku, mieli blisko do przyjaciół z Kentish Town, mogli do woli oglądać telewizję i nikt im nie wydziwiał na głośną muzykę.

Służący złożył natychmiastowe wymówienie. Służąca, pracująca u Breeze'a już od dziesięciu lat, nie widziała powodu do odejścia. Sandra była wysoką, kościstą kobietą o nogach jak dwie tyczki i sercu z kamienia. Zajmowała się domem równie sprawnie, jak barakami po drugiej stronie ulicy, stojącymi na tyłach Albany Street. Plum szybko przekonała się, że nie jest w stanie porozumieć się z nią, ale doceniała jej obecność, gdyż sama nie miała pojęcia, jak zajmować się tak wielkim mieszkaniem.

Nie przyzwyczajona do pomocy domowej, rano przed przyjściem Sandry kręciła się po domu i sprzątała po swoich mężczyznach. Breeze, jak większość mężczyzn jego pokolenia, został wychowany na szowinistę.

- Odlóż to! Niech chłopcy sami robią porządki - mówił, by zaraz rzucić dramatyczne pytanie: - Gdzie się podziały moje czyste skarpetki?

Jim, dowiedziawszy się o przeprowadzce Plum i chłopców, wpadł w furję. Nie życzył sobie, by jego dzieci znalazły się pod wpływem tego filistra, jak nazywał Breeze'a. Nie życzył sobie, by jego synowie przejęli puste wartości „yuppie”, by byli narażeni na zgubną bliskość pieniądza. Chciał, by uniknęli zepsucia. Gdy jego była żona zaczęła protestować, odwiesił słuchawkę, nie dając jej skończyć.

Plum leżała jeszcze w łóżku. Z wściekłością rzuciła telefon na podłogę.

Breeze wzruszył ramionami.

- A czego się spodziewałaś? Po tym, jakie recenzje dostałaś, Jim będzie brał odwet w każdy możliwy sposób. Na pewno czytał w gazetach wszystkie artykuły o Kopcuszkuzie z Kentish Town. Osiągnęłaś to, o czym on marzył, więc jest zazdrosny. Kiedyś kochał cię, teraz nienawidzi. I nic na to nie możesz poradzić.

- Skąd ta nienawiść?

- Nienawidzi cię za to, co sobą reprezentujesz: za odwagę, determinację w pokonywaniu przeciwności losu, za twój sukces, sławę, pieniądze, udane prace. - Uśmiechnął się cierpko. - Wydawało mu się, że jak burza przewali się przez Londyn, a potem zamieszka w Nowym Jorku. Tymczasem skończył już na starcie i nie ma w tym nic złego, poza tym, że jego wielki scenariusz tego nie przewidywał. Teraz wegetuje na nauczycielskiej pensji, a ty jeździsz alfa romeo. Jest jeszcze coś, czego on nigdy ci nie daruje: jeśli będzie znany, to tylko dlatego, że kiedyś był twoim mężem.

- Nie mam alfa romeo.

- Nieprawda, masz. Wyrzuj przez okno. Tobie uparł się, że ma to być sportowy samochód. Max wybrał kolor czerwony.

Breeze nie mylił się w swojej ocenie. Kilka dni później Jim powiedział chłopcom, że ich matka prawdopodobnie skręci swój cholerny kark w tym idiotycznym sportowym wozie.

*

Przez moment Plum żałowała, iż Jim nie może jej zobaczyć na tylnym siedzeniu kasztanowego rolls-royce'a, tuż za gałowo ubranym kierowcą, mknącą przez centrum Nowego Jorku. Szybko rozproszyła takie myśli. Dlaczego miałyby cokolwiek udowadniać temu człowiekowi? Po co?

Rozdział dziewiąty

Po powrocie do hotelu sprawdziła w recepcji, czy nie było dla niej jakichś wiadomości. Telefonowała Cynthia Bly. Plum bezzwłocznie skontaktowała się z jej biurem i usłyszała, że pani Bly będzie bardzo miło spotkać się z Plum Russell - w każdej chwili. Plum zatelefonowała do biura British Airways, by podczas podróży do Australii zastrzec sobie międzylądowanie w Los Angeles.

Następnie wykręciła numer redakcji angielskiego magazynu „Trace”, z siedzibą w Plymouth. Dowiedziała się, że redakcji nie interesuje tropienie fałszyfikatów, z wyjątkiem tych, które zostały skradzione. Aktualnie nie skradziono żadnego van der Asta. Jedynym podobnym obiektem notowanym przez ich komputer była miejska panorama Jana van der Heydena, skradziona w zeszłym miesiącu z Atherton w Lancashire. Plum spróbowała skontaktować się z IFAR, lecz - zgodnie z przewidywaniami Leo - urzędnicy z Międzynarodowej Fundacji do Badań Dzieł Sztuki byli skłonni rozmawiać tylko z właścicielką podejrzanego dzieła.

W chwili gdy odkładała słuchawkę, usłyszała trzaśnięcie drzwi. Breeze chciał przygotować się do spotkania w interesach. Szperał w aktówce, przewracał dokumenty, a Plum w tym czasie opowiadała o wizycie u Artura Schneidera. Na koniec zapytała, czy nie miałby ochoty rzucić okiem na rzekomego Jacoba van Hulsdoncka.

- Często jest fałszowany - powiedziała. - O ile dobrze pamiętam, miał wielu uczniów, więc wykrycie fałszerstwa nie jest prostą sprawą.

Breeze podniósł głowę. Wyrzucił ręce w powietrze, przesadnie manifestując swoją niechęć.

- Niedługo będziesz szukać fałszerzy pod własnym łóżkiem! Nie, nie pójde z tobą do tego sklepu. Po pierwsze dlatego, że nie mam zamiaru marnotrawić

czasu, po drugie dlatego, że to nie mój interes. Tak jak i nie twój. - Podniósł głos: - Na miłość boską, zrezygnuj z tego! Malarz, bardziej niż ktokolwiek inny, powinien trzymać się z dala od kłopotów i unikać publicznego podkopywania swojej pozycji w świecie sztuki w tak idiotyczny sposób! Zapomnij o tej cholernej bzdurze! - Zdał sobie sprawę, że krzyczy. Z widocznym wysiłkiem uspokoił głos. - Bądź rozsądna, kochanie. Obecnie powinnaś poświęcić karierze sto procent swojego czasu! Nie możesz robić kariery w połowie. Tylko potencjalni nieudacznicy, jak choćby Lulu, myślą inaczej! Tylko bohaterki tanich romansów robią kariery w wolnej chwili. Więc wybij sobie z głowy tę idiotyczną zabawę w detektywa!

- Co idiotycznego jest twoim zdaniem w tropieniu fałszerza, czyli kogoś, kto wykorzystuje ludzi, oszukuje ich i okrada?

- *Caveat emptor*, niech strzeże się kupujący! Zwłaszcza gdy jest tak bogaty jak Victor! Zapomnij o tym nonsense. Kochanie, bądź grzeczną dziewczynką i zrób, co ci mówię!

Tym razem Plum podniosła głos.

- Czy jeszcze nie rozumiesz, że niczego już nie zrobię tylko dlatego, że ty tak mówisz?! - Kłótnia odświeżyła dojrzewające od miesięcy uczucie buntu. - Najpierw chciałeś mi zrobić wodę z mózgu, Breeze, a teraz jeszcze używasz psychologicznych sztuczek, by zmusić mnie do postępowania wedle twoich zachcianek!

- Postępujesz wedle moich zachcianek, bo wiem, co jest dla ciebie najlepsze! - zrewanżował się wrzaskiem.

- Tylko ci się wydaje. Od tej chwili będę podejmować moje własne decyzje, nawet gdyby miały być błędne. Dostyc! Nie będę już twoją grzeczną dziewczynką! Koniec z potulnością i posłuszeństwem! Nie chcę być przykładową żoną, nie chcę świecić przykładem w żaden inny sposób. Chcę tylko być sobą!

Breeze otworzył usta, zawahał się, i spoglądając na zegarek wymamrotał:

- Nie mam teraz czasu na kłótnie.

Ruszył ostro w kierunku drzwi. Na progu niemal zderzył się z posłańcem, który przyniósł list do Plum.

Nadal targana gniewem, rozdarła kopertę. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka taniego białego papieru. Naklejono na niej wycięte z gazet litery.

ZAPOMNIJ O HOLENDERSKIM OBRAZIE ALBO UMRZESZ.

Przez długą chwilę z niedowierzaniem wpatrywała się w napis, a potem wybiegła na korytarz. Ani Breeze'a, ani posłańca nie było już w zasięgu wzroku. Wróciła do pokoju i porwała słuchawkę telefonu.

- Recepcja? Czy mój mąż wyszedł z hotelu? Pan Russell... Apartament

numer 105... Nie, to nie ma znaczenia. Posłaniec przed minutą dostarczył mi list. Chciałabym rozmawiać z osobą, która go przyjęła.

List nie przyszedł pocztą, okazało się też, że nie dostarczył go do hotelu zawodowy posłaniec. Wystąpił w tej roli brudny biały chłopak, ubrany w obdarte dzinsy i kurtkę w jasne grochy na czarnym tle. Mniej więcej trzynastoletni. Położył kopertę na recepcyjnym blacie i zniknął. Czy coś się stało?

Jeszcze raz przyjrzała się kopercie. Adres: PLUM RUSSELL, HOTEL RITZ CARLTON, wypisano w dwóch linijkach wielkimi literami, charakterystycznie niepewnym, dziecięcym pismem. To wszystko. Może ktoś jej zrobił kawał, na przykład Max lub Toby... Ale przecież oni nie byli już dziećmi i nic nie wiedzieli o sprawie fałszerstwa... Ależ wiedzieli! Słyszeli fragment rozmowy telefonicznej Plum z jej ojcem, który doradzał, by przesłodziła drogę pieniędzy, aż do źródła. Pewnie tak należało anonim rozumieć - był głupim, dzieciennym żartem. Lecz podczas gdy jedna część umysłu Plum akceptowała wytłumaczenie, druga pytała, dlaczego chłopcy chcieliby ją przestraszyć? A co, jeśli to nie był żart?

Wykręciła numer pokoju chłopców, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Godzinę później Breeze wrócił z udanego spotkania i znalazł żonę zapatrzoną w rozerwaną kopertę. Plum rzuciła mu się w ramiona, by stłumionym głosem opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Breeze, najbardziej przerażające jest to, że zapewne znam tego, kto to wysłał!

- Kochanie, ktoś ma zasrane, idiotyczne poczucie humoru! - Przytulił ją i uspokajająco głaskał po karku. - Ale nikt, kto cię zna, nie zrobiłby czegoś tak cholernie pomyłonego. Nikt, kto cię zna, nie chciałby cię przerazić.

Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego z obawą w błękitnych oczach.

- W takim razie, kto to przysłał?

- Po Manhattanie plotki rozchodzą się tak szybko, jakby była to mała wioska - rzekł niemal lekceważącym tonem. - Dziwię się, że ta historia nie pojawiła się jeszcze na szóstej stronie „Posta”. Ale pojawi się, możesz się założyć. Oni wszystko wywęszą. Victor na pewno opowiedział o tym śmiesznym zakładzie z tobą każdemu, z kim jadł obiad. Suzannah też jest niezła w rozpuszczaniu plotek. Do tej chwili wszystkim przyjaciółkom zdążyła opowiedzieć, jaka z ciebie wydra. Łaskawie poinformowała o tym też każdego dziennikarza, który odebrał telefon... Leo to jednoosobowa poczta pantoflowa... To sezon ogórkowy na plotki. Grube ryby przebywają teraz w Aspen albo Palm Beach, a niektórzy dziennikarze zrobią wszystko, by mieć o czym pisać. Przypuszczalnie jakiś złośliwy albo pijany idiota wysłał anonim, tylko po to, by zacząć zabawę.

- A jeżeli to nie jest złośliwy żart? - wyszeptła. - Powinnam zawiadomić policję?

- Skarbie - odparł łagodnie Breeze. - Policja nowojorska nie ma wystarczająco wielu funkcjonariuszy, by zająć się stosami trupów, znajdujących codziennie w tym mieście. Uważasz, że zechcieliby poświęcić czas na jakiś idiotyczny list?

Plum dała się uspokoić. Przez kilka minut wierzyła w to, w co wierzyć chciała. Czy spodziewała się innej reakcji męża? Że wezwie hotelowego detektywa, który potrafi zdobyć więcej informacji, ponad to, czego dowiedziała się w recepcji? Że wynajmie uzbrojonych po zęby ochroniarzy z rottweilerami? Że kupi jej miniaturowego smith & wessona z perłową kolbą, by mogła go zatknąć za pasek?

- Nie chcę, aby policjanci czuwali przez całą noc pod drzwiami mojej sypialni - odezwała się niepewnym głosem - ale nie chcę też automatycznie zakładać, że to nie jest... poważna groźba.

Zadrzała.

- Moje biedactwo. - Breeze przytulił ją mocno. - Powiem ci, co zrobimy w sprawie tego listu - rzekł, chowając kopertę do wewnętrznej kieszeni garnituru. - Postarasz się o tym zapomnieć! A ja pomówię z hotelowym detektywem; niech dziś wieczorem zwróci baczniejszą uwagę na drzwi od naszego pokoju. Jutro wyjeżdżasz z miasta. Obiecuję, że nie spuszcze cię z oka, aż wsiądziesz do samolotu. - Przygarniając żonę jedną ręką, drugą sięgnął po słuchawkę telefonu i zamówił do pokoju butelkę *Dom Perignon*. Delikatnie ucałował Plum w czoło. - Zapomnij o tym! Nie myśl o tym i nikomu o tym nie wspominaj. Po prostu wyrzuć to z głowy! To był paskudny, złośliwy kawał, ale być może dzięki niemu zrozumiesz, że powinnaś zaniechać poszukiwania fałszerza. Mamy z tego powodu wystarczająco wiele kłopotów, prawda?

Rozdział dziesiąty

Środa, 4 stycznia 1992

Palmy rosnące na obrzeżach portu lotniczego w Los Angeles majestatycznie poruszały się pod wpływem porywów ciepłego, oceanicznego wiatru, targającego bawełnianymi spódnicami długonogich dziewcząt. Personel lotniska nosił jednolite koszulki z krótkim rękawem i sportowe obuwie bez skarpetek. Po gotyckiej posepności Londynu i dojmujących mrozach Nowego Jorku Plum poczuła nagły przypływ dobrego humoru. Miała wyrzuty sumienia, gdyż chcąc uniknąć kłótni, nie powiedziała mężowi o przystanku w Los Angeles. Tylko Jenny wiedziała, gdzie jej szukać - na wszelki wypadek, gdyby coś stało się dzieciom.

Cynthia Bly, niska, szczupła blondynka, czekała za barierką odprawy pasażerów. Na oko młodsza od Plum o kilka lat, miała na sobie kremowe, lniane spodnie i kolorystycznie dobraną, wiązaną na rzemyki koszulkę (wrażnie było widać, że nie ma pod nią stanika) oraz buciki z krokodylej skóry, bez sznurowadeł, na płaskim obcasie.

- Anna Sui, zgadłam? - Cynthia z podziwem przyglądała się eleganckiemu kompletowi Plum, wykonanemu z biało-czarnego denimu. Wzór przypominał stroje lalki Barbie z lat pięćdziesiątych, zwłaszcza długa do kostek spódnica z rozcięciem sięgającym biodra.

Podczas załadunku bagażu Plum do pozbawionego dachu srebrnego mercedesa przenośna torba uderzyła o krawężnik i na chodnik posypała się wprawiająca w zakłopotanie zawartość: rozdawane na pokładzie samolotu słodycze, zmięte chusteczki higieniczne, przybory kosmetyczne, pudełko tamponów i...

- Co to jest? - spytała Cynthia, schylając się po przedmiot.
- Stary szkicownik. Rysowałam w samolocie. Codzienne ćwiczenia.
- Znam twoje prace. - Cynthia przykucnęła na środku chodnika i wertowała kartki. - Podobne do najnowszych dzieł Hockneya. Przyciemnił paletę i wprowadził jaśniejsze błyski wesołych kolorów.

Podniosła wzrok na Plum. Jej szare oczy, otoczone sztucznymi, czarnymi rzęsami, śmiały się do malarki.

- Zarezerwowałam ci pokój w „Four Seasons”. Niedawno zmienili wystrój. Teraz wnętrza prezentują się naprawdę imponująco. Jesteś w Los Angeles po raz pierwszy?

Plum przytaknęła. Breeze nie interesował się artystyczną sceną Los Angeles. Tutejsi potencjalni kupcy byli typowymi sknerami: kupowali obraz, jeśli jego cena nie przekraczała wartości ich wozu. Rynek opierał się na artystach Zachodniego Wybrzeża, głównie na malujących gwiazdy filmowe. Gdy miał wystawę Dennis Hopper, wszystkie obrazy sprzedano niemal na pniu. Poważni kolekcjonerzy z rejonu Los Angeles zaopatrywali się w Nowym Jorku, Londynie lub Paryżu.

- Zostaw tylko bagaż - doradziła Cynthia, gdy weszły do hotelowego holu. - Powiedz, żeby rozpakowali rzeczy i wszystko wyprasowali. A my pojedziemy do Wenecji na lunch, a potem zawiozę cię do mojego domu, żebyś mogła sprawdzić, czy zostałam wykiwana... nie powinnaś się czerwienić, przecież po to tu jesteś. Victor prosił mnie o kopię mojej metryki.

- Swój obraz też nabyłaś u Maltby'ego?

- Tak. Polecił mi ich Jaimie Lorimer. Znasz go, prawda? Jest chyba jednym z najlepszych londyńskich dealerów. Zgadza się?

Jaimie Lorimer był zniechęconym przez Breeze'a rywalem. Plum nie zdobyła się na żaden komentarz. Zapytała Cynthię, kiedy nabyła obraz.

- Trzy lata temu, w 1989 roku. Zrobiłam sobie prezent na urodziny. Suzannah chciała go odkupić, ale nie zgodziłam się. Spodobał mi się.

Na drogach były straszne korki. Przez całą podróż, korzystając z samochodowego telefonu, Cynthia przesuwiała terminy spotkań.

- W Los Angeles komunikacja miejska jest śladowa, więc aby gdziekolwiek się dostać, musisz posiadać samochód. Jak już go masz, spędzasz w nim połowę życia. - Zrobiła gwałtowny zwrot, by ominąć czarnego nastolatka na deskorolce. - Ludzie uwielbiają samochody, traktują je jak domowe zwierzątka. Tutaj każdy samochód musi być czysty, na zewnątrz i w środku. Jazdę brudnym samochodem traktuje się jak noszenie brudnej bielizny.

Jechały szerokimi ulicami centrum handlowego, okolonymi przez wysokie palmy. Później po obu stronach drogi pojawiły się niskie, kryte różowym stiukiem domy: po ich spalonych słońcem murach pięły się purpurowe bugenwille. Plum zdążyła pochwycić drobne fragmenty widoków, wypełnione zieloną, tropikalną roślinnością, basenami z nieruchomą wodą i wydłużonymi tarasami. Ostre, oślepiające słońce nadawało im surowy wygląd.

- To światło jest jak sygnał ostrzegający przed porą trzęsień ziemi. Przepraszam za tę przejażdżkę. Chyba będzie trwała wieczność. Los Angeles rozciągnęło się, jakby było z gumy: zaczyna się w Santa Barbara i kończy gdzieś pod meksykańską granicą.

Wenecja okazała się dzielnicą położoną nad samym brzegiem oceanu. Na ulicach stały kolumnady, takie jak we Włoszech. Na miejscowy kolorysty składały się kraty w oknach, graffiti na biało-różowych ścianach i fantazyjne, różowe neony, zapraszające do nocnych klubów, barów i absolutnie podejrzanych spelunek. Atmosfera była karnawałowa.

- Szkoda, że wyjeżdżasz już jutro. W niedzielę będą tutaj polykacze mieczy i wróżki. - Wskazała na grupkę ludzi. - Ci rozczocharcy w kapeluszach to też artyści, filmowcy, muzycy rockowi, jazzmeni. Przyszli popatrzeć, co się dzieje na plaży, w siłowni pod gołym niebem. A może tylko próbują wypatrzeć w tłumie mężczyzn z blond kucykami.

Zatrzymały się na chwilę, obserwując, jak bajkowo piękni mężczyźni podnoszą ciężary, mocując się z polyskującą w słońcu maszyną albo leżąc na plecach poddają się elektronicznemu masażowi.

- Plaża Muskulów - westchnęła Cynthia. - I wszyscy są gejami.

Obiad zjadły w lokalu przy Market Street: ściany z surowej cegły, rozfalowane korony palm za oknem i niezwykle, rozproszone światło wewnątrz. Według Cynthii restauracja była namiętnie odwiedzana przez towarzyszką śmietankę ze świata showbiznesu. Plum nigdy nie widziała w jednym miejscu tak wielu wspaniałych kobiet. Kolekcja doskonałych zębów, doskonałych włosów, niemnących ubrań. Mężczyźni byli przystojni, wysmukli, opaleni na brąz i jowialni.

- Wszyscy są tacy piękni - dziwiła się Plum.

- Niechby spróbowali nie być - stwierdziła Cynthia bez śladu ironii. Pomachała ręką do jakiejś nowo przybyłej pary i sięgnęła po piekielne chilli. - Tutaj ciało jest twoim najwyższym atutem. Każdy pięćdziesięciolatek w Los Angeles wygląda jak ja... Tak, tak, właśnie tyle mam! Raz w tygodniu odwiedzam masażystkę, dwa razy w tygodniu trenera gimnastyki, wszystkie kobiety po czterdzieści mają trenerów. Raz na dwa tygodnie przeprowadzam leczniczą głodówkę. No i w razie potrzeby poddaje się operacji kosmetycznej.

- Westchnęła. - Jakiś nieudacznik schrzanił nos. To jedyna część ciała, która wskazuje mój wiek. Oczywiście, żeby zachować linię, prawie nic nie jem. Być grubasem w LA to grzech, można to przyplacić utratą posady.

Pokręciła swym nieudanym nosem i ponuro roześmiała się.

- Ćwiczymy. Każdy tu wstaje z łóżka o szóstej rano, ale nie zaczyna pracy przed dziesiątą, chyba że pracuje na planie filmowym. Przed pracą wszyscy biegają, z walkmanem u boku, ucząc się przy okazji japońskiego, albo pedałują na treningowym rowerku przed telewizorem, albo uprawiają aerobic, sztuki walki wręcz, zawierają też bliższą znajomość ze sprzętem do ćwiczeń siłowych. - Nagle rozpromieniła się i poderwała z krzesła. - Hej, to przecież Sly! Pracuję nad jego nowym domkiem na plaży. Pójdę przywitać się z nim. Nie masz nic przeciwko temu?

Cynthia w podskokach pobiegła do stolika w drugim kącie sali, a Plum leniwie posłuchała, o czym mówią ci piękni ludzie przy sąsiednich stolikach.

- ...pierdoliłaby się z wężem, byleby tylko dostać tę rolę...
- ...wszyscy wiemy, jak Cindy uwielbia pierdolenie...
- Ja pierdołę!
- ...no to ja mu na to, pierdol się pan, trzymaj łapy w swoich pierdolonych kieszeniach...

- Leżę sobie, a on mnie masuje, no nie? Prawie już zasnąłem, a facet dociera do mojego tyłka, no nie? Nagle czuję coś dziwnego, więc zerkam przez ramię i mówię wam, wyjął swojego sztywniaka i bez dwóch zdań, chciał mnie wziąć od tyłka. Wrzasnąłem: „Zaraz, zaraz!” Czym prędzej zapiął rozporek, nie patrząc na mnie spakował torbę i na odchodnym wymamrotał: „Myślałem, że pan jest Żydem”... Do kurwy nędzy, ja jestem Żydem, no nie?!

Plum omal nie spadła z krzesła.

Gdy Cynthia wróciła do stolika, opowiedziała jej, co usłyszała. Kobieta roześmiała się.

- Los Angeles to pierdolone miasto, w każdym tego słowa znaczeniu. Jeszcze tego nie zauważyłaś? Jeżeli nie jesteś dobra w łóżku, lepiej się tu nie pokazuj. Każdy tu żyje, oddycha i kieruje się, świadomie lub podświadomie, tylko i wyłącznie seksem. To miasto nie ma bijącego serca, ma tętniącego kutasa. - Nie przejmując się obecnością kelnera, podającego krewetki z sałatką szpinakową, Cynthia kontynuowała swój wywód: - Tu zdobywa się władzę poprzez seks, a władza jest wszystkim, co się liczy. Miasto należy do tego, kto akurat w tej chwili ma władzę. Twoje interesy i pozycja społeczna zależą tylko od jednego, od ostatniego sukcesu. Jeżeli jesteś w danej chwili na szczycie, ludzie robią, co zechcesz, i powiedzą ci wszystko, co chcesz usłyszeć. Ale jeśli nie jesteś, nikt nie będzie marnował na ciebie czasu; nikt nie będzie miał najmniejszego zamiaru dotrzymać danego słowa. W LA kłamstwo nabiera mocy prawnej.

Z autostrady dom Cynthii, z wielkim garażem na cztery samochody, przypominał więzienie o zaostrzonym rygorze, a to dlatego, że fronton budynku znajdował się od strony niemal wymarłej plaży Marina del Rey. Za murem drogę do posiadłości wyznaczały drewniane pale, poza którymi kłębiła się tropikalna roślinność, a wśród niej rozrzucone gdzieniegdzie zaciszne polanki.

W kuchni stały dwie kanapy i czterdziestopięciocalowy telewizor. Jadalnia przypominała małe, kwadratowe jeziorko; na centralnie położonej, drewnianej wyspie ustawiono stół na dwadzieścia osób.

W kompleksie sypialnianym, oprócz samej sypialni, znalazła się umeblowana jak salon łazienka, salka gimnastyczna i trzy wnęki na ubrania, w których można było spacerować: zimowa, letnia i sportowa.

- Widzę, że naprawdę jesteście wziętą dekoratorką.

Komu jak komu, ale jej klienci dotrzymywali słowa.

- Owszem. Z dwóch powodów - rozpoczęła wyjaśnienia Cynthia, gdy wsiadały do windy, aby zjechać na parter domu. - Nigdy nie obgaduję klientów i pozwalam im przypisać sobie wszystkie, absolutnie wszystkie dobre pomysły.

Srebrnoszare biuro również wyglądało jak salon. Brak biurka przywodził na myśl wystrój biura Victora. Cynthia wyjaśniła, że odbywają się tutaj tylko spotkania. Resztę dnia spędza poza biurem, używając w miarę potrzeb samochodowego telefonu lub dyktafonu.

Po lewej stronie drzwi wisiała na ścianie martwa natura. W ciemnozielonym szklanym wazonie stał czarujący bukiet czarnych tulipanów, urozmaicony masywniejszymi tulipanami w kolorze masła, konwaliami i dwiema bladoróżowymi prymulkami. Po lewej stronie, na wypadłej z wazonu, gubiącej płatki bladoróżowej różyczce, przysiadł czarny motyl, którego skrzydła zdołały dwie wielkie żółte kropy. Na drewnianym stole przyczaiła się drobna, zielona jaszczurka. Obraz, datowany na 1627 rok, był podpisany monogramem Ambrosiusa Bosschaerta Starszego.

Plum zabrała obraz do kuchni, gdzie był stół i lepsze oświetlenie. Wyjęła z torebki zakupioną w sklepie filatelistycznym lupę i rozpoczęła lustrację malowidła, centymetr po centymetrze.

- Rzadko znajduje się tak stare płótno - powiedziała. - Większość obrazów malowano wtedy na miedzianych blachach lub na specjalnie dobranych drewnianych deskach.

Wszystko wskazywało na to, że rama była siedemnastowieczna. Płótno, na oko, także mogło być tak stare. Na jego odwrotnej stronie nie znalazła nic interesującego. Sięgnęła do torebki po hotelowy przyborek do szycia. Test wypadł jednoznacznie: po początkowym lekkim oporze igła zagłębiła się w warstwę farby.

- I co o tym myślisz? - niecierpliwiła się Cynthia.

- Ambrosius naprawdę potrafił malować. - Plum nie śpieszyła się z udzieleniem odpowiedzi. - Jego specjalnością były krótkie, cienkie jak włos linie na zaokrąglonych płatkach tulipanów.

Właścicielka zapatrzyła się w obraz.

- Gdzie? Nie widzę ich.

- Bo ich tu nie ma.

Cynthia wydała z siebie długie westchnienie.

- Skąd masz taką pewność? Rzuciłaś tylko okiem.

Plum wyjęła z torby kopie metryk dwóch falsyfikatów, odkrytych przez nią w Nowym Jorku. Pokazała Cynthii fotografie obrazów.

- Spójrz na muchę plującą na obrazie Suzannah i tę na obrazie u Schneidera. Są identyczne.

Kobieta szczegółowo obejrzała reprodukcje.

- Zaraz! Przecież tutaj jest moja jaszczurka. Na obrazie Suzannah.

- Nie zauważyłaś jej przedtem?

- Zauważyłam, ale są różnych kolorów. Tamta jaszczurka jest złota, a moja ciemnozielona.

- Ale to jest ta sama jaszczurka. Ma te same rozmiary i niemal identyczną pozę.

Po raz kolejny Cynthia głęboko westchnęła.

- Dwie muchy wiążą obrazy Suzannah i Schneidera, dwie jaszczurki wiążą obraz Suzannah z moim. W oczywisty sposób te trzy obrazy są ze sobą wzajemnie powiązane. - Pokręciła swym nieudanym nosem. - Ale jeśli są to podróbki, jak fałszerz mógł popełnić tak głupi błąd? Kopiowanie tych elementów jest tak jaskrawo widoczne!

- To nie musi być błąd. Siedemnastowieczni malarze wymieniali się szkicownikami, przekazywali je następnym generacjom. Jednak te obrazy są świeżutkie.

Plum badała obraz przez lupę.

- Tak czy inaczej, fałszerz nie jest tak dobry, jak pewnie sam uważa. - Wyjaśniła, że w obrazach nie ma życia, zupełnie, jakby były tylko sprawnie wykonanymi kopiami. - Naprawdę dobry falsyfikator nigdy nie robi dokładnych kopii. Zamiast tego dogłębnie studiuje wybranego malarza, docieka, jakich używał technik, staje się kolejnym wcieleniem wielkiego mistrza.

- Ach! Aktorzy nazywają to „techniką twórczej wyobraźni”.

Plum robiła notatki w szkicowniku. Był to pierwszy z trzech rozpoznanych falsyfikatów, który mogła tak dokładnie zbadać. Mogła teraz dostrzec inne oznaki fałszerstwa: każdy malarz ma swój własny styl, rozpoznawalny jak styl pisma, a więc także fałszerz nie jest w stanie uniknąć napiętnowania nim swoich podróbek.

- No, cóż. Jestem gotowa na najgorsze - powiedziała Cynthia.

- Dobór kolorów świadczy o dużej subtelności, lecz daleko mu do wrażliwości prezentowanej na obrazach genialnych Holendrów z tamtego okresu. - Plum formułowała wypowiedź ostrożnie, nie odrywając wzroku od malowidła. - Nie zapominaj, że był to złoty wiek martwej natury.

Cynthia uśmiechnęła się krzywo.

- Chyba bardzo lubisz owijać w bawełnę...

Plum nagle doznała olśnienia. Zaskoczona, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Myślę, że wiem, kto je namalował!

Cynthia szeroko otworzyła oczy.

- Wiesz?!?

Plum pożałowała, że w porę nie zamknęła ust. Przecież chodziło tylko o przeczcucie.

- Chyba wiem, Cynthia. Chyba.

- Kto to?

- Nie mogę powiedzieć, dopóki nie będę miała pewności.

- Chyba nie wplączesz się w jakieś kłopoty? - zaniepokoiła się Cynthia.

Plum przypomniała sobie przerażenie, które ścięło jej krew w żyłach, kiedy czytała anonim. Potrząsnęła głową.

- Jeszcze przed twoim przyjazdem zdecydowałam - mówiła Cynthia, zerkając na obraz - że gdy okaże się, iż jest to podróbka, nic z tym nie zrobię. Nie mam zamiaru ściągać sobie na głowę problemów. Wchodzenie w drogę zorganizowanemu gangowi fałszerzy musi być niebezpieczne.

Podeszła do dużej szafy na ubrania, wbudowanej w ścianę naprzeciwko kominka i wydobyła zza koszulki kluczyk na złotym łańcuszku. Wewnątrz ściany nie ukryto szafy na ubrania, ale sprytnie zakamuflowano pojemny schowek na akta.

- Lepiej, żeby sekretarka nie widziała pewnych delikatnych drobiazgów - wyjaśniła Cynthia. - Stąd biorą się przecieki do prasy.

- O jakich drobiazgach mówisz?

- Na przykład, o drobiazgach trzymanyh w sypialniach przez gwiazdy filmowe, zaspokajających ich prywatne fantazje.

- Czyli?

- Nigdy nie obgaduję klientów, pamiętasz? - Wydobyła z szafki dwie duże beżowe teczki i jedną z nich wręczyła Plum. - Oto kopia mojego rodowodu. Oryginał włożę z powrotem do sejfu.

Obok kominka stały regały z książkami. Podeszła do jednego z nich, wysunęła jakiś tom i włączyła ukryty mechanizm. Trzy półki odsunęły się, ukazując standardową, biurową kasę pancerną.

- Sama nie wiem, czy jest jakiś sens w chowaniu sejfu. Jeżeli dochodzi do kradzieży, złodzieje mają precyzyjne informacje, gdzie go szukać. Jeżeli takich informacji nie mają, w trakcie poszukiwań plądrują całe mieszkanie.

Otworzyła sejf i złożyła wewnątrz teczkę z oryginałem metryki. Plum tymczasem spokojnie przeglądała kopię.

- Jest tutaj atestacja, wykonana na papierze firmowym Maltby'ego, według której firma nabyła obraz na aukcji w Borden & Plow w Sussex. To musi być mały, wjeński dom aukcyjny, ponieważ nigdy o nim nie słyszałam. Cena raczej nie należała do wygórowanych, skoro Maltby nie dołączył do metryki rachunku.

Cynthia uśmiechnęła się.

- Do diabła, zapomnijmy o tym gównie z fałszerstwami. Lećmy do miasta.

Wyjechawszy srebrnym mercedesem z garażu, Cynthia powiedziała:

- Chciałabyś, jak sądzę, rzucić okiem na miasto. Więc zrobimy sobie długą wycieczkę.

Z samochodowych głośników dobywały się dźwięki utworu *America*, będącego fragmentem musicalu *West Side Story*, a ciepła bryza targała włosami Plum. Jechały Autostradą Wybrzeża Pacyfiku, mając po prawej surowe, poszarpane wierzchołki gór Santa Monica. Stereofoniczny odbiornik ryczał, jakby chciał konkurować ze startującym samolotem, a Cynthia co kilka minut zmieniała stację, dostosowując muzyczny nastrój do widoków za szybą.

W pewnej chwili powiedziała:

- Kocham ocean i nieskończoność nieba nad głową, to uczucie, że w tym miejscu na ziemi odkrywają się przede mną nieograniczone możliwości. Reszta Ameryki wyśmiewa eksperymenty i trendy Los Angeles, by później, jak barany, pójść w nasze ślady. Tutaj ludzie żyją tak, jakby dzień jutrzejszy był już dzisiaj. Są przyzwyczajeni do nowoczesnych technologii i dobrej organizacji, obojętne, czy kupują hot-doga czy samolot odrzutowy.

W Topanga Cynthia skręciła w prawo, przełączając odbiornik - Freddie Mercury i zespół „Queen” pompatycznie wyśpiewywali *We Are the Champions*. Na bezkolizyjnym skrzyżowaniu skręciła na Hollywood Freeway i zawróciła w kierunku centrum miasta.

- Gdzie jest Hollywood?

- Właśnie je miniliśmy. Nie ma sensu tam zaglądać, to królestwo tandety. Na każdym kroku wpadasz na sutenerów, kurwy i handlarzy narkotyków albo gubisz się w tłumie zawiedzionych turystów z kamerami, depcesz po piętach zdeorientowanych nowicjuszy, szukających swojej bajkowej szansy. - Roześmiała się. - Hollywood tak naprawdę nie istnieje i nigdy nie istniało: Hollywood to tylko nasza wyobraźnia, żywy mit.

- Brzmi to cokolwiek cynicznie.

- Na starość człowiek robi się mądrzejszy. - Na twarzy Cynthii nie było już śladu wesołości. - Czasem zastanawiam się, dlaczego dojrzewanie zajęło mi aż pięćdziesiąt lat. I wydaje mi się, że każda kobieta przy zdrowych zmysłach potrzebuje pięćdziesięciu lat, aby zrozumieć ten wariacki świat. - Nagle wyłączyła radio i odgarnęła z twarzy blond włosy. - Kobieta jest zmuszona robić karierę po omacku. Zamykamy się w sobie. Inne kobiety traktujemy jak rywalki. A mężczyźni zastawiają na nas sidła i wchodzimy w te pułapki jak potulne owieczki. Czujemy, jak w plecy wbijają się zdradzieckie strzały, ale sądzimy, że w jakiś sposób ból powstał z naszej winy. Może po prostu nie siedziałyśmy wyprostowane. Wlecemy się dalej, utykając. Nie zdając sobie sprawy, że wypowiedziano nam psychologiczną wojnę.

Na drodze wydarzył się jakiś wypadek, wstrzymano ruch. Cynthia cicho zakłęła.

- Kariera staje się synonimem niezależności. We wszystkim chcemy polegać tylko na sobie. Niektóre z nas osiągają ten cel, ale kosztem morza czasu i krańcowego wycieńczenia. Zanedbujemy swój rozwój w każdej dziedzinie nie związanej z karierą. Nie chodzi mi o szydełkowanie, rozumiesz, mówię o poszukiwaniu sensu w moim życiu.

Plum otworzyła usta i nie wiedziała, co powiedzieć. Jak zwykle, dała się zaskoczyć. W Wielkiej Brytanii nikt nie mówił o swoich uczuciach, w Stanach ludzie bez zastanowienia otwierali swą duszę przed nieznanym.

- Też zaczynam o tym myśleć - poczyniła ostrożne zwierzenie.
- Jesteś szczęśliwa w małżeństwie?

Plum przez chwilę rozważała odpowiedź. Ostatecznie wymamrotała:

- Nie jestem pewna.
- Ja byłem... przez mniej więcej dwie minuty.
- Co poszło nie tak?
- Czy to ważne? Było to jedno z tych małżeństw, które nie miało szans, bo mężczyzna nie mógł pogodzić się z faktem, że jego żona osiągnęła sukces. Czuł się nieważny. Pominęły. To, jak ja się czułam, nie miało znaczenia.

- Z nami jest inaczej - powiedziała Plum. - Nasz problem polega na tym, że zarówno Breeze, jak i ja odnieśliśmy sukces. Jemu to odpowiada. Mnie nie, a on nie rozumie, dlaczego.

- A jaki jest powód?

- Przemęczenie i pożeranie czasu. Malarstwo daje mi satysfakcję, ale dochodzi już do tego, że jednym z powodów, dla których maluję, jest chęć ucieczki od rzeczywistości. Chwilami nawet nie wiem, co jest rzeczywistością. Boję się zatrzymać i spojrzeć na własne życie, ponieważ nie chcę zobaczyć, że zamieniłam się w maszynkę do robienia pieniędzy. Breeze sprawił, że mogę malować, ale powoli dociera do mnie, że ten dobroczyńca nigdy nie pozwoli mi przestać.

- Kochanie, na tym polega pułapka. Sukces nie zostawia wolnego czasu na radość z nim ani nawet na zastanawianie się nad sobą. Zauważyłam to u gwiazd filmowych, moich klientów. W końcu nieodmiennie wydają fortunę na psychoanalityków.

Mercedes wjechał w Harbor Freeway. Z oporami Plum zadała pytanie:

- Czy kiedykolwiek próbowałaś i nie mogłaś nazwać swojego problemu?
- Masz na myśli takie uczucie, jakby wilgotna, lepka mgła opadała na twoje ramiona i paraliżowała każdą myśl, odbierając siły? Któż tego nie doświadczył? Do cholery! Chyba tylko Kopciuszek był szczęśliwy do samego końca.

- Czy na pewno? Nie wiemy, co działo się z Kopciuszkiem po ślubie. Kto decydował o szczęściu, ona czy on? Co zrobiła, aby być szczęśliwa? Miała szesnaścioro dzieci, które nigdy nie awantuowały się i nie wchodziły jej na głowę? Zadowolona była z spełnianiem roli dodatku do znamienitego męża?

Cynthia wybuchęła śmiechem.

- Z tego co wiemy, Kopciuszek raczej nie miał bogatego życia wewnętrznego. Zresztą, jak każda potulna dziewczyna, która spędza całe życie w domu, absolutnie bezwolna, pozbawiona wsparcia przyjaciół, będąca dla wszystkich popychadłem.

- Kopciuszek to przykład poddańczej postawy pasywnej, wyzyskiwanej kobiety - zgodziła się Plum. Mercedes skręcił na północ, na San Diego Freeway.

- Bóg jeden wie, dlaczego cała żeńska część ziemskiej populacji uważa ją za swoją ulubioną bohaterkę - zauważyła Cynthia z sarkazmem.

- Nie zrobiła nic, by zmienić swoje życie. Nie musiała. I tak wylądowała na samym szczycie.

- Racja. Kobiety w większości wyobrażają sobie, że siedząc z założonymi rękami dostaną wszystko, o czym marzą. Ja wolę wziąć los w swoje ręce. Przynajmniej oszczędzę sobie bolesnego rozczarowania.

Na koniec mercedes wjechał na Zachodni Bulwar Wenecki. Zawrócił w stronę oceanu. Niebo przed nimi rozpalili gwałtowny, kryształowo czysty zachód słońca, rozsyłający ostre błyski królewskiej purpury.

Plum wyrzuciła ręce w górę i zakrzyknęła w niebiosa:

- Chciałabym zostać!

Znowu ciągnęło ją do malowania.

- W LA nie żyje się łatwo - powiedziała Cynthia z dumą - ale na pewno jest tutaj zabawnie.

Dwie godziny później Plum leniwie pluskała się w perfumowanej wodzie, lustrując hotelowe marmurowe kafelki w brzoskwiniowym kolorze.

Nie dawała jej spokoju pewna myśl...

Cynthia kształciła się u Parsonsa w Nowym Jorku, na kierunku dekoratorstwa wnętrz. Na pewno przygotowano ją na tyle dobrze, by orientowała się w wielu szczegółach dotyczących malarstwa. Tymczasem nie zauważyła dwóch niemal identycznych jaszczurek na dwóch zakupionych przez nią, bardzo kosztownych obrazach holenderskich mistrzów. Dlaczego?

Cynthia nie zdecydowała się zawiadomić policji o fałszerstwie. Podążyła przy tym prawie takie same argumenty, jak Leo. Mogło to wynikać z logiki, lecz mogło też znaczyć, że Cynthia nie życzy sobie, by policja wtykała nos w jej interesy.

I ten jej cynizm, gdy twierdziła, że ceny dzieł sztuki dyktują chciwi, przesadnie bogaci ludzie - klasyczna wymówka fałszerzy. Plum widziała dwa sekretne schowki, sejf za regałem z książkami i szafę wbudowaną w ścianę. Gdzie znajdowały się inne, większe schowki?

Cynthii nie brakowało pieniędzy.

Czyżby była członkiem gangu fałszerzy, pełniąc w nim rolę dystrybutorki?

Rozdział jedenasty

Wtorek, 7 stycznia 1992

Wystawa prac Plum była organizowana przez starego przyjaciela, Harry'ego Salta, właściciela galerii w Sydney. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, tak silnie opalony na ciemny brąz, że mógłby stanowić niezłą karykaturę Australijczyka żyjącego na łonie przyrody. W rzeczywistości był skrajnym przykładem mieszczaucha, nie wyściubiał nosa z Sydney. Wyjątkiem były eskapady na plażę. Uwielbiał wylegiwać się na słońcu.

I właśnie to zaproponował, gdy jechali z portu lotniczego Kingsford Smith.

- To twoja pierwsza podróż do Australii. Zabaw się trochę! Po wywiadach moglibyśmy skoczyć na plażę w Wattamolla. To najlepszy kawałek złotego piasku, jaki kiedykolwiek widziałem: cisza i spokój, zatoczki z nieruchomą wodą, laguny, gdzie palmy pochylają się wprost w błękitną toń... Obrazek, jakby żywcem wyjęty z *Wyspy koralowej*.

- Po jakich wywiadach?!

Długi, niemal całonocny lot samolotem wycieńczył Plum. Marzyła o kąpieli i dłuższej drzemce. O niemiastce czegoś, co mogłaby nazwać aklimatyzacją.

- Reporter z „Bulletin” nie mógł wygospodarować czasu w inny dzień, a jego artykuł będzie dla nas bardzo ważny. Natomiast Cathie Perchwell chciała dostać się do ciebie jako pierwsza. To twarda sztuka, postawiła sprawę na ostrzu noża. Przepraszam. Ostrzegałem, że przygotowałem napięty program zajęć.

Do otwarcia wystawy było jeszcze sześć dni, lecz czekało ich mnóstwo pracy. Samo zawieszanie obrazów potrwa trzy dni, a Harry zaaranżował wiele spotkań w cztery oczy z potencjalnymi nabywcami.

W „Regent Hotel” czekał na nią koszyk z wonnymi olejkami, świeże kwiaty, szampan, gazety i barwne magazyny. Z okładki „Vanity Fair” słodko uśmiechała się Suzannah Marsh. Wewnątrz pani Marsh błyskotliwie opowiadała o swoich

planach na przyszłość, szeroko rozwodząc się o postaci zwanej Pops, prawniku korporacji, który wszystkiego ją nauczył. Nie wspomniała ani słowem o Victorze i dwóch córkach, cichutkich jak myszki pod miotłą.

Artykuł wprost ociekał sarkazmem i witriolem, lecz Suzannah doskonale radziła sobie z atakami i krytycyzmem dziennikarza, stawiającego tezę, że Suzannah roznieca w kobiecych umysłach nierealistyczne oczekiwania. Przekartkowała sześciostronicowy opis oszukańczego życia na siedemnastokrotym terytorium Sunnybank Farm, służący promocji romantycznego, wiejskiego eskapizmu.

Stojąc pod przysnycem, Plum wróciła pamięcią do Bożego Narodzenia, urządnego przez gigantyczny personel kuchenny Suzannah. Oprócz tych ludzi i Betsy, wiecznie przepracowanej i zawsze pogodnej asystentki, na liście płac znajdowały się trzy osobiste sekretarki Suzannah, dwie gospodynie, dwie pokojówki, trzech ogrodników i majster „złota rączka”. Służba kuchenna, ubrana w identyczne lawendowe uniformy, dbała o utrzymanie porządku i stworzenie świątecznej atmosfery. W przedświątecznym zamieszaniu Plum nigdy nie miała czasu zadbać o takie szczegóły, jak wywieszenie nad frontowymi drzwiami sosnowych wieńców z szyszkami czy przyozdobienie stołu dla gości.

Po rozleniwiającej kąpieli w pachnącej jaśminem wodzie Plum owinęła się ręcznikiem i wyszła na balkon. Mogła stąd podziwiać spektakularne i naturalne zarazem piękno portu w Sydney. Soczystozielona linia brzegowa kluczyła pomiędzy tuzinami poszarpanych zatoczek i odnóg. Daleko po prawej stronie majaczyło wejście do portu, po lewej wyrastał z brzegów solidny, metalowy Most Portowy. Pod nim, na wysepce Bennelong Point, wznosił się fantastyczny budynek słynnej Opery. Po ciemnoniebieskiej toni śmigwały zagłówki i majestatycznie przepływały małe promy z dojeżdżającymi do pracy mieszkańcami przedmieść Północnego Brzegu i bogatszymi właścicielami domów w Rose Bay.

Niebo radośnie demonstrowało swój nieskazitelną błękit, a styczniowy poranek nie skąpił ciepła i przyjemnej wilgoci. Okazało się, że jest nawet zbyt ciepło na oszałamiającą kreację Plum, złożoną z czarnych pończoch i minispódniczki z wężowej skóry. Nim zdążyła się przebrać, zjawił się dziennikarz „Bulletinu”. Miał wygląd biznesmena. Przynajmniej tak określiła go w myślach, popijając kawę na balkonie i udzielając odpowiedzi na rutynowe pytania.

- Dlaczego maluję? Sama czasem się zastanawiam. To chyba sprawa tkwiącego we mnie niespokojnego ducha. Zawsze, gdy pracuję nad obrazem, czuję się lekko podenerwowana, natomiast gdy nie maluję, czuję się nieszczęśliwa. Mój mąż nieomylnie poznaje, kiedy coś mi nie idzie. Jestem wtedy drażliwa, opryskliwa, impulsywna. Tak, pracuję przez sześć dni w tygodniu,

zawsze w wyznaczonych godzinach. Inaczej nic bym nie namalowała. Maluję od świtu do zmierzchu, z krótką przerwą na lunch. Nie wychodzę z pracowni, aby nie psuć koncentracji. - Zdobyła się na uśmiech. - Malarze nie są awanturnikami, jak niektórzy próbują to przedstawiać. Wiedziemy spokojny żywot i ciężko pracujemy. Żyję w taki sposób przez ostatnie dziesięć lat. Czasem mam wrażenie, że zbyt daleko uciekłam od rzeczywistości.

- Czy warto było narzucać sobie taką izolację? Oplaciło się?

- Inaczej mówiąc, czy prace stworzone w tym czasie są cokolwiek warte? Mam nadzieję, że tak. - Ponownie odżyły w niej wątpliwości. Czy właściwie spożytkowała swoje dotychczasowe życie, czy też zużytkowała jedynie swój talent, trwoniąc dziesięć najlepszych lat życia? - Zresztą, jeśli zechcę, zawsze mogę przestać malować - dodała, jakby z poczuciem winy.

Ale czy rzeczywiście potrafiłaby przestać? Kiedyś, podczas nieobecności Breeze'a, podróżującego po świecie w interesach, gdy już nie mogła wytrzymać rygorystycznej dyscypliny narzuconej przez męża, zbuntowała się. Wskoczyła na pokład pierwszego samolotu odlatującego do Grecji, zameldowała się w skromnym hoteliku, leżała na słonecznej plaży i rozkoszowała się myślą: „Oto jest prawdziwe życie!” Ale dwa dni później stała się drażliwa, opryskliwa, impulsywna. Spakowała się i wróciwszy do Londynu zasyłała się w pracowni.

- Nie, nigdy nie miałam żadnych problemów z malowaniem - cierpliwie odpowiadała na następne pytania. - Oczywiście, nie każdy obraz jest udany, przynajmniej za pierwszym podejściem. Niektóre maluje się lekko i szybko, inne wysysają ze mnie wszystkie siły, lecz ostateczny efekt wart jest wysiłku. Są też obrazy zupełnie nieudane nawet po wielu próbach poskładania ich w jakąś sensowną całość. Niszczę je. Najbardziej lubię moment, gdy nakładając farbę na płótno nagle zdaję sobie sprawę, że są to ostatnie posunięcia pędzla. Obraz jest skończony.

- Co potem?

Uśmiechnęła się.

- W następnej chwili czuję już tylko zmęczenie przemieszane z zadowoleniem. Mój umysł jest wyeksploatowany i pusty. Odkładam paletę i pędzle. Dociera do mnie świadomość niechęci do powtórnego oglądania tego obrazu. Nie chcę go już widzieć. Nigdy.

- Nigdy?

- Nigdy.

*

Drugi wywiad był diametralnie różny od pierwszego. Cathie Perchwell, wschodząca gwiazda punkowej prasy australijskiej, niedbale rozsiała się na kanapie i obrzuciła Plum badawczym spojrzeniem.

Była chuda jak patyk, a podkreślała to jeszcze obcisłymi czarnymi spodniami i przylegającą do ciała czarną koszulką. Na nogach miała podkute metalem, nabijane ćwiekami buty. Pozlepiane włosy tworzyły na jej głowie niepokojący chaos, natomiast grube warstwy pudru i purpurowej szminki na ustach nadawały jej twarzy wygląd teatralnej maski. Włączyła magnetofon i zaczęła:

- Czy uważasz, że burdele powinny być zalegalizowane?

Plum, zupełnie zbита z tropu, wymamrotała:

- Ja... Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Skąd to pytanie?

- Komisja Wymiaru Sprawiedliwości Stanu Queensland próbuje przeforsować legalizację burdeli. Po pierwsze, by móc sprawować kontrolę medyczną. Po drugie, by ukrócić działalność zorganizowanych gangów czerpiących z prostytucji krociowe zyski. Po trzecie, by zredukować w więzieniach liczbę prostytutek!

- Jednej rzeczy nigdy nie rozumiałam: dlaczego zamyka się w więzieniu kobiety, a nie ich klientów. Skoro prostytucja jest nielegalna, obydwójce występują przeciwko prawu, prawda?

Cathie rozpromieniła się.

- Samcza solidarność. Tylko tyle. - Następne pytanie, pod Względem nietypowości, dorównywało pierwszemu: - Jesteś szczęśliwa?

- Dlaczego pytasz? - wydusiła z siebie Plum.

Dziennikarka wrzuciła ramionami.

- Zdaje się, że masz wszystko, czego dusza zapagnie. Męża, dzieci, karierę, pieniądze... Inni mogą tylko pomarzyć, że uda im się tak, jak tobie. Wierzą, że to przyniosłoby im szczęście. Czy rzeczywiście?

Plum postanowiła grać na zwłokę, dlatego bardzo powoli odpowiedziała:

- Szczęśliwe chwile zawsze przychodzą znienacka, niespodziewanie.

Nie zamierzała otworzyć się przed tą wścibską dziwką. Dlatego zatrzymała dla siebie wspomnienie pewnej nocy, gdy Toby miał zaledwie dwa miesiące. Walcząc z sennością, siedziała w łóżku, oparta o poduszkę, i karmiła niemowlę przy świetle księżyca. Dotknęła rzadkich włosków na jego głowie, wdychając głęboko mleczny zapach dziecka, i raptem opadła na nią fala absurdu i szczęścia. Natychmiast poczuła znajomy lęk. Wiele razy powtarzała sobie, że to głupota obawiać się, że nie zasłużyła na takie uśmiechy Fortuny, albo czuć się winną, dlatego że jest szczęśliwa. I nie potrafiła przekonać samej siebie.

- Czy seks daje ci tyle zadowolenia, ile oczekiwałaś?

Pytanie zostało postawione celowo, aby zepchnąć rozmówcę na pozycję obronne. Było kąśliwe, precyzyjne i agresywne. Plum wciąż szukała sposobu na wojowniczość dziennikarskich zaczeppek.

- Mówiąc „seks” masz na myśli zakochanie? - Pomyślała o Jimie. - To euforia, która powoli, stopniowo rozplywa się w niebycie. Na pewno nie jest to prawdziwe szczęście.

Przyszło jej na myśl, że być może jest sposób na agresywne wypytywanie, jakimś ją poddawano. Na atak odpowiedzieć atakiem. Spojrzała na dziennikarkę i zapytała:

- A ty, Cathie, jesteś mężatką?

- Owszem. Jest dziennikarzem. Mieszkamy razem od trzech lat.

- I seks daje ci tyle zadowolenia, ile oczekiwałaś?

- Postawmy sprawy jasno: to ja jestem tutaj od zadawania pytań. - Nastąpiła długa pauza, po której Cathie przyciszonym głosem powiedziała: - Nie wiem.

Pochyliła się do przodu i wyłączyła magnetofon.

- Od kiedy wzięliśmy ślub - mówiła dalej - wszystko stało się jakieś nijakie. Zbyt jednostajne. Naprawdę kocham tego faceta, więc czuję się winna, gdy przyłapuję siebie na myślach typu: „I to wszystko? Już zawsze tak będzie, do końca życia? O to mi chodziło?”

- Wszystkie zbyt wiele oczekujemy od małżeństwa. Tak nas wychowano - podsumowała Plum. - Szczęście przyjdzie samo, zapakowane w ozdobny papier i przewiązane kolorową wstążką. Będzie wśród innych weselnych prezentów.

- Małżeństwo jest jeszcze jednym cholernym zawodem w tym popieprzonym życiu. Ciekawe, ile złudzeń mam wciąż do stracenia, bo mam już tego dosyć!

- Dobrze się czujesz? - Plum nagle zaniepokoiła się wyrazem twarzy kobiety.

Cathie zaśmiała się.

- Nic mi nie jest. To nie choroba, to tylko niezadowolenie, wewnętrzny niepokój, początki depresji. - Zrobiła kwaśną minę, jak opuszczone, zbuntowane dziecko, które postanowiło już nigdy nie pozwolić na lekceważenie lub ignorowanie go. - Wiesz, jestem jedną z najwyżej opłacanych dziennikarek w Australii. Niczego od nikogo nie potrzebuję. Odniosłam wielki sukces, ale kosztował mnie... wiele. - Przygryzła dolną wargę. Wyglądała na bardzo zmęczoną. - Czuję, jakby jakaś ważna część mojej osoby została poddana znieczuleniu albo wręcz amputowana... Nie wiem, co to za część, ale chcę ją z powrotem.

Plum dostrzegła podobieństwo do własnej tęsknoty za czymś, co wymykało się określeniu. Przypomniła sobie własną dezorientację, przygnębiające uczucie ciągłego niezaspokojenia mimo posiadania majątku i sławy. Cathie najwyraźniej spodziewała się, że małżonek wypełni miejsce po zaginionej części jej istoty. Okazało się, że nie jest w stanie tego uczynić.

- No, dosyć tego rozczulania się nad sobą. - Z cierpkim uśmiechem Cathie włączyła magnetofon i ponownie przybrała pozę „złej dziewczynki”. Zrzuciła Plum prowokacyjnymi pytaniami, ledwie dając jej czas na odpowiedź. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i do apartamentu wszedł Harry.

- Plum, ty jeszcze tutaj? Od dziesięciu minut powinnaś być u fotografa!

Środa, 8 stycznia 1992

Następnego dnia, który był jeszcze bardziej upalny i wilgotny, Harry zabrał Plum do galerii. Jej obrazy dobrze zniosły podróż, tylko jeden wymagał drobnych zabiegów naprawczych. Najważniejszy problem polegał teraz na tym, by zdecydować, gdzie jaki obraz zawiesić. Do takiej pracy nie wystarczał sam plan pomieszczeń.

Pomimo sprawnego systemu klimatyzacji pod koniec dnia wszyscy troje - Plum, Harry i jego asystent - splotyli potem i rozmasowywali ramiona obolałe od dźwigania wielkich płócien. Harry otworzył butelkę schłodzonego białego wina i wymieszał zawartość z wodą sodową. Kiedy strudzeni popijali w ciszy orzeźwiający napój, Plum postanowiła opowiedzieć Harry'emu o swoim prywatnym śledztwie w sprawie fałszowania martwych natur siedemnastowiecznych holenderskich mistrzów. Harry Salt był starym zaufanym przyjacielem. Miała nadzieję, że poda jej pomocną dłoń.

- Przez to miasto przepływa bardzo wiele falsyfikatów - rzekł Harry. - Dzieje się tak, ponieważ brakuje wykształconych historyków sztuki, a pieniądze w portfelach nabywców jest aż nadto. Ludzie, którzy wiedzą o sztuce tyle, że artysta używał kolorowych farb, kupują obrazy jako lokatę kapitału. - Zaśmiał się serdecznie. - Chyba jedynym kolekcjonerem w całej Australii, który nigdy nie nabrał się na żadną fałszywkę, jest Alan Bond. Jego pełnomocniczka, Angela Nevill, ma dobre oko. Ale wszystko zdało się na nic. Słyszałaś, że Bond zbankrutował? Jego kolekcję zlicytowano na poczet nie spłaconych bankowych kredytów. I pomyśleć, że ten biedny dureń zapłacił za *Irysy* van Gogha pięćdziesiąt trzy miliony dolarów.

Napełnił szklankę Plum.

- Na aukcje zlatują się do miasta różne dziwne postacie. Jest wśród nich jedna, z którą może chciałabyś się spotkać: jankeska detektyw, Stephanie Brownlow. Ukradkiem podąża za znanym złodziejem dzieł sztuki, niespodziewanie przybyłym do Sydney. Pomagam jej, więc ona mogłaby pomóc tobie!

W jednej sekundzie zmęczenie uleciało z Plum, jak powietrze z przekłutego balona.

- Harry, na kiedy mógłbyś nas umówić?

- Na jutro?

Czwartek, 9 stycznia 1992

Spotkały się na lunchu w modnej wegetariańskiej restauracji. Stephanie Brownlow przypominała niedożywną studentkę, mogła mieć równie dobrze dziewiętnaście, jak i trzydzieści dziewięć lat. Błada cera, przy nadmiernie

szczupłej budowie ciała, wskazywała na niewłaściwą dietę. Ubrała się w beżowy płaszcz nieprzemakalny. Są kobiety, które mogą to zrobić i wyglądają jak Marlena Dietrich. Stephanie wyglądała jak zmokła kura.

Plum nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż kobieta doskonale wie, jakie wzbudza refleksje. Wydawała się lekko rozbawiona, gdy kelner przyjmował zamówienie na sałatkę w sosie roquefort i mrożoną kawę.

- Muszę złać się z otoczeniem - powiedziała Stephanie matowym bostońskim akcentem. - Zapomnij o wszystkim, co słyszałaś o detektywach. Istnieją literackie stereotypy, wiesz, twardeł o wyglądzie zbira, żłopący bez opamiętania piwo albo coś mocniejszego. To fikcja. Dobry detektyw ma wygląd znudzonego mieszcza, po którym wzrok spływa jak woda po tłustej patelni.

Brownlow pracowała dla pewnej londyńskiej firmy. Ani słowem nie wspomniała o szczegółach dotyczących jej wizyty w Australii, za to szeroko, bez przerwy, rozwodziła się nad ogólnymi aspektami swojej pracy.

- Detektywem zostaje się przez przypadek. W szkole moim ulubionym przedmiotem była plastyka, więc podjęłam studia na wydziale sztuk pięknych. Szczęśliwym trafem byłam też niezła w innych dziedzinach. Detektyw, tak na dobry początek, powinien posiadać podstawową wiedzę z zakresu prawa, chemii, fizyki, matematyki, medycyny sądowej i programowania komputerów.

Po tym krótkim wstępie Stephanie zamówiła ciepłe bułeczki.

- Pewnego dnia ktoś zwrócił się do mnie po radę - opowiadała dalej. - Nie wiedziałam wtedy, że jest zawodowym detektywem. Stopniowo zaczęłam coraz bliżej z nim współpracować... - Przerwała, by poprosić kelnera o jeszcze jedną mrożoną kawę. - Pewnie wiesz, że od początku lat osiemdziesiątych kradzieże dzieł sztuki i fałszerstwa stały się poważnym, międzynarodowym problemem. Mój szef zaczął tropić obrazy i szybko przekonał się, że trudno w tej dziedzinie o znawcę, dobrego specjalistę. Tak zostaliśmy partnerami. Niedawno ukończyłam szkołę policyjną.

Plum spojrzała na kobietę z szacunkiem, a potem opowiedziała o fałszyfikatach.

- Wygląda na to, że masz do czynienia z pastiszami - orzekła znawczyni. - Kieruję się zasadą, że jeśli nie wiesz, jak dokonać fałszerstwa, nigdy nie odkryjesz podróbki. Więc kiedy trafiam na taki obraz, sama staram się namalować go w wyobraźni. Pastisz jest stosunkowo łatwy do wykonania. Wystarczy przygotować fotokopie interesującego obrazu, wyciąć fragmenty, które mamy zamiar umieścić na fałszyfikacie, złożyć je razem na jednym slajdzie i za pomocą projektora rzucić na płótno lub drewnianą płytę. Później trzeba sporządzić szkic, ale nie grafitowym ołówkiem, bo wynaleziono go dopiero w dziewiętnastym wieku. Trzeba użyć węgla.

Plum była pod wrażeniem jej wyводу. Z ożywieniem zapytała:

- Co mam teraz zrobić?

- Mogłabyś mnie wynająć - odparła Stephanie, sygnalizując kelnerowi, że chciałaby kolejną porcję sałatki. - Jednak w tej chwili mamy na karku masę roboty... Mówiąc poważnie, radziłaś sobie całkiem niezle. Na swoją korzyść możesz zaliczyć specjalistyczną wiedzę i swoją aparycję. Nie wyglądasz na osobę twardą i upartą, raczej na delikatną i łatwą do przestraszenia: to twój kamuflaż. No i miałaś szczęście tak szybko ustalając związek pomiędzy tymi obrazami.

- Właśnie to mnie martwi. Czy nie jest to podejrzany zbieg okoliczności?

Stephanie zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

- Poleciałaś do Los Angeles tropiąc fałszykat, więc nic dziwnego, że znalazłaś następną. Teraz szukaj kolejnych. Tkwisz po uszy w tym światku i na pewno wystarczy nadstawić ucha, by dosłyszeć przechwałki jakiegoś początkującego kolekcjonera, który nabył podejrzany obraz. Słyszałaś o lady Binger? Jest wdową po jednym z australijskich magnatów prasowych. Kolekcjonuje martwe natury i ma kilka fałszywek. Skorzystaj z okazji, że jesteś w Sydney, i spróbuj zobaczyć jej zbiór.

Stephanie wezwała kelnera i zażyła sobie podwójną porcję kołacza z polewą czekoladową. Potem spokojnie ciągnęła:

- Potrzebujesz więcej dokładniejszych informacji. Na razie znalazłaś podobne elementy na kilku obrazach, te muszki i jaszczurki, teraz powinnaś odkryć głębsze powiązania. Szukaj nowych informacji o tych obrazach i nie zrażaj się niepowodzeniami. W tej grze obowiązują trzy fundamentalne zasady: cierpliwość, wytrwałość i zdecydowanie. Dobry detektyw trzyma się tropu, jak rottweiler zdobywca. Ale do pewnych granic. Dać się zabić dla klienta to już przesada. - Polała sos czekoladowy na ogromny kawał kołacza. - Musisz postarać się o jakiś dowód fałszerstwa, dowód z technicznego punktu widzenia... Sądziś, że Cynthia zgodziłaby się poddać swój obraz badaniom Ashmolean Museum z Oxfordu? Opracowali wiele testów, poczynając od datowania radioaktywnym węglem po termoluminescencję. Ich certyfikat autentyczności jest powszechnie aprobowany, a koszt całej operacji wynosi zaledwie dwieście funtów.

- Raczej się zgodzi - powiedziała Plum. - Victor twierdził, że mam prawo oczekiwać od niej wszelkiej pomocy. Poza tym, chyba nic się nie stanie dobrze zapakowanemu obrazowi.

- Może zniknąć - stwierdziła pogodnie Stephanie, zlizując z kciuka polewę. - Wiele dzieł sztuki ginie na lotniskach, niemal w lukach bagażowych samolotu. Gdy przesyłki zostają przekazane urzędowi na lotnisku, właściciel może już tylko przekonać się, że posiada wyłącznie pustą skrzynię.

- Skąd złodzieje wiedzą, co zawiera przesyłka?

- Zawsze znajdują się ludzie, których można przekupić, od konserwatora w muzeum po urzędnika na lotnisku.

- Trudno. Cynthia będzie musiała zaryzykować. Znasz kogoś z Ashmolean, z kim mogłabym porozmawiać?

Pani detektyw, z pełnymi ustami, pokręciła przecząco głową.

- To może w Courtauld?

Instytut Courtauld, wydział Uniwersytetu Londyńskiego, to nie tylko słynna kolekcja dzieł sztuki, lecz przede wszystkim katedra historii sztuki i konserwacji zabytków. Wielkie muzea z całego świata konsultują się z Courtauld w sprawie niepokojących cech nabywanych obrazów, często prosząc o zweryfikowanie autentyczności dzieła.

- Przykro mi, ale nikogo takiego nie znam. Mam jednak sprawdzoną przyjaciółkę w Brytyjskim Instytucie Sztuki. To profesor Enid Soames. Specjalizuje się w malarstwie holenderskim i flamandzkim. - Zamówiła bitą śmietaną i ciągnęła: - Gdybym chciała uzyskać certyfikat albo udowodnić fałszerstwo, zwróciłabym się o pomoc do kogoś z akademii. Do kogoś, kto ma dostęp do prywatnych kolekcji i jest wtajemniczony w różne techniczne szczegóły. Akademik mógłby powiedzieć, na przykład, czy obraz przypadkiem nie był przygotowany na jakieś specjalne zamówienie, jako podarek, albo żeby uczcić specjalną okazję, jak uroczystość ślubna, albo żeby uwiecznić klejnoty rodzinne właściciela. Takie drobiazgi mogą naprowadzić na ślad pierwszego nabywcy i ostatecznie wypełnić luki w metryce.

Stephanie na chwilę zajęła się bitą śmietaną, ale nie straciła wątku.

- Jestem pewna, że Enid ma dostęp do Biblioteki Witta w Courtauld. Jest tam archiwum fotograficzne. Niewiele muzeów posiada coś podobnego, a tylko nieliczne dysponują katalogiem komputerowym. W Getty mają Informacyjny Program Historii Sztuki gromadzący zapisy z całego świata.

Z zalem spojrzała na ostatni kawałek kołacza, który za moment miał zniknąć w jej ustach.

- Plum, jeśli tak poważnie traktujesz swoje dochodzenie, powinnaś wiedzieć, jakie są różnice między oskarżeniem wnoszonym przez osobę prywatną a oskarżeniem wnoszonym przez policję. To drugie jest skuteczniejsze, ale wymaga dużej liczby dobrych dowodów. Jeżeli ich nie zdobędziesz, wniesiesz sprawę z oskarżenia prywatnego.

- Ale ja nie miałam zamiaru...

- Twój przyjaciel Victor chyba nie pozwoli oskubać się z dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. - Przed Stephanie pojawiła się jeszcze jedna mrożona kawa. - Problem polega na tym, że większość oszukanych nie chce wchodzić na drogę sądową. Zakładając sprawę w sądzie muszą wyłożyć kupę pieniędzy, a sprawa, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, ciągnie się i ciągnie. Nawet jeśli wydaje się pewna, można ją przegrać. Wymiar sprawiedliwości wcale nie jest sprawiedliwy, jest tylko grą z wymuskanymi, szalonymi i nielogicznymi zasadami zwanymi Prawem.

Gdy Plum prosiła o rachunek, Stephanie kontynuowała wywód:

- Zresztą nie chodzi tylko o stratę pieniędzy utopionych w takim procesie. Dla właściciela fałszyfikatu to przede wszystkim strata czasu. W takim razie wolą pogodzić się ze stratą i zapomnieć o całej sprawie, zwłaszcza gdy nie chcą dostać się na łamy brukowców. Na pewno będą unikać rozgłosu, jeśli posiadają inne kosztowności. Załóżmy, że złodzieje czytają „Posta”, a tam czarno na białym piszą, że ktoś zapłacił małą fortunę za obraz, który okazał się podróbką. Do jakich dojdą wniosków? Że ten ktoś jest bardzo nieostrożny, a przy tym mieszka w otoczeniu ich przyszłych łupów.

Żegnając się przed restauracją, Stephanie rzuciła ostatnią radę:

- Nie szukaj pomocy w żadnym dużym muzeum w Londynie. Ci ludzie są bardzo zadufani w sobie. Podobno londyńskie domy aukcyjne mają najlepsze procedury wykrywania fałszyfikatów, a nie uchroniło ich to przed handlowaniem nimi.

Tego wieczora Plum wcześniej poszła do łóżka - chciała wypocząć przed otwarciem wystawy. Przed snem włączyła telewizor. Trwał właśnie program o życiu Margot Fonteyn. W pewnej chwili primabalerina powiedziała, że mimo błyskawicznej kariery - gdyż już jako nastolatka była uznawana za gwiazdę - mimo zdobytego międzynarodowego rozgłosu z trudem oswajała się z własnym osiągnięciem.

- Stopniowo przyjąłem do wiadomości, że jestem „kimś” - opowiadała tancerka. - Ale to zabawne, że mając trzydzieści lat wciąż nie wiedziałam, kim tak naprawdę jestem. Z wyjątkiem chwil, gdy tańczyłam na scenie. Wtedy dokładnie wiedziałam, jaka jest moja tożsamość. Balet i ja stanowiliśmy jakby jedną istotę.

Plum doskonale rozumiała, co baletnica miała na myśli. Czuła to samo w odniesieniu do malarstwa. I podobnie była zagubiona, gdy nie pracowała.

Poniedziałek, 13 stycznia 1992

Rozglądając się po zatłoczonej galerii, Plum zastanawiała się, który z kapeluszy należy do lady Binger. Kiedy dzień wcześniej zapytała o nią Harry'ego, usłyszała:

- Jest na liście gości i potwierdziła swoje przybycie. Przy okazji: ma na imię Wilhelmina, ale mniej oficjalnie możesz zwracać się do niej Willie lub Bingo.

Obserwując gości doszła do wniosku, że niczym nie różnią się od ludzi, których widywała na wystawach w Europie czy w Ameryce. Większość z nich

stanowili kupujący lub pośrednicy. Dostojnicy byli przedstawiani bogaczom, bankierzy wspierający właścicieli galerii spacerowali w towarzystwie pięknych dziewcząt, a dekoratorzy wnętrz i architekci trzymali się kręgu przyjaciół.

Artyści też dyskutowali w wyizolowanym gronie. Plum zdążyła już poznać na własnej skórze problemy, jakie potrafili stwarzać zapraszani na otwarcie galerii malarze. Często zachowywali się hałaśliwie i nerwowo, za wszelką cenę pragnąc zwrócić na siebie uwagę, nie dbając przy tym o to, że mogą w ten sposób zrazić do siebie potencjalnych mecenasów. Artyści każdego dnia toczą bój z lękiem. Boją się, że nie są dobrzy w tym, co robią, albo popadają w depresję, gdy mają poczucie własnej wartości, a wciąż są odsuwani na artystyczną bocznice. I tak z każdym dniem narasta w nich agresja. Aby zdobyć sławę, trzeba posiadać towarzyski instynkt ministra spraw zagranicznych z Białego Domu i skórę tak grubą jak ma grejpfrut.

Harry przebił się przez tłumek gości i zbliżywszy się do Plum wyszeptał:

- Stara Bingo właśnie przybyła. Poprowadzę cię do niej.

Lawirując między gośćmi poszli w kierunku przysadzistej matrony, ubranej w turkusowy komplet modny w czasach królowej Victorii. Harry błysnął uśmiechem na opalonej twarzy.

- Zachwycająco pani wygląda, pani Binger. Pragnę przedstawić pani drugą gwiazdę tego wieczora. Opowiadałem Plum o pani fantastycznej kolekcji. Nasza młoda artystka jest bardzo zainteresowana tym zbiorem.

Lady Binger rozpromieniła się.

- W takim razie muszę zaprosić panią Russell na mój następny obiad. - Zapatrzyła się na kapelusz Plum i nie bez zgorzelenia w głosie przemówiła: - Ale... ten strój nie będzie chyba odpowiedni.

Skomponowany na Carnaby Street zawadiacki kostium, który miała na sobie Plum, mógłby równie dobrze nosić modny kapitan piratów wyruszający na łupieżczą wyprawę. Na początek rzucały się w oczy przypięte do ronda rubinowej zładwestki bażancie pióra. Obrazu dopełniał *bustier* z granatowej skóry założony na porozpinaną koszulę o jaskrawym, czerwonożółtawym kolorze oraz karmazynowe płócienne spodnie z rozszerzonymi u dołu nogawkami i ciemnoczerwone płócienne trzewiki na płaskiej podeszwie. Plum bronila się przed nimi wszelkimi dostępnymi argumentami, chcąc zwiększyć swój wzrost o obcasy, lecz tym razem nie dopasowała do stroju nic lepszego.

Dziesięć minut później Harry jeszcze raz poprowadził ją przez salę, tym razem ku wysokiej, smukłej blondynce, pogrążonej w rozmowie z Rexem Irwinem, właścicielem galerii w Sydney i starym przyjacielem Breeze'a.

Harry przedstawił sobie kobiety.

- Ita Buttrose redaguje swój własny magazyn, zatytułowany oczywiście „Ita”. Ito, jak sądzisz, co powinna założyć Plum na herbatkę u Bingo?

Wielkie błękitne oczy obejrzały Plum od stóp do głów.

- Powinna to być kreacja szykowna, lecz nieco staroświecka. Jakbyś cofnęła się, powiedzmy, dziesięć lat wstecz. Powiem mojemu redaktorowi działu mody, aby znalazł dla ciebie kilka wzorów i przesłał do „Regent Hotel”.

Po kilku minutach na otwarciu zjawiła się Stephanie ubrana w ciemnozebrą bawełnianą sukienkę.

- Słyszałaś najświeższe wieści? Cały gang włoskich złodziei został *in flagrante delicto* przyłapany na kradzieży dzieł sztuki i aresztowany. Wszyscy byli członkami mafii od dwunastu lat! - Urwała na chwilę. - Masz bombowy strój!

- Stephanie - powiedziała Plum, podbudowana tą pochwałą - przypomniałam sobie jeszcze jedną kwestię, o którą chciałam cię zapytać. Jakiego typu człowiek zostaje fałszerzem? Czy robi to tylko dla pieniędzy czy dla dreszczyka emocji? Czy boi się zdemaskowania, czy też traktuje swoje zajęcie jak rutynową, codzienną harówkę, tak jak urzędnik bankowy?

Stephanie roześmiała się, ukazując rząderek drobnych białych ząbków, pięknych jak perły.

- Fałszerze decydują się na ten proceder dla pieniędzy, względnie po to, by zabłysnąć. Jeżeli czują, że ich talent nie został doceniony, próbują udowodnić, jak dobrymi są artystami. Chcą udowodnić, że rynek dzieł sztuki, który ich odrzucił, jest areną ludzi przekupnych, głupców i ignorantów. - Na moment jej uwagę przykuł kelner z tacą. Porwała kieliszek białego wina i mówiła dalej: - Pod pewnym względem byłabym skłonna przyznać im rację. Przecież nawet eksperci popełniają błędy. Kilka lat temu, po kradzieży w Anglii, na licytacjach zaczęły pojawiać się prawdziwe rodzynki. Nie miały jednak metryki i żaden uczone nie potwierdził ich autentyczności, więc sprzedano je za bezcen, gdyż nikt o te obrazy się nie bił. Nie rozpoznali w nich dzieł prawdziwych mistrzów.

- Nie chce mi się wierzyć, że fałszerze tak lekko do tego podchodzą - stwierdziła Plum.

Stephanie osuszyła szklanekę.

- Ich siła tkwi w chciwości. Każda fałszerska sztuczka opiera się na założeniu, że ofiara będzie łatwowierna i zaślepiona chciwością, a eksperci arogancy. Poza tym doskonale wiedzą, że w każdym człowieku tkwi obawa przed wyjściem na głupca. - W przerwie między jednym zdaniem a drugim wymieniła pusty kieliszek na pełny. - Kiedy odkrywa się fałszerstwo, właściciel, galeria, która obraz sprzedała, oraz rzeczoznawca, który uznał obraz za autentyczny, nie chcą, aby wyszło to na jaw. Nic w sprawie fałszerstwa nie robią.

- Victor do takich ludzi nie należy - powiedziała Plum. - Gdy będzie miał pewność, że został oszukany, niczym John Wayne dobiedzie obydwu swych rewolwerów.

Rozdział dwunasty

Środa, 15 stycznia 1992

Na podwieczorek u lady Binger Plum włożyła lnianą bluzkę koloru brzoskwini, czarne, sięgające nadgarstka rękawiczki, słomkowy kapelusik. Po wejściu do taksówki starła z twarzy silny makijaż, który zrobiła na sesję zdjęciową. Sesja, jak to na ogół bywa z przygotowanym wcześniej rozkładem dnia, przeciągnęła się.

Rozparła się na tylnym siedzeniu samochodu i otworzyła pierwszą z trzech kopert otrzymanych od hotelowego recepcjonisty. W środku znajdowały się wycinki z gazet, recenzje wystawy. Czytała je z niepokojem.

„Plum Russell, jedna z najznakomitszych malarzek tworzących obecnie w Wielkiej Brytanii... w ciągu ostatnich dziesięciu lat wytrwale i z wielką pewnością siebie rozwinęła swe abstrakcyjne środki wyrazu, czyniąc je bardzo osobistymi i głębokimi zarazem... nowe obrazy wyrażają szeroką gamę uczuć, począwszy od delikatnych hannonii, po burzliwe dysonanse. Niektóre są przyciszone i kojące, inne radośnie ponętne, a jeszcze inne uderzają zmysły jak eksplodujący granat”.

Na pewno nie pogniewa się za taki komentarz!... Albo ten...

„Jest ona malarzem malarzy: bardzo możliwe, że tylko inny malarz zdolny jest w pełni docenić prace Plum Russell. Jest prawdziwą czarodziejką barw: na jej rozkaz kolory tańczą lub toczą ze sobą zażarty bój, kładą się na płótnie z dziką siłą lub czarującą delikatnością... Jej liryczno-romantyczne obrazy posiadają niepospolitą moc, gwałtowna potęga płócien przypuszcza na oczy bezlitosny atak: te dzieła oślepiają, urzekają, niepokoją, oczarowują”.

Plum aż gwizdnęła - z podziwu i ulgi. Zrelaksowana otworzyła drugą kopertę i spokój prysł jak mydlana bańka. Harry ponownie zmienił rozkład zajęć, wciskając jeszcze jeden wywiad.

Wiele lat wcześniej, a było to zaraz po wprowadzeniu się do Breeze'a, Plum z niemiłym zaskoczeniem odkryła, jak niewiele ma wolnego czasu. Chociaż odpadły jej wszystkie zajęcia związane z prowadzeniem domu, zorganizowanie codziennego życia okazało się o wiele bardziej skomplikowane, niż przypuszczała. Breeze spodziewał się, że Kopciuszek z Kentish Town będzie spędzał większość czasu w nowej pracowni. Gdy tylko przestawała malować, natychmiast dopytywał się, co jest nie w porządku. Czyżby była chora? Brak czasu - cierpliwie wyjaśniał - jest ubocznym skutkiem robienia kariery. A kariera to coś więcej niż praca.

Pewnego popołudnia znalazł ją w piwnicznym warsztacie, gdzie pomagała Toby'emu w wykonaniu modelu czołgu. Wtedy to najdobitniej wyraził swoje credo:

- To nie jest bajka. W rzeczywistym świecie musisz zaharować się na śmierć, aby cokolwiek osiągnąć, a kiedy już to osiągniesz, musisz harować jeszcze bardziej, by nikt ci tego nie odebrał, -Otoczył Plum ramieniem i pouczającym tonem dodał: - Kochanie, na zewnątrz są tysiące głodujących malarzy. Oni zrobiliby wszystko, żeby zająć twoje miejsce, toteż nie schodź z eskalatora ani na chwilę, bo gdy będziesz chciała wrócić, okaże się, iż miejsce jest już zajęte.

Pod pewnym względem Breeze przypominał Plum jej matkę. Pani Phillips nie znosiła tego, co zwykła nazywać lenistwem. Czytanie książek i rozmyślanie uważała za „nicnierobienie”. Kobieta nie może sobie pozwolić na taką bezczynność. Breeze kierował się podobną, unowocześnioną wersją przekonania. Uzbrojony w filofax nie pozwalał, by zmarnowała się choć minuta jego cennego czasu. Konsekwentnie upychał w tak zwanym „wolnym czasie” różne rodzaje aktywności, często z elementami sportowej rywalizacji, jak choćby mecz squasha. Na ogół chodziło jednak o rozmaite kontakty towarzyskie. Terminarz spotkań o charakterze prywatnym był wypełniony po brzegi, jak plecak nastolatka wybierającego się po raz pierwszy na wakacje. Breeze nie zostawił sobie ani chwili na zastanowienie się, czy życie prowadzone takim trybem daje mu jakąkolwiek radość.

Myśląc o huraganowym usposobieniu Breeze'a i przyglądając się zatłoczonym ulicom Sydney, Plum przypomniała sobie kilka linijek z jakiegoś wiersza, którego nauczyła się jeszcze w szkole:

*Czym byloby to życie, troską wypełnione,
Gdybyśmy nie zdobyli chwili na wytchnienie?
Gdybyśmy jak owce w cieniu zostawione.
Nie popadli czasem w długie zapatrzenie?*

Odkąd Plum postawiła stopę na australijskiej ziemi, nie miała dla siebie ani jednej minuty. O zobaczeniu plaży Wattamolla nie mogło być mowy. Postanowiła, że wyrwie się z lunchu u pani Binger tak szybko, jak to będzie możliwe, i poszuka sobie skrawka zieleni, gdzie będzie można usiąść lub pospacerować.

Taksówka przejechała przez bramę rezydencji lady Binger i wtoczyła się między bujne trawniki, zmierzając w stronę niskiego budynku o kremowych ścianach, przesłoniętych pędami bugenwili. Plum otworzyła trzecią kopertę. Wydobyła blankiet, na którym zapisywano hotelowe informacje. Lulu telefonowała dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny.

Plum zdrząła. Może nie chodziło o to...

Ale nie miała żadnej pewności.

Dlaczego Lulu wydzwaniała przez pół świata? Plum zaniepokoiła się, lecz chwilowo nie mogła ukoić nerwów. Dopiero po powrocie do hotelu będzie mogła zatelefonować.

W chłodnym, ciemnym holu przywitał ją służący. Przyjęła jego pomoc, by zdjąć rękawiczki, przypatrując się wiszącej na ścianie akwareli pędzla Dufy'ego z panoramą śródziemnomorskiego ogrodu.

- Mój ostatni mąż był zapalonym kolekcjonerem - wyjaśniła lady Binger w salonie. - Dzieła sztuki okazały się naszą najlepszą inwestycją, lepszą nawet od nieruchomości. Dlatego nadal kupuję obraz do kolekcji, gdy widzę, że podobałby się Erikowi.

Plum została przedstawiona pozostałym gościom w takim pośpiechu, że nie zapamiętała żadnego z dwu tuzinów nazwisk. Zorientowała się tylko, że towarzystwo składa się z samych wybitnych postaci. Był wśród gości sławny architekt, była żona znanego magnata prasowego, właściciel słynnej sieci telewizyjnej, popularny polityk wraz z małżonką.

Na podstawie kontaktów z Australijczykami w Wielkiej Brytanii i Sydney Plum uważała ich za ludzi pogodnych, gościnnych i otwartych. Tymczasem przy stole lady Binger zasiadła grupa osobistości w średnim wieku, z całą pewnością myślących o sobie jako o australijskiej elicie, a będących w istocie karykaturami starodawnych angielskich arystokratów. Wszyscy wyglądali jak żywcem wyjęci z kart powieści Nancy Mitford. Kobiety miały na sobie okropne, upstrzone ozdobami suknie, do których bez umiaru obwiesiły się biżuterią. Mężczyźni zdawali się wyciosani z tego samego kawałka czerwonej skały. Ich drapieżne oczy rzucały kamienne, badawcze spojrzenia, usta ledwie uchylały się, gdy mówili, niedostrzegalnie poruszając cienkimi wargami. Najwyraźniej wszyscy się znali i żaden członek tej kazirodczej grupki nie był zainteresowany dopuszczeniem do grona jakiegokolwiek obcej osoby... z wyjątkiem znakomości o międzynarodowej sławie.

Dziś w roli znakomości musiała występować jedyna osoba nie ubrana w drogą suknię. Plum zorientowała się natychmiast, gdy zobaczyła siwłosłą

kobietę w zwyczajnej bawelnianej sukience. Gospodyni przedstawiła ją jako lady Dinosaur z Nowej Zelandii, czyli Joan Whiffen. Okazało się, że pani Whiffen miała rankiem spotkanie z Cathie Perchwell.

- Pytała cię, czy jesteś szczęśliwa? - zagała Plum.

- Owszem - odparła lady Dinosaur. - Sama nie wyglądała na najszczęśliwszą, biedne dziecko. Te jej ciemne kręgi pod oczyma!

- Co jej powiedziałaś?

- Że jestem szczęśliwa. Natychmiast rzuciła burkliwe „Dlaczego?” Odpowiedziałam, że to, czym się teraz zajmuję, jest źródłem mojej radości i zadowolenia. Kiedyś byłam gospodynią domową, służącą dla własnej rodziny. Zwłaszcza gdy dzieci były małe, obowiązki pochłaniały mi większość czasu. Przy tym nie opuszczało mnie uczucie totalnego znudzenia. Dwadzieścia lat temu mój mąż odszedł na emeryturę. Zainteresował się geologią i zaczął uczęszczać do szkoły wieczorowej. Pomagałam mu. Tak zostałam paleontologiem amatorem. Nadal jestem odrobinę niedouczone, wiesz, nie mam żadnego uniwersyteckiego dyplomu ani mocnych listów polecających.

- To wszystko jest bez znaczenia - odezwał się opalony na brąz mężczyzna drobnej budowy ciała o białych, krótkich włosach, stojących sztywno jak na szczoteczce do zębów. - Po dziesięciu latach ciężkiej pracy Joan znalazła dowód na potwierdzenie tezy, iż na Nowej Zelandii żyły kiedyś dinozaury.

- Wykopywanie szczątków dinozaurów to chyba kosztowny interes - zauważyła Plum.

- Ależ nie, żyjemy bardzo oszczędnie. Nie wyjeżdżałabym za granicę, gdyby w Nowej Zelandii ludzie bardziej interesowali się paleontologią. Ale ponieważ tak nie jest, a ja lubię popularne wykłady, muszę pojeździć po świecie.

Mężczyzna ze szczoteczką do zębów na głowie roześmiał się głośno.

- Zapewne nie przypominasz mnie sobie - zwrócił się do Plum - prawda? Spotkałiśmy się dziesięć lat temu, w 1982 roku, na twojej pierwszej wystawie na West Endzie. Nazywam się Otto Talbot. Przyszedłem tam z Duggie Bomanem. Byłaś wtedy o wiele bardziej zdenerwowana niż dzisiaj.

*

Do trzeciej nad ranem Plum i Breeze zawieszali obrazy, zdejmowali, przynosili w nowe miejsca, znowu zawieszali i tak bez końca. Następnego dnia byli wyczerpani. Wieczorem, ubierając się na uroczyste otwarcie wystawy, pokłócili się o Lulu. Breeze podejrzewał, że ona wciąż bierze, i dlatego nie chciał jej widzieć na wystawie.

- Nie bądź głupi! Lulu nie ukończyłaby kursu administracji i nie dostałaby pracy w Birmingham, gdyby nie była czysta! - krzyczała Plum. - Zresztą już ją

zaprośiłam, więc zaniknij się! Nie denerwuj mnie! - Rozstrojona wylała na siebie przesadną ilość perfum. - Lulu przyjdzie. Nie zawiedzie mnie... Och, Breeze, śmierzdę teraz jak kokota z burdelu, ale jak wyglądam?

W ostatniej chwili ogarnęły ją wątpliwości co do ubioru. Christina, konsultantka do spraw mody, zabrała ją do „Swanky Modes” w Camden, gdzie nabyły szokująco różowy *bustier*, spodnie w mandarynkowym kolorze, kanarkowożółte pończochy i purpurowe buciki od Carmen Mirandy.

- Wyglądasz wspaniale.

Nie zabrzmiało to przekonywująco. Plum zbiegła do holu, gdzie czekali synowie. Jeszcze na schodach niecierpliwie rzuciła pytanie:

- Chłopcy, jak wyglądam?

Toby i Max podnieśli na nią oczy.

Mały Max odezwał się pierwszy:

- Nie wyglądasz jak moja mama. Wyglądasz jak pa... Toby, jak papuga, dobrze mówię?... Nie ksys, mammo!... Ucys nas, żeby mówić prawdę, a teraz ksysys...

Plum stanęły łzy w oczach. Wbiegła po schodach na górę, aby przebrać się w coś bezpieczniejszego.

Breeze próbował wytłumaczyć chłopcom, dlaczego mama zachowuje się w taki sposób.

- Dzisiaj obydwaj chcecie być eleganccy, prawda? Na mamy uroczystość.

Bracia zgodnie skinęli głowami. Obaj byli zachwyceni swoimi ubraniami. Dziesięcioletni Toby w czarnej skórzanej kurcie pełnej błyszczących zamków błyskawicznych przypominał miniaturkę zbira z motocyklowego gangu. Ośmioletni Max miał na sobie bluzę w kolorze khaki i długie spodnie, obcisłe od kolan po kostki, zakupione w sklepie z militariami Laurence'a Cornera, w którym Plum nabyła jednoczęściowe kombinezony. Zakładała je do malowania.

- Mama chce wyglądać wyjątkowo - wyjaśniał Breeze. - Mnie się wydaje, że wygląda cudownie, ale ona nie chce tego słuchać. Kiedy kobieta ubiera się do wyjścia i pyta: „Jak wyglądam?”, zawsze musicie odpowiedzieć: „Wspaniale!”

- Wyglądasz wspaniale! - wykrzyknęli posłusznie malcy, gdy Plum pojawiła się w holu. Ubrała się w kurtkę od munduru polowego, wykonaną z garbowanej skóry, spódniczkę mini, czarne pończochy i wieczorowe pantofelki. Taki strój wydawał jej się bezpieczniejszy.

*

Breeze jeszcze przed otwarciem wystawy zadbał o odpowiednie nastawienie krytyków, toteż wszystkie obrazy Plum, a zwłaszcza te trzymetrowe i większe, okazały się wielkim sukcesem. Na tle przyciszonych wyrazów aprobaty

wyróżniał się szorstki głos człowieka, który z całą pewnością był niemal głuchy, ale przy tym zbyt próżny, by nosić aparat słuchowy. Siedział w fotelu ustawionym na samym środku galerii, w miejscu, gdzie przecinały się drogi wszystkich zwiedzających. Jego znakomity, szyty na miarę szary garnitur nie był w stanie zamaskować słoniowatości sylwetki. Mężczyzna pokazał laską ulubione płótno Plum i wykrzyknął:

- Ten mi się podoba. Kupię go. Co o nim sądzisz, Otto? - Dźgnął końcem laski nogę stojącego przy nim strapionego, lecz uprzejmie uśmiechniętego młodzieńca. - Charles! Podaj mi drugie okulary, w tych oczy mi łzawią. Tylko mi nie mów, że nie zabrałeś moich zapasowych okularów! Dopilnuj, abym otrzymał mój uzgodniony rabat, a potem powiedz Stanleyowi, żeby za dwadzieścia minut był samochodem przez wyjściem.

- Dwadzieścia pięć procent muzealnego rabatu... wydaje się dużo, ale nadal jeszcze jest opłacalne - wyszeptał Breeze ni to do siebie, ni to do Plum. - To Douglas Boman. Chodź, przedstawię was sobie.

Plum zadrzała. Uprzejme zachowanie Douglasa Bomana wobec przelewających się koło niego wytwornych gości nie mogło zatuszować jego wrednego usposobienia. Instynktownie wyczuwało się w tym człowieku złośliwość i skłonność do brutalności, zwłaszcza gdy się widziało, jak trąca łokciem towarzyszącego mu młodego chłopaka, nerwowo przetrząsającego kieszenie w poszukiwaniu zaginionych okularów.

Uważnie przyjrzała się pasemkom szarych włosów gładko przylizanych na nagiej, pokrytej plamami czaszce, przyjrzała się zapadniętym policzkom po obu stronach wilgotnych, czerwonych ust. Więc ta przebrzydła kreatura jest krytykiem o światowej sławie! Ten antypatyczny staruch z oczami jak dwie oślizgłe ostrygi, schowanymi za grubymi soczewkami okularów... I pomyśleć, że to właśnie te oczy uznawano za „najlepsze oczy” dwudziestego wieku!

Każdy w tym biznesie znał historię Bomana. Na początku lat trzydziestych, mając dwadzieścia jeden lat, Douglas Boman odziedziczył po swojej ciotce skromną sumę pieniędzy. Nabywał za nie obrazy paryskich artystów, których znał osobiście. Byli wśród nich Picasso, Matisse, Braque, Kandinsky, Leger, Gris. Po pewnym czasie z kolekcją Bomana mogły równać się tylko zbiory niektórych muzeów, uchodzących za najlepsze na świecie. Rychło dał się również poznać jako właściciel niewyparzonego języka. Słał obelżywe listy wydawcom, pisarzom i uczonym, którzy ośmielili się wystąpić z krytyką organizowanych przez niego na całym świecie wystaw kubistów.

- Kim jest ten chłopak? - zapytała Plum, wskazując wzrokiem umęczonego młodzieńca. Staruch klepnął go w udo, dając do zrozumienia, by przesunął się na bok.

- To jego jedyny syn, a zarazem asystent bez pensji. Charley to miły chłopak, prawdziwy święty. Na pewno nie grzeszy siłą woli, inaczej nie

pozwolilby tak sobą pomiatać. Oczywiście Charlie doskonale zdaje sobie sprawę, iż będzie bardzo bogatym świętym, gdy stary wreszcie wyciągnie nogi. Zajmę się tym biedakiem, gdy ty będziesz oczarowywać Douglasa.

- Zabierz Charleya do Jenny - zasugerowała Plum, przywołując na twarz służbowy uśmiech.

Mężczyzna z włosami jak szczoteczka do zębów ucałował jej dłoń. Ukradkiem wytarła ją w spódnicę. Później Breeze uświadomił jej, że Otto Talbot był kochankiem Douglasa Bomana.

*

Posiłek zaserwowany przez lady Binger składał się z dość nieoczekiwanych dań. Plum miała nadzieję, że w tak gorący dzień podane zostaną jakieś lokalne specjalności Sydney, ostrygi lub jakaś ryba. Zamiast tego służący wnieśli wysmażony stek wołowy z gotowanymi warzywami, a potem deser, przypominający Plum tradycyjne brytyjskie ciasto z galaretką i jabłkami, jakim co niedzielę raczyła ją matka przez niemal czterdzieści lat.

Po posiłku lady Binger oprowadziła gości po mrocznych, zagraconych pokojach. Zachowywała się jak przewodnik w muzeum, ze swadą opowiadający o pieczołowicie ujętych w ramy obrazach. Obiekty jej admiracji były różnych rozmiarów i rozmaitej jakości. Wszystkie portretowały świat flory i wiele z nich było naprawdę pięknych.

Plum szczególnie przypadł do gustu obraz zawieszony u szczytu schodów, pastel pędzla Odilona Redona, przedstawiający młodą dziewczynę na tle rozkwitającego sadu jabłoni. Jeszcze jeden dobry pastel wisiał w sypialni lady Binger - żółte róże, szkic Fantin-Latoura. Buduar natomiast dostąpił zaszczytu goszczenia na ścianie ślicznej miniatury Israhela Isaaca z koszykiem bławatków.

- Ten ja znalazłem - wymamrotał Otto Talbot.

W gabinecie sir Erica zawieszono dwa malowidła holenderskich mistrzów z siedemnastego wieku.

- Hendrick de Fromantou - obwieściła lady Binger. - Zauważcie monogram HDF. Passiflora, tulipany i afrykański nagietek ogrodowy.

Plum precyzyjnie się na brzeg niewielkiej grupki zwiedzających i przysunęła się ku obrazowi. Był absolutnie genialny i niezwykle.

- Te obrazy nasycone są poważną symboliką - mruzczał Otto Talbot swym pedantycznym głosem. - Ten, na przykład, stawia cię przed wyborem: cnota czy występki? Występek reprezentowany jest przez robaka znikającego w jabłku.

Plum nie lubiła tego człowieka. Było coś zgrzytliwego w jego głosie: niby aksamitny i przymilny, lecz jednocześnie zdradliwy.

- Są warte cholerną fortunę - wyszeptał z przejęciem Talbot.

- Niektóre z nich - poprawiła Plum.

Grupa gości skierowała się do ostatniego, prostokątnego obrazu, mierzącego na przekątnej jakieś trzydzieści pięć centymetrów. W bladobrazowym wazonie stał wędnący tulipan, z jadowicie żółtymi płatkami, na brzegach podkolorowanymi umbrą. Otaczały go mniejsze tulipany i inne kwiaty - narcyz, kilka przebiśniegow, gałązki rozmarynu i niezapominajka. Na dole, po lewej stronie, tuż nad opadłym płatkami, wypisano datę 1629 i monogram. A więc Ambrosius Bosschaert Młodszy. Bezpośrednio nad monogramem zwykła mucha domowa kroczyła w stronę dużej żółtej gąsienicy.

Wstrzymawszy oddech, Plum przyglądała się malowidłu. Skoncentrowała się wyłącznie na odbiorze bodźców wzrokowych, wyłączyła inne zmysły.

- Gąsienica symbolizuje ziemski żywot człowieka - mruknął Otto za jej plecami. - Jest splamiony grzechem, lecz ostatecznym jego przeznaczeniem jest wstąpienie w Niebiosy. Gąsienica przemieni się w pięknego motyla.

Nawet Talbot nie mógł jej przeszkodzić w takiej chwili. A stało się tak dlatego, że naprężony jak struna zmysł malarza podpowiedział Plum, iż oto patrzy na jeszcze jeden falsyfikat.

Zapomniała o spacerze. Poczekała, aż wyjdą wszyscy goście, a potem powiedziała lady Binger, że pracuje z pewnym historykiem sztuki nad historią holenderskiej martwej natury. Chciałaby pokazać współpracownikowi fotografie dwóch obrazów z kolekcji.

Lady Binger wyglądała na zachwyconą. Zaproponowała nawet metryki do wglądu. Plum nie wierzyła własnemu szczęściu.

W następnej chwili euforia przygasła. Lady Binger zapytała bowiem o nazwisko współpracownika i wydawcę.

- Pracuję z profesorem Enid Soames z Courtauld - odparła Plum bez chwili wahania. Miała nadzieję, że lady Binger nie będzie tracić czasu na weryfikowanie tej informacji. - Na wydawcę wybraliśmy firmę Thames & Hudson.

Gospodyni rozradowała się jeszcze bardziej. Poprowadziła malarzkę do swego ponurego, zagraconego gabinetu. Podała miss Russell dwie beżowe teczki na akta i zostawiła samą w pokoju.

Plum pobieżnie przejrzała metrykę obrazu de Fromantou, a potem otworzyła drugą teczkę. Obraz Ambrosiusa Bosschaerta Młodszego został zakupiony w 1988 roku w „Forrestiere”, eleganckiej galerii mieszczącej się przy Avenue Matignon, tuż obok Faubourg Saint-Honore, paryskiego odpowiednika Bond Street w Londynie oraz 57 Ulicy i Madison w Nowym Jorku. W metryce najwcześniejszą datą był rok 1962. Bardzo wygodny wybieg falszerza - ostatnie lata można najłatwiej sprawdzić.

Otworzyła metrykę na stronie zawierającej listę wystaw, na których rzekomo obraz był pokazywany. Galeria Eugene Bartot, Londyn 1951. Holenderscy i flamandzcy mistrzowie pędzla, Utrecht 1960, w katalogu numer 18. Galeria Lorenza, Amsterdam 1964, w katalogu numer 7. Informacje o obrazie zawarto w *Głównych trendach malarstwa holenderskiego* Sondheima, wydanie z roku 1962 roku, strona 9.

Plum wiedziała, że Galeria Bartot została zlikwidowana ponad trzydzieści lat temu. Książka Sondheima -jeśli w ogóle kiedykolwiek istniała - na pewno od dawna była już nieosiągalna, co tłumaczyło, dlaczego fałszerz wybrał właśnie ją.

Plum starała się, idąc za Stephanie, odnaleźć ukryte poszlaki. Suzannah i Cynthia nabyły obrazy za pośrednictwem firmy Maltby'ego, mającej siedzibę na Bond Street w Londynie. Obraz Suzannah został odkupiony przez Maltby'ego od anonimowego właściciela, bez dokumentów wcześniejszych transakcji. Obraz Cynthii pochodził z aukcji w Brighton -firma Borden & Plow sprzedawała malowidło w imieniu anonimowego właściciela, także bez dokumentacji innych transakcji.

Obraz wystawiany w galerii Schneidera na 57 Ulicy pochodził z francuskiego domu aukcyjnego Levi-Fontaine'a. Tu dokumentacja prezentowała się równie ubogo, zawierała tylko belgijski rachunek z 1911 roku. Schneider zakupił obraz w Paryżu. W Paryżu dokonano też zakupu obrazu lady Binger - oto wąta poszlaka.

W pokoju pojawiła się gospodyni, by zakomunikować:

- Otto Talbot zaoferował, że odwiezie panią do „Regent”. Jest już dość późno...

Plum zamknęła teczkę.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, abym skopiowała te dokumenty?

- Och, w archiwum na pewno mamy jakieś kopie. Powiem księgowemu, żeby jutro przesłał je pani do hotelu.

- Czy miała pani kiedykolwiek problemy z wysyłką obrazów? - spytała Plum, zmierzając do wyjścia. - Podczas transportu moich obrazów do Australii jeden z nich został niemal zniszczony.

- Sir Eric, gdy tylko miał jakieś obrazy do przetransportowania z Europy, zawsze korzystał z usług „Colombe”. Ma biura w Paryżu. Nie znalazłam lepszej firmy. Z czystym sumieniem mogę ją pani polecić.

Otto Talbot prowadził czarnego jaguara sovereign, będącego tutejszym symbolem wysokiej pozycji społecznej. Samochód tej marki kosztował na antypodach trzykrotnie więcej niż w Wielkiej Brytanii.

- Czy nie za chłodno? - upewnił się Talbot, ustawiając klimatyzację. Jechali przez jakiś czas w milczeniu, aż w końcu mężczyzna odezwał się nadspodziewanie ostro: - Chyba nie chciałaś starszuszki zdenerwować? O co ci chodziło? Jest szczęśliwa w tej swojej rupieciami i niech tak zostanie.

- Nie powinieneś tak mówić. Owszem, dziwaczny to zbiór, ale niektóre z tych obrazów są bardzo dobre.

- Stara Bingo woli myśleć, że wszystkie są dobre. Zauważyłem, że przyglądałaś się temu Ambrosiusowi. Masz dobre oko. - Spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - I, jak sądzę, wolałabyś je zachować w takim stanie.

- Co to ma znaczyć?

Plum momentalnie przypomniała sobie, co czuła w Nowym Jorku po otwarciu koperty z anonimem. Zupełnie jakby nagle stanęła nad czarną, bezdenną przepaścią.

- Chodziło mi o to, moja droga - odparł aksamitnym głosem - że aby utrzymać dobre oko w należytej formie, trzeba nieustannie ćwiczyć. Wszyscy musimy dbać o to, czym nas Bóg obdarował. Czyż nie?

- Czy lady Binger nabyła tego Ambrosiusa za twoim pośrednictwem?

- Nie. Lecz nie zmienia to faktu, że wiele kupuje za moim pośrednictwem i nie mam zamiaru jej denerwować. - Zabrzmiało to cokolwiek dyktatorsko. Jaguar podjeżdżał już pod hotel, Talbot spojrzął na Plum spode łba i groźnie dokończył: - Więc nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Malarka ponownie poczuła wędrujący w dół pleców niemły dreszcz, który nie miał nic wspólnego z klimatyzacją w samochodzie. Ten człowiek po same uszy tkwił w interesach i miał swoje powody, aby z niechęcią patrzeć, jak wścibska baba miesza mu szyki. Te same powody, dla których Breeze nie chciał słyszeć o jakimkolwiek śledztwie.

Och, do diabła z Otto Talbotem! Nie pozwoli mu się zastraszyć. Wykluczone! Plum z determinacją przemaszerowała przez elegancki, wykładany marmurem hol i podeszła do kontuaru hotelowej recepcji. Poprosiła, by odwołano jej rezerwację na lot do Londynu. Miała zamiar polecieć przez Paryż.

Rozdział trzynasty

Plum zatelefonowała do Lulu jeszcze z hotelowego westybulu, ale nikt nie podnosił słuchawki. W Londynie była wprawdzie trzecia nad ranem, ale Lulu trzymała telefon przy łóżku. Coś musiało się stać. Chcąc ukoić nerwy po oficjalnym przyjęciu i przejażdżce jaguarem zdecydowała się na krótki spacer.

Na Bridge Street zatrzymała się przed oknem wystawowym pewnej galerii sztuki. Wewnątrz kobieta ubrana w proste jedwabne spodnie przykłęka na podłodze, by wydobyć z paczki rzeźby przedstawiające zwierzęta. Za jej plecami wisiał na ścianie wielki wspaniały obraz, abstrakcja, na którą składały się żółte i różowe kropki. Malowidło posiadało w sobie radość i bez troski czar, rozpalalo je niezwykle wewnętrzne światło, a przy tym wszystkim nosiło wyraźne ślady doskonałego warsztatu twórcy pewnego własnych uzdolnień. Gdy patrzyło się na płótno dłużej, wzrok odnajdował ukryty, tajemny wzór. Plum poczuła nagle, że to przeznaczenie podsunęło ten obraz, przesyłając jakiś niejasny przekaz. Pchnęła drzwi i weszła do galerii.

- Autorką jest Emily Kngwarreye. Ma osiemdziesiąt lat, a zaczęła malować dopiero trzy lata temu. - Kobieta w jedwabnych spodniach przysiadła na piętach. - To panorama pustyni widzianej z lotu ptaka w Czasie Marzeń, w którym, zgodnie z wierzeniami aborygenów, została stworzona Australia.

- A ten zamaskowany wzór?

- Ach, to tak zwane linie pieśni. Tworzą one sieć niewidzialnych ścieżek pokrywających cały kraj. Każda ścieżka odpowiada jednej tajemnej sakralnej pieśni, śpiewanej przez aborygenów podczas obrzędów ku czci przodków i ziemi, na której żyją. - Podniosła się i otrzepała kolana z kurzu. - Więcej nie potrafię pani powiedzieć. Biali ludzie nigdy nie pojmą, co ten obraz przedstawia.

- Jedno wiem na pewno: namalowała go szczęśliwa osoba. Ile kosztuje?

- Dziesięć tysięcy dolarów. - Kobieta zaśmiała się. - Biali drwią z aboryge-

nów i wyszydają ich za analfabetyzm, a potem wpadają we wściekłość, gdy słyszą, ile muzea skłonne są zapłacić za obrazy tych niecywilizowanych ludzi.

- Kupię go. - Breeze targowałby się... - Chciałabym też spotkać się z artystką.
- To niemożliwe. Emily mieszka w Utopii, na terenie Północnego Rezerwatu.
- Nie mam nic przeciwko odwiedzinom w Północnym Rezerwacie.
- Nie wpuszczą pani. Jedną z zasad, na jakich opiera się funkcjonowanie rezerwatu, jest niewpuszczanie na jego teren żadnych obcych. Aborygeni mogą żyć tak, jak żyli w czasach sprzed przybycia białych. Polują, łowią ryby, zbierają owoce, a potem malują, rzeźbią albo zajmują się tkactwem. Wieczorami śpiewają i tańczą.

No, cóż... - pomyślała Plum. - Czyż Emily nie prowadzi doskonałego życia?

*

Z ulgą weszła do chłodnej oazy zielonej gęstwy Ogrodu Botanicznego. Zsunęła buty i spacerowała wokół krzewów, pod tropikalnymi drzewami, omijając błyszczące skały nefrytów i malachitów. Zdawało jej się, że rozpoznaje nie spotykane w średnich szerokościach geograficznych gumowce, wśród kamieni mogły znajdować się cytryny... Jednak myślami była przy swej przyjaciółce. Martwiła się o Lulu.

W 1984 roku, krótko po tym, jak Plum i Breeze postanowili się pobrać, Plum usłyszała dzwonek do drzwi. Otworzyła je i na progu zastała zalaną łzami Lulu. Porwała pudełko chusteczek higienicznych i zaciągnęła przyjaciółkę do windy.

Na górze, w pracowni, Lulu obejrzała w lustrze swoje brudne, potargane włosy oraz bladą, pokrytą krostami twarz.

- Jestem ruiną- powiedziała. - Kokaina chyba nie wpływa najlepiej na cerę.
- Lulu, jak to się stało?
- Sama się zastanawiam - odrzekła Lulu drżącym głosem. - Z początku w Birmingham wszystko szło wspaniale. Ale pewnego dnia koleżanka powiedziała mi, że nie mam żadnych szans na awans. Nie można zostać dyrektorem u Tate'a, jeśli nie było się wcześniej w Oxfordzie. Jeżeli nie obracałaś się w odpowiednich kręgach, o dobrej pracy mogłaś dowiedzieć się, gdy stanowisko zostało już zajęte.

- Przecież kiedy odwiedziłam cię, wszyscy wyrażali się o tobie jak o bardzo obiecującej, energicznej pracownicy. Miałas przed sobą przyszłość!

- O tak, praca była naprawdę interesująca. Lubiłam ją. - Wciąż patrząc na upiornie bladą twarz w lustrze znowu zaczęła płakać. - Na jednej z zorganizowanych przeze mnie wystaw pojawili się Nigeryjczycy. Przynieśli ze

sobą odrobinę kokainy. - Odwróciła wzrok od lustra. - Plum, byłam bezsilna.

Bezsilna! Wiedziałam, że na nowo rujnę sobie życie... Ale nie byłam w stanie odmówić... I tak, ziarnko do ziarnka, aż dzisiaj rano... zostałam wylana!

Jakaś magnetyczna siła udręki ściągnęła jej wzrok z powrotem do lustra.

- W pociągu do Londynu myślałam tylko o jednym: zmarnowałam dziewięć lat! Ty zdobyłaś wielką sławę, nawet Jenny jest znaną malarką. Ja jestem nikim! Co ja zrobiłam ze swoim życiem? Jak mogłam do tego dopuścić?

Wyrwanie Lulu ze szpon nałogu zajęło tym razem sześć miesięcy. Jej rodzice, z pewnymi oporami, postanowili nie wspierać córki finansowo. Mieli nadzieję, że ściągną ją tym sposobem do domu, gdzie będą ją mieć na oku. Ale tego akurat Lulu najbardziej chciała uniknąć. Chwytała się wszelkich zajęć; pracowała w segregatorni, w dziale spedycji mrożonych kurczaków i w innych miejscach, gdzie oferowano dorywcze prace na niepełnym etacie. Ostatecznie znalazła pracę, która jej odpowiadała - została sekretarką grafologa pracującego dla agencji pośredniczącej w zatrudnieniu. Niestety, było to tylko czteromiesięczne zastępstwo za kobietę, która chwilowo przebywała na urlopie macierzyńskim.

*

W rok po ponownym zamążpójściu Plum Jim także stanął na ślubnym kobiercu. Jego nowa żona miała na imię Sally. Była osiemnastoletnią studentką, o której Jim mówił, że jest „prawdziwą kobietą”.

- Więc kim według niego ty jesteś? Szympanisicą? - Jenny spotkała Sally na jakimś przyjęciu w Portsmouth. - Jim nie wiedziałby, co począć z prawdziwą kobietą. Byłby przerażony. Woli dziecinne szczebioty Sally. Jest drobną, cichutką dziewczynką, z poważnymi, brązowymi oczami, a przy tym pokorną i uległą, jak ty kiedyś.

- Jenny, kochanie, ty zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć.

Plum nie mogła przekonać Breeze'a, by wystawił prace Jenny. Stawała na głowie, przymilała się i nie mogła osiągnąć choćby tego, aby pomógł Jenny wystawić prace w innej galerii. Nie zamierzał dla niej nawet kiwnąć palcem.

- Ciesz się, że Jenny udało się sprzedać kilka obrazów - powiedział żonie pewnego wieczora, rozpinając koszulę. - Niestety, ona nigdy nie będzie miała dobrych recenzji. Nie mam zamiaru rujnować sobie dla niej zawodowej reputacji.

Plum oparła się o francuskie haftowane poduszki. Tonem łagodnej perswazji odrzekła:

- W jaki sposób może to zrujnować...

- Wiesz równie dobrze jak ja - przerwał Breeze, zdejmując koszulę - że technicznie prace Jenny są wyśmienite, ale trącą myszką. Jej ponure krajobrazy wyglądają jak brudne, wygniecione, połatane kapy, a szarzy, tekturowi ludzie, których maluje, nie potrafią zdaje się żreć i srać, nie wspominając o kochaniu lub nienawidzeniu kogokolwiek. Są jak Jenny, spięci i chorzy nerwowo. Jeśli o tym wszystkim zapomnieć, Jenny jest największym odkryciem od czasów Botticellego.

- Jenny ciężko pracuje - błagalnie tłumaczyła Plum. - Jest zawzięta, zdeterminowana. Przecież często powtarzałeś mi, że aby sukces był możliwy, talent należy wesprzeć determinacją.

Breeze zarzucił spodnie na oparcie fotela.

- Owszem, ale determinacja bez talentu na nic się nie zda.

- Dlaczego jesteś wobec niej tak surowy?

- Dopiero po dwóch latach szkoły dotarło do mnie, że jestem bardzo zdolnym młodym człowiekiem, ale, niestety, brakuje mi talentu. Zdecydowałem więc, że mogę zrobić karierę tylko w jakiejś pobocznej dziedzinie, i jestem szczęśliwym dealerem zamiast drugorzędnym malarzyna, żyjącym z pretensjami do całego świata. Jenny też mogłaby znaleźć sobie inne zajęcie. Nie tylko na samym szczycie jest zabawnie.

Zdjął slipy i wskoczył do łóżka.

Przez dwa lata Lulu zmieniała pracę za pracę, lądowała w klinikach na odtruwaniu, aż w końcu na wigilijnym przyjęciu w 1986 roku poznała Bena. Szczupły, ciemnej karnacji, zawsze miał na ustach charakterystyczny, sardoniczny uśmiech. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

- Jest fantastycznym kochankiem - pochwaliła go Lulu w rozmowie z Plum. - Wcale nie musiałam go instruować.

Benowi udało się wyrwać Lulu z narkotycznego nałogu. Poradził sobie tak dobrze, że Plum i Jenny zastanawiały się, czy przypadkiem nie miał kiedyś podobnego problemu. Przekonał Lulu, by rzuciła pracę - polegającą na wypisywaniu faktur w fabryce przetwórstwa rybnego - i zaczęła malować. Ben miał dobrze płatną pracę - był inżynierem dźwięku w wytwórni płytowej, wydającej nagrania muzyki pop - mógł więc utrzymać ich dwoje z własnej pensji. Pragnął tylko jednego: szczęścia Lulu.

Pobrali się rok później, tuż przed trzydziestymi pierwszymi urodzinami panny młodej. Jej rodzice mieli ochotę skakać z radości i ulgi, gdy machali na pożegnanie nowożeńcom wyruszającym w podróż poślubną na Jamajkę. Ben był starszy od Lulu o dziesięć lat, miał stałe źródło dochodów, no i był Żydem. A pięć miesięcy później urodził się Wolf.

W następnym roku wszystko wskazywało na to, że i dla Jenny zagrają weselnego marsza. Jej burzliwy romans z Charleyem Hawtrey-Jonesem był starannie ukrywany przez całą Londyn przed ojcem Charleya. Sam Charley nie potrafił utrzymać łap z dala od ponętnych, obfitych kształtów Jenny, a posiadanie ich na własność podbudowywało jego podupadłą miłość własną. Wydawało się, że obydwójce żeglują wprost do urzędu stanu cywilnego, gdy nadeszło lato 1988 roku. Ojciec Charleya znalazł w kieszeni synowego płaszczu jeden z listów Jenny. Po niezmiernie awanturze, wszelkich możliwych groźbach i prośbach, na jakie było stać starego arystokratę, Charley poinformował Jenny, że nie mogą już się spotykać. Nie chodziło o to, że była złą partią, skądże! Po prostu Charley został siłą zmuszony do złożenia przysięgi, że dopóki ojciec żyje, on nie wstąpi w żaden związek małżeński.

- Siłą zmuszony? - zapytała Jenny z goryczą. - Raczej przekupiony.

Nigdy nie została tak głęboko zraniona. Nikt tak zdradziecko jeszcze jej nie zawiódł. Na dwa lata wypadła poza nawias życia towarzyskiego. Plum i Lulu próbowały włączyć ją we własne życie rodzinne, lecz oglądanie z bliska małżeńskiego szczęścia przyjaciółek tylko pogłębiało jej żalotną samotność. Jeśli chodzi o mężczyzn, Jenny stać było wyłącznie na angażowanie się w krótkotrwałe związki, skazane na rychły finał: rozstanie.

W 1990 roku zmarła babka Jenny. Zostawiła wnuczce spadek, sumę wystarczającą na nabycie słonecznego mieszkania w domu z epoki Edwarda VII, którego okna wychodziły na ogrody Notting Hill. Po przeprowadzce Jenny nieco się rozpogodziła. Miała teraz piękny dom... brakowało tylko mężczyzny, z którym mogłaby go dzielić.

Wieczór w Sydney był gorący i wilgotny jak cały mijający dzień. Wróciwszy do hotelu, Plum pomyślała, że skoro nie może dodzwonić się do Lulu, powinna zatelefonować do Jenny, a ona sprawdzi, co się stało.

W recepcji czekała na nią kolejna koperta. Rozdarła ją, spodziewając się wiadomości od Lulu. Jednak to nie ona próbowała się z nią porozumieć. Zgodnie z notatką telefonowała pani Phillips.

Plum w pośpiechu skierowała się do wind. Dlaczego jej matka postanowiła zrobić użytek z telefonu o piątej nad ranem brytyjskiego czasu? Mógł być tylko jeden powód. Wypadek! Toby albo Max! Któryś z nich na pewno miał wypadek!

Czekając na windę robiła w myślach przegląd wszystkich poprzednich wypadków. Toby wypadł z górskiego wyciągu krzeselkowego i złamał

obojczyk. Max prawie utopił się na basenie Swiss Cottage. Niewiele brakowało, by Toby puścił z dymem kuchnię. Max wypadł z okna na pierwszym piętrze. Im byli starsi, tym groźniejsze mieli wypadki. Matka Plum twierdziła, że powyższa prawda odnosi się do wszystkich dzieci. Rodzice martwią się, a one ani trochę. Ta niewidzialna pępowina wiąże obydwie strony już na zawsze.

Plum stanęła przed drzwiami swojego apartamentu. Trzęsącymi się rękami sięgnęła do torebki po klucz i upuściła go na podłogę. Nie mogła trafić do dziurki, a kiedy ostatecznie jej się to udało, miała przez chwilę wrażenie, że zamek się zaciął. Dłonie trzęsły się jej jeszcze silniej, gdy wykreślała numer matki w Portsmouth, a potem słuchała kolejnych dzwonek. Drrrr... Drrrr... Drrrr... Może mama nie telefonowała z domu. Może... z jakiego szpitala?

Plum chciała już odłożyć słuchawkę i zadzwonić na posterunek policji w Portsmouth, gdy usłyszała głos matki:

- Halo? Byłam akurat w umywalni, kochanie, dlaczego dzwonisz?... Ach, tak, telefonowałam... Nie! Nic chłopcom się nie stało... Nie mogłam spać, chyba przez jakąś niestrawność. Wiedziałam, że w Australii jest środek dnia, więc podałam operatorowi na centrali numer twojej karty, tak jak mi mówiłaś. Chciałam zrobić ci niespodziankę... Nie, kochanie, nie chodziło tylko o to... Chciałam ci przekazać dobrą nowinę. Żona Jima urodziła wczoraj rano jeszcze jedną dziewczynkę, siostrzyczkę Melodii i Harmonii. Ma trzy kilogramy. Obie czują się świetnie. Czyż to nie miłe?

Pani Phillips czuła się zobowiązana do utrzymywania kontaktów z ojcem jej wnuków. Brała w tym względnie przykład z rodziny królewskiej. Kiedy lord Snowdon rozwiódł się z księżniczką Margaret, Królowa nie wyłączyła go z rodziny. Księżniczka Margaret mogła tylko sztucznie uśmiechać się i cierpliwie to znosić. Pani Phillips regularnie ucinała sobie pogaduszki z Jimem, nie mając zielonego pojęcia, że były zięć nienawidzi tych wymuszonych konwersacji.

- Jakie imię wybrał Jim tym razem? - zapytała Plum lodowatym tonem. - Rapsodia? Synteza?

- Norma. Byłoby miło, gdyby chłopcy wysłali swej przyrodniej siostrze bukiet świeżych kwiatów. Jim doceniłby pamięć.

Plum z obowiązku zapisała adres szpitala. Zdecydowała, że pošle jakąś krzykliwą wiązankę: jadowicie różowe gladiole, karmazynowe róże i żółte lilie. Jim będzie mógł docenić pamięć.

Nagle przyszła jej do głowy bardziej konstruktywna myśl.

- Mamo, czy ciocia Harriet nadal mieszka w Paryżu?... Masz numer jej telefonu?

Rozdział czternasty

Sobota, 18 stycznia 1992

Paryż przywitał ją mrozem. Gdy chwyciła klamkę drzwi samochodu, palce przyłgnęły do metalu, jak nasmarowane dobrym klejem. Wskoczyła w pośpiechu do taksówki i zanurzyła się w odorze, stanowiącym mieszaninę potu, gauloisów i Chanel nr 5. Dygotała z zimna. Jak najszybciej powinna zaopatrzyć się w zimowe ubranie. Breeze sądził, że takie ubiory nie będą jej potrzebne, toteż wysłał wszystkie ciepłe rzeczy do Wielkiej Brytanii.

Przechodnie, skuleni i opatuleni w futra, przelewali się szaroburą rzeką przez ośnieżone ulice miasta. Plum odruchowo pomyślała, że malując Paryż użyłaby właśnie różnych odcieni szarości: począwszy od ciepłych szarych barw gołębic piór, po czerń węgla drzewnego, a na okrasę odrobinę bladego błękitu na niebo, nieco mglistej lawendy z rozwodnionym fioletem oraz ciemną purpurę El Greco.

Dojrzała sklep z odzieżą. Poprosiła taksówkarza, żeby zaczekał, i pobiegła do sklepu. Kupiła długą do kostek czarną pelerynę andaluzyjskich pasterzy oraz dwie pary botków, dobranych kolorystycznie do swetrów - jednego w kolorze cyprysowej zieleni, drugiego o barwie ametystu. Założyła na siebie ametystowy komplet i poleciła taksówkarzowi zawieźć się na lewy brzeg Sekwany.

Ciotka Harriet mieszkała w walącej się kamienicy przy rue de l'Universite. Miała dwa pokoje na samym szczycie budynku, na który prowadziły kręcone schody chwiejące się przy każdym kroku.

Nim dotarła na najwyższe piętro, na klatce schodowej pod samym dachem pojawiła się silnie zbudowana kobieta, z czarnymi włosami przyciętymi na pazia.

- Cześć, Plum! W tej rodzinie ty jedna nie zachowujesz się tak, jakbym wam buchnęła skarbonkę.

Podkasała długą, purpurową spódnicę i zbiegła schodami w dół, na spotkanie z gościem. Pochwyciła wielkimi, topornymi dłońmi największą walizkę.

- Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? Ty też zwiłaś od tego wszystkiego? - Wykręciła swą długą szyję i spojrzała z góry na Plum. Jej brązowe oczy rozbłysły wesoło. - Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko spaniu w kuchni na łóżku połowym.

Niewielkie, przegrzane mieszkanie od podłogi po sufit zapelniały książki.

- Grzejniki chyba niedługo wybuchną, ale dozorca nie potrafi ich wyregulować - poinformowała ciotka Harriet. - Jeszcze u mnie nie byłaś, prawda? W zasadzie nie mam kuchni. Posiłki przygotowuję w saloniku. Teraz, gdy nie muszę gotować trzy razy dziennie, nawet to polubiłam... Przynrządę dla ciebie *cassoulet toulousain*, idealne danie na chłodny dzień... Walizki wsuń pod łóżko, gdzie indziej nie ma miejsca... Sypialnia stała się mikroskopijna, od kiedy mam to łóżo z baldachimem... To oryginalne łóżko z czasów napoleońskich. Kupiłam je na pchlim targu.

- Pojedyncze?

- Tak. Jasno wyraża moje intencje. Żaden Francuz nie będzie się kochać w pojedynczym łóżku. Są bardzo rozpuszczeni.

Wymęczona podróżą Plum wchłonęła trzy porcje *cassoulet* - wzmocnione wydobytymi z zapasów kawałkami kaczego mięsa i kielbaskami - a następnie prawie zasnęła przy stole. W ostatniej chwili ciotka przetransportowała ją do napoleońskiego łóża.

Niedziela, 19 stycznia 1992

Gdy się obudziła, w mieszkaniu nie było nikogo. Zrobiła sobie herbatę i zatopiła spojrzenie w ciemnoniebieskim wieczornym niebie, rozpościerającym się tuż nad pełnymi kominów dachami Paryża.

Ciotka Harriet wróciła z torbą prażonych orzeszków ziemnych.

- Lubiłaś je, gdy byłaś mała - powiedziała, wręczając torbę Plum. - Kto by wtedy pomyślał, że z tej małej niepozornej istotki wyrośnie słynna malarka... Pamiętasz tego obrzydliwego pieska Scottie, którego wyrzeźbiłaś w mydle? A to pudełko farb, które dałam ci na dziesiąte urodziny?

Ciotka zawsze ją obdarowywała, a prezenty nie należały do zwyczajnych. Znalazły się wśród nich tak nieodpowiednie dla młodej dziewczynki, jak kusza i frywolny staniczek. Zarówno ciotka Harriet, jak i Plum nie pasowały do reszty rodziny. Plum wiedziała, że może polegać na ciotce w sprawach, których nawet nie poruszała ze swoją matką.

Ciotka Harriet przygotowała dwa wielkie kieliszki czerwonego wina. Wręczając Plum jeden z nich, dojrzała na palcu klejnot.

- Ten pierścionek... Jest prawdziwy?

- A czy wyglądam na osobę, która mogłaby pozwolić sobie na prawdziwy brylant?

- Na taki raczej nie. Pewnie ktoś ci go podarował. - Ciotka zapaliła ostrego gitana i z przyjemnością zaciągnęła się gryzącym dymem. - Brylanty nie są najlepszymi przyjaciółmi dla dziewczyny. To raczej najlepsi przyjaciele mężczyzn. Zamykają kobiecie usta i dają mężom swobodę. - Oparła łokcie na drewnianym stole kuchennym. - Moja droga, zdobyłaś prawdziwą sławę, ale jakoś nie wydaje mi się, żebyś była bardzo szczęśliwa. Więc słucham, dlaczego mnie odwiedziłaś?

Plum opowiedziała o swym prywatnym śledztwie w sprawie fałszowanych obrazów. Ciotka Harriet wydmuchnęła nieudane kółko z dymu papierosowego i zapytała:

- Dobrze, ale dlaczego nie zatrzymałaś się w „Lancaster”? Czyż nie tam zawsze wynajmujesz pokoje?

- Zgadza się. Breeze lubi ten hotel.

Hotel „Lancaster” był zminiaturyzowaną wersją „London Connaught”. Artyści nie czuli się w nim nieswojo, co było nie do uniknięcia wobec przepychu „Ritza” czy bogactwa „George’a V”.

- Jak miewa się Breeze? - spytała ostrożnie ciotka.

Plum roześmiała się.

- Jestem bardzo zajęta, on też jest bardzo zajęty. Zostaję w domu sama, podczas gdy on rozbija się po świecie: Nowy Jork, Kolonia, Mediolan, Zurych, Madryt. Stara się w jednym tygodniu nie przebywać w więcej niż dwóch strefach czasowych. Życie Breeze’a to jego praca i vice versa. Ciągłe szuka czegoś lub kogoś. Ciągłe planuje planuje, planuje albo sprzedaje, sprzedaje, sprzedaje.

- To nie jest życie, to szarpanina!

- Breeze lubi ruch, zmiany, emocje.

Ciotka potrząsnęła głową z dezaprobatą.

- To nie dla ciebie. Mówiłaś mu o tym?

- Owszem, rozmawiamy, lecz nic konkretnego nie mówimy. Właśnie o tym chciałam z tobą pogadać.

Przez chwilę Harriet w ciszy zdejmowała szerniałe łupiny z orzeszków ziemnych.

- A więc szukasz nie tylko fałszerza?

- Nie tylko. Coś złego dzieje się z moim życiem. Chcę dowiedzieć się, o co chodzi.

- Jesteś zbyt blisko, aby to zobaczyć. Musisz nabrać dystansu i dopiero wtedy popatrzeć.

- Jak to zrobić?

- Po prostu zdecyduj, co lubisz robić, a czego nie lubisz. A potem zadaj

sobie pytanie, skąd się bierze akurat taki podział. Przelicz, ile kosztowałyby zajęcie się tym, co lubisz robić, w kategoriach pieniędzy, czasu i fizycznego obciążenia. Potem podejmij decyzję. Jeżeli nie lubisz własnego życia, zawsze możesz je zmienić. Niektórzy, zwłaszcza kobiety mojego pokolenia, sądzą, że jest to niemożliwe, ale nowa generacja kobiet nie ma takich uprzedzeń. Te młode dziewczyny odkrywają, że życie zawsze niesie ze sobą wybory i wolny człowiek ma prawo postąpić zgodnie z własną wolą.

- Przypomina mi się fragment pewnej sztuki: „Cały świat leżał przed nami otworem... i wybraliśmy Ruislip”. Zastanawiam się, dlaczego ty wybrałaś Paryż.

Nagły, niespodziewany rozwód ciotki Harriet z mężem i jej błyskawiczna przeprowadzka do Bournemouth sprawiły całą rodzinę w osłupienie.

- Dopiero w Paryżu tak naprawdę zaczęłam żyć - powiedziała Harriet, prostując się na krześle i zakładając dłonie za głowę. - Porzuciłam dziecinne koncepcje życia na męzowskim garnuszku, zapomniałam, jaką chciałoby mnie widzieć inni ludzie i odrzuciłam wszelkie oskarżenia o egoizm.

- Czasem zastanawiam się, czy nie jestem egoistką - zauważyła niezdeterminowanym tonem Plum.

- Łatwo możesz to sprawdzić. Jeżeli ktoś oskarża cię o egoizm, a ty czujesz się winna, wtedy na pewno nie jesteś egoistką. Egoiści nigdy nie czują wyrzutów sumienia. - Nalała sobie kolejną lampkę wina. - Miałam czterdzieści cztery lata, męża dentystę, czwórkę dzieci i dwóch wnuczków, lecz nigdy nie przeżyłam orgazmu podczas stosunku. Len wcale nie przejmował się tym, że nie osiągam szczytu. Ważne, że on ten szczyt osiągał. Pewnej nocy zdałam sobie sprawę, jak doskonale to oddaje istotę naszego małżeństwa... Zauważyłaś, do jakich sposobów uciekają się mężczyźni, aby kontrolować kobietę? Len wydzieliał mi pieniądze, dzięki czemu trzymał mnie krótko. Nie zauważyłaś, że mężczyźni pozwolą kobiecie korzystać z karty kredytowej albo zarzucają ją prezentami, ale nigdy, nigdy nie dadzą jej gotówki? Dlaczego? Bo gotówka to władza. A co oznacza władza? Wolność. To dlatego mężczyźni kładą łapę na gotówce.

Ciotka zapaliła gitane'a i zapatrzyła się w niebo za oknem. Lekko zachmurzone nabrało koloru indygo, a podświetlenie zimowym słońcem nadało mu dramatyczny wyraz.

- To wszystko zdecydowało, że opuściłam Lena, rozpoczęłam naukę języka francuskiego na Sorbonie i zostałam tłumaczką. Chciałam znaleźć coś, co dałoby mi prawdziwą radość.

- Z jakim skutkiem?

- Znalazłam.

- Co to jest? Co daje ci radość?

- Najróżniejsze rzeczy. Czasem dziwaczne. Słuchanie przez całą noc Sibeliusa. Zajadanie w łóżku, o drugiej w nocy, czekoladowego ciastka. Wizyta w klubie jazzowym. Późne wstawanie z łóżka. Robienie tego, na co

przyjdzie mi ochota i niepytanie nikogo o jego cholerne zdanie. Ku mojemu zaskoczeniu bardzo szybko poczułam się wolna. I stopniowo dotarło do mnie... kim naprawdę jestem. - Odsunęła swoje krzesło od stołu i wstała, by podnieść pokrywkę z glinianej wazy stojącej na zabytkowym piecyku. - Nasza zupa cebulowa jest już prawie gotowa. - Ze ściany, wykładanej niebieskimi kafelkami, zdjęła tarkę i poprosiła: - Skarbie, podaj mi ser. Leży tuż za tobą.

- Jesteś szczęśliwa nie mając żadnego mężczyzny na stałe? - Popchnęła po blacie stołu sporą bryłę gruyere'a. - Nie czujesz się samotna?

- Ani trochę. Teraz, gdy odnalazłam siebie, nie chcę ryzykować utraty tej zdobyczy. Poza tym byłam samotna już w małżeństwie. Czujesz się bardzo samotna, kiedy leżysz w łóżku obok mężczyzny, który powinien troszczyć się o ciebie, a któremu wcale na tobie nie zależy. - Szybkimi ruchami ścierała ser na tarce. - Zanim odeszłam, wyczyściłam muszlę klozetową jego szczoteczką do zębów. Nie powiedziałam mu o tym... na razie.

Obie roześmiały się, a potem jeszcze długo dyskutowały o poszukiwaniu szczęścia.

W poniedziałek - co nie jest niczym niezwykłym we Francji - sklepy były pozamykane na cztery spusty. Ciotka Harriet i Plum snuły się po mieście, robiąc zakupy przez okna wystaw sklepowych.

- Lewy brzeg Sekwany znam najlepiej - mówiła Harriet. - Jak większość paryżan, nie lubię oddalać się od domu.

Gdy przechodziły koło Debauve et Gallais, tonem przewodnika wycieczki informowała:

- To jest właśnie najlepszy sklep cukierniczy w Paryżu. Każdego miesiąca zaraz po wypłacie kupuję sobie torebkę rumowych truflii.

Na bulwarze Saint-Germain zatrzymała się przed sklepikiem Madeleine Gely. Zerkając do ciasnego wnętrza, mówiła:

- Sprzedają tutaj najwspanialsze parasolki na świecie. Widzisz tę szmaragdową, z rączką w kształcie papugi? A tę w błękitne pasy, z rączką w kształcie głowy kota? Kosztują wprost nieziemsko, ale są fantastyczne.

Jak się okazało, nie wszystkie sklepy były zamknięte. Hediard, sklep kolonialny, otworzył swe podwoje dla klientów.

- To miejsce pachnie jak prawdziwy sklep. Domy towarowe nie mają żadnego zapachu.

Plum zakupiła wszystko, co zachwalała ciotka Harriet, nawet kilogram ziarenek kawy w czekoladzie, *specialite de la maison*.

- Plum, jak ty się z tym zabierzesz do samolotu?... Och, to dla mnie?... Drogie dziecko, jesteś tak hojna!

*

O dziesiątej rano we wtorek, drżąc z zimna, którego nie była w stanie odegnać czarna peleryna, Plum stanęła przed szybą „Forrestiere” na Avenue Matignon. Wewnątrz walczył z zamkiem jasnowłosy asystent. Z uśmiechem wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że złośliwość rzeczy martwych jest czasem nie do pokonania. W następnej chwili rygiel ustąpił.

Większość zgromadzonych w galerii rzeźb i obrazów pochodziła z końca dziewiętnastego wieku. Najcenniejszym obiektem był autoportret Berthe Morisot. Żywa twarz młodej kobiety, częściowo skryta w cieniu słomkowego kapelusza, zdobionego fioletowymi wstążkami, wyrażała niezwykle melanz rozmarzenia i zuchwałości. Dobra praca, znamionująca perfekcyjny warsztat malarki - oceniła Plum.

Gdy oglądała obraz, zjawił się przy niej szczupły ciemnoskóry mężczyzna w eleganckim, szytym na miarę garniturze. Mógł być Arabem lub Grekiem. Miał pociągłą twarz o ostrych rysach, srebrnoszare włosy i czarne oczy, błyszczące jak dwie oliwki.

- Tak? - zapytał po angielsku.

Plum, powtarzająca w myślach frazy w języku francuskim, nagle popadła w bezzasadną irytację. Czyżby miała na plecach wypalony jakiś znak? Później okazało się, że mężczyzna wiedział też, zanim otworzyła usta, że nie przyszła do galerii, aby coś kupić.

Podenerwowana powiedziała:

- Chciałabym zasięgnąć pewnych informacji. Moja przyjaciółka z Australii, lady Binger... eehmm... prosiła mnie o tę przysługę.

- Znamy lady Binger. Czym możemy służyć?

- Przypomina pan sobie obraz Ambrosiusa Bosschaerta Młodszego, który sprzedaliście jej w 1988 roku?

- Doskonale go pamiętam. Sprzedaż sfinalizował mój kolega, monsieur Maurice.

Plum nagle straciła zimną krew i uśmiechając się nerwowo, wypaliła prosto z mostu:

- Chcę wiedzieć, gdzie go nabyliście. Lady Binger dała mi kopię metryki, lecz nie znalazłam w niej tej informacji.

W jednej chwili temperatura wewnątrz galerii spadła grubo poniżej tej, która panowała na ulicy.

- Do naszych obowiązków należy ochrona klientów - odparł oschle mężczyzna. - Zarówno kupujących, jak i sprzedających. Czasem najlepszym wyjściem jest nieudzielanie żadnych informacji.

- Przy okazji ochraniać też siebie - trzeźwo zauważyła Plum.

Wiedziała, jak to funkcjonuje. W przypadku jakichkolwiek problemów

z obrazem galeria zawsze może zasłonić się dobrem anonimowego klienta. Galerie nabywają obrazy od innych galerii, prywatnych handlarzy lub na aukcjach. Czasem zdarza się transakcja z kolekcjonerem, który pragnie uniknąć rozgłosu, a także niepotrzebnego zainteresowania fiskusa. Taki anonimowy klient, figurujący w papierach jako „prywatny kolekcjoner” albo „prywatny właściciel”, mógł skutecznie utrudnić prześledzenie najświeższej historii malowidła, mimo że bardziej odległe czasy były dobrze udokumentowane. Oliwkowe oczy świdrowały ją niechętnym spojrzeniem.

- Czy można wiedzieć, po co pani taka informacja?

- Chcę sprawdzić tę metrykę.

- Droga pani, na sprawdzenie obrazów przed ich zakupieniem poświęcamy w „Forrestiere” wiele tygodni, czasem całe miesiące.

Czuło się, że napięcie rośnie z każdym wypowiedzianym słowem.

Plum lekko kiwnęła głową. Wiedziała, że galerie często prosiły sprzedających o pozostawienie dzieła sztuki pod opieką deputowanego dealera, aby można było sprawdzić jego pochodzenie. Jeśli dealer wątpi w autentyczność obrazu, zwraca się o pomoc do muzeum lub też posyła fotokopię dzieła i jego metrykę znawcy przedmiotu.

Jeszcze dwieście lat temu muzea nie istniały, nie było też dealerów - pośredników, handlarzy dziełami sztuki. Ludzie kupowali obrazy bezpośrednio od malarza lub od prywatnego właściciela. Często sporządzali katalog najnowszych nabytków albo zwyczajny spis inwentaryzacyjny. Opis dzieł sztuki był pobieżny i niedokładny, a mimo to niejednokrotnie stanowił jedyne źródło informacji o przeszłości obrazu.

Przekopywanie się przez takie stare zapisy trwało zwykle wiele miesięcy. Gdy obraz znalazł już nabywcę, pośrednik mógł łatwo ulec pokusie szybkiego dobiecia targu. Tym bardziej że rywale nie zasypiają gruszek w popiele.

- Dlaczego chce pani sprawdzać metrykę, madame?

Jak owieczka weszła wprost do paszczy wilka. Powiedziała:

- Ponieważ mam podstawy, by sądzić, że wspomniany obraz nie jest dobry.

Czarne oczy mężczyzny rozbłysły złowrogo.

- W „Forrestiere” nie handlujemy złymi obrazami. Henri, proszę pokazać pani drogę do wyjścia!

Jasnowłosy asystent ponownie stoczył bój z mechanizmem, który zamykał przeszklone drzwi. Przepraszał skruszonym tonem.

- *Pas de probleme* - powiedziała Plum z uśmiechem.

Zamek jeszcze raz dał się pokonać. Asystent odwrócił się plecami do wnętrza galerii i przepuszczając Plum do wyjścia wyszeptał:

- Niech pani spróbuje u Monfumata na rue Jacob.

*

Porywisty wiatr uderzał w szare budynki drobnym, sypkim śniegiem. Gdy skręcała w rue du Faubourg Saint-Honore, wichur wdarł się pod pelerynę i w jednej chwili zmroził ją od stóp do głów. Niemal biegiem mijała sklepy i okutanych w grube palta przechodniów, gorączkowo zastanawiając się, dokąd wyemigrowali wszyscy taksówkarze. Nagle stanęła jak wryta.

Tuż przed nią ze sklepu „Hermes” wyszła kobieta o blond włosach. Miała na sobie długie do kostek, karmazynowe futro, dobrane pod kolor ciepłe buty i rękawice wyszywane sobolim futerkiem. Poprzedzał ją umundurowany posłaniec oraz dwóch pomocników sprzedawcy, dźwigających kunsztownie opakowane paczki, które zostały sprawnie umieszczone we wnętrzu limuzyny.

Plum szybko podniosła kołnierz peleryny tak, by zakrywał dolną część twarzy. Odwróciła się tyłem do kobiety, udając, że ogląda wystawę, zainteresowana szaleńczo kosztownymi dodatkami do smokingów. Suzannah Marsh była ostatnią osobą, którą chciała spotkać w Paryżu.

*

Na rue Jacob, znajdującej się na drodze powrotnej do rue de l'Universite, mieściło się mnóstwo małych, niedrogich antykwariatów. „Monfumat” był jednym z nich. U drzwi wisiał staroświecki dzwonek, którego dźwięczne tony powiadały o wejściu klienta. Niewielkie pomieszczenie pachniało pszczelim woskiem. Antykwariuszem okazał się wysoki, stosunkowo młody mężczyzna o wyglądzie atlety, ubrany w taki sam garnitur jak mężczyzna w „Forrestiere”. Pachniało to jakąś znową.

- Mam nadzieję, że mówi pan trochę po angielsku? - Uśmiechnęła się. - To dobrze... Jestem handlowcem. Oto wizytówka. - Wręczyła mężczyźnie wizytówkę Russell Gallery. - Spodobał mi się ten dzban na wystawie, z namalowanym jeźdźcem. Jaką ma cenę?

- To rzadki okaz, jeszcze z czasów Rewolucji. Ten jeździec należy do oddziałów rewolucjonistów. Widzi pani trójkolorową czapkę? Naprawdę cenna sztuka. U nas dwa tysiące franków. Dla handlowców dziesięć procent rabatu.

Kiedy odgarniał z czoła blond lok, przypatrując się jego pogodnej twarzy, Plum wyobraziła sobie, jak matka rozkazuje mu zatańczyć z panną, której on nigdy nie chce prosić do tańca.

- Przyzwyczaiałam się do dwudziestu pięciu procent.
- W takim razie... może piętnaście?

Zgodziła się. Podczas gdy mężczyzna zdejmował dzban z wystawy, prowadzili wesołą rozmowę o problemach językowych. Wspólnie doszli do wniosku, że jeśli ludzie mają dobrą wolę, zawsze są w stanie dojść do porozumienia.

Kiedy już na dobre zapanowała serdeczna atmosfera, Plum przeszła do ataku:

- Jest jeszcze jedna sprawa. Moja przyjaciółka z Anglii, historyk sztuki, profesor Enid Soames, prosiła mnie, abym pokazała panu tę fotokopię i zapytała, czy sprzedaliście ten obraz do „Forrestiere”. Jest on teraz własnością pewnej damy z Australii. W metryce jest podana nazwa podobna do waszej. Może ktoś popełnił zwykły błąd ortograficzny.

Młody człowiek obejrzał fotokopię pod lampą na biurku.

- Możliwe. Monsieur Monfumat jest teraz na nartach... Gdyby pani wróciła tutaj po lunchu, mogłaby pani zapytać Simona. To on zajmuje się obrazami.

- Zaraz po lunchu wyjeżdżam z Paryża. Byłabym wdzięczna, gdyby zajrzał pan do waszych rejestrów. - Wyjęła fotokopię obrazu z galerii Artura Schneidera. - Pani profesor chciałaby potwierdzić, że ten obraz również pochodzi z waszego sklepu.

- Czy dysponuje pani datami zakupu?... Może mogę pani pomóc...

Prawie godzinę zajęły mężczyźni poszukiwania właściwych kart rejestrów. Było już prawie południe, gdy wyszedł z kantorka, ściskając w dłoni dwa blankiety.

- Mam! - Wręczył Plum karty. - Widzi pani? Bosschaert został sprzedany „Forrestiere” w marcu 1988 roku. Nie mogę ujawnić ceny, rozumie pani... Natomiast obraz van Hulsdoncka został wystawiony na aukcji u Levi-Fontaine’a w lutym 1990 roku. W tym przypadku także nie wolno mi ujawnić ceny. Sądzę, że w Levi-Fontaine poinformują panią o wysokości ceny aukcyjnej.

- A gdzie wy nabyliście te obrazy?

- Ach, niestety, tego też nie mogę wyjawić. Dostawca zawsze ma prawo zachować anonimowość.

- Nieważne. Profesor Soames nie wymagała aż takich szczegółów.

Nie mogła liczyć, iż dowie się wszystkiego. I tak usłyszała wiele interesujących rzeczy. Wychodząc na śnieżną zadymkę pomyślała, że taktyka drobnych kroków też może przynieść sukces.

Wpadł a do pierwszej napotkanej restauracji, w pośpiechu zjadła omlét i wybrała się na poszukiwania firmy spedycyjnej „Colombe”. Taksówkarz nie znał drogi, dwa razy zatrzymywał się, aby zapytać o nią przygodnych przechodniów. Ostatecznie okazało się, że „Colombe” ma swą siedzibę po drugiej stronie Paryża, u podnóża Montparnasse.

Tuż po godzinie drugiej Plum stanęła przed wielkim magazynem. Na podjeździe załadunkowym stało kilka brudnych, ochlapanych błotem ciężarówek. Za rzędem widłowych podnośników widać było malowniczy barak recepcyjny połączony z głównym budynkiem. Wewnątrz magazynu, jak okiem

siegnąć, ciągnęły się stopy drewnianych skrzyń, ustawionych tak, by w alejkach pomiędzy nimi mogły jeździć transportery. Spomiędzy skrzyń kaczkowatym chodem wyszedł otyły Francuz.

- *Je peux vous aider?*

Niechlujna koszulka opinała się na gigantycznym brzuchu, wylewającym się na zasmarowane dzinsy. Obrazu dopełniały uwalane błotem adidasy. Ciemne, potargane włosy upchnął pod czerwoną baseballową czapkę, a nad ustami pysznił się sumiasty wąs, znakomicie pasujący do czarnych oczu.

Plum jeszcze raz użyła wizytówki Breeze'a.

- Na ogół korzystamy z usług „Momart”, ale mąż prosił mnie, bym sprawdziła waszą firmę.

Grubas wzruszył ramionami w typowy dla Francuzów sposób, rozkładając szeroko ręce.

- Co chce pani wiedzieć? - spytał po angielsku, czystym, południowołondyńskim akcentem. Widząc zaskoczenie klientki, wyjaśnił: - Moja żona pochodzi z Lambeth.

- Chciałam dowiedzieć się o ceny składowania i transportu.

- Każde zlecenie jest inne. Nie mamy ustalonego cennika na transport. Unormowane stawki dotyczą przechowywania i ubezpieczenia. Mogę przynieść pani tabelę opłat.

- Kiedy już skompletujecie ładunek, który ma być wysłany, na przykład, do Australii, gdzie go przechowujecie?

- Tutaj. Chyba że ładunkiem są *Słoneczniki* van Gogha. W takich przypadkach właściciel zdaje się na specjalistyczną agencję ochrony.

- Chciałabym obejrzeć wasze skrzynie.

Plum słyszała już jazgot, jeszcze zanim stanęli w progu warsztatu, gdzie składano skrzynie. Pomieszczenie przyjemnie pachniało świeżymi trocinami. Przekrzykując monotonne uderzenia aparatu do wbijania gwoździ, zapytała:

- Gdy dociera do was wartościowy obraz, jak wtedy postępujecie?

- Dysponujemy szczegółową procedurą ochrony. Oczywiście, iż nie jestem w stanie podać teraz drobiazgowego opisu, lecz zapewniam: nie spuszczaemy z oka żadnego wartościowego obrazu od chwili przybycia aż do chwili wyekspediowania. Zawsze czuwa przy nim „niańka” z ochrony. Na teren magazynu można wejść tylko za okazaniem przepustki. Strażnik sprawdza tę przepustkę, nim komukolwiek pozwoli wyjść z budynku.

- A nocą?

- Mamy wyszkolonych strażników z psami, gorącą linię telefoniczną czynną przez całą noc, linię alarmową podciągniętą bezpośrednio do posterunku *gendarmerie*, a do tego wykrywacze dymu i czujniki wilgoci.

- Nie ma żadnej możliwości, by obraz został... zamieniony na inny?

- Żadnej. Szef zatrudnia byłych konsultantów policji do spraw ubezpieczeństwa. Nie ma mowy o jakiegokolwiek amatorszczyźnie.

I to właśnie powinna sprawdzić. Jeszcze przez dwadzieścia minut zachowywała się jak potencjalna klientka, a potem podziękowała za wyczerpujące informacje.

- Przy okazji, podobają mi się pani prace - rzekł mężczyzna. - W zeszłym roku byłem na wystawie w londyńskiej galerii. Powodzenia na Biennale.

Plum z uśmiechem wyszła w lodowate objęcia zimy. Oczy z trudem przywykały do ostrego światła. Nagle wydało jej się, że widzi znajomą twarz. Momentalnie rozpoznała to lekko pucułowate oblicze, z przeredzającymi się na czubku głowy blond włosami. Doskonale znała też bezoprawkowe okulary.

Odwróciła się za ich właścicielem i zawołała:

- Leo!

Mężczyzna miał na sobie marynarkę w groszki, dżinsy i tenisówki. Jedna skarpetka była jaskrawego zielonego koloru, druga jadowicie różowa. Nie zatrzymał się. Wyglądało na to, że kieruje się do recepcji, lecz cel jego szybkiego marszu stanowiła wielka czerwona ciężarówka z brytyjskimi numerami rejestracyjnymi. Plum patrzyła za nim przez chwilę, potem ruszyła jego śladem. Miała absolutną pewność, że nie zaszła żadna pomyłka. Leo najwyraźniej był pogrążony w rozmyśleniach i nie dosłyszał wołania.

Tymczasem mężczyzna otworzył drzwi ciężarówki i wszedł na miejsce kierowcy. Niemal natychmiast ożył potężny silnik wozu.

Nagle Plum nabrała podejrzeń. Zatrzymała się i sięgnęła do torby po notes i coś do pisania. Torba jednak wysunęła się jej ze skostniałych rąk i spadła na ziemię.

Dzbanek! Leo wywietrzył jej z głowy. Ważne było tylko to, czy prezent dla Breeze'a przetrwał upadek. Pudełko wydawało się nienaruszone, więc może... Podniosła głowę akurat w porę, by zobaczyć, jak ciężarówka wyjeżdża z parkingu. Masywny pojazd znajdował się już za daleko, by odczytać numery rejestracyjne.

Podbiegła do drzwi baraku recepcyjnego, lecz miłośnik jej malarstwa gdzieś zniknął. Za to w biurze znalazła dwóch urzędników. Powoli dobierając francuskie słowa, zapytała:

- Kto był kierowcą tej czerwonej ciężarówki? Jakiś Anglik?

- Nie wiemy - wybełkotał jeden z nich. - Widzieliśmy go pierwszy raz w życiu.

Wściekła na siebie zatrzymała pierwszą lepszą taksówkę i kazała się zawieźć na rue du Bac, gdzie w sklepie z parasolkami kupiła dla ciotki Harriet chińskie arcydzieło w złotym kolorze, z rzeźbioną rączką w kształcie jaszczurki. Przez cały czas zadawała sobie pytania: dlaczego Leo jej unikał? Jakim cudem miał kluczyki do tej wielkiej ciężarówki? I co w ogóle robił w magazynach paryskiej firmy spedycyjnej znany brytyjski dziennikarz?

Rozdział piętnasty

Czwartek, 23 stycznia 1992

Taksówka jeszcze nie zdążyła do końca zahamować na Chester Terrace, gdy Breeze gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki.

- Gdzie, do cholery, się podziewałaś? Martwiłem się, prawie oszalałem!

Stał na marmurowych schodkach przed ich domem, pomiędzy dwoma stożkowatymi cisami w terakotowych donicach.

- Może zaczekasz, aż zapłacę za taksówkę? - Plum odliczała banknoty. - Nie dostałeś mojego faxu?

- „Zatrzymuję się na kilka dni w Paryżu”. Oto cały twój fax. Ani słowa po co to robisz. Nie zameldowałaś się w hotelu „Lancaster”. Mogłem się tylko domyślać, że rozbijasz się po Paryżu z jakimś międzynarodowym playboyem, poznanym w samolocie.

- Nie miałam takiego szczęścia. Zatrzymałam się, by odwiedzić ciotkę Harriet.

Podczas pobytu w Paryżu czuła się jak nieposlušna uczennica na wagarach. W szkole nigdy tego nie robiła. Dopiero teraz poznała smak tego zakazanego owocu, wyzwania i występku. Smak wolności.

- Skąd taka nagle chęć zobaczenia tej cholерnej ciotki, przecież tkwi ona w tym zakochanym Paryżu od trzech lat? - Z karykaturalną gracją sięgnął po walizki. - Mogę się założyć, że nie był to jedyny powód postoju w Paryżu!

- Nie byłam tam już pięć lat - powiedziała Plum ujmującym tonem. - Zapomniałam, jak magiczny urok ma to miasto. Fontanny na Place de la Concorde były zamrożone, ogrody Tuileries zasypane puszystym śniegiem. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w samym środku baśni Hansa Andersena.

- Oszczędź mi tych rewelacji. Nie weźmiesz mnie na te tanie sztuczki. Tym razem naprawdę mnie wkurwiłaś! - Rzucił walizki na marmurowe posadzki

i z hukiem trzasnęła drzwiami. - Dobra, wiem, że nie puszczałaś się na lewo i prawo. Już do mnie dotarło to i owo... - Nabrał powietrza i wrzasnął: - Chodziło o ten falsyfikat, prawda?! Plum nie mogła się zdecydować na jakąkolwiek reakcję.

- Ty głupia dziwko! - wydarł się Breeze. - Nie wiesz, że plotki docierają tu z Australii, nim miną dwadzieścia cztery godziny? Świat wielkich interesów jest bardzo mały! Otto Oz wisiał na telefonie, zanim ty wsiadłaś do samolotu!

- Otto Oz... Nie wiedziałam, że ten przebrzydły gnój ma takie przewisko. Na jego widok ciarki mi przechodziły po plecach. Nic mu nie powiedziałam!

- Nie musiałaś, wyczuł pismo nosem. To stary oszust, przebiegły lis. Niewykluczone, że sam zajmuje się fałszerstwami.

- To dlatego ostrzegał mnie, żebym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. A ja myślałam, że naogładał się powtarzanych w telewizji późną nocą starych filmów z Bogartem.

Breeze spurpurowiał na twarzy.

- Fałszerze obrazów to przestępcy, a przestępcy są niebezpieczni! Nie życzę sobie, byś snuła się po podejrzanych zaułkach Paryża!

Na pewno maczał w tym palce Leo. Plum prychnęła.

- A ja sobie nie życzę, żebyś traktował mnie jak dziecko!

- Masz cholerne szczęście, że jest ktoś, kto zadba o twój tyłek! Boże, jaka ty jesteś samolubna!

Plum przypomniała sobie słowa ciotki Harriet. Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Za plecami Breeze'a zobaczyła wychodzącą z kuchni Sandrę. Kobieta miała na ustach powitalny uśmiech, ale gdy tylko zorientowała się, co się dzieje, natychmiast wycofała się w bezpieczne zacisze kuchni.

Widząc niezrozumiałą radość żony, Breeze wpadł w furję.

- Co w ciebie wstąpiło? Na miłość boską, czego ty chcesz?

Plum ogarnęła wzrokiem przepych marmurowego holu.

- Jestem otoczona rzeczami, których ty chciałeś. Czasem czuję się jak jedna z twoich rzeczy. Złota gąska w pozłacanej klatce. - Spojrzała mężowi w oczy.

- Breeze, chcę tylko trochę czasu dla siebie.

- Do cholery! Objechałaś pół świata w tym swoim czasie!

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Na całe osiem lat podporządkowałam życie karierze. Dałeś mi szansę i starałam się ciebie nie zawieść. Pracowałam bez przerwy.

- Dlatego - wydarł się Breeze - że nawet tak tępa baba jak ty zrozumiała, że jest to jedyne rozsądne wyjście!

- Teraz muszę poświęcić nieco czasu na zastanowienie. Życie to coś więcej niż praca, zarabianie pieniędzy i pościg za sukcesem!

- Doprawdy?

- Proszę, traktuj mnie serio.

- Nie wiem, co cię opętało! Wydajesz się kimś zupełnie obcym. Nie poznaję cię!

- Chcę być inną osobą. - Zapomniała przygotowaną wcześniej mowę. Słowa same pchały się jej na usta: - Chcę czuć się pełną, zrównoważoną osobą. Teraz jestem wykoślawioną jednostką, której życie z jednej strony twardo opiera się na rzeczywistości, z drugiej znika gdzieś w urojeniach. Chcę dowiedzieć się, jaka jestem naprawdę.

Znaczyło to, że musi odszukać siebie w stosie masek, które przywdziewała, aby przypodobać się ludziom. Odszukać części tych masek, które stanowiły część jej istoty. Potem będzie w stanie określić, co chce w życiu robić, dlaczego chce to robić, jakie cele pragnie przed sobą postawić.

- Na przezwyciężanie kryzysu osobowości możesz poświęcić sobie tyle czasu, ile ci się zamarzy... ale po Biennale. W British Council czekają na ciebie już od kilku tygodni.

- Po Biennale zamierzam przestać robić to, czego życzą sobie inni. Będę robić to, co ja będę chciała.

- Z ochotą na to popatrzę! - warknął Breeze, wciąż gniewnie. - Do tej pory nigdy nie podejmowałaś żadnych decyzji!

- Chyba pora, abym nabrała nieco doświadczenia.

Mierzyl się wzrokiem.

- Co ci się nie podoba? - Westchnął. - Co złego w tym, że zrobisz to, czego ja chcę? Gdzie byłabyś teraz, gdyby nie ja? Wiem, co jest dla ciebie najlepsze.

- Breeze, od lat robię to, czego ty chcesz. Dlaczego teraz ty nie zrobisz tego, co ja chcę? Dlaczego nie pomożesz mi odszukać tych fałszerzy?

Milczał. Po bardzo długiej chwili, z wysiłkiem panując nad głosem, powiedział:

- Nie chcę, abyś miała cokolwiek wspólnego z fałszerzami, bo cię kocham i muszę czuwać nad tobą. Ale kapituluję. Możesz mieć tyle czasu, ile tylko zechcesz i kiedy tylko chcesz.

Wzruszył ramionami, a potem wyrzucił je w powietrze, w geście wyrażającym rezygnację. Plum roześmiała się.

- Wyglądasz teraz jak typowy Francuz. - Miała nadzieję rozładować napięcie. Nie cierpiała takich sytuacji, gdy zaraz po powrocie z podróży wpadała w burzliwą kłótnię. - Wiesz przecież, że na Biennale nie zawiodę cię.

Na twarzy Breeze'a wykwitł wymuszony uśmiech.

- Przepraszam, Plum. Naprawdę się martwiłem. Nie masz pojęcia, w co mogłaś się wplątać. Prowadziłaś do tej pory bezpieczne życie, a na zewnątrz, w wielkim świecie, nie zagrywa się czysto. - Przyciągnął ją do siebie i mocno ucałował. - Tęskniłem za tobą - wyszeptał, teatralnie przekrzywając głowę.

- Och, Rhett - mruknęła Plum, przypominając sobie „Przeminęło z wiatrem”.

Pochwyił ją w ramiona i wniósł po pięknych schodach na górę. Do sypialni.

*

Godzinę później Plum otworzyła oczy, ziewnęła, przeciągnęła się i leniwie rozejrzała po pokoju. Za szerokim oknem trzy nagie gałęzie rozłożystego drzewa tworzyły abstrakcyjny, czarny wzór na tle sinego nieba. Na przeciwległym ścianie...

- Obraz Emily! - Plum aż usiadła z wrażenia. Była zachwycona. - Właśnie tu miałam zamiar go zawiesić!

- Zbieg okoliczności - wymruczał sennie Breeze. - Przesyłka przyszła trzy dni temu, a dziś rano obraz wrócił od rzemieślnika z nową ramą. Musisz przyznać, że czasem spisuję się na medal... Hej! Co robisz? O nie, na pewno nie puszczasz się w Paryżu. Czy człowiek nie może odpocząć kilka minut?

Piątek, 24 stycznia 1992

Plum spędzała rano w kąpieli, podczas gdy Breeze, gołoc się tradycyjną brzytwą, układał porządek dnia. Tropił nieznanego szkic Richarda Diebenkorna wykonany farbami olejnymi do cyklu *Park oceaniczny*. Szkic trafił w ręce angielskiego przyjaciela malarza, prawdopodobnie na początku lat siedemdziesiątych. Breeze nie był przekonany co do jego autentyczności, ale tylko do chwili, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Mały pastelowy krajobraz południowej Kalifornii z brzegiem oceanu robił wrażenie delikatnej, wyważonej pracy, wykonanej ręką wyjątkowo wprawnego artysty. Niestety, właściciel zdawał sobie z tego sprawę.

Plum słuchała wywodów męża jednym uchem. W myślach układała dalszy plan działań w poszukiwaniu fałszerza. Postanowiła zatelefonować do Billa Hobbsa, lecz dopiero po wyjściu męża z domu.

Breeze potarł podbródek, sprawdzając jego gładkość, po czym spojrzał w lustrze na żonę.

- Och, jeszcze jedno... Będziemy chyba mieć nowy gatunek róży nazwany twoim imieniem. Niezły kasek dla prasy... Oczywiście z kolorem musimy być ostrożni. Trudno nazwać żółtą różę „Plum”...

Niemal do siebie Plum powiedziała:

- Rzeczywiście jestem tak dobra czy raczej należę do grona papierowych bohaterów lansowanych przez gazety?

Odwrócił się do żony z otwartą brzytwą z dłoni.

- Prasa może cię wylansować, ale na krótko. To, czy utrzymasz się na powierzchni, zależy już tylko od ciebie. - Jego głos ponownie był surowy, władczy. - Udział prasy zaoszczędza wiele cennego czasu. Dzięki niemu możesz dostać się na szczyt dużo szybciej niż większość kobiet. Weźmy na

przykład taką Gillian Ayres. Musiała wyżywić dwójkę dzieci. Nie mogła rzucić zawodu nauczycielki i poświęcić się całkowicie malowaniu, aż stuknęła jej pięćdziesiątka!

Powiedziawszy to wrócił do swoich zabiegów kosmetycznych przed lustrem. Teraz w ruch poszła bezzapachowa woda po goleniu Trumpera, nadwornego fryzjera.

Plum zadrżała. Malowanie było dla niej nieprzekładalną na słowa namietnością. Doskonale pamiętała, że gdy Breeze po raz pierwszy zasugerował małżeństwo, z zimnym opanowaniem uprzedziła:

- Kochanie, zanim powiem: tak, tak, tak!, powinieneś wiedzieć, że... och, nie powinnam nawet o tym myśleć, co dopiero mówić takie rzeczy, ale... nie chcę mieć więcej dzieci. Kocham Toby'ego i Maxa bardziej niż kogokolwiek na świecie, lecz nigdy już nie chcę być rozdarta pomiędzy dziećmi a malarstwo.

Ku jej radości Breeze bez namysłu przyznał jej rację.

A teraz nie była już tak gorąco wdzięczna losowi za zesłanie jej kogoś takiego jak Breeze. Nie wiedziała też, czy dziękować mężowi za drobniagowe usunięcie z drogi wszystkiego, co mogłoby odciągać ją od malowania. Po raz pierwszy - mimo że przerażały ją konsekwencje takich myśli - zdecydowała oddzielić wdzięczność i lojalność od miłości, a potem zadać sobie pytanie, którego zwinnie unikała od kilku miesięcy. Czy nadal kocha Breeze'a? Czy kiedykolwiek go kochała?

Na pewno nie kochała go miłością, którą darzyła dzieci - impulsywnym, gorącym uczuciem, spychającym cały świat na drugi plan. Jednak nikogo oprócz dzieci nie kochała taką miłością, nawet samej siebie.

Tak więc, czy go kochała? Po czym rozpoznałaby takie uczucie? Nigdy nie musiała udowadniać swej miłości, nigdy nie czuła potrzeby poddawania jej testom. Wiedziała, na czym polegałby najlepszy test. Tak jak w bajkach, powinna poświęcić dla ukochanego to, co ceniła w życiu najbardziej. Czy dla Breeze'a zrezygnowałaby z malowania? Wprawdzie była to ostatnia rzecz, której chciałby Breeze, ale nie miało to znaczenia. Zrobiłaby to?

Nie! Nie zrezygnowałaby z malowania dla nikogo.

Zadzwonił telefon. Namydloną dłonią sięgnęła po słuchawkę.

- Halo... Richard Stepman... British Council... Oczywiście, przypominam sobie pana... Tak, Breeze o tym wspominał... Może dziś po południu?

O trzeciej?... W mojej pracowni. Mam tutaj wszystko, co dotyczy prac.

Breeze, sięgając po szczoteczkę do zębów Philippe Starcka, uśmiechnął się do siebie.

Plum odłożyła słuchawkę. Zdmuchnęła z ręki kilka mydlnych baniek. Patrząc, jak unoszą się w powietrze, powiedziała:

- Richard Stepman... Chyba już go spotkałam na jakimś przyjęciu, ale opowiedz mi o nim coś więcej.

- Jest bliskim przyjacielem Charleya Bomana. Poznali się w Cambridge. Richard ukończył studia z zakresu historii sztuki w Marlborough, a teraz jest pupilkkiem szefostwa British Council. Typowy przedstawiciel sfer wyższych, zubożały angielski arystokrata. Ojciec, już nieżyjący, dosłużył się stopnia generalskiego w grenadierach. Matka często była obiektem zainteresowania dziennikarzy od plotkarskich kolumn. To Diana Stepman.

- Jasne. Słynne pięćdziesiąt złamanych serc. Obecnie jest chyba półinwalidką, prawda?

- Owszem. Artretyzm. To jednak jej nie przeszkadza być popularną w równym stopniu co dawniej. Co czwartek organizuje zebranka z piciem, *bottle party*. Richard zabrał mnie na jedno z nich, gdy ty byłaś w krainie Oz. - Breeze wylał na siebie wodę kolońską „Chypre”. - Mieszkają w okazałej rezydencji przy Gloucester Road. Muszą mieć uregulowane sprawy czynszu, bo Richard z trudem wysupłał pieniądze na domową pielęgniarkę.

*

Zwykle, gdy poznawała bliżej nowego mężczyznę, starała się go ocenić w imieniu swojej przyjaciółki w potrzebie. Inaczej mówiąc patrzyła na Richarda Stepmana tak, jakby robiła to Jenny. Winda zatrzymała się na poziomie pracowni i wyszedł z niej opalony, rosy, atletycznie zbudowany mężczyzna o sympatycznej twarzy. Szczególne wrażenie robiły wesole, błękitne oczy oraz ciemne, gładko uczesane włosy, odrobinę dłuższe niż u przeciętnego, ambitnego urzędnika państwowego.

- Cieszę się, że będzie pan opiekował się mną na Biennale - powiedziała na wstępie Plum.

Richard roześmiał się.

- Włosi są czarujący i kochają sztukę, ale nie lubią się przepracowywać. Będzie pani potrzebowała kogoś, kto ma doświadczenie w tego typu imprezach. Przyniosłem ze sobą gotowy plan do przedyskutowania. Spodziewamy się, że dostarczy pani wiele obrazów. Część z nich potrzebujemy jak najszybciej.

Idąc za Plum przekroczył próg pracowni i zmarł.

Stał oniemiały, ze wzrokiem gubiącym się w fantastycznych krajobrazach spłodzonych przez wyobraźnię malarki. Sielankowe, rozfalowane łanami zboża pola rozciągały się między mrocznymi puszczeniami i mglistymi górami. Strzeliste wieże i mury pałaców skrywały się w cieniu rosochatych drzew. Minarety, z kopułami w kształcie bulw cebuli, rzucały cień na żółte i zielone przestrzenie, pola pawiego błękitu i purpury, sfery cukierkowatego różu i karmazynu. Wszystkie delikatne budynki otaczały ogrody w mieniących się barwach, parki z brylantowymi kwiatami, sady z zadziwiającymi drzewami, uginającymi się pod naporem rozwiniętych kwiatów i dojrziałych owoców. Pod

architektonicznymi fantazjami rozlewały się lustra jezior, zapraszały tajemnicze cienie pieczar, a ponad nimi nocne niebo przecinały gwiazdne pociski meteorów.

- Wprowadziłam wrażenie perspektywy - wyjaśniła Plum. - Optyczny trzeci wymiar. Wszystkie nowe obrazy są przestrzennymi abstrakcjami, choć nadal mają swoje źródło w moich wewnętrznych nastrojach, w stanach umysłu.

- Są znakomite.

Richard usiadł na poplamionym farbami windsorskim krześle i powoli otworzył teczkę. Nie potrafił skupić się na pracy - oczy same wyrwały się do obrazów.

*

Po wyjściu Richarda Plum sprawdziła zapasy farb. Z przyjemnością wracała do pracowni, zwłaszcza że nic nie zaprzętało jej myśli prócz pracy nad nowym obrazem. Z rozkoszą odetchnęła zapachem terpentyny i lnianego oleju, a potem obejrzała płótno, nad którym obecnie pracowała. Ta błękitna plama w lewym górnym rogu wyglądała zbyt monotannie. Powinna być lekko stonowana zielenią i bladym fioletem. To pociągało za sobą konieczność przemalowania części stanowiącej szmaragdowy wzór na melonie. Kropki powinny być bardziej wyraźne, dobra byłaby zieleń wymieszana z kolorem cytrynowym... Fragment północno-wschodni płótna był zbyt ciemny, poza tym nie była pewna, czy podoba jej się kształt figur. Znajdą się tacy, co dopatrzą się ze dwudziestu symboli fallicznych, jak na pierwszym obrazie, który zawiesiła w dostojnych murach Akademii. Stanowczo powinna zredukować różowy obszar. Teraz wyglądał jak ryjek miss Piggy. Lepsza będzie ochra...

Dosłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Podbiegła do okna. Breeze właśnie wsiadał do swojego lamborghini. Mogła spokojnie zatelefonować do Billa Hobbsa. Nikt nie podnosił słuchawki, co znaczyło, że będzie musiała po południu przejść się do jego pracowni i zostawić wiadomość. Miała nadzieję, że nadal mieszkał przy Armada Road. Jeśli wciąż jeszcze zajmował się malarstwem. Bill miał teraz chyba siedemdziesiąt lat, a od pewnego czasu coraz częściej marudził o odejściu na emeryturę. Chociaż, na dobrą sprawę, powtarzał to od piętnastu lat, od samego początku, gdy Plum zaczynała dla niego pracować.

Nagle misterna sieć jej myśli została rozdarta przez natrętne brzęczenie telefonu. Dzwonił Max. Tak, podobał mu się stypendialny kurs. Tak bardzo, że definitywnie postanowił zostać garncarzem. Czy mógłby podczas przerwy świątecznej zainstalować w piwnicy domu koło garncarskie? Mamo, jesteś wspaniała! Dzięki, muszę lecieć...

Plum zaczęła przygotowywać zamówienie dla dostawcy farb, gdy rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Ktoś zawołał ją po imieniu. Natychmiast rozpoznała głos: to Lulu. Sandra wyszła na zakupy, więc jedynie Plum mogła wpuścić przyjaciółkę.

Lulu rzuciła się jej w ramiona.

- Nie przyprowadziłam Wolfa, przeziębili się... Och, jaka śliczna pelerynka!

Mogę przymierzyć?

Zdjęła nową czarną pelerynę Plum z oparcia stojącego w holu fotela.

Peleryna sięgała Lulu tylko do połowy łydek.

- Czyż nie jest fantastyczna?

Zawirowała w niej, jak pełna energii nastolatka, dziewczyna podekscytowana swoim pierwszym baleem.

Plum obrzuciła spojrzeniem kruczoczarne włosy przyjaciółki, fioletową spódniczkę i ciemnozielone buty.

- Wyglądasz w tej pelerynie jak Dorelia Augustusa Johna. Jak półkrwi Cyganka, romantyczna dusza. Zatrzymaj ją.

- Plum, jesteś aniołem!... Od lat nie miałam tak wystrzałowego ciucha... Nie przypuszczałam, że twoje rzeczy mogą na mnie pasować... Jesteś pewna, że mogę ją wziąć?

- Jestem pewna - skłamała Plum.

Lulu podeszła do wielkiego lustra w holu i nakryła czarne, kręcone włosy kapturem. Jej twarz, rozjaśniona radosnym podnieceniem, znowu miała dawny kremoworożowy kolor, usta odzyskały wiśniową barwę, a szare, ponownie czyste oczy patrzyły spod czarnych kresk brwi. Kości policzkowe nie napinały już skóry. Od czasu, gdy poślubiła Bena, nie przeżyła żadnego załamania. Nie znaczyło to, że była całkowicie wyleczona. Nikogo nie można wyleczyć w sposób absolutny.

- Chyba zakocham się w sobie - zaśpiewała Lulu, tańcząc po całym holu.

Wysoka, zwinna postać, czarna plama na tle białej, marmurowej posadzki, wirująca pod żyrandolem.

Nagle stanęła w miejscu.

- O mój Boże! Nie powiedziałam ci! Jak mogłam zapomnieć? Próbowałam skontaktować się z tobą w Australii, ale przez tę różnicę czasu nie zastałam cię w hotelu.

- Ja też próbowałam cię złapać, ale nie udało mi się. Gdzie byłaś?

- Byłam z Jenny. Zmarł jej ojciec.

- Biedna Jenny! Gdzie ona jest?

- Jeszcze z matką, w Portsmouth. Dziś wieczorem wraca do Londynu.

- Jak to się stało?

- Oglądał mecz piłki nożnej w telewizji, zasnął i już się nie obudził. Trudno powiedzieć, by zasługiwał na tak miłe odejście.

- Tylko nie mów tak przy Jenny.

Zapięła pelerynę pod szyją i ostro zaprotestowała:

- Nie zamierzam zostać dla niej hipokrytką. Nie mogę udawać, że jest mi przykro z powodu śmierci tego człowieka. Jest mi przykro, że Jenny czuje się źle. Moja mama określiła ten żal jako skutek psychologicznie niezdrowej

zależności. Pojechałam do Portsmouth, aby jej towarzyszyć; Wolf przeziębił się w pociągu, a Jenny prawie się nie odzywała. Sama zobaczysz.

Gdy Plum podnosiła słuchawkę, by zadzwonić do Jenny, Lulu dostrzegła na jej palcu brylantowy pierścionek.

- Mój Boże - krzyknęła. - Co za cudo! Od dozorczy niewolników?

Plum uśmiechnęła się.

- A od kogóż innego?

- Musiał kosztować prawdziwy majątek. Na pewno wystarczyłby na pokrycie naszej hipoteki - powiedziała rzewnie.

Zgodnie z przewidywaniami Lulu, numer matki Jenny był zajęty. Prawdopodobnie Jenny odwiesiła słuchawkę. Lulu uparła się, że nie zdejmie peleryny do herbaty.

- Nic z tego, Plum. Będę ją nosić nawet w łóżku. Ben będzie miał upojną noc.

Wzgardziła windą i pobiegła na górę szerokimi schodami, skacząc po dwa stopnie. Wielkimi susami wpadła do salonu i rzuciła się na obitą kremowym jedwabiem kanapę.

- Uuups! Przepraszam. Nie powinnam wchodzić tutaj w butach.

Zrzuciła winowajców z nóg.

Przy cynamonowych babeczkach i zaprawionych imbirem sucharkach Plum opowiedziała o swym śledztwie w sprawie fałszerstwa. Lulu uważnie wysłuchała całej opowieści i bez namysłu zgodziła się towarzyszyć przyjaciółce podczas wizyty u Maltby'ego. Miała nadzieję, że jej niańka będzie miała wolny jutrzejszy ranek. Pani Barton była starą hipocondryczką, lecz Lulu wolała zostawić Wolfa właśnie z nią niż z jakąś nie znaną dziewczyną z agencji. Kto jak kto, ale emerytka raczej nie sprowadzi sobie chłopaka.

Rankiem następnego dnia Plum otworzyła „International Herald Tribune” ujrzała fotografię wyjątkowo strapionej Suzannah Marsh. Lakoniczna notka, rozłożona na dwie krótkie kolumny, donosiła o próbie samobójstwa młodszej córki gwiazdy międzynarodowego biznesu. Po uzyskaniu złych wyników na egzaminie dziewczyna skoczyła z dachu internatu i złamała kości miednicy.

Plum przypomniała sobie dwie nienaturalnie ciche córki Suzannah. Na pokaz pani Marsh stanowiła wzór kochającej matki, lecz złotousta, wystrojona w koronki i przesadnie zdobione muśliny od Ralphi Laurena była raczej domową wersją Hitlera. Kierowała się wygórowanymi ambicjami i ciężko pracowała, aby osiągnąć postawione przed sobą cele. Od dzieci żądała co najmniej równego zaangażowania.

W zestawieniu z taką tragedią groteskowo zabrzmiała opowieść Lulu o tym, że pani Barton cierpi z powodu wrastającego paznokcia u nogi. W żadnym razie nie mogła odwołać wizyty pedikiurzysty z ubezpieczalni.

*

Założyła legginsy w kolorze indygo, ciepły swetr i włochate sztuczne futerko, a potem samotnie pomaszzerowała na Bond Street. Nabierając odwagi kręciła się przez jakiś czas w pobliżu wejścia do galerii Maltby'ego, gdzie błękitnymi bucikami (w stylu Madonny) rozgarniała cienką warstwę świeżego śniegu. W Paryżu było łatwiej, nikt jej tam nie znał.

Kiedy w końcu zdecydowała się pchnąć drzwi galerii, wkroczyła do przytulnego pomieszczenia, przesyconego atmosferą powieści Dickensa. Centralnym punktem sali był kominek, w którym wesoło skakały płomyki spalanego gazu. Po obu stronach kominka postawiono wygodne, głębokie fotele - można by sądzić, że za chwilę wejdzie do sali pan Pickwick ze srebrnym półmiskiem dymiącego ponczu. Zza drzwi wychodzących na zaplecze dobiegały przyciszone odgłosy telefonicznej rozmowy. Plum zrobiła kilka kroków po zacisznej sali wystawowej i zauważywszy pomarszczonego, wiekowego asystenta, skinęła na niego dłonią. Gdy zbliżył się, podała swoje nazwisko i zapytała, czy pan Maltby mógłby poświęcić jej kilka minut.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna, który wyglądał na lekko pomniejszoną wersję Alfreda Hitchcocka. Nawet wyjątkowo dobrze skrojony, srebrnoszary garnitur nie był w stanie zamaskować nadmiernej otyłości. Głowa w kształcie kurzego jaja świeciła niemal całkowitą łysiną, a skóra na karku wylewała się zza kołnierza koszuli.

Plum wyjęła z torebki dwie plastikowe teczki, tłumacząc, że Victor Marsh prosił ją o postawienie w jego imieniu kilku pytań na temat ostatniego zakupu. Dodała, iż Cynthia Bly także zaniepokoiła się o własny obraz. Maltby z chłodną galanterią zaproponował, aby przeszli do biura na zapleczu. Usiedli po przeciwnych stronach ogromnego mahoniowego biurka, w dużej części zastawionego segregatorami na teczki i listy. Maltby bez pośpiechu wydobyl z futerału okulary w złożonych oprawkach, zaczepił je o odstające uszy i skrupulatnie zapoznał się z listami polecającymi od Victora i Cynthii. Uniósł brwi i spoglądając znad okularów grzeczniej zapytał:

- Czy dobrze zrozumiałem: chce pani podważyć autentyczność tych obrazów?
- Niezupełnie... to znaczy... jeszcze nie teraz... - wyjąkała Plum. - Przyszedłam właściwie tylko w jednym celu. Chciałabym się dowiedzieć, z jakich źródeł pochodzą te obrazy. W metrykach nie ma o tym ani słowa.

Maltby zaczynał tracić dobre maniery.

- Znamy poprzedniego właściciela obu obrazów. Zostały one sprzedane na ściśle określonych warunkach, z których jeden był gwarancją zachowania danych personalnych wyłącznie do naszej wiadomości. Mogę jednak panią zapewnić, że wiem o tych obrazach więcej, niż znajduje się w metrykach. Nie mam żadnych wątpliwości, że są autentyczne.

- Zna pan poprzednich właścicieli obydwu obrazów?

Pan Maltby oszczędnym gestem potwierdził przypuszczenie, a potem podniósł się z mejsca.

- Przepraszam, pani Russell, więcej nie mogę pani pomóc. Gdyby pani sprzedawała lub kupowała jakiś obraz i życzyła sobie zachować anonimowość, uszanowalibyśmy pani prośbę. Nigdy nie udzielamy informacji o czyjejs własności.

„Co powinnam teraz zrobić?” - zastanawiała się Plum w taksówce jadącej w stronę Bayswater. Może powinna zaoferować temu podstarzałemu asystentowi swoje ciało w zamian za dwa adresy? Włamać się do tego gabinetu na tyłach galerii, mając nadzieję, że gdzieś w aktach znajdują się dane o poprzednich właścicielach? Płacąc taksówkarzowi za kurs przypominała sobie, że jeszcze w Sydney Stephanie uprzedzała ją, że ma wielkie szanse trafić w ślepy zaułek.

- Ach, to ty. - Głos Jenny, dobywający się z głośniczka domofonu, był głosem osoby zmęczonej i przybitej. - Lulu już ci chyba powiedziała o tacie. Wchodź na górę.

Jenny była dumna ze swego domu. Utrzymywała go w takiej czystości, że nigdzie nie dało się znaleźć najdrobniejszej plamy od farb. Nikt nie zgadłby, że mieszka tu malarka. Słoneczny, pomalowany na żółto salon wypełniały nowoczesne meble, z wyjątkiem wysokiej komody z czasów króla Jerzego V z misternie wykonanymi mosiężnymi uchwytami. Jednym z nowocześniejszych mebli była kanapa nakryta narzutą w słoneczniki. Jenny, rozczochrana i chorobliwie blada, wcisnęła się w jej kąt, ściskając w dłoniach pluszowego osiołka.

- Nie patrz tak na mnie - burknęła. - Kiedy czujesz się smutna, masz męża, który cię utuli. Ja dzielę łóżko z Muffinem. Jak sięgnę pamięcią, zawsze mi towarzyszył. I nie mów mi, że zachowuję się jak dziecko; wiem o tym i nic mnie to nie obchodzi.

Plum usiadła w drugim rogu kanapy.

- Masz też mnie. Zawsze. Obiecuję.

Dużo później, gdy wysłuchiwała opowieści o pogrzebie, tragedii i smutku przyjaciółki, zrewanżowała się opowiadaniem o australijskiej wystawie i postępach w tropieniu fałszerzy.

Jenny przygotowywała w tym czasie kawę w małej kuchni sąsiadującej z salonem. Stała w progu, odsunęła z przekrwionych, podkrążonych oczu poplątane włosy i ostantacyjnie westchnęła.

- Plum, nie mogę uwierzyć, że tak się w tę sprawę angażujesz. Cóż to się

stało? Kilku bogatych ignorantów zostało wykiwanych przez jakiegoś fałszerza!
- Odkręciła kran i napełniła czajnik. - Co będziesz z tego miała? Nic! -
Nasypała kawy do kubków w biało-niebieskie pasy. - Oczywiście, możesz na
mnie liczyć, jeżeli tylko będę ci w stanie pomóc... w co wątpię. Powiedz mi
jednak: po co tyle zachodu?

- Mniej więcej to samo powtarza Breeze. Z tą różnicą, że on to wykrzykuje.
Nie rozumiem, dlaczego tak denerwują go moje poszukiwania. Nie wierzę, że
chodzi mu tylko o względy komercyjne, to bzdury, że wypłoszę klientów.

- No to dlaczego to robisz?

- Nie jestem pewna. - Plum próbowała być ze sobą szczerą. - Na pewno
miało znaczenie to, że Breeze potraktował mnie wobec Victora i Suzannah jak
niegrzeczne dziecko. Zdenerwował mnie. Wręcz czułam, jak narasta we mnie
agresja i chęć buntu. Coś we mnie pękło. Po prostu miałam dosyć! Miarka się
przebrała... A teraz z kolei ty wmawiasz mi, że jestem infantylna!

- Ależ nie, raczej wprost przeciwnie. - Jenny sięgnęła do lodówki po
śmietankę. - W jednej chwili Plum, grzeczna mała dziewczynka, przestała
zachowywać się tak, jak ją nauczono.

- Chcesz powiedzieć, że byłam nieposłuszna?

- Dokładnie. - Nalała śmietankę do obydwu kubków. - Byłaś nieśmiałym,
posłusznym dzieckiem, które wyrosło na nieśmiałą, posłuszną dziewczynę,
malującą wielkie obrazy, ale wciąż robiącą to, co jej się każe. Myślę, że prędzej
czy później do konfliktu z Breeze'em dojść musiało. Tylko dlaczego akurat teraz?

- Jestem zmęczona traktowaniem mnie jak dziecka - wybuchnęła Plum. -
Chcę, aby Breeze w końcu zrozumiał, że istnieją dziedziny mojego życia,
których nie jest w stanie kontrolować. Chcę samej sobie udowodnić, że mam
prawo wymagać od innych poważnego traktowania.

- I to jedyna przyczyna konfliktu z Breeze'em? Nie ma żadnej ukrytej
w podświadomości chęci odwetu?

- Podświadoma chęć odwetu? Za co?!

Plum chodziła tam i z powrotem pod oknami salonu. Jenny wróciła do
pokoju i wręczywszy przyjaciółce kubek z kawą, powiedziała:

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale nie chce mi się wierzyć, że o niczym
nie wiesz. Skoro jednak wszczynasz awanturę, dlaczego nie wykorzystasz
karty atutowej?

Plum mierzyła Jenny niepewnym spojrzeniem.

- O co ci chodzi?

- Żona zawsze dowiadyuje się ostatnia.

- O czym ty mówisz?!

- Lulu upierała się, żeby o niczym ci nie mówić. O dziewczynach Jima
też nie pozwalała mi mówić, nie chciała cię ranić. - Jeszcze raz odgarnęła
poplepiane włosy z opuchniętej, białej jak wosk twarzy, i spojrzała prosto

w błękitne oczy Plum. - Ale gdybym była na twoim miejscu, chciałabym wiedzieć. I zawsze wydawało mi się, że wiesz, lecz nie dopuszczasz do siebie tej myśli. Tak więc, jeśli rzeczywiście chcesz zachowywać się jak osoba dorosła, powinnaś chyba przyjąć do wiadomości to, o czym inni wiedzą od lat. Plum raptownie zbladła. Ostrożnie odstawiła kubek na parapet.

- Nikt by ci nie powiedział, gdybym ja tego nie zrobiła.

- OK, mów.

Jenny nie odwróciła oczu.

- Breeze ma romans. Zresztą, on zawsze miał jakiś romans. Każdy zainteresowany sztuką londyńczyk może ci przedstawić pełną listę. Ostatnim obiektem westchnień jest ta kobieta z Ameryki Południowej, którą poznałam u was przed Bożym Narodzeniem. Miranda. Krzywe nogi i końska gęba. Ma bogatego męża, który jest klientem Breeze'a.

- Miranda de la Fuente? Nie wierzę!

- Codziennie wspólnie jedzą lunch, a potem jadą do jej apartamentu w hotelu „Claridges”.

- Muszę to sprawdzić. - Chwyciła torebkę, drżącymi rękami wydobyla notes z adresami i rzuciła się do telefonu, stojącego na biurku Jenny.

Sekretarka Breeze'a poinformowała ją, że szef wyszedł już na lunch - nie wiedziała dokąd - i spodziewa się go z powrotem dopiero późnym popołudniem.

Breeze należał do mężczyzny o ustalonych nawykach. Plum obdzwoniła restauracje, do których najczęściej zabierał ważnych klientów: „Caprice”, „Mark’s Club”, „Harry’s Bar”. Spróbowała jeszcze w „Odins i Ivy”. Bez skutku.

Nagle doznała olśnienia. Chyba wiedziała, gdzie go zastanie.

Przekroczywszy próg „La Bahia”, znalazła się w mrocznym wnętrzu rozbrzmiewającym subtelną muzyką gitarową. Odczekała chwilę, potrzebną, by oczy przywykły do skąpego oświetlenia, a potem ruszyła wzdłuż wyłożonej niebieskimi kafelkami ściany hiszpańskiej restauracji. Kierowała się ku łożu, starannie odosobnionej od reszty sali, gdzie Breeze zwykł ją zabierać, gdy zaczynał się ich romans. Wdychała ostry zapach przyprawionej szafranem *paelli*, nęcący aromat pieczenia z prosiaka. Miała nadzieję, że zaraz nie zymiotuje.

Ustawiony na kominku niewielki zegar, którego tarczę wbudowano w połączany powóz, wskazywał dokładnie godzinę ósmą wieczorem. Breeze stał w rozkroku na tle ognia i z niedowierzaniem wpatrywał się w swoją żonę.

Nie pamiętał, by Plum kiedykolwiek sprzeciwiała mu się, a co dopiero krzyczała na niego. Czasem się sprzeczali, jak każda para małżeńska, ale nigdy nie było to nic poważnego. Plum chodziła tam i z powrotem po sypialni.

- To oczywiście, że mnie nie widziałeś! W tym lokalu w ogóle nikogo nie można dostrzec, dlatego wszyscy tam chodzą! Poza tym, nie mogłam ci pozwolić wykręcić się prostym tłumaczeniem, że jadłeś tylko lunch z żoną klienta. - Stała twarzą w twarz z mężem. - Sprawdziłam, czy jesteście w restauracji, a potem wyszłam na zewnątrz i czekałam w taksówce. Pojechałam za wami do „Claridges”. Siadłam sobie w holu i udawałam, że czytam gazetę. Minęła piąta, gdy zszedłeś na dół! Szłam za tobą aż na Cork Street.

- Widzę, że ta dziecięca zabawa w detektywa weszła ci w krew! - warknął Breeze. - Zabranie żony klienta na lunch jeszcze nie dowodzi cudzołóstwa...

- Powtarzasz się! Już to słyszałam dwie minuty temu... Nie, nie będę mówiła ciszej! Nie obchodzi mnie, że służba słucha!

Breeze nerwowo pocierał lewe ucho. Zawsze to robił, gdy wyprowadzono go z równowagi. Wyraźnie widział, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu, przedłuży tylko awanturę, która ciągnęła się już od dwóch godzin.

- Posłuchaj - rzekł - to nie było nic poważnego...

- Ja zdecyduję, czy było to coś poważnego. I decyduję, że było!

- Przykro mi, Plum. - W jego głosie dało się wyczuć autentyczną skruchę. - Więcej się to nie powtórzy, kochanie, obiecuję. - Zrobił kilka kroków w jej stronę. - Naprawdę, szczerze żałuję. Postąpiłem beznamiętnie. - Wyciągnął przed siebie ramiona. - Jestem cholernym głupcem, przynajmniej. Skarbie, wynagrodzę ci to, zrobię...

- Przestań! Wyobrażasz sobie, że jesteś w kinie?!

Breeze szybkim ruchem porwał ją w ramiona i przycisnął do piersi. Szeptał czule słówka, zapewniając o swojej miłości i szacunku, przekonywał, że mogą o wszystkim zapomnieć i zacząć żyć od nowa. Pochylił głowę, wtulił nos w jej rude włosy, a potem ucałował koniuszek jej ucha, polizał je. Było to jego sekretne zaproszenie.

Plum uderzyła go w brzuch, drobna pięść głęboko zanurzyła się w miękkim ciele. Breeze chrząknął i zwolnił uścisk.

- Ciesz się - powiedziała, odskakując w stronę kominka - że nie potraktowałam cię kolanem!

Pomyślała o tym, lecz nie starczyło jej odwagi.

- Plum, słuchaj, jak długo zamierzasz to ciągnąć? Może zrobimy przerwę na drinka, taki antrakt, jak w teatrze? - Musiał szybko schylić głowę. Powóz z wbudowanym zegarem przeleciał nad nim i roztrzaskał się na ścianie. - Hej! Mogłaś mi zrobić krzywdę!

- Nadal nie traktujesz mnie poważnie!
- Traktuję! Naprawdę, traktuję!

Był ciekaw, jak mógłby ją o tym przekonać.

Plum tymczasem chwyciła stojący na gzymsie kominka srebrny świecznik i już miała posłać go w ślad za zegarem, gdy nagłym błyskiem przypomniał o swoim istnieniu brylantowy pierścionek. Odstawiła świecznik i łkając zabrała się za zdejmowanie klejnotu z palca.

Breeze, krążący gdzieś przy oknie, przygotował się do wykonania uniku przed nisko przelatującym świecznikiem. Nagła zmiana planów żony zmusiła go do desperackiego okrzyku:

- Tylko nie zrób z tym czegoś głupiego. Błagam, żadnych dziecinnych gestów!

Niemal w jednej chwili jej twarz zalała się łzami.

- Nie martw się - odpowiedziała, podnosząc ciężkie od łez oczy. - Zwróć do tobie. Nic więcej.

- Chryste, Plum! Naprawdę jest mi przykro. Proszę, proszę, skarbie, nie płacz. O Boże, przepraszam!

Targana szlochom ukryła twarz w dłoniach.

Breeze ostrożnie podszedł do niej.

Wciąż zachowując ostrożność, wziął ją w ramiona i przycisnął głowę do tweedowej marynarki, szepcząc słowa pocieszenia przemieszane z gorzkimi samooskarżeniami.

Wtuliła wilgotną twarz w szorstki tweed. Czy mogła się spodziewać, że Breeze zrozumie, co czuje ktoś tak podle zdradzony?

Ile ich było? Oczami wyobraźni ujrzała szerokie usta męża pieszczące doskonale, anonimowe kobiece piersi z różowiułtkimi sutkami; zobaczyła jego długie, silne ręce sięgające między doskonale, anonimowe uda; zobaczyła jego chude, nagie pośladki, poruszające się rytmicznie nad anonimowym, posągowo białym ciałem; zobaczyła, jak rośnie podniecenie kochanków, gdy Breeze posuwistymi ruchami wbija się coraz mocniej i głębiej w przepiękne, anonimowe kobiece ciało.

Kolano samo wyrwało się do uderzenia.

Po pięciu dniach nadal ze sobą nie rozmawiali. Breeze sypiał w gościnnej sypialni w suterenie. Sandra natychmiast dostrzegła ciemne chmury zbierające się wszędzie, gdzie pojawiała się któraś z małżonków. Zdecydowała zachować ostentacyjnie formalną neutralność, jak obserwatorzy ONZ w krajach targanych niepokojami społecznymi. Plum ponuro podejrzewała, że ta kobieta raczej stanęłaby po stronie Breeze'a.

Jadąc na lunch, który miała zjeść w towarzystwie Leo, wciąż rozważała, od jak dawna Breeze był niewierny? Jak często to robił? Z iloma kobietami? W jednej chwili nie mogła powstrzymać łez, w drugiej zgrzytała zębami z wściekłości. Cieszyła się, że ze sobą nie rozmawiają. Jedynym tematem, który miała ochotę poruszać, była jego niewierność, a przecież nie mogła ufać, że powie jej prawdę. Czy on w ogóle kiedykolwiek mówił prawdę? Czy po tym, co się stało, będzie mogła jeszcze zaufać jego słowom? Bez przerwy zadawała sobie te same pytania, jak człowiek dotykający językiem chory ząb tylko po to, by przekonać się, czy nadal boli.

Kiedy taksówka wjechała w Charlotte Street, Plum zdała sobie sprawę, że jeżeli chce wynieść z tego lunchu jakieś korzyści, musi wyrzucić Breeze'a z myśli. Jeśli rozplacze się Leo na ramieniu, nigdy nie skierują rozmowy na interesujący ją temat. Więc: do diabła z Breeze'em! Przy okazji, do diabła z Billem Hobbsem, gdziekolwiek by się znajdował! Zdążyła umieścić w jego skrzynce na listy już drugi list, ale nie doczekała się odpowiedzi. Być może wybrał się do Skandynawii na tradycyjną wycieczkę połączoną ze sprzedażą obrazów. Podobno w tamtych rejonach Europy wszyscy są tak zmęczeni zimą, że łatwo dają się namówić na zakup dzieł sztuki...

Leo czekał przy stoliku w „L'Etoile”. Plum doskonale wiedziała, że dziennikarz nie oprze się propozycji lunchu w ulubionej przez aktorów, pisarzy i artystów restauracji Soho.

Leciwy kelner polecił marynowanego śledzia, po nim *escalope de veau a la Zingara*, podczas gdy jego równie wiekowy kolega zachwalał *Chateau Larose-Trintaudon* rocznik 1979. Po tych delicjach przed Leo pojawiła się jeszcze tęga porcja apetycznej *baba au rhum*. Plum nie zamówiła deseru. Wróciła do swej poświętej diety.

Kiedy na stoliku zostały wyłącznie filiżanki z kawą i kieliszki wypełnione brandy, zapytała Leo, dlaczego w Paryżu udał, że jej nie widzi.

- Od wieków nie byłem w Paryżu - rzucił lekkim tonem. - Musiałś mnie z kimś pomylić.

- Leo, nie zgrywaj idioty. Wiem, że to byleś ty. Miałeś na nogach dwie różne skarpetki, różową i zieloną.

Leo od wielu lat zakładał skarpetki dwu różnych kolorów. Zaczęło się od fascynacji Davidem Hockneyem, a skończyło żartobliwą wizytówką na nogach. Obie skarpetki zawsze miały wyjątkowo gryzące się kolory.

Po dłuższej chwili milczenia Leo westchnął.

- No, dobrze. Byłem tam. Wiedziałem, że właśnie dlatego zaprosiłaś mnie na lunch, ale nie mogę przecież unikać cię do końca świata. No więc powodem mojej wizyty w Paryżu był romans z pewną mężatką. Jestem zmuszony zachować dyskrecję. Nie mogę o tym rozpowiadać.

- Magazyn firmy spedycyjnej to nie najlepsze miejsce na miłosną schadzke. Plum poprosila kelnera o dolewke brandy.

Leo próbował kolejnych wymówek, by w końcu, z dużymi oporami, wyjaśnić:

- Praca w „New Perspective” wymaga bardzo wąskiej specjalizacji i nie przynosi znacznych profitów. Nie mam jednak prawa liczyć na lepiej płatny etat, bo która z gazet potrzebuje znawcy w dziedzinie architektury, zwłaszcza w czasach, gdy Fleet Street zapelnia się zwalnianymi z pracy dziennikarzami. Do diabła z tym! Plum, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jeżdżę czasem ciężarówką, kiedy w firmie „Colombe” ktoś zachoruje. Wolą mnie na zastępstwo niż przeciętnego kierowcę; potrzebują ludzi przywykłych do obcowania ze sztuką i antykami. - Pociągnął łyk brandy. - Praca jest zaskakująco dobrze płatna, dostaję zwrot poniesionych wydatków. Poza tym mam bezpłatne podróże do Francji.

Zapatrzył się na nie tkniętą kawę.

- Pierwszy raz zrobiłem to dla zabawy, potem dla pieniędzy, ale to zajęcie nadal daje mi wiele zadowolenia. W trasie zawsze jest zabawnie. Łóżko mam tuż za plecami, jestem samowystarczalny, w każdej podróży zdarzają się zaskakujące przygody.

Uśmiechnął się do siebie.

- Skoro tak, dlaczego utrzymywałeś to w tajemnicy?

- Plum, jesteś żoną Breeze'a. Na pewno wiesz, jak ważna jest dobra fasada?

Wyjaśnienia nie brzmiały przekonująco. Leo nie był typem Jacka Kerouaca, za bardzo przywiązywał się do wygodnego życia. Z drugiej strony, rzeczywistość nie mógł zarabiać dużo, bo inaczej nie mieszkałby w tym walącym się domu na rogu Maddox Square. Mimo eleganckich, choć nieco wymiętych ubrań, zawsze odnosiło się wrażenie, że brakuje mu pieniędzy. Miał samochód, ale był to tani, mały, zielony citroen 2 CV. Więc jeśli zbijał majątek na fałszowaniu obrazów, jaki robił z niego użytek? Lekko wojowniczym tonem rzekł:

- Powiedziałem ci prawdę. Łatwo możesz to sprawdzić w londyńskim biurze „Colombe”. I powiem ci coś jeszcze. Jeżeli twoja ciekawość ma związek z tym pomylnym poszukiwaniem fałszyfikatów, to jesteś cholerną idiotką. Mówiłem ci, że to niebezpieczne! Od fałszerzy lepiej trzymać się z daleka. Sam nigdy nie nadstawiłbym karku i tobie też to odradzam.

Zamieształ brandy w balonastym kieliszku i wytoczył kolejny argument:

- Skoro już zamierzasz podejrzewać o szmuglowanie fałszywych obrazów każdego, kto podróżuje do Paryża, dlaczego nie zapytasz tego bogatego bubka Charleya Bomana, co robił we Francji w zeszłym tygodniu? Widziałem go na promie. Ciekawe, prawda? Podróżowałby promem, gdyby nie przemycił fałszyfikatów?

Plum bardzo chciałaby wiedzieć, czy Leo mówi poważnie, czy tylko próbuje zamącić jej w głowie.

- Posłuchaj, Plum, wszystko to szczerą prawdą. Później, gdy już zostawiłem przesyłkę w Levi-Fontaine, w biurach firmy znowu zobaczyłem Charleya. Zachowywał się nerwowo, niespokojnie rozglądał, jakby jego beztroskie usposobienie gdzieś wyparowało. Cieszyłem się, rzecz jasna, że mnie nie zauważył, więc nie wnikałem bardziej w tę sprawę, ale to podejrzane, nie uważasz? Powinnas wziąć tego gościa pod swoją lupę.

- Dlaczego Charley miałby bawić się w przemyt? - zapytała, badawczo przyglądając się dziennikarzowi.

Leo wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Wiem jednak, dlaczego Charley mnie nie dostrzegł, mimo że przedefilowałem tuż przed jego nosem. Absolwent Eton i członek śmietanki towarzyskiej, światowiec Charley nigdy nie zwraca uwagi na zwykłego kierowcę ciężarówki.

Rozdział szesnasty

Wtorek, 11 lutego 1992

Aby sprostać wymaganiom British Council, Plum przez trzy tygodnie bez przerwy malowała, wykorzystując każdą minutę dziennego światła. Przypuszczała na płótna zmasowany atak, obsesyjnie wyładowując wściekłość i żal, którymi napełniła ją zdrada męża. Malarstwo stało się dla niej wentylem bezpieczeństwa, uwalniającym od złych myśli i uczuć.

Pod koniec stycznia zatelefonowała do Victora. Był przybity i zmartwiony.

- Przypuszczam, że słyszałaś o wypadku Felicity. Ma najlepszą opiekę medyczną, jaką można sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że prasa odcepi się od nas.

Zrozumiała, że Victor najwyraźniej nie był zainteresowany postępami w prywatnym dochodzeniu Plum. Wyrażał się kurtuazyjnie, aczkolwiek jasno dał do zrozumienia, iż nie wzruszyłoby go nawet stwierdzenie Plum, że może dowieść fałszywości wszystkich obrazów w zbiorach Luwru. Absorbowała go jedynie jego własna inwestycja. Na koniec dodał, że powinni rozstrzygnąć zakład do końca marca. Obojętne, jakie to będzie rozstrzygnięcie.

Plum miała więc sześć tygodni na rozwiązanie zagadki, w którą sama się uwikłała. „Sześć krótkich tygodni” - myślała, bębniąc palcami po poplamionym farbami blacie stołu. W Brytyjskim Instytucie Sztuki nikt nie podnosił słuchawki. Telefonowała już do nich zaraz po powrocie z Paryża, ale dowiedziała się, że Enid Soames przebywa w Radzastanie i będzie nieobecna do dziesiątego lutego. Plum dała pani profesor jeden dzień na ponowne zaaklimatyzowanie się na uczelni po sześciotygodniowym urlopie. Długo czekała na połączenie, lecz opłaciło się.

- Dzień dobry - usłyszała.

Głos Enid był nieoczekiwanie głęboki, dźwięczny, uwodzicielski. Plum wyobraziła sobie panią profesor w młodości, jako gwiazdę amatorskiej grupy teatralnej w college'u, ćwiczącą głos, by osiągnąć to jedyne w swoim rodzaju, niewymuszone, władcze brzmienie.

Plum przedstawiła się i opowiedziała o poszukiwaniach źródła fałszyfikatów.

- Zazwyczaj - myślała na głos Soames - w celu sprawdzenia obrazu sugeruję przejrzeć w katalogach danych o podrabianym artyście. Dane te powstają na podstawie oryginalnych dokumentów i zapisów. Natomiast w przypadku, który pani opisuje, takie postępowanie prawdopodobnie nic nie da, gdyż fałszerz, jeśli wpadły mu w ręce wspomniane katalogi, zapewne maluje dostosowując się do znalezionych informacji. Oczywiście - powiedziała żywym tonem - jeżeli może pani dostarczyć podejrzane obrazy do Londynu, przebadamy je metodami laboratoryjnymi. Orientuje się pani w procedurach stosowanych testów?

Wyjaśniła, że naukowe metody wykrywania fałszerstw nie odbiegają od sposobów używanych do tropienia innych przestępców, nawet morderców. Rzuciła kilka przykładów:

- Oglądając pęknięcia faktury obrazu w odpowiednim powiększeniu można ocenić, kiedy farba była kładziona... Światło ultrafioletowej lampy wywołuje fluorescencję niektórych barwników, ujawniając celowe postarzenie obrazu... Zdjęcia rentgenowskie i reflektografia promieniami podczerwonymi odsłaniają ukryte pod wierzchnią warstwą zamalowywane poprzednie wersje obrazu. Ich brak niezbicie dowodzi fałszerstwa.

- A analiza składu chemicznego farb? - spytała Plum.

- Mikrochemiczna analiza czasem może wykazać użycie barwnika, który wynaleziono wiele lat po dacie umieszczonej na płótnie. Na przykład, pierwszą syntetyczną farbę, błękit pruski, wynaleziono w 1704 roku, tak więc każdy renesansowy obraz, w którym błękit pruski zostanie wykryty, trzeba uznać za bardzo podejrzany.

- Ale przecież współczesnych barwników używa się do celów konserwatorskich, czyż nie?

- Zgadza się. Naukowe metody nie są niezawodne. Analizy tego typu łatwo można oszukać. Na aukcjach wciąż są do nabycia pudełka osiemnastowiecznych farb. Konserwatorzy często je kupują.

- Jeśli fałszerz zdobędzie materiały, którymi posługiwali się dawni mistrzowie, może namalować fałszykat, który przejdzie pomyślnie wasze testy?

- Owszem, to możliwe. Mimo szalonego rozwoju techniki, najlepszymi przyrządami badawczymi nadal są ludzki mózg i oko, wspomagane mikroskopem. Sądzę więc, że powinniśmy się spotkać...

*

Pół godziny później Plum zatrzymała samochód przed galerią Jaimie Lorimera na Jermyn Street. Jaimie dopiero co wrócił z wakacji w Mustique. Plum koniecznie chciała się z nim zobaczyć, gdyż to właśnie on polecił Cynthii

Bly firmę Maltby'ego. Breeze powinien wiedzieć o jej planach - na pewno uzna jej postępowanie za przejaw braku lojalności, ale nie dbała o to. Nigdy nie odkryła najdrobniejszego powodu, dla którego Jaimie i Breeze byli tak zaciętkimi rywalami. Oprócz tego, jak każdy, kto często czytał rubryki towarzyskie, wiele wiedziała o Jaimie. Był Amerykaninem z Zachodniego Wybrzeża, a ponieważ jego matka burzliwie kroczyła przez życie od jednego małżeństwa do drugiego, Jaimie wychowywał się u babki ze strony matki, właścicielki ziemskiej z Kalifornii. To ona opłaciła jego naukę w wykwintnej koedukacyjnej szkole z internatem w Ojai Valley, ulubionej szkole gwiazd filmowych, ponieważ każde dziecko miało tam własnego konia i konsultanta psychiatrę. Gorąca hiszpańska krew płynąca w żyłach Jaimiego często ujawniała się w gwałtownym, ekscentrycznym temperamencie, którego rezultatem było tłuczenie towarzyszy zabaw po głowach kijem do baseballu albo butelką po coca-coli.

Jaimie miał trzynaście lat, gdy zubożała babka musiała przeprowadzić się do mieszkania w San Francisco, gdyż nie mogła sobie pozwolić na utrzymanie mansardy w Bel Air. Zabrała ze sobą kolekcję dzieł sztuki, sentymentalne malowidła szkoły Watteau, żywiąc złudną nadzieję, że jest ona w stanie zapewnić spokojną starość.

W wieku szesnastu lat Jaimie raptownie rzucił szkołę po dziecięcej sprzeczce na tenisowym korcie. Dla niego utarczka zakończyła się połamaniem rakiety, dla przeciwnika przejażdżką ambulansem do szpitala. Babka natychmiast zorganizowała mu zajęcia: został uczniem u jej dealera dzieł sztuki w Los Angeles. Jaimie ubolewał nad gustem tego człowieka, lecz jednocześnie podziwiał niezwykle wprost zdolności dobijania targu.

Jaimie towarzyszył szefowi w częstych podróżach do Europy, podczas których kupowali obrazy, aby ostatecznie pomóc mu otworzyć galerię sztuki w londyńskiej dzielnicy Mayfair. Jaimie został w Londynie z zadaniem rozwinięcia interesu i szybko nawiązał bliskie kontakty z wieloma klientami. Wkrótce otworzył własną galerię, a klientela pozostała ta sama. Londyńscy dealerzy, z aukcji na aukcję tracący pole na rzecz Jaimiego, nigdy nie odkryli, kto jest bogatym protektorem ich najgroźniejszego przeciwnika.

Po przybyciu do Lorimer Gallery Plum została poprowadzona przez wysokie, pomalowane na kremowo sale, w których akurat wystawiano akwaforty Matisse'a, prosto do ulokowanego w suterenie biura Jaimiego. Wydawało się dość puste, ale zbytkowne. Naturalnie ściany były białe, lecz - co odróżniało to miejsce od biur innych dealerów - dywan miał jadowicie pomarańczową barwę, a na gości czekały dziwnie pozakrzywiane, eleganckie fotele, zaprojektowane przez Toma Dixona.

Jaimie siedział za antycznym hiszpańskim biurkiem z ciemnego drewna, w fotelu o tak wyszukanej kształcie, że chyba tylko papież używał podobnego

podczas audycji. Wskazał gościowi miejsce, nie przerywając rozmowy telefonicznej. Plum usiadła na skraju metalowego siedziska i przyjrzała się mężczyźnie. Miał około czterdziestki, był wysoki i szczupły. Mimo że ubierał się jak skromny angielski biznesmen, otaczała go aura typowa dla amoralnego, pewnego swej seksualnej atrakcyjności samca. Plum, wbrew swej woli, czuła jej magiczne oddziaływanie.

Jaimie prowadził rozmowę po hiszpańsku, teatralnie zmieniając wyraz opalonej twarzy, jak kameleon zmienia kolory. Gdy odłożył słuchawkę, telefon ponownie zadzwonił. Jaimie zdążył tylko uśmiechnąć się do gościa.

- Rysunek Matisse'a? - mówił spokojnie do telefonu. - Akt? Chyba zdaje pan sobie sprawę, że każdy chciałby zakupić akt wykonany ręką mistrza Matisse'a... W tej chwili nie dysponuję podobnym dziełem, ale spodziewam się otrzymać jedno już jutro... Oczywiście!

Odłożył słuchawkę i połączył się przez interkom z sekretarką.

- Helgo?... Potrzebujemy akt Matisse'a... Wiem, że równie dobrze moglibyśmy szukać aktu Królowej Matki, ale trzeba spróbować... Zatelefonuj do Waddingtona i Lumleya Cazaleta, dobrze? I jeszcze jedna prośba: odbieraj moje telefony; jestem zajęty.

Tym razem nic im już nie przeszkadzało.

- Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? - rzekł z oficjalnym uśmiechem na ustach.

Pod jego badawczym spojrzeniem Plum czuła się jak mała myszka siedząca naprzeciw drapieżni kocura. Z trudem opanowała głos.

- Cynthia Bly powiedziała mi, że to pan zarekomendował jej firmę Maltby'ego...

- To prawda. Handlują obrazami, które znakomicie odpowiadają jej potrzebom. - Jaimie potarł swój uwodzicielsko złamany nos. - Są godni zaufania, więc dlaczego nie miałbym ich polecać?

Plum powiedziała mu, dlaczego nie powinien tego robić. Czekwała na odpowiedź, podczas gdy mężczyzna w zamyśleniu przeniósł dłoń z nosa na podbródek, jakby chciał sprawdzić, czy jest dostatecznie dobrze wygolony.

- Chyba nie muszę pani tłumaczyć, jak mogło się to przydarzyć. Cynthia koniecznie chciała mieć taki obraz... więc Maltby znalazł go dla niej. Galerie często mają tylko jedno wyjście, gdy klient naiwnie, zbyt precyzyjnie określa, jakiego obrazu szuka. - Wzruszył ramionami. - Wielu dealerów korzysta z usług tak zwanych restauratorów, którzy dostosowują obraz do zamówienia.

- Zna pan któregoś z tych restauratorów? - Plum natychmiast pomyślała o Billu Hobbsie.

- Jeżeli nawet, nie przyznałbym się do tego. - Popatrzył na malarkę. - Ale mogę pani powiedzieć, kto sprzedaje autentyczne martwe natury. Stary van Soder w Amsterdamie. On też najlepiej się orientuje, czy na rynku pojawiają

się jakież złe obrazy. Bardziej nie mogę już pani pomóc. - Uśmiechnął się, jak ktoś, komu udało się pozbyć uciążliwych zobowiązań. - Breeze wie, że pani jest tutaj?

Plum zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że cokolwiek powie, i tak znajdzie się na ustach całego Londynu. Gdyby powiedziała prawdę, byłby to jeszcze jeden pikantny szczegół do rozpuszczanej przez Jaimiego plotki. Wzruszyła ramionami i podniosła się z krzesła.

*

W kilka minut połączyła się z panem van Soderem. Miał głos starego, zmęczonego człowieka i polykał niektóre spółgłoski, jakby wypił za dużo whisky, ale poza tym doskonale mówił po angielsku. Potwierdził, że handlował holenderskimi i flamandzkimi obrazami, lecz z powodu obecnej recesji zawiesił działalność.

Gdy Plum ostrożnie zapytała, czy kiedykolwiek widział... albo sprzedał... nadmiernie odrestaurowany obraz, van Soder zachichotał. Zawsze na żądanie klienta może odkupić po cenie sprzedażnej każdy sprzedany przez siebie obraz, tak bardzo jest pewny ich autentyczności. Jeżeli obraz przechodził zabiegi konserwatorskie, van Soder zawsze umieszczał o tym wzmiankę w metryce.

Trzy dni później, dokładnie w Dniu Zakochanych, Breeze wpadł do ich wspólnej sypialni, teraz zajmowanej tylko przez Plum. Zachowywał się jak furiat.

- Po jaką cholerę polazłaś do tego pajaca, Jaimiego Lorimera? Żeby włączyć go w tę śmieszna historię z fałszerzami? Ten skurwiel rozpuścił jęzor, jak tylko wyszłaś z jego gabinetu!

Plum wyszła z łazienki i pokazała zakręcony na głowie ręcznik.

- Może zaczekamy z tym, aż się ubiorę?

- Nie, do kurwy nędzy, to nie może czekać! Na miłość boską, skończ z tym nonsensem! Robisz z siebie pośmiewisko, a co gorsza podkopujesz swój autorytet artystki i to tuż przed Biennale!

Owinięta w ręcznik przeszła szybko obok rozsierzzonego męża.

- Breeze, może ogłosimy na dzisiaj rozejm? - zaproponowała wchodząc do przebieralni i sięgając po brązowe rajstopy. Dokładnie takiego brązu używał w swoich obrazach Van Dyck. - Zapomniałaś, że przychodzą dziś na kolację Ben i Lulu?

- I co z tego, że przychodzi Lulu? Cóż ona takiego osiągnęła? Może tylko tyle, że zamarowała swój talent. Pozwoliła, by jak woda przeciekł jej przez palce.

Plum włożyła krótką sukienkę uszytą z aksamitu w śliwkowym kolorze.
- To raczej powód, aby być dla niej miłym. Czy ty nigdy niczego nie schrzaniłeś? Jak byś się czuł wiedząc, że wszystko stało się z twojej winy i można było tego uniknąć?

Breeze zbył pytanie milczeniem.

- Proszę, bądź dla nich miły - powiedziała błagalnym tonem, wsuwając stopy w aksamitne, jasnobrązowe buciki, obszyte złotymi nićmi. - Ben wrócił w zeszłym tygodniu z sesji nagraniowej, która odbywała się w Toronto. Nie było go w Anglii od pięciu miesięcy. Poza tym wiesz, jak ciężko wyciągnąć tych dwoje z domu.

Zapinając mankiety, jeszcze raz poszła do łazienki, aby poprawić fryzurę. Breeze stał nieruchomo na środku sypialni, nie odzywał się.

- Zgódź się na rozejm, tylko na ten wieczór. Jeżeli nie chcesz, możesz zostać w domu. Zabiorę Lulu i Bena do restauracji.

- Zgodzę się na rozejm - rzekł szybko. - Wszystko, co zechcesz. Żebyś tylko była szczęśliwa.

Ktoś musi być mądrzejszy i zachowywać się jak osoba dorosła. Po kolacji będzie miał wystarczająco dużo czasu na wykonanie kolejnego kroku. No i jeszcze jedno: nie lubił sypiać sam.

- Mam nadzieję - mruknęła Plum do siebie - że rzeczywiście zrobisz wszystko, abym była szczęśliwa, ty uparty draniu.

Dokładnie pamiętała długą rozmowę o szczęściu, jaką przeprowadziła z ciotką Harriet.

- Od wieków mężczyzn nurtował problem: czego te kobiety chcą od życia? - mówiła Harriet. - Niezmiennie znajdowali jedną i tę samą odpowiedź: więcej, niż otrzymują.

- Chcą też czasu, żeby móc się tym nacieszyć - dodała Plum.

- I tu jest pies pogrzebany - stwierdziła ciotka. - Kobiety obciążone małymi dziećmi nie mogą liczyć na udane życie zawodowe, ponieważ nie uzyskują żadnej pomocy ze strony mężczyzny. Macierzyństwo może być najważniejszym zawodem na świecie, ale nie dla polityków.

- Powiem ci, czego kobiety tak naprawdę chcą. Ponieważ są spętane najróżniejszymi obowiązkami, chcą robić rzeczy, które mogą robić mężczyźni, nie skrepowani sprawami domu.

Ciotka Harriet zamyśliła się.

- Kobiety potrzebują pieniędzy, własnych pieniędzy. Mężczyźni mają kobiety pod kontrolą, gdy trzymają łapę na gotówce. Żeby zdobyć upragnioną wolność, kobieta musi posiadać własne źródło dochodów. To jedyny sposób.

- Ciocino, czy zaliczasz siebie do feministek?

- Wierzę w zasady *fair play*, niezależnie od placu gry. Czy przypadkiem nie powiedział ktoś, że przeciwieństwem feministki jest masochistka?

*

Profesor Enid Soames, jak zwykle w piątek, wyszła nieco wcześniej z pracy. O czwartej Plum wsiadła do swojego czarnego porsche i pojechała przez River Times na umówione spotkanie.

Soames mieszkała przy Prince of Wales Drive, w jednym ze starych, pamiętających jeszcze czasy Edwarda VII budynków z czerwonej cegły, jakich wiele w Battersea. Drzwi otworzyła wysoka, imponująca kobieta, ubrana w aksamitne, matoworóżowe pumpy oraz krótki żakiecik narzucony na jedwabną bluzkę w metalicznym kolorze. Długie, zgrabne nogi okrywały szare pończochy i dobrane kolorystycznie skórzane pantofelki. Jej srebrne włosy były przycięte asymetrycznie, w typowym dla księżniczki Walii, koedukacyjnym stylu, co sprawiało, że opadały na twarz, przysłaniając jedno z dwóch błękitnych oczu. Szminka nadawała ustom barwę pumpów.

- Proszę dalej!

Plum natychmiast rozpoznała dźwięczny, głęboki głos, który usłyszała po raz pierwszy dzięki łączom telefonicznym.

Z dużym kieliszkiem martini w dłoni usiadła w wygodnym fotelu, rozglądając się po przestronnym salonie. W zasadzie jedynymi elementami dekoracyjnymi były purpurowo- niebieskie hiacynty, ustawione w błękitno-białych wazach z chińskiej porcelany.

Profesor Soames wysłuchiwała drobiazgowego opowiadania o poszukiwaniach prowadzonych przez Plum. Obejrzała też, jedną po drugiej, fotokopie znalezionych obrazów.

- Masz olbrzymie szczęście, że dotarłaś do tych dokumentów - powiedziała, popijając drinka. - Gdybyś się zabrała do przekopywania archiwów, po szukiwaniu ciągnęłyby się miesiącami, a może latami. - Przeszła przez pokój do szafki na akta, zamaskowanej pod postacią stolika pod lampę. - Wiedząc, o czym będziemy rozmawiać, przyniosłam do domu kilka ciekawostek. - Przejrzała szybko zawartość jakiejś teczki i wyjął z niej kolorową reprodukcję. - Oto obraz, który uznano za nieznaną dzieło Jana van Kessela Starszego. Został wystawiony na sprzedaż w 1989 roku w Paryżu przez Tonona, drobnego dealera z Marais.

Wręczyła malarce reprodukcję i kontynuowała:

- Nabył go szwedzki przemysłowiec za czterdzieści osiem tysięcy dolarów, czyli mniej więcej za połowę ceny, którą obraz mógłby osiągnąć podczas sprzedaży aukcyjnej. Z początku wydawało mu się, że ubił znakomity interes. Później nabrał pewnych podejrzeń i przysłał obraz do nas na badania. No i wyszło szydło z worka. Ludzie łatwo dają się oszukać, gdy ich zaślepia chciwość. - Spojrzała znacząco na gościa. - Oczywiście Szwed życzył sobie zachowania anonimowości. Właściciele zawsze tak postępują. Tak więc, kiedy

odkrywamy fałszerstwo, właściciele starają się ukryć ten fakt. Nie chcą, by ktokolwiek dowiedział się o tym, jak dali wystrychnąć się na dudka. I jeszcze coś: ludzą się, że uda im się fałszywkę odsprzedać.

Plum obejrzała reprodukcję ustawiając zdjęcie do światła. Mały prostokątny obraz namalowano w jasnych, jaskrawych kolorach, z przewagą różnych odcieni czerwieni. Na ciemnym tle stał jasny drewniany stół, zastawiony cynowymi sztuczkami i porcelanowymi półmiskami z owocami. W głębi gliniany dzban na wino oraz wazon z kwiatami, nad którymi unosił się barwny motyl. Na blacie pod wazonem leżało kilka opadłych płatków. Po prawej stronie pełzła żółta gaśienica, a dwie myszki skubały włoski orzech. Obok nich leżała srebrna łyżka z czerwonymi inicjałami „JVK”.

- Ta żółta gaśienica! - wskazała element podekscytowana malarka. - Taka sama jest na obrazie w kolekcji lady Binger! Wszystkie te obrazy spajają podobne elementy. Na obrazie Suzannah jest taka sama mucha jak na obrazie w galerii Artura Schneidera. Jaszczurka z obrazu Cynthii pojawia się też na obrazie Suzannah, ma tylko inny kolor.

- Pamiętaj - ostrzegła Enid - że malarze wymieniali szkicownik. Możliwe, iż jakiś niewielki obiekt celowo był powtarzany na różnych obrazach jako rodzaj dowcipnej sygnatury: na przykład muszka albo ślimak.

- Alfred Hitchcock też na krótko pojawiał się we wszystkich swoich filmach.

- Właśnie. - Enid wyjęła z teczki następny dokument. Podając go Plum uśmiechała się. - Myślę, że ten egzemplarz bardzo cię zainteresuje. To następny podejrzany obraz Jana van Kessela Starszego. Ten także został rzucony na rynek przez Tonona.

Plum ustawiła kartę do światła. Zamrugła z wrażenia.

- Przecież to obraz lady Binger!

Chwyliła reprodukcję obrazu australijskiej kolekcjonerki i porównała oba zdjęcia.

- Też tak sędzę - potwierdziła przypuszczenia Enid. - Przejdźmy do mojego gabinetu. Tam jest lepsze oświetlenie.

Gabinet był całkowicie wypełniony półkami z książkami, na środku stało biurko i dwa wygodne krzesła. Gdy obydwie reprodukcje leży obok siebie, oświetlone przez ostre światło lampki, profesor pokiwała głową.

- Nie ma wątpliwości. To jest ten sam obraz. - Sprawdziła zapis w swoich danych. - O sprawdzenie tego obrazu prosił nas dealer z Bury Street, firma „Cotton's”. Cena zaproponowana przez Tonona wydała mu się podejrzenie niska.

- A więc Tonon sprzedał obraz Monfumatowi - wtrąciła Plum rozemocjonowanym głosem - ci sprzedali go do „Forrestiere”, skąd kupiła go lady Binger. Żadna z tych transakcji nie figuruje w metryce, którą otrzymałam w Australii.

- Niewygodne szczegóły najlepiej pominąć milczeniem. - Zerknęła do akt umieszczonych w teczce razem z fotokopią. - Przyjrzymy się wynikom analizy chemicznej, wykonanej przez nas dla „Cotton's"... Malowany na oryginalnej, siedemnastowiecznej płycie miedzianej... ale analiza składników farb wykazała śladową obecność tlenku tytanu. Posłużył on do uzyskania białego pigmentu, który jednak nie był w ogóle znany przed 1920 rokiem. Na skalę przemysłową zaczęto go wytwarzać dopiero po 1941 roku...

Długie palce z lakierowanymi na różowo paznokciami przewertowały kolejne strony notatek.

- „Cotton's" sprawdzali obraz w „Sotheby's", „Ashmolean" i „Fitzwilliam". Na podstawie otrzymanej ekspertyzy wycofali się z transakcji. Lady Binger także powinna była obraz sprawdzić, nim zdecydowała się na jego kupno! - Enid Soames poszła po kolejne teczki z aktami. - Mam tutaj dokumentację wielu złych obrazów. Szukam podobnego do tego Bosschaerta zakupionego u Maltby'ego. Czy to nie ten? - Położyła fotografię w jasnym kręgu rzucanym przez lampkę. - Tak właśnie myślałam!

- To obraz Cynthii! - zakrzyknęła triumfalnie Plum.

Enid zamyśliła się.

- Maltby włączył tego Bosschaerta do swojego ilustrowanego katalogu wydanego na jesieni 1989 roku. Poszłam zobaczyć obraz na własne oczy. Arnold Maltby powiedział mi o nim znacznie więcej niż komukolwiek innemu, ponieważ był przekonany o jego autentyczności i mnie też chciał o tym przekonać... z wiadomych powodów.

Plum kiwnęła głową na znak, że orientuje się w sprawie. Wiedziała, że pozytywna opinia historyka sztuki potrafi podnieść cenę malowidła o tysiące funtów. Wiedziała coś jeszcze. Naukowcy rzadko zgadzali się na wyrażenie oficjalnej opinii, wychodząc ze słusznego założenia, iż nie pchając się na linię ognia nie można zostać zastrzelonym.

- Nie byłam wcale pewna, czy obraz namalował Bosschaert - mówiła dalej Enid - ale nie zajmuję się tym okresem malarstwa. Za to w „Tribune" w następną niedzielę pojawiło się zdjęcie obrazu. Notka obok zdjęcia zapowiadała wydrukowanie za tydzień listu jednego z moich kolegów.

Plum przeczytała lekko pognieciony wycinek z gazety. Profesor Nicolaus Cunnington pisał, że dotychczas nie znane malowidło, które miał zaszczyc przebadać u Maltby'ego, zawiera składniki znanych farb Ambrosiusa Bosschaerta, lecz z bardzo różnych okresów jego twórczości. Profesor Cunnington wysnuł wniosek, że nowy nabytek Maltby'ego jest pastiszem.

- Jak wiesz - taktownie wyjaśniła Enid - malarze często bywają zafas cynowani jednym wybranym obiektem, może to być kobieta albo waza, cokolwiek. Malują ten obiekt raz za razem przez dłuższy okres w życiu. Picasso malował swoje kochanki, Matisse złote rybki, Hockney fale na

powierzchni wody. Po pewnym czasie fascynacja wygasa. Znudzony zużytym wzorem malarz rzadko do niego wraca.

Pod listem Cunningtona wydrukowano odpowiedź Arnolda Maltby'ego, który nie zgadzał się z werdyktem profesora. Uzasadnieniem był wiek obwódki obrazu i ramy, które idealnie pasowały do epoki. Najmocniejszy argument przemawiający za autentycznością malowidła opierał się na ocenie stopnia pokrycia powierzchni obrazu nawarstwiającym się nalotem. Z oceny tej wynikało, że obraz ma ponad 300 lat.

- Ten nalot - rzekła Enid - pochodzi z kurzu i brudu. Przyciemnia barwy tak, że po zdrapaniu wierzchniej warstwy ukazują się oryginalne, żywe i jaśniejsze kolory. Stary Maltby przeprowadził test zeszkrobując taką warstwę. Kolor był pod spodem jaśniejszy. O ile dobrze się orientuję, dowodzi to, iż mamy do czynienia z bardzo inteligentnym fałszerzem.

- Dlaczego Maltby nie zwrócił się do Instytutu z prośbą o opinię?

- Nie było na to czasu. Obraz poszedł na aukcję. Chyba właśnie na to fałszerz liczył.

- Maltby zaryzykował?

- Owszem. Więc kiedy publicznie zakwestionowano autentyczność obrazu, zakwestionowano jednocześnie trafność osądu i uczciwość Maltby'ego. Na szali znalazła się jego reputacja. W takiej sytuacji wielu dealerów broni swojego zakupu, nawet jeśli wiedzą, że nie mają racji. Maltby bronił nie jednego, ale dwóch obrazów, gdyż w tym czasie zakupił z tego samego źródła jeszcze jedno malowidło.

Enid Soames rozparła się na krześle, rozłożyła ramiona i ziewnęła.

- Maltby miał w rękawie nie byle jakiego asa. Większość starych obrazów była kiedyś uszkodzona, potem poddana reperacji, odmalowywano też niektóre partie. Fałszerz nie może pracować na zniszczonym płótnie, tak więc, gdy badanie starego obrazu w ultrafioletowym świetle nie wykazuje obecności ciemnych plam po odbytej konserwacji, obraz należy uznać za podejrzany. Płótno sprzedane przez Maltby'ego Cynthii Bly prześwietlane promieniami Roentgena ujawnia ślady zabiegów renowacyjnych wykonanych w lewym dolnym rogu. Przeprowadziliśmy podobne badania obrazu zakupionego przez szwedzkiego przemysłowca. Wykazały podobne pozostałości po pracach konserwacyjnych wykonywanych w analogicznym miejscu.

Plum zmrużyła oczy.

- To pewnie? Metryka obrazu lady Binger wspomina o pracach konserwatorskich. - Właśnie o tym chciała porozmawiać z Billem Hobbsem. - W metryce obrazu zakupionego przez Suzannah Marsh u Maltby'ego także mówi się o reperacji. Tak naprawdę jest to jedyna istotna informacja.

Następna godzina zesłała im na drobiazgowym analizowaniu fotokopii przyniesionych przez Plum.

- Dopóki nie zajrzę do naszej biblioteki, nie mogę mieć absolutnej pewności, lecz podejrzewam, iż cała piątka to pastisze. I to ściśle ze sobą powiązane. Powiększę te fotokopie i skopiuję, a potem obejrzymy je pod mikroskopem. Twórca tych obrazów musiał odbić na nich piętno swej indywidualności. Może okazać się, że malowała je jedna i ta sama osoba. - Uśmiechnęła się. - Falszeryz naśladowuje indywidualne cechy podrabianego malarza, ale nieświadomie przenosi na obraz cechy własnego stylu: długość pociągnięć pędzla, grubość warstwy nakładanej farby, dobór kolorów i temu podobne rzeczy.

- Miałaby namalować je jedna osoba? - Plum poczuła ukłucie niepewności.
- Czy nie wyciągamy zbyt daleko idących wniosków?

- Wszystko jest możliwe. Jestem zaskoczona, że w tak krótkim czasie udało ci się zlokalizować tak wiele podejrzanych obrazów. Rozumiem, że szłaś pewnym tropem?

- Z wyjątkiem obrazu lady Binger. Trafiłam na niego zupełnie przypadkowo.
- Rzeczywiście, miałaś do tej pory dużo szczęścia, lecz nie będzie ono trwało wiecznie. Teraz trzeba zrobić jak najlepszy użytek z tego, co już mamy. Dobrze, że przyszłaś z tym do Instytutu. Dysponuję dokumentacją wielu innych fałszywych obrazów; nie przyniosłam wszystkiego, bo reszta nie pasowała do poszukiwanych przez ciebie fałszyfikatów. W każdym razie powinnaś przejrzeć tę dokumentację, tak na wszelki wypadek. Może odkryjesz coś interesującego. Dzisiaj jednak nie mam już czasu.

- Ja też nie. Zaprosiłam przyjaciół na kolację.

Dojeżdżając do domu z daleka zobaczyła stojącą na schodach postać w czarnej pelerynie. Lulu uśmiechnęła się na powitanie. Pod pelerynką miała fioletowy kostium, podkreślający kremowy kolor jej irlandzkiej skóry i czarnych jak noc włosów.

- Ben przyjdzie prosto ze studia nagrań. Może się trochę spóźnić - powiedziała przepraszająco. - Jest zmuszony brać nadgodziny, bo krucho z naszą hipoteką.

Plum otworzyła drzwi.

- Dzisiaj chyba wszystkim brakuje pieniędzy.

Lulu roześmiała się żałośnie.

- Ben nie może się zdecydować, co lepsze: wspólne konto w banku, pozwalające mu kontrolować moje wydatki, czy osobne konta, zapewniające, że nie będę mogła rozpuścić pieniędzy na wydatki, które on nazywa luksusami, a ja uważam za niezbędne, jak na przykład nowa kurtka dla Wolfa. Stara rozpadła się na kawałki.

- Nic się nie stanie, jeśli Ben przyjdzie później - zapewniła Plum, zмирzając do kuchni. - Dzisiaj ja przygotuję posiłek. Sandra wyszła na bingó. Możemy porozmawiać, zanim zjawią się pozostali. Oprócz was zaprosiłam Cleo i Sandy'ego Brigstallów. Dopiero co wrócili z Nowego Jorku. Cleo jest, a raczej była klientką Breeze'a.

Plum opowiedziała o losach pani Brigstall. Cleo pracowała na Manhattanie, ale równie dobrze mogłaby harować w kamieniołomach. Wyczerpana obowiązkami nieustannie chodziła przeziębiona, męczył ją bronchit, tak że niemal bez przerwy brała jakieś antybiotyki. Kiedy już była uodporniona na jeden rodzaj wirusa, atakował ją drugi. Dziewiąty z kolei specjalista, do którego zwróciła się o poradę, był homeopata. Ostrzegł ją, że jest bliska zniszczenia swojego systemu odpornościowego. Zagwarantował całkowite wyleczenie pod jednym warunkiem: pacjentka musi gruntownie zmienić styl życia. Wszystko bowiem wskazuje na to, iż jej organizm jest uczulony na Nowy Jork.

I tak Cleo porzuciła posiadłość wartą milion dolarów rocznie, aby kupić w Essex ogród warzywny i powrócić na stałe do Anglii.

Gdy Plum kończyła opowiadanie, do domu wrócił Breeze. Otwierając zřecznie butelkę szampana, włączył się do rozmowy:

- Pozostaje pytanie: czy Cleo zrobiła słusznie rzucając taką pracę?

- Oczywiście, że dobrze - odparła Lulu. - Uwiła sobie wygodne gniazdko i świat wielkich interesów przestał być potrzebny. Mając trzydzieści cztery lata odeszła na emeryturę i teraz może robić, co zechce.

- Ładnie się przysłużyła innym kobietom - stwierdził ironicznie Breeze. - Firma zainwestowała w nią masę pieniędzy i wszystko straciła. Dlatego, że Cleo nie mogła znieść ciśnienia na samym szczycie.

- Naturalnie - prychnęła Plum. - Lepiej wycofać się z tego bzdurnego wyścigu, niż postępować jak ci męscy szowiniści z jej firmy, co zaniedbują żony, rodziny, życie towarzyskie i zainteresowania, a potem padają trupem po ataku serca w wieku czterdziestu pięciu lat.

- Nie upraszczaj - fuknął Breeze, lecz nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. Nie rozumiał, jak można porzucić tak lukratywną posiadłość. On w żadnych okolicznościach nie potrafiłby się oprzeć urokowi wielkiego biznesu.

Lulu pośpiesznie podsumowała:

- Dla każdego życie w ciągłym pośpiechu jest zabójcze.

- Po prostu niektórzy ludzie zbyt ciężko pracują. Chcą uzyskać awans, spłacić kartę kredytową albo zastaw hipoteczny - mówiła Plum. - Odkładają życie na potem, na lepsze czasy, gdy już osiągną swoje cele. Niestety, może okazać się, że na życie zabrakło już czasu.

- Oddać w zastaw hipoteczny czy nie oddać, oto jest pytanie - wygłosiła Lulu. - Trudno się zdecydować, a każda decyzja ma swoje wady. Nie można przecież wychowywać dzieci pod gołym niebem.

- Pewnie - zgodziła się Plum - każdy potrzebuje dachu nad głową. Jednak zbyt wielu ludzi pożąda rzeczy, których wcale nie potrzebuje. Na przykład gromadzą ubrania, a niektóre z nich zakładają tylko jeden raz w życiu!

- Cleo pozbyła się zbędnego bagażu - podchwyciła Lulu.

Plum posłyszala gdzieś w głowie ostrzegawczy dzwonek.

Przygotowawszy posiłek, obie kobiety opuściły Breeze'a i udały się do pracowni Plum. Lulu rozwaliła się na kanapie z kieliszkiem szampana w dłoni i wysłuchiwała opowieści przyjaciółki o jej odkryciach związanych z falsyfikatami.

- Jednak nie cierpię łązić sama po tych galeriach - zakończyła Plum. - Chciałabym, żebyś towarzyszyła mi w kolejnej wyprawie do Sussex. W następnym wtorek mam zamiar odwiedzić dom aukcyjny w Brighton.

- Nie ma sprawy! Te poszukiwania są takie ekscytujące! Pani Barton przypilnuje Wolfa.

- To wcale nie jest ekscytujące - ostrzegła Plum. - Jak dotąd, jest to przede wszystkim kłopotliwe. Tylko spotkanie z Enid Soames było przyjemnością. Teraz widzę, dlaczego Sherlock Holmes potrzebował towarzystwa doktora Watsona. Przyjaciel wspierał go moralnie.

- Na pewno nie potrzebujesz moralnego wsparcia, by pojechać do Brighton i zadać kilka pytań! Żeby tylko Plum kobieta była równie śmiała i odważna jak Plum malarka.

Lulu przypomniała sobie diagnozę matki, według której słabość charakteru Plum była konsekwencją tyranizowania jej przez ojca. Plum zgryźliwie zauważyła:

- Żeby tylko Lulu malarka była równie śmiała i odważna, jak Lulu kobieta.

- Och, ty wstreciucho! Tak trudno wygospodarować wolną chwilę na malowanie. Ben tak często jest poza domem, że czasem mam wrażenie, jakbym była samotną matką. Czuję się jak w pułapce. Nie stać nas na pełnoetatową niańkę, a nie zostawię Wolfa z jakąś niedoświadczoną dziewczyną, która nawet nie potrafi poprawnie wypowiedzieć się po angielsku.

Plum znakomicie to rozumiała.

- Pamiętasz - powiedziała - co mówiłam, gdy po raz pierwszy byłam w ciąży? Twierdziłam, że nie pozwolę, by dziecko zmieniło moje życie, tak jak to jest z innymi kobietami. Wyobrażałam sobie, że będę spokojnie malować, podczas gdy dzidzius będzie drzemał w nosidełku na plecach!

- Nie jestem pewna, czy pamiętasz, jak przygnębiająca jest świadomość, że brakuje ci czasu na malowanie - szczerze powiedziała Lulu. - Teraz już mnie nie obchodzi, czy ktoś będzie oglądał moje prace czy nie. Ja tylko chcę malować! Ben nie rozumie, czym dla malarza jest brak czasu na malowanie. On po prostu znika sobie na pięć miesięcy, zostawiając mnie samą z Wolfem. Gdybym to ja zostawiła go z dzieckiem na tyle czasu i wyjechała na plener, po prostu by oszalał.

Obie roześmiały się.

- Moja praca - mówiła dalej Lulu - to czwartkowe wypełnianie ksiąg rachunkowych, pozwala mi opłacić dwa dni opieki nad dzieckiem. Dzięki temu jeden dzień w tygodniu mogę przeznaczyć na malowanie. To w sam raz tyle czasu, żeby obraz zacząć. Ludzie nie rozumieją, że malowanie to nie są jakieś tam robótki ręczne; nie można malować w półgodzinnych porcjach, trochę dzisiaj, trochę jutro, trochę kiedy indziej.

- Racja. Jak już brać się do malowania, to albo bez ograniczeń czasu, albo w ogóle. Chyba że czyjaś ambicją jest zostanie niedzielnym malarzem, zupełnym amatorem.

- Chciałabym, żeby Ben to rozumiał! Dziś rano znowu wszczął kłótnię na stary temat: od piętnastu lat nie maluję zawodowo, więc dlaczego nie przestanę się miotać i nie zaczekam jeszcze dwa lata, aż Wolf pójdzie do szkoły? Kiedy wrzasnęłam, że malarstwo jest dla mnie sposobem komunikowania się ze światem, Ben stracił na chwilę wątek, a potem powiedział, że nie zauważył, abym cokolwiek miała do zakomunikowania. - Była bliska płaczu. - Czy jesteś w stanie pojąć, jaką czułam wściekłość? Mam do przeniesienia na płótna piętnaście lat mojego życia. Piętnaście lat miłości, zazdrości, żalu, urazów, złości, próżniactwa, namiętności i prac domowych.

Plum odstawiła kieliszek.

- Nie musisz mi tego mówić. Wiem, jak ciężko matce być kimś więcej niż tylko matką. Ale skoro już mamy być kimś więcej, chyba czas, byśmy zeszły do kuchni, dopóki jeszcze trzymamy się sztywno na nogach. Zaserwujemy *carpaccio*, pieczonego łososia z dodatkami, sałatkę i wielki suflet serowy. Mam zamiar popisać się dziś jako kucharka. O Boże! Zapomniałam, że Cleo jest uczulona na mąkę.

Tymczasem na parterze w niewielkiej czytelni obok jadalni Breeze i Ben popijali zaprawianą słodem whisky. Łączyła ich satysfakcjonująca więź obopólnego zrozumienia, jaka może łączyć dwóch mężczyzn mających się za znawców kobiecej natury.

- Plum ostatnio zupełnie odbija - rzekł ponuro Breeze. - Po prostu nie wiem, czego ona chce.

Ben siedział w fotelu klubowym obitym skórą. Zapatrzył się w płomienie, pełgające po polanach w kominku.

- Lulu też zachowuje się jak jakaś świruska. - Na jego pociągłej, ogorzałej twarzy pojawił się grymas cierpiętnika. - Wiem, czego ona chce: pełnoetatowej niańki. Problem w tym, że zatrudnienie niańki kosztuje więcej niż rolls-royce. Lulu zdaje sobie sprawę, że nie stać nas na rolls-royce'a, ale nie trafia do niej,

że na niańkę też nie możemy sobie pozwolić. Mógłbym pracować jeszcze więcej, ale już teraz narzeka, że w ogóle nie ma mnie w domu, że nie włączam się do opieki nad dzieckiem. Przeczesał palcami czarne kręcone włosy.

- Poślubiłem sekretarkę, a nie jakiegoś porąbanego Picassa. Naturalnie nie miałem nic przeciwko jej malowaniu, gdy było nas na to stać, to znaczy zanim pojawił się Wolf. Teraz ta jej pieprzona obsesja rozbija nasze małżeństwo.

- U mnie to samo. - Breeze popchnął karafkę w stronę towarzysza w cierpieniu. - Każda z nich usiłuje znaleźć sposób, aby mieć wszystko naraz, ale kobiety po prostu nie mogą mieć wszystkiego, jeżeli mają dzieci. Plum poradziła sobie, ponieważ na początku matka zajmowała się jej dziećmi, a bez mojej pomocy w przetarciu szlaków nigdy nie dostałaby się na szczyt. Chyba należy mi się odrobina wdzięczności.

- Twoja żona jest przynajmniej prawdziwą malarką i zarabia prawdziwe pieniądze. - Ben zmarszczył brwi. - Nic na to nie poradzę, ale podejrzewam, że obsesja Lulu na punkcie malowania jest tyle warta co orgazm prostytutki. - Pociągnął łyk whisky. - Doprawdy, mam wrażenie, że Lulu w głębi duszy boi się, iż jest zupełnie przeciętną istotą, taką jak wszyscy. To chyba dlatego podświadomie wini mnie za to, że nie jest geniuszem, bo nie dają jej pieniędzy potrzebnych do wykazania swojego geniuszu.

Breeze sięgnął po karafkę, mówiąc:

- Problem w tym, czy Lulu jest przygotowana na ciężką pracę, czy też, jak reszta kobiet, chciałaby wlać do swej filiżanki życia samą śmietankę czy też czystą esencję zdobytej bez wysiłku sławy?

Ben wyglądał na zaskoczzonego.

- Myślisz, że Lulu ma choć odrobinę talentu?

- Zawsze uważałem, że dysponuje ogromnym potencjałem twórczym. Szkoda, że zeszła na manowce. Szkoda, że trafiła na złe towarzystwo... ale dzisiaj każdy dzieciak może wpaść w sidła narkotyków.

Ben kiwnął głową na znak zgody.

- Lulu uważała to za część znakomitej zabawy i nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Ojciec na wiele jej pozwalał, więc nabrała przekonania, że wywinie się z każdej opresji.

- Pod względem techniki, mimo narkotykowej przygody, Lulu nadal reprezentuje przyzwoity, akademicki poziom - ocenił Breeze.

Przez chwilę sączyli drinki w błogiej ciszy. W końcu Ben, z wahaniem w głosie, zwierzył się:

- Ja nawet nie lubię obrazów Lulu. Są tak cholernie przygnębiające. Oczywiście nie odważyłem się jej tego powiedzieć.

- Lulu, podobnie jak Plum, przenosi na płótno swoje nastroje, jednak robi to w sposób bardziej ostentacyjny. Jej usposobienie znajduje odbicie w symbolice

na wskroś realistycznej. Najwyraźniej znajduje się pod wpływem Avigдора Arikha. Nie ma w tym nic złego. Każdy na kimś się wzoruje.

- Nie dostrzegasz w tych obrazach rozczulania się nad sobą? Kobieta zaglądnąca do schowka na sprzęt gospodarczy. Kobieta dokonująca przeglądu stołu zastawionego brudnymi naczyniami. Studium łazienki wczesnym rankiem, tuż po wyjściu rodziny.

Breeze zamyślił się.

- Lulu znalazła temat dla swoich prac. Są nim kobiety w naturalnym, domowym otoczeniu: czepiających się spódnicy dzieci, zmywarki do naczyń czy filiżanki kawy. Nie, nie ma w tym rozczulania się nad sobą. Raczej szczerłość, niepokój i nadzieja. Prace Lulu są rzewne, poruszające.

Ben odstawił szklaneczkę.

- Co powinienem z tym zrobić?

- Wesprzeć ją. Nakreślić jej plan pracy, wymuszający ukończenie powiedzmy... dwudziestu obrazów. Przypilnuj terminów. Podtrzymuj ją na duchu. - Zawahał się, a potem powiedział: - Wiesz co? Pomogę jej zorganizować wystawę. Oczywiście pod warunkiem, że nikt, zwłaszcza Lulu, nie dowie się, że maczałem w tym palce.

W kuchni rozległ się przeraźliwy wrzask. Obaj mężczyźni poderwali się na równe nogi.

Plum usiłowała otworzyć drzwiczki najdroższego w Europie piekarnika, zainstalowanego dla niej jako niespodzianka od kochającego męża.

- Breeze! Te drzwiczki nie chcą się otworzyć! Nie mogę wyjąć łososia!

- Wyłącz grzejniki - poradził mąż. Obsługa kuchennych urządzeń nie była jego najmocniejszą stroną.

- Nie można. Jest regulowany termostatem.

- Poczekaj, zaraz się tym zajmę. - Breeze porwał ze stołu broszurę z instrukcją obsługi. Nie mógł jednak znaleźć sposobu na wyłączenie urządzenia. Zdesperowany wykrzyknął: - Jeżeli Sandra może to obsługiwać, to my też możemy.

- Sandra nie korzysta z tego cuda - stwierdziła Plum, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. - Nie zauważyłeś, że karmi nas wyłącznie potrawami z rusztu albo gotowanymi w garnkach?

Kiedy kończyła zdanie, rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszli Brigstallowie. Od czasu gdy Plum widziała ją po raz ostatni, Cleo postarzała się i wychudła, za to samopoczucie wyraźnie jej się poprawiło. Dowiedziawszy się o kulinarnych kłopotach gospodyni, Cleo i Sandy uśmiechali się do łez. Przez bitą godzinę, wrywając sobie instrukcję obsługi, spierali się całą szóstką o metodę postępowania w takich wypadkach. Nie ustalili nic konkretnego, wezwali specjalistę od napraw gwarancyjnych. Czekać na technika nie mogli ruszyć się z mieszkania. Zjadali ser i sałatkę, czasami rzucając tęskne spojrzenia przez szybkę piekarnika. Łosoś powoli szerniał, a potem zaczął się zwęgląć.

Pomimo szeroko otwartych okien kuchnię wypełniała chmura gryzącego dymu, kiedy wreszcie zjawił się technik.

- Czy postępowali państwo zgodnie z instrukcją? - zapytał wesoło. - Ach, więc w tym problem! Niedobrze.

Firmowa broszura zawierała prawidłową sekwencję klawiszy do naciśnięcia, otwierającą drzwiczki piekarnika. Nie wyjaśniała tylko, że sekwencję trzeba wystukać w ciągu sześciu sekund, w przeciwnym razie polecenie jest kasowane.

- Nawet gdybym to wiedział - oburzał się Breeze - nie zmieściłbym się w tym czasie. Nie jestem pianistą!

- Przynajmniej mieli państwo coś innego do jedzenia - z irytującą wesołością skwitował przygodę technik, po czym uraczył towarzystwo opowieścią, jak to wezwano go do podobnego przypadku w Święta Bożego Narodzenia. Niezszczęsna gospodyni zaprosiła na kolację osiemnaście osób, lecz nie mogła wydobyć indyka z piekarnika.

Plum pomyślała o staromodnej kuchni gazowej, jaka wciąż stała w kuchni jej matki. Spytała:

- Po co komu potrzebne zamykane cyfrowo drzwi piekarnika?

- Żeby indyk nie uciekł? - zasugerował Breeze, wypisując technikowi czek.

*

Następnego ranka Lulu zatelefonowała do Plum. Płakała.

- Och, Plum, to B-B-Ben...

- Co się stało?! - zapytała z bijącym sercem.

- N-N-Nic! Wczoraj, gdy wracaliśmy do domu, Ben zatrzymał wóz przy otwartym do późnych godzin straganie z kwiatami na Piccadilly... Dał mi bukiet czerwonych róż...

- Wiem, nienawidzisz czerwonych róż, ale to nie powód, żeby wpadać w histerię!

- W ró-ró-róże wetknięty był czek na pięćset funtów. To praktycznie wszystkie nasze oszczędności... - Ze wzruszenia Lulu nie mogła mówić. - Ale najlepsze w tym jest to, że czek nie został wystawiony na mnie...

- I to dobrze?!

- Został wystawiony na firmę Windsor & Newton! A to oznacza, że mam wydać wszystko na farby!

Tej nocy Breeze ponownie dzielił łóżko z Plum.

Leo nie był zachwycony, ale zgodził się towarzyszyć Plum w drugiej wizycie u Maltby'ego. W sklepie było jeszcze cieplej niż poprzednim razem. Maltby, jakby oczekiwał ich wizyty, stał w dickensowskiej pozie, w rozkroku, przypiekając sobie plecy przed wymyślnie rzeźbionym kominkiem.

Zesztywniał na widok Plum. Wojowniczym spojrzeniem obrzucił jej towarzysza, legitymującego się kartą prasową. „New Perspective” był poważnym magazynem, nie można było spławić ich redaktora jak jakiegoś podrzędnego pismaka z plotkarskich rubryk.

Grzecznie i delikatnie naciskany przez Leo, Maltby zgodził się na rozmowę przy wyłączonym magnetofonie. Znaczyło to, że Leo nie ma prawa opublikować tego, co usłyszy. Owszem, przypominał sobie, że w „Tribune” kwestionowano autentyczność sprzedanego przez niego obrazu Ambrosiusa Bosschaerta. Zaraz po tym wydarzeniu Maltby zażądał, by dom aukcyjny, w którym nabył obraz, ujawnił nazwisko poprzedniego, anonimowego właściciela malowidła. Okazało się, że była nim kobieta mieszkająca w Londynie od wielu lat. Jej dziadek ze strony matki był Holendrem, zajmował się handlem diamentami. Razem z żoną i małą córeczką opuścił Amsterdam biorąc kurs na Wielką Brytanię. Kilka godzin później hitlerowskie wojska wkroczyły do Holandii. Jedynym bagażem trójki uciekinierów był rulon wartościowych obrazów i sakiewka z diamentami, której zawartość uległa znacznemu przerzedzeniu od chwili wyruszenia z Amsterdamu. Część kamieni pochłonęły koszty podróży.

Maltby drobiazgowo sprawdził drzewo genealogiczne rodziny właścicielki obrazu i nie odkrył niczego podejrzanego. Starego Holendra wciąż pamiętano w jego synagodze w Goldens Green jako szorstkiego, ekscentrycznego mężczyznę, który nigdy nie nauczył się dobrze mówić po angielsku.

Jednak dom aukcyjny odmówił podania nazwiska kobiety, która sprzedała obraz.

- Na koniec jeszcze jedno - rzekł Leo, nadal grzecznie, lecz stanowczo. - Jeżeli chodzi o większe aukcje, jakie ceny osiągają dziś siedemnastowieczne holenderskie obrazy?

Maltby rozluźnił się słysząc, że uprzejme przesłuchanie ma się ku końcowi. Niezdecydowanie zaczął:

- Chyba nadal nie są podawane do publicznej wiadomości...

Kiedy wychodzili ze sklepu w szary, ponury ranek, typowy dla Londynu w styczniu, Leo mruknął:

- Po raz pierwszy ktoś zwrócił uwagę na moją kartę prasową.

W milczeniu przeszli na Piccadilly, skąd Plum miała wrócić do domu taksówką. Zanim zamknęły się za nią drzwi samochodu, Leo wyjął z kieszeni swój notes.

- Słyszałaś, jakie ceny osiągają te obrazy. - Odczytał z notesu: - Jana van Kessela Starszego: od trzydziestu tysięcy dolarów w górę. Balthazara van der Asta i Jacoba Hulsdoncka: od sześćdziesięciu do około trzystu tysięcy dolarów. Ambrosiusa Bosschaerta Starszego: od stu pięćdziesięciu tysięcy do miliona dolarów za najlepsze dzieła... Czy teraz rozumiesz, dlaczego prosiłem cię, żebyś przerwała swoje poszukiwania? Ludzie zarabiający takie sumy na fałszerstwach nie pozwolą, żebyś zdemaskowała ich brudną grę.

Plum poczuła nagłe ukłucie niepokoju, lecz zaraz później lęk ustąpił miejsca poczuciu triumfu. Leo nie mógł wiedzieć, że udowodnienie fałszerstw jest tylko kwestią czasu. Teraz już na pewno nie zaprzestanie dochodzenia.

W domu znalazła nieco irytującą wiadomość od Lulu: pani Barton znowu nie mogła zająć się dzieckiem - miała umówioną wizytę u okulisty. Tak więc Lulu nie będzie mogła towarzyszyć przyjaciółce w podróży do Brighton.

Rozdział siedemnasty

Poniedziałek, 17 lutego 1992

Tuż przed południem Plum dotarła na przedmieścia Brighton. Zaparkowała wóz przed pubem o wdzięcznej nazwie „Pies i kaczką”, u wylotu wąskiej uliczki, przy której rzędem stały domostwa osiemnastowiecznych rzemieślników. Ściany tych budynków odrestaurowano i pomalowano pastelowymi barwami. Uliczka była ślepa. Zamykał ją duży budynek z czerwonej cegły, na którym wymalowano napis: BORDEN & PLOW : LICYTATORZY.

Wewnątrz budowli szalały przeciągi, jacyś mężczyźni w beżowych fartuchach przenosili korytarzami meble. W tym totalnym bałaganie wypełnione zatechłym powietrzem biuro zdawało się oazą spokoju i dobrej organizacji. Ponieważ na ten dzień nie przewidziano żadnej aukcji, personel okazał się miły i usłużny. Pulchniutka, czerwonołica sekretarka bez biadolenia odłożyła napoczęty batonik Mars i na prośbę Plum sprawdziła księgę katalogową.

Szybko odkryła, że w 1988 roku dom aukcyjny Borden & Plow wystawił na aukcji obraz Jana van Kessela Starszego, pochodzący od anonimowego właściciela. Został on nabyty przez panią Georginę Dodds (nie zastrzegła anonimowości), zamieszkałą w Little Middlington Grange w Little Middlington.

- Pani Dodds jest naszą stałą klientką. Zarówno kupuje, jak i sprzedaje - dodała pulchna dziewczyna od siebie. - Jej mąż to lokalna gruba ryba.

W 1989 roku pojawił się na aukcji obraz Bosschaerta. Także w tym przypadku sprzedający zastrzegł sobie anonimowość. Dom aukcyjny wstawił dzieło do ilustrowanego katalogu, a nabywcą został Maltby, Bond Street, Londyn.

Plum chciała wypytać dziewczynę o szczegóły obu transakcji, ale sekretarka odmówiła:

- Nie mogę powiedzieć pani nic więcej. Proszę zapytać Grete, w dziale zajmującym się wystawianiem faktur. To trzecie drzwi po lewej w głąb

korytarza. - Otworzyła drzwi od biura i szybko powiedziała: - Właśnie nadchodzi pan Płow. Na pewno pani pomoże.

Mężczyzna, który wkroczył do biura, wyglądał bardziej na bez troskiego farmera niż na poważnego człowieka interesów. Był silnie zbudowany, muskularny, a jego ogorzała twarz dobitnie świadczyła o tym, że przebywał za biurkiem tylko tyle czasu, ile uważał za absolutnie niezbędne. Wyglądał na kogoś, kto uwielbia polowania. Nie nosił krawata, zza nie dopiętej góry koszuli wystawało kilka czarnych kędziorów. Kamizelka pod tweedową marynarką kłuła oczy kanarkowym kolorem, a beżowe spodnie zastanawiająco kojarzyły się z kawalerią. Tylko skórzane buty w jasnobrązowym kolorze prezentowały się tak, jak można się było spodziewać.

Pan Płow zdobył się na półśmiejch, starannie strząsnął popiół z czegoś, co wydzielало zapach charakterystyczny dla drogich cygar. Lekko aroganckim, pewnym siebie głosem szkolnego przywódcy zapytał, czym może Plum służyć.

Malarka wyjaśniła, że chciała sprawdzić źródło pewnego sprzedanego na aukcji obrazu. Występuje w imieniu obecnej właścicielki, australijskiej kolekcjonerki, lady Binger z Sydney.

Gdy Płow zrozumiał, o który obraz chodzi, roześmiał się w głos. Z zalem stwierdził, że pozwolił wtedy, by przeszła mu koło nosa prawdziwa fortuna. Dodał ze skruchą, że prowincjonalnych domów aukcyjnych nie stać na wyczerpujące badania nad otrzymywanymi obrazami, tak jak mogą to robić ich londyńscy koledzy po fachu. Brak ludzi...

Plum przytaknęła. Wiedziała, że to sensowny pomysł, by rozprowadzać falsyfikaty przez prowincjonalne domy aukcyjne. Chociaż faktem jest, że żaden dom aukcyjny nie daje gwarancji autentyczności żadnemu nabywcy: warunek tej treści wydrukowany jest (bardzo drobną czcionką) w każdym katalogu i na każdym rachunku za wylicytowany obraz.

Płow powiedział, że był zdumiony, gdy obraz Bosschaerta osiągnął tak wysoką sumę.

- Dostajemy wiele towaru podpisywanego „Gainsborough” albo „Constable”. Napisać takie nazwisko na płótnie nie jest trudno. Naturalnie, nigdy takim napisom nie ufamy. Czasem zdarza się, że dobra imitacja uzyskuje solidną cenę, zwłaszcza wtedy, gdy dwóch ludzi myśli, iż robi znakomity interes, albo gdy jakiś pozbawiony skrupułów handlarz dostrzega szansę sprzedaży podróbki jako autentyku. Musimy być jednak ostrożni, co wpisujemy do naszego katalogu.

Plum znała stosowany przez domy aukcyjne sposób na zapewnienie sobie marginesu bezpieczeństwa. W katalogach pojawiały się trzy rodzaje wpisów. Breeze kiedyś cynicznie zinterpretował ich znaczenie. Jeżeli w katalogu występuje nazwisko i imię pisarza w pełnym brzmieniu, powiedzmy „Augustus

John", oznacza to, że licytatorzy sądzą, iż obraz został rzeczywiście namalowany przez Augustusa Johna. Jeśli pojawia się nazwisko poprzedzone tylko inicjałem imienia, na przykład „A. John”, znaczy to, że licytatorom wydaje się, iż dzieło powstało za życia Augustusa Johna, prawdopodobnie za sprawą ucznia znanego mistrza. Jeżeli wypisane jest wyłącznie nazwisko malarza, należy przez to rozumieć, że licytatorzy mają wrażenie, iż obraz został namalowany w stylu Augustusa Johna. W zasadzie równa się to określeniu „szkoła Augustusa Johna”.

- Na temat tego obrazu Bosschaerta nie mogę pani powiedzieć nic więcej - rzekł pan Płow. - Mogę tylko ujawnić, że poprzednia właścicielka spotkała się z panem Maltby. Zarówno on, jak i nasz dom aukcyjny byliśmy usatysfakcjonowani wyjaśnieniami tej pani na temat pochodzenia obrazów.

Kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Plum patrzyła za nim, jak szedł korytarzem, a potem zniknął za trzecimi drzwiami po lewej stronie. Nie miała wątpliwości, że złożył wizytę Grecie, ostrzegając ją, by nie odpowiadała na żadne pytania. Cóż, przynajmniej dowiedziała się, iż obraz został sprzedany przez kobietę.

Ponieważ było już około pierwszej, postanowiła przegryźć coś w „Psie i kaczce”. Miała też nadzieję, że oprócz zaspokojenia głodu i pragnienia zdobędzie dodatkowe informacje.

Pub przeżywał właśnie prawdziwą inwazję klienteli, jak zawsze o tej porze dnia. Plum udało się przepchnąć do baru, ale nie miała najmniejszych szans na zamienienie z barmanką choćby kilku słów. Dziewczyna w pośpiechu zgarnęła podane przez Plum pieniądze, stawiając na blacie kufelek piwa. Malarka wywalczyła sobie przejście w tłumie otaczającym bar i skierowała się na tył hałaśliwego, zadymionego pomieszczenia, gdzie dostrzegła opartych o ścianę dwóch mężczyzn, którym spod kurtek wystawały beżowe fartuchy.

Przez kilka minut słuchała ich rozmowy o wyścigach gołębi pocztowych, a potem rozmyślnie upuściła naczynie z piwem. Jeden z mężczyzn schylił się po kufelek i zaferował brudną chusteczkę.

- Trzymaj, ślicznotko. Taka strata!

Plum oczyściła płaszcz.

‘- Och, nie! Jestem taka mała, że nigdy nie przedrę się do baru. Jak pan myśli?... Mógłby pan?... - Wyjęła z kieszeni banknot dziesięciofuntowy. - Bardzo dziękuję... Jak już pan tam będzie, proszę wziąć piwo też dla siebie i kolegi.

Nie minęło wiele czasu, gdy dowiedziała się, że niejaki Bobby Miliner, do niedawna urzędnik w dziale faktur firmy Borden & Płow, został pół roku temu

zwolniony w ramach redukcji. Powodem redukcji było to, co zawsze: recesja. Ciężkie czasy. Greta utrzymała się na posadzie, ponieważ była z firmą od czasów, gdy pan Płow beztrudno siusiał w pieluchy.

Książka telefoniczna zawierała numery siedmiu Milinerów. Dopiero za piątym razem Plum trafiła na właściwego.

- Jest w ogrodzie - powiedział kobiecy głos. - Proszę zaczekać... Bobbbbeeeee!

Bobby połykał części wyrazów, jakby skomlał do słuchawki. Z trudem rozumiała, co mówi. Chciał wiedzieć, kto jej dał numer telefonu? Dlaczego miałby pomóc wytropić obraz jej mamy, rzekomo sprzedany przez pomyłkę? Dlaczego nie zapyta tego skurwiela Płowa? Natychmiast wyraził zgodę na rozmowę, gdy Plum zaferowała mu dziesięć funtów za każdą godzinę jego cennego czasu. Bobby wymienił nazwę kafejki po drugiej stronie Promenady, gdzie pół godziny później doszło do spotkania.

Lokal sprawiał przygnębiające wrażenie i miał niewielu klientów. W kącie stała ogromna szafa grająca, która miała zapewne przyciągać kręcących się wieczorami po mieście młodych ludzi. Apatyczna kelnerka skierowała Plum do stolika na tyłach, ustawionego w najciemniejszym miejscu sali. Malarka usiadła na wygniecionej, obitej czerwonym sukniem kanapie i posłała Bobby'emu Milinerowi promienny uśmiech.

Bobby był mężczyzną drobnej budowy ciała, z rodzaju tych, którzy zostają dżokejami. Wrażenie pogłębiało podobieństwo jego twarzy do końskiego pyska.

- Może na początek zapłaci pani z góry za kilka godzin? - rzekł, podejrzliwie przyglądając się nieznanemu.

Plum bez słowa wręczyła mu dwa banknoty. Mężczyzna wsunął je za pazuchę i wystękał jęklwym głosem:

- I zapomnij paniusiu o tym kicie ze staruszką mamuszką. Wał, o co chodzi, a ja odpowiem, jeśli będę mógł.

- Chcę namierzyć poprzednich właścicieli dwóch obrazów.

Kiedy powiedziała, o które obrazy chodzi, twarz Milinera rozjaśniła się.

- Kurcze, niezłe było zamieszanie, gdy staruszek Płow skumał, jaka forsa przeszła mu koło nocha! - Zatopił w malarce przenikliwe spojrzenie. - Będzie to kosztowało dwie setki ekstra... - Sprawdził, jakie zrobił wrażenie, i dodał: - Plus moje wydatki... Plus setka dla Grety... plus jej wydatki.

- Mogę dać sześćset. Nie więcej.

Plum zdała sobie sprawę, że Greta nie zadowoliliby się setką, skoro pracowała dla Borden & Płow od wielu lat i na pewno należała do zaufanych pracowników. Cieszyła się, że przed wejściem do kawiarni zdjęła z palca brylantowy pierścionek.

- Dobra, dobra. O co chodzi, nie ufa mi pani? Spotkamy się tutaj o szóstej. Muszę się śpieszyć, jeżeli mam pogadać z Gretą.

Przez następne trzy godziny Plum obeszła pół miasta, szukając banku,

który przyjąłby jej czek. Brighton okazało się typowym miastem angielskiego wybrzeża po sezonie: ulicami hulał wiatr, a miejska panorama raziła posepnością.

W jedynej budce telefonicznej, która uniknęła wizyty wandalii, wyszukała w książce telefonicznej hrabstwa Sussex zapis Dodds, G., Little Middlington Grange, Middlington.

Telefon odebrała kobieta o wyjątkowo nieprzyjemnym głosie. Był to głos jednej z setek żon pułkowników, władczy, wręcz jadowny, głos, który pomógł Brytanii utracić Imperium. Plum nerwowo zapytała, czy mogłaby rzucić okiem na obraz Jana van Kessela. Pani Dodds parsknęła:

- Co za bezczelność! Nie sądziłam, że poważni ludzie interesu będą paplać z dziennikarzami na mój temat! Natychmiast skontaktuję się w tej sprawie z Angusem Płowem... Nie, moja droga, nie możesz rzucić okiem na żaden z moich obrazów, to wykluczone! Jeśli mimo to będziesz szwendać się pod drzwiami mojego domu, ostrzegam, że poszczuję cię psami i wezwę policję. A teraz odpięrz się ode mnie! I nie dzwoń więcej, bo pójdę ze skargą prosto do twojego szefa!

O szóstej wieczorem Plum wróciła do kafejki. Bobby Miliner już czekał przy stoliku na tyłach lokalu. Kiedy siadała naprzeciwko, mrugnął do niej porozumiewawczo. Poczuli się jak współnik przestępstwa i zawstydzili się. Musiała sobie wytłumaczyć, że postępuje tak w imię lepszej sprawy.

- Będę potrzebował więcej gotówki - rzekł na wstępie Miliner lekkim tonem.

- Przykro mi. To niemożliwe. - Wyjęła zwitek banknotów, ale nie wręczyła go mężczyźnie. - Miałam poważne problemy ze zdobyciem sumy, na którą się umówiliśmy.

Niczym węgorz, Bobby jednym zwinnym ruchem wy dostał się zza stolika.

- Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Naprawdę miałam problemy ze zdobyciem tych pieniędzy - skłamała Plum, potrząsając zwitkiem. - Banki nie wypłacają setek funtów ot, tak, gdy się o to poprosi. Zwiedziłam z tuzin lokalnych banków, nim kierownik ostatniego z nich zgodził się zatelefonować do mojego banku w Londynie. To wszystko, co zdołałam wydobyć.

- To może dodamy zegarek?

Plum pokazała zapięty na nadgarstku tandemy zegarek z czarnego plastyku. Wstała w nadziei, że mężczyzna odczyta to jako chęć odejścia od stolika.

- Dobra, dobra! Siadaj pani - rzucił cierpko Miliner. - Wygląda na to, że obydwaj obrazy, którymi się pani interesuje, sprzedają ta sama osoba. Oto adres. - Cisnął na stół zmięty kawałek papieru. - A teraz chciałbym zobaczyć forszę.

Plum podała mężczyźnie zwitek banknotów i odczytała na głos zapisane na kartce dane:

- Pani Gillian Carteret, The Chantrey, Mallowfield Village.

- No, właśnie. - Bobby Miliner pracowicie przeliczał banknoty. - To gdzieś w kierunku na Downs. Numer telefonu gratis.

Podniósł na nią oczy i chowając pieniądze znowu mrugnął. Tym razem triumfalnie i wyzywająco. Zawahał się, lecz ochota do przechwałek wzięła górę nad rozważą.

- Łatwo wykiwać starą Gretę. Przychodzę do niej i mówię, że pan Płow obiecał mi ponowne przyjęcie do pracy. Stara wrzasnęła, jakbym włożył jej szpilę w wiadome miejsce. Dobrze wie, że nie ma roboty dla dwóch, więc poleciła szukać szefa. Ale znaleźć go po południu to nie taka prosta sprawa!... Szczęśliwym trafem nie pomyślała o zabraniu kluczy od szafki z aktami, tak bardzo śpieszyła się sprawdzić, czy jej nie wygrzęzę. Otworzyłem sobie szafeczkę i już byłem w domu!

Jeszcze raz mrugnął.

- Znowu miałem szczęście, bo faktury tych obrazów jeszcze nie poszły do archiwum. Spisałem numery katalogowe i natychmiast zauważyłem, że zamiast nazwiska sprzedającego umieszczono w papierach ten sam kod: „31A18X195W185B19”. Szef myśli, że tylko on zna szyfr, ale nic z tego! Złamałem go wiele miesięcy temu. - Zachichotał nieprzyzwoicie. - Ten frajer ponumerował każdą literę w alfabecie, a pomiędzy każdą dwucyfrową liczbę wstawił niezasyfrowaną literę. Proste, co?... Kiedy już wiedziałem, że chodzi o Carteret, sprawdziłem adres na poufnej liście klientów. I to tyle! Jutro powiem Grecie, że nabiłem ją w butelkę. Przyniosę na przeprosiny bombonierkę i sprawa będzie załatwiona. W pięć minut o wszystkim zapomni.

Plum nie słuchała dłużej. Szybko poszła na tyły kawiarni, do budki telefonicznej wypełnionej śmierdzącym powietrzem.

Carteret długo nie podnosiła słuchawki. Plum nie zrezygnowała i jej cierpliwość została nagrodzona. Telefon odebrał mężczyzna. Poinformował, że pani Carteret przeprowadziła się w zeszłym roku. Mieszka teraz w posiadłości Old Rectory w Bissingthorpe.

Plum wykręciła numer nowego domu pani Carteret, jednak chwilę później rozmyśliła się i pośpiesznie odłożyła słuchawkę. Na pewno lepiej będzie zjawić się tam osobiście.

I uż przed siódmą, po tym, jak dwukrotnie skierowano ją na niewłaściwą drogę, dotarła do Old Rectory. Było zbyt ciemno, by obejrzeć dom, do którego prowadziła kręta brukowana alejka.

Na dźwięk dzwonka uchyliły się drzwi i w jasnym świetle padającym z wnętrza domu pojawiła się ciemna sylwetka wysokiej, szerokiej w biodrach kobiety.

- Pani Carteret? - zapytała Plum. - Przychodzę z Borden & Plow...
- Co znowu tym razem? - rzekła kobieta zmęczonym głosem. - Proszę wejść do środka.

Otworzyła drzwi szerzej i usunęła się do tyłu. Na oko miała około trzydziestu pięciu lat. Jej strój składał się z białej jedwabnej bluzki, szarego tweedowego żakietu, długiej spódnicy w kolorze owsianki i przepięknych skórzanych bucików.

- Dzisiaj chyba znowu będzie mróz... - Tradycyjna kobieca pogawędka o pogodzie nagle urwała się, gdy malarka weszła w krąg światła. - Dobry Boże! Czy pani nie jest Plum Russell?... Co pani tutaj robi?... Proszę do saloniku, tam jest cieplej.

- Skąd pani wie, kim jestem? - spytała Plum, wchodząc do umeblowanego bez przepychu, przytulnego pokoju, gdzie na kominku wesoło płonął ogień, a dwie obite złotym aksamitem, zaopatrzone w kutasiki kanapy Knole'a zapraszały gościa do skorzystania z miękkich siedzeń.

Pani Carteret wahała się, jaką odpowiedź wybrać.

- Och, widziałam pani zdjęcie w jakiejś gazecie. - Delikatny uśmiech zmiękczył rysy jej twarzy. Podeszła do kredensu i zapytała: - Sherry?

Do dwóch kryształowych szklaneczek należała *amontillado*.

Plum nareszcie mogła przyjrzeć się gospodyni. Pani Carteret miała ciemne oczy, których śmiałe, żywe spojrzenie było skażone przez chorobliwe worki pod oczami. Czarne proste włosy swobodnie opadały na ramiona.

Plum zdecydowała, że najrozsądniej będzie powiedzieć prawdę. Wytłumaczyła więc, że bada przeszłość obrazu Balthazara van der Asta, który obecnie należy do jej przyjaciółki, Suzannah Marsh.

Pani Carteret zdenerwowała się.

- Jaki jest sens żądać anonimowości, skoro Borden & Plow beztrąsko ujawniają dane każdemu, kto chciałby mnie znaleźć?

Plum przybrała skruszony wyraz twarzy.

- Przepraszam. Myślę, że to jakieś niedopatrzenie ich urzędników. Nie wiedziałam, że dane są poufne.

- Rano porozmawiam z panem Plow. Naprawdę, powinien być bardziej rozważny.

- Dlaczego sprzedając zastrzegła pani anonimowość?

- Po rozwodzie brakowało mi pieniędzy, sprzedaj obrazów wydawała mi się krepująca... Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli... - Odstawiła swoją szklaneczkę. - Ale obraz Balthazara van der Asta nie był sprzedany przez spółkę Borden & Plow! Maltby kupił go bezpośrednio ode mnie!

- Chyba coś mi się pomieszało - powiedziała Plum przepraszająco.

Ciemne oczy pani Carteret spoczęły na nieoczekiwanym gościu.

- Widzi pani, odziedziczyłam obrazy w spadku po moim dziadku, holen-

derskim uchodźcy, Amosie Straussie, który przywiózł je do Wielkiej Brytanii w 1940 roku. Trzy z nich sprzedałam, lecz jeden, ostatni, zatrzymałam. Nazywam go moją rezerwą finansową.

- Suzannah Marsh chciała dowiedzieć się pewnych szczegółów, których zabrakło w metryce. Już bardzo mi pani pomogła. - Plum rozpromieniła się. - Czy pani dziadek wrócił po wojnie do Holandii?

- Nie. Podczas wojny pracował jako tłumacz, potem przyłączył się do firmy w Hatton Garden handlującej diamentami. Zrobił na tym wyśmienity interes, aczkolwiek sam nigdy tego nie przyznał. Mama mówiła mi, że zawsze żyli bardzo oszczędnie. Opowiadała też, że nawet po ucieczce z Holandii wciąż obawiał się nazistów. Trzymał pod łóżkiem spakowaną walizkę aż do dnia kapitulacji Japonii. - Słaby uśmiech uniósł kąciki ust pani Carteret. - Ale pańska przyjaciółka chyba nie jest zainteresowana podobnymi drobiazgami.

- Ależ to bardzo zajmujące - zaprzeczyła szybko Plum. - I smutne. Czy wolno mi spytać, co stało się z pani dziadkiem po wojnie?

- Po śmierci babki w 1949 roku moja mama, mając osiemnaście lat, wyszła za poganina. Mój ojciec był aktorem charakterystycznym. Dziadek nie chciał po tym wydarzeniu widzieć jej na oczy, toteż poznałam go dopiero po śmierci mamy, czyli w wiele lat po zniknięciu taty, co stało się, gdy miałam piętnaście lat.

Pani Carteret urwała na chwilę, jakby bolesne wspomnienia odbierały jej mowę.

- Zamieszkałam z dziadkiem i jego służącą. Ten nieokrzesany, opryskliwy starzec, który nie potrafił poprawnie wysławiać się po angielsku, wzbudzał we mnie paniczny strach. W 1966 roku przeszedł zawał i stał się jeszcze bardziej przerażający. Interesami musiał zająć się jego wspólnik. Dziadek zmarł w 1968.

- Odziedziczyła pani wszystko?

- Wszystko. Wspólnik nie dbał należycie o interesy, więc firma handlowa była wtedy już niewiele warta. Dostałam tylko te cztery obrazy. Gdybym od razu zdała sobie sprawę z ich wartości, bezzwłocznie sprzedałabym je za pośrednictwem Sotheby albo Christie. Na pewno nie skorzystałabym z prowincjonalnego domu aukcyjnego.

- Pech - współczuła Plum. - Kiedy sprzedała pani pierwszy obraz?

- Krótko po rozwodzie w 1986 roku wystawiłam na aukcji obraz Jana van Kessela, który przeszedł w ręce Georginy Dodds, żony lokalnego właściciela ziemskiego. Osiągnął cenę trzech tysięcy funtów, co znacznie przekraczało moje wyobrażenie. Spłaciłam długi i wystawiłam na aukcji drugi obraz, Ambrosiusa Bosschaerta, którego nabywcą został Maltby. Zdaje się, że odsprzedał go jakiejś Amerykance, dekoratorce wnętrz.

Osuszyła szklaneczkę i kontynuowała opowieść.

- Pieniądze uzyskane z aukcji pozwoliły mi wprowadzić się do tego domu.

Maltby próbował odkupić obraz od Georginy Dodds, ale nic nie wskórał. Pani Dodds nie chciała słyszeć o sprzedaży. Wobec tego Maltby dotarł do mnie i mniej więcej rok temu kupił mój trzeci obraz, Balthazara van der Asta. Zdaje się, że ten obraz zakupiła pani przyjaciółka Suzannah...

„Najwyraźniej Maltby miał wielkie zaufanie do autentyczności obrazów i metryk” - pomyślała Plum.

- Mogę spytać, czy jest pani zainteresowana sprzedażą ostatniego obrazu?

- Kiedy ludzie przestaną zadawać mi to pytanie?! Nie. Jak już pani mówiłam, obraz jest moim zabezpieczeniem na czarną godzinę. Tak go traktuję. Oczywiście, może się zdarzyć, że ktoś złoży mi bardzo korzystną ofertę.

- Sądzę, iż Suzannah mogłaby taką ofertę złożyć. Właśnie dlatego tu jestem.

Pani Carteret przez chwilę trawiła wiadomość, po czym z tą samą manierą co przedtem delikatnie się uśmiechnęła.

- Chciałaby pani rzucić na niego okiem? Trzymam go w sypialni. Rankami, gdy się ubieram, zawsze go oglądam.

Plum, wspinając się tuż za gospodynią krętymi, mrocznymi schodami, postawiła sobie pytanie: czy gdyby ta kobieta była nieuczciwa, opowiadałaby tak chętnie o swoich obrazach i zaproponowała pokazanie czwartego płótna?

- Mając w domu tak wartościowy obraz, nie boi się pani złodziei?

- Owszem, zwłaszcza gdy w Borden & Plow nie potrafią utrzymać języka za zębami. W poniedziałek wysłałam obraz do bankowego sejfów.

Weszły do zwykłej wiejskiej sypialni. Jeden tylko element był w niej niezwykły: niewielkie malowidło, zawieszone na ścianie naprzeciwko różowych zasłon.

Pani Carteret podeszła do obrazu, zapaliła punktową lampkę z brązu, oświetlającą go od góry, i uroczyście wygłosiła:

- Jacob van Hulsdonck.

Obraz przedstawiał stojącą na drewnianym stole niewielką biało-niebieską misę z orientalnymi zdobieniami, wypełnioną truskawkami. Po jej prawej stronie, na zielonym liściu truskawkowego krzewu siedział błękitny motyl. Po lewej leżało kilka truskawek, ciemnoczerwonych czereśni i różowy goździk, w sąsiedztwie kilku spadłych płatków. Obraz był bardzo podobny do tego z galerii Artura Schneidera w Nowym Jorku.

Plum zacisnęła usta i sięgnęła do torby. Poszła za radą Stephanie i wzięła ze sobą tani aparat fotograficzny typu polaroid, pozwalający na szybkie wykonanie zdjęcia do podręcznego archiwum.

- Mogę? - zapytała, podnosząc aparat na wysokość obrazu. Nie czekając na odpowiedź nacisnęła wyzwalacz migawki, utrwalając malowidło ze stojącą obok niego Gillian Carteret.

Zaskoczona gospodyni otworzyła szeroko oczy, a zaraz potem zatrzęsa się z wściekłości.

- Proszę mi to oddać!
- Oczywiście. - Plum jeszcze raz nacisnęła spust migawki. - Jedno dla Suzannah, a jedno dla pani... Proszę.

Wręczyła kobiecie zdjęcie.

Pani Carteret zawahała się. Właściwie dlaczego miałyby wszczynać awanturę? Przyjęła zdjęcie.

- Jeżeli pani przyjaciółka będzie zainteresowana kupnem, chciałabym, aby Maltby pośredniczył w transakcji.

- Oczywiście. - Plum przysunęła się do obrazu i przyjrzała mu się z bliska.

- Naprawdę jest bardzo piękny...

Dziesięć minut później opuszczała dom pani Carteret. Choć nie mogła zdjąć obrazu ze ściany i wykonać testu szpilką - gdyż gospodyni nie spuszczała z niej oka - była głęboko przekonana, iż przed chwilą miała okazję obejrzeć jeszcze jeden falsyfikat.

Wracając krętą ścieżką do samochodu oceniała w myślach wyniki wizyty. Powinna być zadowolona, ale gdzieś w głębi duszy czuła, że pani Carteret okpiła ją. Nie wiedziała dlaczego, ale miała wrażenie, iż wyszła na idiotkę.

Rozdział osiemnasty

Wróciła do domu tuż przed północą. Wyprawa do Brighton wysłała z niej wszystkie siły, dawno nie była tak potwornie zmęczona. Breeze czekał na nią w łóżku. Był miły i pogodnie usposobiony. Od kilku dni bardzo starał się zerwać z poprzednim modelem zachowania, sprowadzającym się w takich okolicznościach do „gdzieś ty była i dlaczego nie zadzwoniłaś?” Zgodnie z nowymi wzorcami łagodnym tonem zapytał:

- Nie jesteś głodna? Może coś ci przygotuję? Po twojej stronie łóżka stoi termos z gorącym mlekiem. Obok telefoniczne wiadomości dla ciebie.

- „Dzwonił Toby. Zadzwoni jeszcze raz - przeczytała Plum. - Bill Hobbs zobaczy się z tobą w czwartek przed południem. Enid Soames ma dla ciebie wiadomości. Zadzwoni we wtorek o szóstej rano. Powtarzam: o szóstej rano. Później odlatuje z kraju”.

Plum jęknęła i nastawiła budzik.

Gdy tylko udało jej się zasnąć, rozdzwonił się telefon.

- Och, przepraszam, mamu - wybelkotał Toby - nie wiedziałem, że jest tak późno...

- Czego chciał Toby? - zapytał Breeze, kiedy Plum ponownie układała się do snu.

- Czego chciał? - Ziewnęła. - Toby chce rzucić szkołę i zająć się chałupniczą produkcją zabawek w Tajwanie.

- Ale to oznacza ciężką pracę - burknął Breeze z wyraźnym niezadowoleniem. - Coś mi się zdaje, że chłopak potrzebuje forsy na stroje dla tej swojej nowej przyjaciółki. Jak ona ma na imię? Satsuma?

- Mitsuma? - wymamrotała Plum. - Jest modelką Vivienne Westwood i kupuje niemal wszystko, co nosi na pokazach.

- Chyba zacznę zbierać pieniądze na jakiś niewielki prywatny interes - zdecydował Breeze. - Pod warunkiem, że jednak zdecyduje się ukończyć szkołę.
- Nie bierz tego tak serio - powiedziała Plum, powoli odpływając w objęcia snu. - Mogę się założyć, że ten pomysł nie przetrwa nawet jednego tygodnia.

Wtorek, 18 lutego 1992

Dźwięczny, przenikliwy głos profesor Soames lepiej przywrócił Plum przytomność niż natrętnie terkotanie budzika.

- Plum, telefonuję z Heathrow. Przepraszam, że tak wcześnie, ale zaraz odlatuję do Moskwy. Chociaż Instytut nie może wydać jednoznacznej opinii przed zbadaniem obrazów, na podstawie samej tylko mikroskopowej analizy techniki prowadzenia pędzla mogę już teraz powiedzieć, że wszystkie znalezione przez ciebie obrazy namalował ten sam fałszerz. Jego dziełem okazał się również obraz, który pojechał do Szwecji.

- To wspaniałe wieści! - Plum czuła się już całkowicie rozbudzona.

- Jesteśmy niemal pewni, że ten lajdak odpowiada także za fałszerstwo martwej natury Pietera Claesza, którą sprawdzaliśmy w 1989 dla bostońskiego muzeum.

- Czy mogłabyś przesłać mi fotokopię?

- Już to zrobiłam. Claesz nie jest w żadnym calu tak dobry jak inne obrazy, pędzlowi brakuje pewności i lekkości. Być może jest to jedna z wczesnych prac fałszerza... jednak to stanowczo ten sam człowiek. - Przerwała, aby zwymyślać w jakimś obcym języku popędzającego ją natręta. - Boże, mój rosyjski zdążył już zardzewieć... Plum, jesteś tam?... Posłuchaj, oba obrazy, ten Claesza i zakupiony przez Szweda, zostały podziurawione, zapewne rozmyślnie, już po namalowaniu. Potem poddano je naprawie. - Zrobiła pauzę, aby zaznaczyć wagę tego odkrycia. - Tak więc pięć z sześciu falsyfikatów zostało poddanych takiej obróbce z dziurawieniem. Może ze wszystkimi tak postępowano.

- Taka specjalność oszustów?

- Możliwe. Na podstawie samych fotokopii trudno powiedzieć coś więcej. Ciekawe, że wszystkie te „podróbki” są dość świeże. Zaczęły pojawiać się na rynku około 1988 roku i muszę stwierdzić, że tak dobrych nie widzieliśmy od bardzo dawna. - Znowu musiała przerwać, by wygłosić kilka ostrych słów po rosyjsku. - Nawiasem mówiąc, wytopiliśmy w literaturze fachowej większość użytych motywów. Reszta prawdopodobnie pochodzi z muzealnych prospektów. Jeżeli fałszerz nie mieszka na stałe w Holandii, to na pewno wybrał się na wycieczkę po tamtejszych muzeach.

Do uszu Plum doszły wrzaski rozsierzonego Rosjanina Enid Soames starała się mówić szybko:

- Zauważyłam coś, co, być może, warte jest zbadania. Duży żółty tulipan na obrazie lady Binger jest jakiś... dziwny. Umów się na spotkanie z Willem Ashleyem, naszym konsultantem w dziedzinie botaniki. Mieszka w Barnes. Znajdziesz go w książce telefonicznej.

Plum czuła nagle przypływ radości. Triumfowała! Jednak miała rację! Breeze, twardo śpiący u jej boku, będzie musiał odwołać wszystko, co powiedział.

Środa, 19 lutego 1992

Frontowe drzwi skromnego domu na przedmieściach Barnes otworzyła tęga kobieta, owinięta w staromodny, biały szlafrok. W milczeniu poprowadziła Plum do cieplarni na tyłach domu, wypełnionej mięsistymi tropikalnymi roślinami, gęstymi, soczyście zielonymi chaszczami i, dla urozmaicenia, nefrytami i wapieniami. Powietrze było gorące i ciężkie od wilgoci.

Will Ashley okazał się kościstym mężczyzną w średnim wieku, z włosami koloru piasku i okrągłą głową, nieco zbyt wielką jak na jego wątłe ciało. Na widok gościa powiedział głośno:

- Mamo, możemy prosić o herbatę?

- To miło z pana strony, że zgodził się pan zobaczyć ze mną tak szybko - zagaiła Plum.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując nierówne, pożółkłe zęby.

- Nierzęsto mam gości - rzekł melodyjnym, ujmującym głosem, wskazując dwa krzesła z siedzeniem wyplatany trzcina.

Plum wyjęła z portfolio sześć powiększonych fotokopii. Will Ashley zabrał je na nieskazitelnie biały stół i położył na plastikowym blacie. Wyjął z szuflady lupę. Od czasu do czasu sprawdzał coś w jednej z książek, których pokażny stos leżał w rogu stołu. Robił notatki. Nie odzywał się.

Plum z trudem oddychała rozgrzanym, wilgotnym powietrzem cieplarni. W pół godziny pochłonęła trzy filiżanki bardzo mocnej indyjskiej herbaty i kilka kłajstrowatych pierniczków z marmoladą. Nagle opadła ją senność; starała się ukryć ziewanie.

Właściciel cieplarni podniósł wzrok znad notatek.

- Zidentyfikowałem wszystkie te kwiaty. Mama przepisze na maszynie całą listę. Nie ma w nich niemal nic niezwykłego. Oczywiście, to niemożliwe, aby wszystkie w tym samym czasie zakwitwały. Jednak malarz nie musi trzymać się realiów. Jak pani zapewne wiadomo, artyści bardzo często pracują na podstawie szkiców. Gdyby ograniczali się do malowania kwiatów z natury, mogliby tworzyć tylko w miesiącach letnich.

Podniósł fotokopię obrazu lady Binger.

- Zauważyłem kilka drobiazgów, które mogą panią zainteresować. -

Wskazał duży, centralny kwiat. - Ten wielki tulipan... Zauważyła pani, że jego płatki mają wyjątkowo klarowny, żółty kolor, a na krawędziach są podbarwione jasnym brązem? To tulipan Darwina. Ma charakterystyczny kształt: płatki są prostokątne, a dno kwiatu płaskie. - Spojrzał malarce w oczy. - Odmiana Darwina została po raz pierwszy zaprezentowana przez monsieur Lenglarde, hodowcę amatora z Lille we Francji. Był to 1889 rok.

- Więc kwiat nie mógł być namalowany w 1629 roku?

Ashley pokiwał głową, wyjmując tym razem fotokopię obrazu Cynthii Bly.

- Widzi pani tego motyla? Na czarnych skrzydłach od wewnątrz ma wielkie żółte kropki. Wygląda jak *Danaus menippe*, monarcha z Ameryki Północnej. Tylko że skrzydła są za duże, a poza tym monarcha ma brązowe plamki. To naprawdę duży motyl. Rozpiętość skrzydeł dochodzi do dwudziestu centymetrów... Zaryzykowałbym twierdzenie, że ktoś przerysował motyla z jakiegoś atlasu, i to przerysował dość nieuważnie... bo jest to *Papilio bedoci*, przedstawiciel gatunku odkrytego w Gujanie Francuskiej w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku.

Padło, ale Plum nie zważała na deszcz. Stała przez jakiś czas przed samochodem i głęboko wdychała świeże powietrze, pachnące korą rosnących przy ulicy drzew. Nie była pewna, czy wytrzymałaby dłużej w tej małej, dusznej podmiejskiej dżungli.

Czwartek, 29 lutego 1992

Rankiem, tuż po godzinie ósmej, Plum szła wzdłuż długiego szeregu ulicznych straganów, rozstawionych po obu stronach Armada Road w Islington. Patrzyła na zasypane warzywami i owocami lady oraz na stojących za nimi, zachęcająco uśmiechniętych sprzedawców. Wszyscy byli poubierani w rękawice bez palców i stare kombinezony narciarskie, na rozgrzewkę podskakiwali w miejscu, wymachiwali ramionami albo krzyżowali je na piersi i przyciskali do ciała.

Za ulicznym jarmarkiem rysował się szereg domów czynszowych, zbudowanych wzdłuż zbozca zamykającego Armada Road. Budynki przypominały bliskie zawalenia ruiny; ulica powoli przeistaczała się w zaułek brudnych ruder. Plum przyspieszyła kroku, by jak najszybciej znaleźć się przed domem Billa Hobbsa. Musiała skrócić w lewo i wyminąć pokrytą różnobarwnymi graffiti ścianę, za którą przebiegała linia miejskiej kolejki.

Była pięćdziesiąt metrów od domu, gdy czarne drzwi otworzyły się i na

schodkach przed budynkiem pojawiło się dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Bill, drugim gość, który właśnie zakończył wizytę. Hobbs nie zmienił się wiele. Wciąż się garbił, co wydawało się czymś całkowicie naturalnym przy jego niepospolitym wzroście. Miał na sobie przyduże poplamione dzinsy na szelkach, koszulę z głębokim dekoltem, niegdyś białą, oraz wytartą na łokciach marynarkę nieokreślonego koloru.

Widząc zbliżającą się malarkę chwycił swojego gościa za rękę. Mężczyzna obrócił się, by zobaczyć, kto idzie. Plum ze zdziwieniem rozpoznała w nim Charleya Bomana. Wyglądał na skonsternowanego, ale nie było to niczym nowym: Charley zawsze tak wyglądał. Wrażenie brało się z jego charakterystycznej miny; lekko uniesione czarne brwi, szeroko otwarte, ciemnobrązowe oczy, przechylona głowa. Jakby gorączkowo rozważał, gdzie się ukryć.

W tej chwili Plum podzielała te uczucia. Wołała, żeby nikt, a zwłaszcza Breeze, nie dowiedział się o jej spotkaniu z Hobbsem. Postanowiła wejść w rolę osoby, dla której normalną sprawą jest przebywanie w tej okolicy.

- Cześć, Bill! - Pomachała mu wesoło. - Charley, co ty tu robisz?

- Bill naprawia jeden z obrazów taty. - Spojrzał na Plum, jakby rzucił wyzwanie do przedyskutowania tego oświadczenia.

- O! Jaki obraz?

Podjeżdżała Billa o jakieś nieczyste interesy z handlarzami obrazów, lecz teraz przypomniawszy sobie, że Leo widział Charleya na promie kursującym po kanale La Manche. Czyżby Bill i Charley pracowali do spółki? Czy obaj byli członkami tej samej szajki, wypuszczającej na rynek falsyfikaty? Może Bill je produkował, a Charley rozprowadzał? Jeśli tak, byłoby to coś nowego dla Billa, który do tej pory pracował tylko nad obrazami dostarczonymi do naprawy.

- Zawsze ta sama. Nasza mała wścibska sikorka - powiedział Bill z typowym dla południowego Londynu akcentem. - Zawsze ta sama, przez wszystkie te lata...

Przywołał na twarz służalczy uśmiešek, znamieny dla pozbawionych skrupułów dealerów, a potem potarł palcem worek pod lewym okiem. Plum znała ten gest. Oznaczał, że Bill jest poirytowany.

- Charley, do zobaczenia w przyszłym tygodniu - rzekł. - Naprawa tego małego rozdarcia nie zajmie mi dużo czasu, ale płótno będzie musiało przeschnąć, zanim pokryję je werniksem. A pogoda nie jest najlepsza. Jest za wilgotno.

Pożegnał Charleya i zwrócił się do Plum:

- Wejdz, skarbie. Czemu zawdzięczam tę podróż aleją wspomnień?

W jego zachowaniu była wciąż ta sama, wyzywająca maniera, starał się emanować zmysłowym czarem. Jego bladożółta, pomarszczona twarz coraz trudniej adaptowała się do tych celów, choć worki pod oczami nie były

w stanie zagasić jasnego, przenikliwego spojrzenia. Plum spostrzegła, że Bill zaprzestał farbowania resztek włosów.

Nagle przypomniała jej się łazienka Billa - tylko łazienka - w której wszystkie jego dziewczyny myły siebie i pędzle. W tym dość ponurym pomieszczeniu zawsze stała butelka greckiego trunku „2000” i butelka whisky. Trudno jednak smakować trunki, gdy w powietrzu unosi się dziwny, nieprzyjemny zapach, przypominający używany w laboratoriach chemicznych formaldehyd. Może dlatego, że w wannie kąpały się nocami świeżo podmalowane obrazy, które poprzez chemiczną obróbkę nabierały „patyny”, charakterystycznej dla wiekowych arcydzieł.

Weszła za Bilem do domu. Zatrzymawszy się w nie umeblowanym holu, głęboko odetchnęła atmosferą mieszkania. Nie czuła zapachu terpentyny i werniksu, dawniej tak silnego, unoszącego się na całym parterze. Żadna z dziewcząt pracujących dla Billa nie dostąpiła zaszczytu poznania sekretnej formuły jego werniksu, rozpuszczalnika farb i kleju. Hobbs mieszał je samodzielnie, za zamkniętymi na glucho drzwiami kuchni. Przyrządzał tam także klej. Po takiej operacji zawsze pod sufitem wisały gęste, przyparwiające o mdłości opary, cuchnące rozgotowanymi zwierzęcymi kośćmi.

Kuchenny piecyk także miał niecodzienne zastosowanie. Hobbs wypiekał w nim obrazy, by otrzymać *craquelures*. Wszystkie półki zapełniały dziwaczne, jak na kuchnię, składniki: z całą pewnością niejadalne oleje, pokosty, rozpuszczalniki, a także słoje z pędzlami, pojemniki wypełnione szmatkami, pudełka wacików oraz ogromne ilości proszku do czyszczenia Ajax, niezastąpionego w wywabianiu nieusuwalnych plam po werniksie. Na najniższej półce znalazły miejsce puszki z fasolką i pudełka z krakersami, które Bill kupował w olbrzymich ilościach, połykał podczas przerw w pracy i popijał whisky.

Plum poznała Billa Hobbsa w 1977 roku, gdy jako kelnerka pracowała w Chelsea Arts Club. Bill zaoferował jej przyuczenie do zawodu konserwatora, argumentując, że przynajmniej będzie miała kontakt ze sztuką zamiast tracić czas na podawanie klientom piezonego kurczaka. Tłumaczył, że woli zatrudnić dziewczęta, ponieważ mają zmysł doboru barw i są ciepłe, co jest pożądane przy tak delikatnej pracy. Zapomniał tylko dodać, iż dziewczęta w milczeniu akceptują jego skąpą zapłatę.

I tak Plum dołączyła do grona czterech młodych kobiet, cichych jak myszki pod miotłą, które ślezczały nad starymi obrazami z drobnymi pędzelkami z sobolego futra w suterenie domu przy Armada Road. Nad nieczynnym kominkiem wisiał dyplom mistrza zawodu, wystawiony przez National Gallery w 1947 roku. Bill zastrzegł bardzo wyraźnie - wszelkie rozmowy podczas pracy były zabronione, gdyż rozpraszały uwagę. Zachowywał się jak tyran, gdy skacowany, z oczami czerwonymi jak u królika schodził późnym rankiem

z pięt. Mimo to dziewczyny były mu oddane. Plum szybko zorientowała się, że wszystkie cztery sypiały z nim i zostały już odrzucone.

Każda z dziewcząt miała swoją malarską specjalność. Sally malowała nudne scenki z wiejskiego życia, z malowniczymi krówkami, pieskami i kotkami. Edna pracowała nad malowidłami religijnymi. Doskonale jej wychodziły zwłaszcza korony ciemnowe i krwawe rany. Joyce specjalizowała się w podobnej dziedzinie, z tym że dla odbiorcy arabskiego. Pod koniec lat siedemdziesiątych Londyn stał się modnym centrum zakupów dla kobiet w czarnych opończach z twarzami zasłoniętymi maskami, które nie zamierzały kupować portretów Madonny z Dzieciątkiem Jezus. Więc Joyce zastępowała Dzieciątko pękiem kwiatów.

Mona, niekwestionowana gwiazda sutereny, naprawiała stare obrazy, domalowując brakujące oczy lub nosy czy też nadając bezzębnej babci lepszą prezencję. Wszystko po to, by lepiej sprzedać uszkodzony obraz. Pewien dealer ze Stanów Zjednoczonych specjalizował się w tropieniu rodzinnych portretów. Przesyłał Billowi fotografie żyjących członków rodzin, a ten kupował na aukcjach pierwsze lepsze portrety, podsuwał je Monie, która dopasowywała rysy tak, by podobieństwo było wyraźnie widoczne.

Jeżeli jakiś obraz był tak potwornie zniszczony, że nie można było go połączyć, poddawano go specjalnemu zabiegowi odtworzenia włókien. Zajmował się tym jedyny mężczyzna w zespole, nie rozstający się ze swoim skrzętem, najprawdziwszy hippis, żywcem przeniesiony do współczesności z lat sześćdziesiątych. Nadal chodził w spodniach z rozszerzanymi nogawkami, a obowiązkowo długie włosy cesał na boki z przedziałkiem pośrodku głowy. Herb spędzał całe dnie na piętrze, przy próżniowym stole, gdzie naprawiano te najdotkliwiej zniszczone płótna.

Pierwsze dni upłynęły Plum na dziubaniu starego werniksu - milimetr po milimetrze - wacikiem maczanym w rozpuszczalniku. To nudne, delikatne zadanie wymagało nie byle jakiej koncentracji, gdyż do różnych farb używało się różnego stężenia rozpuszczalnika. Drugi tydzień wypełniła praca nad wielkim siedemnastowiecznym malowidłem przedstawiającym dwunastu apostołów. Kiedy w zadowalającym stopniu oczyściła jego powierzchnię i odmalowała brakujące elementy, otrzymała promocję: teraz mogła zajmować się siedemnastowiecznymi holenderskimi martwymi naturami.

Bill szybko zorientował się, że znakomicie wychodzą jej tulipany. Od tej pory Plum nie robiła już nic innego, tylko ślęczała nad tulipanami. Znużona monotonią zaczęła się skarżyć. Bill, gdy miał już dość jej utyskiwań, pożyczał z włoskiej restauracji na rogu sztukfiszka albo homara. Układał zgrabną martwą naturę z pożyczonym trofeum, cynowym talerzem, przelamanym bochenkiem chleba, nożem i plasterkiem cytryny z odkrojoną skórką. Teraz Plum mogła żyć się twórczo.

Aby udowodnić, że maluje lepiej od każdej z nich, Bill zawsze dodawał do tych siedemnastowiecznych obrazów ostatnie pociągnięcia pędzla. Czasem

była to muszka, czasem gąsieniczka, innym razem kropla rosy na płątku jakiegoś kwiatu.

Poza tymi sporadycznymi pociągnięciami pędzla Plum nie widziała, by Hobbs cokolwiek malował. Zajmował się kontaktami z dealerami, z rzadka udawał się do klienta, jeśli dealer życzył sobie, by obraz został oczyszczony na miejscu. Na takie okazje Bill przygotował sobie staroświecką, czarną walizeczkę, jakiej dawniej używali lekarze wyjeżdżający do pacjenta. W walizeczce znajdowała się bateria zabytkowych buteleczek z tajemniczymi etykietkami - BY385 albo VFloGA975 - które nieodmiennie robiły na klientach wielkie wrażenie.

Po kilku tygodniach spędzonych przy Armada Road Plum czuła się coraz bardziej nieswojo. Przeszkadzała jej świadomość, że znalazła się w miejscu, gdzie zaciera się granica między naprawą obrazu i podmalowywaniem go a zwykłym fałszerstwem. Nie widziała żadnego obrazu sfalszowanego w stu procentach, ale wciąż zastanawiała się, dlaczego nie wolno jej ani żadnej z pozostałych dziewcząt niewolnic postawić nogi na piętrze domu Billa Hobbsa. Nie mogła nic poradzić na to, że zastanawiała się, kim są małowólni goście Hobbsa, wnoszący obrazy bezpośrednio na najwyższe piętro domu, tak różni od pogodnych dealerów, schodzących do suterenu, by sprecyzować, jaki życzą sobie wyraz na krowim pysku.

Obserwując Plum i wysłuchując jej pytań, Bill też stał się podejrzliwy. Plum pracowała już trzy miesiące, gdy Hobbsa porzuciła jego dotychczasowa kochanka. Bill wziął kąpiel, wlał w siebie nieco napojów wysokowych, a potem dał Plum do zrozumienia, że chętnie widziałby ją w swoich ramionach. Nie była zainteresowana. Wkrótce potem Bill wylał ją. Wyjaśnił, że jej styl, charakteryzujący się rozmachem i impulsywną dynamiką, nie jest, tak naprawdę, odpowiedni do skrupulatnej, niezwykle precyzyjnej pracy.

*

Piętnaście lat później, gdy szła krok za krokiem przez pusty hol i wsłuchiwała się w odbijający się echem od nagich ścian stukot obcasów na pokrytej kurzem posadzce, powracały do niej wspomnienia dawnej, wesołej krzątany.

- Ech, szelmo, wciąż wyglądasz jak ten mały aniołek z obrazu Piero delia Francesca. - Mrugnął, jakby chciał podkreślić fikcyjną zażyłość. - Czy twój wytworny mąż wie, że kiedyś dla mnie pracowałaś?

Plum nie odpowiedziała.

- Myśle, że nie wie. - Uśmiechnął się, pokazując absolutnie doskonałe, sztuczne uzębienie. - Ach, jestem już za stary, żeby szukać kłopotów. Wejdz tutaj.

Mówiąc to wskazał drzwi na lewo od frontu. Dawniej pokój ten był zawsze

zamknięty na cztery spusty, ponieważ przechowywano w nim obrazy: brudne, poniszczone płótna, które dopiero co przybyły; obrazy, nad którymi prace już się zaczęły; połyskujące, schludne płótna, czekające na swoich nabywców.

Teraz wszystkie półki i stelaże były puste.

Bill zapalił jakiegoś taniego papierosa i rzekł:

- Czegóż to sobie życzysz, Plum? Wypadłem z branży. Teraz biorę się do roboty tylko na prośbę starych przyjaciół. - Łypnął na nią okiem. - Serce już nie to. Lekarz poradził, żebym nieco przyhamował. Myślałem o emeryturze, mam przecież siedemdziesiąt dwa lata... Co, nie wyglądam na tyle? Już kilka lat temu powinienem był spakować manatki.

Plum energicznie zaprzeczyła:

- Jeszcze trochę pociągniesz. Niedawno widziałam jedną z twoich prac. - Wyjęła z torby fotokopię i włożyła mężczyźnie w dłoń. - Rozpoznałam twoją muszkę, Bill.

Hobbs zerknął na kopię obrazu Suzannah i uśmiechnął się.

- Przypominasz sobie tę kobietę handlującą obrazami przy Kensington Church Street? - spytała Plum. - Tę, która miała na utrzymaniu męża alkoholika? Pamiętam, jak prosiła cię, żebyś podziurawił zrobione przez siebie obrazy, a potem naprawił je. Chodziło jej o to, by nikt ich nie podejrzewał, odkrywając w świetle ultrafioletowej lampy, że są całkowicie nie uszkodzone.

Bill zastanowił się i odpowiedział:

- Pewnie, masz na myśli Theresę. Miła dziewczyna. Powiedziałem jej, że jeszcze nie spotkałem dealera, który płaciłby mi za zniszczenie własnej pracy, a potem naprawianie... Co prawda, próbowałem tego kiedyś, na dwóch morskich pejzażach, ale na wykończenie takiego obrazu potrzebowałem dwukrotnie więcej czasu, a poza tym żaden z nich nie był jakimś wielkim dziełem, które by poddawano badaniom.

Rzucił niedopałek papierosa na podłogę i starannie roztarł go obcasem. Wrócił do holu, gdzie trzymając fotokopię do światła, przenikającego do wnętrza przez wachlarzowate okienko nad frontowymi drzwiami, mógł ją dobrze obejrzeć.

Plum poszła za nim.

- Bill, chcę od ciebie tylko jednego: pisemnego potwierdzenia, że ten obraz wyszedł z twojego warsztatu. To wszystko. Za odpowiednią opłatą, ma się rozumieć. Obiecuję, że nie będzie żadnych kłopotów.

Wciąż przyglądając się barwnej reprodukcji, odpowiedział:

- Ten, kto zapłacił za ten obraz grubą forszę, kimkolwiek jest, pójdzie z moim pisemnym potwierdzeniem do dealera i zażąda zwrotu pieniędzy. Mam rację? Dealer z kolei odwiedzi gościa, od którego odkupił obraz i zażąda zwrotu swoich pieniędzy. I tak dalej, i tak dalej. Pewnie jeszcze spodziewasz się, że nikt nie szepnie glinom ani słówka, ponieważ wszyscy jesteśmy w tej

grze dżentelmenami i nikt z nas nie chce, aby gliniarze wtykali nosy tam, gdzie nie trzeba. Plum przytaknęła. Widząc to Bill zachichotał nerwowo.

- He, mój ty skarbie, naprawdę kusi mnie, by nabazgrać na kartce papieru takie drobne wyznanie i zainkasować tysiąc dolarów. Nie ma wątpliwości, kusi mnie. Ale jestem uczciwym człowiekiem. - Mrugnął, zwracając Plum fotokopię.
- Przykro mi, kochanie, to nie jest moja robota.

Plum była boleśnie rozczarowana. W pierwszym odruchu nie uwierzyła mu, lecz po chwili namysłu doszła do wniosku, że równie dobrze Hobbs może mówić prawdę. Musiała założyć, że mówi prawdę.

- Masz pojęcie, kto mógł namalować ten obraz?
- Nawet gdybym miał, nie bym ci nie powiedział, moja śliczna. Dlaczego miałbym to zrobić?

„Rzeczywiście - pomyślała Plum - Bill już zadbał o to, by jego milczenie zostało dobrze wynagrodzone”.

- Żaden z tych obrazów nie przeszedł przez twoje ręce? - zapytała, pokazując mu pozostałe fotokopie.

- Ten nie... Ten nie... Ten też nie... Dobra robota, fachowa... - Zatrzymał się na dłużej przy obrazie należącym do lady Binger. - Ten duży tulipan chyba nie wygląda za dobrze, prawda?

Zwrócił zdjęcia z gestem oznaczającym koniec rozmowy. Temat został wyczerpany.

Plum przygnębiona szła ulicą w stronę rzędu straganów. Nagle posłyszała za sobą tupot nóg na chodniku. Odwróciła się i zobaczyła Billa ze świeżym papierosem zwisającym z kącika ust.

- Złotko, przyprawisz mnie o kolejny atak serca - wysapał. W jego spojrzeniu odbijało się coś na kształt smutku i samotności starego człowieka. - Plum, kochanie, dlaczego nie dasz sobie z tym spokoju? Przecież nie jesteś właścicielką tych obrazów. Ci, co je kupili, zasługują, zdaje się, na porządnego kopniaka?

Pochylił się, jakby chciał mieć pewność, że nikt ich nie usłyszy.

- Chyba nie chcesz pewnego pięknego dnia wpaść po uszy w samo szambo? To jeden z powodów, dla których wycofałem się z gry... już nie jest jak dawniej... W ostatnich czasach namnożyło się różnych cwaniaczków. Nie zamierzałem płacić haraczu za ochronę i nie chciałem, aby ktoś zmuszał mnie do pracy, której nie miałem zamiaru wykonać. Nie mogłem pozwolić, by komuś weszło w nawyk mówienie mi, co mam robić. Rozumiesz mnie?

Rzucił niedopałek do rynsztoka i położył brudną, starczą dłoń na ramieniu malarki.

- Niepotrzebnie ściągasz na siebie kłopoty. Ci frajerzy nie zasłużyli na takie poświęcenie. Plum, rzuć to w cholere!

Poczuła, jak włoski na karku stają dęba. Próbowała wytłumaczyć sobie, że to

reakcja na dotyk Billa, lecz nic z tego nie wyszło. Wygłoszone pod jej adresem ostrzeżenie poruszyło wspomnienia z pobytu w Nowym Jorku. Przywołało uczucia, których doznała po otwarciu pierwszego anonimu z groźbami. Przeraziła się.

*

Reszta dnia upłynęła jej na bezskutecznych próbach skontaktowania się z Bomanem. Dopiero wieczorem dodzwoniła się do niego i poprosiła, żeby nie wspominał Breeze'owi, że widział ją Billa Hobbsa. Wyjaśniła, iż kupiła prezent dla męża, wymagającą konserwacji miniaturę. Bill miał zająć się naprawą.

*

Następnego ranka obudziła się półżywa. Miała wrażenie, że dopadł ją potworny kac skrzyżowany z przeziębieniem. Jej obolałym ciałem szarpał suchy kaszel. Pomyślała o położeniu na twarzy gorącego ręcznika, ale już uniesienie z poduszki tętniącej bólem głowy było dla niej zbyt dużym wysiłkiem. O wstaniu z łóżka mogła tylko pomarzyć. Nabrzmiały, zapchany nos nie pozwalał prawidłowo oddychać, bolały wszystkie kości i stawy. Czuliła się wielka, ciężka i bezradna jak słońiatko.

Jęknęła żałośnie. Prawdziwi detektywi nigdy nie łapią grypy. Nie mogła sobie pozwolić na spędzenie w łóżku całego tygodnia. Przecież Victor dał jej czas tylko do końca marca.

Niedziela, 22 marca 1992

Plum, nie waż się wychodzić z łóżka. Jesteś jeszcze za słaba, żeby spędzić cały dzień na nogach. Zapalenie płuc to nie jest coś, na co można kichać.

Lulu zachichotała z własnego dowcipu, kończąc układanie w wazonie przyniesionego bukietu narcyzów.

Jenny, stojąc przy oknie sypialni, przyglądała się pistacjowozielonemu budkom dla ptaków, którymi upstrzono drzewa Regen's Park.

- Przez cały miesiąc jesteś wyłączona z pracy. Jeżeli jeszcze raz złapiesz nawrót choroby, Breeze cię zabije. Nas zresztą też. Wyjechał do Zurychu tylko dlatego, że obiecał mu zastosować się do wskazówek lekarza.

- To przez tę zdradziecką pogodę - dodała Lulu. - Nie daj się zwieść słońcu. Na zewnątrz jest bardzo zimno i wiatr.

Oparta o miękkie poduszki Plum stanowczo stwierdziła:

- Czuję się świetnie.

Poprzedniego wieczora zatelefonowała do Victora. Usłyszała słowa pocieszenia. Victor przekonywał ją, że sprawa tego przekłętego obrazu wywietrzała mu z głowy. Ma teraz inne zmartwienia i Plum też powinna dać sobie spokój - najważniejsze, żeby wyzdrowiała.

Ta rozmowa nie zmieniła jej planów: jak najszybciej chciała pojechać do Paryża na spotkanie z panem Monfumata. Teraz nie będzie mógł zaprzeczyć, że centralnie położony tulipan był poprawiany. Być może tulipan stanie się argumentem, który przekona monsieur Monfumata, by zdradził, skąd wziął obraz będący obecnie w posiadaniu Artura Schneidera. Jeśli Monfumata nabył go u Tonona, wtedy wniosek nasuwał się sam: Tonon był albo poszukiwanym przez Plum fałszerzem, albo bezpośrednim dystrybutorem fałszerza.

Trzy fałszyfikaty - Artura Schneidera, lady Binger i anonimowego Szweda - „wypłynęły” w Paryżu.

Dwa znalazła w Wielkiej Brytanii. Zostały sprzedane przez Gillian Carteret i trafiły w ręce Cynthii Bly oraz Suzannah Marsh. Jeśli doliczyć obraz Georginii Dodds, którego nie mogła zobaczyć, i miniaturę Jana van Kessela, zawieszoną na ścianie sypialni pani Carteret, w Wielkiej Brytanii znajdują się nie dwa, lecz cztery fałszyfikaty. Jednak bez niepodważalnych dowodów Plum nie mogła oskarżyć Gillian Carteret o sprzedaż fałszyfikatów. Przegrana w takiej sprawie pociągnęłaby za sobą koszty rzędu pół miliona funtów - na opłaty sądowe i odszkodowanie.

Leżąc w pościeli, rozkoszując się ciepłem łagodnego, wiosennego słońca na policzkach, jeszcze raz powróciła w myślach do historii opowiedzianej przez panią Carteret. Twierdziła ona, że po raz pierwszy zobaczyła obrazy już w czasach szkolnych. Istnienie sportretowanego motyla odkryto w 1930 roku, więc obraz należący do Cynthii musiał zostać namalowany po 1930 roku. Profesor Enid Soames utrzymywała, że obraz Suzannah Marsh wykonał ten sam malarz. Wniosek końcowy: oba płótna sprzedane przez panią Carteret zostały sfalszowane.

Czy dziadek pani Carteret rzeczywiście miał ze sobą te obrazy, gdy uciekał przed nazistami z Holandii? Czy wiedział, że są fałszyfikatami? A może nabył je już po przybyciu do Wielkiej Brytanii? Enid Soames twierdziła, że wszystkie podejrzane obrazy pojawiły się na rynku w ciągu ostatnich pięciu lat. Jeżeli uznać to twierdzenie za prawdziwe, przynajmniej dwa obrazy z kolekcji Carteret mogły zostać namalowane mniej więcej pięć lat temu. Skoro tak, cała historyjka o dziadku uciekającym przez kanał La Manche ze zwojem czterech cennych obrazów była tyle warta co zeszłoroczny śnieg.

Plum zastanawiała się, z jaką precyzją Instytut może określić wiek obrazów Cynthii Bly i Suzannah Marsh.

Chciała też porozmawiać z Bomanem. Miała podstawy, by sądzić, że Charley szmugluje fałszyfikaty od Tonona do Anglii. Możliwe, że Bill był lokalnym dystrybutorem; z całą pewnością dysponował wszystkimi niezbędnymi kontaktami.

Był jednak problem. Dwa odkryte w Anglii fałszyfikaty pochodziły z prywatnego zbioru Gillian Carteret. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Bill Hobbs, jeśli rzeczywiście rozprawdzał podróbki, przekazał obrazy osobie prywatnej zamiast wpuścić je na rynek przez jednego ze znajomych dealerów. Tak więc rola pani Carteret w tej sprawie wciąż była bardzo niejasna. Plum dotarła do ślepego zaułka. Między innymi dlatego chciała jak najszybciej pojechać do Paryża.

Leżąc w łóżku i słuchając szczebiotania przyjaciółek, ze zdwojoną mocą odczuła zmęczenie własną bezczynnością. Niecierpliwiła się. Była pewna, że jest już blisko rozwiązania, możliwe, że wystarczy włożyć na miejsce ostatni element i fałszerz zostanie zdemaskowany.

Z łatwością wyrwie się na jeden dzień do Paryża, nim Breeze wróci w następnym tygodniu z podróży służbowej. Jednak najpierw musi pozbyć się tych dwóch smętnych gaduł.

- Chyba pojedę na kilka dni do Portsmouth - powiedziała. - Morskie powietrze dobrze mi zrobi. Tak mówił lekarz.

Jenny uśmiechnęła się do Lulu.

- Wydaje mi się, że możemy zaufać jej mamie. Będzie o nią dbała.

Poniedziałek, 23 marca 1992

Gdy stała w kolejce do odprawy paszportowej na lotnisku Heathrow, jakaś dłoń w rękawiczce zniecka dotknęła jej ramienia. Podskoczyła jak ukłuta igłą. Odwróciła się i ujrzała chłopięcą, przystojną twarz Richarda Stepmana.

Z żadnego spotkania nie ucieszyłaby się bardziej.

- Poprośmy o miejsca obok siebie - zaproponowała. - Moglibyśmy porozmawiać przy śniadaniu o Biennale.

- To chyba niemożliwe. Pani podróżuje pierwszą klasą, a ja mam najtańszy bilet - stwierdził Richard. - W samolocie nie ma już wolnych miejsc, więc nie mogę zrobić dopłaty.

Spod jednego ramienia wyjął niewielką, prostokątną paczkę i przełożył pod drugie ramię. Plum nie miała najmniejszych wątpliwości - paczka na pewno zawierała jakiś mały obraz.

- Jeżeli samolot rzeczywiście jest przepelniony, nie pozwolą wnieść **tego** na pokład - wskazała paczuszkę. - Mogę wziąć to do pierwszej klasy.
- Ależ nie, dziękuję. Nie chcę pani fatygować.
- To żaden kłopot. Mam tylko kilka pism, to cały mój bagaż.
Richard przycisnął paczkę do ciała jeszcze mocniej.
- Wiozę to dla... przyjaciółki mojej mamy. Obiecałem mamie, że nie spuszczę z niego oka.
Uśmiechnął się tak czarująco, że Plum nie miała wątpliwości: bez problemu przekona stewardesę, by pozwoliła mu wnieść paczkę na pokład.

*

Po lądowaniu w Paryżu Plum jeszcze raz wpadła na Richarda w dziale odpraw celnych. Ponieważ na cały dzień miała zarezerwowany samochód z kierowcą, zaproponowała mu podwiezienie.

Richard grzecznie odmówił. Spodziewał się, że wyjdzie po niego przyjaciółka mamy. Musiała się spóźnić, ale przyjdzie na pewno.

Plum nie nalegała. Poszła za kierowcą do wynajętego samochodu, lecz na parkingu okazało się, że ktoś usiłował włamać się do wozu. Kierowca poszedł na posterunek, co pociągnęło za sobą trzydziestominutowe opóźnienie.

Gdy ostatecznie samochód ruszył od krawężnika, Plum spostrzegła Richarda Stepmana. Wsiadał do taksówki i był sam.

Plum zwróciła się do kierowcy.

- *Suivez cette voiture, s'il vous plait* - poprosiła lekko rozbawionym tonem. Czyż właśnie nie tak powiedziałby monsieur Poirot?

Richard Stepman twierdził, że zatrzyma się w Neuilly, lecz taksówka, którą jechał, zmierzała w przeciwnym kierunku. Niebawem Plum zobaczyła przez okna mury katedry Notre Dame, stojącej dumnie na prawym brzegu Sekwany. Za nią znajdowała się dzielnica Marais. Niegdyś należała do najbardziej szykownych rejonów Paryża, teraz podupadła. Piękne siedemnastowieczne budynki nie były już wyłącznie siedzibami bogatych ludzi. Część z nich służyła jako kamienice czynszowe dla biedoty i z wolna popadała w ruinę.

Taksówka Richarda Stepmana zatrzymała się przed budynkiem, w którym Plum natychmiast rozpoznała siedzibę Levi-Fontaine. Był to niski, dwupiętrowy dom, zbudowany na planie kwadratu, z przestronnym podwórzem ogrodzonym płotem. Jedyne wejście z ulicy prowadziło przez wielkie zielone wrota, aktualnie otwarte na oścież. Pojazdy wpuszczała i wypuszczała z terenu domu aukcyjnego gruba, siwowłosa strażniczka, ubrana w ciężkie futro i ocieplane buty. Z niewzruszonym spokojem zignorowała klaksony niecierpliwych kierowców, którym zablokowała drogę w wąskiej uliczce.

Plum obserwowała, jak Richard pośpiesznie wyskakuje z taksówki, płaci

kierowcy i wchodzi na dziedziniec domu aukcyjnego. A więc skłamał. Twierdził, że wiezie obraz dla przyjaciółki swojej matki, a dostarczył go na aukcję.

Przypomniała sobie słowa Leo, wypowiedziane w restauracji „L'Etoile”:

- Skoro już zamierzasz podejrzewać o szmuglowanie fałszywych obrazów każdego, kto podróżuje do Paryża, dlaczego nie zapytasz tego bogatego bubka, Charleya Bomana, po co odwiedzał Levi-Fontaine w zeszłym tygodniu?

Czyżby Richard także sprzedawał obrazy za pośrednictwem Levi-Fontaine? Czyżby fałszyfikaty nie były szmuglowane do Wielkiej Brytanii, ale wywożone z Wielkiej Brytanii?!

Plum próbowała przemówić sobie do rozsądku. Gdyby Breeze był teraz przy niej, na pewno powiedziałby jej, że popada w paranoję. Z miejsca wysunąłby argument, że już nieraz widziała Leo, Charleya i Richarda z obrazami pod pachą. Jej znajomi zawsze noszą przy sobie obrazy, tak jak turyści nie rozstają się z kieszonkowymi słownikami. I co miało być takiego występnego w podróżowaniu do Paryża? Paryż i Londyn to dwa z trzech głównych na świecie centrów handlu sztuką. Leo, Charley i Richard mogli przywozić obrazy do Paryża i było to tak samo naturalne jak dostarczanie przez rybaka owoców morza na miejski targ.

A jednak... Dlaczego Leo, Charley i Richard z rozmysłem wprowadzali ją w błąd?

Rozdział dziewiętnasty

Plum wręczyła przez kierowcę napiwek grubej strażniczce, dzięki czemu mogli zaparkować samochód na brukowanym wewnętrznym dziedzińcu. Usiadła wygodnie na tylnym siedzeniu, niewidoczna dla kogokolwiek z zewnątrz, i utkwiała wzrok w bramie stanowiącej jedyną drogę dla wychodzących z domu aukcyjnego. Nie minęło więcej niż czterdzieści minut, gdy dojrzała wysoką, sztywno wyprostowaną sylwetkę Richarda Stepmana. Mężczyzna przekroczył bramę bez paczki pod pachą.

Gdy tylko zniknął za rogiem, Plum weszła do budynku firmy. Poruszając się labiryntem korytarzy i cierpliwie ponawiając pytanie o *le bureau*, trafiła do sali wypełnionej czterema rzędami biurek, przy których sekretarki tłukły w klawisze maszyn do pisania tak szybko, jak tylko można to sobie wyobrazić. Przypominało to jakiś zakład dla maszynistek z początku lat trzydziestych, nadzorowanych przez kobiety o rozbieganym spojrzeniu, ubraną w różowy kostium od Chanel. Właśnie ona skierowała Plum do głównego biura, gdzie na piętrowych półkach leżały dziesiątki obrazów. W tym królestwie malarstwa na sprzedaż królowała młoda blondynka w długim czarnym swetrze i jasnoczerwonych botkach. Dziewczyna płynnie władała językiem angielskim, z akcentem właściwym dla wyższych sfer. Plum wyjaśniła, że przed chwilą widziała wchodzącego przez bramę starego przyjaciela, Richarda Stepmana, ale zgubiła go gdzieś w gmatwaninie korytarzy.

Dziewczyna chętnie opowiedziała, że monsieur Stepman dostarczył obraz na aukcję i dopiero co wyszedł. Dysponuje tylko jego londyńskim adresem. Kiedy wypisywała go na kartce, Plum rozejrzała się po pomieszczeniu. Okazało się, że jest ono sprawniej urządzone, niż wydawało jej się w pierwszej chwili. Kiedy podeszła do półek z obrazami, aby lepiej im się przyjrzeć, stojący przy drzwiach apatyczny strażnik natychmiast się ożywił.

Skierowała się w stronę obrazu, który miał osobnego strażnika. Był to mały

szkie Braque'a, gwasz przedstawiający parę mew, w szarych i piaskowożółtych kolorach. Doświadczając nagłego uczucia *deja vu*, usiłowała przypomnieć sobie, gdzie już widziała ten obraz Braque'a. Z całą pewnością był on zbyt wartościowy jak na drugorzędny dom aukcyjny. Dlaczego ktoś sprzedawał go tutaj, gdzie nie osiągnie on nawet połowy ceny, do której byłby licytowany u najlepszych licytatorów? Może dlatego, że szczegóły transakcji zawartej w tym domu aukcyjnym nie roznosiły się po świecie. Tak więc Levi-Fontaine mogło stać się znakomitym miejscem na puszczenie w obieg obrazu, który był zbyt „gorący”, by sprzedawać go w Nowym Jorku czy Londynie.

- Ten szkic Braque'a będzie licytowany w środę - informowała dziewczyna w czerwonych kozakach. - To prawdziwy rarytas.

- Jest znakomity - zgodziła się Plum. - Kto wystawia go na sprzedaż?

- Sprzedawca zastrzegł sobie anonimowość. Jest pani zainteresowana?

Może pokazać katalog?

Przyjmując broszurę, Plum spytała:

- Co sprzedaje monsieur Stepman?

- Rysunek Augustusa Johna. Bardzo ładny. Zaniesiono go do atelier; fotografie pojawiają się w następnym katalogu. Monsieur Stepman sprzedaje u nas po raz pierwszy. Jest nowym klientem.

- Jak pani myśli, dlaczego wybrał wasz dom aukcyjny, zamiast sprzedać obraz w Londynie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Naszą firmę polecił mu inny Anglik, od dawna będący naszym klientem. Može zna pani monsieur Bomana?

- Rzeczywiście, znam.

Plum nie wypytywała dalej. Dziewczyna zaczynała robić się podejrzliwa, a rysunku Augustusa Johna i tak nie dało się zobaczyć.

Powoli wróciła na dziedziniec, zastanawiając się, z jakich to powodów Douglas Boman sprzedaje obrazy anonimowo. Može chce uniknąć płacenia podatków od wzbogacenia? Możliwe też, że Charley przywiózł obrazy do Paryża na prośbę swojego ojca i właśnie wtedy został dostrzeżony na promie przez Leo. W takim wypadku Charleya należało skreślić z listy podejrzanych.

Nie tłumaczyło to jednak dziwnego zachowania Richarda podczas podróży z Londynu do Paryża. Ani jego kręactw.

A najciekawsze w tym wszystkim było to, czy rysunek Johna jest autentyczny.

*

Pół godziny później Plum stała już na rue Jacob, zbierając odwagę, by wejść do sklepu Monfumata. Wcześniej poprosiła wynajętego kierowcę, żeby zatelefonował do sklepu i zapytał, czy monsieur Monfumata może poświęcić

kilka minut klientce z Anglii. Kierowca dowiedział się, że właściciel sklepu będzie osiągalny dopiero późnym popołudniem.

Plum pomyślała, że jeśli będzie dłużej zwlekać, doczeka się powrotu Monfumata. Wolała tego umknąć. Im szybciej wejdzie do środka, tym szybciej będzie miała tę ciężką próbę za sobą. Pchnęła zielone drzwi i jeszcze raz usłyszała dźwięk zawieszonoego nad nimi staromodnego dzwonka, jeszcze raz poczuła zapach pszczelego wosku. Jeszcze raz zobaczyła głupekowato-uprzejmy wyraz twarzy młodego asystenta o blond włosach, śpieszącego obsłużyć klientkę. Rozpoznawszy Plum, młodzieniec uśmiechnął się, niczym kuzyn, który rzuci każdą robotę, aby okazać się w czymś pomocnym.

- Dzbanek podobał się mężowi?

- Bardzo - odparła szczerze Plum. - Tym razem szukam prezentu dla mojej ciotki.

Wprawdzie nie miała czasu na odwiedzin u ciotki Harriet, która cały dzień spędzała na Sorbonie, ale mogła zorganizować dostarczenie jej jakiegoś prezentu-niespodzianki.

Podczas gdy młodzieniec zawijał w ozdobny papier żółty spodek z filizanką, Plum zagadnęła:

- Moja przyjaciółka ma pewien problem z obrazem, który nabyła w waszym sklepie. Kiedy będę mogła porozmawiać z panem Monfumat?

Młody asystent zamarł z tartanową wstążką w dłoni. Wyglądało to tak, jakby nagle zapomniał, że miał nią opasać pudełko w kolorze malachitu.

- Problem? Jakiego rodzaju? Pan Monfumat przyjdzie zaraz po obiedzie. Tylko on orientuje się w sprawach obrazów.

Gdy Plum wyjęła z torby fotokopię, młodzieniec natychmiast przypomniał sobie:

- Ach, chodzi o obraz Bosschaerta. Czy nie o nim rozmawialiśmy podczas pani poprzedniej wizyty?

- Tak, właśnie o nim. Obraz sprzedał wam monsieur Tonon. Czy mógłby pan podać mi jego adres?

Monotonnie uprzejmy wyraz twarzy asystenta uległ drobnemu zakłóceniu. Młodzieniec wyraźnie się speszył.

- Nie jestem upoważniony do rozmów na temat naszych źródeł - odrzekł niepewnym głosem. - Rozumie pani... - Był niezwykle zakłopotany.

- A dlaczego chce pani to wiedzieć? - spytał czyjś głos za jej plecami.

Plum nie słyszała dzwonka u drzwi. Zaskoczona odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, którym z całą pewnością był monsieur Monfumat. Zza grubych szkieł okularów bez oprawki wpatrywały się w nią małe czarne oczka. Twarz tego mężczyzny miała barwę obranego z łupin ziemniaka, okalały ją siwe, grube, przerzedzające się włosy.

- Ja... Myślałam... To znaczy chciałam... - jękała się, wpadając we wściekłość z powodu własnej nerwowości. - Na obrazie przedstawiono tulipan, który nie istniał w czasach, kiedy obraz rzekomo był malowany.

- A dlaczego pani interesuje się tym obrazem?

- Lady Binger, jego obecna właścicielka, chce poznać przyczynę tej sprzeczności. Profesor Enid Soames prosiła mnie, bym pomogła jej w badaniach. Wiemy, że obraz trafił w pańskie ręce od monsieur Tonona, chciałabym więc z nim porozmawiać.

Monsieur Monfumat włożył dłonie w kieszenie płaszcza z kołnierzem z norek. Patrzył na Plum, jakby próbował przeniknąć w głąb jej myśli.

- Są to, albo i nie są, fakty, lecz na pewno nie stanowią listów uwierzytelniających. Nie mam podstaw, by dyskutować o moich prywatnych interesach z jakąś nieznaną. - Wystawiał się powoli i dobitnie, robiąc pauzy w odpowiednich momentach. Raczej nie przywykł, by mu przerywano. - Nie leży w mojej gestii ustalanie, czy mogę z panią rozmawiać o pochodzeniu moich obrazów. Nie mam nawet ochoty tego robić, młoda damo. Jeżeli pani nalega, mogę panią zapoznać z warunkami transakcji zawieranych przez nasz sklep. Rozumiem, że nie jest to sprawa kryminalna?

Widząc przeczący ruch głową, lekko się rozluźnił.

- Oczywiście, zawsze istnieje możliwość, że obraz był odnawiany. Większość tak starych dzieł jest poddawana konserwacji. Tłumaczyłoby to pojawienie się współczesnego tulipana, czy mam rację?... Zegnam, madame.

Wróciwszy na tylne siedzenie wynajętego samochodu, Plum po raz kolejny musiała przyznać, iż wpadła w ślepy zaulek. Tonon nie należało do rzadkich nazwisk we Francji. Podczas gdy usiłowała dowiedzieć się czegoś w sklepie. Monfumata, kierowca obdzwonił wszystkich Tononów znajdujących się w książce telefonicznej Paryża. Nie znalazł żadnego malarza lub dealera. Tonon, którego szukała, mógł przebywać w każdym miejscu we Francji, Belgii, Luksemburga albo Szwajcarii. Mógł być w każdym innym kraju, ponieważ ludzie nie muszą koniecznie pozostawać w kraju swego urodzenia. Monsieur Tonon mógł być gdziekolwiek na świecie.

Sobota, 28 marca 1992

Pięć dni po powrocie z Paryża Plum podejmowała swoje przyjaciółki herbatą. Ubrana w pobrudzony farbami kombinezon siedziała po turecku na podłodze pracowni i przyglądała się Wolfowi, pochłaniającemu kolejną ciepłą bułeczkę maślaną. Chyba już trzecią. Miał też na sumieniu dwa solidne kawałki bakaliowca z rumem.

- Ten naprawdę ci się udał - Jenny wskazała wielkie płótno oparte o ścianę.

- Uhhh...

Plum przekrzywiła głowę, oparła ją na zgiętej w łokciu ręce i skupiła się na lustracji swego dzieła. Chociaż ogólnie była zadowolona, nie mogła uznać go za skończone. Niewielki obszar po lewej u dołu obrazu, malowany odcieniami brązu, wciąż sprawiał zbyt monotonne wrażenie. Może wzbogacić go nieco turkusem? Łatwo było przedobrzyć, a Plum bardzo tego nie chciała. Na pozostałej części płótna udało jej się uzyskać nieprzeciętne napięcie między subtelnymi odcieniami sieni i pasem ostrego, pomarańczowego koloru, podobnego do barwy staromodnej pasty do butów. Centralnie położona kremowa bryła została nieco zbyt brutalnie sflumiona przez otaczającą ją ciemną przestrzeń, wypełnioną barwami przechodzącymi od indygo do absolutnej czerni. To trzeba poprawić. No i usunąć te okropne pomidorowoczerwone paski. Więcej zastrzeżeń nie miała.

- Martwi mnie, że rozminęliśmy się z Breeze'em... Wolf! Odłóż tę bułeczkę! - warknęła Lulu, prowadząc rozmowę w typowy dla młodych matek, schizofreniczny sposób.

- Mało brakowało, a sama bym się z nim rozminęła - powiedziała Plum. - Wrócił z Mediolanu w zeszłą środę, a wczoraj znowu wyjechał, tym razem do Nowego Jorku. Wróci niedługo. We wtorek.

Tuż przed wyjazdem Breeze obejrzał obrazy, które namalowała po powrocie z Australii. Chodząc tam i z powrotem po pracowni, oceniał trzy ukończone płótna - dwa małe i jedno wielkie.

- Nie jest tego wiele, ale za to są doskonałe - przyznał z ulgą. - Naprawdę, cholernie się cieszę, że nareszcie skoncentrowałaś się na Biennale. Dzięki Bogu, że masz te nowe obrazy dla British Council. Z całą pewnością wchodzisz w nowy okres twórczy. Ten największy jest najlepszy. Będzie kluczowym elementem twojej ekspozycji. Jest fantastyczny.

Namalowała ten obraz w bladych, delikatnych odcieniach. Dominowały fioleto i zielenie, a śmiałe i pewne pociągnięcia pędzla nadawały malowidłu niezwykłą siłę.

- Nazwałam go *Przebudzenie* - stwierdziła Plum.

- Ma się wrażenie, że jest w nim coś więcej niż to, co po prostu odbiera się wzrokiem. Jakby miał drugie dno - powiedział Breeze mrużąc oczy. - Jest w tym podobny do tego płótna, które przywiozłaś z Australii. Wiesz, tej aborygenki.

Plum zastanawiało jedno. Dlaczego Breeze z taką łatwością rozumiał wszystko, co chciała zawrzeć w obrazach, a zupełnie nie pojmował jej myśli i uczuć, gdy wyrażała je słowami. Może działa się tak, ponieważ jako malarka była zupełnie inną osobą niż jako kobieta i żona. I tylko jako malarka miała szansę być wysłuchana, miała szansę zyskać wsparcie w swoich dążeniach, eksperymentach i doskonaleniu się.

Wolf, odejdz od tego półmiska! - wrzasnęła Lulu. - Przepraszam, Plum, nie powinnam go przyprowadzać. Prawdziwy z niego aniołek, ale tylko gdy nie ma go w pobliżu.

- Nigdy nie nauczy się poprawnie zachowywać, jeśli nie będziesz go zabierała ze sobą - zaprotestowała Jenny. - Lulu, nie bądź dla niego tak surowa. Nie przejmuj się tak.

- Poczekaj, aż będziesz miała swojego gagatka. Zobaczysz, że przez najbliższe osiemnaście lat wszystkim się będziesz mogła przejmować - skontrowała Lulu, podskakując z miejsca, by odciągnąć Wolfa od otwartego pudełka z farbami.

- Co u Dona? - zapytała Plum, nagle przypominając sobie imię najnowszego chłopaka Jenny.

- Don i ja zerwaliśmy wczorajszej nocy - poinformowała zwięźle Jenny. Stały jej łzy w oczach. - Nie rozumiem, co robię źle. Dlaczego mężczyźni uciekają ode mnie? Jestem teraz taka ostrożna...

Dawno temu, gdy Lulu przekazała jej radę zasłyszaną od własnej matki, Jenny przysięgła, iż nigdy nie powie mężczyźnie, że go kocha, albo - co gorsze - że chce mieć jego dziecko.

I tym razem skończyło się na lamentach Jenny nad brakiem szczęścia i narzekaniach na nieubłagane rytmiczne tykanie biologicznego zegara, a jej przyjaciółki, jak zwykle, próbowały ją pocieszyć. Skorzystał z tego Wolf, wcinając szybko resztę bułeczek.

- Dlaczego muszę udawać, że nie zależy mi na mężczyźnie, kiedy jest dokładnie odwrotnie? - zawodziła Jenny. - Dlaczego muszę fałszować moje uczucia?

- Dlatego, że nie jest to jedyna rzecz, którą fałszujesz - stwierdziła brutalnie Lulu.

Bez końca we trójkę dyskutowały o seksualnych lękach Jenny; o jej przemożnej chęci dogodzenia partnerowi; o jej strachu, że nie zdoła osiągnąć orgazmu tak szybko, jak jego poprzednie kobiety; o jej panikowaniu, że niecierpliwego kochanek wyjdzie trzaskając drzwiami.

- Żaden mężczyzna nie odróżni prawdy od fałszu - zaryzykowała twierdzenie Jenny, jakby chciała podbudować samą siebie.

- Może fizycznie nie potrafi poznać, że kobieta udaje - odparła Lulu - lecz wystarczy, że zna ją trochę lepiej i natychmiast pozna, gdy ona kłamie. Jeżeli wie o tym, ale nie ma ochoty na kłótnię z tego powodu, jaki związek otrzymasz? Kompletnie zafałszowany.

- Poza tym, jeśli oszukujesz, a on tego nie zauważa - wytknęła Plum - z czasem zaczniesz nienawidzić siebie, jego, sytuacji... To będzie definitywny początek końca takiego związku.

Lulu pochyliła się i mentorskim tonem kontynuowała wyjaśnienia:

- Przecież masz świadomość, że seks nie jest tylko i wyłącznie aktem pociowym, nie ogranicza się wyłącznie do łóżka. Seks oddziałuje na całe twoje życie, ponieważ wpływa na to, jak się czujesz, gdy wychodzisz z łóżka. - Marzycielsko przymknęła powieki i przeciągnęła się. - Rozkoszne, seksualne doznanie potrafi zamienić deszczowy poniedziałek we wspaniałe święto, natomiast kochanek, który nie potrafi cię zadowolić, może zepsuć ci kilka dni i wpędzić w taką depresję, że nawet gdybyś znalazła się w najcudowniejszym miejscu na ziemi, czułabyś się wyzyskana, pusta i nieszczęśliwa.

- Zwłaszcza gdy facet nieźle się bawił - dodała Plum.

- Twoje uczucia wpływają na was nie tylko podczas igraszek w łóżku. - Lulu odsunęła zabrudzone masłem dłonie Wolfa od swoich legginsów. - W jednej chwili masz ochotę sobie popłakać, a za chwilę czujesz, że kogoś byś zabiła... i wyżywasz się na dzieciach.

Plum zachichotała.

- Dla mnie nie wygląda to zabawnie - burknęła Jenny. Prosiła o radę, tymczasem została frontalnie zaatakowana.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Lulu - ale chcieliśmy, żebyś poczuła się trochę mniej przybita. Wolf! Odstaw ten czajnik!

- Nie wydaje mi się, żeby którakolwiek z was miała choćby blade pojęcie, jak się czuję - wyznała Jenny z goryczą. - Zwłaszcza gdy słyszę wasze protekcyjne rady.

- Wcale nie chcieliśmy zachowywać się protekcyjnie. Prawda, Plum?

- Dla mnie tak właśnie to zabrzmiało - wykrztusiła Jenny. - Nie jesteście w stanie zrozumieć, jak bardzo jestem zmęczona odgrywaniem roli starej, poczciwej Jenny, czarującej, wesołej, nie sprawiającej kłopotów, zawsze gotowej popilnować dziecka, skorej pożyczyć swój ostatni grosz, bez mrugnięcia okiem użyczającej dachu nad głową. Oczywiście, byłam też druhną na weselach, ale sama nie mam szans zostać panną młodą. - Nerwowo przeciągnęła dłonią po bursztynowych włosach. - Nie rozumiecie, co czuje ktoś bezustannie spychany na dalszy plan. Ileż razy słyszałam, jak pytałyście: „Mogę przeprowadzić przyjaciółkę, Jenny?” I ten, z kim rozmawiałyście, ktokolwiek to był, po brzmieniu tego pytania natychmiast poznawał, że Jenny to ta nieudacznica, ten ogon ciągnący po przyjęciach na doczepkę. Jenny zawsze jest pod ręką, bo nikt jej nie chce! Tylko dlaczego?!

Poderwała się na nogi i obejrzała swą sylwetkę w dużym ściennym lustrze.

- Wiem, że jestem zbyt wielka, by nosić do tego czerwonego swetra żółte legginsy. Wyglądam jak nadworny błazen. Dobrze się przyjrzyjcie! Przyda się wam, żebyście w przyszłości nie musiały udawać! Jenny nie jest ani Amazonką, ani Junoną. Jenny zwyczajnie jest olbrzymką! Jenny zawsze jest większa od

mężczyzn, z którymi próbuje ją umówić. Nikt mi nie musi mówić, że anatomia jest naszym przeznaczeniem.

Plum pochwyciła spojrzenie Lulu. Obie kochały przyjaciółkę i dobrze wiedziały, że w takich chwilach nie należy jej przerywać. Tymczasem Jenny podeszła do okna. Zapatrzyła się w blade światło dnia, przenikające przez zielony baldachim paczkujących drzew.

- A chciałabym tak niewiele - odezwała się stłumionym głosem. - Mężczyznę u boku i własne dzieci, które mogłabym darzyć miłością. Obydwie to macie. Ja też na to zasługuję. - Odwróciła się do nich twarzą. - Czy nie możecie chociaż raz spojrzeć na mnie taką, jaką naprawdę jestem? Jak mało jest prawdopodobne, że dostanę od życia choćby dziesięć procent tego, co obydwie uważałyście za naturalną kolej rzeczy?

Plum bez słowa podeszła do okna i przytuliła Jenny.

Odciągając Wolfa od tacy z ciastem, Lulu wykrzyknęła:

- Ależ my cię kochamy! Jesteś członkiem naszych rodzin. Jesteś dla nas wybraną siostrą...

- Wybraliśmy cię, bo jesteś wyjątkowa. - Plum wzmocniła uścisk. - Znamy cię i ufamy tobie...

Nagle urwała, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Do pracowni weszła Sandra. Wręczając Plum kopertę, powiedziała:

- Przed chwilą dostarczył to posłaniec. Pomyślałam, że może być pilne.

Plum rozdarła kopertę, będąc myślami nadal przy problemach Jenny.

Wyjęła z wnętrza pojedynczą kartkę papieru i w jednej chwili zrobiła się biała jak ściana.

- Mój Boże! - Podniosła kartkę w górę. - To kolejny list z pogróżkami!

Wszystkie trzy zapomniały o niedawnej rozmowie. Szeroko otwartymi oczami przyglądały się zwykłej białej kartce papieru maszynowego, na której naklejono wycięte z gazet litery różnej wielkości. Wycinanka głośno:

PRZESTAŃ POLOWAĆ NA OBRAZY ALBO UMRZESZ.

Koperta, zwyczajna, ciemnożółta koperta biurowa, została zaadresowana czarnym mazakiem, normalnym piśmem odręcznym.

Podczas gdy trzy kobiety w milczeniu oglądały list, Wolf wykończył ostatnie kawałki rumowego bakaliowca.

Plum sięgnęła po interkom, połączyła się z kuchnią i zapytała gospozię o posłańca. Sandra odparła, że posłańcem był młody, może osiemnastoletni chłopak, w kasku na głowie, więc nie widziała za dobrze jego twarzy. Nie miała pojęcia, skąd się wziął.

- List przysłała ta sama osoba, używając tego samego sposobu - stwierdziła Plum. Ręka, w której trzymała anonim, trzęsła się jak osika na wietrze.

- Jesteś pewna? Gdzie masz list, który otrzymałaś w Nowym Jorku? - pytała Jenny. - Powinnaś je porównać.

Plum nie mogła sobie przypomnieć, gdzie Breeze trzymał ten pierwszy list.

- Jestem zaskoczona, że ten, kto wysłał list, nie użył wyciętych liter także do wypisania adresu - rzekła Jenny.

- Posłaniec z łatwością zapamiętałby taki list - podała rozwiązanie Lulu.

Plum próbowała zebrać myśli.

- Adres na kopercie nowojorskiego anonimu był pisany wielkimi literami. Ten zaadresowany jest jak każdy normalny list.

- Gdyby osoba wypisująca adres chciała pozostać niewykrywalna, z pewnością posłużyłaby się maszyną do pisania - spekulowała Jenny. - Oczywiście, kogoś takiego też można wytropić, ale policja nie jest w stanie sprawdzić każdą maszynę do pisania w Wielkiej Brytanii.

- Nie każdy ma maszynę do pisania - zauważyła Lulu. - Kimkolwiek jest ten człowiek, raczej nie pracuje w biurze, bo zaadresowałby kopertę na komputerze. Z komputera łatwo wymazać ślady takiej pracy. Z drugiej strony, może pracować w biurze, lecz jest człowiekiem starej daty albo kompletną łazęgą, bo nie potrafi obsługiwać komputera.

- Co było w nowojorskim liście? - zapytała Jenny.

- „Zapomnij o holenderskim obrazie albo umrzesz.” - Plum była pewna, że nigdy nie zapomni tych słów. - Tym razem krój czcionek jest trochę inny. To chyba litery z amerykańskich gazet, prawda?

- Może tak. Może nie - odparła Jenny.

- W obydwu anonimach pojawia się słowo „albo”. - Plum próbowała znaleźć jakiś punkt zahaczenia. - Wiele to nam nie daje.

- Zamierzasz pójść z tym na policję? - zapytała Jenny.

- Chyba nie. Będą pytać, czy przypadkiem nie jest to jakiś żart. Sama nie wiem... Przemyszę to. Porozmawiam z Breeze'em... Nie, nie chcę, żeby Breeze o tym wiedział. Nie będzie go tylko przez parę dni. Gdyby usłyszał o tym, poczułby się w obowiązku, by wrócić do domu, a wiem, jak ważne sprawy teraz załatwia. Większości tych spotkań nie da się przenieść na późniejsze terminy. Poza tym, co Breeze mógłby zrobić? Nigdzie nie będę bezpieczniejsza niż w tym domu... Chociaż... Naprawdę nie wiem... Prześpiję się z tym.

Lulu jeszcze raz dokładnie obejrzała kopertę.

- Ten adres na pewno jest napisany celowo zniekształconym pismem. Przecież każdy idiota wie, że pismo jest indywidualną cechą, która może posłużyć do identyfikacji piszącego. Nie każdy jednak wie, że nawet zniekształcenie pisma nie zapobiegnie zdemaskowaniu.

Jenny zerknęła na kopertę przez ramię Lulu.

- Skąd wiesz, że autor listu nie poprosił kogoś obcego o zaadresowanie koperty?

- Nie zrobił tego, bo wtedy o liście wiedziałby ktoś jeszcze. Nie ryzykowałby.
 - Na jakiej podstawie uważacie, że chodzi o mężczyznę? - wtrąciła Plum.
 - Możliwe, że chodzi o kobietę - przyznała Lulu.
 - W jaki sposób mogłabym dowiedzieć się czegoś o tym przekłętym liście?
 - Skontaktuj się z Clare Stevens, tą grafolog, dla której kiedyś pracowałam
- zaproponowała Lulu. - Specjalizuje się w określaniu osobowości człowieka z charakteru pisma. Robi to na zlecenie firm, które sprawdzają w ten sposób kandydatów do pracy. Clare mogłaby nakreślić profil psychologiczny autora listu.

Ponieważ w pracowni nie było aparatu telefonicznego, Lulu chwyciła Wolfę za kołnierz i zesłała na dół, do sypialni Plum.

- Jestem przerażona - powiedziała Plum, z kredowobiałą twarzą. Zadrzała. - Chciałabym, żeby Breeze był przy mnie. Ten dom to prawdziwa twierdza. Wymogła to na nas agencja ubezpieczeniowa, bo trzymamy tutaj wiele wartościowych obrazów. - We wszystkich oknach wstawiono kraty, a do lokalnego posterunku policji poprowadzono linię alarmową. Posterunek znajdował się niemal po sąsiedzku, przy Albany Street. - Ale i tak jestem przerażona.

- Za dużo sobie wyobrażasz - pocieszyła ją Jenny. - Ktoś chce, abyś przerwała poszukiwania, ale trudno mi sobie wyobrazić, aby ktoś robił zamach na twoje życie, jeżeli nie spełnisz tych żądań. On albo ona chce cię tylko przestraszyć.

- No to jemu albo jej udało się.

Po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęła poszukiwania fałszerzy, była naprawdę przerażona. Breeze odniósł się lekceważąco do pierwszego listu z pogroźkami, jaki dostała w Nowym Jorku. Przekonał ją, że jest to głupi dowcip. Jednak już drugi list, najwyraźniej wysłany przez tę samą osobę i dostarczony w podobny sposób, ale w innym kraju, zmieniał postać rzeczy. To nie mógł być dowcip.

„Może Breeze ma rację - pomyślała Plum. - Może dochodzenie zmierzające do zdemaskowania fałszerzy rzeczywiście jest... niebezpieczne.”

Bez słowa przytuliła się do Jenny. Tym razem role się odwróciły - to Jenny próbowała ukoić rozkołatane nerwy przyjaciółki.

W drzwiach pracowni pojawiła się Lulu.

- Clare Stevens mówi, że zrobi to od ręki, ale musisz się śpieszyć, bo zaplanowała wyjście do teatru. - Nagle skrzywiła się, jakby zabolął ją ząb. - Plum, przepraszam za Wolfę. Zarzygał ci łóżko. Chyba lepiej zabiorę go do domu.

Clare Stevens, mała, schludna i cicha kobieta, mieszkała w małym, schludnym i cichym domku z tarasem w Chelsea, który musiał kosztować ją majątek.

W przytulnym saloniku na tyłach domu, siedząc w wygodnych fotelach, Plum i Jenny przyglądały się pracy grafologa. Clare miała na sobie różowy atlasowy szlafroczek. Położyła kopertę na miniaturowym biurku i drobiazgowo, litera po literze, przejrzała cały, wykonany czarnym mazakiem napis:

Plum Russell
Chester Terrace, Regent's Park
London NW 1 6ED

Okulary w rogowych oprawkach nie wystarczały do tego celu. Wzmocniła je wielką lupą, która wirowała, kołowała nad kopertą, aż do chwili, gdy Clare przemówiła:

- To bardzo atrakcyjny zapis, fluidy zdają się tańczyć jak na paradzie. Najprawdopodobniej autorem jest mężczyzna. Wskazuje na to wielkość palców. Jest bystrym, otwartym człowiekiem. Na pewno inteligentnym i zdecydowanym. Próbował ukryć swój charakter pisma.

- Czyli nie udało mu się? - zapytała Plum z nadzieją.

- Nie udało. Zmienił tylko wygląd liter, ale charakterystyka pozostała ta sama. Na przykład ta pełna zawijasów litera T w wyrazie *Terrace*. - Odłożyła lupę na bok i użyła srebrnego noża do papieru jako wskaźnika. - Litery pochylają się w lewo, więc możemy założyć, że jego normalny charakter pisma pochylony jest do przodu lub wyprostowany pionowo. Litera T napisana z zawijasem, łączącym spód litery z jej szczytem po lewej stronie, nie może być napisana przy pochyleniu tekstu w lewo. Wnioskujemy więc, że w normalnych warunkach autor tego napisu pisze litery pionowo wyprostowane.

Pani Stevens spojrzała na Plum, jakby chciała wzmocnić wagę swoich słów.

- Ten tekst pisała ręka osoby o bardzo bystrym umyśle, ręka osoby przyzwyczajonej do szybkiego i zdecydowanego manipulowania poglądami, jeśli zaistnieje ku temu potrzeba.

W niemym podziwie Plum śledziła wzrokiem ostry koniec srebrnego noża do papieru, wskazujący następne litery.

- Krój liter nie jest przesadnie oryginalny. Te wąskie, kanciaste litery, stylizowane na sztylety i ciernie, dają jednak do myślenia... Jest coś pretensjonalnego w tych szponach i hakach, obecnych zwłaszcza w literach h oraz g. Podejrzewam, że kryje się za nimi utajona skłonność do agresji, chciwość i nikczemność.

Wręczyła Plum kopertę i innym tonem dodała:

- Tego, co powiedziałam, jestem całkowicie pewna. Jeśli sobie życzysz, mogę jeszcze odrobinę pospekulować. W tych okolicznościach nawet zgadywanie może okazać się pożyteczne.

- Nigdzie nie znajdę równie fachowej pomocy - stwierdziła Plum.

Mimo że w pokoju było bardzo ciepło, Clare Stevens otuliła się szlafroc-kiem, jakby usiłowała ochronić się przed falą zdradzieckiego chłodu. Spojrzała malarce prosto w oczy.

- Ten człowiek jest prawdopodobnie porywczy, ale i przebiegły... Wydaje się przyjacielsko usposobiony, lecz dźwiga na swych barkach poważne brzemie nienawiści. - Zawahała się, a potem dokończyła: - Zaryzykowałabym twierdzenie, że... to bardzo możliwe, że... on nie potrafi odróżnić dobra od zła.

- Co przez to rozumieć? - spytała Jenny stłumionym głosem.

Pani Stevens z wyraźną niechęcią, nawet z pewnym zalem, wygłosiła jasne i jednoznacznie brzmiące ostrzeżenie:

- To może być psychopata.

Tego tylko brakowało! - jęknęła Plum, dociskając pedał gazu czarnego porsche. Pędzili przez Sloane Square.

- Zwolnij, bo się zabijesz - doradziła Jenny.

- Chyba jednak pójdę na policję.

- Pewnie. Ludzie z pierwszych stron gazet często dostają listy z pogrózkami od bezmózgowych kretynów.

- Pozwole, żeby gliniarze zdecydowali.

Na posterunku policji przy Albany Street w eleganckim pokoju recepcyjnym, którego ściany wyłożono boazerią z ciemnego cedru i ozdobiono wielkim srebrzystym herbem policji metropolitalnej, Plum opowiedziała o swoich przeżyciach. Ponieważ posterunkowy odnosił się do niej bardzo przyjaźnie, wyznała więcej, niż początkowo planowała. Wyjawiała nawet swoje podejrzenia co do podróży Richarda Stepmana do Paryża.

- Z tego, co słyszę, wynika, że mamy tu sprawę dla wydziału do ścigania fałszerstw - podsumował posterunkowy. - Telefonowanie do nich o tej godzinie nic nie da. Pracują tak jak wszystkie urzędy. Poinformujemy ich z samego rana i może się pani spodziewać, że złożą pani wizytę. Tymczasem zatrzymam pani kopertę.

Nagle dom stał się złowieszco cichym, ogromnym i przygniatającym tworem, jako żywo wyjętym z nocnego koszmaru. Z parku na zewnątrz nie dochodziły najmniejsze oznaki życia. Jenny zaproponowała, że zostanie na

noc, ale Plum odrzuciła ofertę. Teraz, gdy zamknęła drzwi za przyjaciółką i założyła zabezpieczający je przed nagłym otwarciem łańcuch, pożałowała swej decyzji. Chciałaby, żeby Breeze był tu razem z nią; przez chwilę walczyła z pokusą zatelefonowania do niego. Ale co dobrego mogło z tego wyniknąć? Zdenerwowałaby go tylko. Gdyby przerwał podróż i wrócił do Anglii bez żadnej poważnej przyczyny, jak by się wtedy czuła? A gdyby nie przerwał podróży... Co czułaby w takim wypadku?

Sprawdziła kontrolkę alarmu antywłamaniowego w kuchni i kraty w każdym oknie, na każdym piętrze. Wszystkie były opuszczone i pozamykane na klódki. Sandra robiła to codziennie o szóstej wieczorem.

Plum postanowiła zaszyć się w pracowni, gdzie zawsze czuła się uspokojona i bezpieczna. Kiedy już się tam znalazła, natychmiast całą uwagę skupiła na rozpoczętym obrazie. Nie śpiesząc się potoczyła spojrzeniem po brzegach malowidła, a potem jeszcze raz uważnie obejrzała wszystkie cztery krawędzie. Lubiła zaczynać obraz od skraju i posuwać się ku środkowi płótna. Dbiała przy tym, wprost pedantycznie, o narożniki obrazu.

Uniosła pędzel, zastygła na sekundę w bezruchu, a potem ulokowała purpurową plamę na polu opanowanym przez błękitny kolor czystego nieba. Zatopila pędzel w przygotowanej farbie i rozpoczęła systematyczne okraszanie płótna jasnoróżowymi plamami, najpierw na turkusowej płaszczyźnie symbolizującej ziemię, potem na położonym wyżej pasie mandarynkowego koloru. Żółte krople naniosiła na karmazynowe tło, które nabrało przez to zastraszającego podobieństwa do truskawki w olbrzymim powiększeniu.

Obraz wyglądał po tych zabiegach tak, jakby złapał międzyplanetarną odurę. Niech to szlag trafi! Pozwoliła ponieść się nerwom i oto skutki. Nie powinna malować przy sztucznym oświetleniu. Zawsze gdy się na to decydowała, cała praca szła na marne, bo obraz musiał być rano przerobiony.

Poszła do sypialni, czując, jak z każdym krokiem narasta w niej bezzasadne zdenerwowanie. Jedynym powodem mogło być to, że została sama w domu, a przecież przedtem już wiele razy zostawała sama i nic sobie z tego nie robiła. Rozbierając się miała wrażenie, że ktoś ją podgląda. Nic na to nie mogła poradzić. Narastał w niej lęk i złość.

Nagle wyczuła czyjąś fizyczną obecność w pokoju. Ktoś ukrywał się tutaj, niemal słyszała jego oddech.

Przez pięć minut stała pośrodku sypialni, ale... nic się nie stało.

Ostrożnie położyła się na dywanie obok łóżka. Uniosła drżącą rękę i chciała podnieść pofałdowaną zasłonę otaczającą łóżko u podstawy, lecz w ostatniej chwili zatrzymała się. Co będzie, gdy podniesie tę zasłonkę i znajdzie się oko w oko z jakimś pozbawionym zdrowych zmysłów psychopata?

Powiedziała sobie, że przecież nie może naga leżeć całą noc na podłodze. Ostrożnie uniosła rąbek zasłonki i zajrzała pod łóżko.

Nie było tam nic do oglądania. Z wyjątkiem kurzu.

Wśliznęła się w chłodną pościel, ale nie mogła zasnąć. Nie opuszczał jej strach i jak echo powracające pytanie: kim jest prześladowca? Kim jest człowiek, który groził jej śmiercią? Mordercą czy też dowcipniem? Wszystko to może wydawać się śmieszne... do momentu, kiedy otworzysz gazetę. Znajdzie się tam wiele historyjek o szalejących obłąkańcach.

Gdzie byłaby bezpieczna? Gdzie mogłaby się ukryć? Miała pewność, że nie zniesie tego strachu, kotłującego się w niej przerażenia. Zdawało jej się, że obserwuje ją z góry jakiś okrutny olbrzym, jakby była kanarkiem zamkniętym w klatce. Jeden ruch gigantycznym palcem i klatka stanie otworem; a kot już czeka...

Czuła się obnażona, odkryta i wystawiona na ciosy. Była w pułapce. Niemal czuła materialne, lepkie nici niewidzialnej pajęczyny zaciskające się wokół niej, zawężające obszar jej osobistego bezpieczeństwa.

O drugiej w nocy rozpalona, wciąż niespokojna i daleka od pograżenia się we śnie, odsunęła ciężkie zasłony i otworzyła okno, aby wpuścić do środka nieco świeżego, orzeźwiającego powietrza.

Kiedy zamknęła kratę na kłódkę, znowu poczuła opadającą na nią falę lęku. Co by się stało, gdyby psychopata zaopatrzył się w karabin i wdrapał się na drzewo w parku naprzeciw jej okien? Spróbowała przekonać siebie, że nie ma się czego bać. Park jest o zmierzchu zamykany na cztery spusty. Ale wyobraźnia natychmiast podsunęła jej obraz mężczyzny ukrywającego się w zaroślach, a potem wdrapującego się na drzewo i...

Ale skąd ktoś miałby wiedzieć, że zdecyduje się odsłonić okno? Plum usiłowała przemówić sobie do rozsądku. Owszem, dostała dwa anonimy, ale rano policja zajmie się tą sprawą. A do świtu nikt nie miał najmniejszych szans na wtargnięcie do tego domu. Dlatego powinna wskoczyć do łóżka i zagrzebać się po szyję w miękkiej pościeli.

Nadal nie mogła zasnąć. Usiłowała zająć myśli lekturą, lecz nie była w stanie skupić się na dyżurnej książce, leżącej przy łóżku. Obecnie rolę tę pełniła ostatnia powieść Iris Murdoch. Sięgnęła po książkę zostawioną przez Breeze'a. Zagłębiwszy się w lekturze dreszczowca Dicka Francisa, znowu pomyślała o czających się pod domem mordercach.

„Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach” - uspokajała się. A to jest prawdziwe życie. Rano zjawi się policja, a do tego czasu nie będzie ruszała się z domu, powie Sandrze, żeby nikogo nie wpuszczała i nawet na chwilę nie zdejmowała łańcucha z drzwi.

Rozdział dwudziesty

Poniedziałek, 30 marca 1992

Do wnętrza sypialni przenikały pierwsze promyki słońca, gdy Plum, siedząc na krawędzi sofy, patrzyła na swojego gościa i czuła się jak ktoś, kto stara się o przyjęcie do pracy. Zbyt dobrze wiedziała, iż poważnie narozrabiała opowiadając swoją historię i podając tyle mylnych tropów. Detektyw-inspektor Grigg z wydziału do walki z fałszerstwami (sekcja dzieł sztuki i antyków) słuchał jej bardzo uważnie, lecz malująca się na jego twarzy rezerwa dobitnie świadczyła o tym, że w jego przekonaniu Plum zbyt drammatyzuje.

Detektyw stanowił dla niej swego rodzaju niespodziankę. Nie wyglądał na kogoś, kto przekroczył trzydziestkę. Tego mężczyznę mogłaby spotkać na jakimkolwiek eleganckim przyjęciu w Londynie. Był wysoki i szczupły, z twarzą okoloną poskręcanyimi rudawymi włosami, miał bladą, piegowatą cerę oraz tak jasne błękitne oczy, że podejrzewała, iż skrywają się za kosztownymi szklami kontaktowymi. Z akcentem absolwenta wyższej uczelni grzecznie, precyzyjnie i szybko podsumował relację Plum, upewnił się co do pisowni nazwisk wymienionych przez nią osób, a na koniec rzekł:

- Zakładam, że wszystkie podane przez panią szczegóły techniczne wymagają powtórnego sprawdzenia. Dopóki nie wpłynie do nas oficjalna skarga właściciela któregoś z tych fałszyfikatów, nie możemy podjąć żadnych kroków. Jednakże jesteśmy bardzo zainteresowani wynikami pani prywatnego dochodzenia.

- Ktokolwiek to jest, doskonale wie, że śledzę obecnie więcej niż jeden obraz. - Zadrzała. - To musi być ktoś, kogo znam.

- Czy utrzymuje pani bliskie kontakty z kimś ze Stanów Zjednoczonych? Plum pokręciła głową przecząco.

- W Nowym Jorku mam wielu znajomych, ale żaden z nich nie mieszka w Wielkiej Brytanii.

Inspektor zamknął notes.

- Może nie ma w tym wszystkim niczego zbrodniczego - powiedział ostrożnie. - Te listy mogą być tylko dowcipem osoby o wyjątkowo złym smaku, mogą też być napisane przez kogoś, kto pani nie lubi. Ten ktoś chce panią nastraszyć, ale tak naprawdę wcale nie zamierza nastawać na pani życie. Czasem ludzie wysyłają takie listy z tych samych powodów, dla których nakłuwają szpilkami woskowe figurki: mają nadzieję, iż niebo albo piekło zainterweniuje zgodnie z ich życzeniami.

Pochylił się w fotelu do przodu, jakby chciał nadać dalszej wypowiedzi szczególne znaczenie.

- Nie chcę pani denerwować, pani Russell, ale wszystkie groźby pozbawienia życia traktujemy bardzo poważnie. Nie wolno nam ich lekceważyć. Proszę, niech pani będzie ostrożna. I niech pani się nie waha i dzwoni do mnie do biura, jak tylko pojawi się coś nowego. Po godzinach mogę być osiągalny pod tym numerem.

Wręczył malarce wizytówkę.

- Z powodu tych przykrych listów może pani przejawiać teraz skłonność do postrzegania rzeczy innymi, niż są w istocie, dopatrywać się tajemniczych zbiegów okoliczności tam, gdzie w normalnych warunkach nic tajemniczego by pani nie dostrzegła. Na przykład, widziała pani w Paryżu pana Stepmana z obrazem pod pachą; słyszała pani, że ktoś zauważył na promie pana Charlesa Bomana; odkryła pani, iż pan Leo Mann dorabia przewożeniem dzieł sztuki na kontynent. Wszystko to wcale nie musi świadczyć o jakimś przestępczym spisku.

Plum do tej pory była zachwycona, że jest traktowana bardzo poważnie, ale teraz musiała zmienić zdanie. Detektyw najwyraźniej przydzielił ją do kategorii zarezerwowanej dla starszych pań, które skarżą się na bezczelnych podglądaczy.

*

Po wyjściu inspektora poszła na piętro, aby ubrać się do obiadu. Zdążyła założyć czarne pończochy, ciepłe wełniane szorty w ciemnopomarańczowym kolorze, wykończone czerwonymi frędzelkami z rafii, oraz buty, gdy zadzwonił telefon. Max pytał, czy nie miałyby nastroju na postawienie mu obiadu.

- Przykro mi, kochanie, ale nie dziś. Co się stało?

Nic się nie stało. Po zastanowieniu Max doszedł do wniosku, iż definitywnie zamierza zostać scenografem. Dlatego chciałby zapytać, czy nie mógłby dodatkowo zapisać się na kurs szkolenia oświetleniowców? Plum odłożyła słuchawkę i w pośpiechu włożyła czarną sznurowaną kamizelkę i tweedowy żakiet, dobrany kolorystycznie do szortów.

Przyjęcie odbywało się w wiktoriańskiej sali Reform Clubu, a wydano je na

część Walentyny Tiereszkowej, która nie była nawet w części tak sławna jak Ivana Trump, lecz niewiele kobiet mogło się pochwalić równie spektakularnym sukcesem. Walentyna Tiereszkowa była pierwszą kobietą w kosmosie. Poza tym była naukowcem i nowo wybraną posłanką do parlamentu Rosji.

Walentyna okazała się czarującą kobietą, promieniującą pogodą ducha i entuzjazmem. Obserwując ją, jak z wymuszonym wdziękiem porusza się między zaproszonymi gośćmi, Plum doszła do wniosku, że rosyjska kosmonautka wolałaby mieć na sobie kombinezon lotniczy niż czarno-biały komplet wieczorowy. Podczas rozmowy, pod wpływem nagłego impulsu, zapytała Rosjankę, czy uważa się za szczęśliwą osobę. Walentyna spojrzała na nią zaskoczona i roześmiała się:

- Tak, ale nie w sposób, jaki planowałam. Jestem po rozwodzie.
- Szczęścia nie da się zaplanować.
- Nie, lecz można do niego dążyć. Uważam, że można świadomie zwiększać swoje szanse na osiągnięcie szczęścia.
- W jaki sposób?
- Jeśli cieszysz się swoją pracą, to jest ona równie cenna jak ta, którą uznaje się za dobrze płatną. - Rosjanka zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując swoich gości. - Wszystkie kobiety, które tu dzisiaj przyszły, doskonale o tym wiedzą.

Drugą rękę zarzuciła Plum na ramię, spełniając prośbę krążącego w pobliżu fotografa.

- Docenianie i szacunek dla twojej pracy - mówiła dalej - są fundamentem, na którym możesz oprzeć przekonanie o własnej wartości. Zwłaszcza gdy praca polega na prowadzeniu domu.
- Twoja praca była szalenie niebezpieczna - zauważyła Plum. - Nie byłaś przerażona, gdy twoja rakieta po raz pierwszy odrywała się od powierzchni Ziemi?
- Jasne, że byłam. Każdy jest.
- Więc jak udało ci się zwalczyć strach? - zapytała, myśląc o drugim anonimie z pogrózkami.
- Trzeba zaakceptować strach i robić swoje. W przeciwnym razie nic się nie osiągnie.

Środa, 1 kwietnia 1992

Breeze wrócił z podróży w porze śniadania.

- Niestety, w poniedziałek muszę jeszcze raz polecieć do Nowego Jorku - ostrzegł Plum, kiedy myła mu w wannie plecy. - Kochanie, możesz podrapać mnie trochę niżej?... Niżej... O, teraz lepiej... Nie wiem, dlaczego lot nocą jest bardziej wyczerpujący niż lot w ciągu dnia. Czuję się jak stary kalosz.

- Mam nadzieję, że nie zamienisz się w transatlantyckiego komiwożera.

Plum ścisnęła gąbkę nad głową męża i sięgnęła po butelkę z szamponem. Breeze westchnął z ulgą, kiedy Plum rozpoczęła systematyczne masowanie mu skóry na głowie.

- Może będę zmuszony polecieć czasem do Rio... Chcesz mi towarzyszyć? Victor Marsh ma w Brazylii przyjaciela, właściciela kopalni diamentów. Gość jest diabelnie bogaty i chce zafundować sobie kolekcję dzieł sztuki, aby zmienić swój wizerunek ograniczonego filistra. Napomknął też, że mógłby później sprezentować tę kolekcję swojej ojczyźnie. Tak czy inaczej, poszukuje jakiegoś agenta z Europy. - Nie zważając na ściekające mu po twarzy mydliny, wykręcił głowę i z uśmiechem spojrział żonie w oczy. - Brzmi to jak marzenie, jak fragment z bajki, prawda? Gość opuści Rio de Janeiro i będzie podróżował po świecie w interesach. Siedemnastego kwietnia będzie mógł spotkać się ze mną w Nowym Jorku. O, cholera! Mydło dostało mi się do oka.

Plum splukała mu włosy wodą. Breeze jeszcze raz wykręcił głowę i powiedział:

- Skoro już o tym mowa, mam dla ciebie wiadomość od Victora. Mówi, że z radością zapomniał o waszym zakładzie. Przyjąłem to oświadczenie z prawdziwą ulgą.

Plum kucnęła obok wanny.

- Sam go o to poprosiłeś, prawda? Z powodu Biennale.

- Tylko dlatego, kochanie. - Breeze wygramolił się z wanny. - Poza tym Victor nie ma teraz czasu na błahostki. Martwi się o córkę. Suzannah, jak zwykle, robi z tego nieszczęścia prawdziwy teatr. - Owinął się ręcznikiem i wyjaśnił: - Suzannah uruchamia specjalną gorącą linię telefoniczną dla nastolatków ze skłonnościami samobójczymi. Oczywiście oznacza to, że trudno jej znaleźć wolną chwilę dla Felicity.

- Biedne dziecko! Nie będę niepokoić Victora. To miło z jego strony, że zgodził się zapomnieć o całej sprawie.

Przez chwilę kusilo ją, by przyjąć tę ofertę. Nic nie musiała robić, tylko wyrazić zgodę. Mogłaby rzucić to niewydarzone śledztwo. Breeze byłby zadowolony z takiego obrotu rzeczy, nie otrzymywałaby więcej listów z pogrózkami, w nocy mogłaby spać spokojnie. Mogłaby znowu żyć normalnym, codziennym życiem.

Starannie dobierając słowa, powiedziała:

- To chyba najlepsze, co mogę zrobić.

Opowiedziała o drugim anonimie i opinii grafologa.

Breeze natychmiast stał się czujny.

- Dzięki Bogu, w końcu do ciebie dotarło, że nie jest to kawa z mleczkiem! Mówisz, że ten detektyw przyjdzie tu dziś po południu? Porozmawiam z nim. Powiem, żeby w przyszłości kontaktował się wyłącznie ze mną. Chcę, byś po prostu zapomniała o nieprzyjemnościach i skoncentrowała się...

- ...na Biennale - dokończyła Plum chmurnie. - A, właśnie, detektyw chciałby zobaczyć pierwszy anonim. Gdzie go schowałeś?

Breeze zdjął z wieszaka swój płaszcz kąpielowy.

- Wyrzuciłem go po powrocie z Nowego Jorku podczas sortowania papierów przywiezionych z podróży. - Otworzył drzwi do przebieralni. - Teraz widzę, że nie powinienem był tego robić, ale myślałem, że to bardziej kawał, dowcip w ponurym stylu niż prawdziwe zagrożenie. Nadal tak uważam.

Plum oburzyła się. Breeze nie miał pojęcia, jak czuje się człowiek, któremu jakiś psychopata grozi śmiercią.

*

ro południu detektyw-inspektor Grigg i Breeze rozmawiając w salonie przy kawie odkryli, że ich szkoły od wieków rywalizowały ze sobą w krykiecie. W jednej chwili zawiązała się między nimi nić porozumienia, zaczęli mówić do siebie jak dwaj kumple ze szkolnej ławy. Plum poczuła, że nie należy do towarzystwa.

Inspektor tłumaczył, jak niewiele mogli wywnioskować z anonimowego listu i koperty policyjni analitycy. Zarówno kartkę, na której naklejono litery, jak i kopertę zakupiono w którymś ze sklepów z materiałami biurowymi. Szkoda, że Breeze wyrzucił pierwszy list. Byłby nieoceniony dla celów porównawczych.

Na liście znaleziono odciski palców zaledwie czterech osób: Plum, Jenny, Lulu i pani grafolog. Natomiast na koperce było ich tak wiele, że nie udało się na ich podstawie uzyskać żadnych informacji. Policjant zgodził się z panią grafolog, iż koperta została zaadresowana przez inteligentną osobę, lecz nie istniały dowody na to, że ta sama osoba jest autorem listu. Policjanci nie mogli zaakceptować domysłów Clare Stevens. Uważali, że niepotrzebnie wyolbrzymia zagrożenie.

- W takim razie prawdopodobnie nie istnieje żaden psychopata? - zapytał Breeze.

- Grafolog powiedziała, że to tylko jej domysły.

Breeze z uśmiechem zwrócił się do żony:

- Widzisz, kochanie, nie myśl już o kryjących się na drzewach mordercach.

Plum nie wyglądała na przekonaną.

- W tych dwóch anonimach jest coś, co nie daje mi spokoju. Ich nadawca chce, abym przestała tropić fałszerza obrazów - zgadza się? Skąd jednak będzie wiedział, że zastosowałam się do jego żądań? - Zagryzła dolną wargę. - Mam wrażenie, jakby ten człowiek śledził każdy mój krok. To właśnie jest przerażające.

Mąż obrzucił ją pobłażliwym spojrzeniem.

- Jeżeli rzeczywiście ktoś cię śledzi, skarbie, to na pewno zauważy, że siedzisz w swojej pracowni i malujesz zamiast kręcić się z lupą po Londynie i Paryżu.

- A jednak do pana żony przysłano dwa anonimy z groźbami - zwrócił mu uwagę detektyw Grigg - i żadne z was nie ma pojęcia, kto mógłby żywić do niej urazę. Może więc należy zastanowić się, kto mógłby żywić urazę do pana, panie Russell?

Breeze zdobył się na wąły uśmiech.

- Wyobrażam sobie, że znalazłyby się całe tuziny takich osób, rywalizujących ze mną na stopie zawodowej. A poważniej mówiąc, jestem przekonany, iż każdy biznesmen w moim wieku zdobył sobie co najmniej kilku wrogów. Jednak nikt konkretny nie przychodzi mi do głowy.

Plum dostrzegła u męża to charakterystyczne, znajome spojrzenie, pojawiające się w chwilach, gdy próbował ukryć się przed natarczym atakiem. Wiedziała, że skłamał.

Inspektor krótko zrelacjonował swoje działania. Nie udało mu się zlokalizować Charlesa Bomana, który znajdował się na jachcie ojca gdzieś na Morzu Karaibskim. Lady Stepman potwierdziła, że prosiła syna, by sprzedał w jej imieniu wykonany atramentem szkic Augustusa Johna, przedstawiający Cyganke. Obraz został подарowany matce lady Stepman bezpośrednio przez artystę. W jej salonie pozostał po nim na ścianie błądy prostokąt. Lady Stepman osobiście pytała Charlesa Bomana, gdzie powinna sprzedać obraz, zachowując przy tym dyskrecję. Nie chciała, by ludzie wiedzieli o jej problemach finansowych. Boman polecił Levi-Fontaine. Firma wystawiła czek na lady Stepman.

Detektyw dodał, że gdyby wdowa po generale Stephenie Stepmanie była mózgiem wielkiego gangu kryminalistów zajmujących się fałszerstwami dzieł sztuki, to raczej nie mieszkałaby w skromnym mieszkaniu w Marlborough Mansions, numer 248, przy Gloucester Road. A spędziła tam ostatnich siedemnaście lat.

Po wyjściu detektywa Plum obrzuciła męża badawczym spojrzeniem.

- Kto mógłby żywić do ciebie urazę? O kim pomyślałeś?

Niechętnie przyznał, że błysnęło mu w myślach - tylko błysnęło - że winowajcą może być Jaimie Lorimer. Całkiem prawdopodobne, że gościł w Nowym Jorku w czasie Świąt Bożego Narodzenia i na pewno był teraz w Londynie.

- Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego czujesz wstręt do tego człowieka - rzekła Plum. - Mam wrażenie, iż problem jest dużo głębszy i nie sprowadza się tylko do zawodowej rywalizacji.

- Masz rację, do cholery - odparł posępnym tonem Breeze. - Ten skurwiel Lorimer opowiedział prasie o mojej żonie. Dowiedział się o wszystkim od

kumpla mieszkającego na Ibizie, a tam właśnie uciekła Geraldine-Ann ze swoją przyjaciółką. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy pewnego pięknego dnia przeczytałem w gazecie sensacyjny artykuł o pożyciu małżeńskim w wyższych sferach. Każdy mąż tak by się czuł. Ale to nie mnie wyrządził największą krzywdę. Do dnia, w którym ukazał się artykuł, matka Geraldine-Ann nie miała bladego pojęcia, że jej córka jest lesbijką.

- Nie wierzę, żeby Jaimie napisał te dwa listy!

- Na miłość boską, zapomnijmy o nich raz na zawsze! - zirytował się Breeze. - Postanowiłaś zrezygnować z tego swojego śledztwa, więc nie dostaniesz już żadnych anonimów.

- Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

- Cholera jasna! - wrzasnął Breeze i jak burza wypadł z pokoju.

Plum powiedziała sobie, że powinna pamiętać, iż najmniejsza wzmianka o jego byłej żonie natychmiast wyprowadza go z równowagi. Zresztą dla niej taka rozmowa też nie należała do przyjemnych. Do pewnego stopnia u wszystkich drugich żon pojawiają się objawy syndromu Rebeki; każda z nich z pewnością zastanawia się, jak silnym uczuciem darzył mąż jej poprzedniczkę...

Natrętne dzwonienie telefonu przerwało tok jej myśli.

- Leo! Czym mogę ci służyć?

Wyraźnie słyszała w tle gwar ludzkich głosów. Leo musiał telefonować z jakiegoś pubu.

- Plum... Słyszysz mnie?... Tak, jestem w „Bunch of Grapes”. Posłuchaj... Myślę, że wiem, kto sprzedaje te fałszyfikaty. Powiniemem domyślić się już wcześniej, bo dwa razy widziałem go na promie i za każdym razem podróżował samotnie. Pamiętasz, jak tłumaczyłem ci, że prom stanowi dla przemytnika najlepszy środek transportu? Nie, nie przez telefon... Nie, nie mogę mówić głośniej... Jestem tu z całą grupą, nie chcę, by ktokolwiek coś usłyszał. Co takiego? Nie słyszę, co mówisz... Jezu, to miejsce to jakieś pieprzone zoo!... Słuchaj, może wpadnę zaraz do ciebie?

- To niemożliwe, Leo. Za pół godziny mamy umówione spotkanie na drinka w „Savoyu” z jakimiś klientami ze Szwajcarii. Około dziewiątej powinniśmy być z powrotem. Zapraszam cię na kolację. Nie? Więc spotkamy się jutro... Dobrze, u ciebie około czwartej. Jestem bardzo ciekawa twoich wieści!

W trakcie ubierania bez przerwy myślała o intrygującym telefonie od Leo. Zaczęła nawet wesoło pogwizdywać, wciągając przez głowę sukienkę z czarnego tiulu i zakładając na nogi srebrne pończochy.

- Co się z tobą dzieje? - Breeze zawiązywał na szyi świeży krawat. - Jeszcze niedawno byłaś raczej raczej nieco podłamana.

Z zapartym tchem, z błyszczącymi podnieceniem oczami, powiedziała:

- Kochanie, na moje śledztwo będę potrzebowała jeszcze tylko jednego dnia.

- Skończ z tym - jęknął Breeze. - Jeden dzień nie robi chyba żadnej różnicy.
- Przeciwnie! Może być decydujący! Przecież sam twierdzisz, że nie załatwione do końca sprawy doprowadzają cię do szału.

Wsunąwszy stopy w płaskie srebrne sandały, zdała mężowi relację z rozmowy z Leo.

Czwartek, 2 kwietnia 1992

Czwartkowe popołudnie było typowe dla ponurej angielskiej wiosny. Nawet narcyzy w Regent's Park z rezygnacją opuściły swoje żółte główki.

Leo mieszkał na południowym krańcu Maddox Square, w niewielkim budynku, który wyglądał na niebezpiecznie bliski zawalenia się. Dom był podzielony na kilka podrzędnych klatek dla biedoty i kilka dużych apartamentów dla średnio zamożnych najemców. W powietrzu unosiły się tumany kurzu; od lat nikt nie wydał ani grosza na remonty.

Ku jej zaskoczeniu brudne, kremowe drzwi do budynku były otwarte. Dwukrotnie nacisnęła znajdujący się obok framugi przycisk domofonu, ale nie usłyszała żadnego dźwięku. Najwidoczniej domofon nie działał. Możliwe, że właśnie dlatego Leo zostawił uchylone drzwi.

Szybko weszła na drugie piętro wąskimi, stromymi schodami, które nigdy nie zaznały dotyku dywanu, i stanęła przed drzwiami do mieszkania Leo. Te drzwi także były uchylone. Plum pchnęła je i weszła do środka.

Duży, wymalowany na biało pokój był dość skapo umeblowany. Przed pustym kominkiem stały dwa obite czarną skórą podniszczone fotele Le Corbusier oraz dobrana do foteli kanapa. Pod nie zasłoniętym oknem ustawiono jeszcze prosty stół służący za biurko, zarzucony luźnymi papierami i kolorowymi magazynami.

Między kanapą a kominkiem leżał na podłodze wełniany, ręcznie tkany grecki dywanik. Leo leżał na nim twarzą do góry, zapatrzony w sufit. Jego jasne włosy były zmierzwione, zwykle pogodna twarz zastygła w wyrazie nagłego przerażenia, a ręce szeroko rozrzucone po obu stronach nagiego ciała, którego barwa przywodziła na myśl bladokremowe woskowe gromnice. Jeżeli Plum mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do jego stanu, to rozwiewały je definitywnie ciemne plamy zakrzepłej krwi. Leo był martwy.

Malarka zatoczyła się, złapała w płuca powietrze i krzyknęła. W następnej chwili pomyślała, że nie powinna była tego robić. Ktokolwiek zabił Leo, mógł wciąż ukrywać się w mieszkaniu! A jeśli tak, to na pewno usłyszał krzyk! Wiedział, że ktoś odkrył zwłoki!

Bała się oddychać. Bała się poruszyć. Czowała, jak pulsujące fale krwi uderzają w jej skronie, czowała, jak serce z wysiłkiem bije na alarm. „Muszę się stąd wydostać!” - pomyślała.

Lecz nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Nie słyszała normalnych odgłosów wielkiego miasta, docierających zza zamkniętych okien. Nasłuchiwała najdrobniejszych szmerów, zakłócających grobową ciszę mieszkania. Wstrzymała oddech, aż zrobiła się czerwona na twarzy.

„Jeżeli teraz wyjdzie ktoś z łazienki albo z sypialni - myślała - bez trudu mnie zabije!” Nie mogła zmusić swego ciała do ucieczki. Była sparaliżowana przerażeniem.

I nagle, jak piekielny dzwon, rozległ się terkot aparatu telefonicznego.

Przenikliwy, szarpący zmysłami dźwięk zdjął z Plum czar bezruchu. Podbiegła do stojącego pod oknem stołu, rozgarnęła papiery i znalazła telefon, obydwoma trzęsącymi się rękami podniosła słuchawkę.

- Leo, jesteś tam? - pytał dziewczęcy głos. - Benny chce cię zobaczyć w biurze.

- Leo nie żyje - wyrzuciła z siebie Plum. - Leży martwy na podłodze... wszędzie pełno krwi... Proszę wezwać policję, szybko!... Kto?... Plum Russell, jego przyjaciółka.

Do oczu napłynęły jej łzy. Upuściła słuchawkę, biegiem rzuciła się w kierunku drzwi i wypadła na korytarz.

Zleciała po wąskich schodach, cudem unikając skręcenia karku. Na drżących nogach dotarła do oazy bezpieczeństwa, przytulnego, lśniącego czystością porsche, śpiesznie otworzyła drzwi, wśliznęła się na siedzenie i zamknęła od wewnątrz. Nadal targaly nią dreszcze. Zszokowana siedziała bez ruchu, aż posłyszała pukanie do bocznej szyby.

Spod policyjnej czapki przypatrywała jej się para szarych oczu.

- Jeżeli zaraz pani stąd nie odjedzie, będę musiał wypisać mandat.

Dwie godziny później czarny porsche wciąż stał na Maddox Square. Policja drogowa zablokowała jego koła, więc aby dostać się do domu, Plum musiała wezwać taksówkę.

- Już po wszystkim! - powiedział Breeze, wręczając jej w kuchni kubek gorącej herbaty. - Kochanie, byłaś bardzo dzielna. Odpowiedziałaś policjantom na wszystkie pytania. Wypij to i marsz do łóżka. - Dolał do kubka whisky. - Żadnych protestów. Pij!

- Możliwe, że ktoś podsłuchał Leo, gdy rozmawiał ze mną przez telefon i umawiał się na spotkanie - snuła domysły Plum. - Prawdopodobnie mordercą jest ktoś z tego hałaśliwego grona ludzi, którzy byli wtedy w „Bunch of Grapes”.

Breeze nalał sobie czystej whisky.

- Kochanie, już powiedziałaś to policji. Na pewno wezmą tę możliwość pod uwagę, choć nie ma powodu, by łączyć śmierć Leo z twoim fałszerzem

obrazów. Fałszerstwo to jedno, morderstwo drugie. Nie ma poszlak łączących te dwa przestępstwa.

Siedział na krawędzi stołu i machał zwisającą w powietrzu nogą. Uśmiechnął się do żony, chcąc dodać jej otuchy.

- Policja twierdzi, że Leo postrzelono z bliskiej odległości, dwukrotnie w brzuch i raz w klatkę piersiową. Nie mają broni. Szacują, że zgon nastąpił między pierwszą a drugą w nocy. Leo jadł na kolację potrawkę *curry*. To wszystko. Nic więcej nie wiedzą. Nie ma żadnych poszlak. - Breeze łyknął whisky i rzekł: - Mówiłaś, iż Leo przysięgał, że nie ma nic wspólnego z fałszerstwami. Dlaczego nie uwierzysz w jego zapewnienia?

- Leo wiedział, kim jest fałszerz - odparła. - Sam mi to powiedział. Przynajmniej... wydaje mi się, że to powiedział... niezbyt dokładnie pamiętam jego słowa. Powinam była je zapisać...

- Posłuchaj! Śmierć Leo nie ma nic wspólnego z fałszykatami! Wiec to, co Leo powiedział, nie ma żadnego znaczenia! Raz na zawsze skończysz z tą niebezpieczną zabawą!

- Skąd masz pewność, że nie ma żadnego związku między fałszerzami a śmiercią Leo?

- Bo nie ma powodu, aby myśleć, że jest inaczej! Masz obsesję na punkcie tych fałszykatów! Popadasz w paranoję! - Wyglądała na prawdziwie zatroskanego. - Najlepiej zrobię zabierając cię w poniedziałek do Nowego Jorku. Polecisz ze mną. Nie mogę zostawić cię samej w takim stanie!

- Nie, Breeze, nic mi nie będzie. - Mimo wszystko czuła się bezpieczniej w znajomym otoczeniu Londynu niż w Nowym Jorku. Jeśli ktoś śledzi każdy jej krok, co powstrzyma go przed wejściem na pokład samolotu do Nowego Jorku? W końcu to tam pojawił się pierwszy anonim. - Może Jenny będzie mogła wprowadzić się do mnie. Przecież nie będzie cię tylko kilka dni.

Posłusznie położyła się do łóżka. W ciszy wpatrywała się w emanujący spokojem obraz aborygenki Emily. Po raz kolejny zastanawiała się, jakie sekrety skrywa wzór ułożony z malowanych ochrą i różem kropek.

Poniedziałek, 6 kwietnia 1992

Zaraz po wyjeździe Breeze'a na lotnisko Plum wyruszyła do Covent Garden. Piętnaście minut później znajdowała się już w przestronnej siedzibie magazynu „New Perspective”, mieszczącej się w dawnej składnicy towarowej. Naprzeciw niej siedział szef Leo, Benny Smith. Jeżeli chciała liczyć na jego pomoc, musiała mu zaufać.

Benny oparł się łokciami o blat biurka i powiedział:

- Plum, wyobrażam sobie, jak paskudnie się czujesz. Policja już dwa razy przepuszczała mnie przez wyżymaczkę.

Malarka bacznie przyglądała się delikatnym rysom twarzy Benny'ego, nadającym mu wygląd lalki z chińskiej porcelany. Nie mogła zdecydować, czy temu mężczyźnie można ufać.

Zza grubych szkieł patrzyły na nią cyniczne oczka redaktora.

- Myślę, że na początku mnie podejrzewali, ale mam kryształowe alibi. Mieszkam wiele mil stąd, w Putney. W nocy, gdy zabito Leo, Carol i ja poszliśmy do sąsiadów na kolację. Wróciwszy do domu odkryliśmy, że ktoś włamał się do naszego domu. Wyglądało to na jakąś zemstę. Dom był splądrowany, wszystko powywracane do góry nogami. Zupełnie jakby idąc na robotę opili się oleju rycynowego. Grzebali nawet w osobistych szufladach żony. Wręcz postanowili sobie, że zrobią możliwie największy bałagan. Tak więc spędziliśmy z policjantami kilka godzin, co najmniej do północy. Szczęście, że dranie nie zastali Carol samej w domu.

- Szczęście w nieszczęściu - przytaknęła Plum. - Mnie chyba nie podejrzewają. Uważają mnie za nieszkodliwą wariatkę. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie łączą zabójstwa Leo z tym, co powiedział mi na kilka godzin przed śmiercią.

- Ponieważ mają bardzo zgrabną teorię, tłumaczącą, dlaczego Leo został zabity - powiedział Benny, odwracając się na moment do stojącego za nim stolika.

Otworzył stare pudełko na cygara i wyjął z niego dużą fotografię, dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów. Podał ją Plum. Fotografia przedstawiała Leo w oparach dymu papierosowego, na jakimś przyjęciu lub podczas zabawy w nocnym klubie. Leo stał w samym środku rzędu pięknych, wysokich, szeroko uśmiechających się dziewcząt ubranych w wykwintne suknie wieczorowe.

- To wszystko faceci - wyjaśnił Benny. - Leo utrzymywał to w tajemnicy, gdyż nie chciał, by rodzina wiedziała, że jest transwestytą. Jego ojciec jest w Pinner ogólnie szanowanym kierowcą autobusu i uważa AIDS za plagę zesłaną na świat po to, by oczyścić go ze zbrodniców.

- Więc policja uważa, że jest to morderstwo na tle seksualnym?

- Mogę się założyć. Osobiście sądzę, że śmierć Leo może mieć związek z narkotykami, chociaż nie podzieliłem się tymi domysłami z policją. Leo był u nas wolnym strzelcem, po prostu nie stać nas na zatrudnianie stałego personelu. Na pewno nie zawsze zbierał materiały w bezpieczny sposób. Zauważyłem też, że należał do bardzo rozrywkowych ludzi.

- Leo był ryzykantem?

- Lubił życie na dużych obrotach. Świadczą o tym choćby te przejazdy ciężarówkami na kontynent... - Benny schował zdjęcie do pudełka po cygarach.

- Plum, nie powinnaś winić siebie za to, że wplątałaś go w poszukiwania tego swojego fałszerza.

- Dzięki, Benny.

Nie przekonał jej.

*

Po wyjściu z biura Benny'ego spacerowała po ulicy, mijała budynki starej składnicy towarowej, obecnie będących siedzibami sklepów z szykowną odzieżą. Idąc, próbowała uporządkować własne myśli.

Możliwe, że obydwa anonimy zostały wysłane przez jakiegoś dowiecownika i nie miały bezpośredniego związku z fałszerstwami. Może śmierć Leo też nie wiązała się z fałszerstwami. W tym wypadku nie istniały logiczne przesłanki za przerwaniem poszukiwań fałszerza. Była przecież tak bliska zdemaskowania go...

Za kilka dni Brytyjski Instytut Sztuki otrzyma obraz Cynthii Bly. Jeżeli fałszerstwo zostanie dowiedzione, Cynthia będzie mogła złożyć brytyjskiej policji oficjalne doniesienie o przestępstwie. Korzystając z dokumentacji zgromadzonej przez Plum będzie w stanie zainteresować prasę o zasięgu międzynarodowym. Dziennikarze zaczną węszyć. Następny krok będzie należał do Victora, który z dowodami w rękę zwróci się do Maltby'ego. Plum nie widziała w tych wydarzeniach nic specjalnie niebezpiecznego.

Jeśli jednak śmierć Leo i anonimy ściśle wiązały się z fałszerstwami, była na dobrej drodze, by napytać sobie biedy, mimo że cała afera zaczęła wymykać jej się z rąk. To już nie zależało od niej. Nawet jeśli fałszerz potnie ją na kawałki i przerobi na pokarm dla kotów i tak nie uniknie zdemaskowania.

Ostatecznie Plum doszła do wniosku, iż mądrze zrobi zakładając, że grozi jej realne niebezpieczeństwo. A w takim wypadku miała do wyboru dwie drogi postępowania. Pierwsza: działać dalej, starając się ujawnić fałszerza, nim ten zrealizuje swoją groźbę. Druga: ukryć się do czasu definitywnego potwierdzenia przez Brytyjski Instytut Sztuki, że obraz Cynthii Bly jest falsyfikatem.

Nagle zdała sobie sprawę, jak łatwy stanowi cel w ulicznym tłumie przy Covent Garden. Rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię, a potem pośpiesznie wróciła na parking, gdzie zostawiła porsche.

Wtorek 7 kwietnia 1992

Na długo przed świtem obudziło ją, cichnące z wolna w uszach, echo czryjegoś krzyku. Potrzebowała dłuższej chwili, aby zrozumieć, że to jej własny krzyk. Mrok w sypialni wydawał się drapieżnie gesty, powróciło

prześladujące ją od dawna uczucie czyjejś obecności w pokoju. Co takiego powiedział Benny o tych włamywaczach? Szczęście, że żony nie było wtedy w domu.

Drżącą ręką zapaliła lampkę przy łóżku. Bardzo powoli jej oddech powrócił do normy. Wstała z posłania i podeszła do okna, by rozsunąć zasłony.

Kiedy pierwsze nieśmiałe promyki budzącego się dnia wpadły do znajomego pokoju, Plum uświadomiła sobie, że nie może dłużej tak żyć. Nie zagna spokoju, dopóki fałszerz będzie na wolności.

Uświadomiła też sobie, że nie może liczyć na wsparcie ze strony Breeze'a, Jenny i Lulu, ponieważ cała trójka jeszcze raz doradzi jej zaprzestanie poszukiwań przestępcy. Nie zdają sobie sprawy, że niebezpieczeństwo jest realne. Zrozumieją to dopiero wtedy, gdy będzie za późno.

Mogła zostać w domu - wtedy wszyscy wrogowie będą wiedzieć, gdzie się znajduje. Mogła jednak zniknąć - upewniając się, że nikt jej nie śledzi - zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu do czasu, aż zostaną ukończone analizy obrazu Cynthii. Ukryć się tam, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać.

I w tej samej chwili wiedziała już, dokąd powinna się udać. Postanowiła, że nikomu o tym nie powie, nawet Lulu i Jenny. Mogły przypadkiem poinformować kogoś o jej zamiarach. Powie tylko mężowi.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Środa, 8 kwietnia 1992

Plum wyjrzała przez okno samolotu. „No i lecę do Akwitanii!” - pomyślała, a nazwa docelowej krainy zabrzmiała tajemniczo i magicznie.

W XII wieku Eleonora Akwitańska, jedna z najpotężniejszych kobiet na świecie, poślubiła Henryka Plantageneta, przyszłego króla Anglii. Posagiem Eleonory była władza nad południowo-zachodnimi prowincjami i niemal całą atlantycką linią brzegową Francji. Pomimo kolosalnego bogactwa Eleonora nie była osobą szczęśliwą. Późniejszy spór o wiano Eleonory, które dawało Anglii spory obszar Francji, doprowadził do wojny stuletniej między obydwooma krajami.

Teraz, daleko w dole, Plum widziała zielono-złoty wzór dawnych ziem Eleonory, z wolna nabierający kształtu w przerwach między białymi obłokami. Tam, w dole, poprzez amfiteatr nadmorskich wzniesień, przez obsypane wiosennymi kwiatami doliny Akwitanii, płynęły ku Atlantykowi trzy największe rzeki południowo-zachodniej Francji. To tu wytwarzano jedno z najdoskonalszych gatunków wina - *Bordeaux claret*. Nieco dalej na zachód mogła dostrzec wieże pięknego miasta, miniatury Paryża, a jednocześnie największego portu spedycyjnego win w całej Francji. Odnosiła wrażenie, że tuż za szaroburymi budowlami przewalały się fale Oceanu Atlantyckiego.

Oprócz ucieczki przed nieznanymi wrogami istniał jeszcze jeden powód, dla którego wybrała Akwitanię. Wciąż nie dawała jej spokoju rozmowa o szczęściu, którą odbyła z Harriet przy kuchennym stole w paryskim mieszkanku ciotki.

- To temat tabu, jak kiedyś seks - powiedziała wtedy ciocia Harriet. - Seks stał się tematem tabu, ponieważ niektóre kobiety czuły się w głębi duszy winne, że nie potrafią sprostać narzuconym przez mężczyzn wymaganiom. A dzisiaj kobiety czują się winne, jeśli nie potrafią znaleźć szczęścia, choć

wierzą, że na nie zasługują. - Dolała wina do kieliszka Plum. - Każda kobieta jest odpowiedzialna za własne szczęście, tak jak odpowiedzialna jest za udane życie seksualne. Za twoje życie nie odpowiadają inni, tylko i wyłącznie ty sama. Może to być przerażająca myśl, gdyż w przypadku niepowodzenia nie ma na kogo zwalić winy.

- Dlaczego więc kobiety nie nauczyły się odpowiedzialności za siebie?

- Nikt im nie powiedział, jak żyć. Ich matki nie wiedziały, a ojcowie nie uznali za stosowne.

Ciotka Harriet wlała do swojego kieliszka resztę wina i czekała na ciąg dalszy.

Po długim milczeniu Plum wyznała:

- Nie jestem szczęśliwa.

- Przynajmniej jesteś tego świadoma. Wiele kobiet nie umie dostrzec własnego szczęścia, inne koncentrują się na ignorowaniu tego braku szczęścia.

- Co mogę z tym zrobić, ciociu Harriet?

- Zastanów się, co chciałabyś robić, a czego wolałabyś uniknąć. I zadaj sobie pytanie, dlaczego? - Ciotka zapaliła następnego gitane'a. - Potem wyeliminuj kolejno ze swojego życia czynniki, które wpisałaś na czarną listę. - Zachichotała. - Cały sekret mądrego życia polega na eliminacji: z czegoś trzeba zrezygnować. - Zaciągnęła się papierosem i dokończyła: - Ostatecznie zostaniesz tylko przy tym, na czym ci naprawdę zależy. Będziesz miała dla siebie więcej szacunku. Wtedy szczęście przyjdzie samo, bo szczęście to tylko stan umysłu.

- Mniej więcej wiem, na czym mi zależy - powiedziała Plum. - Przez resztę życia chcę być tak szczęśliwa, jak jestem podczas malowania.

- Musisz wiedzieć najdokładniej, moje dziecko. Nie potrafię ci pomóc, ponieważ pod pojęciem szczęścia kryją się dla różnych ludzi różne rzeczy. Tylko ty możesz zdecydować, czego szukasz, i tylko ty możesz to znaleźć.

- Ale od czego mam zacząć?

- Kiedy ostatni raz czułaś błogie, bez troskie szczęście? Wróć do tych miejsc i sprawdź, gdzie leżało źródło tego uczucia.

*

Samolot zaczął powoli opadać ku lotnisku. Plum zobaczyła kręte brzegi Garonny, błyskające w słońcu wody, otoczone przez ciemnozielone drzewa. W tych rzecznych dolinach dojrzewały melony, brzoskwinie, morele i nektarynki, drzewa obsypywały się soczystymi jabłkami, co roku zbierano wiele ton winogron, liści tytoniu i słoneczników. Plum przypomniała sobie słoneczniki rosnące wzdłuż brzegów rzeki, docierające aż do granic jej ogrodu. Była ciekawa, jak zmieniło się Valvert przez ostatnie jedenaście lat. Możliwe, że na drugim brzegu rzeki stały teraz nowe, okropne domy.

Samolot jeszcze bardziej obniżył lot. Stopniowo dostrzegała coraz więcej szczegółów, uśpione wioski i dostojne pojedyncze gospodarstwa. Wzniesienia porastał gęsty las. Pamiętała, że pod tymi kasztanami i dębami rosły latem poziomki, a jesienią pokazywały swe kapelusze przepyszne grzyby. Jeśli miało się dużo szczęścia, można było znaleźć nawet trufle. Gdy przymknęła oczy, niemal czuła orzeźwiający zapach porastającego drzewa mchu i świeżej, płodnej ilastej gleby. Wilgotne leśne powietrze miało niepowtarzalny aromat, a stopy zagłębiały się w miękkim dywan, stworzony przez Matkę Naturę z opadłych liści, kory drzew i drobnych gałązek.

Nawet początek kwietnia to już chyba zbyt późna pora na dzikie hiacynty, ale na pewno żywopłoty zaczęły już przyozdabiać się kwiatami. Już kiedyś o tej porze zbierała kwiaty róży jerychońskiej, bławatki i maki, z pewnością zakwitały już krzaki dzikiej róży i słodkiego groszku. Tutejsze gospodynie domowe miały w pogardzie te dziko rosnące kwiaty. Hodowały w ogródkach róże, lilie i bajecznie kolorowe dalie. Sąsiedzi Plum mieli do przyrody ambiwalentny stosunek: kochali ją, lecz jednocześnie toczyli z naturą nieustającą wojnę. Ze swych niewielkich posesji nieprzerwanie usuwali dziką trawę, pokrzywy i inne chwasty. Stawiali strachy na szpaki i gawrony. Jesienią mężczyźni wychodzili z wioski, by strzelać do wszystkiego, co się rusza, poczynając od zajęcy, a kończąc na dzikach. W każdą niedzielę zdejmowali strzelby z haków, fundowali sobie kilkugodzinną krwawą jatkę, a potem masowo szli do kościoła, dwunastowiecznej budowli - wzniesionej przez ich odwiecznych wrogów, Anglików - stojącej po przeciwnej stronie drogi niż dom Plum.

Valvert - słowo to znaczy tyle, co „zielona dolina” - leży sześćdziesiąt mil na południowy zachód od Bordeaux. Do miejscowości prowadzi wąska droga - jedyna - którą wybudowano dopiero w 1978 roku, na miejsce zwykłego wiejskiego traktu, trzy lata przed skanalizowaniem Valvert. W przeciwieństwie do północy Francji południowe prowincje wciąż były bardzo zacofane. Plum nieraz widziała, jak jej sąsiad, dziadek Merlin, zaprzęgał do pługa dwa potężne woły. Z pogardą odnosił się do możliwości wydzierżawienia sprzętu zmechanizowanego. Ten staruszek nigdy nie miał własnej pary butów. Aż do śmierci, w rok po zakupieniu przez Plum domu, chodził w drewnianych sabotach. Cnotami najbardziej pożądanymi w Valvert były oszczędność i gospodarność. Nie wyrzucano nic, co mogło znaleźć w przyszłości jakiegokolwiek zastosowanie. W stodołach lub na strychach przechowywano takie precjoza, jak kawałki sznura, przeżarte przez komiki nogi od stołu, pordezwiśla zakrećki od stoików.

Podobnie do reszty Akwitanii, rejon Valvert zamieszkiwały chłopskie rodziny w rodzaju Merlinów, starannie pielęgnujące tradycję i żyjące według „starego sposobu”, jak sami to nazywali. Wściekle walczyli o utrzymanie swej niezależności. Odziedziczyli ją po przodkach, którzy nigdy nie byli chłopami

pańszczyźnianymi, jak ich odpowiednicy w feudalnej Rosji. Od wieków byli drobnymi właścicielami ziemskimi, dumnymi ze swej samowystarczalności, głęboko przywiązani do własnej ziemi. Jeżeli ktoś nie miał tu własnego kawałka ziemi, żyło mu się bardzo ciężko. W niewielkim, oddalonym o osiem kilometrów mieście Miramont było kilka zakładów przemysłowych. Każdego ranka, z wyjątkiem niedziel, kilku mieszkańców Valvert dojeżdżało rowerami do pracy w fabryce butów albo w zakładzie garbarskim.

Wieśniacy nigdy nie próżnowali, bo - jak zauważył Breeze podczas swej jedynej wizyty w Valvert - w polu zawsze jest coś do zrobienia. Rolnicy starali się ograniczyć do minimum uzależnienie od zaopatrzenia z zewnątrz. Według nich własne życie budowało się pracą własnych rąk, na własnej ziemi. Każda rodzina posiadała własny żywy inwentarz, uprawiała własne warzywa i owoce. Kilku chłopów trzymało krowy, gdyż jak mawiali: *la vacherie, c'est de l'esclavage*. Przy świniami nie było tyle pracy, więc każda rodzina hodowała przynajmniej jednego tuczniaka. Ta hodowla stała się tu już częścią uświęconej tradycji. Dzieciaki prześcigały się, które lepiej spasię swojego *le cochon* do czasu zimowego uboju. Wszyscy trzymali też kurczaki, kaczki, gęsi i króliki. Wszyscy wytwarzali własne wina i brandy. Najgorętsze dysputy w Valvert toczyły się wtedy, gdy zastanawiano się, kto robi najlepszą wódkę, *eau-de-vie*.

Plum przywiozła Breeze'a do Valvert późnym latem 1983 roku, gdy Toby miał jedenaście, a Max dziewięć lat. Breeze szczerze zniechęcił się do miejscowości. Był niespokojny, znudzony, tęsknił za wygodami, a brak telefonu przyprowadził go do frustracji. „Kulturalne samobójstwo” - tymi słowami zwrócił się do swojej sekretarki, gdy zapragnął określić wiejskie rojenie Plum.

Pojęcie Breeze'a o wiejskiej idylli sprowadzało się do luksusowo wyposażonego tokańskiego monastynu albo prowansalskiego zamku. Tak więc przez jedenaście lat Plum nie odwiedzała Valvert. Tylko kilka osób wiedziało o domku w tej francuskiej miejscowości. Jeszcze mniej orientowało się, gdzie to jest.

Chyba żaden morderca nie pomyśli o szukaniu jej w takiej sennej, mikroskopijnej mieścinie? Valvert było spokojnym miejscem, gdzie żyli prości ludzie i nigdy nic się nie działo. I właśnie dlatego dzieci tych prostych ludzi, gdy tylko podrosły na tyle, aby urzeczywistnić swoje plany, uciekały do hałaśliwego, kłującego w oczy neonami, tętniącego mrówczym ruchem miasta.

Na krzyżówce przy budynku szkoły Plum skrzyła w lewo i biały, wynajęty citroen rozpoczął mozolną wspinaczkę na szczyt wzgórza. Widziała już stąd kremowe ściany i lawendowe okiennice domku. Fala radosnej czułości ścisnęła jej serce. Nieduży sad przystroił się w pęk białego i różowego kwiecica, płatanina wyrośniętych, półmetrowych traw szturmowała granice

ogrodu, majestatycznie płynęły oliwkowe wody rzeki. Przeciwny brzeg zarastały dziwnie powykęcane wierzby, pod którymi flegmatycznie pogryzały trawę lub drzemały w cieniu krowy w czarne i białe łaty. Było wśród nich kilka o kremowym umaszczeniu. A w tle znajdowało się pole pszenicy, zamknięte przez zielone wzgórze.

Plum zjechała z drogi i zaparkowała pod kwitnącym drzewem wiśni. Obok stała jeszcze śliwka, której nie pamiętała. Chyba zasadziła ją kiedyś, w końcu września, tuż przed powrotem do Londynu. Młoda sadzonka była teraz rozłożystym drzewem. Plum czuła rozleniwiające, odprężające zadowolenie. Oto wróciła, wprawdzie czuła się posiniaczona i zmęczona, ale wróciła do domu po długiej, wyczerpującej podróży i wreszcie mogła rozsnuwać buty. Tu będzie mogła zapomnieć o lękach, usiądzie na trawie, oprze głowę na kolanach i będzie wdychać rześkie powietrze przesycone aromatem rosnących tuż obok werandy krzaków lawendy i napływającą z rzeki wilgocią. Po raz pierwszy od chwili otrzymania drugiego anonimu poczuła się bezpieczna.

Rozejrzała się po ogrodzie. Trawa urosła bardzo wysoko, ale musiała być niedawno przycinana, bo w przeciwnym razie sięgałaby chyba do ramion. Wistaria - nie zdążyła jeszcze zakwitnąć - pięła się po frontowej ścianie domu i panowała nad wychodzącą na południe werandą, zbierając słoneczne promieniowanie z całego dnia. Za krzakami lawendy, oddzielającymi werandę od ogrodu, majaczyły na tle bladego wieczornego nieba solidne drzewa magnolii.

Weszła na werandę - niektóre dachówki nadawały się do wymiany - i wypłoszyła jakieś zwierzątko, które błyskawicznie skryło się w trawie. Natychmiast przypomniały jej się letnie wschody słońca, kiedy zające skakały przez zroszoną trawę, kanarki urządzały swoje trele, jaskółki nurkowały ku ziemi, gołębie gruchały, a wszystko to działo się tak jakby dyrygował tym sam Walt Disney.

Przekreśliła klucz w zamku kuchennych drzwi. Przyszło jej na myśl, że drzwi nie otworzą się, lecz pomyliła się. Mogła wejść do środka i miała wrażenie, że wchodzi do bajki, w której wszyscy spali kamiennym snem przez sto lat, a teraz z powrotem budzą się do życia. Zlustrowała kuchnię i z zaskoczeniem skontatowała, że nie może dojrzeć najmniejszej pajęczyny. Raz w tygodniu przyjeżdżała tu z sąsiedniej wioski Marie-France i najwyraźniej solidnie wywiązywała się ze swych obowiązków, do których należało sprzątanie domu. Jej mąż dbał o ogród. Mimo wszystko, aby naprawdę powrócić do życia, dom wymagał ciepła, kuchennych zapachów i kwiatów. Powinien rozbrzmiewać śmiechem i cieszyć ogniem na kominku.

Podeszła do zlewku i odkręciła kurek od gorącej wody. Po kilku sekundach zaczęła lecieć ciepła woda. A więc pani Merlin spełniła jej prośbę i postarała się o podłączenie wody i energii elektrycznej. A było to możliwe dzięki

podciągnięciu do Valvert linii telefonicznej, co wykonano w 1985 roku. Patrząc na rozpryskującą się na dłoni wodę, błyskającą kryształowo jak brylant na palcu, przypomniała sobie czasy, gdy w Valvert nie było nie tylko linii telefonicznej, ale nawet bieżącej wody. Wodę trzeba było nosić wiadrami ze studni Merlinów.

- Witamy z powrotem, pani Russell!

Wszyscy mieszkańcy wioski zwracali się do niej w ten bardzo formalny sposób. Bardzo rzadko używano jej imienia.

Plum odwróciła się na dźwięk głosu i ujrzała siwe, zmierzwiłone włosy, wychudzoną sylwetkę i szeroko otwarte ramiona madame Merlin.

Przywitały się w galijskim stylu, dotykając się policzkami, po czym madame Merlin zerknęła na brylantowy pierścionek Plum.

- Nie powinna pani nosić go tutaj - powiedziała. - Jeszcze jakiś głupek pomyśli, że jest prawdziwy. To smutne, ale w tych stronach nie jest już tak bezpiecznie jak dawniej. Wszędzie można natknąć się na złodzieja, a taki pierścionek to wprost zaproszenie. - Wskazała półkę nad kominkiem. - Niech pani go schowa do wazy na zupe.

Pięć minut później w kuchni tlił się ogień (madame Merlin zapomniała przeczyścić kominy), a obie kobiety siedziały w fotelach i opowiadały sobie plotki z ostatnich jedenastu lat, których nie zmieściły na kartkach wysyłanych na Boże Narodzenie. Plum nie miała wiele do powiedzenia: tak, wciąż doskonale bawi się malowaniem; jej mężowi, dzięki Bogu, całkiem niezłe idą interesy; nie, nie, żadnych więcej dzieci, zgodnie z wolą Pana; jej synowie ukończyli szkoły i obydwa studiują w college'ach o profilu artystycznym; o, tak, trudno w dzisiejszych czasach znaleźć stałą pracę.

Madame Merlin zamiast nowin przedstawiła długą listę osób, które w ciągu ostatnich jedenastu lat odeszły w zaświaty. Jej mąż był obecnie na emeryturze; córka, Solange, prowadzi rodzinne gospodarstwo domowe; druga córka służy w wojsku, w siłach powietrznych; Paul... biedny Paul... tak, nadal jest nauczycielem. W zasadzie jest teraz dyrektorem szkoły dla młodszych dzieci, tej na skrzyżowaniu. Wrócił do domu po tej tragedii...

Trzy lata temu, w drodze do rodziców, zginęła w wypadku samochodowym pod Tuluzą żona Paula, Annie. Zza zakrętu wyjechał na nią pijany kierowca... Potwór, pomiot szatana, kanalia... Dwuletnie bliźniaczki, Marie i Rose, znajdowały się na tylnym siedzeniu. Wyszły z wypadku bez zadrapania, chwała Najwyższemu! Winny wypadku dostał dwa lata w zawieszeniu, nawet nie poszedł do więzienia! To bogacz, jakaś lokalna gruba ryba. Tacy wiedzą, jak się wykręcić.

- Dlaczego nic mi pani nie napisała?! - wykrzyknęła Plum.

- Są rzeczy, o których nie da się napisać na karcie z pozdrowieniami - odparła madame Merlin z westchnieniem, wycierając oczy brzegiem fartucha.

Opowiedziała, jak rozpacz zmieniała jej syna. Od czasu ogłoszenia wyroku na tego pijanego kierowcę nie pokazał się w kościele. Stał się zgorzkniały i nieprzyjaźnie nastawiony do całego świata. Utracił wiarę w autorytet i sprawiedliwość. Ale przynajmniej wrócił do domu. Przez dwa lata jego pobytu w Paryżu madame Merlin wprost nie zmrużyła oka. Teraz mogła opiekować się bliźniaczkami, choć Paul nie wyraził zgody, by mieszkały z babcią. Został razem z dziećmi w nauczycielskim domu, położonym u podnóża wzgórza, tuż obok szkoły.

Plum pamiętała Paula jako wychudłego, wesołkowanego chłopaka, mniej więcej czternastoletniego. Teraz miał pewnie około dwudziestu siedmiu lat. Koledzy ze szkoły bezlitośnie wyśmiewali się z niego, ponieważ nie umiał pływać. Dlatego Plum podjęła się roli nauczycielki pływania. Szukając czegoś, co wyzwoliłoby go z lęku, zapytała o jego ulubiony wiersz. Nie miał takiego. No to może ma ulubioną piosenkę? Nie miał. Więc może zna słowa modlitwy? Tym razem trafiła w dziesiątkę. Jego zadaniem było wyrecytowanie modlitwy na dany znak. Po pierwszych trzech próbnych ruchach ramion, Plum wykrzyknęła:

- *Allez oup!*

Wypowiadając słowa modlitwy, które odwróciły jego uwagę od strachu przed wodą, Paul dotarł do przeciwnego brzegu rzeki. A potem przypląnął z powrotem. To Bogu, bardziej niż Plum, zawdzięczać należało dokonanie się tego drobnego cudu.

Po wyjściu madame Merlin Plum dokończyła obchód, co nie zabrało wiele czasu. Drzwi na tyłach kuchni prowadziły do małej, pomalowanej na różowo sypialni, z czarnym, metalowym łóżkiem, zasłanym obszytą koronkami pościelą. Za tą sypialnią była już tylko łazienka. Podobnie jak kuchnia, salonik i dwie dodatkowe sypialnie miały okna wychodzące na werandę.

Na tyłach domu stała obora, w której kiedyś trzymano zwierzęta. Pomiędzy zakurzonymi, pokrytymi pajęczynami skrzynkami, Plum znalazła trzy rowery. Koła nieco zardzewiały, lecz należało się tego spodziewać po tylu latach nieużywania. Usunęła kurz ze swojego starego zielonego roweru. Sprawdziła hamulec, potem w zakurzonej torbie z narzędziami znalazła olej i nasmarowała mechanizm. Na koniec napompowała opony. Mogła ruszać!

Przejechała przez trawę do drogi. Powoli - już od lat nie siedziała na rowerze - skręciła w lewo i pustą drogą pojechała wzdłuż wsi. W błękitnej koszulce, dżinsowych spodniach i żółtych, płaskich pantofelkach czuła się znowu młodo, jakby czas cofnął się i znowu miała zaledwie kilkanaście lat. Z młodzieńczym animuszem napierała na pedały, zmuszając rower do jazdy

pod górę na leżące za wioską wzniesienie. Szybko powróciła jej dawna pewność swoich możliwości i poczucie równowagi. Znowu mogła delectować się podmuchami ciepłego wiatru na twarzy i charakterystycznymi dla wsi zapachami przyrody.

Dojechawszy do szczytu wzniesienia zatrzymała się, by zerwać kilka jaskrów. Umieściła je w koszyku z tyłu roweru i zawróciła. Nabierając prędkości zjechała ze wzgórza, bez wysiłku przejechała przez wieś, gdzie wcale nie musiała zmniejszać prędkości: na uspiętej drodze nie było samochodów, kotów ani psów. Kobiety pozamykały się w domach i przygotowały kolacje, mężczyźni jeszcze nie wrócili z pola.

Głęboko oddychając pachnącą trawą powietrzem zastanawiała się, dlaczego tak wiele musiało upłynąć czasu, nim wróciła do tego wspaniałego zakątka. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze istniały ważniejsze sprawy, lecz kto mógł się spodziewać, że życie tak szybko będzie uciekać? W przyszłości nie jej nie powstrzyma, by odwiedzać Valvert przynajmniej raz w roku. Może uda się część obory przekształcić w pracownię malarską. Pozwoliłoby to na serio pracować nad obrazami. Breeze nie mógłby narzekać, że zaniedbuje swoją karierę.

Zbliżyła się do domu. Miała zamiar skrócić w prawo, do ogrodu, ale wcześniej należało znacznie zwolnić. Nacisnęła mocno hamulec.

Nie podziała.

Naparła na bezużyteczny hamulec, lecz rower ciągle przyspieszał. Dojechała już niemal do linii kasztanów rosnących przy skrzyżowaniu. Musiała szybko podjąć decyzję: skrócić do rowu, co mogło być bardzo niebezpieczne, czy też jechać dalej, nie tracąc zimnej krwi, nie tracąc równowagi, pozwolić rowerowi na kontynuowanie swobodnego ruchu, aż na kolejnym wzniesieniu za wsią sam zacznie wytracać prędkość. Druga ewentualność wydawała jej się znacznie lepszym pomysłem; była jedna szansa na tysiąc, że na tej sennej drodze zderzy się z jakimś samochodem.

Ciągle zwiększając prędkość, zbliżała się do skrzyżowania. Zerknęła w lewo, na budynek szkoły i plac zabaw; nikogo nie widziała. Na drodze dochodzącej do skrzyżowania z lewej strony nie było żadnego pojazdu. Przeniosła spojrzenie na prawo i... ku swemu przerażeniu, dojrzała nadjeżdżający mały czerwony mikrobus.

Wiedziała, co to za samochód: objazdowy sklep, który odwiedzał Valvert raz w tygodniu, zaopatrując mieszkańców wsi w podstawowe artykuły kuchenne, takie jak miotły i proszki do szorowania. Mikrobus toczył się z prędkością, która kierowcy na pewno wydawała się znikoma. Plum wjeżdżała na skrzyżowanie z prędkością, według niej, bliską prędkości światła. Wypadek zdawał się nieuchronny, jakby pędziła na zderzenie ze swoim przeznaczeniem.

Jeszcze raz nacisnęła hamulec, ale rower kontynuował szaleńczą jazdę.

Tuż przed skrzyżowaniem podjęła ostateczną decyzję. Naparła na kierownicę po jej lewej stronie, skierowując rower wprost do rowu. Przednie koło poddało się woli rowerzystki, lecz tylne wpadło w poślizg. Lewy pedał zahaczył o jezdnię, z asfaltu posypały się iskry, pantofel z prawej nogi wyfrunął w powietrze i wylądował dziesięć metrów dalej. Plum przekoziółkowała i wpadła do rowu. W momencie uderzenia jej ciało przeszła błyskawica bólu. „Kto by pomyślał, że miękka trawa może być taka twarda?” - pomyślała tracąc przytomność.

Najpierw na pałającą żółcią sferę wypełzły rozżarzone zielone gąsienice, potem pod powiekami rozlało się morze szkarłatu. Powoli powracała świadomość. Instynktownie uniosła rękę do czoła i zamarła: ból był nie do zniesienia, pulsował pod czaszką rytmicznie, tętnił w skroniach. Miała wrażenie, że jakiś sadysta wkręca jej głowę w imadło. Nie walczyła z tym bólem. Przypominał jej poród: aby dać sobie z nim radę, musiała przed nim skapitulować.

- Niech pani nie wstaje - usłyszała głęboki, męski głos. - Odwiozę panią do domu, a potem wezwę lekarza. Jest pani Angielką, prawda?

Plum jęknęła. Z ogromnym wysiłkiem otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą ciemną plamę na tle nieba, sylwetkę wysokiego mężczyzny, trzymającego w dłoni jej żółty pantofelek.

Plum ponownie jęknęła i zamknęła oczy. Zaskowyczała z bólu, gdy mężczyzna podłożył pod nią ręce i unióśł z ziemi.

Do jej uszu docierał stukot butów na asfalcie. Musiały być podkute metalem. Mężczyzna kołysał się, coś w stylu kaczego chodu. Chociaż prawdopodobnie bez kobiecego ciała w ramionach poruszały się z większą gracją.

Coś było nie tak... Wyczuwała, że nie idą w stronę wsi. Zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek i spojrzała na swego wybawcę.

Ujrzała opaloną twarz, silną, kwadratową szczękę, czarne i błyszczące jak skrzydła kruka włosy, proste kreski czarnych brwi, spotykające się nad okazałym, prostym nosem.

Mężczyzna zerknął z góry na Plum. Miał kryształowo błękitne oczy.

- Niosę panią do mojego samochodu. Do pani domu jest stąd za daleko. Na pewno nie był wieśniakiem. Mówił po angielsku. Skąd wiedział, gdzie stoi jej dom?

- Mieszkasz w Valvert... - wykrztusiła.

Szerokie, zmysłowe usta mężczyzny ułożyły się w cień uśmiechu.

- Owszem. Nazywam się Paul Merlin. Nauczyła mnie pani pływać.

Przypomina pani sobie?

Czwartek, 9 kwietnia 1992

Jak się pani czuje?

W mężczyźnie stojącym na progu kuchni w drzwiach otwartych na werandę rozpoznała sylwetkę Paula Merlina. Miał na sobie wytarte dzinsy i pulower z dekoltem w kształcie litery V, założony na nagie ciało; gdy sięgnął dłonią do szyi i potarł obojczyk, zobaczyła czarne włosy na jego piersi. Czy gest ten podyktowany był nerwowością? Dłoń tego człowieka była szczupła, miał długie palce i krótko przycięte paznokcie. Stanowiło to swego rodzaju nowość w „krajobrazie” Valvert, gdzie pielęgnowanie paznokci nie należało do najpilniejszych zajęć. Spracowane dłonie mieszkańców wioski były przeważnie uwalane ziemią.

Plum leżała na kanapie przed kominkiem. Chciała wstać, ale udało jej się tylko drgnąć. Miała głęboko startą skórę z lewego łokcia, ramienia i biodra, a lewe kolano zdobila głęboka rana przypominająca rozdarcie. Podrapana i posiniaczona twarz znakomicie upodobniła ją do namalowanej przez De Kooning amatorki wycieczek rowerowych.

- Proszę nie wstawać. Doktor Combray mówił, żeby nie forsowała pani swego organizmu - przypomniał Paul. - Wyprostowałem koła i kierownicę. Zamontowałem też nowe przewody hamulcowe. Stare zardzewiały i pewnie pekiły, gdy pani gwałtownie zahamowała.

Słowa brzmiały przyjaźnie, lecz było coś odpychającego w Paulu Merlinie. Plum natychmiast przypomniała sobie rozmowę z matką Paula. Pani Merlin twierdziła, że czasem wydaje jej się, iż nie mówi do swojego syna, lecz do nieznanego - tak bardzo odmieniła Paula śmierć żony.

- Bardzo dobrze mówisz po angielsku - powiedziała, nie odrywając wzroku od swojego gościa.

Jego kryształowobłękite oczy, otoczone gęstymi czarnymi rzęsami, oddziaływały na nią niemal magnetycznie.

- Uczę angielskiego. Specjalizuję się w nowożytnych językach... Dziękuję, nie wejdę dalej. Rower zostawiłem w obórcie - powiedział i zniknął.

Patrzyła za nim, w ciemny prostokąt drzwi, które wychodziły na majaczący bładą zielenią ogród. Była rozdygotana, rozpalona ogniem buchającym z głębi ciała, a może z głębi duszy - nie wiedziała. Nigdy przedtem nie pożałowała tak żadnego mężczyzny. W trakcie dziesięcioletniego pożycia z Breeze'em pociągali ją inni mężczyźni, z niektórymi nawet flirtowała, lecz nigdy nie pozwoiliła, by do tych igraszek wkraść się bardziej wyrafinowany erotyzm, nigdy nie dopuściła do siebie myśli, że mogłaby znaleźć się w łóżku innego mężczyzny. Taki skok w bok zawsze kojarzyła ze zdradą, wiarołomstwem i nieszczęściem. Wzbraniała się przed zaryzykowaniem takiego kroku, gdyż bała się ciężaru winy, który na pewno spadłby na jej barki.

Spróbowała oddzielić Paula od tego, co czuła. Nie miała nic do roboty, nic, czym mogłaby zająć myśli, nie miała żadnych zmartwień. Nic dziwnego, że była roznamietniona. Na wakacjach zawsze można się spodziewać takiego obrotu rzeczy. Zastanawiała się tylko, czy gdyby był przy niej Breeze, czułaby to samo? Tę samą miękkość nóg, ten sam żar w pachwinach, tę samą ochotę, by przytulić się do muskularnego ciała?

Nie. Plum nigdy dotąd nie czuła takiego pożądania jak do tego wysokiego, smągłego Francuza.

Każdego dnia widywała swego wybawcę przez kilka szalenie krótkich chwil, które sama aranżowała odwiedzając panią Merlin celem pożyczenia odrobiny cukru, mąki lub kawy.

Po zakończeniu popołudniowych zajęć w szkole dziewczynki Paula wędrowały ręką w rękę u boku ojca cichą, wiejską drogą. W domu już czekała na nie babcia z kolacją. Mimo że bliźniaczki odziedziczyły po ojcu czarne lśniące włosy oraz błękitne oczy, nie były identyczne. Rose, smukła i cicha, była małą, pięcioletnią ślicznotką; uwielbiała stroić się i nie przepuściłaby żadnej okazji, by włożyć na nogi srebrne pantofelki, urodzinowy prezent. Marie, czarująca, pyzata ekstrawertyczka, była wyższa od wszystkich swoich rówieśników, nie potrafiła siedzieć w jednym miejscu i rzadko buzia jej się zamykała. Włosy zawsze miała w nieładzie, nie obchodziło jej, co ma na sobie i czy ubranie jest czyste. Madame Merlin mawiała, że wdała się w swoją ciotkę Solange.

Plum nie potrafiła wyrzucić Paula z myśli. Rozmawiając z jego matką zawsze próbowała skierować pogawędkę na interesujący ją obiekt. Tym sposobem usłyszała wiele historii z dzieciństwa Paula, obejrzała niezliczone fotografie szkolne (Paul jako pierwszy z rodziny poszedł na uniwersytet), zdjęcia ślubne (rzeczywiście, Annie była bardzo piękna) i fotografie bliźniaczek z ich pobytu w Paryżu. Madame Merlin, która nigdy przedtem nie miała tak wdzięcznej słuchaczki, nie podejrzewała, jakie motywy kierują malarką. A Plum bardzo się obawiała, że stara kobieta wyczuje erotyczny magnetyzm, który zaczął rządzić tymi dość irracjonalnymi poczynaniami.

Poniedziałek, 13 kwietnia 1992

Do soboty Plum wydobrzała na tyle, by zabrać się do naprawiania roweru, a w poniedziałek zaryzykowała rowerową wyprawę do oddalonego o osiem kilometrów miasteczka Miramont. Spacerowała jego ulicami, smakując poczucie przynależności do małej społeczności. Poniedziałek był dniem

targowym. Ludzie zjeżdżali na rynek samochodami, półciązarówkami albo szli pieszo, pchając przed sobą wózki. Przywozili ze sobą wszystko, co stanowiło nadwyżkę ich własnych potrzeb, nawet jeśli sprowadzała się ona do kilku nędżnych marchewek.

Część rynku, przeznaczona na handel artykułami spożywczymi, składała się z prostych stoisk - desek podpartych ceglami - ulokowanych pod kolumnadą średniowiecznego ratusza. Budynek dawał skuteczną osłonę przed wiatrem i deszczem. Sprzedawczynie mogły spokojnie siedzieć na stołkach przed swoim towarem: kilkoma wiechciami porów wykopanych w ogródku dwie godziny wcześniej albo tacą z pikantnym okrągłym serem. Żywe kurczaki, kaczkę, indyki i szamoczące się króliki spoglądały na świat z wnętrza klatek albo leżały na stołach ze skrępowanymi nogami. Tutejsi ludzie jeszcze do niedawna nie wiedzieli, co to sklep mięsny. Hodowali własne zwierzęta i sami dokonywali uboju.

Plum zakupiła kilka delikatesów, które nigdy nie pojawiały się w sklepach: rzadkie gatunki grzybów, świeże orzechy włoskie i laskowe, olej z orzechów włoskich do sałatek, bryndzę, zioła, domowej roboty ciasteczka dla córeczek Paula i wiejski chleb. Z rynku poszła wzdłuż murów miasteczka, wzniesionego w średniowieczu na planie kwadratu i mającego za zadanie chronić mieszkańców przed niespodziewaną napaścią. Dziś w uliczkach przylegających do murów znajdowały się stragany ze starymi dywanami, antycznymi meblami i zastawą.

W godzinę wybrała dla siebie kilim, dużą staromodną lampę oliwną, fotelik i dwa zabytkowe prześcieradła, ręcznie wyszywane przez wiejskie dziewczęta, które nie mając wieczorami nic do roboty zajmowały dłonie haftem, a myśli marzeniami o szczęśliwym zamążpójściu. W dzisiejszych czasach dziewczęta wieczorami oglądają telewizję i zadowolają się zwykłymi, gładkimi prześcieradłami, łatwymi w praniu.

Plum oddała zakupy na przechowanie w lokalnej kawiarence. Pożałowała, że przyjechała na targ rowerem. Nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do domu, zostawić rower i przyjechać po zakupy samochodem. Ponownie weszła w ludzką cizbę na rynku, gdzie z otwartych półciązarówek, jeżdżących od targu do targu, sprzedawano ubrania, tanie obuwie, narzędzia i drobiazgi dla domu.

Gdy przeszła przez cały plac i dotarła do miejsca, gdzie zostawiła rower, głośnie syrena oznajmiła nadejście południa. Był to sygnał, po którym w miasteczku na trzy godziny zamierało życie. Każdy miał czas na obiad i poobiednią drzemkę. Wieśniacy w towarzystwie żon podążyli w stronę kawiarni, by przed udaniem się do domów na gigantyczny obiad wymienić przy szklaneczce *pastisu* lokalne plotki. Południowo-Zachodnie regiony Francji słynęły z wymienionej kuchni. Każdy Francuz wie, że „w pobliżu Bordeaux można dobrze zjeść!”

Usłyszała czyjś głos, wołający ją po imieniu. Od stolika w kawiarni machał do niej uśmiechnięty Paul Merlin. Na widok tego uwodzicielskiego uśmiechu

serce Plum mocniej zabiło, ciało stało się lekkie jak mgielka i zdawało się płynąć nad kocimi łbami bruku.

Popijając gorącą kawę cieszyła się, że Paul nie może czytać w jej myślach. Myślała bowiem tylko o jednym: jak wyglądałby Paul bez najmniejszego skrawka ubrania? Jakże chciała ujrzeć jego silne, smukłe nogi, jakże chciała poczuć pod palcami jego opalone, muskularne ramiona, sprawdzić jak gęste włosy rosną na jego piersi i czy biegną w dół aż ku... Pośpiesznie wskazała palcem leżący na stole przed mężczyzną pakunek:

- Co kupiłeś?

- Musiałem kupić papier do szkoły. Przy okazji kupiłem też grzyby i miód. Specjalnie wybieram coś, czego nie robi moja matka. Nie śmiałbym...

Opowiedział, że ostatnimi czasy potrawy będące specjalnością tych stron stały się bardzo modne: delikacje, które sam kupił przed chwilą, wędzona domowym sposobem szynka, *pates*, konserwy z mięsem kaczki albo gęsi, sos czosnkowy oraz inne pikantne potrawy posyłano obecnie wprost do Paryża. Specjalne sery rodzinne wytwarzane w Valvert, niegdyś osiągalne wyłącznie na targu w Miramont, teraz można nabyć w Londynie, Nowym Jorku lub Tokio.

- Częściowo z powodu tego zainteresowania tutejszą kuchnią stało się coś zabawnego - mówił Paul, dając znać kelnerowi, że chciałby otrzymać rachunek. - Nasz wrodzony upór, typowa dla chłopstwa niechęć do zmian, przywiązanie do starych zwyczajów, czyli wszystko, z czego się dawniej wyśmiewano, nagle zaczęto postrzegać jako narodową zaletę! Dziś ludzie mieszkający w brudnych, niebezpiecznych miastach nie gardzą już naszym prostym życiem. Przeciwnie, chcieliby żyć jak my! - Pokazał zakupione przez Plum przedmioty i wciąż z tym samym uwodzicielskim uśmiechem zaproponował: - Może cię podrzucić? Mam renault espace. To duży samochód. Wiesz, dla dzieci... Zmieści się nawet twój rower.

Czy ten uśmiech oznaczał zaproszenie? Może Paul Merlin uśmiechał się tak do każdego. A jeśli jednak ten zmysłowy, rozpalający ją uśmiech był przeznaczony wyłącznie dla niej? Czy Paul wciąż myślał o swojej zmarłej żonie, czy też jego matka miała tylko złudzenia? Może naprzeciw niej siedział miejscowy Don Juan?

Postanowiła w drodze do Valvert wysondować Paula Merlina.

- Przykro mi z powodu twojej żony - zaczęła przytłumionym głosem.

W jednej chwili twarz Paula stężała.

- Pewnie rozmawiałś z moją matką. Ona znakomicie rozumie otchłan tego nieszczęścia, lecz nie pojmuję, że po śmierci Annie patrzę na życie zupełnie inaczej i czego innego od niego oczekuję.

- Twoja matka powiedziała tylko, że straciłeś złudzenia i wpadłeś w rozpacz - odrzekła nieśmiało.

Załowała, iż dała się ponieść emocjom. Nie powinna poruszać tego tematu. Czy jednak omijanie go nie byłoby jeszcze gorsze?

Przez kilkadziesiąt sekund jechali w milczeniu. Kiedy Paul znowu przemówił, jego głos był spokojny i opanowany. Zupełnie, jakby sam sobie chciał coś wytłumaczyć.

- Kiedy wyjechaliśmy z Annie do Paryża, wydawało się nam, że spełniają się nasze marzenia. Kochaliśmy to miasto. Wieczorami snuliśmy się po jego ulicach i kupowaliśmy mnóstwo różnych rzeczy, które tak naprawdę wcale nam nie były potrzebne. A potem, gdy Annie zginęła, straciłem nie tylko ją, ale i nasz wymarzony dom. Bez zarobków Annie nie byłem w stanie opłacić czynszu za nasze paryskie mieszkanie.

Z bocznej drogi wyjechał traktor. Paul gwałtownie przyhamował.

- Nagle przywały mi problemy. Walily się na mnie jeden za drugim, aż w końcu uświadomiłem sobie, że większość z nich stwarzam sam przez własną głupotę. Nagle zrozumiałem, że nasze życie w Paryżu było idiotycznie kosztowne i dziecięco naiwne. Może odrobinę zaślepiła nas chciwość. - Wyprzedził traktor i dokończył: - Dojrzałem, że za urzekającą woalką Paryża skrywają się niepokój, niezadowolenie i niepewność jutra. Nabrałem pewności, że nie należę do tego miejsca. Byłem tam obcy.

- Czasem czuję się podobnie na eleganckich przyjęciach w wielkich miastach - rzekła Plum - zwłaszcza gdy jestem w towarzystwie jakichś pustogłowych wiecznych balowników.

- Kogo? Któż to taki?

- To bogaci ludzie, którzy spędzają życie na nieustających wakacjach. Ciekawa jestem, jak wygląda ich odpoczynek od tego nieustającego odpoczynku? Prawie nie wychodzą z samolotu. Kobiety kupują modne ciuchy latając z Genewy do Portofino, stamtąd do Mediolanu i dalej, do Paryża. Zimą na narty wybierają się do Saint Moritz, a gdy im się znudzi, przenoszą się do Aspen. W maju wszyscy spotykają się w Monako na wyścigu Grand Prix formuły pierwszej, a potem mały skok do Londynu, skąd najlepiej wybrać się do Saint Tropez, gdzie można poszaleć na łodziach motorowych albo poskakać ze spadochronem i deską surfingową. Jachty trzymają w Costa Smeralda. Dwunastego sierpnia są już w Szkocji, gdzie mogą do woli polować lub łowić ryby. Potem wracają do Monako na bal dobroczynny na rzecz Czerwonego Krzyża, skąd lecą na zakupy do Nowego Jorku... Ja nigdy nie wiem, jak z nimi rozmawiać. Czuję, że do nich nie pasuję.

- Zaznałem spokoju dopiero po powrocie do Valvert, tej naszej oazy samowystarczalności. Chociaż nie przesadzamy z tą samowystarczalnością.

- Rzeczywiście. To musi być wielka wygoda trzymać rower w bagażniku samochodu.

Paul roześmiał się.

- Nawet Thoreau musiałyby się z tobą zgodzić.

- Kim jest ten Thoreau?

- Moja mała dzikusko, czego was uczą w waszych brytyjskich szkołach? -

Przygnębienie opuściło go na dobre. Wesoło kontynuował: - Thoreau był bardzo praktycznym Jankesem, dziewiętnastowiecznym naturalistą i pisarzem. Jeśli chcesz wieść żywot samowystarczalnego człowieka, musisz zmienić swoje myślenie. Thoreau mógłby ci powiedzieć, jak to osiągnąć.

- Jak on żył?

- W lesie, w chacie, którą sam zbudował. Uprościł swoje życie, jak tylko było to możliwe, ograniczył je do tego, co konieczne do przetrwania. W ten sposób miał więcej czasu na samo życie. - Dojeżdżali już do skrzyżowania przy szkole. - Przewidział napięcia, jakie pojawią się we współczesnej Ameryce. To właśnie Thoreau powiedział, że większość ludzi żyje w cichej desperacji.

- Nie wydaje mi się, żeby był popularny.

- Lektura Thoreau bardzo mi pomogła po śmierci Annie. Od nowa rozważyłem motywy wszystkich moich działań, zastanowiłem się nad wszystkim, w co dawniej wierzyłem. Próbowałem wymyślić, co mam dalej począć z własnym życiem. - Spojrzał na Plum z nikłym uśmiechem, tłącym się w kącikach ust. - Najprostszym sposobem na osiągnięcie zadowolenia z życia jest maksymalne jego uproszczenie. Mnóstwo ludzi przygotowuje się do życia zamiast żyć w sposób właściwy.

- Moja ciotka Harriet powiedziała kiedyś coś bardzo podobnego. Twierdzi, że szczęście jest stanem umysłu.

- To, co cenimy w Valvert, to właśnie stany umysłu, a nie rzeczy. - Ostatnie słowo wypowiedział z nad wyraz czytelną pogardą. - Chcemy być jak dzieci, które każdego ranka w momencie przebudzenia powinny czuć się szczęśliwe, kochane, bezpieczne, w zgodzie z całym światem.

- Co masz na myśli mówiąc rzeczy? - spytała, oglądając się na zakupione w Miramont przedmioty.

- Rzeczą jest to, o czym ludzie twierdzą, że ich uszczęśliwia: samochód, dom, wakacje, bilet na przelot dokądś... Odbicie naszego materializmu.

- Thoreau mógł spokojnie obejść się bez samochodu, wideo czy instalacji wodociągowej, ale ja nie jestem na to przygotowana.

- Och, nie jestem przeciwnikiem tych rzeczy. Jestem tylko przeciwnikiem myślenia, że mogą one nas uszczęśliwić. Obejrzyj jakąkolwiek reklamę w telewizji; zrozumiesz, o czym mówię.

- Przestań, chyba nie chcesz powiedzieć, że żyjemy za karę! - zażartowała.

- Rzeczy to nie wszystko, co daje nam fałszywe pojęcie o szczęściu - powiedział ze smutkiem Paul. - Oczekujesz, że awans w pracy albo romans

dadzą ci szczęście. Jednak romans może zakończyć się bolesnym zawodem, natomiast awans może prowadzić do ataku serca. Gdzie tutaj szczęście?

- Praca może dać dużo szczęścia, dopóki nie dominuje nad twoim życiem. Słyszałam też, że romans potrafi być całkiem przyjemną sprawą. - Uśmiechnęła się. - Wszystko wymaga czasu.

Mijali przyszkolny plac zabaw. Do wnętrza samochodu dostały się radosne okrzyki rozbawionej dziatwy. Paul wyciągnął szyję, by spojrzeć w stronę hałasu.

- Zdecydowałem, że wrócę na wieś, bo chciałem prowadzić spokojniejsze życie, w wolniejszym tempie. Chciałem obserwować, jak moje dzieci rosną w zdrowym, naturalnym otoczeniu.

- Mądry wybór.

- Nie każdy tak myśli. Nauczanie dzieci w wiejskiej szkole traktowane jest jako nieopłacalne zajęcie bez przyszłości. Jednak na proste, wiejskie życie nie potrzeba wiele pieniędzy. Poza tym przekonałem się, że pieniądze nie mogą dać poczucia bezpieczeństwa. Takie poczucie może dać tylko wiedza, jak sobie poradzić bez nich. A tu, w Valvert, jesteśmy w tym prawdziwymi ekspertami. Dobrobyt to u nas stan umysłu, a nie konta bankowego. Życie jest tak proste, jak prostym je uczynimy.

- Nauczanie to wdzięczny zawód - powiedziała Plum. Samochód zatrzymał się tuż obok jej obórki.

- O, tak! Co roku kształtuję piętnaście młodych umysłów. Jeśli pożyję jeszcze czterdzieści lat, to przez całe życie uda mi się ukształtować sześćset takich umysłów. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Dzieci nigdy nie zapominają dobrego nauczyciela. Można rzec, iż nauczyciele żyją dalej w ich umysłach. Sześć setek pamiętających mnie umysłów wystarczy, by zapewnić mi nieśmiertelność.

- Mogę zaprosić cię na lunch?

Pokręcił głową.

- Muszę wracać do szkoły. - Na jego twarzy znowu zagościł cień uśmiechu.

- Poza tym, gdybym przestąpił próg twojego domu, cała wieś natychmiast przyjełaby do wiadomości, że mamy namiętny romans.

„Gdybyż to była prawda!” - pomyślała Plum, patrząc na odjeżdżający samochód.

Jednak renault espace zahamował po kilkunastu metrach. Paul cofnął pojazd i zatrzymawszy się w tym samym miejscu powiedział:

- Wszystko zależy od ciebie.

To krótkie zdanie sprawiło, że zającąc na werandzie omlet z serem zaczęła zastanawiać się, o której godzinie bliźniaczki kładą się do łóżka. Nie miała wątpliwości - jeśli chciała być z Paulem sam na sam, musiała pójść do jego domu. Czy nie to właśnie chciał jej powiedzieć? A może niepotrzebnie robiła sobie nadzieję? Może z tych kilku słów wyciągała zbyt daleko idące wnioski?

O ósmej wieczorem stała w różowej sypialni i przeglądała się w lustrze wbudowanym w drzwi szafy. Wyglądała na wypoczętą i zdrową. Zniknęły bez śladu czarne cienie spod oczu, błyszczące rude włosy kontrastowały z bladą karnacją skóry. Miała na sobie granatowe legginsy i luźny sweter w hiacyntowym kolorze, dobranym do barwy jej oczu.

Wzięła z kuchni koszyk na kwiaty, sekator i wyruszyła w kierunku skrzyżowania. Wprawdzie była to dość dziwna pora na spacer połączony ze zbieraniem kwiatów, ale wciąż jeszcze było widno, a Anglicy przecież słyną z ekscentryczności. Wybierała się piechotą, gdyż wołała nie zostawiać przed szkołą roweru albo swojego Citroëna.

Schodząc ze wzgórza ku stojącym rzędem wysokim kasztanowcom, walczyła z ogarniającą ją nerwowością. Czuła się winna? Oczywiście, że tak! Dlatego próbowała przypomnieć sobie te straszne godziny, gdy czekała na Breeze'a, zabawiającego się w „Claridges” z tą dziwką z Argentyny. Starła się wyrzucić z pamięci ból i cierpienia, jakich doznała po odkryciu niewierności męża, wciąż jednak rozważała w myślach gładkie wyjaśnienia, których używał do usprawiedliwienia własnego cudzołóstwa. Te wyjaśnienia mogły jej się teraz przydać.

Może jednak Paul nie był zainteresowany tą, jak sam się wyraził, niedouczoną angielską dzikuską. Może nadal oplakuje żonę, Madame Merlin bez końca potrafiła opowiadać o urodzie Annie. Cholera! Na ślubnej fotografii wyglądała jak księżniczka Monako, Grace. Według Madame Merlin urok Annie był *legendaire*. Ponadto Annie słynęła z dobroci serca, była najprawdziwszą chodzącą świętością. A jaka inteligentna, to wprost *incroyable*. To było nie w porządku: jak mogła konkurować z kobietą, która prędzej czy później będzie kanonizowana?

Nagle pochłodziło. Plum przeszła pod kasztanami. Zmierając ku szarym drzwiom szkoły powtarzała sobie, że staroświecka moralność nie ma we współczesnym świecie zastosowania. Jeśli Breeze oceniał ją wedle własnych zasad, najprawdopodobniej nie uwierzyłby, iż odkąd są małżeństwem, nie spała z innym mężczyzną.

Unosiła dłoń do mosiężnej kołatki, gdy nagle drzwi otworzyły się i utonęła w głębinie przepastnych oczu Paula Merlina. Była bezsilna wobec magicznej mocy jego zniwalającego uśmiechu, który zmniejszał jej iloraz inteligencji o jakieś osiemdziesiąt punktów.

- Już zastanawiałem się, czy w ogóle przyjdiesz - rzekł, wyjmując jej z ręki koszyczek.

Każde z nich zrobiło niepewny krok naprzód, by potem gwałtownie przyłgnąć do siebie. Stali na progu, doskonale widoczni z drogi, lecz nie byli w stanie o tym myśleć. Jakaś magnetyczna siła popychała ich ku sobie.

Bezradnie tulili się do siebie, ciało przy ciele, oplątani ramionami, niezdolni poruszyć się lub przemówić. W pewnej chwili Plum poczuła dotyk gorących, miękkich warg na szyi, za uchem, na policzku.

- Drzwi... - wymruczał Paul.

Powłócząc nogami skierował się w głąb przedsionka, a jej ciało podążyło razem z nim, niczym przymocowana do jego stóp lalka naturalnych rozmiarów, jak we francuskiej pantomimie w tańcu pierrotta. Tylko że jej ciało nie było bezwolną, wypchaną lalką; wprost wibrowało życiodajną energią. Takiego jej natężenia nie zaznała od lat! Czowała napierające na nią ciało Paula, czuła wbijający się w jej brzuch wielki członek mężczyzny.

Nie mogła zrobić kroku o własnych siłach. Gdyby spróbowała, nogi ugięłyby się pod nią i runęłyby na podłogę. Nogi Paula także drżały. Tors mężczyzny ocierał się o jej piersi, czuła na plecach jego silne dłonie, jakby znajdowała się w objęciach kształtującego ją rzeźbiarza. Narastało w niej słodkie, zamraczające podniecenie. Ułożyła dłonie na twardych pośladkach Paula. Wdychała zapach samczego podniecenia, nie tłumiony przez żadne wody po goleniu i dezodoranty, nieomylnie zmysłowy zapach krzepkiego, silnie podnieconego mężczyzny.

Zmienił pozycję, wsunął jedną dłoń pomiędzy jej uda, wciskając obcisłe bawełniane legginsy w jej szczelinę. Plum podskoczyła i zasyczała.

- Zabolą? - wyszeptał Paul.

- Nie, nie! - Dyszała z rozkoszy. - Nie przerywaj. Proszę, nie przerywaj! - Jego dłoń brnęła dalej. - Nie mogę...

- Ależ możesz! - zaprotestował gwałtownie.

- Nie! - Ugięły się pod nią nogi. - Nie zniosę tego!

Nie chcieli ani na moment rozluźniać uścisku, lecz jednocześnie pragnęli nagości. Plum pierwsza chwyciła koszulę Paula i drżącymi palcami zaczęła ją rozpinać.

- Zdejmuj! - syczała przy tym. - Zdejmuj!

Mimo najlepszych chęci nie potrafiła poradzić sobie z guzikami, więc Paul musiał sam zrzucić z siebie ubranie. Plum owiała fala podniecającego gorąca, poczuła zapach potu, aż zakreśliło jej się w głowie. Czubkiem języka dotknęła wilgotnych, kręconych włosów: były kwaskowate, smakowały zakaznym owocem.

Długie, zwinne palce Paula dostały się pod jej sweter. Powolnymi ruchami zaczął ugniatać piersi, pieścić je zmysłowymi, okrężnymi ruchami, by potem delikatnie ścisnąć w palcach sztywniejące sutki. Plum wydała z siebie rozkoszne westchnienie. Szybkim, zdecydowanym ruchem zdjęła sweter.

- Nie wytrzymam dłużej - wymruczał Paul, przyciągając biodra partnerki do własnego ciała. - Chcę ucałować każdy centymetr twojej skóry - szeptał, unosząc ją w ramiona - chcę poznać twój intymny zapach, zbadać każdą

szczelinę, sprawdzić, jak smakujesz. Pragnę poznać twoje ciało: czuć je pod palcami, wąchać, smakować.

Przeszedł ciemnym korytarzem, otworzył nogą drzwi i ułożył Plum na łóżku. Uniósł w górę jej biodra i zdarł z nóg legginsy.

- Chcę czuć twoje nagie ciało... - deklamował, pozbywając się dżinsów.

Nie było gry wstępnej. Plum nie dbała o to, czy osiągnie szczyt - pragnęła tylko poczuć Paula w sobie jak najgłębiej, jak najsilniej.

Leżąc pod nim, objęła ramionami jego muskularne ciało. Przesuwała dłonie w dół pleców, aż jej palce zanurzyły się w rozcięciu na końcu kręgosłupa, rozdzielającym prężne pośladki. Krzyknęła z rozkoszy, gdy poczuła wchodzący w jej ciało członek. Ten, kto mówił, iż wielkość nie ma znaczenia, musiał być mężczyzną. Ogromny, pulsujący narząd wsuwał się w nią milimetr po milimetrze, aż wypełnił ją całkowicie. Byli połączeni ze sobą tak ściśle, tak doskonale jak syjamskie bliźnięta. Kiedy ciało Paula opadło na nią, nie była w stanie kontrolować własnych reakcji.

W ich zmysłach rozszalały się fale namiętności, szalone, potężne, nie kontrolowane, niczym grzywacze na wzburzonym sztormem Atlantyku. Byli parą cielesnych tancerzy, wykonujących skomplikowany, erotyczny taniec, lecz odgadywali kolejny krok partnera, przewidywali następne posunięcie, jakby byli kochankami od wielu lat. Plum usłyszała swój własny, przeciągły jęk. Zdała sobie sprawę, że za chwilę pochłonie ją nawałnica orgazmu.

Paul osiągnął szczyt, dobywając z siebie przytłumione wycie, zwiększając jeszcze rozkosz partnerki.

Już po wszystkich leżeli obok siebie, w białej pościeli, skapani w łagodnym księżycowym świetle.

Co to? - Plum podniosła małą, oprawioną w cielecą skórę książeczkę, leżącą w kręgu światła, rzuconym przez zamontowaną przy łóżku nocną lampkę.

- Poezje Ausoniusa z Bordeaux, pochodzą z czwartego wieku.

Plum otworzyła książeczkę na przypadkowej stronie i powoli dobierając słowa, przetłumaczyła:

- „Żadne czasu korytarze nie postarzą naszych serc; na zawsze pozostanę twym młodym kochankiem, moja ty śliczna narzeczono”.

- Ubóstwiał swoją żonę Sabinę. Umarła bardzo młodo. Ausonius opłakiwał ją przez czterdzieści lat.

Spojrzała na jego twarz. Był blady, poważny, zasmucony. Traciła nadzieję, czy jest w stanie konkurować z miłością do pięknej, młodej „narzeczony”, która zmarła tragiczną śmiercią.

Rozdział dwudziesty drugi

Niedziela, 19 kwietnia 1992

W Niedzielę Wielkanocną, przed uroczystym, świątecznym obiadem, wszyscy mężczyźni w rodzinie Merlinów zasiedli z Plum przed szerokim na trzy metry kominkiem w kuchni - miejscem, wokół którego toczyło się całe życie chłopskiej rodziny - aby wypić tradycyjny, domowej roboty *aperitif*. Był wśród nich Roland, mąż Solange jak inni pracujący na farmie. Rozumiało się samo przez się, że po śmierci ojca Solange farma przejdzie właśnie w jej ręce. Razem z Rolandem pożyczyc pieniądze, a potem spłaci brata i siostrę, zgodnie z napoleońskim prawem równego podziału spadku.

Plum miała na sobie jedwabną ciemnopomarańczową minisukienkę, rozmyślnie zapiętą aż po szyję. Miała nadzieję, że nikt nie dostrzeże erotycznych więzi, napiętych jak struny w skrzypcach, łączących ją z Paulem. Były jednak chwile, gdy sądziła, iż nie można ich nie zauważyć. Jeżeli matka Paula nie połapie się w sytuacji, na pewno zrobi to Solange, przyzwyczajona do wyczuwania nastrojów zwierząt.

Chociaż na zewnątrz było ciepło i drzwi otwarto na oścież, ogień na kominku płonął jak w najzimniejsze zimowe wieczory, a nad polanami wisiał kocioł z gotującą się zupą. W długie zimowe wieczory cała rodzina zbierała się tutaj, by łupać orzechy, dzielić się plotkami albo opowiadać sobie historyjki przy szklaneczce wina lub *eau-de-vie*.

Podczas gdy grupa przed kominkiem osuszała kieliszki, madame Merlin i jej dwie córki krzątały się wokół pieca, co chwilę wchodząc i wychodząc z mrocznej spiżarni, wypełnionej skarbami, które oszołomiłyby każdą gospodynię domową. Na kamiennej podłodze stały poczemnione dębowe beczułki z soloną szynką, kiszonymi ogórkami, kapustą i cebulą. Półki nad beczkami zapelniały tajemniczo kolorowe szklane słoje, pełne zakonserwowanych owoców lub warzyw. Były wśród nich nawet słoiki ze śliwkami w brandy.

Z krokwi opadały ku podłodze sznury suszonych grzybów, olbrzymie pęta kiełbas i platy wędzonej szynki. W tym bajecznym sezamie nie mogło zabraknąć miejsca dla specjalnych kratownic, zabudowujących ścianę spiżarni od podłogi do sufitu, na których leżakowały butelki wina domowej produkcji, koniaku i bezbarwnej, zdradzieckiej *eau-de-vie*.

Siostra Paula, Mireille, kapral sił powietrznych Francji, na czas Świąt zamieniła mundur na żółte legginsy i obcisły sweter, o którym to stroju senior rodu wyraził się, że jest jawnym zaproszeniem do gwałtu. „Co za czasy nastąpiły! - mówił. - Dziewczyny wychodzą na ulicę w bieliznie!”

Ojciec Paula piastował urząd mera okręgu od czasów, gdy Plum przybyła do Valvert po raz pierwszy. Wprawdzie przepisy określały, że stanowisko to powinno być zwalniane po upływie siedmiu lat, lecz nikt w Valvert nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł zastąpić monsieur Merlina - który był postarzałą, ogorzałą wersją syna - tak sumiennie wywiązującego się ze swoich obowiązków.

Mireille łagodnie zawołała bliźniaczki z drugiego końca kuchni, ale dziewczynki zignorowały wezwanie i nadal opierały się o kolana dziadka. Wtedy Mireille wydała rozkaz. Na jej okrzyk wszyscy obecni w kuchni podskoczyli w górę. Bliźniaczkom nie trzeba było powtarzać: posłusznie podreptały umyć ręce przed jedzeniem.

W 1981 roku Valvert po raz drugi doświadczyło dobrodziejstw postępu cywilizacyjnego: wieś została skanalizowana, do domostw doprowadzono bieżącą wodę. Rok później madame Merlin urządziła w swoim domu pierwszą we wsi nowoczesną łazienkę, wykładaną różowymi kafelkami. Od tej pory kobiety nie dawały mężom spokoju, aż w 1990 roku każdy dom posiadał równie szykowną łazienkę.

Kiedy kościelne dzwony wybiły godzinę dwunastą, rodzina Merlinów zasiadła do stołu. Świąteczny obiad składał się wyłącznie z dań domowej kuchni. Zaczęło się od *foie gras* i świeżo pieczonego chleba. Potem na stole pojawiła się zielona sałata z orzechami włoskimi, zalana oliwką z tychże orzechów, pieczony łosoś w majonezie oraz kaczka z rusztu w towarzystwie młodych ziemniaczków, cebulki i rzodkiewek. Następnie podano wielki wybór serów domowej produkcji. Na koniec - zgodnie ze starofrancuskim zwyczajem - madame Merlin zaserwowała ciasto z mirabelek, obficie nasączone alkoholem. Obok ustawiła garnuszek z gęstą śmietaną, smakowitym dodatkiem do owocowego placka.

Po posiłku monsieur Merlin uroczyście rozlał do kieliszków koniak, wyprodukowany równo sto lat wcześniej przez jego przodków. Ta piękna tradycja wciąż była podtrzymywana: każdego roku monsieur Merlin odkładał na leżaki dla następnych pokoleń tuzin butelek *eau-de-vie* własnej roboty.

Ostatecznie obiad zakończył się o piątej po południu.

Gdy wyszli na zewnątrz, bliźniaczki Paula podbiegły do Plum i odciągnęły ją na bok.

- To pani nauczyła tatę pływać, prawda? - wyszeptwała konspiracyjnie Marie.

Plum uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak uczyła Paula przetrwać strach przed wodą.

- Dlaczego się pani śmieje? - rzuciła z wymówką Marie.

- Bo była to naprawdę doskonała zabawa.

- Nas też pani nauczy? - spytała nieśmiało Rose.

- Oczywiście. Potem będziemy mogli wszyscy razem grać w piłkę wodną.

Bliźniaczki rozpromieniły się.

Plum przykłękała na trawie i objęła ramionami obie dziewczynki. Nie spodziewała się, nie śmiała marzyć, że bliźniaczki tak łatwo ją zaakceptują.

Jak zwykle, gdy tylko zapadły ciemności, Plum pobiegła do nauczycielskiego domu.

Paul bez słów zamknął ją w ramionach, unosząc z podłogi i przyciskając do szerokiej piersi. Zsunęła z nóg pantofle, wysliznęła się z uścisku i stanęła na palcach na stopach mężczyzny. Stało się to już ich miłosnym zwyczajem. Paul ruszył teraz małymi krokami, nie wypuszczając jej z objęć, w absolutnej ciszy pokonując odcinek korytarza dzielący frontowe drzwi od jego sypialni.

- Myślę, że twoja siostra, Solange, domyśla się - wyszeptala mu wprost do ucha.

- Kogo to obchodzi? - Wtulił nos w jej kark. - Chcesz wiedzieć, co chciałbym na świąteczny obiad? Chciałbym położyć cię na stole, wlać do twojego pępka stuletni koniak, patrzeć jak spływa w twoje łono, a potem dokładnie go zlizać.

- Co by powiedział twój ojciec?

- Że to marnotrawstwo doskonałej brandy. Dorzuciłby też, że nie powinienem mieszać przyjemności.

Kochali się w powolnym, sennym rytmie.

Plum zapadła w sen z błogą świadomością, że kiedy się obudzi, wciąż będzie w ramionach Paula. Przy nim nie czuła się psychicznie lub fizycznie zagrożona. Nie czuła presji, by robić coś wbrew własnej woli, w imię wielkiej kariery, nie czuła przymusu odgrywania roli, która jej nie bawiła. Kariera, sukces, powodzenie... Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Czy Paul osiągnął sukces? Czy ją to obchodziło? Nie!

Nie obchodziło jej, czy przekonania Paula są użyteczne i przynoszą konkretne korzyści. Wiedziała, że kiedy jest z nim, czuje się szczęśliwa. Pragnęła dzielić z nim to bliskie naturze życie. Nigdy nie czuła się tak dobrze

jak po przyjeździe do Valvert. Instynktownie wyczuwała, że trafiła na dobrą drogę, choć jeszcze nie wiedziała, dokąd droga ta prowadzi.

Przylgnęła do nagiego ciała mężczyzny i z wolna odpłynęła w świat sennych marzeń.

Nagle obudziła się. Leżała na plecach. Przez koronkowe zasłony przenikała do wnętrza sypialni srebrzysta, księżycowa poświata, malująca na jej nagim ciele skomplikowany, niewyraźny wzór. Zasłony lekko falowały, poruszane przez chłodny, nocny wietrzyk.

Nie miała wątpliwości - w pokoju znajdował się ktoś trzeci.

Paul, także zupełnie nagi, poruszył się u jej boku. Mamrocząc coś przez sen wyciągnął ku niej dłoń. Leżała czujna, z nerwami napiętymi jak postronki, czując, jak smukłe palce mężczyzny zaczynają bawić się jej sutką. Ciało zareagowało na ten dotyk seksualnym podnieceniem, mimo że umysł zanurzał się w fali strachu. Serce biło coraz mocniej pod ciepłą dłonią Paula, krew ogłuszająco pulsowała w skroniach. Plum starała się oddychać lekko i swobodnie.

Paul mruzczał jakieś czule słówka. Jego ręka pieściła piersi, potem brzuch, z każdym okrężnym ruchem opadała coraz niżej, aż w końcu dłoń nakryła wgłówek łonowy i rozpoczęła systematyczny masaż kręconych włosów.

Plum skamieniała z przerażenia, gdy raptem usłyszała:

- Tato...

Paul natychmiast otworzył szeroko oczy, wyskoczył z łóżka, dopadł drzwi i porwał w ramiona drobną figurkę w białej koszuli. Szepcząc dziecku do ucha kojące słowa, zniknął za drzwiami wychodzącymi na korytarz.

Plum rozluźniła się. A potem zaczęła cichutko płakać.

Paul bezszelestnie wrócił do sypialni i wsunął się do łóżka.

- Rose chciała tylko napić się wody. Często budzą mnie w środku nocy, może po to, by upewnić się, że wciąż tu jestem. - Objął Plum. - Nie płacz. Powinienem pamiętać o zamknięciu drzwi. Dzięki Bogu, że cię nie zobaczyła.

- Co byłoby w tym strasznego?

- Rose mogła się przerazić, nabawić poważnego urazu... Obie nadal dobrze pamiętają swoją mamę... - Ostatnie słowa wypowiedział smutnym tonem, ale zaraz dodał rzeczowo: - Na pewno dowiedziałaby się moja matka, a przez plac zabaw plotki rozniosłyby się na całą wieś. A Valvert to nie Saint Tropez, rozumiesz... nauczyciel z małej wioski nie powinien mieć romansu z mężatką.

Plum, zawstydzona i upokorzona, nagle poczuła, że znajduje się w łóżku ze świadomie uwiedzionym mężem innej kobiety. Ale przecież to nie było tak! Nie powinna czuć się winna! Ten drobny incydent wskazywał, jakie uczucia żywi Paul. Mieli romans, tylko romans. Nic więcej. Zupełnie nic.

Sobota, 25 kwietnia 1992

Zatoka Arcachon to obszar wspaniałych wydm i gęstego sosnowego lasu, oddzielanych od rozszalałego - czasem - Oceanu Atlantyckiego szerokim pasmem piaszczystych plaż.

Paul zaparkował samochód na skraju lasu i na plażę poszli piechotą. Plum niosła koszyk z prowiantem, Paul materac z łóżka, magnetofon i dwie butelki wina, w specjalnej torbie, którą będzie można zatopić w wodzie, tuż przy brzegu, aby wino było schłodzone przed lunchem. Powoli szli po dywanie stworzonym przez opadłe z drzew suche, brązowe igiełki, rozsiewające w powietrzu ostry, orzeźwiający zapach, który mieszał się ze słonawym zapachem morza i wilgotnego piasku.

Zatrzymali się na szczycie wydm, za ostatnią sosną w pasie drzew, przed stromym piaszczystym stokiem. W dole otwierała się przed nimi szeroka, płaska plaża wypełniona srebrnobiałym piaskiem, rozciągająca się na wiele kilometrów w obydwu kierunkach.

- Te tereny do niedawna były całkowicie niedostępne - rzekł Paul. - Nawet teraz przez większą część roku odwiedzają je wyłącznie mewy.

Z radosnymi okrzykami zbiegli po wydmie, poruszając się dziwnymi, niezgrabnymi skokami, gdyż stopy zapadały się głęboko w miękki piasek. Gdy dotarli na plażę, Paul znalazł idealne miejsce na materac, zagłębienie uformowane przez trzy spore wydmy. Schronienie dawało odrobinę intymności i osłaniało przed powiewami wiatru znad oceanu.

Paul pomachał do jedynej osoby w zasięgu wzroku, będącej tylko odległą figurką, ledwie wystającą ponad linię wodną. Figurka siedziała na czymś, co przypominało dwa kajaki złączone płócienną matą.

- To Robert. Pożyczmy sobie jego łódeczkę. Zakładaj kostium kąpielowy! To bardzo mokry sport!

- Ale ja nie umiem żeglować.

- Już wkrótce będziesz umiała.

Pół godziny później Plum wisiała na linie poza kadłubem łódki, podczas gdy żagłówek ślizgała się po falach.

- To bardziej przypomina pływanie niż żeglowanie! - krzyknęła. - O wiele zabawniejsze niż wiosłowanie w jakiejś nieruchawej łódeczce.

Czuła narastającą ekscytację, bliską erotycznemu podnieceniu. Łódź wciąż nabierała prędkości, niemal unosząc się w powietrze, ponad umykającą w tył spienioną wodą.

- Nieźle, co?

Paul uśmiechnął się szeroko.

Ta krótka chwila dekoncentracji wystarczyła, aby łódź wymknęła się spod kontroli i gwałtownie przechyliła się na burtę zajmowaną przez Plum. Słona

woda zalała jej ciało. Paul szybko poprawił żagiel i napał na sterownicę, aby skorygować kurs.

- Nie wolno dać morzu najmniejszej szansy - mruknął Paul. - Inaczej dopadnie ciebie... To zdradziecki żywioł.

Po dwóch kwadransach żeglowania Plum odważyła się przejąć stery.

- Patrz prosto przed siebie - tłumaczył Paul - i zawsze ustawiaj się plecami do wiatru. Możesz płynąć przed siebie, gdzie ci się zamarzy, pod warunkiem że masz wiatr w plecy. Aby skrócić w lewo, popychasz sterownicę w prawo, i na odwrót... Łagodnie... Teraz pokażę ci, jak halsować. Przed manewrem musisz nabrać prędkości, w przeciwnym razie łódź zakolysze się tylko na fali...

Kiedy nadeszła pora lunchu, Plum odczuwała głód, jakiego nie zaznała od dzieciństwa. Paul wyciągnął łódź na brzeg, zrzucił z siebie dzinsy, wyciągnął z wody butelki wina i nagi poszedł plażą ku ich przytulnemu gniazdku wśród wydm. Plum była odwrócona do niego tyłem. Wymowała z koszyka składniki lunchu, gdy nagle poczuła dłoń Paula, wślizgującą się pod jej mokry kostium kąpielowy.

Nadzy opadli na materac, skrywając się przed słonym wiatrem. Paul położył się na plecach; Plum dosiadła kochanka, wspierając się rękami na jego piersi, wbijając sztywny członek głęboko w swoje wnętrze. Poruszała się rytmicznie, metodycznie doprowadzając zmysły do białej gorączki, aż osiągnęła stan podobny do tego podczas żeglowania: stanowiła jedność z bezgranicznym oceanem i przepastnym błękitem nieba.

Z apetytem zajadali zimnego homara kupionego przez Paula w Arcachon, a potem bryndzę i sałatkę pomidorową z chrupiącym, długim na pół metra bochenkiem chleba. Na deser były winogrona. Na koniec wypili do ostatniej kropli zawartość butelki *Pouilly-Fume*.

Po posiłku wybrali się na spacer brzegiem oceanu. Plum była zachwycona. Suchy, rozgrzany piasek pieścił jej nagie stopy, wciskał się pomiędzy palce. Wyrzuciła ramiona w niebo i wykrzyczała wyznanie:

- Jestem taka szczęśliwa! - Raptem spoważniała i, zaskoczona własnymi myślami, zwróciła się do Paula: - Kiedy jestem z tobą, czuję się tak szczęśliwa jak wtedy, gdy maluję!

Aż do tej pory z rozmysłem unikała tego tematu. Chciała zapomnieć o presji związanej z pracą nad obrazami.

- W takim razie dlaczego nie malowałaś przez ostatnie dwa tygodnie? Nie wzięłaś do Francji pudełka z farbami?

Roześmiała się.

- Nie mogę malować tak sobie, w dowolnym miejscu. Używam **całych**

zestawów farb, pracując na wielkich płótnach, w specjalnej pracowni z drabinkami i folią na podłodze, żeby nie napaskudzić.

- Co malujesz? Portrety?

- Nie. Jestem abstrakcjonistką. - Zawahała się. Nie mogła dłużej tego odwiekać. Spojrzała prosto w błękitne oczy Paula. Starła się powiedzieć to w miarę łagodnie: - Paul, muszę przygotować się do wystawy w czerwcu, więc będę musiała wrócić do Wielkiej Brytanii... Jutro.

Paul stanął jak wryty.

- Dlaczego nie zostaniesz tutaj aż do czerwca?

- Bo muszę spotkać się z krytykami, zaliczyć kilka sesji zdjęciowych i wywiadów.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś sławna?

- Niezupełnie... No, może trochę... Malarze o mnie słyszeli.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem w łóżku ze znakomitością.

- Czy to coś zmienia?

Paul zastanowił się. Przeniósł spojrzenie na piasek pod nogami. Dużym palcem wykreślił literę „P”.

- Oczywiście - powiedział - że to coś zmienia. Znaczy to, że odchodzisz, a ja nie jestem w stanie o tym trzeźwo myśleć. - Położył dłonie na ramionach Plum i spojrzał jej głęboko w oczy. - Może powiesz, że nie powinienem wtykać nosa w twoje małżeństwo, ale zaczynam sądzić, iż powinienem to zrobić. - Dobrodusznym tonem zapytał: - Plum, jak ci się układa z mężem?

Plum milczała. Czyżby dotarli już do tego stadium? Miała wyrzuty sumienia, że rozmawia z kochankiem o swoim małżeństwie.

Była ciekawa, co Paul miał na myśli mówiąc, że powinien wetknąć nos w ich małżeństwo. Nie, nie może dopuścić do siebie takich myśli! Musi pozostawić sobie przynajmniej ciekawą skorupkę ochronną. Musi wciąż pamiętać, że Paul jest niewyobrażalnie seksownym Francuzem, fantastycznym kochankiem.

- Breeze i ja nie przeżywamy swojego życia, my je odgrywamy - powiedziała po namyśle. - Breeze traktuje mnie jak dziecko, a jakaś część mojej osoby uwielbia poczucie bezpieczeństwa. Teraz wiem, że pragnę być traktowana jak kobieta. Wiem też, że mogę jednocześnie mieć poczucie bezpieczeństwa.

- Więc twój mąż nie traktuje cię jak kobietę?

- Nie, traktuje mnie jak małżonkę. Szare gęsi mają jednego partnera na całe życie. Takiego małżeństwa chciałam.

- Twój mąż... Jest niewierny?

Plum skinęła głową.

- Chociaż nie wiedziałam o jego kobietach, wyczułam, że nasz związek się sypie. Breeze chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Uważał, iż jego miłosne podboje nie stanowią problemu, pod warunkiem że o niczym się nie dowiem. -

Popatrzyła na literę „P” na piasku i przekreśliła ją ruchem nogi. - A kiedy odkryłam jego zdradę, pojęłam, że w życiu mojego męża są miejsca stanowiące dla mnie obszar z tabliczką: „Wstęp wzbroniony”.

- Nigdy nie było to małżeństwo szarych gęsi?

Plum zaprzeczyła.

- Zawsze byliśmy bardzo zajęci. Byliśmy bardzo towarzyscy, bardzo wykwinłi, nie mieliśmy czasu na zastanawianie się nad sobą... Ale dobrze nam było ze sobą.

- A co teraz? Po tym, co zrobił?

Plum próbowała być równie szczerą wobec siebie, jak była szczerą wobec Paula.

- Dopóki nie przyłapałam go z inną kobietą, naprawdę go kochałam.

Bywały chwile, gdy miałam go dosyć, ale nie istnieje uczucie doskonale.

Wierz mi, chciałam mu przebaczyć, jednak... coś się zmieniło.

-Co?

- Zawsze byłam pełna nabożnego szacunku do niego. Jest wykształcony, pewny siebie, śmiały, bardzo poważany w świecie ludzi związanych ze sztuką. Teraz nie mam do niego za grosz szacunku.

Paul czekał. Wyczuł, że Angielka ma jeszcze wiele do powiedzenia.

- Jeszcze coś uległo zmianie - wyznała ze smutkiem. - Prawdziwa miłość, ta, do której wszyscy tęsknimy, polega na tym, że chcemy być z kimś bez względu na to, jaki on jest i co robi. Nie zależy mi już na mężu w taki sposób. - Cieplesze uczucia, które żywiła kiedyś do Breeze'a, rozwiały się jak poranna mgła w pierwszych promieniach słońca. - Gdy poruszyłam ten temat w rozmowie, usłyszałam, że namiętność może przetrwać zaledwie kilka lat. Potem romantyczna miłość powoli zamienia się w przyzwyczajenie, wzajemny szacunek.

- Wszystkie związki stale ulegają jakimś przemianom - powiedział Paul ostrożnie. - Dwoje ludzi może rozwijać się w różnych okresach czasu w różnym tempie. I nic nie trwa wiecznie. Jeśli chodzi o związek dwojga ludzi, to możesz być pewna tylko siebie samej. - Pochylił się i czule pocałował Plum w czubek nosa. - Powiedz mi, czy właśnie dlatego przyjechałaś do Valvert? Żeby przemyśleć te sprawy?

- Był to jeden z powodów.

- A inne?

Stała się czujna. Nie zdecydowała się opowiedzieć Paulowi o anonimach. Przyjdzie pora i na to.

- Kiedy zatrzymałam się u cioci Harriet, dotarło do mnie, że coś zginęło z mojego życia, coś bardzo ważnego. Nie wiedziałam tylko, co to takiego.

- Teraz już wiesz?

- Chcę odnaleźć siebie, przekonać się, kim tak naprawdę jestem. Do tej pory byłam przytłoczona narzucanymi mi rolami żony, matki, córki, malarki. Miałam nadzieję, że tu, w Valvert, dowiem się w końcu, o co w tym wszystkim

chodzi, do czego powinnam zmierzać. Chcę robić coś więcej, niż tylko odgrywać role i zarabiać pieniądze.

- Może przyjechałaś tu po jedno, a znalazłaś coś zupełnie innego.

Przynajmniej mam nadzieję, że tak się stało. Powiedzieć, co to takiego?

Kiwnęła głową.

Paul zastanowił się i starając się, aby zabrzmiało to bardzo oględnie, powiedział:

- Nie kryję przed tobą, jak głęboka była... wciąż jest... moja miłość do Annie.

- Cieszę się, że nawet nie próbujesz. To wyłącznie twoja sprawa, a ja pragnę uszanować twoją prywatność.

Niemal pół godziny spacerowali w milczeniu. W pewnej chwili Paul zatrzymał się i chwycił Plum za rękę. Palcami u nóg wykreślił na piasku dwie litery „P”, a potem zamknął je w konturze serca. Patrząc wprost w hiacyntowe oczy Plum, przemówił cichym, natchnionym głosem:

- Mam nadzieję, że znalazłaś swoją szarą gęś. Plum, zostaniesz ze mną? Na zawsze. Wyjdiesz za mnie?

Równie dobrze mógłby poprosić ją o to, by skoczyła z mostu, twierdząc przy tym, że nie ma o co się martwić, gdyż na pewno ją złapie. Nie znaczy to, że nie miała do Paula zaufania. Nie ufała własnym uczuciom, nie ufała zamętowi w głowie. Czy na pewno go kocha? To, o czym ludzie myślą, że jest miłością, często jest tylko pożądaniem, zaborczością czy też zwykłą chęcią zalecenia jątrzącej życie samotności. O pomyłkę bardzo łatwo. Dlatego Plum z rozmysłem zmusiła się, by spojrzeć na związek z Pauliem w kategoriach Breeze'a. A on powiedziałby, że jakiś wakacyjny romans nie może być przyczyną tak nierozważnych kroków. Nie powinna rujnować sobie życia z powodu świeżbienia w kroku!

Do Valvert wrócili tuż po zmierzchu. Ostatnie minuty jazdy samochodem upływały w nieprzyjemnej ciszy. Oboje nie byli zachwyceni perspektywą rychłego rozstania.

- Wciąż zastanawiam się - odezwała się Plum - czy oni...

- Och, jestem pewien, że moi rodzice wiedzą o nas. A jeśli nie wiedzą, to zamierzam im powiedzieć.

- Co sobie o mnie pomyślą? Co pomyślą o moim mężu?

- Są Francuzami z krwi i kości. Nie są głupi, zdają sobie sprawę, że od czasów, gdy brali ślub, obyczajnie bardzo się zmieniły... A właśnie: czy brałaś ślub w kościele?

- Nie.

- No to nie zostałaś zaślubiona w obliczu Boga. W takim razie ze strony moich rodziców nie będzie problemów.

- Nie popędzaj mnie. Nie mogę dać ci odpowiedzi już teraz. Proszę, Paul, nie mów im jeszcze. Niech sobie myślą, co chcą.

Gdy Paul odebrał swoje córki od babci, Plum zadrżała do pani Merlin i czerwieniąc się zapytała, czy może skorzystać z telefonu. Matka Paula potraktowała ją z chłodną obojętnością, która najlepiej świadczyła o tym, że wie o romansie.

Powiedziała Breeze'owi, że zamierza zostać w Valvert jeszcze tydzień. W odpowiedzi usłyszała wściekły ryk.

- Plum, oszalałaś czy co?! Do wyjazdu na Biennale zostało tylko pięć tygodni. Mówię poważnie, Plum, nie jesteś chora?... NIE?! No to, do cholery, co się z tobą dzieje? Posiadałaś gdzieś nędzne resztki tego swojego rozumu? Nie dociera do ciebie, że reprezentować swój kraj to wielki zaszczyt?... Nie wspominam już o tym, że to przełomowy moment w twojej karierze. Teraz albo nigdy, słyszysz? Zdajesz sobie sprawę, jaki mi sprawiasz zawód? -Z wysiłkiem zniżył głos. - Wiele mogę dla ciebie zrobić, Plum, ale, do cholery, nie mogę za ciebie dać wywiadu i to nie mnie chcą oglądać w telewizji!

- Wiem. Nie zmienię decyzji. Zostaję na następny tydzień.

Po dziesięciu minutach kłótni, przemawiania do rozsądku i zastraszania groźbami, Breeze warknął:

- Obiecujesz, że w następną niedzielę będziesz z powrotem w domu?

Ostrzegam cię, jeżeli nie przyjedziesz, to ja przyjadę po ciebie.

- Obiecuję, Breeze. Będę w Londynie w następną niedzielę.

Delikatnie odłożyła słuchawkę, a potem rozplakała się. Minęła zdumioną madame Merlin i wybiegła w kojący mrok nocy. Potykając się, poszła w stronę kuchennych drzwi własnego domu. Jakże szybko szczęście, jakim obdarzył ją ten pogodny dzień, zamieniło się w czarną rozpacz i strach. Wymuszona obietnica aż za dobrze jej uświadomiła, co straci opuszczając Valvert i wracając do Londynu. Jak powinna postąpić? Jeśli teraz odrzuci ofiarowaną przez los szansę, czy ma prawo liczyć na znalezienie prawdziwego szczęścia? Było jeszcze coś. Powrót do Londynu oznaczał ponowne włączenie się do rozgrywki, w której stawką mogło być jej życie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Środa, 29 kwietnia 1992

Na zewnątrz nauczycielskiego domu niebo błyskawicznie pokryło się czarnymi chmurami. Nadciągała nagle, wiosenna burza. Paul pobiegł zamknąć wszystkie okna i okiennice, a potem wrócił do kuchni.

- Co gotujesz? - spytała Plum. - Pachnie cudownie!

Właśnie kończyła układać w kremowym dzbanku purpurowe dzikie irysy. Ustawiła dzbanek na środku kuchennego stołu, pod wiszącą u sufitu lampą olejową. Lampa wyglądała cokolwiek staroświecko, lecz była niezwykle pożyteczna, gdyż często, podczas silnych wiatrów i burz, wieś celowo pozbawiano prądu, aby zminimalizować ryzyko przypadkowego zaprószenia ognia.

- To zapach ziemniaków z czosnkiem.

Podniósł z kuchenki masywny rondel i potrząsnął nim. Po kuchni rozszedł się kuszący aromat.

- Pachną tak cudownie, że nawet ja jestem ciekawa, jak się je przyrządza.

- Smażysz na tłuszczu wieprzowym pół tuzina ząbków czosnku, potem dodajesz pokrojone w plasterki ziemniaki i podsmażasz na małym ogniu przez mniej więcej pół godziny.

- Umiem gotować, ale nie znoszę tego. Pod tym względem na pewno nadajesz się na mężczyznę z moich marzeń.

Uśmiechnęła się do niego. Niski, złowrogi pomruk gromu dobiegł zza ścian bezpiecznego schronienia. Paul pomachał drewnianą kopyścią.

- Trzeba pilnować, żeby ziemniaki nie przylgnęły do patelni. Nie powinny zbrązowieć. Przyprawia się je tuż przed podaniem na stół.

Sięgnął po pieprz i sól, przyprawił potrawę i triumfalnie postawił rondel na stole. Pozostało jeszcze otworzyć butelkę czerwonego wina i napełnić kieliszki.

Plum piła ze zwykłego kieliszka, jakich wiele w każdym domu towarowym. Paul miał specjalne, antyczne naczynie.

- Powiedzieć ci, dlaczego kupiłam dla ciebie ten kielich? - zapytała Plum retorycznie. - Jest znakomitą metaforą idealnego związku. Myślę, że kochający się ludzie powinni być w takim stopniu niezależni jak te dwa spiralne węże, zdobiące nóżkę. Popatrz: są bliźniaczo podobne do siebie, wiją się w górę, owijają się wzajemnie wokół siebie, ale nigdy nie wchodzą drugiemu w drogę, ani przez chwilę nie są dla drugiego przeszkodą.

Natychmiast pomyślała, jak wyglądałaby reakcja Breeze'a na jej wypowiedź. Prychnąłby: „Poetyckie, pretensjonalne brednie”.

Paul wyciągnął rękę nad wąskim stołem, podniósł dłoń Plum do ust i ucałował koniuszki palców.

- Dlaczego nasze życie nie miałyby tak wyglądać?

- Często wyobrażam sobie, jak by to było - rozmarzyła się Plum. - Zasypiamy przytuleni, a budzi nas szum kasztanowców. W ciągu dnia prowadzimy własne życie: nie masz nic przeciwko mojemu malowaniu. Obiad jesz razem z dziećmi w szkole... To ważne, ponieważ nie mam czasu na gotowanie, a poza tym jestem mamą kucharką... Po pracy, w letnie wieczory kąpiemy się w rzece, idziemy na spacer wśród dzikich kwiatów, potem pijemy na werandzie lampkę wina, rozmawiamy albo słuchamy muzyki.

- Oczywiście, gdy Marie i Rose będą już w łóżkach - przypomniał.

- Zawsze chciałam mieć dziewczynkę Bliźniaczki to jak dodatkowa premia.

- A zimą siedzimy sobie przy kominku, czytamy albo dajemy się hipnotyzować płomieniom i isierkom, ciesząc się ciszą, spokojem, bliskością drugiej osoby.

- Ciesząc się intymnością - dodała - ale nie jesteśmy zaborczy. Respekujemy prawo do prywatności. Nie mamy wygórowanych nadziei i nie żądamy od siebie nawzajem zbyt wiele.

- Poruszamy się tym samym rytmem, w łóżku i poza nim.

Palce Paula bawiły się jej rudymi kędziorkami, opadły na kark i rozpoczęły subtelną pieszczotę.

- Obiecałeś nie podniecać mnie, dopóki nie uporamy się z tymi cudownymi ziemniaczkami i butelką fantastycznego wina. Nie mów mi, że to z piwnicy twojego ojca.

Paul roześmiał się.

- Mój ojciec nie mógłby wyprodukować takiego wina. Rodzice jednego z moich uczniów podarowali mi je na Wielkanoc. Pochodzi chyba z najlepszej okolicznej winnicy, Chateau Margaux.

Nagle rozległ się przerażający łoskot.

W jednej sekundzie Plum zrobiła się blada jak ściana. Wypuściła z ręki kieliszek, czerwone wino chlusnęło na obrus i przelało się na podłogę.

- Czy to... to... by-by-była eksplozja? - wykrzyknęła piskliwym głosem, jękając się nerwowo.

Paul podskoczył na równe nogi.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to było bardzo blisko domu. Może piorun uderzył w któryś z kasztanowców. Sprawdź.

Pięć minut później wrócił mokry od stóp do głów. Osuszając włosy ręcznikiem, zdał relację:

- Trafił w wielki kasztanowiec. Konar spadł na szkolną bramę i zmiażdżył ją. Jest za ciężki, żeby go podźwignąć gołymi rękami. Rano sprowadzę traktor.

- Podeszedł do Plum. - Co się stało? Jesteś strasznie blada. Czyba nie przestraszyłaś się burzy?

- Nie. Pomyślałam, że... Nieważne. Zachowałam się jak idiotka. Przepraszam.

Rzucił ręcznik na oparcie krzesła.

- Pomyślałaś, że to eksplozja. Tak właśnie powiedziałaś. - Przyjrzał jej się uważnie. - Dlaczego spodziewałaś się eksplozji w samym środku spokojnej francuskiej wsi? Wyraźnie widzę, że boisz się czegoś... Terrorystów? Czegoś, co ukrywasz przede mną?

W zdenerwowaniu zaczął popełniać błędy w wymowie języka angielskiego.

- Owszem, boję się. Staralam się wyrzucić to z głowy i tu, w Valvert, prawie mi się to udało.

Szybko opowiedziała Paulowi o poszukiwaniu fałszerza holenderskich malowideł, anonimach z pogrózkami i śmierci Leo.

- Śmierć twojego przyjaciela wcale nie musi być związana z poszukiwaniem fałszerza - rzekł Paul - za to anonimy są z nim związane na pewno.

Przytulił ją do przemoczonego swetra. W jego objęciach czuła się bezpieczniejsza.

- Kto wiedział, że tu przyjechałaś? - zapytał.

- Tylko Breeze.

- Współcześni mężowie nie pozbywają się żon, mordując je z zimną krwią. Po prostu rozwodzą się z nimi.

Plum nie spodobała się myśl, że jest tylko zbędnym balastem, który można, o! tak, wyrzucić za burzę.

- Nie wydaje mi się, żeby Breeze chciał rozwodu - wtrąciła chłodno.

- Wiele wniosłaś do tego udawanego małżeństwa, więc jesteś cennym jego składnikiem. Ty tylko malujesz i malujesz, a on w tym czasie ma romans za romansem. Nadal nie widzę powodu, dla którego chciałaby cię zabić.

- To jasne, że Breeze nie chce mnie zabić!

Ale też nigdy nie czuła się przy nim tak bezpieczna, jak teraz. Pomyślała, że

otaczające ją silne, muskularne ramiona Paula stanowią doskonałą psychologiczną kamizelkę kuloodporną.

- Zgoda, ale ktoś chce, abyś myślała, że możesz stracić życie.
- Wiem. I nic nie poradzę, że jestem przerażona.

Ucałował czubek jej głowy.

- Najszybszym sposobem pozbycia się tych strachów jest odszukanie fałszerza. Jak moglibyśmy tego dokonać?

- Znajdując Tonona.

- Jesteś pewna, że wszystkie obrazy pochodzą z tego samego źródła? Od Tonona?

- Nie, pewności nie mam. Jeśli to prawda, znajdując Tonona zakończę swoje poszukiwania. Jeśli nie, nadal będę na tropie fałszerza. Która z tych ewentualności zachodzi, dowiem się tylko wtedy, gdy dotrę do Tonona.

- Skąd masz pewność, że fałszerz działa w pojedynkę? Może masz do czynienia z całym gangiem?

- Taką opinię wygłosili specjaliści z Brytyjskiego Instytutu Sztuki. Fałszerz jest jeden, ale może mieć współników, zajmujących się dystrybucją fałszyfikatów.

- I Monfumat definitywnie znajduje się w kręgu podejrzanych?

- Tak. Zbyt wiele poszlak prowadzi wprost do niego. To on sprzedał obrazy Maltby'emu i Arturowi Schneiderowi z Nowego Jorku. Sprzedał też do „Forrestiere” obraz zakupiony później przez lady Binger; ten z tulipanem, którego nie znano w czasach powstania obrazu.

- Dlaczego nie pójdziesz z tym na policję? Tu, we Francji?

- Mam tylko poszlaki, a policja żąda niepodważalnych dowodów, czegoś namacalnego, jednoznacznego dokumentu lub informacji, którą można sprawdzić. Na razie nie dysponuję czymś takim. Gdybym poszła na policję tylko z fotokopiami, usłyszałabym: „Bardzo interesujące. Proszę przyjść ponownie, gdy będzie pani miała jakiś niezbity dowód”. - Wzruszyła ramionami w przesadnie teatralny sposób. - Muszę zaczekać, aż zakończą się analizy obrazu Cynthii Bly w Brytyjskim Instytucie Sztuki. Mając protokół z tych badań będę mogła porównać go z raportem na temat obrazu sprzedanego szwedzkiemu biznesmenowi.

- Więc od tej chwili śledztwo przejmie policja?

- Nie. Brytyjski Instytut Sztuki może wydać zaświadczenie, że oba obrazy zostały namalowane przez tę samą osobę, ale policja nie zrozumie, na jakiej podstawie taką opinię wydano. Porównanie posunięć pędzla to nie to samo co porównanie odcisków palców. Gliniarze nie zobaczą żadnego podobieństwa.

- Czy ja bym zobaczył?

- Nie, Paul. - Westchnęła. - Opinia Brytyjskiego Instytutu Sztuki nie zostanie zaakceptowana przez policję jako niepodważalny dowód. Gdyby

istniał jakiś element w oczywisty sposób wiążący wszystkie te obrazy... gdyby na każdym widniał, powiedzmy, motyl z pomarańczowymi plamkami. Tak jaskrawe powiązanie byłoby dla nich w sam raz.

- A więc nie możesz złożyć oficjalnego doniesienia o przestępstwie?

- Jeszcze nie. Zwłaszcza że nie jestem właścicielką tych falsyfikatów.

Prawnicy Monfumata natychmiast wysunęliby argument, że...

- ...że jesteś wścibską cudzoziemką, szukającą dziury w całym, rzucającą oskarżenia na podstawie fałszywej interpretacji przypadkowych zbiegów okoliczności.

- Doskonałe to ujęcie. Dotarłam w ślepy zaułek, gdyż nie mam pojęcia, gdzie szukać Tonona. W „Cotton's” przy Bury Street byli zainteresowani kupnem obrazu, który potem trafił w ręce lady Binger, jednak zrezygnowali po otrzymaniu niepomysłnych opinii znawców. Telefonowałam do nich, ale nie dysponowali paryskim adresem Tonona. Nie wiedzieli też, w jakim londyńskim hotelu się zatrzymał.

- Gdzie poznał Tonona ten biznesmen ze Szwecji?

- Enid Soames powiedziała, że Szwed podczas swoich wycieczek do Paryża zawsze zatrzymywał się w „Plaza Athenee”. Tonon dowiedział się, iż gość ze Szwecji jest w mieście, zadzwonił do hotelu, a potem stawił się tam z obrazem.

Paul podniósł butelkę wina.

- Dokończmy wino. Zapomnij na chwilę o swoich problemach.

Plum kiwnęła głową na znak zgody.

- Powiedz mi, jak rozpoznajesz dobre wino? Zawsze chciałam to wiedzieć.

- Obcokrajowcom wydaje się, że każdy Francuz ma wrodzony talent znawcy win, lecz prawda jest taka, że większość z nas najczęściej pija *vin ordinaire* - odparł, ostrożnie rozlewając resztkę *claret*. - Jednak istnieje prosty sposób na wybranie dobrego wina, nawet gdy nic o winach się nie wie. - Wskazał etykietkę na pustej butelce. - Wystarczy spojrzeć na dół etykiety. Jeśli jest tam napis *mis en bouteille au chateau*, to znalazłaś to, czego szukasz. Słowa te znaczą, że właściciel winnicy napenił butelkę we własnej wytwórni. Nikt, kto nie jest dumny ze swojego wina, nie trudziłby się umieszczaniem na etykiecie nazwy winnicy.

- Chcesz powiedzieć, że wytwórca tego wina był dumny ze swojej pracy? Malarz też podpisuje własne obrazy.

- No, właśnie.

- Mój fałszerz musi być dumny ze swojej pracy, bo jest naprawdę dobry. - Plum zamyśliła się. - Detektyw, którą spotkałam w Australii, twierdziła, że fałszerze zawsze gardzą ekspertami i są dumni, gdy udaje im się zwieść znawców. - Odstawiła kieliszek i odsunęła się z krzesłem od stołu. - Jeśli mój fałszerz zachowuje się tak samo, może umieszczać na swoich falsyfikatach wyraźne godło!

- Godło?
- Jakiś mały obiekt, malowany czasem oprócz, a czasem zamiast podpisu. Autentyczni holenderscy mistrzowie wykorzystywali jako godło na przykład ślimaka, muszkę albo muszelkę. - Rzuciła na obrus serwetkę w błękitno-białą szachownicę. Wstając od stołu, powiedziała: - Paul, chodźmy do mnie! Muszę to sprawdzić w dokumentacji!
- Nie mogę zostawić dzieci.
- Plum westchnęła i z powrotem usiadła.
- Cóż, i tak nie mogę obejrzeć fotokopii pod lupą, gdy jedynym źródłem światła są świece. Szlag by to trafił!
- W tej chwili zapaliły się żarówki. Po burzy przywrócono dopływ prądu.
- Miałem co prawda inny pomysł na zakończenie tego wieczoru, ale...
- Kochanie, będzie czas i na to. Przyniosę dokumenty.
- Włożyła kurtkę i kalosze Paula, a potem poszła pod górę do swojego domu, zabrała lupe, pudło z notatkami i fotokopiami. Po kilku minutach była z powrotem.
- Zrobię kawy - rzekł Paul. Zdążył pozmywać naczynia i przynieść do kuchni lampę z biurka.
- Plum wyłożyła na stół zawartość pudła.
- Bardzo jestem ciekawa tego ósmego obrazu - powiedziała.
- Przecież masz tylko siedem fotografii: sześć fotokopii i jedno zdjęcie z polaroidu.
- To zdjęcie przedstawia obraz z sypialni pani Carteret. Ósmego obrazu nawet nie widziałam. Należy do prostackiej zdziry z Suffolku, Georginy Dobbs. Na pewno jest powiązany z resztą, bo pochodzi z tego samego źródła.
- Nie rozumiem - poskarżył się Paul. Podniósł z ognia kociołek i zalał wrzątkiem świeżo zmieloną kawę.
- Cała ósemka jest ze sobą związana, choć nie bezpośrednio.
- Paul zastygł z parującym kociołkiem w ręku.
- W jaki sposób?
- Plum nie odpowiedziała. Wypisała na kartce listę:

POWIĄZANIA
 STYL
 NAPRAWIANE DZIURY
 ANACHRONIZMY
 IDENTYCZNE ELEMENTY
 SPRZEDAJĄCY

- Które z tych powiązań jest najważniejsze? - zapytał Paul, nalewając kawę do kubków w żółto-białe pasy.

- Większość ludzi nie jest w stanie dostrzec podobieństwa stylu. Tymczasem Instytut ustalił, że sześć obrazów, których fotokopie posiadam, prawdopodobnie zostało namalowanych przez tę samą osobę.

- W Brytyjskim Instytucie Sztuki potrafią stwierdzić takie rzeczy na podstawie fotokopii?

- Nie w sposób rozstrzygający. Dlatego tak ważne jest porównanie obrazu Cynthii Bly z obrazem szwedzkiego biznesmena. Jeśli zostanie dowiedzione, że oba obrazy malowała ta sama osoba, łatwiej będzie można sprowadzić resztę obrazów do analizy. Chociaż mam wrażenie, że Georgina Dobbs z wściekłości odmówi współpracy, a Gillian Carteret nie będzie nią zainteresowana dlatego, że udowodnienie fałszerstwa obrazu będzie jednoznaczne z pozbawieniem jej finansowego zabezpieczenia.

- A inne powiązania?

- Zdziwiającym zbiegiem okoliczności jest liczba fałszykatów, które uszkodzono, a następnie poddano reperaturce. Falszerze rzadko zadają sobie trud malowania na reponowanych płótnach.

- Skoro reperatury są podobne, to masz następny dowód?

- Tak. Eksperti z Instytutu dopatrzili się śladów reperatury dokonanych na obrazach Szweda, lady Binger i należącego do bostońskiego muzeum płótna Pietera Claesza. Metryki obrazów Suzannah Marsh i Cynthii Bly także wspominają o przeprowadzanych renowacjach.

- Jednak twierdzisz, że to nie stanowi niepodważalnego dowodu - podsumował Paul, zasiadłszy przy stole. Popijał kawę drobnymi łykami.

- Niestety, nie. Mamy jednak następne poszlaki: niektóre elementy obrazów nie mogły zostać namalowane w czasach, w których żyli podpisani na płótnach twórcy.

- Coś jak telefon na portrecie Napoleona?

Plum wręczyła Paulowi dwie fotokopie.

- Widzisz tego czarnego motyla z żółtymi kropkami na skrzydłach? To obraz Cynthii Bly... A teraz tutaj. Obraz należący do lady Binger... Spójrz na ten kwiat, jasnożółty tulipan z brązowymi obwódkami na krańcach płatków. Widzisz?... Zarówno motyl, jak i tulipan zostały odkryte dopiero w dwudziestym wieku.

Napiła się gorącej kawy. Po krótkiej przerwie mówiła dalej:

- Każdy anachronizm można wytłumaczyć nieostrożnymi pracami konserwatorskimi; takie tłumaczenie zawodzi, gdy wytoczy się przeciw obrazom inne dowody fałszerstwa.

Paul uniósł brwi.

- Zbyt wiele zbiegów okoliczności to zawsze podejrzane.

Plum wręczyła mu pozostałe fotokopie. Pokazała muszkę na obrazie Suzannah Marsh oraz identyczną muszkę na obrazie Artura Schneidera.

- Oto te dowody.
- Czy mogę prosić o lupę?
- Paul, popatrz na żółtą jaszczurkę na obrazie Suzannah. Zielona jaszczurka na obrazie Cynthii jest identyczna, różni się tylko kolorem. Tak więc trzy obrazy są wyraźnie ze sobą powiązane wspólnymi elementami...

Paul przyjrzał się fotokopiom.

- Tak, widać wyraźnie.
- No to spójrz na gąsienicę z obrazu lady Binger... Identyczna znajduje się na obrazie szwedzkiego biznesmena.

- Tak! - wykrzyknął w podnieceniu Paul.

- Jednak nie rzuca mi się w oczy nic takiego - powiedziała Plum przygaszonym tonem - co byłoby identyczne na wszystkich ośmiu obrazach. Tego właśnie chciałabym poszukać dziś wieczorem.

Przez chwilę przypatrywała się rozrzuconym na stole zdjęciom.

- Cztery z tych obrazów, łącznie z obrazem Georginy Dobbs, związane są z Gillian Carteret. W tej chwili nie potrafię określić ich wcześniejszych losów i nie będę nawet próbować. Jeśli dowiodę, że jej obrazy są falsyfikatami, sama wskaże tego, kto rzekomo sprzedał je jej dziadkowi.

- Wierzysz, że mówiła prawdę?

- Jej dziadek zmarł w 1973 roku. Jeżeli choćby jeden z jej obrazów został namalowany po 1973 roku, to jasne, że kłamała. - Popchnęła w stronę Paula trzy zdjęcia. - Ta trójka „wypłynęła” w Paryżu. Artur Schneider i lady Binger zakupili swoje od Monfumata, a jeśli Monfumata otrzymał je od Tonona, to mamy powiązanie z obrazem sprzedanym przez Tonona szwedzkiemu biznesmenowi. Paryż jest kluczem do całej zagadki! Muszę tylko zmusić Monfumata, siłą lub podstępem, do wyjawienia tego, co wie.

- Proponujesz szukać na tych zdjęciach czegoś, co jest identyczne na wszystkich obrazach? - spytał. - Czegoś, co definitywnie powiąże dwie grupy falsyfikatów, francuską i brytyjską?

- Tak. Gdybym znalazła godło fałszerza, upiekłabym dwie pieczenie na jednym ogniu. Powiązałabym ze sobą wszystkie obrazy i postawiłabym Monfumata w niezręcznej sytuacji. Może wtedy zgodziłby się odpowiedzieć na pytania policji.

- Więc co teraz robimy?

- Musimy dokładnie zbadać obrazy w poszukiwaniu wspólnego mianownika. Do diabła, przydałby się rzutnik!

Rozpoczęły sprawdzanie zawartości wszystkich fotokopii. Plum po kolei trzymała każdą z nich pod światło lampy, od czasu do czasu pomagając sobie lupą. Paul robił notatki.

Na sześciu fotokopiach znajdowało się wiele podobnych czy wręcz identycznych składników, lecz żaden z tych elementów nie powtarzał się na

wszystkich obrazach. Fotografia obrazu należącego do pani Carteret była zbyt mała i niewyraźna, aby dokładnie sprawdzić jego zawartość. Po godzinie Paul odłożył lupę na blat stołu i przetarł oczy.

- Sprawdziliśmy wszystkie i nic nie znaleźliśmy.

Plum przeciągnęła się. Bolały ją plecy.

- Musimy być bardziej systematyczni. Bardziej metodyczni. Postanowili spisywać całą zawartość każdego obrazu, posuwając się w poziomie co trzy centymetry, zasłaniając kartką papieru pozostałą część fotokopii. Poruszali się z góry na dół. Nie była to łatwa praca. Wymagała nieustannej koncentracji. Jedno trzymało lupę i dyktowało drugiemu, co widać na fotokopii. Zmieniali się co kilka minut.

Po następnej godzinie pracy Paul poszedł do łazienki po krople do oczu, a Plum zabrała się za masaż karku.

Okolo północy przez krótką chwilę wydawało jej się, że dostrzegła charakterystyczne wygięcie liścia, wspólne dla każdego malowidła. Niestety, był to tylko fałszywy alarm.

O drugiej nad ranem Paul z trudem otwierał zażawione oczy.

- Skarbie, o ósmej trzydzieści zwali mi się na głowę dwadzieścia siedem dzieciaków, a przedtem muszę jeszcze zdążyć ubrać się i nakarmić własną dwójkę...

- Niech tylko skończę ten fragment - wymamrotała Plum, wiedząc, że sama nie będzie w stanie kontynuować poszukiwań. Powoli kończyła spisywanie zawartości siódmej kolumny, oznaczonej literą G. Do opisu została ostatnia kolumna, oznaczona jako H.

Paul otworzył szeroko ramiona.

- Wiem, że została nam jeszcze jakaś godzina roboty, ale dla mnie to już zbyt wiele. Plum, nie potrafię już skoncentrować się na tyle, żeby być użytecznym dla...

Urwał w pół zdania. Plum otworzyła szeroko oczy i wskazała na sporządzaną przez nich listę. Nie musieli nic mówić. Oboje natychmiast zdali sobie sprawę, że na każdym z trzech przebadanych obrazów w rzędzie oznaczanym literą G pojawiał się ten sam element: płatek opadły z kwiatu - zawsze w lewym dolnym rogu obrazu.

Gorączkowo sprawdzili pozostałe fotokopie. Okolo trzeciej piętnaście Plum spojrzała w błyszczące oczy Paula i powiedziała:

- Popatrz! Jest! Szósty płatek! Mogę się założyć, że taki sam jest na obrazie z sypialni pani Carteret!

- I na obrazie pani Dobbs.

Plum kiwnęła głową.

Triumfalnie zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Mając na dodatek współczesny tulipan z obrazu lady Binger, nie potrzebuję już nic więcej, by przycisnąć Monfumata.

Paul odsunął się.

- Ciiii, dzieci! - ostrzegł. - Nie muszą wiedzieć, że jesteś tutaj o tak późnej porze... Jak zamierzasz to zrobić? To znaczy, przycisnąć Monfumata?

- Powiem mu, że jeśli nie zdradzi pochodzenia obrazów, pójdę prosto na policję.

Położył dłoń na jej ramieniu i przemówił poważnym tonem:

- Myślę, że już teraz powinnaś zwrócić się do policji. Francuskiej policji.

- Nie. Mój francuski nie jest tak dobry, by wytłumaczyć tak skomplikowaną sprawę. Wystarczająco wiele kłopotów miałam już z brytyjską policją.

- A więc pojedziemy do Paryża razem. Pójdę z tobą na posterunek policji - stwierdził autorytatywnie Paul. - Nie mogę opuścić szkoły, ale jest wyjście. Ekspres do Paryża odjeżdża z pobliskiej stacji o piątej rano. Jeżeli wyruszymy w sobotę rano, będę mógł wrócić w niedzielę nocnym pociągiem, w sam raz na początek poniedziałkowych lekcji.

- Jesteś kochany - powiedziała z wdzięcznością. - Zanim pójdziemy na policję, złożmy wizytę Monfumatowi. Nie mamy nic do stracenia, a wiele możemy wygrać. Trzeba tylko upewnić się, czy sklep Monfumata jest w soboty otwarty. Zadzwońisz tam?

- Jeśli w soboty mają zamknięte, skuszę ich, żeby zrobili wyjątek. Podam się za bogatego producenta win z okolic Bordeaux. Znakomicie nadaje się do tego mój regionalny akcent...

- Kocham twój prowincjonalny akcent. - Otoczyła go ramionami, szepcząc: - Wszystko w tobie kocham. Po prostu... Kocham cię!

Paul chwycił ją pod brodę i rzekł:

- Nareszcie to powiedziałaś.

- Wyrwało mi się.

Do tej pory unikała otwartych deklaracji, jakby bała się wyrzutów sumienia.

Paul natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Wyznanie poczynione przez Plum wlało w jego żyły czystą adrenalinę. Czule wziął kochankę w ramiona i poniósł korytarzem.

Odetchnęła surowym zapachem męskiej sypialni, a gdy na skórze poczuła szorstkość wykrochmalonych prześcieradeł, miała wrażenie, iż cofnęła się w czasie, do epoki staromodnych sienników i poduszek wypełnionych pierzem. Z radością przyjęła na siebie ciężar ciała Paula, zelektryzowana twardością jego ogromnego członka, ocierającego się o jej brzuch, drapaniem kręconych włosów, z których wyrastał, zapachem podnieconego mężczyzny.

Kilku przedstawicieli płci przeciwnej, z którymi miała do czynienia pomiędzy okresami spokojnego życia w charakterze mężatki, zmierzało do rzeczy czym prędzej przeskakując przez trzy „G”, określające współczesny partnerskiej związek: gotowanie domowych posiłków, grzeczności wymieszane z korni plementami i gra wstępna. Szybko rozszyfrowywała ich brak zainteresowania

głębszym uczuciem. Pieszczoty i pocałunki bez stosunku nie stanowiły dla nich żadnej atrakcji - chcieli tylko jak najszybciej włożyć... Gra wstępna jawiła się im jako przykra niewygodna, którą trzeba zaakceptować, i niepotrzebne opóźnianie tego, co jedynie sensowne.

Paul dotknął jej twardych sutków, bawił się nimi, aż Plum nie wytrzymała dłużej bez ruchu. Zaczęła wiercić się pod nim, położyła dłonie na jego pośladkach i jeszcze ściślej przywarła do kochanka. Pragnęła, by połączyli się tak ściśle, jak znaczek pocztowy z kopertą, tak szybko, jak to możliwe, zanim eksploduje od szalejącej w głębi niej namiętności. Jej jedynym marzeniem w tym szalonym momencie było poczuć Paula jak najgłębiej w sobie, poczuć, jak porusza się wewnątrz jej rozpalonego gorączką pożądania wibrującego ciała.

Wszedł w nią powoli, stopniowo wsuwał się w wilgotne, miękkie tanki. Gdy ich ciała stały się jednością w najdoskonalszy możliwy sposób, zamarł w bezruchu, chcąc wysączyć z tej ulotnej chwili jak najwięcej rozkoszy. Plum ocierała się sutkami o jego owłosioną klatkę piersiową.

A potem Paul zaczął się poruszać. Gdy oboje równocześnie przyciągali się do siebie i odpychali, Plum przypomniała sobie sposób, w jaki Paul się poruszał, jego zgrabne, długie kroki. Przypomniała sobie kołysanie się jego atletycznie zbudowanego ciała. Z tą samą zgrabnością utalentowanego tancerza poruszał się w łóżku, w skłębionej pościeli.

Poruszali się wciąż szybciej i szybciej, ich biodra uderzały o siebie coraz gwałtowniej, coraz pośpieszniej, aż nagle Plum porwała niepohamowana, rozlewająca się po całym jej jestestwie, potężna fala rozkoszy, granicząca z fizycznym bólem, wybuchowa przyjemność. Chciała krzyczeć, kopać, gryźć i wyć...

Zjednoczona z Paulem, owinięta wokół niego jak bluszcz oplatający mury, radośnie zmierzała ku orgazmowi, coraz wyżej i wyżej, pod coraz bardziej stromą górę, górę wszystkich gór, Everest seksualnej satysfakcji. I osiągnęła szczyt, który zdawał się być nie do zdobycia. Miała świadomość, że przeżyła coś niemal niezmiernego, nieprawdopodobnie cudownego. Przez ułamek sekundy była zdolna otworzyć się na cały wszechświat i jednocześnie miała pewność, że jest w stanie zamknąć go w swoich ramionach.

Zaspokojona wciąż leżała pod Paulem, wczuwając się w bicie jego serca. Jej serce łomotało w piersi, jak spłoszony ptak w morderczo małej klatce. Plum była bliska płaczu. Smutek stanął jej w gardle kamieniem i nie potrafiła go przełknąć: bo jak mogła pogodzić się z tym, że już wkrótce miała opuścić ukochanego? W księżycowej poświacie, przebijającej się przez firany i malującej skomplikowany wzór na ich ciałach, ponownie przytulili się do siebie.

- Przez te dwa lata po śmierci Annie - wyszeptał Paul - było kilka innych kobiet. Ale żadnej z nich nie kochałem. Nie chciałem się zakochać.
- Paul... Czy twoja matka coś ci powiedziała?

- Tak - odparł krótko.

Miał wrażenie, że nigdy nie zapomni sceny, jaką mu zrobiła, gdy odbierał dziewczynki po powrocie z wycieczki do Arcachon. Zgarnęła go do swojej sypialni, wskazała drżącym palcem na krucyfiks, zawieszony na ścianie nad starym łóżkiem z mahoniem.

- Tylko bez wykrętów! - Przeżegnała się. - Ten romans z Angielką zaszedł stanowczo za daleko! Żądam, mój synu, żebyś respektował przykazania naszej religii! Ona jest zamężna. Przy tym jest tak stara, że mogłaby być twoją matką.

- *Maman*, jestem tylko dziesięć lat młodszy od Plum. Nie przejmuję się tym i ona też nie.

- To nie jest jedyny problem.

- Wiem, *maman*.

Na początku mówił sobie, że to tylko przelotny flirt; przecież Plum była tu na wakacjach. Potem przekonywał siebie, że będzie ją miał, ale na własnych warunkach. Kosztem wielu wyrzeczeń ułożył sobie życie i twardo postanowił, iż nic nie jest w stanie zburzyć tej osiągniętej na nowo równowagi.

Lecz Plum wydawała się bez zastrzeżeń akceptować jego zasady i tryb życia. Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby się pobrali. Jak wtedy zapatrywałyby się na życie? Główny problem wcale nie polegał na tym, że była cudzoziemką, nawet nie na tym, że była zamężna. Problem tkwił w tym, że jako osobowość była tak daleka od typowej dla Valvert postaci żony, że równie dobrze mogłaby mieć wielką baloniastą głowę zielonego koloru, ze sterzcącymi z jej szczytu dwiema antenkami. Oczywiście, mieszkańcy Valvert dopuszczali myśl, że kobieta ma własną pracę, ale żeby poświecała się zawodowej karierze?! To niemożliwe. To burzy naturalny porządek rzeczy. W Valvert Plum zawsze będzie uważana za dziwaczkę. Czy ma to jednak jakiegokolwiek znaczenie?

Matka Paula najwyraźniej sądziła, że owszem, ma.

- To nie ma żadnych szans! Jest miłą sąsiadką, ale nie pasuje do naszego życia. Pochodzi z obcego kraju. Jest cudzoziemką szaloną cudzoziemką! Przyjeżdża tu na wakacje raz na dziesięć lat. Tak nie zachowuje się człowiek przy zdrowych zmysłach. Ona jest szalona, mój synu... Widziałeś jej zwariowane obrazy? Doskonale pamiętam, co ona bazgrze... To ekscentryczka, ona nie jest *une femme serieuse*! Mam więc nadzieję, że ten epizod to nie jest nic poważnego...

Przeżegnała się jeszcze raz.

- To bardzo poważne, *maman*.

- Nie! Synu, jak każdy dorosły mężczyzna masz swoje potrzeby i potrzebujesz żony... Bliźniaczki potrzebują matki... Oczywiście, wszyscy mamy nadzieję, że pewnego dnia... Ale ta... Ta nawet nie potrafi gotować!

- Ależ ona potrafi gotować, tylko tego nie lubi. Ja lubię.

Łagodnym tonem powiedział, że nie jest przygotowany na dalszą dyskusję o swoich prywatnych sprawach.

Jednak w drodze powrotnej do domu, gdy dziewczynki schodziły ze wzgórze, trzymając się za ręce, roztrząsał w myślach poruszone przez matkę kwestie. Czy obawy matki były uzasadnione?

Teraz, skąpany w mlecznej, księżycowej poświacie, stawiał sobie to samo pytanie. Podparł głowę na tokciu i patrzył na skuloną u jego boku Plum. W pewnej chwili dotarło do niego coś podobnego do cichego, stłumionego szlochania.

- Co się stało?

Obrócił jej twarz w swoją stronę. W księżycowym świetle wydawała się jeszcze bardziej delikatna niż zazwyczaj.

- Nie mogę pogodzić się z myślą, że wkrótce się rozstaniemy.

- Nie musimy się rozstawać. Możesz tu zostać. Moglibyśmy się pobrać.

Plum usiadła. Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała obronić się przed nieznanym niebezpieczeństwem.

- Paul, długo zastanawiałam się, czy to ma sens, czy mogę z tobą żyć. Obojętne, jako żona czy też nie.

- Wiem. Ja też o tym myślałem.

- Boję się, że podejmę pochopną decyzję i zrobię coś bardzo głupiego. Muszę zrezygnować ze wszystkiego, co mam, a może się okazać, że zrobię to tylko dla romantycznej iluzji, która skończy się dla mnie nędzą. Widziałam wiele kobiet, które dla mężczyzny postawiły na szali całe swoje życie.

- Mężczyźni też wiele ryzykują.

- Nigdy aż tyle. Poza tym ja zrobiłam to już dwukrotnie. Po co kobiety w ogóle podejmują takie ryzyko?

- Bo mają nadzieję na odrobinę magii - wyszeptał Paul.

- Nie znam ani jednej mężatki, która by nadal twierdziła, że żyje z wielką miłością swojego życia. - Opuszkami palców dotknęła czoła kochanka. - To szalone ryzyko.

Paul zesztywniał.

- Nie oferuję ci romantycznej iluzji, ale rzeczywistość.

- Paul, proszę, spróbuj zrozumieć, jestem podenerwowana. Dwa rozwody...

- W takim razie rozważmy alternatywę małżeństwa. Może jakąś formę odnawialnej umowy małżeńskiej. Na początek zawartej, powiedzmy, na pięć lat, albo dwadzieścia, jeśli chcemy mieć dzieci. Taka umowa nie krępuje tak bardzo jak małżeństwo. Eliminujemy niebezpieczeństwo rozczarowania.

- To brzmi jak planowanie rozwodu.

- Przeciwnie, dzięki umowie małżeńskiej można uniknąć goryczy rozwodu: po prostu czeka się na wygaśnięcie umowy.

- Umowa małżeńska nie jest tym, co twoja matka uważa za prawdziwe małżeństwo.

Paul objął ją czule i powiedział:

- Nie pozwól, aby jej staromodne, nierealistyczne wyobrażenie o małżeństwie rujnowało nam szczęście. Dlaczego miałabyś spędzić resztę życia z kimś innym, skoro kochasz mnie?

- Jeszcze chwila i powiesz mi, że mam tylko jedno życie, więc jestem sobie winna odrobinę szaleństwa. Czyżby Thoreau pochwalał chwilowe zaniki zdrowego rozsądku?

- Był daleki od tego. Dlaczego jednak nie rozdzielisz swoich niepokojów? Musisz oddzielić opuszczenie męża od połączenia się ze mną: to trzy różne sprawy.

- Chciałaś powiedzieć: dwie różne sprawy?

- Nie, trzy. Uważam, że powinnaś dodatkowo uporządkować swoje własne problemy. Szukasz nie tylko fałszerza obrazów, szukasz także przyczyn zafalszowania swojego życia.

- To aż tak widoczne?

- Nie, ale kocham cię, dlatego wyczuwam te subtelne wibracje i wiem, że nie jesteś szczęśliwa. *Bien dans sa peau*, jak mawiamy we Francji. Jest ci chyba trochę przyciasno we własnej skórze.

- Na pewno nie chciałabym powtórnie wychodzić za męża, gdy problem może tkwić gdzieś we mnie.

Paul przesunął palcem po linii jej brwi.

- I właśnie dlatego, z całego serca pomogę ci w obydwu poszukiwaniach.

Sobota, 2 maja 1992

Było piękne, wiosenne popołudnie, a niebo, przynajmniej według Paula, miało identyczny kolor jak oczy Plum. Na rue Jacob słońce rozświetlało fasady domów, przez co wnętrze sklepu Monfumata wydawało się bardziej mroczne niż podczas ostatniej wizyty Plum.

Na dźwięk dzwonka u drzwi z zaplecza wyszedł monsieur Monfumate. Ręce trzymał w kieszeniach. Miał na sobie wełniany garnitur i ciemnoniebieską koszulę z granatowym krawatem pod szyją; typowe ubranie francuskiego intelektualisty w średnim wieku.

- W czym mogę pomóc?

Bystre, inteligentne oczy przypatrywały się Plum z za bezoprawkowych sześciokątnych okularów. Malarka była pewna, że przez jego wąskie usta nie przeszłoby żadne nierozważne zdanie.

Rozmowę miał prowadzić Paul. Był ubrany w coś, co sam nazywał „uniformem na zebrania ze zwierzchnikami”: granatowy blezer. Mówił wyważonym, obojętnym tonem, jak urzędnik państwowy, a jednocześnie

konkretnie i zwięźle, niczym najprawdziwszy, przeprowadzający śledztwo detektyw. Wyjmując z aktówki fotokopie, rzekł:

- Chcielibyśmy z panem omówić sprawę pewnych obrazów pędzla holenderskich mistrzów.

Monfummat rozpoznał Plum. Zacisnął zęby, a jego oczy cisnęły w nią błyskawice. Młody asystent z przylizanymi włosami i głupkowatym wyrazem twarzy, stojący za plecami swego pryncypała, drgnął, jakby chciał czym prędzej uciec.

Antykwaryusz cierpliwie wysłuchał, co Paul ma do powiedzenia, a potem beczelnie, aczkolwiek grzecznym tonem zapytał, dlaczego Paul interesuje się tymi sprawami.

Paul wyjaśnił zdruzonym głosem, iż pracuje na prywatne zlecenie i reprezentuje lady Binger z Australii, pannę Cynthię Bly i panią Suzannah Marsh ze Stanów Zjednoczonych oraz bostońskie Great Museum i Brytyjski Instytut Sztuki w Londynie.

Beznamiętny sposób, w jaki się wypowiadał, nadawał słowom autentyczność i złowróżbne brzmienie. Przynajmniej Plum miała takie wrażenie. Gdyby była Monfummatem, zaczęłaby się denerwować.

Tymczasem właściciel sklepu obrzucił Paula pogardliwym spojrzeniem i zażądał okazania listów uwierzytelniających.

Wciąż tym samym neutralnym tonem Paul odparł, że to stadium śledztwa należy traktować jako nieoficjalne.

Antykwaryusz potarł koniec nosa i zastanowił się: nieoficjalne śledztwo wcale nie musiało doprowadzić do oficjalnego śledztwa. Chyba dlatego pozwolił sobie na uwagę, że na wszystkich wystawionych przez niego rachunkach widnieje wyraźne zastrzeżenie, iż nie odpowiada za autentyczność metryki.

Paul uniósł lekko głowę i stwierdził, że jest to całkowicie zrozumiałe. Jeżeli monsieur Monfummat został przez kogoś wprowadzony w błąd, nie będzie żadnych powodów, by stawiać go w kłopotliwej sytuacji. Czy jednak mógłby, w swej dobroci, poświęcić chwilę na obejrzenie fotokopii i stwierdzenie, czy istnieje możliwość, że handlował któryś z tych obrazów?

Monfummat wysłał asystenta po lupe. Gdy ją otrzymał, drobiazgowo obejrzał zdjęcia.

Plum była pewna, że na rozpoznanie obrazów, które tak niedawno opuściły sklep, Monfummat nie potrzebowałby nawet dwóch minut. Tymczasem minęło już prawie dziesięć minut, a właściciel sklepu z antykami wciąż milczał i dalej oglądał fotografie. Plum domyśliła się, że jest to typowa gra na zwłokę. Monfummat pewnie zastanawiał się, co dalej począć.

Paul ponownie otworzył aktówkę, wyjął plik metryk i pokazał je antykwaryuszowi. Ten rzucił na nie okiem i zorientował się, że sprawa nie zakończy się, nawet gdyby zaprzeczył, iż kiedykolwiek widział któryś z **tych**

obrazów. Niechętnie przyznał, że wydaje mu się, iż rozpoznaje obrazy należące obecnie do lady Binger i Artura Schneidera, jednak aby mieć absolutną pewność, musi zajrzeć do swojej kartoteki.

Paul otworzył notes. Plum wiedziała, że są w nim tylko pomysły na zajęcia z dziećmi w szkole. Paul powiódł palcem po jednej stronie i poprosił Monfumata, by przyjrzał się tulipanowi na obrazie lady Binger - który rzeczywiście może być efektem prac konserwatorskich - a potem zwrócił uwagę na gąsienicę, najwyraźniej z gatunku *malacosoma neustria*. Czy monsieur Monfumat byłby tak łaskaw i zechciał dostrzec podobną gąsienicę na obrazie zakupionym przez szwedzkiego biznesmena? Czy dostrzega też opadły płatek na dole obrazów po lewej stronie?

Handlarz antykami bez słów oglądał fotokopie. Paul poprosił go jeszcze, aby przyjrzał się muszce plujce na dwóch obrazach: należących obecnie do Artura Schneidera i Suzannah Marsh z Nowego Jorku. Na koniec podkreślił znaczenie opadłego płatka pojawiającego się w lewym dolnym rogu obrazu Schneidera. Płatek ten widnieje w tym miejscu na wszystkich sześciu obrazach.

- Z całą pewnością jest to godło autora tych obrazów. Chyba zgodzi się pan z tym?

Monfumat kiwnął głową.

- A jednak oficjalnie przyjmuje się - kontynuował spokojnie Paul - że obrazy te zostały namalowane przez pięciu różnych artystów w ciągu mniej więcej jednego stulecia.

Antykwariusz zacisnął usta, które stały się teraz kreseczką szeroką na dwa centymetry.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytał sucho.

- Proszę nam przekazać nazwisko człowieka, od którego otrzymał pan te dwa obrazy.

- Bardzo żałuję, ale to niemożliwe. Jeśli nasz klient zastrzega sobie anonimowość, nigdy nie łamiemy tej zasady wzajemnych kontaktów.

- W takim razie zaprzecza pan, jakoby znał monsieur Tonona?

Po raz pierwszy Monfumat dał po sobie poznać, że został trafiony w czułe miejsce. W odpowiedzi zdołał burknąć, że dalszą rozmowę odbędzie jedynie w obecności swojego adwokata.

Paul udał, że wpisuje coś do notesu.

- Ma pan chyba świadomość, monsieur Monfumat, że sprawa nie zniknie? Gdyby podjął pan z nami współpracę, ułatwiłby nam pan dalsze śledztwo i poprawiłby pan też swoją sytuację w przyszłości. Nie będzie już powodów, aby łączyć pana z tą sprawą.

- O co więc, tak naprawdę, chodzi?

- Prosimy o adres monsieur Tonona, chcielibyśmy też, aby zatelefonował pan do niego.

Paul miał nadzieję, że zabezpieczy się w ten sposób przed otrzymaniem fałszywego adresu i numeru telefonu.

- Tylko tyle? - Twarz antykwarusza rozpozodziła się, gdy dojrzał szansę dobicia targu. - Nic więcej?

- Nic więcej.

- Chodźmy w takim razie do mojego biura.

Z trudem zmieścili się w małym pokoiku na tyłach sklepu, zarzuconym dokumentami, literaturą fachową, próbkami różnych materiałów i segregatorami na korespondencję.

Monfumat sięgnął po staromodny telefon stojący w rogu biurka. Paul stanął za jego plecami i wziął drugą słuchawkę. Sprawdził, czy antykwanusz wykręca numer, który wypisał wcześniej na kartce papieru.

Po chwili w słuchawce odezwał się zachrypnięty, kobiecy głos.

- Zobaczę, czy jest tutaj... - powiedziała i wykrzyknęła głośno: - Monsieur Tonon!... Monsieur Tonon... Jest, już idzie.

- Słucham... Kto mówi? - zapytał mężczyzna szorstkim, nosowym głosem, w którym dało się słyszeć typowe dla okolic Tulonu przeciąganie samogłosek.

Po wstępnych grzecznościach Monfumat wyjaśnił (zgodnie z żądaniem Paula), że ma klienta, który jest zainteresowany siedemnastowiecznymi martwymi naturami holenderskich malarzy.

- Może minąć kilka miesięcy, nim uda się jakąś zdobyć - ostrożnie odrzekł mężczyzna.

- Niech pan zapyta, czy ma jakiś kontakt telefoniczny na holenderskie obrazy - powiedział szybko Paul.

Antykwanusz beznamiętnym głosem przekazał pytanie. Po

podejrzanie długiej ciszy, Tonon nieprzyjemnie burknął:

- Jestem zaskoczony, że pytasz o moje źródła.

- Ten klient jest tutaj i chciałby porozmawiać bezpośrednio z panem. Mogę dać mu pana adres?... W takim razie proszę mi go podać. Już zapisuję.

Tonon podał adres i dodał:

- Przyjacielu, powiedz jednak temu, kto stoi obok ciebie, kimkolwiek on jest, że nie mogę mu pomóc.

Paul usłyszał jeszcze sarkastyczne prychnięcie i połączenie zostało przerwane.

Monfumat triumfalnie podniósł wzrok. Tonem swobodnej konwersacji powiedział:

- Nie mogę zrobić nic więcej.

Po wyjściu ze sklepu, mrużąc porażone jasnością dnia oczy, Paul zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres Tonona. Kiedy byli już w samochodzie, Plum zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Kochanie, byłeś wspaniały!

Paul nie przejawiał wielkiego entuzjazmu.

- Jedziemy do paskudnej dzielnicy. Pełno tam emigrantów i podejrzanego elementu. Może powinienem pojechać sam.

- Nigdy w życiu!

Taksówka zatrzymała się na przecięciu dwóch ulic, przed brudnoszarym biurowcem. Plum wyjrzała przez okno. Zrujnowane mury wszędzie pozaklejano plakatami, a okna z brudnymi szybami chyba nie były otwierane od wielu lat. Dwa parszywe koty grzebały w rozprutych workach ze śmieciami leżących w rynsztoku.

- *Merde!* - warknął Paul. - Tonon podał Monfumatowi fałszywy adres! - Spojrzał Plum w oczy. - Przykro mi, kochanie... Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, ale nie zwróciłem należytej uwagi na alarmowe dzwonki, które rozdzwoniły mi się w głowie. Dlatego, że byłem tak zadowolony z siebie! Zadowolony, że tak doskonale mi idzie udawanie Arsene'a Lupin! Amatorszczyzna!

- Nie obwiniaj siebie.

Plum próbowała go uspokoić, ale sama została wyprowadzona z równowagi.

- Powiniem od razu się domyślić, że Monfumat oszukuje mnie, gdy prosi o pozwolenie przekazania adresu, a potem pyta jeszcze o adres! Przecież powinien znać adres osoby, do której telefonuje. Pytając o adres rozmyślnie ostrzegł Tonona.

- Spróbujmy zatelefonować pod ten numer. Jest chyba prawdziwy.

Paul nakazał kierowcy taksówki, by zawiózł ich do najbliższej porządnej kawiarni, gdzie można napić się kawy i skorzystać z telefonu. Po krótkiej rozmowie Paul odłożył słuchawkę.

- Owszem, to dobry numer. Rozpoznałem głos kobiety; prawdopodobnie jest tam kelnerką. To bistro o nazwie „Le Rouge”, w samym środku tej zawszonej dzielnicy, z której przed chwilą wróciliśmy. Twierdzi, że Tonona już tam nie ma. Nie ma pojęcia, gdzie on mieszka. Jest stałym klientem, ale nic o nim nie wie. Albo nie chce powiedzieć.

- Jeżeli Tonon korzysta z telefonu w bistro, to zapewne pracuje gdzieś w pobliżu, czyż nie?

- Może przy stoliku w bistro załatwia interesy. Wątpię, by ktokolwiek coś nam powiedział na jego temat. Na pewno nieźle ich podpłacił.

- W takim razie może my też zaproponujemy komuś pieniądze?

- Łapówkę? Nie, nic z tego nie wyjdzie. Jeśli Tonon im płaci, to zwyczajnie wykorzystają naszą propozycję, żeby wydobyć z niego więcej forsy. Jedynym sposobem na wyciągnięcie jakichś informacji z tego bistro jest pójście w poniedziałek na policję.

- Ale do poniedziałku Tonon może zapaść się pod ziemię!

Paul wzruszył ramionami.

- Do poniedziałku nic nie możesz zrobić. Żaden francuski detektyw nie zrezygnuje z weekendu po to, by zbadać sprawę powtarzającego się na kilku obrazach opadłego płatka albo sprawdzić wymarłe biura w budynku, w którym rzekomo miał pracować pewien człowiek. Człowiek, którego nigdy nie widziałś na oczy i którego o nic nie możesz oskarżyć. Będziesz musiała zaczekać do poniedziałku.

- Nie mogę! Obiecałam mężowi, że jutro wieczorem będę w domu. Mam już bilet na ostatni samolot do Londynu. Niech to szlag! Będę musiała znaleźć trochę czasu w następnym tygodniu i przylecieć do Paryża. Wynajmę tłumacza: nie mogę ryzykować, że zostanie źle zrozumiana.

Niedziela, 3 maja 1992

Paul odmówił odpowiedzi na pytanie, gdzie zjedzą obiad.

- Gdzieś, gdzie prawdopodobnie jeszcze nigdy nie byłaś.

Śmiejąc się kręcił głową, gdy Plum próbowała odgadnąć, o jakie miejsce chodzi. Dopiero kiedy taksówka zatrzymała się i malarka wyjrzała przez okno, wszystko stało się jasne. Miała przed sobą tłum turystów kłębiący się u podnóża Wieży Eiffla.

- Na szczycie wieży jest bardzo dobra restauracja. Jedna z nielicznych restauracji dla turystów lubiana przez turystów.

Wcisnęli się do wielkiej metalowej windy i pomknęli w niebo... coraz wyżej... wyżej... wyżej... mijali gigantyczne żelazne dźwigary, które wydawały się tak delikatne, gdy oglądało się je z dużej odległości.

Zasiadłszy przy stoliku w restauracji, Plum nie mogła oderwać oczu od fantastycznego widoku. Siedziała w środku bezchmurnego, błękitnego nieba, a cały Paryż leżał u jej stóp, daleko, daleko w dole. Miasto widziane z pokładu samolotu było mikroskopijne. Ze szczytu wieży widać było szczegóły zabudowy, lecz jednocześnie metropolia wydawała się osadą dla lalek. Ludzie, domy, samochody, rowery - wszystko miało rozmiary miniaturowych zabawek. Zafasynowana oglądała kręte brzegi Sekwany, katedrę Notre Dame i l'Île Saint Louis. Wszystko było doskonale widoczne, jak na planie miasta: szerokie aleje kończące się wspianiałymi placami, formujące niezwykle geometryczny wzór, nieporównywalny do niczego w świecie. Mimo nowoczesnej zabudowy jakże wiele pozostawiono parków i ogrodów!

Paul zamówił butelkę szampana, świeże szparagi w sosie holenderskim, homara i sałatkę; na deser zjedli *meringues glacees* nadszawane kasztanowym *puree* oraz dekorowane bitą śmietaną. A potem, obok innych par zakochanych, trzymając się za ręce spacerowali po bulwarach nad brzegiem Sekwany. Rano nad miastem szalała wichura, lecz teraz zostały po niej już tylko delikatne

podmuchy ciepłego wiatru, poruszającego ciemnymi liśćmi na drzewach, błyszczącymi, jakby były niedawno polerowane.

- Chciałabym, żebyś poznał moją ciotkę Harriet, ale akurat wyjechała z Paryża na jakieś wesele w Burgundii.

Topola, pod którą przechodzili, zaszumiała pod nagłym podmuchem wiatru. Na bruk poleciały krople wody i Plum skuliła się, umykając przed niezaplanowanym prysznicem.

- Ten ostatni wspólny dzień chcę spędzić tylko z tobą.

- Ja też - zgodziła się Plum rozmarzonym głosem. - Taka jestem szczęśliwa!

Zatrzymała się i zerknęła na odbicie w wodzie przedstawiające jej kochanka.

- Osiągnięcie szczęścia jest o wiele prostsze, niż to się wydaje wielu ludziom. - Paul ścisnął jej rękę. - Nie oznacza, że wszystko jest doskonałe. Życie nigdy nie jest absolutnie doskonałe. Nie oznacza też, że nie popełniasz błędów i nie masz kłopotów.

- Masz rację. Na około trzydzieści procent naszego życia nie mamy żadnego wpływu: ktoś psuje ci humor, bo miał sprzeczkę z żoną; mleko, przeznaczone na śniadanie, skwaśniało; kot załatwił się do twoich butów.

Paul machał ich splecionymi dłońmi w rytm kroków.

- Szczęście to zadowolenie i rozkosz...

- Docenianie tego, co już się ma, odrzucanie złych myśli. - Plum uśmiechnęła się. - Szukanie pozytywnych aspektów życia. U nas nazywa się to kompleksem Polyanny.

- Nie ma w tym nic złego. Szczęście często zależy od tego, czy sami zdecydujemy o tym, czy mamy być szczęśliwi. Szczęście to stan umysłu.

- To takie proste? - zapytała, przeskakując przez kałużę.

- Oczywiście, nie możesz być szczęśliwa, gdy przed chwilą umarła twoja matka albo gdy straciłaś oszczędności całego życia, ale są ludzie, którzy wszędzie dostrzegają tylko nieszczęścia.

- Problem tkwi chyba w tym, że jesteśmy zdezorientowani - myślała na głos. - Wybieramy drogę w życiu, bo inni twierdzili, że jest to droga ku szczęściu, a potem wpadamy w pułapkę kosztownego stylu bycia, który tak naprawdę wcale nas nie bawi.

- Albo w pułapkę czynszu, na który nas nie stać, tak jak w moim przypadku.

- Pytanie: jak można zmienić własne życie?

- Szukaj tam, gdzie odczuwasz największy niepokój. Wszystko inne często bierze się właśnie stamtąd. Dlatego opuściłem Paryż i wróciłem do Valvert. - Stał, położył dłonie na jej barkach i patrząc w hiacyntowe oczy, zapytał: - Będziesz tam ze mną?

- To bardzo kusząca propozycja... Wieść z tobą wspólne życie... Jednak na razie nie mogę złożyć obietnicy. Na razie...

Oboje wiedzieli, że musi wcześniej porozmawiać z Breeze'em. Paul wcisnął rękę do kieszeni i w milczeniu ruszył przed siebie. Nagle zatrzymał się i chwyciwszy ją za nadgarstek, powiedział:

- Wracajmy do hotelu...

Wieczorem stali na peronie dworca. W miarę zbliżania się godziny odjazdu pociągu Plum coraz trudniej przychodziło powstrzymywanie łez. Kiedy przez megafony przekazano ostatnią zapowiedź, przyłgnęła do Paula i wykrzyknęła:

- Nie złość się na mnie, ale nie mogę ci niczego obiecać.
- Obiecay tylko, że wrócisz. Tylko tyle.

Jego niebieskie oczy błyszczały w sztucznym oświetleniu dworca kolejowego.

- Nie mogę - powiedziała nieszczęśliwym głosem. - Jeszcze nie teraz.
- Dlaczego szepczemy? - Odrywał od szyi jej palce, jeden po drugim, delikatnie, jakby były drobnymi polnymi kwiatkami. - Plum, pamiętasz doktora Combray, który opiekował się tobą po wypadku? Kiedyś opowiedział mi, jak próbował pocieszyć ciężko chorą, bardzo bogatą kobietę. Ona wciąż płakała, a w końcu powiedziała: „Pan nie rozumie; nie płacę dlatego, że umieram. Płacę, ponieważ nigdy nie żyłam”.

Rozległ się ostry gwizd lokomotywy.

- *A la prochaine* - wyszeptał Paul tonem pocieszenia.

Plum nie wiedziała, czy w ogóle będzie następny raz. Spróbowała uśmiechnąć się, ale zamiast tego do oczu napłynęły łzy.

Paul pośpiesznie pocałował ją w policzek. Przed wejściem do pociągu zatrzymał się na najwyższym stopniu, odwrócił się i pomachał na pożegnanie. Pociąg zaraz ruszył, a Paul zniknął w głębi wagonu.

Drobnemu, ale bolesnemu ukłuciu w serce towarzyszyło dojmujące odczucie, że właśnie amputowano jakąś część jej osoby, że oto samotnie wyruszy w swoją przyszłość, rozpościerając się przed nią jako bezkresna, szara i ponura przestrzeń.

Ze smutkiem wsłuchiwała się w stukot kół pociągu, który stopniowo nabierał prędkości. Paul wychylił się przez okno, ale robił się coraz mniejszy, mniejszy, mniejszy... Wymachiwał czymś bardzo dziwnym...

Rozpoznała, co to za przedmiot, i mimo przygnębienia roześmiała się. Paul trzymał w dłoni żółty pantofelek, który zgubiła podczas wypadku.

A w chwilę później nie widziała już ani pantofelka, ani Paula.

Rozdział dwudziesty czwarty

Poniedziałek, 4 maja 1992

W ięc jednak zdecydowałaś się wrócić!

Breeze podniósł wzrok znad papierów na biurku, które przekładał do teczki. Plum natychmiast zauważyła, że jego twarz jest bardziej blada i wychudzona niż zwykle. Musiał być przepracowany, przemęczony. W długim ciemnym płaszczu wydawał się wyższy i bardziej szczupły, zaniedbane włosy wymagały strzyżenia, a przede wszystkim choćby krótkiego kontaktu z grzebieniem - sterczały bowiem jak kolce kaktusa. Płaszcz powinien zostać wyszczotkowany, buty wypastowane i wypolerowane, a wymięty krawat lepiej dobrany do koszuli. Co się stało z Sandrą?

- Jej matka jest ciężko chora - odparł Breeze - a ja mam ważniejsze rzeczy na głowie niż odwiedziny w pralni. Moja sekretarka zadzwoniła do Harrodsa po skarpetki i slipy, więc jakoś udało mi się bez ciebie przetrwać.

Nie zrobił kroku w jej stronę, nie mówiąc już o pocałowaniu na powitanie. W milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Breeze pierwszy odwrócił oczy. Sięgnął po słuchawkę telefonu i zadzwonił do biura.

- Amando, możesz odwołać moją rezerwację na lot do Bordeaux... Tak, wróciła. Owszem, wygląda na bardzo wypoczętą... Tak, ja też się cieszę... Dobrze, przekażę jej... Dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

- W biurze wszystko w porządku? - zapytała w nadziei, że nieobecność Sandry jest jedynym problemem męża.

- Teraz, kiedy wróciłaś, wszystko będzie dobrze - powiedział, z trudem panując nad głosem. - Nie będę jednak udawać, że interesy kwitną. Zapożebowanie na dzieła sztuki znacznie zmalało. - Wepchnął do teczki jeszcze

jeden plik papierów i zatrzasnął zamki. - Na pewno wiesz, że praktykowano kredytowanie piramidowe i w końcu trochę przesadzono. Teraz na rynku sztuki mamy takie same problemy jak na rynku nieruchomości.

Plum natychmiast domyśliła się, o co chodzi. Każda żona dealera, nawet nie zainteresowana matematyką, doskonale znała zasady kredytowania. Przypuśćmy, że dealer posiadał szkic Matisse'a wart 200000 dolarów. Pod jego zastaw mógł zaciągnąć pożyczkę bankową w wysokości 100000 dolarów na zakup kolejnego obrazu, powiedzmy Matthew Smitha, dzięki czemu był w stanie zaproponować swoim klientom dzieła sztuki warte nie 200000, lecz 300000 dolarów. Zasada mogła jednak funkcjonować dalej, gdyż pod zastaw dwóch dzieł można było zaciągnąć kolejną pożyczkę na zakup trzeciego obrazu i tak dalej, aż uformowała się cała piramida bankowego długu.

A potem nadeszła recesja. Ceny obrazów spadły do połowy poprzedniej wartości, ponieważ klienci nie mieli ochoty inwestować w dzieła sztuki. Galerie, nie mając pieniędzy na spłacenie zaciągniętych długów, były zmuszone pozbywać się obrazów przy każdej nadarzającej się okazji, co oznaczało, iż dzieła warte 300000 sprzedawano za 100000 dolarów. Po spłaceniu banku dealer - jeśli miał szczęście - zostawał z jedną czwartą majątku zainwestowanego w dzieła sztuki. Jeśli szczęścia nie miał - zostawał bez grosza.

Plum przeraziła się.

- Ale ty nie zaciągałeś takich kredytów?

- Dzięki Bogu, nie! Nie ma się czym przejmować. Wdepnąłem tylko w to samo gówno co każdy w tym biznesie, ale moje finanse są trochę napięte. Nie wyobrażasz sobie, ile pieniędzy pochłania samo prowadzenie galerii i opłaty za ten dom.

- Pomogę ci, jak tylko zdołam.

- Najlepiej pomożesz mi dobrze przygotowując się do Biennale.

- Nowe obrazy są już prawie ukończone - starała się, aby dosłyszał w jej głosie pewność siebie. - Będę gotowa na czas. Wypoczęłam i mogę skoncentrować się na wyprawie do Wenecji. Dam tyle wywiadów, ile uznasz za stosowne.

- To wyśmienicie, ponieważ dziennikarze z całego świata bez przerwy do mnie wydzwanają i przysyłają faxy... Aha! Przy okazji... Powiedziałem Nicholasowi Herringowi, że zaraz po obiedzie może tutaj przeprowadzić z tobą wywiad. Nalegał, a mnie zabrakło wymówek, więc sam zdecydowałem. Miałem nadzieję, że nie trzeba będzie tego odwoływać.

- Słusznie, nie trzeba odwoływać. Nie martw się, Breeze, nie sprawię ci zawodu. Po raz pierwszy w życiu nie boję się stawić czoła dziennikarzom.

Roześmiał się.

- Uwierzę, gdy to zobaczę. A poważnie, wiesz, jakie znaczenie ma dla nas

dobra prasa. Dziennikarze muszą zobaczyć, że jesteś przekonana o swojej wartości. Wszyscy będą pytali, jak oceniasz swoje szanse...

- Breeze, miałam szczęście, że zostałam wybrana! Dobrze wiesz, że nie mam najmniejszych szans na zdobycie głównej nagrody. Bez podstawne, złudne nadzieje tylko wyprowadzają mnie z równowagi! Przecież oni nie pozwolą, aby przedstawiciel Wielkiej Brytanii ponownie wygrał!

Nagrodę Złotego Lwa w kategorii malarstwa otrzymał w 1984 roku Howard Hodgkin, w 1986 Frank Auerbach, a dwa lata później Tony Cragg. A na poprzednim Biennale Premio 2000, dla artystów do lat trzydziestu pięciu, wygrał Anish Kapoor.

- A ty wiesz, że jury nie kieruje się takimi przesłankami. Przez cały czas musisz pamiętać, że nawet jeśli miałaś ograniczoną konkurencję, reprezentowanie Wielkiej Brytanii na Biennale to wielki zaszczyt.

Oboje mieli świadomość, że w ciągu ostatnich stu lat tylko raz kobieta reprezentowała Wielką Brytanię i po Bridget Riley żadna nie miała na to wielkich szans, lecz traf chciał, że w 1992 roku tematem przewodnim Biennale był „Portret kobiety”.

- Lepiej jednak nie spodziewać się za wiele.

Breeze wiedział, iż jego optymizm handlowca wyznaczał czasem cele nieosiągalne.

- Mam nadzieję - odezwał się przeproszającym tonem - że nie wymagam od ciebie zbyt wiele.

- Cieszę się, że wymagasz. Zawsze powtarzałaś, że nie można robić kariery na pół etatu. Takie cuda zdarzają się tylko w marnych romansach.

- Nikt nie musi cię zmuszać do malowania. Wiem, że albo wkładasz w nie całe serce, albo do pewnego stopnia czujesz się nieszczęśliwa.

Stali naprzeciw siebie, rozdzieleni przez kilka metrów sypialni, a Plum zastanawiała się, jak długo będą rozmawiać o tym cholemy Biennale. Jak długo jeszcze będą odwlekać poruszenie tematu, którego nie da się omijać w nieskończoność?

- Zawsze będę ci wdzięczna, Breeze - zaczęła nerwowo - za to, jak się mną zająłeś, jak zorganizowałeś moją karierę...

- Dziwnie to zabrzmiało. Jakbyś chciała za chwilę wyjść przez te drzwi i już więcej nie wrócić.

Mierzyli się wzrokiem. Plum wyraźnie widziała, że Breeze coraz trudniej panuje nad narastającym gniewem, ale zdecydowanie pozostała przy wyzywającej pozycji. Nie miała zamiaru przedwcześnie wyklądać kart i zmierzać do konfrontacji - choć nie wykluczała, że jest to najlepsze wyjście z zaistniałej sytuacji.

Breeze zdecydował za nią.

- Lepiej opowiedz mi o nim.
- Więc domyśliłeś się.
- Nic trudnego. Wystarczył jeden rzut oka na twoją twarz.

Z jednej strony ulżyło jej. Z drugiej - czuła się winna. Bardziej oczekiwała ze strony Breeze'a wściekłego wybuchu niż oznak przygnębienia i rezygnacji.

Krótko opowiedziała mu o Paulu. W samolocie ułożyła sobie wszystko, co chciała powiedzieć, lecz słysząc własne słowa zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak egzaltowana historyjka z magazynu w rodzaju „prawdziwego romansu”.

Breeze zaatakował ją z gniewną ironią.

- Mogę się założyć, że jest jednym z tych wrażliwych, owłosionych chłopaczków w zabłoconych butach, koszuli w kratkę i grubych, roboczych spodniach. Weekendy na pewno spędza na bieganiu nago po lesie albo na idiotycznym ściananiu drzew na opał do swojego pieca. Ma półcieńczarówkę czy tylko zardzewiały rower?... A może jest jakimś pieprzonym francuskim intelektualistą, kimś w rodzaju współczesnego Jana Jakuba Rousseau? Nad łóżkiem pewnie ma napis: „Człowiek rodzi się wolny, ale później wszędzie zakuwany jest w kajdany”. Mam rację?

Wyraz twarzy Plum służył za odpowiedź.

- Tak, trafiłem w dziesiątkę... Chyba nie masz zamiaru pójść w ślady Gauguina? Pamiętasz ten obraz *Skąd pochodzimy? Czym jesteśmy? Dokąd zmierzamy?* Na miłość boską, nie wpadaj w dydaktyzm! To zrujnuje twoją karierę! - Urwał, jakby przypomniał sobie, że powinien ułagodzić Plum, zamiast wbijać jej ciernie. Starannie kontrolując głos, powiedział: - Cóż, należało się tego spodziewać.

- Paul nie jest dziecinną zemstą! - wykrzyknęła oburzona.
 - Może nie zrobiłaś tego świadomie. Jeżeli tak, można to wytłumaczyć tylko atrakcyjnością tego typka. Co ty w nim zobaczyłaś?

Słowa musiały go ranić, ale dodatkowo zranił go marzycielski wyraz oczu Plum i aksamitny ton jej głosu.

- Co widzę w Paulu? Prostolinijność, naturalność, łagodność. Paul nie boi się świata. Nie jest pobudliwy czy przewrażliwiony. Nie szuka dziury w całym i nie ma nic przeciwko temu, żeby nikt go nie dostrzegął.

- To chyba jakiś mnich, a nie mężczyzna - parsknął Breeze. - Jesteś pewna, że zakochał się w tobie?

- Paul jest rozkochany w wielu rzeczach, lecz przede wszystkim koncentruje się na prowadzeniu prostego życia. Mawia, że z prostoty wypływa poczucie szczęścia.

- Prostota w rodzaju braku centralnego ogrzewania? - zapytał złośliwie Breeze.

Od chwili pożegnania Paula Plum próbowała zdecydować, jak powinna postąpić. Agresywne zachowanie Breeze'a dosypało na wagę dwa ziarenka

piasku, które przeważały szalę na korzyść Paula. Powiedziała mężowi, że zamierza go opuścić i zamieszkać w Valvert. Wytłumaczyła, dlaczego podjęła taką decyzję. Zakończyła stwierdzeniem, że Breeze może pozostać jej dealerem, lecz nie powinien liczyć, że będzie otrzymywał tyle obrazów, co przedtem. Od dzisiaj Plum przestaje być fabryką obrazów. Breeze wybuchnął.

- Mam nadzieję, że ten Francuzik jest dobrym kochankiem - wrzeszczał -bo w tej dziurze na końcu świata nie będziesz miała wiele do roboty! Popelniasz największy błąd w życiu!

- Największym błędem byłoby zostać tutaj.

- Co masz do zarzucenia naszemu małżeństwu?!

- Nasze małżeństwo to tylko galeria nudnych przyzwyczajęń.

- I co w tym złego?! To właśnie najbardziej mi się w nim podoba. Przyzwyczajenia są wygodne. Nasze małżeństwo przywodzi mi na myśl ten fragment z Thomasa Hardy'ego, gdzie Gabriel mówi do Bathsheby: „Gdziekolwiek spojrzysz, będę tam, i gdziekolwiek ja spojrzę, będę widział ciebie”.

- Nie możesz spojrzeć w ten sposób, gdy nie ma cię w domu.

- Nie tęsknisz za mną, gdy chcę, byśmy poszli na jakieś przyjęcie - wytknął Breeze. - Wolisz pójść na plotki do swoich przyjaciółeczek albo wcześniej położyć się do łóżka i z kolacją na tacy obejrzeć film w telewizji.

- Ale nie każdego wieczoru.

- Na miłość boską, Plum! Wystarczy, że podniesiesz słuchawkę tego pieprzonego telefonu i możesz pójść na każde przyjęcie w mieście! Masz wiele przyjaciół, z którymi możesz wyjść. Jestem twoim mężem, a nie towarzyszem zabaw.

- Może właśnie dlatego nigdy nie poświęcałeś mi tyle czasu, ile powinienieś.

Breeze otworzył szeroko oczy, zdumiony zuchwałością żony.

- Przyznaję, że nie byłem mężem doskonałym - wybelkotał - ale przez ostatnich dziesięć lat miałem wrażenie, że nasz związek funkcjonuje całkiem poprawnie. Dałem ci wszystko, czego pragnęłaś. Dałem ci wszystko, na co było mnie stać. Nie mogę jednak przemienić się w błaznującego naturalistę tylko dlatego, że taką masz w tym roku zachciankę.

- Proszę, nawet nie próbuj.

Breeze z trudem ściszył głos.

- Na miłość boską, zastanów się nad tym - rzucił błagalnie. - Niektóre kobiety mają romanse na wycieczkach turystycznych, inne wolą najlepsze hotele, ale niezależnie od miejsca, gdzie to się dzieje, zawsze jest to pewna odmiana w szarym codziennym życiu. Nic więcej. - Wyrzucił ręce w powietrze.

- Na miłość boską, nie niszczonego naszego życia tylko dlatego, że przeżyłaś trzy miesiące w jakimś sielskim zakątku u boku nawiedzonego miłośnika Thoreau.

Kolejny strzał w dziesiątkę...

- Ty nigdy nie lubiłeś Valvert! - wykrzyknęła Plum.
- Bo zbyt wiele wiem o takim życiu! Mój dziadek dzierżawił ziemię, był farmerem, zapomniałaś o tym? Wakacje spędzaliśmy pomagając mu, ponieważ potrzebował nas i nie było nas stać na wyjazd w inne miejsce. Dlatego doskonale wiem, że życie na wsi wcale nie jest proste. Życie na wsi jest cholernie skomplikowane: ciągle brak ci czasu, bo musisz poświęcać go na to, by mieć sucho, czysto i ciepło, tak wyglądają twoje priorytety. Wiem, jak to jest. Życie na farmie wcale nie przypomina telewizyjnych reklam margaryny.

Przez kilka długich sekund mierzyli się wzrokiem.

- Mało ci było tego, co miałaś tutaj?! - wykrzyknął Breeze. - Boże, jaka ty jesteś kurewsko samolubna! Boże, jak ty koniecznie chcesz wszystkim rządzić!

Plum przypomniała sobie, co o oskarżeniach o egoizm mówiła ciotka Harriet.

- Tylko mężczyźni, którzy sami chcą o wszystkim decydować - odparła - rzucając oskarżenia pod adresem kobiet, że są przez nie do czegoś zmuszani. Breeze, ja nigdy nie dostałam tego, co pragnęłam, tylko rzeczy, których ty pragnąłeś. Przez lata robiłam to, czego ty pragnąłeś; jeżeli nasze oczekiwania rozmięły się, nigdy mi nie ustąpiłeś. Podobno to kobiety są tak przebiegłe w dążeniu do własnych celów, ale mężczyźni są po dziesięciokroć bardziej chytry w układaniu wszystkiego po swojej myśli.

- Dobra, skończmy z tym! Powiedz mi, czego tak naprawdę chcesz.

- Teraz najbardziej chciałabym mieć trochę więcej czasu na przemyślenie tych spraw...

- Nie, ty nie chciałabyś myśleć, wolałabyś wskoczyć do łóżka tego cholernego Francuzika! - Opanował się i spokojniej mówił dalej: - Zresztą, niech tam... Dlaczego by nie? Moglibyśmy kilka miesięcy popływać wokół wysp na Pacyfiku. Co ty na to? - Spojrzał na nią pytająco. - Po Biennale, rzecz jasna. Na miłość boską, odłóżmy tę dyskusję o twojej... naszej przyszłości na czas po Biennale. Przecież od tej imprezy zależy cała twoja przyszłość.

Plum pokręciła przecząco głową.

- Nie potrzebuję wakacji. Włożę w Biennale wszystko, na co mnie stać. A potem dopadnę tego fałszerza, kimkolwiek on jest...

- O, Boże! Ty naprawdę jesteś opętana!

- Owszem, jestem! Więc może choć raz zrobisz to, czego ja chcę? Dlaczego mi nie pomożesz? Prosiłam cię już tyle razy! Zapytam jeszcze raz: pomożesz mi znaleźć tych fałszerzy?

Breeze zawahał się. Starannie dobierając słowa, odrzekł:

- Nie pomogłem ci, gdyż nie myślałem, że mówisz poważnie. Nadal twierdzę, że to nie twój interes.

- Ale sprawa jest już prawie rozwikłana!

Krótko opowiedziała o postępach w śledztwie. Breeze wyglądał na przerażonego.

- Mówisz, że chcesz uczynić swoje życie prostszym, tymczasem sama pakujesz się w kłopoty! Igrasz z poważnym niebezpieczeństwem!
- A ty rozmyślnie udajesz, że nie wiesz, co do ciebie mówię!
Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.
- Co w ciebie wstąpiło w tym roku? Nagle jesteś zdecydowana podjąć tak wielkie ryzyko... Czy zdajesz sobie sprawę, że ryzykujesz nie tylko to, że fatalnie wypadniesz na Biennale? Czy dociera do ciebie, że ryzykujesz własnym życiem, jeżeli te listy z pogrózkami są pisane na serio?!
- Te anonimy mógł wysyłać Leo - zasugerowała.
- Leo nie miał nic wspólnego z falszermi obrazów - stwierdził autorytatywnie Breeze.
- A skąd ta pewność?
- Ponieważ Leo został zamordowany... z innego powodu.
- Skąd masz taką pewność? Wiem, policja uważa, że mógł to zrobić jego kochanek, ale musisz pamiętać, iż policja nie przepuści żadnej okazji, żeby oczernić homoseksualistów.

Wojowniczo mierzyli się wzrokiem i prawdopodobnie potyczka nie skończyłaby się na tym, gdyby do drzwi nie zapukała zastępująca Sandrę pokojówka. Zapytała, czy może posprzątać w sypialni...

Plum biegiem wypadła z domu i skierowała kroki w stronę parku. Miała nadzieję, że spacer poprawi jej nastrój. Przeszła kilka mil po trawie, okrążyła staw dla kaczek, przyglądała się chłopcom biegającym za piłką po błotnistym boisku. A potem nagle zatrzymała się przed bramą Zoo. Jakiś podświadomy impuls zdecydował, że przekroczyła furtkę z kołowrotkiem i weszła do środka.

Nie była w Zoo od czasów, gdy synowie wyrosli z tego typu rozrywek. Zapomniała już, jak wyglądają te zgrzybiałe betonowe bloki, rachityczne rośliny i powykrzywiane drzewa, symulujące naturalne otoczenie dla uwięzionych zwierząt. Poszła zakurzonymi ścieżkami, wbrew intencjom coraz bardziej pograżając się w depresji. Ostatecznie stanęła przed wybiegiem dla tygrysów. Po drugiej stronie wybiegu, wokół wybetonowanego rowu z cuchnącą wodą, niespokojnie chodził gibki i smukły drapieжник. Poruszał się tam i z powrotem, jak wewnątrz niewidzialnej klatki. Z lubością obserwowała potężne mięśnie zwierzęcia, poruszające się pod pięknym futrem w czarno-żółte pasy, kołyszące ciałem w jego płynnym marszu donikąd...

Nagle tygrys znieruchomiał. Jego masywna głowa powoli obróciła się, wielkie żółte oczy zatrzymały się na Plum. Dojrzała w nich odbicie bezdennego

smutku i rezygnacji. Ten tygrys doskonale zdawał sobie sprawę, że spędza życie w więzieniu. Jakże czytelne wydało jej się przesłanie, ukryte za spojrzeniem tych ogromnych, topazowych oczu: „Wiesz, czym byłem. Widzisz, czym jestem. Pamiętam, czym byłem. Wiem, czym jestem teraz. Nie mam możliwości, by zmienić swoje życie, ale ty możesz, możesz! Spójrz na mnie i uciekaj, uciekaj!”

*

Wróciła do domu w samą porę, by zobaczyć podjeżdżającego pod budynek range-rovera z Jenny za kierownicą. Lulu i Wolf machali do niej z tylnego siedzenia.

- Podoba ci się? - wykrzyknęła Jenny, hamując przed schodami prowadzącymi do drzwi frontowych.

- Dobrze ci się powodzi - powiedziała Plum.

Jenny spochmurniała.

- Tato zostawił więcej, niż sądziłyśmy.

Gdy tylko weszli do kuchni (Lulu nie pozwalała Wolfowi snuć się po eleganckim mieszkaniu Plum), zadzwonił telefon. Podekscytowany Toby donosił, że został właśnie wybrany na skarbnika związku studenckiego. Kampanię wyborczą, w cudownie dziwaczny sposób, poprowadziła jego nowa dziewczyna, Venetia, której ojciec prowadził księgarnię z białymi krukami w pobliżu British Museum. Rzecz w tym, że w kasie były pustki i Toby zastanawiał się, czy Breeze mógłby mu pomóc podreperować finanse związku...

Jenny i Lulu pogratulowały mamie nowego skarbnika. A Plum przygotowała gorącą czekoladę i postawiła przed Wolfem puchar wypełniony lodami z orzeszkami ziemnymi.

- No to teraz przekaż nam resztę wieści! - wykrzyknęła Lulu. - Co wydarzyło się we Francji?

Oczy Plum rozbłysły. Nie trzeba było jej dodatkowo zachęcać.

Przez następne pół godziny, nie robiąc ani jednej przerwy, opowiadała przyjaciółkom o Paulu. Obie były bardzo zaintrygowane. Lubiły Breeze'a, a żadna z nich nie знаła tego przystojnego chłopiska z południa Francji, którym tak grzesznie zainteresowała się Plum. Choć Jenny miała wrażenie, że pamięta jakiegoś Paula...

- Był tam taki chłopak, z koślawymi nogami i trądzikiem. Uczylaś go pływać... Och, Plum, to chyba nie on?... W porządku, cofam wszystko!

Okrasila opowieść kilkoma „Paul mówi”, „Paul myśli”, a potem powiedziała im o godle na falsyfikatach i o postępach w poszukiwaniach Tonona.

- Dobrze, że nie przejęłaś się anonimami - rzekła Lulu, odciągając Wolfa od pudełka czekoladek z malinowym nadzieniem.

- Paul stwierdził, że najlepszym sposobem, by poradzić sobie z tymi groźbami, będzie znalezienie fałszerza.

- Breeze na pewno jest zachwycony tym, co odkryłaś? - spytała Lulu, odganiając Wolfa od lodówki.

- Nie mamy obecnie nastroju na pogaduszki. Oczywiście, powiedziałam mu o wszystkim, lecz efekty były zniechęcające do dalszej rozmowy. Stwierdził, że sprawa fałszerza może spokojnie poczekać, aż skończy się to cholerne Biennale. Przecież falsyfikaty pojawiały się na rynku od wielu lat, więc kilka tygodni nie zrobi różnicy! - Urwała i zwróciła się do Jenny ze słowami: - A właśnie, nadal masz zamiar mi towarzyszyć?

- Nie pozbędziesz się mnie. Jakie ubrania weźmiesz do Włoch?

- Hej! - przerwała im Lulu. - Gdzie masz swój brylant? Dałaś go w zastaw?

- Nie. Jest w sejfie, w mojej sypialni. Nie mogę go nosić. Czuję się wtedy, jakbym... nie dochowywała wierności.

- Nie dochowywała wierności? - Lulu uśmiechnęła się. - Któremu z nich? Zadzwoił telefon.

- Enid? - powiedziała do aparatu. - Tak, to ja... Nie

zdążyła odłożyć słuchawki, a Lulu już krzyczała:

- Dalej, opowiadaj! Widać po tobie, że stało się coś wspaniałego... Odłóż to, Wolf! To pokarm dla kotów.

Twarz Plum pojaśniła.

- Coś naprawdę wspaniałego! Enid właśnie potwierdziła, że obraz Cynthii Bly został namalowany przez tego samego gościa, który malował obraz szwedzkiego biznesmena, Ambrosius Bosschaert Starszy, który rzekomo namalował obraz Cynthii, urodził się w 1573 roku i żył do 1621. Obraz należący do Szweda rzekomo malował Jan van Kessel Starszy, który przyszedł na świat dopiero w 1626 roku. Mamy więc niepodważalny dowód fałszerstwa!

- I, jak sądzę, będziesz wkrótce miała dwie oficjalne skargi: od Cynthii i od tego Szweda? - podsumowała Jenny.

Plum zmarszczyła czoło.

- Będą drobne kłopoty, ponieważ Cynthia nabyła obraz w Wielkiej Brytanii, a Szwed kupił swój w Paryżu. Trzeba będzie skoordynować działania policji dwóch krajów, a to wymaga czasu. W każdym razie się zaciska się! Enid nie może mi powiedzieć, kim jest ten Szwed, lecz jest niemal pewna, że wyrazi on zgodę na ujawnienie personaliów, aby dopaść fałszerza...

- Wiesz już, kim on jest? - wtrąciła Lulu.

- Nie, do diabła! - burknęła Plum. - Nadal do niego nie dotarłam... Lulu, pozwalasz Wolfowi popijać wiśniówkę?

Czwartek, 7 maja 1992

Trzy dni po powrocie Plum z Francji do jej drzwi zadzwonił detek-tyw-inspektor Grigg. Miał na sobie kosztowny prochowiec od Burberry'ego. Usiedli w salonie naprzeciwko siebie. Nie kryjąc podniecenia przygodą, Plum ze szczegółami opowiedziała o swoich posunięciach, związanych z tropieniem fałszerza, wyłożyła na stoliku fotokopie i notatki. Z triumfalnym błyskiem w oku oczekiwała, że usłyszy przynajmniej kilka słów podziwu dla tego, co działała.

Mężczyzna zamyślił się, gryząc koniec ołówka.

- Odwaliła pani kawał dobrej roboty... - powiedział.

Plum niemal podskoczyła z radości. Czowała, że jest coraz bliżej fałszerza. Czowała też, że jest mniej narażona na atak potencjalnego mordercy. Paul wpadł na pomysł, że obydwaj anonimowi mogli przysłać Leo. Był przecież w Nowym Jorku, gdy otrzymała pierwszy z nich, a jego śmierć może świadczyć o tym, że jednak był zamieszany w jakieś podejrzane interesy. Im więcej o tym myślała, tym bardziej teoria wydawała się pasować do faktów.

Detektyw mówił dalej:

- Teraz mogę już skontaktować się z francuską policją, lecz nadal jest możliwe, że Tonon jest tylko jeszcze jedną poszlaką. Nie ma pani niezbitych dowodów, że jest on fałszerzem albo dystrybutorem. Jeśli jest kimś takim, byłby trudniejszy do wytropienia.

- Zrobiłam naprawdę bardzo wiele, więcej niż ktokolwiek inny! - wykrzyknęła oburzona.

- To prawda, ale popełniła pani poważny błąd pozwalając, by Monfumat zatelefonował do Tonona. Gdyby zawiadomiła pani policję, sprawdziliby numer podany przez antykwariusza i czekali by w bistro dokładnie w momencie, kiedy dzwonił tam Monfumat. Prosta i skuteczna pułapka.

- Czy pan sobie wyobraża, że Monfumat grzecznie podałby jakiemuś *gendarme'owi* numer telefonu i nie ostrzegłby natychmiast Tonona?

- Monfiimat zrobiliby dokładnie to, co nakazałaby mu francuska policja. Pewnie przytrzymałby go na posterunku, spokojnie znaleźli to bistro i dopiero wtedy kazali mu zatelefonować do Tonona.

Grigg spojrzał jej prosto w oczy.

- Niestety, zamiast zorganizować pułapkę, pani ostrzegła Tonona. Do tej pory fałszerz na pewno też został ostrzeżony. Zapadnie się pod ziemię i możemy już nigdy go nie dopaść...

Choć nie wypowiedział ich głośno, zawisły między nim a speszoną Plum słowa: „Serdeczne dzięki za pani godną amatora ignorancję i niecierpliwość”.

Detektyw mówił dalej łagodniejszym tonem:

- Muszę jednakże stwierdzić, pani Russell, że udało się pani ponad wszelką

wątpliwość ustalić, iż przestępstwo miało miejsce. Kiedy spodziewa się pani wniesienia przez Cynthię Bly oficjalnej skargi?

- Jest drobny problem. Możemy potrzebować jeszcze jednego miesiąca, gdyż anonimowy szwedzki właściciel nie chce podać swoich personaliów do publicznej wiadomości. Profesor Enid podejrzewa, że ma to jakiś związek z podatkami. Victor Marsh przesyła obraz żony do analizy, co zajmie przynajmniej trzy tygodnie. Obie Amerykanki skorzystają z usług naszego prawnika i wniosą oficjalną skargę przeciw Maltby'emu oraz powiadomią o przestępstwie brytyjską policję.

Mężczyzna zanotował adres osobistego prawnika Breeze'a i podniósł się.

- Od tej chwili, pani Russell, proszę pozostawić tę sprawę w rękach policji. Niech pani nie zapomina o tych anonimach.

- Od kiedy Leo Mann nie żyje, nie otrzymałam następnego. Mam podstawy, by sądzić, że to on je wysyłał. Po przyjacielsku próbował mnie ostrzec, iż pakuję się w paskudną historię, ale nie słuchałam go. Może wobec tego postanowił użyć innego sposobu, aby mnie nakłonić do ostrożności: wysyłał anonimy.

- Proszę za bardzo na to nie liczyć.

*

Obudziła się w środku nocy. Leżała na boku, otoczona ramionami męża. Musiał zakraść się do jej sypialni, delikatnie podnieść kołdrę i podwinąć wiktoriańską, koronkową nocną koszulę, specjalnie wybraną dlatego, że dokładnie zakrywała jej ciało. Nie chciała wkładać niczego przezroczystego, żeby go nie prowokować, ale na niewiele się to zdało. Wyraźnie czuła zwinne ruchy jego dłoni, muskających jej rozgrzane snem piersi, wyraźnie czuła wbijającą się w brzuch twardość penisa.

- Breeze, przestań! - Plum wyciągnęła rękę, szukając włącznika nocnej lampki.

W łagodnym, żółtawym blasku lampy z jego oczu emanowała determinacja. Chwycił nagięte pośladki żony i przyciągnął ją do siebie. Próbowała wyśliznąć się z jego uścisku i obciągnąć nocną koszulę.

- Breeze, gwałtem nic nie osiągniesz! Nikt nie chce, żeby miłość się skończyła, ale kiedy się kończy, to po prostu jej nie ma!

W odpowiedzi Breeze wepchnął ręce pod jej koszulę i ponownie rozpoczął pieszczoty piersi. Dotknął sutek, a przez ciało Plum przeszedł dreszcz seksualnego pożądania. Usiłował pocałować ją, ale odwróciła głowę.

- Breeze, na miłość boską, zrozumi mnie! To koniec! Jeżeli zachowałeś choć trochę ciepłych uczuć do mnie, powinieneś to zrozumieć! - Spojrzała prosto w jego nieszczęśliwe oczy. - Naprawdę nie możesz tego pojąć?

- Skąd możesz to wiedzieć - mruknął zachrypniętym głosem - jeśli tego nie sprawdzisz?

Przypomniała sobie, jak zmysłowo, jak namiętnie zachowywał się Breeze w łóżku, dopóki seks nie stał się dla nich już tylko nawykiem. Czy to właśnie z tego powodu zaczął szukać towarzystwa innych kobiet? A może nie było to przyczyną romansów, tylko ich skutkiem? Zawsze był niezrównanym, ale emocjonalnie niezaangażowanym kochankiem. Uświadomiła to sobie po przyłapaniu go z tą argentyńską kurewką.

Kiedy się pogodzili, nie szukała w miłosnym akcie prostego połączenia się dwóch ciał, dążących do seksualnego zaspokojenia; interesowała ją raczej emocjonalna więź z partnerem. I właśnie wtedy odkryła, że Breeze jest bardzo skryty. Odniosła wrażenie, że panicznie boi się zgubienia zbroi, którą oddzielił swoje uczucia od wrogiego świata.

Wyczuł zmianę nastroju u żony, lecz mylnie odczytał ją jako kapitulację wobec jego zakusów. Natarczywie wyszeptał:

- Dziesięć wspólnych lat chyba coś znaczy? Chyba należy mi się choć kilka ciepłych słów?

- To oczywiste.

Przypomniała sobie parę wrywkowych scenek z przeszłości. Breeze wspaniale zajął się chłopcami. Szalał, gdy Max uciekł ze szkoły. Wszczął trwającą do drugiej w nocy kłótnię, aby wymóc na niej pozwolenie kupienia Toby'emu motoroweru na szesnaste urodziny. Breeze był ujmujący i wspaniało-myślny, wielokrotnie znajdowała w nim podporę.

Jakby czytał w jej myślach, powiedział:

- Zastanawiałaś się, jak przyjmą to chłopcy? Są równie mocno przywiązani do mnie jak ja do nich. -I przebiegle dodał: - Gdyby tak nie było, chciałbym mieć własne dzieci.

Widząc, iż Plum się waha, kontynuował atak.

- Praktycznie są już dorośli, ale nie oznacza to, że nie będą zrozpaczeni. Ich dom wali się w gruzy, rodzina przestaje istnieć.

- Dramatyzujesz. Obaj sami zdecydowali się opuścić dom i wcale się tym nie przejmowali. Poza tym ani ty, ani ja nie znikniemy raz na zawsze. Macierzyństwo nie jest jedyną treścią mojego życia. A dostać się stąd do Bordeaux można równie szybko jak do Edynburga.

- Kochanie, błagam, daj mi jeszcze jedną szansę.

Przysunął się do niej i nagle poczuła oszalałymi, impulsywną ochotę przyłgnięcia do tego znajomego ciała, zapomnienia o wszystkim, oddania się zmysłowemu rozkoszom.

Breeze zdawał sobie sprawę z jej podniecenia. Łagodnie namawiał:

- Spróbujmy jeszcze raz, dobrze, kochanie? - Jego palce ześliznęły się w majteczki Plum. - Zapomnijmy, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, dobrze?

Jego dłoń dotarła do aksamitnych włosków łonowych, rozpoczęła rytmiczne, okrężne ruchy. Jednocześnie wskazujący palec zagłębił się w szparce, dotknął lechtaczki, głaskał ją, obmacywał, przeskakiwał z jednej strony na drugą.

- Czuję twoją wilgoć. Czuję twój piżmowy zapach. Wiesz, że cię pożądam, pragnę cię.

Poprowadził jej dłoń w dół, ku penisowi.

Plum z trudem przełamała czar i wyskoczyła z łóżka.

- Przykro mi, Breeze, ale nie tego szukam.

- Nie oszukasz mnie! Pragniesz tego, tak jak ja!

- Bzdura! Igraszkę w łóżku już nie naprawią naszego związku. Dlaczego nie przyznasz, że nasze drogi już się rozeszły?

- Bo w to nie wierzę!

- Nieprawda, ty po prostu nie chcesz tego przyznać! Nie widzisz? Nie jesteśmy już nawet przyjaciółmi. Może zaczęło się to, gdy pierwszy raz mnie zdradziłeś, nie wiem... Za to doskonale zdaję sobie sprawę, że po tym, gdy byłam z innym mężczyzną, nie potrafię już patrzeć na ciebie tak jak dawniej. Może tobie się wydaje, że skok w bok nie ma żadnego znaczenia, jeśli nie zostało się przyłapanym, ale ja tak nie uważam. - Próbował przerwać ten wywód, ale nie dała mu wejść w słowo. Tym razem była zdecydowana powiedzieć wszystko, co ma do powiedzenia. - Niektórzy ludzie mają tuziny romansów i nadal wiodą szczęśliwe życie na łonie rodziny. Czy to może być prawda? Breeze, jak można utrzymywać autentyczny, pełen wzajemnego zaufania związek z kimś, kto nas oszukuje, okłamuje, zdradza? A jeśli w sferze małżeńskiej intymności związek nie jest autentyczny, to jest to związek fikcyjny!

- Mężczyźni myślą o tych sprawach nieco inaczej.

- Doprawdy? Tylko wtedy, gdy im to pasuje. Spotkałam wielu bardzo zaborczych mężczyzn.

- Chwileczkę... powiesz mi wreszcie, co nagle przestało ci się we mnie podobać? Co ma takiego ten pieprzony Francuzik, czego ja nie mogę ci dać?

- Ma siebie! Wszystko przez to, że nie chciałeś otworzyć się przede mną, nie chciałeś zawiązać prawdziwego związku ciała i duszy... takiego, jaki łączy mnie i Paula. Kiedy przyłapałam cię z tą krową z Argentyny, zrozumiałam, że zupełnie cię nie znam; znam tylko maskę, za którą się ukrywasz - stwierdziła ze smutkiem. - Może zawsze miałeś na sobie tę maskę, może zawsze się przede mną ukrywałeś. Chyba nigdy nie zaufałeś mi na tyle, by dzielić ze mną całego siebie. A ja nigdy tego nie zauważałam, ponieważ kochałam cię, a zakochani widzą tylko to, co chcą widzieć.

- Nie twierdzę, że jestem doskonałą...

- Powierzchnownie, Breeze, jesteś tak bliski doskonałości, jak tylko to

możliwe. Ale wewnątrz... Co jest wewnątrz, Breeze? - Klasnęła dłońmi. - Nie wiem! Jakie lęki, wątpliwości, żale skrywasz za swoją maską?

Wstał z łóżka i schylił się po leżący na podłodze szlafrok. Wściekłość w nim aż kipiała.

- Co ten pierdolony zabojad ci zrobił? Zaczarował cię?

- Paul nie ma nic wspólnego z naszym zerwaniem. Paul pojawił się dlatego, że zerwaliśmy ze sobą już dawno temu, choć żadne z nas nie chciało tego zauważyć.

- Jak ci się wydaje, ile będzie trwało to nieodpowiedzialne, idylliczne interludium? - Wyładował się wiążąc pasek od szlafroka. - Powiem ci, jak długo to będzie trwało. Dwa lata w najgorszym, siedem w najlepszym wypadku! A co potem?

- Będę miała czas, żeby się zastanowić.

- Ostrzegam cię - warknął - gdy już raz ze mną zerwiesz, to koniec, gra skończona, Plum. Rozwód. Nie licz na to, że będziesz mogła wrócić i błagać o wybaczenie. Nie masz już dwunastu lat.

Rozdział dwudziesty piąty

Piątek, 29 maja 1992

Ciepła bryza buszowała w rudych włosach Plum, która stała w motorówce należącej do hotelu „Cipriani”, wiozącej ją przez zatokę w kierunku Piazza San Marco. Za placem wznosiła się budowla stanowiąca punkt orientacyjny dla całej Wenecji - Campanile di San Marco. Dawniej pod kolumnadą Piazza San Marco księżęta z całej Europy targowali się o podział zysków przed wyruszeniem na kolejne krucjaty. Dzisiaj robiło tutaj zakupy dwadzieścia tysięcy opalonych na brąz, obwieszonych kamerami turystów.

„Trudno uwierzyć, że Wenecja nie jest żywcem wyjęta z bajki - pomyślała Plum - albo że nie jest dekoracją do jakiejś opery”. W zasięgu wzroku pojawiały się coraz to nowe, przepiękne budowle centralnej Wenecji, przywołujące zapomnianego ducha romantyzmu. Wzdłuż kanałów stały podniszczone, lecz wciąż wspaniałe pałace o ścianach pomalowanych ciepłymi barwami; przeważał łagodny róż, kolor czerwonobrazowy i wszelkie odcienie brązu. Drzwi i okna otaczały zdobienia z białego marmuru. Tego samego surowca użyto także do budowy arkad i podcieni w prywatnych siedzibach oraz wystających z wód kanału słupów cumowniczych.

Z pierwszej wizyty w Wenecji pamiętała, jaką niespodzianką dla niej była wiadomość, że miasto wcale nie jest zbudowane na wodzie. Fundamenty budynków tworzących Wenecję postawiono na grupie ponad stu drobnych wysepek, skupionych na bardzo małym obszarze we wnętrzu zatoki, oddzielającej je od pełnego morza. Wyspy połączyła sieć mostów i mostków, przebiegających ponad wąskimi drogami wodnymi, używanymi w charakterze jezdni. ICanały te - nie zawsze miło pachnące - zapewniały obecnie wodne autobusy komunikacji miejskiej, skromne łódki, luksusowe prywatne motorówki i niezrównane czarne gondole, sterowane przez malowniczych *gondolieri*, w obowiązkowych słomianych kapeluszach z kolorowymi wstążkami.

Plum opuściła przystań i ruszyła pieszo w stronę Piazza, ponownie doświadczając uczucia, że została zminiaturyzowana i błądzi przez obrazy Canaletta lub Guardiiego.

Zatrzymała się wraz z mężem w hotelu „Cipriani”, w apartamencie z dwiema sypialniami. Atmosfera między nimi, na pokaz normalna, była w rzeczywistości bardzo napięta. Breeze robił wszystko, co w jego mocy, by wesprzeć ją w trudnej roli delegatki Wielkiej Brytanii, lecz nie potrafił dochować umowy, jaką zawarli przed wyjazdem, i przy każdej sposobności zatruwał jej myśli komentarzami na temat rozwodu, uprzykrzał dni złośliwymi uwagami w stylu „ten chłopek na stogu siana” i innymi podszytymi goryczą wyzwiskami. Plum, aby zachować spokój, twardo postanowiła nie słyszeć tego typu odzywek.

Obiecała też sobie, że na czas Biennale skoncentruje się na tej olimpiadzie świata sztuki i odrzuci wszelkie myśli o siedemnastowiecznych obrazach holenderskich mistrzów oraz o poszukiwaniu fałszerza. Francuska policja nie mogła wpaść na trop Tonona, który najwyraźniej skorzystał z ostrzeżenia i wsiąkł bez śladu. Przypuszczali, że opuścił Paryż i udał się za granicę. Mógł być teraz w dowolnym kraju, pod dowolnym nazwiskiem.

Zanim jednak definitywnie wyrzuci z myśli sprawę fałszerza obrazów, postanowiła skorzystać z okazji i porozmawiać z jedyną osobą, która do tej pory skutecznie jej umykała - z Charleyem Bomanem. Ojciec Charleya był konsultantem wielkiej wystawy kubistów w Buenos Aires. Obaj spędzili tam kilka miesięcy, ale na krótko zawitali do Europy, aby wziąć udział w największej fecie w całym kalendarzu światowych imprez związanych z malarstwem. Wydarzenia, które w tym tygodniu rozegrają się w Wenecji, są tym dla ludzi sztuki, czym Piłkarskie Mistrzostwa Świata dla miłośników piłki nożnej. Wenecja staje się w tych dniach po części jedną wielką salą balową, współczesnym muzeum, targowiskiem, a po części miejscem nawiązywania cennych kontaktów.

Ponieważ Plum była kandydatką do nagrody wystawioną przez Wielką Brytanię, jej czas i energię pochłaniały spotkania z ludźmi sprowadzonymi przez Breeze'a. Jako jej osobisty dealer pracował bez chwili wytchnienia, zamieniając cztery dni oficjalnego otwarcia w nie kończące się pasmo spotkań towarzyskich. W tych dniach, nim do imprezy zostanie dopuszczona publiczność, kolekcjonerzy szukają obrazów, które mogliby zakupić po specjalnych cenach, dealerzy chętnie podpisują kontrakty z nowymi gwiazdami, inne kontrakty są zrywane albo przedłużane, obmyśla się przyszłe wystawy, planuje książki, artyści eksperymentujący ze sztuką znajdują świeże recenzje, a dziennikarze przeprowadzają wywiady z każdym, kto choć trochę się liczy.

Plum weszła na Piazza, jednocześnie umykając w cień przed oślepiającym słońcem. Wyszukując drogę w tłumie turystów, powoli zbliżała się do „Cafe Florian”. Lokal przez cały dzień pozostawał poza zasięgiem promieni słonecznych, przez co stał się plotkarskim centrum dla gości Biennale. Nad szklanką mrożonej kawy lub kieliszkiem *Bellinis* - świeży sok brzoskwinowy zmieszany z szampanem - przy stolikach stojących w eleganckim, dekorowanym lustrami wnętrzu kawiarni oraz przy tych, które ustawiono na zewnątrz, bezustannie przekazywano sobie pogłoski i dzielono się przypuszczeniami. Bez skrupułów obgadywano reprezentantów poszczególnych krajów, artystów, jurorów i laureatów z lat poprzednich. Potwierdzano najbardziej karkołomne tezy, szeptano o podejrzanym machinacjach, mających na celu przekupienie jury. Choć niemal wszyscy powtarzali te sensacyjne wieści, mało kto wierzył w jakąś znowę czy przyjmowanie łapówek przez dystyngowanych jurorów.

Breeze wyznawał zasadę, że najskuteczniejszym i najtańszym sposobem wywarcia wpływu na jurorów jest zapewnienie odpowiedniej kampanii prasowej. Takie kampanie zostały w tym roku rozkręcone przez wielu dealerów i wszystkie kraje biorące udział w Biennale. Na uroczystości przybyło wielu Amerykanów, w festynie organizowanym przez Francuzów, jak zwykle, miał wziąć udział prezydent Mitterrand, a Brytyjczycy urządzali bal maskowy przy świecach, na który zaproszono tysiąc osób. Na miejsce balu wybrano gotycki *palazzo* przy Wielkim Kanale, którego umeblowanie i wystrój wewnątrz nie zmienił się od czasu nabycia pałacyku przez pewną wenecką rodzinę, czyli od końca osiemnastego wieku. Plum była zaproszona na maskaradę jako gość honorowy. Zamierzała ubrać się w białą tiulową suknię bez ramiączek, sięgającą do kolan i ozdobioną czarnymi, plastykowymi gwiazdami. A do tego białe, bogato zdobione pantofle.

Dotarła do kawiarni „Florian” i przeczesła wzrokiem stoliki w poszukiwaniu Charleya. Ktoś zawołał ją po imieniu. Jenny machała do niej od jednego z najbardziej zatłoczonych stolików. Jenny nie zatrzymała się w hotelu. Zamieszkała na stacji u zubożałej *contessa*, w starym, zniszczonym *palazzo* przy jednym z mniej eleganckich kanałów.

Plum pomachała przyjaciółce i ruszyła w kierunku stolika, przy którym samotnie siedział Charley. Ścigał ją szmer szeptów.

- Patrz tylko, to Plum Russell. Wybrali ją zamiast Richarda Hamiltona. Nie do wiary, co?
- Słyszałam, że zdążyła już przespać się z jurorem z Hiszpanii...
- Wydawało mi się, że chodziło o jurora ze Stanów...
- Ale to chyba kobieta?
- No właśnie!
- Breeze zaferował ją wszystkim...
- Nie ośmieliliby się. Przecież ona już od lat jest kochanką jurora z Wielkiej Brytanii...

- Boże, broń mnie od tych dziwek! - warknęła Plum, siadając na krześle.
- I złych dowcipów - dodał Charley z uśmiechem. Temat przewodni Biennale, „Portret kobiety”, stał się zarzewiem sprośnych dowcipów, opowiadanych w wielu językach.

Charley zamówił mrozoną kawę, a potem uniósł kciuk w geście wyrażającym zachwyt.

- Ładny strój.

Miała na sobie kremową jedwabną sukienkę z wycięciem na plecach i miękkie, jedwabne sandały w kolorze moreli.

- Ty też wyglądasz bardzo szykownie - odpowiedziała komplementem, z uśmiechem wpatrując się w ciemne oczy mężczyzny, przynajmniej raz nie skażone troskami.

Charley miał na sobie różową koszulę od Christiana Diora i dwurzędowy garnitur od Armaniego, uszyty z jasnobieżowego jedwabiu. Zawsze nosił fantastyczne ubrania i każdy element stroju był idealnie dobrany do reszty ubioru. Tylko jego nieprzyjemnie wąskie usta - odziedziczone po ojcu - stały na przeszkodzie, by można było uważać Charleya za przystojnego.

Plum położyła na stoliku i pchnęła w jego stronę cienką książeczkę.

- Przyniosłam ci mój katalog. Podoba ci się?

Był to produkt specjalistów z British Council. Na niezwykle kolorowych stronach przedstawiono artystyczną ewolucję Plum, dwa wywiady z szanowanymi brytyjskimi krytykami oraz fotografie wystawianych w Wenecji obrazów - sześć płócien, które namalowała od chwili uzyskania nominacji w poprzednim roku.

- Pięknie się sprawili... - Po wymianie szablonowych plotek Charley zapytał: - Słyszałaś wieści z Londynu o Jaimie Lorimerze?... Dopiero co został aresztowany.

- Co?!

Plum zastanawiała się, dlaczego nigdzie nie zauważyła Lorimera. Zwykle zatrzymywał się w hotelu „Cipriani”.

- To szczerza prawda - rzekł Charley i opowiedział historię Jaimie Lorimera.

W złotych latach handlu dziełami sztuki, czyli pod koniec lat osiemdziesiątych, Lorimer namówił grupę biznesmenów, aby zainwestowali w jego galerię. Obiecywał w zamian duże zyski ze sprzedaży obrazów, których odbiorcami byli zarówno prywatni kolekcjonerzy, jak i muzea. Z początku płacił biznesmenom umówione sumy i nawet załamanie cen na obrazy zdawało się nie mieć żadnego wpływu na ciągłość wypłacania im profitów.

W rzeczywistości pieniądze przekazywane inwestorom nie pochodziły z zysków ze sprzedaży obrazów, lecz ze środków wnoszonych przez następnych inwestorów, którzy byli przekonani, iż robią doskonały interes: Jaimie miał długą listę obrazów przeznaczonych do sprzedaży. Dobrych obrazów. Problem

w tym, że obrazy z tej listy albo w ogóle nie istniały, albo były własnością kogoś innego. Zapaść na rynku dzieł sztuki wciąż się pogłębiała i Lorimer wpadł w panikę. Próbował pokryć swoje straty grą na giełdzie. Przegrał.

- Podobno - mówił Charley - gdy policjanci wdarli się do tajnego gabinetu Lorimera, znaleźli tam całą płataninę kabli i nie było jakie elektroniczne wyposażenie: komputer na bieżąco analizujący zawiązywane transakcje, bezpośrednie telewizyjne połączenia do prowadzenia gry giełdowej, przewód dostarczający najświeższe wiadomości ze świata finansów i zamknięty obwód telewizyjny.

- Jesteś pewny? - Plum natychmiast rozważyła konsekwencje zaistniałych faktów. - Nie jest to tylko plotka?

- Obawiam się, że nie. Przygnębiające, prawda? Chociaż - nie omieszkaj dodać - nie wydaje mi się, żeby Breeze się zmartwił, że jego największy rywal wypadł z gry.

- Breeze nie ma zwyczaju cieszyć się z cudzego nieszczęścia - odparła zwięźle.

Lubiła Lorimera i zawsze żałowała, że z powodu niechęci, jaką darzył go Breeze, nie mogła tego mężczyzny poznać bliżej. Jedno było pewne: to, co przed chwilą usłyszała, jednoznacznie usuwało Lorimera z listy podejrzanych. Gdyby był zamieszany w fałszowanie obrazów, nie umieszczalby w swoim katalogu nie istniejących malowideł; posłużyłby się fałszyfikatami.

Zdała sobie sprawę, że nadarza się wspaniała okazja do poruszenia zasadniczego tematu, przewidzianego przez nią na tę rozmowę.

- W dzisiejszych czasach wielu ludzi omija prawo, desperacko próbując poprawić stan swoich interesów. Charley, czy uważasz, że to, co robił Jaimie, było nieuczciwe?

- Oczywiście. Przecież za to został aresztowany! Za malwersacje.

- Za oszukiwanie ludzi. - Plum spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. - Na tym chyba polega malwersacja, czyż nie, Charley? Na stwarzaniu fałszywych pretekstów i wyciąganiu od ludzi pieniędzy.

Twarz Boman pod spojrzeniem Plum zaczęła oblewać się czerwonym rumieńcem.

- Zapomnijmy o tym, Plum. Nie wiedziałem, że ten skandal wstrząśnie tobą aż tak bardzo. Nie przejmuj się Lorimerem.

- Nie przejmuję się Lorimerem. - Wciąż mierzyła go lodowatym spojrzeniem. - W handlu dziełami sztuki istnieje wiele sposobów na oszukiwanie ludzi. Mam rację, Charley?

Boman powoli opuścił oczy i wlepił wzrok w filiżankę z kawą

Plum nie spodziewała się, że tak łatwo uda jej się złamać Charleya - albo tak szybko. „Mili faceci nie są kanciarzami” - powiedziała sobie, starannie dobierając słowa do dalszego ataku.

- Wiem, czym się zajmujesz, Charley. Opowiedziałam już o tym brytyjskiej policji, która współpracuje w tej sprawie z policją francuską.

W jego oczach pojawiło się przerażenie.

- A co ty możesz wiedzieć?

- Możemy wymienić informacje - zaproponowała Plum. Dojrzała na jego twarzy oznaki wewnętrznej walki.

Z wyraźnie widocznym wysiłkiem Boman starał się zapanować nad głosem, ale nie osiągnął zadowalających rezultatów.

- Plum, nie mam pojęcia, o czym ty, do cholery, mówisz! Jeżeli sugerujesz, że byłem zamieszany w sprawę Lorimera...

- Nie, Charley, mówię o twojej sprawie.

- Nie mam zamiaru słuchać tych obelg!

Rzucił na blat kilka banknotów, odsunął krzesło od stolika i wyszedł z kawiarni.

Plum skoczyła na równe nogi i pobiegła za nim, lawirując między stolikami.

Tuż za drzwiami chwyciła rękaw jego kremowego garnituru.

- Charley, żaden problem nie został jeszcze rozwiązany ucieczką od niego.

Boman wydłużył krok.

- Charley - syknęła - jeżeli nie zatrzymasz się i nie porozmawiasz ze mną, pójdę prosto do twojego ojca i powiem mu wszystko, co wiem.

Stała w miejscu i szarpnęła Plum za rękę.

- Jeśli choć zbliżysz się do mojego ojca, to... to... to zabiję cię!

Spoglądał na nią oczami zaszczutego zwierzęcia.

- A więc to byłeś ty!

- Do cholery! O co ci chodzi?!

- Ty skurwielu! To ty wysłałeś te anonimy z groźbami! - Ze złością wyrwała rękę z jego uścisku. - Idę do Breeze'a!

Zostawiła Bomaną i szybkim krokiem szła w kierunku Bacino di San Marco, gdzie cumowała hotelowa motorówka.

Charley przez chwilę tkwił w miejscu, jak sparaliżowany osłupieniem, a potem rzucił się za Plum.

- Nigdy nie pisałem żadnych listów z groźbami! Jakimi groźbami?

Plum przystanąła. Poszukała wzrokiem jego oczu i jak biczem smagnęła go słowami:

- Groziłeś mi śmiercią!

- Plum, nic z tego nie rozumiem... - Wyglądał na autentycznie zdumionego.

- Przestań wygadywać takie bzdury!

- Nie trać czasu na zwodzenie mnie! - warknęła. - Policji nie uda ci się oszukać!

- Na miłość boską, Plum! Nie idź na policję! Bo mój ojciec... Dobrze, porozmawiajmy. - Rozejrzał się po tłumie turystów. - Gdzie nikt nie będzie nas podsłuchiwał?

- Może w Bazylice?

Wskazała najśłynniejszy kościół w Wenecji. Nie miała zamiaru iść z Bomanem w żadne odludne miejsce. Przed chwilą, gdy groził jej pozbawieniem życia, odżyły wszystkie dawne lęki. Dla bezpieczeństwa chciała mieć w zasięgu krzyku wielu ludzi.

Przecięli Piazzetta i pod wspaniałymi łukami weszli w dostojne zacisze świątyni. Niewielkie grupki turystów w skupieniu słuchały swoich przewodników, oddychając kojącym zapachem palących się kadzideł. Plum znalazła odpowiednie miejsce na tyłach kościoła, gdzie byli na wpół ukryci w mroku.

- Musisz zrozumieć, jak to się zaczęło - szeptał Boman. - Wiesz, każdy wie, że muszę opiekować się ojcem. A on jest męczącym, zgryźliwym, starym skąpcem. Zostało mu to z czasów, gdy był bez grosza, zanim odziedziczył pieniądze ciotki Polly i mógł poślubić moją mamę. Nie wiem, czy naprawdę ją kochał, wiem tylko, że nie zachowywał się tak, jakby ją szczerze kochał. Był snobem, a małżeństwo dawało mu wiele pożytecznych kontaktów. Mama chroniła mnie przed jego humorami, ale umarła, kiedy miałem czternaście lat. Skończyło się tym, że nieustannie mam go na karku.

Plum syknęła z niecierpliwością.

- W jaki sposób ta łzawa historyjka o zepsutych klasach wyższych wiąże się z oszustwami?

- Cierpliwości - prosił Charley. - Mój wielki problem objawił się, gdy poszedłem na uniwersytet. Tato nie dawał mi dużo pieniędzy, zawsze tak było i wciąż jest. Bał się, że mógłbym go opuścić. Z tego samego powodu jest wściekle zazdrosny, kiedy zbyt blisko wiąże się z jakąś kobietą.

- To dlatego twoje romanse kończyły się niczym?

- Nie kończyły się niczym. W domu zawsze dochodziło do wielkiej awantury.

- Sądziłam, że lubisz przebywać w towarzystwie ojca. Myślałam, że to ty chcesz się go trzymać.

- Boże broń! - Pełne dezaprobaty spojrzenia pobożnych gości Bazyliki zmusiły go do ściszenia głosu. - W Cambridge wszyscy wiedzieli, że tata jest bardzo bogaty, a nikt nie chciał wierzyć, że nie daje mi ani grosza. Przyjęli założenie, że to ja jestem skąpcem. Czułem się zmuszony do udowodnienia, iż założenie to jest bezpodstawne. Nie minęło wiele czasu, a wpadłem w pokaźne długi. Ojciec musiał mnie wykupić. Wpadł we wściekłość; powiedział, że jeżeli jeszcze raz zrobię coś takiego, wydziedziczy mnie. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że był w stanie to zrobić. - Wzruszył ramionami. - Naturalnie, jak każdy student, nie przykładałem do tej gadki żadnej wagi. Wiedziałem, że z chwilą gdy otrzymam dyplom i rozpocznę pracę, ojciec nie będzie mógł sprawować nade mną kontroli. Niestety, myliłem się.

- Co się stało?

- Gdy wróciłem z Cambridge, ojciec nie wyraził zgody na rozpoczęcie przeze mnie praktyki zawodowej... Był wtedy chory, przeszedł niegroźny zawał, lecz należało dbać, by nie podskoczyło mu ciśnienie. Powiedział, że mnie potrzebuje. Nikogo innego, tylko mnie. Do czasu, aż znowu będzie mógł stanąć na nogi.

- I tak zostałeś jego osobistym sekretarzem? Sekretarzem bez pensji?

Charley skinął głową.

- Kiedy zdarzało mi się poruszać sprawę wynagrodzenia, ojciec wrzeszczał, że płaci moje rachunki, że za darmo żyję sobie w jednym z najpiękniejszych domów w hrabstwie Kent. A za chwilę osładzał wrażenie próbą przekupstwa: przypominał mi, że przecież jestem jego jedynym spadkobiercą i pewnego dnia stanę się właścicielem bezcennej kolekcji obrazów. Powiniennem zatem nauczyć się dbać o interesy. - Podniósł wzrok na Plum i ze smutkiem powiedział: - Oczywiście, byłem zachwycony rolą jedynego spadkobiercy, chociaż zdawałem sobie sprawę, iż ojciec może żyć jeszcze wiele lat i nie mam żadnych gwarancji, że w ogóle cokolwiek dostanę... Robi się z niego wstrętny, złośliwy staruch, zwłaszcza gdy podejrzewa, iż ktoś knuje przeciwko niemu.

- Dlaczego po prostu... nie odejdziesz?

- Wiele razy mówiłem sobie: „Pluj na jego pieniądze! Wyrwij się z tego potrzasku!” Ale kiedy spróbowałem pójść za tym wewnętrznym głosem, ojciec wprawdzie nie wydziedziczył mnie, lecz zrobił coś, co do dzisiaj przyprawia mnie o dreszcze.

- Cóż takiego?

- Zaczął płakać. Potem cały trząsł się jak osika, dostał napadu hysterii i dosłownie rozpadł się na kawałki. Zacząłem martwić się o jego ciśnienie, więc wezwałem lekarza. Uspokoił mi tatę i położyliśmy go do łóżka. Wtedy powiedział mi na ucho, że jeśli go opuszczę, popełni samobójstwo. Zapytał też: jak myślę, co powiedziała by na to mama?... On doskonale wie, jakie cholerne guziczki nacisnąć, aby człowiek czuł się winny! Obiecał, że zrobi wszystko, bylebym został. Wróciłem do sprawy wynagrodzenia i otrzymałem zapewnienie, że będę je dostawał.

- Co było potem?

- Wykręcał się przez kilka tygodni, aż wróciła mu pewność siebie... Przecież nie spełniłem swojej groźby i nie odszedłem, czyż nie? Znowu poczuł się wszechmocny i bezpieczny. Stopniowo sytuacja wróciła do normy, nie doczekałem się żadnej odmiany. Kiedy znowu osiągnąłem próg wytrzymałości i powiedziałem mu, że wynoszę się z domu, wszystko powtórzyło się od początku.

- Nie możesz odejść bez słowa?

- Spróbowałem i tego. Pamiętasz, zamieszkałem na jakiś czas z Jenny, ale nie trwało to długo... Pewnej nocy ojciec zajechał pod dom swoim rollsem, zaparkował pod oknami, a potem przez godzinę dzwonił do drzwi, trąbił

klaksonem i krzyczał, wołając swego syna. Sąsiedzi wezwali policję, a ojciec powiedział funkcjonariuszom, że został wyrzucony z własnego domu. Gliniarze zmusili nas do otwarcia drzwi. Ojciec wdarł się do środka i zemdłał w salonie. Do piątej rano nikogo nie pozbyliśmy się z mieszkania... Przekonałem się na własnej skórze, że z ojcem na karku nie mam co marzyć o małżeństwie. Zawahał się.

- Mówiąc szczerze, było coś jeszcze. Mieszkalem z Jenny prawie miesiąc i z wolna docierało do mnie, że, pod pewnym względem, mogłem po prostu wpaść z deszczu pod rynek. Zamiast swobody, miałbym na karku kogo innego.

- Ten sam stary problem - westchnęła Plum.

Charley omyłkowo odczytał to stwierdzenie jako wyraz współczucia. Z przejęciem mówił dalej:

- Ojciec zawsze był popędliwym, starym chłopczykiem. Aż tu nagle, cztery lata temu, lekarz powiedział mi po cichu, że ojciec traci władzę umysłową. Jego wzrok i słuch nie funkcjonowały już jak dawniej. Ostrzegł mnie, że ojciec może nie odpowiadać za swoje zachowanie.

- Choroba Alzheimera?

- Początki. Na razie nie jest jeszcze źle. Ojciec ma tylko napady paranoi, wrzeszczy, oskarża, że usiłuję się go pozbyć, aby odziedziczyć tę jego cholerną kolekcję. - Pokręcił głową. - Jak już wspominałem, nie zdziwiłbym się, gdybym nie odziedziczył absolutnie niczego... Ostateczna kara, złośliwa zemsta ojca może polegać na tym, że zostawi wszystko Master-sowi.

- Komu?

- Stanleyowi Mastersowi. - Z pogardą dodał: - Od dwudziestu lat jest osobistym kierowcą ojca. To wredny, rządzący się jak szara gęś pedzio, uwielbający paradowanie w uniformie. Ojciec nigdy nie pozwoliłby powiedzieć złego słowa o tym zadowolonym z siebie skurwielu.

Plum dobrze pamiętała drobnego, sztywnego mężczyznę z rudawym wąsikiem.

- Ale dlaczego twój ojciec miałby zostawiać cały majątek szoferowi... chyba, że... - zawiesiła głos, mierząc Charleya uważnym spojrzeniem.

Grymas rozgoryczenia zmącił rysy Bomana.

- Często zastanawiałem się... Moja biedna mama też... Masters został zatrudniony przez ojca na kilka lat przed jej śmiercią i od samego początku wszędzie mu towarzyszył. Nadal mu towarzyszy. - W złości podniósł głos. - Cokolwiek robi, na pewno jest bardzo dobrze opłacany!

- Ciiii! Chyba nie chcesz, żeby nas stąd wyrzucili? - ostrzegła, obserwując kątem oka turystów. - Charley, wciąż nie rozumiem, dlaczego mi to wszystko mówisz.

- Próbuję uświadomić ci, dlaczego nie uważam tego, co robiłem, za nieuczciwe. Rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. Sprzedawanie falsyfikatów jest nieuczciwe.

- Ależ te obrazy nie są falsyfikatami!

Jakaś modląca się kobieta obrzuciła Bomaną oburzonym spojrzeniem.

- Wszystkie obrazy, które sprzedałem - powiedział szeptem - były autentyczne.

Nagle Plum zdała sobie sprawę, czym zajmował się Charley.

- Jak ci się udało je zamienić?

- Zdejmowałem ze ściany niewielki obraz, omijając te ulubione przez ojca, i zabierałem go do Billa Hobbsa. Zawsze znajdowałem jakąś wymówkę, na przykład udawałem, że zostawiłem teczkę i wracałem do domu. Upychałem obraz do teczki, a na ścianie wieszałem jeden z przechowywanych w mojej sypialni, bo służba natychmiast doniosłaby o brakującym płótnie. W razie czego miałem pod ręką wiele wymówek. Gdyby ktoś pytał, powiedziałbym, że brakujący obraz został odesłany do oczyszczenia. Ale nikt nigdy nie pytał. Potem wybieraliśmy się w jakąś podróż, toteż Bill miał mnóstwo czasu na skopiowanie dzieła.

- Więc zastępowałeś oryginał kopią wykonaną przez Billa, a oryginał sprzedawałeś w Paryżu?

- Myślałem, że wiedziałś. Oczywiście sprzedawałem tylko mniej znane obrazy, które nie byłyby rozpoznane.

- Nie były fotografowane do katalogu Levi-Fontaine?

Charley zaprzeczył.

- Zawsze prosiłem o dyskrecję, wiesz, osobne rozmowy z prywatnym kolekcjonerem, cicha oferta i gotówka do ręki. Obraz nigdy nie był licytowany.

- Wyzywająco dodał: - Mam nadzieję, że nie zostanę zdemaskowany przed śmiercią ojca. Jeśli zostawi wszystko temu pedziowi Mastersowi albo zapisze jakiejś charytatywnej organizacji opiekującej się biednymi jednookimi kotami, będę przynajmniej coś miał za lata niewolniczej pracy. A jeśli zostawi wszystko mnie, no, cóż, w takim wypadku pożyczylem tylko pieniądze z mojego przyszłego spadku. Prawda?

Było jej żal Charleya, ale kradzież zawsze pozostanie kradzieżą, nawet jeśli okrada się kogoś z rodziny. Zrozumiała też, że straciła kolejnego podejrzanego.

Piątek, 5 czerwca 1992

Aby zorganizować imprezę takiej rangi jak Biennale w Wenecji, konieczne jest współdziałanie na skalę międzynarodową. Niestety, organizacja nie była

najmocniejszą stroną Biennale. Winę za słynny już bałagan panujący w całej Wenecji podczas trwania imprezy zrzucano na brak funduszy i normalną, biurokratyczną szamotaninę. Ponieważ o weneckim festiwalu sztuki zawsze jest głośno w całym świecie i niezmiennie wywołuje on poważne kontrowersje, rokrocznie odzywa się wiele głosów, że impreza jest kontrolowana przez rząd włoski. Prawdopodobnie tylko nieliczni spośród politycznych sługusów mieli jakiegokolwiek doświadczenie w organizowaniu imprez tego typu, a już na palcach jednej ręki dałoby się zliczyć tych, którzy znali się na współczesnej sztuce. Autorytety nie miały w zasadzie nic do powiedzenia. Wszystko mogło się zawalić tuż przed samym otwarciem festiwalu. Urzędnik, z którym w marcu były czynione pewne ustalenia, mógł w czerwcu zniknąć bez wieści, a jego następcą mógł beztrudno wszystkim zaprzeczyć. W 1974 roku, po wścieklej kłótni wśród włoskich polityków, doszło wręcz do odwołania imprezy.

Nic dziwnego, że w pierwszy poniedziałek czerwca nerwy wszystkich uczestników Biennale napięły się jak postronki, dało się zauważyć tylko nieliczne oznaki *entente cordiale*.

Wszyscy byli krańcowo wyczerpani, lecz mieli trzy dni prywatnych sesji na wypoczynek. W środę, czwartek i piątek autobusy wodne ścigały się z gondolami i prywatnymi statkami, dowożąc gości Biennale do ogrodów Giardini di Castello.

Główna część międzynarodowej wystawy mieściła się w centralnym pawilonie. Wokół niego rozrzucono trzy tuziny pawilonów narodowych. Budynek z brytyjską ekspozycją wyglądał jak włoska wersja typowej dla Anglii posiadłości wiejskiej; budynek niemiecki przypominał blok z architektury lat trzydziestych Alberta Speera; rosyjski przypominał miniaturowy minaret ze stepów; i tak dalej, i tak dalej... Pod kolumnadami Aperto, dawnej fabryki sznurów, wystawiało swoje prace siedemdziesięciu pięciu młodych artystów - jeśli liczyć tylko tych zaproszonych. To właśnie tutaj można zobaczyć, co nowego, oryginalnego i kontrowersyjnego ma do zaproponowania współczesna sztuka: artystycznie nabita na palik gnijąca głowa krowy, bajecznie kolorowe fotografie głów i korpusów, wąż strażacki w otoczeniu śmieci zebranych z ulic Nowego Jorku - takie rzeczy.

Grupa wybitnych jurorów z całego świata ostatni raz rzuci okiem na eksponowane obrazy w piątkowe popołudnie, po czym wieczorem uda się na posiedzenie. Później już tylko krótka przerwa na kolację i ostateczne głosowanie. Tego samego wieczoru Wenecję obiegą pierwsze, jeszcze gorące plotki. W sobotę rano wszyscy będą już przekonani, że znają zwycięzcę, choć jego nazwisko zostanie podane do publicznej wiadomości dopiero w sobotę wieczorem. Ceremonia wręczenia nagród tradycyjnie odbywa się w niedzielę rano.

Choć bez przerwy powtarzała sobie, że nie powinna mieć żadnych złudzeń co do zdobycia głównej nagrody, w piątek była spięta i podenerwowana. Nie mogła się skoncentrować na lekturze książki czy nawet kolorowego magazynu. Szerokim łukiem omijała Giardini, unikała ludzi, warczała na Breeze'a, gdy mówił, że jej stan jest zrozumiały.

Z sympatią zasugerował:

- Przejdź się do Galeria dell' Accademia. Plum, te cudowne obrazy Carpaccio czy Tycjana sprawią, że zapomnisz o całym bożym świecie.

Tego dnia nie mogła jednak skupić się nawet na obrazach. Postanowiła pójść na długi spacer.

Uwielbiała kluczyć po wąskich uliczkach Wenecji, oferujących zaskakujące widoki za każdym załomem muru.

Założyła wielkie okulary przeciwsłoneczne, przepaskę na włosy, niebieskie dzinsy i zwykłą bawełnianą koszulkę. Taki strój zapewniał jej anonimowość, wreszcie mogła w pełni rozkoszować się atmosferą miasta, delectować unikalnym wilgotnym aromatem, wydzielanym przez stojącą wodę, zabarwianą gnijącą kapustą i nieczystościami. Równy marszowy krok koił jej nerwy. W pewnej chwili skręciła w boczną, wąską uliczkę i znalazła się tuż przed garbatym mostkiem, na którym jakaś kobieta karmiła gołębie. Ptaki siedziały na jej barkach i wyprostowanych ramionach, moszcząc się na siwych, poplątanych włosach.

- *Sono miei amici* - powiedziała kobieta, ni to do Plum, ni to do siebie, i roześmiała się.

Plum wyminęła ją i za zakrętem znalazła filigranowy renesansowy kościółek. Nie zatrzymywała się. W chwilę później następny zakręt zaprowadził ją na zatłoczoną Piazza, zamkniętą z jednej strony przez ogromne wrota z kutego żelaza, za którymi w skromnym porośniętym różami ogródku bawiły się dwie małe dziewczynki. Z Piazza skręciła w uliczkę, która doprowadziła ją na wyludniony pomost. Pusta czarna gondola przycumowana do pała pomalowanego w turkusowe i złote pasy posyłała Plum tajemnicze zaproszenie, zupełnie jakby to Przeznaczenie umieściło ją na drodze. Przez sekundę miała wielką ochotę wejść na pokład stateczku, lecz zaraz nadeszła z przeciwnego kierunku trzymająca się za ręce, zajęta sobą para. Mężczyzna wszedł do gondoli, z galanterią pomógł wsiąść kobiecie i pocałował ją. Gondolier odwiązał łódź i chwycił wiosło. Mężczyzna w gondoli roześmiał się głośno, otwierając butelkę szampana.

Plum poprawiła na nosie okulary słoneczne i zasłoniła dłonią dół twarzy. Była pewna, że Victor Marsh nie chciałby zostać rozpoznany w towarzystwie Betsy - głównej asystentki Suzannah.

W tym samym czasie w sali konferencyjnej zebrało się jury na obrady. Czy tych siedmiu dostojnych jurorów można było posądzić o uprzedzenia? Z całą pewnością tak. Tam, gdzie konkuruje ponad czterdzieści krajów, siedmiu jurorów łatwo może przepchnąć swojego faworyta. Duma narodowa często skłania do stawiania na uprzywilejowanej pozycji startujących w Biennale rodaków, jak to ma miejsce, na przykład, na międzynarodowych zawodach w łyżwiarstwie figurowym.

Na osąd jurorów mają wpływ jeszcze inne czynniki: przedstawiciele dwóch rywalizujących krajów mogą darzyć się taką niechęcią, że celowo nie będą głosować na artystę z kraju rywala. Zawsze też obradom jury towarzyszą gorzkie uprzedzenia wobec przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, którzy mają za sobą najbogatsze i najpotężniejsze państwo z ogromną liczbą artystów pretendujących do nominacji.

Prywatne rywalizacje autorytetów, gorycz podszyta zawiścią i antagonizmy świata sztuki także mają istotny wpływ na decyzje. Dodatkowo włoski sędzia jest szczególnie podamy na układy polityczne, a wszyscy, jak jeden mąż, na pochlebstwa.

Na koniec okoliczność, która zawsze ma wpływ na decyzje szanownego grona: wszyscy jurorzy wiedzą, że ogłoszenie zwycięzcą, przy dźwięku uroczystych trąb, nieobecnego artysty jest w najlepszym wypadku niezręczne, a już na pewno psuje podniosłą atmosferę. Nieobecny laureat nie może dawać wywiadów, dzięki którym idea Weneckiego Biennale ma szansę zostać rozpropagowana w szerokim świecie.

Wszystkie te warunki wyznaczały kierunek myślenia siedmiorga sędziów zajmujących miejsca wokół obitego suknem stołu konferencyjnego. W fotelu przewodniczącego zasiadł Renato Dotelli, cywilny urzędnik państwowy, doradca ministra kultury i sztuki, bliski przyjaciel włoskiego premiera. Ten pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, ubrany w niezwykle elegancki kremowy garnitur, był powszechnie znany z racji swej niewzruszonej postawy jako doskonały przewodniczący posiedzeń każdego gremium. Słyszał też z tego, że łatwo ulegał wdziękom pięknych kobiet oraz okazywał szaloną niechęć do homoseksualistów.

Narada rozpoczęła się w przyjaznej atmosferze. Wszyscy byli jednomyślni co do jednej sprawy: zwycięzca pochodzący z dyskryminowanego narodu lub rasy - na przykład aborygen z Australii - zapewniłby znakomitą prasę. I jak zwykle żaden z jurorów nie uwzględnił tej konkluzji podczas głosowania.

Bardzo szybko zawężono krąg kandydatów do dziesięciu w każdej kategorii. Do rozdania były następujące nagrody: Złoty Lew dla najlepszego malarza i najlepszego rzeźbiarza, nagroda za pawilon z najlepszą narodową ekspozycją

oraz Premio 2000, dla najlepszego artysty poniżej trzydziestego piątego roku życia.

Zasiadająca w jury Amerykanka, ponura, absolutnie pewna siebie kobieta, była dyrektorem jednego z najznakomitszych amerykańskich muzeów. Szybko dała do zrozumienia, że już zadecydowała, kto powinien otrzymać nagrodę Premio 2000. Jej kandydatem był Saul Abraham Jacob, zaangażowany politycznie młody rzeźbiarz żydowskiego pochodzenia, którego ogromne falliczne grupy wywierały na widzu kolosalne wrażenie. Niewzruszona pewność siebie i brak taktu pani Elderdale rychło wyprowadziły z równowagi jej kolegów z jury.

Pierwszy rozpoczął spór juror z Wielkiej Brytanii, ortodoksyjny Żyd. Wydawca magazynu „Global Review”, przystojny mężczyzna o oliwkowej barwie skóry, świetny mówca i organizator, był stanowczo przeciwny kandydaturze Jacoba. Jego zdaniem postać rzeźbiarza już w przeszłości wzbudzała falę antysemickich komentarzy. Nie ma potrzeby, aby sytuacja się powtórzyła.

Do dyskusji włączył się przedstawiciel Hiszpanii, znacząca postać w świecie sztuki z racji posiadania fantastycznej kolekcji współczesnej rzeźby. Smagły, z lekką nadwagą, pochodził z biednej wiejskiej rodziny z Andaluzji. Obecnie posiadał ogólnoswiatową sieć tanich *farmacias*. Niestety, jego napastliwe, agresywne zachowanie często przysparzało mu antagonistów wśród ludzi, u których powinien szukać poparcia. W swojej wypowiedzi poparł kandydaturę Saula Abrahama Jacoba.

Wtedy wtrącił się juror z Francji. Jasno i precyzyjnie, trzymając się sedna problemu, stwierdził, że w normalnych warunkach cieszy go wszystko, co kontrowersyjne. Jednak goszcząc na zorganizowanym przez Jacoba oficjalnym spotkaniu miał okazję usłyszeć, z jaką pogardą i jawnym lekceważeniem ten artysta wypowiada się o jurorach Biennale. Taki brak oglądy jest niewybaczalny.

Gdy dyskusja zaczynała przekształcać się w pospolitą kłótnię, najczęściej rozsądkiem wykazał sędzia z Japonii, sugerując pewne kompromisowe rozwiązania. Wysoki, jak na Japończyka, miał na sobie ciemny, modny garnitur. Otaczała go aura autorytetu. Pełnił funkcję dyrektora Muzeum Sztuki Współczesnej i Wzornictwa w Tokio. Charakteryzował go niezwykle talent organizatora, wyczucie i wytrwałość w dążeniu do celu. Chcąc osiągnąć ten cel, najpierw starannie go skrywał, by w odpowiednim momencie zadziałać osobistym czarem.

Kościsty juror z Niemiec także usiłował pogodzić zwaśnione strony. Bezskutecznie. Zajmował stanowisko Naczelnego Zarządcy Fundacji Sztuki Dietricha, założonej przez jego dziadka (poplecznika nazistów) z zysków olbrzymich stalowni, zlokalizowanych w Zagłębiu Ruhry. Wprawdzie należał do grona błyskotliwych wykładawców akademickich, lecz był nieśmiały

i powściągliwy, toteż jego wysiłki pohamowania kolegów okazywały się bezowocne.

Jurorzy zaczęli krzyczeć na siebie. Odżyły na nowo stare konflikty, wypływały na wierzch zadawnione urazy. W końcu przewodniczący obrad, zarówno głodny, jak znudzony, zapowiedział rozpoczęcie pierwszej tury głosowania na laureata nagrody Premio 2000. Potem miała nastąpić przerwa na kolację. Głosowanie było tajne. W pokoju zapadła absolutna cisza, gdy jurorzy zapisywali swoje typy na kawałkach papieru.

Zgodnie z przewidywaniami przewodniczący głosował na włoską malarkę tworzącą w pastelowych barwach, przedstawicielkę nurtu mistycznego, angażującego na potrzeby twórcy symbole alchemiczne, retorty, pentagramy oraz inne alegorie typowe dla Nowej Ery.

Brytyjczyk i Francuz głosowali na Hindusa malującego miniaturowe, wysmakowane abstrakcje, z upiornymi zestawieniami kolorów. Japończyk oddał swój głos na najmłodszego uczestnika Biennale, dwudziestoczoletniego szwedzkiego rzeźbiarza tworzącego w drewnie i innych naturalnych materiałach, które dawały zaskakujące, lecz miłe dla oka efekty.

Jurorzy z Niemiec, Hiszpanii i Stanów Zjednoczonych zgodnie głosowali na Saula Abrahama Jacoba. Klótnia, jaka rozgorzała po odczytaniu wyników, przeciągała się podczas kolacji.

Przed przystąpieniem do drugiego głosowania wszyscy zdawali sobie sprawę, iż konieczny jest jakiś kompromis - w przeciwnym wypadku jury nigdy nie będzie mogło wydać jednoznacznego i ostatecznego wyroku. Jednak nikt nie był w nastroju do współpracy.

- Męski penis na pewno spodoba się prasie - stwierdził Francuz polemicznym tonem - ale narazimy się na wmanipulowanie w polityczne protesty przeciwko ograniczeniom przez rząd Stanów Zjednoczonych funduszków na badania nad AIDS.

- I co w tym złego? - zapytała Amerykanka, po czym stwierdziła, że będzie głosowała tak, jak dyktuje jej sumienie, czyli na Saula Abrahama Jacoba.

Przewodniczący obrad brał pod uwagę jeszcze jedną okoliczność: krzykliwe elementy pornograficzne mogły znacznie obniżyć rangę Biennale. Poza tym na wręczeniu nagród będzie obecna żona premiera i raczej nie będzie zachwycona faktem fotografowania jej osoby w otoczeniu mnóstwa penisów, najróżniejszych rozmiarów i kształtów. Ponieważ faworyzowana przez niego włoska malarka najwyraźniej nie miała szansy zdobyć nagrody, postanowił oddać swój głos na kandydatkę z Wielkiej Brytanii, Plum Russell; jej prace nie były tak krzykliwe przesycone seksem jak dzieła Jacoba i, co nie bez znaczenia, Russell była piękną kobietą, bardzo fotogeniczną.

Japończyk stanął na stanowisku, że skompromituje się, jeżeli dopuści do zwycięstwa Amerykanina. Jego muzeum nie posiadało ani jednej pracy Saula

Abrahama Jacoba, natomiast zakupiło w zeszłym roku jeden obraz Plum Russell oraz dwie niezłe prace włoskiej malarki. Nie widząc powodu, dla którego miałby marnować głos na szwedzkiego rzeźbiarza, zdecydował oddać głos na Włoszkę. Nie miał pojęcia, że przewodniczący obrad jury zmienił zdanie i nie głosował na rodaczkę.

Przy stole wciąż częstowano się obelgami, gdy Renato Dotelli zabierał się do odczytania wyników drugiego, rozstrzygającego głosowania.

Juror z Wielkiej Brytanii, chociaż początkowo nie popierał swojej rodaczki, w drugiej turze oddał głos na Plum Russell.

W czasie dyskusji poprzedzającej głosowanie Niemiec spokojnie przypomniał, że tegoroczna impreza w swym założeniu ma promować kobiety, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Znał malarstwo Plum Russell i zachwycał się jej swobodą w komponowaniu barw. Zagłosował na Brytyjkę, wiedząc, że tak samo postąpi juror z Wielkiej Brytanii.

Francuz i Hiszpan uparcie pozostali przy swoich poprzednich typach: pierwszy głosował na Hindusa, drugi na Saula Abrahama Jacoba.

Podsumowanie głosów wyglądało więc następująco: Plum otrzymała trzy głosy, Saul Abraham Jacob dwa, hinduski abstrakcjonista i malarka z Włoch po jednym.

Nie było niczym niezwykłym, że faworyci pierwszej rundy nie uzyskali największej liczby głosów w drugiej rundzie głosowania. Przy akompaniamentie utyskiwań francuskiego sędziego: „Znowu wygrywa przedstawiciel Wielkiej Brytanii?!”, tuż po północy zdecydowano, że w 1992 roku nagroda Premio 2000 Weneckiego Biennale przypadnie Plum Russell.

*

Breeze budził ją, potrząsając za ramiona. Jego zachrypnięty głos drżał, kiedy obwieszczał:

- Wygrałaś! Wygrałaś!!!

Naprawdę nie spodziewał się takiego zakończenia. Biennale to wielka międzynarodowa loteria; oczywiście nigdy się nie startuje, jeśli gdzieś głęboko w podświadomości nie tkwi nadzieja na zwycięstwo. Niezależnie od tej nadziei Breeze'a przytłaczała świadomość, jak wielka jest konkurencja i jak małe prawdopodobieństwo pokonania rywali. Ale...

- Co? - wybełkotała Plum.

Powoli wracała jej świadomość. Obce otoczenie sprawiło, że przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje ani jak tutaj trafiła. I dlaczego Breeze tak brutalnie potrząsa jej ręką?

- Kochanie, wygrałaś!!!

Plum usiadła na posłaniu. Tak, teraz już wiedziała. Znajdowała się w Wenecji,

był wczesny sobotni ranek i właśnie zdobyła nagrodę BLennale... Nie, chyba już nie śniła... Breeze chyba nie byłby tak wredny, nie zrobiłby takiego kawału... A jeśli rzeczywiście był to kawał? Zabije go, zamorduje!

Breeze dojrzał malującą się na jej twarzy niepewność i pokręcił przecząco głową.

- Nie, skarbie, to nie żart! - Czule pocałował ją w koniuszek nosa. - Nie masz pojęcia, jaki jestem z siebie dumny!

- Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą. Dziennikarze i fotograficy będą tu najpóźniej za godzinę, więc przygotuj się. Oficjalnie wyniki zostaną ogłoszone wieczorem.

Plum nie słyszała radosnego pobrzękiwania dzwonów. Dawniej wydawało jej się, że powinna coś takiego słyszeć. Nie czuła nawet śladu szalonej radości. Była tylko zaskoczona i zdezorientowana. Nagle zebrało jej się na mdłości. Wygrzebała się z pościeli i pobiegła do łazienki.

Wróciła owinięta w szlafrok i powiedziała:

- Teraz już wszystko w porządku. Po prostu miałam żołądek zawiązany na supełek.

Roześmiała się, lecz w głębi duszy wcale nie było jej do śmiechu. Czuła się tak, jakby miała dziewięćdziesiąt lat.

- Poczujesz się lepiej, gdy coś przekąsisz - rzekł Breeze, spoglądając na nią czule, z nie skrywaną dumą.

Podszedł do suto zastawionego stolika na kółkach, czekającego pod oknem. W srebrnym kubelku chłodził się szampan.

Wysłuchując się w ptasie trele za oknem, Plum zmusiła się do zjedzenia suchego tosta i wypicia filiżanki mleka. Z wolna docierało do niej, co się stało. Czuła się lekka jak te ptaszki, rozgrzewała ją myśl, że mogłaby wyfrunąć przez okno i dołączyć do rozśpiewanej, skrzydlatej kompanii, mogłaby wlecieć wysoko pod obłoki, objąć spojrzeniem całą Wenecję, wszystkie te drobne wysepki, na których stała, wszystkie różowe pałace, wszystkie te czarujące, garbate mostki...

- Musisz być ostrożna w rozmowach z dziennikarzami - ostrzegł Breeze -bo twoje słowa pójdą w świat. Już teraz zdecyduj się, co chcesz powiedzieć. Potem powtarzaj to aż do znudzenia, nie daj się rozproszyć. Koniecznie unikaj wypowiedzi, które w jakikolwiek sposób byłyby związane z polityką, zwłaszcza gdy będziesz odpowiadała na pytania włoskich dziennikarzy. Rzecz jasna, wszystko będę nagrywał, ale jeśli palniesz jakieś głupstwo, nic nie poradzę.

- Podziękuję mojej mamie, bo dzięki niej miałam szansę malować. I tobie, oczywiście...

- Nie, mnie z tego wyłącz. Obniżyłabyś swoje notowania, zaczęłyby się niepotrzebne komentarze, domysły.

- Breeze...

-Tak?
- Dlaczego dostałam tę nagrodę? Powiedz prawdę.
- Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, dlaczego wybrano ciebie - przyznał. - Później na pewno się dowiem. Teraz skoncentruj się na jednym: zwyciężyłaś! - Wstał z krzesła, podszedł do żony i chwytając jej dłoń w nadgarstku, uniósł rękę w górę, naśladując sędziego na ringu bokserskim. - Panie i panowie, przedstawiam państwu laureatkę nagrody Premio 2000...

Plum zdumiała się.

- Breeze... - cofnęła rękę. - Nie otrzymałam Złotego Lwa?

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, skarbie. Przypadło ci Premio.

- Ale nagrodę tę przyznaje się artyście, który nie przekroczył trzydziestego piątego roku życia!

- Zgadza się.

- Przecież ja mam trzydzieści siedem lat!!!

Wiele sekund upłynęło, nim Breeze otrząsnął się na tyle, by wymamrotać:

- O, Chryste! - Ciężko usiadł na krześle, rzucił serwetkę na stół. Zapatrzył się w bezkresne, błękitne niebo za oknem. - Jak do tego doszło? Dlaczego się nie zorientowali? Kurwa mać, dlaczego ja o tym nie pamiętałem?!

- Kiedy otrzymałam nominację, miałam trzydzieści pięć lat - odparła Plum. - Ale to było ponad rok temu, na początku maja 1991 roku. Tuż przed moimi trzydziestymi szóstymi urodzinami.

- A dwa tygodnie temu, dwudziestego czwartego maja, skończyłaś trzydzieści siedem lat! Kurwa!!!

Plum natychmiast zorientowała się, iż Breeze kombinuje, jak mogłaby zachować nagrodę.

- Nic z tego, Breeze. To zasadniczy warunek. Kiedy się połapia, natychmiast mnie zdyskwalifikują.

- Ale dopiero wtedy, gdy się zorientują! - stwierdził głosem pełnym determinacji.

Wiedziała, co miał na myśli.

- Nie! - zaprotestowała.

- Dlaczego nie? Nie będziemy tego zatajać. Po prostu przez jakiś czas będziemy milczeć, dobrze? Zanim cię zdyskwalifikują staniesz się sławna, będą o tobie pisać w gazetach na całym świecie. Może wyciągniemy jeszcze jakieś korzyści.

- Nie! Niezależnie od strony moralnej takiego postępowania, nigdy nie będę umiała ukryć, że wiem, jaka jest sytuacja. Każdy wyczyta z mojej twarzy, iż coś jest nie w porządku.

- To nie ma znaczenia, dopóki się nie dowiedzą, co jest nie w porządku. - Breeze chwycił ją za rękę. - Plum... jeżeli kiedykolwiek coś dla ciebie

znaczyłem... jeśli myślisz, że jesteś mi coś winna, proszę, pozwól sobą pokierować.

- Nie!

- Nie proszę cię, żebyś kłamała. Proszę cię tylko o to, żebyś trochę zaczekała, zanim powiesz prawdę. Uważam, że należy ci się jakaś rekompensata za to zamieszanie, robienie złudnych nadziei, za ten bezsensowny galimatias. To tylko ich wina. Do formularza startowego wstawiłem prawidłową datę twojego urodzenia. Oni po prostu jej nie sprawdzili; wyglądasz tak młodo...

- Kretyni! Idioci!

- Plum, niech sprawy będą ustaloną torem! Wynieśmy coś z tego bałaganu.

Zawahała się. W tej chwili nie chodziło tylko o nią Breeze pracował na tę chwilę dziesięć długich lat i należała mu się lwia część korzyści wynikających ze zdobycia nagrody. Z punktu widzenia ewidentnych korzyści handlowych propozycja Breeze'a miała sens.

- Nie mogę teraz zebrać myśli - powiedziała. - Niedobrze mi. Chyba zaraz zwymiotuję.

Rozdział dwudziesty szósty

Sobota, 6 czerwca 1992

Do południa było jeszcze daleko, gdy Plum, ubrana w białe dzinsy i bawełnianą koszulkę w kolorze mango, stanęła przed wejściem do zniszczonego *palazzo*, w którym zatrzymała się Jenny. Na parterze budynku mieściła się kawiarnia ze stolikami na chodniku, skrytymi pod płócienną markizą w kształcie muszli pomalowanej na cukierkoworóżowy kolor. Przy stolikach klienci przed pójściem do pracy leniwie konsumowali śniadanie albo popijali gorzką czarną kawę. Ponad kawiarenką znajdowały się łuki okien, niektóre wsparte po bokach przez marmurowe kolumnienki, oraz rozchwiane, metalowe balkony.

Promienie słońca przebijały się do wewnątrz pięknego niegdyś holu przez zakurzone witraże, rzucając na włosy Plum kolorowe błyski. Malarka weszła na popękane marmurowe schody i zbierając siły rozpoczęła wspinaczkę na piąte piętro.

W hotelu „Cipriani” otrzymała już pierwsze ekstrawaganckie, pełne zachwytów telegramy, wysłane przez Maxa i Toby’ego, do których Breeze zatelefonował jeszcze przed przekazaniem Plum radosnej nowiny. Tylko że nowina okazała się bardziej kłopotliwa niż radosna. Plum próbowała zatelefonować do Paula i poradzić się go, ale nie mogła otrzymać połączenia. Miała poważny dylemat. Czy rozwiązanie proponowane przez Breeze’a było trafne? Co powinna zrobić? Czy powinna bezzwłocznie poinformować British Council, że nie spełnia warunku kwalifikującego ją do przyznanej nagrody? Czy też byłoby to postępowanie niedorzeczne, niezyciowe i zwyczajnie bzdurne -jak wyraził się Breeze - gdyby zrezygnowała z przyznanej nagrody z powodu śmiechu wartej drobnostki natury technicznej?

Co by się stało, gdyby postąpiła zgodnie z sugestiami męża? Co by się stało, gdyby przemilczała sprawę, a ktoś odkryłby prawdę, nim sama zdecydowałaby się powiadomić o błędzie jury? Wtedy przegrałaby na obydwu frontach: nie dość, że oskarżono by ją o oszustwo, miałyby jeszcze nieczyste sumienie.

Wstrzymawszy oddech zapukała do drzwi.

Jenny ścisnęła w dłoni szczotkę do włosów. Miała na sobie tylko czarne, atlasowe *dessous*, a mokre włosy opadały jej na nagie ramiona.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale bez skutku - wydyszała Plum, zmęczona marszem po schodach.

- Telefon nie działa. Zresztą tak jak moja suszarka... Cóż tam, nie przyjechałyśmy przecież do Wenecji po to, żeby skorzystać z instalacji elektrycznych. Kochana, proszę dalej.

Pokój lata świetności miał już dawno za sobą. Wokół ścian tuż pod sufitem ciągnął się fryz składający się z pracowicie wymalowanych listków bluszczu. Naprzeciw drzwi wejściowych było otwarte na oścież duże okno, przez które wkradały się z zewnątrz przyciszzone odgłosy rozmów z kawiarenki.

Po prawej stronie stała staromodna komoda, obok znajdował się pusty kominek. Po jego drugiej stronie zawieszono wielkie lustro w zdobnej ramie, pod którym tkwił stolik całkowicie zastawiony różnego rodzaju kosmetykami i przyborami do układania włosów.

Jenny podeszła do lustra i podniosła szczotkę na wysokość włosów.

- Sprawdzam, jak bym wyglądała z przedziałkiem pośrodku. Co o tym sądzisz? - Zdawała się całkowicie pochłonięta swoim odbiciem w lustrze. Uniosła brwi i wysunęła podbródek w stronę lustra. Wyglądałaby naprawdę dobrze, gdyby nie wydatny grzbiet nosa, nadający twarzy arogancki wyraz. - Myślisz, że pasuje mi takie uczesanie?

Plum nie patrzyła w jej kierunku. Po lewej stronie zobaczyła łóżko z fantazyjnymi, metalowymi ramami. Pościel była odrzucona na bok, a na prześcieradle leżał otwarty szkicownik. Najwyraźniej Jenny wciąż stosowała się do rady profesora Davisa, który twierdził, iż koniecznie trzeba wykonać przynajmniej jeden szkic dziennie, nawet kosztem śniadania.

Nie było żadnego wolnego krzesła, toteż Plum przysiadła na brzegu łóżka. Oparła ręce na metalowych zdobieniach i zdjęła buty. Nie odpowiedziała na pytanie przyjaciółki.

- Może zejdziemy na kawę, jak tylko przeschną mi włosy? - zaproponowała Jenny. - Co cię przyznało tak wcześnie?

Plum nieśmiało odparła:

- Zostałam nagrodzona Premią 2000.

W lustrzanym odbiciu zobaczyła, jak po twarzy przyjaciółki przebiegają fale emocji: zdumienie przemieniające się najpierw w konsternację, a potem w gniew. Powoli opuściła ręce, odłożyła szczotkę na toaletkę. Bursztynowe włosy opadły jej na twarz z wolna przybierającą kolor wosku.

- To nie może być prawda! - wybuchnęła. Plum

była zbita z tropu.

- O co chodzi? Nie jesteś zadowolona, że wygrałam?

Jenny roześmiała się nerwowo. Głos jej drżał.

- Oczywiście... Wspaniała niespodzianka... Gratulacje. - Odwróciła się od lustra. - Taka jestem przejęta!

Obróciła się na pięcie, porwała ze stolika szczotkę do włosów. Nie zdawała sobie sprawy, że jej blada twarz, wykrzywiona udręką, wciąż widoczna jest w lustrze.

Plum w osłupieniu przypatrywała się swojej przyjaciółce.

- Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko odrobinę zmęczona. - Zawzięcie szczotkowała wilgotne włosy. - To wszystko.

- Jest pewien problem. Rozumiesz, z tą nagrodą.

Plum oparła się o zwiniętą pościel, ręce założyła za głowę. Moszcząc się na łóżku, przypadkiem zepchnęła szkicownik na podłogę.

- Jak ci się wydaje, co powinnam zrobić? - spytała, zakończywszy opowieść. Schyliła się po szkicownik. Usiadła z jednym kolaniem podciągniętym pod brodę i leniwie przerzucała strony bloku do rysowania, tylko częścią umysłu rejestrując ilustracje: ludzi siedzących w gondoli, studium kociej głowy, ołówkowy portret gospodyni *palazzo*. Potem kilka stron było czystych, a na tekturowej okładce znajdował się drobiazgowy, bardzo starannie wykonany szkic. Mały, wyrysowany ołówkiem gad coś Plum przypominał. Nie zastanawiała się nad tym, skupiła się na głównym temacie rozmowy.

- Jak mam postąpić? - zapytała jeszcze raz. - Wyznać prawdę czy ją przemilczeć?... Ja nie chcę milczeć, ale Breeze upiera się, że nie ma pośpiechu. Krótko mówiąc, sprowadza się to do tego, że mam trzymać buzię na kłódkę.

Jenny zapanowała nad głosem i poradziła:

- Musisz zrobić to, co uważasz za najlepsze. - Potrząsnęła głową, jakby chciała przetestować swoją nową fryzurę. Zaczepnęła powietrza i spokojnym, normalnym głosem dodała: - Ja nie mogłabym spokojnie spać, gdybym miała na sumieniu taki postępek.

Do tej chwili przez cały czas przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Teraz przeniosła wzrok na Plum i dojrzała leżący na jej kolanie otwarty szkicownik.

Wypuściła z dłoni szczotkę do włosów.

- Odłóż ten blok, dziwko! - wrzasnęła.

Plum zaniemówiła.

Jenny obrzuciła ją piorunującym spojrzeniem.

- Nie masz prawa tu przychodzić - krzyczała - i szpiegować mnie!

I w tej chwili Plum przypomniała sobie, gdzie widziała wyrysowaną ołówkiem jaszczurkę: na obrazach holenderskich mistrzów, należących do Suzannah i Cynthii. Jeszcze nie wierząc we własne słowa, wykrzyknęła:

- To ty jesteś fałszerzem!

Jenny pokonała pokój kilkoma długimi krokami, wyrwała szkicownik z dłoni Plum i schowała go do najwyższej szuflady komody.

- A teraz wynoś się stąd, ty kurwo! Wynocha!

Plum siedziała jak sparaliżowana, nie odrywając wzroku od czerwonej twarzy przyjaciółki.

- Wynoś się stąd, ty wścibska krowo! Zjeżdżaj stąd!

Plum złapała się metalowej ramy łóżka. Jenny chwyciła ją za ubranie i z całych sił szarpała, próbując zrzucić na podłogę. Sprężyny łóżka zatrzeszczały ostrzegawczo.

- Jenny, puść mnie! - Plum wykręciła szyję tak, by spojrzeć w palające nienawiścią, bursztynowe oczy napastniczki. - Co w ciebie wstąpiło? Przecież jesteś moją najbliższą przyjaciółką...

- Od kiedy?!

Jenny roześmiała się histerycznie i wszystkie uczucia, jakimi darzyła Plum, przyobkleła w szczery monolog, stanowiący kulminację dwudziestu lat tłumionej w głębi duszy zawiści, zazdrości i wrogości...

- Ty nigdy nie musiałaś być na ciągłej diecie, nie musiałaś na wszystkim oszczędzać... To ty byłaś najładniejsza... Mężczyźni szaleli za tobą... Dzień nikarze też chcieli rozmawiać tylko z tobą, nie ze mną... Jestem tak samo dobra jak ty... Udław się tą swoją kurewską sławą, udław się!

Skończywszy, uderzyła głową Plum o metalowe pręty w nogach łóżka.

Odpierając furiackie ataki, Plum zorientowała się, gdzie tkwi źródło urazu Jenny: jej żądza sukcesu musiała być tak wielka jak pragnienie miłości. Bardzo możliwe, że Jenny kojarzyła popularność i sławę ze szczęściem, jakie może dać bliski, serdeczny związek dwojga ludzi. Najbardziej przerażała ją perspektywa porażki na obydwu frontach.

Tak czy inaczej, Plum była zdumiona. Rozumiała, że inna malarka może zazdrościć jej powodzenia, ale dlaczego Jenny cały czas zachowywała się jak przyjaciółka? Och, odpowiedź nasuwała się sama. Jenny brała udział w grze prowadzonej przez galerię. Breeze stanowił dla niej najlepszy kontakt w świecie sztuki, a Breeze znajdował się pod wpływem Plum. Jeżeli Jenny nie dostała zaproszenia na otwarcie jakiejś ważnej wystawy, wystarczyło, że szepnęła słówko Plum i Breeze zawsze coś zorganizował.

Nie tłumaczyło to jednak, dlaczego Jenny nienawidziła jej, zanim Plum osiągnęła sukces jako malarka. Według tego, co mówiła, Jenny nigdy nie była szczerze oddaną przyjaciółką. Już w college'u potajemnie darzyła ją nienawiścią. Przyjaźń Jenny była od samego początku z gruntu fałszywa. Dlaczego?

- A dlaczego mam być twoją przyjaciółką? - warknęła Jenny. Wzmacniała niektóre słowa uderzeniem w plecy Plum, pomiędzy łopatkami. - To mnie

należały się zaszczyty, sława! W college'u zdobyłam więcej nagród niż ty przez całe życie! Dlaczego podczas pierwszej wystawy ty dostałaś dobre recenzje, a ja nie?... Bo krytycy byli stronnicy! Dlaczego zignorowali moje prace, a piali z zachwytu nad twoimi?... Bo pieprzyłaś się z wpływowym dealerem! Cwana byłaś, nie ma co!

- Jenny, przestań! To boli!

- Co takiego zrobiłaś, czego ja nie zrobiłam, oprócz kurwienia się z Breeze'em? Miałas szczęście, że Breeze gustuje w drobnych dziewczynkach! W tym jednym jesteś rzeczywiście lepsza ode mnie! - Potrząsnęła Plum, wcisnęła w przęty, usiłowała wykręcić jej głowę. - W końcu zrozumiałam, że jeśli mam ciebie pokonać, muszę wziąć sprawy we własne ręce!

- Pokonać? O czym ty mówisz?

- Zaczynałyśmy od tego samego punktu wyjścia. Potem zaczęłaś swoje manipulacje i intrygi... - Jenny była purpurowa na twarzy, bez przerwy mówiła podniesionym głosem. - Ty tania dziwko! Rozkochałaś w sobie jedynego mężczyznę, którego kochałam w całym życiu! - Lewą dłonią zebrała włosy Plum i z całej siły pociągnęła jej głowę do tyłu. - Nie miałam ani grosza, a ty spałaś na forsie. Miałas dwóch mężów, ja nie miałam żadnego! Miałas dwoje dzieci, ja żadnego! Mieszkałam w wilgotnej, zagrzybionej suterenie, podczas gdy ty robiłaś za królowną w białym pałacu w Regent's Park! Jak myślisz, jak się czułam?

Prawą pięścią uderzyła Plum za uchem. Plum krzyknęła z bólu. Mimo oszołomienia zdawała sobie sprawę z jednego, oczywistego faktu: jeżeli uda jej się wyjść z tego pokoju ze szkicownikiem, będzie mogła dowieść tożsamości fałszerza. Jeśli wyjdzie stąd bez niego, Jenny natychmiast go zniszczy, razem z innymi obciążającymi dowodami. Możliwe, że już nigdy nie uda się udowodnić, kto malował fałszykaty.

Musiała grać na zwłokę. Dopóki była w tym pokoju, miała szansę. Straci ją, gdy da się stąd wyrzucić.

- Tylko nie próbuj mnie wzruszyć! - Jenny zadała jeszcze jeden cios i mocniej pociągnęła Plum za włosy. - Pamiętasz, jaka byłaś bezradna, gdy opuścił cię Jim? Miałas dwójkę dzieciaków na karku i ani minuty na malowanie. A potem chytrze wskoczyłaś Breeze'owi do łóżka! Pamiętasz? - Wymierzyła kilka klapsów otwartą dłonią, jakby zaczynało brakować jej siły na więcej. - Jak myślisz, jak się czułam, wiedząc, że mam taki sam talent jak ty? Nie uważam się za lepszą, ale, na Boga, jestem równie dobra jak ty! Dowiodłam tego! Musisz to przyznać!

- Na pewno, udało ci się mnie oszukać - wydyszała Plum.

- Nie tylko ciebie. Wszystkich dumnych ekspertów też! - powiedziała triumfująco Jenny. - Moje obrazy opisywano jako małe arcydzieła!

- Bo są nimi - zgodziła się Plum. Uchwyty Jenny zaczęły słabnąć, co

najwyraźniej świadczyło o skuteczności pochlebstw. - Profesor Enid Soames powiedziała, że fałszerz holenderskich mistrzów był... geniuszem.

- Naprawdę-to powiedziała? Kiedy?

- Nie mogę tak rozmawiać. - Czuła pulsowanie krwi w skroniach. - Moja głowa...

Jenny z wolna poluzowała uchwyt.

Plum usiadła i rozmasowała kark. Ciśnienie krwi powoli wracało do normy, lecz nadal widziała pokój dziwnie dwuwymiarowy, przesłaniany szkarłatną mgiełką. Desperacko zmuszała mózg do pracy. Jeżeli Jenny oszukiwała ją przez tyle lat - jakże teraz można ufać jej słowom?

Posłużyła się fortelem. Spokojnie stwierdziła:

- Ale Enid powiedziała też, że gdyby fałszerz był naprawdę sprytny, przeprowadzałby reperacje własnych falsyfikatów.

Jenny aż zamrugła ze zdziwienia.

- Przecież to robiłam! Kiedy obraz był już ukończony, przebijałam go trzonkiem od szczotki. Potem łątałam i zamalowywałam uszkodzenie, aby w ultrafioletowym świetle widać było ciemne plamy!

Plum nie potrzebowała już żadnych dowodów.

Było oczywiste, że Jenny reperowała falsyfikaty dokładnie w taki sam sposób, w jaki robił to Bill Hobbs. Z całą pewnością, wyglądało to na coś więcej niż zbieg okoliczności!

- Bill Hobbs cię tego nauczył? - spytała przyciszonym głosem.

Dzikię bliski w oczach Jenny powiedziały jej, że trafiła w dziesiątkę. Dalej zgadywała:

- A więc to dzięki tobie Charley poznał Billa Hobbsa!

- To ja podsunęłam mu pomysł zastępowania obrazów ojca falsyfikatami - stwierdziła wyzywająco. - Z początku Charley nie mógł się zdecydować. Zrobił to dopiero wtedy, gdy zerwaliśmy. Chyba pozbył się moralnych oporów. A może jego następna dziewczyna była bardziej kosztowna ode mnie.

- Jak poznałaś Billa? Nigdy cię u niego nie widziałam... z wyjątkiem jednego razu.

- To wystarczyło. - Uśmiechnęła się z wyższością. - Przynajmniej Bill wolał mnie od ciebie!

Plum pojęła, co się stało. Pamiętała trudne pierwsze miesiące 1977 roku, kiedy Toby i Max zamieszkali z babcią w Portsmouth. Powiedziała otwarcie:

- Jasne! Nie przespałam się z Billem, ale ty tak! To dlatego mnie wylał! Nie rozumiałam jego pobudek, bo naprawdę dobrze wykonywałam swoją pracę. Stwierdził, że nie ma tyle zamówień, żeby utrzymywać zawyżoną liczbę pracowników. Wiedziałam, że to nieprawda. Magazynek od podłogi po sufit zapelniały płótna do konserwacji.

- Seksualna dyskryminacja! Też coś! - kpiła Jenny. - **Ale mnie też** nie było łatwo!

Jeszcze jeden fragment układanki wskoczył na miejsce.

- Musiało do tego dojść, kiedy straciłaś stypendium - rzekła Plum.

Wiedziała, że zmieniły się wtedy regulacje podatkowe i ojciec Jenny został wyeliminowany z grupy, której przysługiwała pomoc finansowa państwa. Nie mógł dłużej łożyć na utrzymanie córki w jednej z najbardziej prestiżowych szkół w mieście, w którym życie było bardzo kosztowne.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć! - prychnęła czupurnie Jenny. - Mogę sypiać, z kim mi się zamarzy!

- Oczywiście, że możesz.

Plum stała w miejscu i rozcierała obolałe ramiona. Musi jakimś sposobem zwabić Jenny pod okno. Jak najdalej od drzwi. Odwróci przy tym jej uwagę od komody, w której znajduje się szkicownik.

Zakaszła. Powoli podeszła do toaletki, sięgnęła do pudełka po chusteczkę higieniczną. Wylała nos.

- Jednego... jednak... nie... mogę... zrozumieć... - Mówiąc to posuwała się centymetr za centymetrem w stronę okna. - Jak mogłaś spać z takim odrażającym staruchem?

Rozdrażniona Jenny zrobiła dwa szybkie kroki w jej stronę.

- Lubię starszych mężczyzn - rzuciła tonem wyjaśnienia - a on lubił mnie. Był miły i opiekuńczy. - Posunęła się jeszcze o dwa kroki. - Pewnie, na początku chodziło o pracę. Bill okazał się fantastycznym kochankiem. - Uśmiechnęła się lubieżnie. - Na pewno wiedział więcej o anatomii niż większość młodszych mężczyzn, z którymi się pieprzyłam.

- Nie mogłaś jednak pokazywać się z nim publicznie. Mam rację? - Jenny przysunęła się o następne dwa kroki. - Bill nie pasował do wizerunku, który próbowałaś wykreować. Dlatego utrzymywałaś romans w tajemnicy.

Plum zastanawiała się, jak długo Jenny pozwoli ciągnąć tę rozmowę. Utrzymywała sekret przez lata, więc teraz chętnie rozprawia o swoim sprycie i pomysłowości. Ale jak długo jeszcze?

- Mądrze zrobiłaś, ukrywając przed wszystkimi prawdę.

Mówiąc to podniosła ze stolika ciężką szklaną tacę.

- Odłóż to! - warknęła Jenny.

Plum zrobiła zdziwioną minę i odłożyła przedmiot. Jenny znajdowała się blisko okna. Podstęp się udał.

- Kiedy zaczęłaś malować fałszyfikaty na własny rachunek? - spytała Plum, siadając na łóżku od strony okna.

Jenny zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem.

- Po tym, jak zasugerowałam Bomanowi, że mógłby podmienić obrazy tatusia. Pomyślałam sobie: „Dlaczego mam pracować dla Billa? Mogę pracować

dla siebie. Dlaczego Bill ma zabierać sobie całość zysków? I tak wszystko traci na wyścigach". - Jenny przeszła przez pokój, by zatrzymać się tuż przed Plum. - Akurat wtedy Bill przeszedł atak serca i zaczął mówić o wycofaniu się z interesu.

- To z fałszerstw miałaś pieniądze na zakup domu w Craven Hill Gardens! Twój ojciec i babka nie zostawili ci takiej sumy w spadku, ty...

- Zasłużyłam sobie na te pieniądze! Na każdego pensa! - Triumfowała. To była jej chwila. - Zawsze miałam wrażenie, że Bill mógłby wytargować większe zyski.

- Obrazy były tego warte - powiedziała szczerze Plum. - Znakomicie wykonałaś swoją robotę.

Jenny wygłosiła tyradę wymierzoną w tak zwanych ekspertów w dziedzinie malarstwa. Obrazy, którymi podrabiała starych mistrzów - nazywała je „malarstwem symulowanym” - były chwalone i osiągały wysokie ceny, podczas gdy jej „własne” obrazy były odrzucane przez krytyków i nie znajdowały nabywców.

Plum chciała dowiedzieć się jeszcze jednego: nazwiska współnika. A może była to cała organizacja przestępcza? Kto rozprowadzał fałszykiaty? Nie ośmieliła się zapytać wprost. Musiała znaleźć jakiś subtelny sposób na ustalenie powiązań między Jenny a Tononem.

- Najbardziej zaskakuje mnie to, że udało ci się prowadzić równoległe dwie kariery - rzekła Plum z podziwem. - Na pewno zostawało ci niewiele czasu na rozprowadzenie obrazów. Przypuszczam, że pomagał ci w tym Charley?

Twarz Jenny rozjaśnił uśmiech samozadowolenia.

- Nie twój zaszraniony interes! Wynoś się stąd!

Plum wstała z łóżka. Dotarła do niej kolejna sprawa:

- To ty napisałaś te dwa anonimy! Przeraziłaś mnie!

- Jeżeli byłaś przerażona, mogłaś przestać węszyć.

Plum utraciła zdolność chłodnej kalkulacji.

- I z tego samego powodu poinformowałaś mnie o romansie Breeze'a?

- Chciałam rozproszyć twoją uwagę. Za bardzo zbliżyłaś się do prawdy.

Cóż, w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone!

Plum zatrzęsła się z gniewu. Zapomniała o swojej sprytniej strategii. Zapomniała, jak skuteczna była do tej pory jej taktyka. Wszystko popsuka.

Rzuciła się biegiem do drzwi. Jenny skoczyła w jej kierunku, chcąc ją zatrzymać, ale nadziała się biodrem na metalową ramę łóżka. Zaskowyczała z bólu.

Trzy sekundy wystarczyły Plum, by podskoczyć do komody, otworzyć najwyższą szufladę i pochwycić szkiełeczko. Jednak kiedy wyjmowała rękę z blokiem ze środka, Jenny śmignęła przez łóżko i zatrasnęła szufladę.

Plomień bólu błyskawicznie objął całe przedramię. Plum wrzasnęła:

- Złamałaś mi palce!

Z zamachem kopnęła stojącą za nią Jenny. Usłyszała jęk, ale uderzenie nie mogło być silne, gdyż nie powstrzymało napastniczki. Jenny objęła prawą ręką Plum za szyję i pociągnęła ją do tyłu. Zwały się ze sobą, straciły równowagę i zwały na łóżko. Jenny była większa i silniejsza, drobnitka Plum - zwinna i szybka.

Plum wypuściła szpicownik z rąk.

Jenny wrzasnęła z bólu, gdy metalowe zdobienia ramy zagłębiły się w jej ciele na wysokości nerek. Plum wykorzystała to, by wyswobodzić się z uścisku. Opadła na kolana i mimo przejmującego bólu dłoni rozglądała się za utraconym koronnym dowodem. Nigdzie go nie widziała. Widocznie w czasie szamotaniny blok wpadł pod łóżko. Zanurkowała za nim.

Jenny tymczasem poderwała się na równe nogi. Z furią szarpnęła łóżkiem, praktycznie przesuwając je pod przeciwległą ścianę. Odsłoniła Plum, skuloną na czworakach, bezradnie oczekującą ciosu, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, podczas gdy drugą przyciskała do piersi bezcenny dowód.

Niczym drapieżny ptak, Jenny powoli zbliżała się do niej, rozkładając szeroko ramiona.

Plum, nie spuszczać oka z napastniczki, cofała się w kierunku okna. Zdała sobie sprawę, że jest w poważnym niebezpieczeństwie. Znajdowała się pięć pięter ponad betonowym chodnikiem i burymi wodami kanału.

Zdołała wydać krótki okrzyk, kiedy Jenny skoczyła ku niej, okrzyk zdławiony zaciskającymi się na szyi rękami napastniczki.

Jenny wykorzystała przewagę masy ciała. Wciąż dusząc Plum, przegięła ją, niemal położyła ją na parapecie. Zadbła o to, by malarka nie mogła jej kopnąć, zablokowała też jej ramiona.

Jednak nie zrobiła tego wystarczająco dokładnie. Plum nadal miała wolne ręce. Dostrzegła swoją szansę. Kurczowo chwyciła otwarte do wewnątrz pokoju skrzydła okna i mobilizując wszystkie siły, pociągnęła je w swoją stronę.

Szyby uderzyły Jenny w plecy, wybiły ją z chwiejnej równowagi. Zdumiona, oderwała dłonie od szyi Plum. Mogła jeszcze odzyskać równowagę, ale Plum ześliznęła się na podłogę i pchnęła byłą przyjaciółkę.

Ciężko oddychając, drżąc na całym ciele, wsłuchiwała się w dobiegające z kawiarni na dole krzyki.

Rozdział dwudziesty siódmy

Czwartek, 11 czerwca 1992

Podczas powrotnego lotu do Londynu po modrym oceanie nieba dryfowały białe, pierzaste chmurki. Brakowało tylko pulchnych, skrzydlatych amorków. Plum skończyła czytać o ostatnim towarzyszu Ivany Trump i otworzyła pismo na stronie z artykułem o zadziwiającej transformacji księcia w żabę, która zaszła w bajkowym małżeństwie księżniczki Walii. Czytając, po raz kolejny zastanawiała się... może to rzeczywiście prawda, że pieniądze i zaszczyty nie dają szczęścia?

Ziewnęła i dotknęła palcami zawiązanej na szyi szyfonowej chusty w cytrynowym kolorze, która skrywała okropne, żółto-granatowe sińce. Gdyby ktoś pytał, odpartaby, że boli ją gardło. Z wyjątkiem Breeze'a i lekarza nikt nie oglądał śladów na barkach, ramionach i piersiach, które także były upstrzone siniakami. Czowała, jak do oczu napływają łzy. Jeszcze raz próbowała sobie wytłumaczyć, że jest to tylko następstwo dramatycznych wydarzeń, w których brała czynny udział, efekt przepowiedziany przez lekarza Zwykły stres pourazowy, będący udziałem około pięciu procent ludzkiej populacji.

Od wypadku minęło pięć dni, a ona wciąż nie potrafiła wyrzucić z myśli tych kilku koszmarnych minut, wciąż przeżywała wszystko od nowa. Czowała ostre kolce strachu, próbowała zaczerpnąć powietrza, a palce Jenny zaciskały się na jej gardle, coraz mocniej i mocniej. Widziała triumfujący wyraz twarzy swej niedawnej przyjaciółki, wyświetlany bez końca na wewnętrznym ekranie myśli. I po raz kolejny wyrzucała tę kobietę przez otwarte okno.

Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego do zdrady Jenny. Gdyby odkryła, że jeden z jej synów potajemnie darzy ją nienawiścią, byłaby równie zszokowana i emocjonalnie zdezorientowana. Teraz nie wiedziała już, komu mogłaby ufać. Na pewno nie mogła zaufać swojej ocenie człowieka. Ufała Jenny bezgranicznie. Wciąż nie mogła uwierzyć, iż jej oddana przyjaciółka,

wydawałoby się taka łagodna, miła, cierpliwa i współczująca, w rzeczywistości kierowała się wyłącznie zazdrością i nienawiścią.

Breeze nie pojmował, dlaczego odkrycie zdrady Jenny wywołało u jego żony tak wielki szok, porównywalny do wstrząsu towarzyszącego bandyckiej napaści czy gwałtowi. Nie rozumiał, że tak naprawdę gwałt się dokonał... na uczuciach Plum.

Stwierdził krótko, że nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie Jenny, częściowo dlatego, że nigdy jej nie ufał. Plum wiedziała, że mówi prawdę. Jednego nie potrafiła zaakceptować: dlaczego nie dojrzała żadnych niepokojących znaków tego, co Breeze tak łatwo wyczuł? Zerknęła na sąsiedni hotel, w którym siedział mąż. Notował coś w swym gigantycznym filofaxie. Nieobecna myślami, przypatrywała się wykreślانym płynnie, w zdecydowany sposób literom. Niektóre z nich otrzymywały ozdobne zawijasy.

Paul, po którym spodziewała się zrozumienia, wydawał się bardziej zainteresowany tym, że zidentyfikowała fałszerza.

- Co się stało, już się nie odstanie. Koniec - powiedział przez telefon. - Oczywiście, zdrada Jenny wyprowadziła cię z równowagi, ale to już należy do przeszłości, do przeszłości, której nie możesz zmienić. Zostaw to za sobą. To, czym powinnaś się teraz przejmować, można sprowadzić do pytania: czy Jenny pracowała sama?

Paul celowo unikał sformułowań, które mówiłyby wprost o istniejącym w dalszym ciągu zagrożeniu ze strony przestępców.

Plum próbowała też zatelefonować do Lulu, prawdopodobnie jedynej osoby, która mogła ją zrozumieć i podzielić uczucia - gdyż także ona została przez Jenny oszukana. Bardziej jednak chciała spotkać się z nią twarzą w twarz. Żadna rozmowa telefoniczna nie zdołałaby rozwiązać tych przerażających scen, bez końca odtwarzanych przez zraniony umysł.

Jenny wypadła twarzą naprzód, z szeroko rozłożonymi ramionami. Dwaście metrów poniżej parapetu różowy jak cukierek płócienny baldachim restauracji przyjął na siebie impet upadku i ocalił jej życie. Mężczyzna, na którego spadła, nie mógł pochwalić się takim szczęściem: został wbity we własne śniadanie stojące na metalowym stole. Miał złamany nos, twarz pocięta potłuczonymi naczyniami i poparzoną gorącą kawą.

Ambulans przybył w siedem minut po wypadku. Zabrał rannego mężczyznę, nieprzytomną Jenny oraz Plum do głównego weneckiego szpitala, usytuowanego w pobliżu kościoła pod wezwaniem Świętych Giovanniego i Paolo. Błyskawicznie zjawił się tam Breeze i zapanował nad sytuacją. Zbadano dłoń Plum, wykonano zdjęcie rentgenowskie - nie było powodów do niepokoju,

rany okazały się powierzchowne. Oboje, Plum i Breeze, zaczekali na wieści z sali operacyjnej, dokąd zabrano Jenny. Zaraz po operacji Breeze zadał włoskiemu chirurgowi kluczowe pytanie:

- Czy ona przeżyje?

Lekarz wydawał się zaskoczony.

- Oczywiście! Połamane ręce i dwa złamane żebra to jeszcze nic strasznego.

Gdyby markiza w restauracji nie zamortyzowała upadku, zginęłaby na pewno.

A tak oprócz złamań doznała lekkiego wstrząsu mózgu i jest w szoku.

Trochę z powodu spóźnionego wstępu do samej siebie Plum zemdląła.

W motorówce wiozącej ich z powrotem do hotelu „Cipriani” Breeze zgrzytał zębami ze złością.

- Jestem cholemym głupcem! Powinienem zdawać sobie sprawę, że może dojść do czegoś takiego! Powinienem być cię ostrzec, Plum.

- Skąd mogłeś wiedzieć?

- Widziałem to już tyle razy. - Jak zawsze, gdy był rozjątrzony, nerwowo przeczesywał palcami włosy. - Jeżeli ktoś osiąga sukces, jego konkurenci w tej samej dziedzinie zazdrośnie zastanawiają się: „Dlaczego on, a nie ja?” Więc kopiują to, co robili ci, którym się udało. Bardzo się starają. Jednak mimo wysiłków nie potrafią się przebić. - Pokręcił głową. - A wtedy ich myśli zaczyna toczyć zawiść i rozgoryczenie, tak jak robak toczy jabłko.

- Na koniec jabłko jest całkowicie przeżarte. Zatrute.

Breeze sięgnął po jej dłoń. Mimo upału była lodowata.

- Musimy być teraz rozsądni, Plum - rzekł łagodnie. - Nie chcemy skandalu.

Lepiej, żeby nie wiązano z Jenny twojego nazwiska. Wyglądałoby to na bójkę dwóch śmietnikowych kotów o kawałek kielbasy. Nie chcemy też, żebyś przed włoskim sądem została oskarżona o próbę zabójstwa albo o zniesławienie, co ryzykowałabyś w przypadku złożenia donosu na Jenny, gdy nie masz w rękach dowodów... Zrobiłabyś to bez wahania. Widziałas, do czego jest zdolna.

Nie chciał też angażować brytyjskiej policji („Teraz, kiedy już wiemy, kto pisał te anonimy...”), dopóki Plum nie będzie posiadać dalszych dowodów fałszerstwa i nie porozmawia z Jenny.

- Ale taka zwłoka pozwoli jej zatrzeć wszelkie ślady! - sprzeciwiła się.

Breeze sądził, że brytyjska policja perswazją wymusi na Jenny wydanie jej współników. Plum wątpiła w to. Wciąż miała przed oczami zaciętość malującą się na twarzy Jenny.

Breeze autorytatywnie powiedział żonie, co powinna zrobić. Plum nadal pozostawała w szoku i czymś w rodzaju żałoby po zdradzonej przyjaźni. Zgodziła się być posłuszna.

Po pierwsze, Breeze zakazał jej odwiedzania Jenny w szpitalu. Będzie mogła ją zobaczyć po powrocie do Anglii. Sam wybrał się do szpitala i rozmawiał z Jenny zaraz po odzyskaniu przez nią przytomności. Opowiadał, że jest zupełnie unieruchomiona, nie może nawet wytrzeć sobie nosa. Trzeba ją karmić, gdyż obie ręce ma w gipsie. Zorganizował przelot do Wenecji dla jej matki i obiecał pokryć koszt hotelowych noclegów oraz wszelkie koszty związane z pobytem w szpitalu, podjął się też zebrać całą dokumentację, niezbędną do uzyskania ubezpieczenia medycznego, a na koniec obiecał zorganizować powrót do Wielkiej Brytanii. Jenny o nic nie musiała się martwić. Plum też.

Podczas przesłuchania przez *carabinieri* w obecności tłumacza Jenny potwierdziła wersję wydarzeń podaną przez Plum, a zaproponowaną przez Breeze'a. Wychyliła się za daleko poza parapet, straciła równowagę i spadła. Było jej szalenie przykro, gdy dowiedziała się o ciężkich ranach mężczyzny z kawiarni.

Po policyjnym przesłuchaniu Jenny nie kontaktowała się z nikim i nikt jej nie niepokoił. Nie pozwolono jej zatelefonować i oprócz matki nikogo do niej nie dopuszczono. Uzasadnieniem dla takiego postępowania były doznane obrażenia głowy.

Gdy wesoła stewardesa przyjęła zamówienie na drinki, Plum zaczęła zastanawiać się, jak Jenny zorganizowała sobie rozprowadzanie fałszyfikatów i fałszowanie metryk. Musiała mieć przynajmniej jednego współnika. Kto nim był?

Plum nie miała na swojej liście podejrzanych ani jednego nazwiska. Jaimie i Charley byli przestępcami, ale żaden z nich nie brał udziału w niecnym procederze Jenny. Brytyjska policja oczyściła z zarzutów Richarda Stepmana, który okazał się bardzo pomocny po ogłoszeniu wyników Biennale, kiedy przedstawiciele prasy przypuścili na Plum prawdziwy szturm. A biedny Leo był martwy.

Stewardesa podała szampana. Plum wzięła swój kieliszek i przypomniała sobie jedną nie rozwiązana kwestię.

- Skąd czerpiesz przekonanie, że Leo nie miał nic wspólnego z fałszowaniem obrazów? - zapytała męża.

Breeze zaczął, aż stewardesa się oddali.

- Ponieważ Leo był detalistą - wyszeptał. - Czasami zaopatrywałem się u niego... tylko odrobinę koki na przyjęcia. Udawał, że dorabia jako kierowca ciężarówki, ale to była tylko przykrywka. Nie wywoził dzieł sztuki, on importował hasz, kokę i marychę.

Nagle zrozumiała, kim naprawdę był Leo. Działalność handlarza narkotyków tłumaczyła nie tylko jego śmierć; tłumaczyła też jego doskonałą znajomość świata przestępczego.

- Breeze, jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju. Pamiętasz Nowy Rok, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam obraz Suzannah? Dlaczego już wtedy tak ostro sprzeciwiałeś się poszukiwaniu fałszerza? Oczywiście, wymieniałeś mnóstwo racjonalnych powodów, ale wyczuwam, że istnieje przynajmniej jeden powód, o którym mi nie powiedziałaś.

Odwrócił się do okna. Dopiero po chwili spojrzął jej w oczy. Był skruszony.

- Kiedy Suzannah poprosiła Victora, żeby kupił jej obraz van der Asta, Victor zatelefonował do mnie i spytał, czy wystawiany przez Maltby'ego obraz jest autentycznym. Skontaktowałem się z tą firmą i... zgodzili się zapłacić mi cichą prowizję.

Plum wolałaby, aby jej intuicja okazała się zawodna.

- Więc to dlatego nie chciałaś, żeby obraz wrócił do Maltby'ego! Musiałbyś zwrócić prowizję!

- Przede wszystkim nie chciałem, aby Victor stracił do mnie zaufanie. Niestety, to już się stało.

W poprzedni poniedziałek Breeze poinformował Victora o zidentyfikowaniu fałszerza. Victor Marsh natychmiast dał do zrozumienia, że dłużej nie będzie żywił szacunku do zdolności oceny przez Breeze'a czegoś, co sam nazwał „antycznymi obrazami”, i wyraził obawy, czy Breeze w przyszłości będzie umiał poradzić sobie z podobnymi problemami.

- Ale był zadowolony, że wykryliśmy fałszerza - zauważyła Plum.

Panna Ohrbach wysłała już obraz van der Asta drogą powietrzną do Londynu, celem poddania go badaniom w Instytucie.

- A, wiesz... - rzekł, popijając szampana - mówiłem ci już, że romans Victora z Betsy zapowiada się na coś trwalszego?

- Victor musiał czuć się zmęczony wracając co wieczór do fotograficznej reklamy *Good Housekeeping*. Skąd wiesz o romansie?

- Victor powiedział mi, że w Westbury na Long Island buduje nowy dom. Szczyt nowoczesności. Cały dom będzie idealną galerią dla jego kolekcji.

- Ma tyle moich obrazów, że tylko one wystarczyłyby na solidną wystawę. Oprowadzał mnie po Wenecji, jak właściciel oprowadza zwycięskiego konia po gonitwie... Skoro już o tym mówimy: wspomniałeś mu kiedykolwiek, w jak problematycznych okolicznościach otrzymałam tę nagrodę?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Do diabła, oczywiście, że nie! Nigdy klientowi nie wspominam o kłopotach.

Przypomniały mu się godziny niepewności i obaw, bardzo długie godziny sobotniego popołudnia. Rozmawiał wtedy z przedstawicielem British Council i wspólnie zaproponowali włoskiemu przewodniczącemu jury... wprowadzenie

poprawek do zasad kwalifikacyjnych. W przeciwnym razie organizatorzy Biennale byłiby postrzegani jako osoby niekompetentne, straciliby popularną laureatkę, a ten, któremu przyznaliby nagrodę Premio 2000 zamiast Plum, mógłby uważać, iż otrzymał nagrodę tylko dzięki wcześniejszej pomyłce jury. Międzynarodowa publiczność byłaby zdezorientowana.

Przedstawiciel British Council przypomniał przewodniczącemu, że w 1990 roku zaistniał precedens: trzydziestosześcioletni Anish Kapoor otrzymał nagrodę przeznaczoną dla artysty poniżej trzydziestego piątego roku życia.

I tak doszło do cichej korekty zasad kwalifikacyjnych, przedrukowanej w ogólnościowej oficjalnej prasie: do nagrody Premio 2000 kwalifikowano malarzy, którzy w chwili wytypowania ich na Biennale nie przekroczyli trzydziestego piątego roku życia.

Breeze uśmiechnął się do żony.

- Naprawdę jestem z ciebie dumny z wielu, wielu powodów.

Uścisnął jej dłoń. Pierścionek z brylantem boleśnie wbił się w ciało.

- Proszę, daj naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę - wyszeptał poważnym tonem.

Plum zrozumiała, że właśnie obwieszczono koniec rozjemcy. Przez następne dwie godziny lotu będzie wysłuchiwać argumentów, którymi Breeze będzie chciał wymusić zmianę jej decyzji. Nie była tym zachwycona. Bała się, że okaże się podatna na perswazję. Nikt nie mógł być bardziej opiekuńczy niż Breeze w ostatnich dniach.

- Zdaję sobie sprawę - mówił słodkim głosem - że wiele musi się zmienić, muszę inaczej podejść do naszego związku.

Plum odstawiła swój kieliszek. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Posłuchaj - kontynuował z troską-jeżeli musisz ciągnąć dalej ten romans z... Paul'em... - wymówił to imię, jakby groziło mu udławienie się nim -jestem gotów przymknąć oko, aż to się skończy. - Jakby tego jeszcze było mało, wielkodusznie zaproponował: - Zrobię, co tylko zechcesz. Naprawdę, chcę spróbować. - Przynalnął się do niej i niemal wprost do ucha wyszeptał: - Chyba nie wierzysz, że rozwód jest najlepszym sposobem na rozwiązanie małżeńskich problemów? Kocham cię, Plum. Przysięgam. I nadal z całego serca pragnę być twoim mężem. Pragnę, aby znowu było tak, jak w pierwszych miesiącach po naszym ślubie.

Plum z niewiarą pokręciła głową.

- Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi.

- Zmieniłem się aż tak bardzo?

- Oboje się zmieniliśmy. Przecież jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat.

Samotne poszukiwanie fałszerza obrazów pozwoliło jej stopniowo rozszerzyć odczuwaną podczas malowania pewność siebie na wszystkie dziedziny życia. Nadal miewała stany niepewności, takie jak w tej chwili, ale teraz przynajmniej nie zastanawiała się, czy jest kogoś godna. Zastanawiała się, czy on jest jej godzien.

- Breeze - dodała łagodnym tonem - po prostu nie jesteś taki, jak myślałam. To wszystko.

- Ale to nie moja wina! - bronił się. - Na tym polega cały tragizm małżeństwa: kobieta chce, aby mężczyzna zmienił się pod pewnymi względami, lecz on tego nie robi. Mężczyzna chce, by żona nigdy się nie zmieniła, ale ona też tego nie robi.

- Na pewno się zmieniłam...

Jedno ją zastanawiało: dlaczego Paul z taką łatwością rozumiał motywy jej postępowania, a Breeze - choćby nie wiadomo jak bardzo się starał - nie potrafił ich pojąć.

- No, dobrze, jeżeli ty mogłaś się zmienić, dlaczego myślisz, że ja nie mogę? Jeżeli sądzisz, że ty zasługujesz na jeszcze jedną szansę, co ze mną?

Wiedziała, że jest z nią szczerzy. Doskonale pamiętała wszystkie spędzone wspólnie lata. Z poczuciem winy myślała o Paulu. Naprawdę go kochała? Czy w ogóle rozważałaby odejście od Breeze'a, gdyby nie miała w zanadrzu Paula? A może podświadomie używała Paula jako odskoczni do wydostania się na wolność?

Breeze rozpogodził się, gdyż w jego mniemaniu znalazł wreszcie uzasadnienie dla nieracjonalnego zachowania żony. Rzekł:

- Może przechodzisz kryzys wieku średniego?

- Nie. Przechodzę normalny kryzys kobiecej osobowości. Spróbowała wytłumaczyć, że jej życie utraciło naturalną równowagę. Zbyt wielki ciężar został położony na szali kariery zawodowej i zdobywania pieniędzy. Zakończyła wywód stwierdzeniem:

- Kierujemy się różnymi motywami. Ty pragniesz pieniędzy i sukcesu...

- A ty nie?! - prychnął Breeze. - Już zapomniałaś, jak to jest, kiedy nie masz grosza przy duszy i nikt cię nie docenia, nikt nie zauważa? To cholernie upokarzające i deprymujące. - Westchnął boleśnie i spokojniej dodał: - Więc właśnie odkryłaś, że pieniądze szczęścia nie dają. Co, w takim razie, może dać szczęście?

- Związek dwojga ludzi. Unikanie pośpiechu. Wykonywanie cenionej przez innych pracy... ale w rozsądnych granicach.

- Zaraz, zaraz! Czy mnie słuch nie myli? Chcesz przestać malować?! Przecież ty uwielbiasz to zajęcie!

- Nie jestem tylko malarką, mam bogatszą osobowość i chcę ją rozwijać.

- Każdy tego chce - skapitulował Breeze.

Wiedział, że właśnie z tego powodu wiele kobiet wybierało niepewną drogę kariery, przedkładając to nad stałą pracę. Nie dążyły jedynie do osiągnięcia wyższych zarobków - szukały uznania i szacunku. Breeze wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Podejrzewał właśnie coś takiego: poszukiwanie Prawdziwego Ja. Czegoś innego się spodziewać, gdy w każdej telewizyjnej pogaduszcze akcentuje się znaczenie indywidualnego rozwoju człowieka.

Zauważył, że mnóstwo narcystycznie nastawionych kobiet z choćby średnim wykształceniem żąda teraz więcej od życia. Żądają wiecznej młodości i urody. Żądają jednocześnie swobody i ogniska rodzinnego. Żądają satysfakcjonującego pożycia intymnego i jednocześnie prawa do uskarżania się na zmęczenie. Kobieta lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku żąda, aby objawił jej się jakiś tam cel życia, cel, do którego mogłaby dążyć.

- Chcę poczucia niezależności - dokończyła Plum.

Breeze załamał ręce.

- Ależ ty przecież jesteś niezależna. Jesteś jedną z najbardziej niezależnych kobiet Zachodu. Niewiele kobiet może pochwalić się taką niezależnością finansową.

- Zgadza się, zarabiam dużo, ale nie mam czasu na wydawanie pieniędzy. Zrozumiałam, że czas jest cenniejszy od pieniądza. Po prostu chciałabym mieć wystarczająco dużo czasu, by cieszyć się życiem, zamiast ścigać się z własnym cieniem.

- Wszyscy tego chcemy, może nie?

„To tylko zmęczenie - pomyślał Breeze. - Włożyła wielki wysiłek w przygotowanie materiału na Biennale, a potem jeszcze przytrafiła się ta historia z Jenny. Potrzebuje wypoczynku i szybko wróci do normy”.

- Zorganizuję ci pobyt w uzdrowisku - rzekł, poklepując dłoń żony. - Powiedzmy, dwa tygodnie.

- Od tej chwili - odparła ze złością - ja będę decydować, co jest dla mnie dobre. Ja zdecyduję, czy chcę pojechać do uzdrowiska. I decyduję, że nie chcę. Zwyczajnie, chcę być sobą i przez dzień lub dwa nie myśleć o żadnych strasznie pilnych sprawach. Czuję się tak, jakby kariera utkwiała mi w gardle. Częstka mojego ja wciąż nie znalazła spełnienia i nie znam spokoju, dopóki nie odkryję, co to za częstka. Nie daje mi satysfakcji życie rodzinne ani odnoszone w pracy sukcesy. Gdzie kryje się zadowolenie z życia?

- Masz wszystko, co większości kobiet jest potrzebne do szczęścia...

Plum pomyślała o Iwanie Tramp, księżniczce Walii i innych kobietach, które, wydawałoby się, miały wszystko: urodę, dzieci, bogactwo i pozycję społeczną - a jednak nie wyglądały na szczęśliwe. Breeze był na granicy wybuchu, ale tym razem jeszcze się pohamował.

- Naprawdę chodzi ci o coś innego. Ta cała gadka to tylko wymyślona wymówka, aby wskoczyć do samolotu i polecieć do tego Francuzika. Owszem, potrzebujesz wiele czasu... na igraszki w łóżku z tym parszywym gadem. Ta kruczata w poszukiwaniu „prawdziwej siebie” to zwykły wykręt, aby wrócić do tego *nouveau* Rousseau i pieprzyć się do utraty tchu.

- Wcale nie chodzi mi o Paula - odparła Plum. - Chodzi o mnie. Muszę dojść do ładu sama ze sobą.

- Prosimy zapiąć pasy. Podchodzimy do lądowania - obwieściła stewardesa.

Rozdział dwudziesty ósmy

Czwartek, 11 czerwca 1992 - Londyn

Wieczorem Max i Toby byli nienaturalnie milczący, gdy siedzieli w kuchni i zajadali na kolację hamburgery z mikrofalówki. Wysłuchali telewizyjnych wiadomości o wypadku Jenny, a zaraz później Breeze opowiedział im, jak było naprawdę. Obaj błyskawicznie wyczuli napiętą atmosferę między Plum a Breeze'em. Max wciął hamburgera, wodził wzrokiem od jednego rodzica do drugiego. Toby ani na chwilę nie podniósł wzroku znad talerza. Nie powiedział ani słowa.

Następnego ranka Plum zeszła do kuchni, by zaparzyć sobie herbatę. Max, który został na noc, przyrządzał tosty. Był zakłopotany, wygłaszając wyraźnie przygotowane wcześniej krótkie oświadczenie.

- Toby i ja... cóż, chcemy, abyś wiedziała, że Breeze to równy gość. Tak myślimy. Chyba nas rozumiesz. Po tym, co dla nas zrobił, mamy wobec niego dług wdzięczności. Jednak nadal, mamó, jesteśmy twoimi synami. Chcemy, żebyś wiedziała, że cokolwiek by się działo, stoimy po twojej stronie.

Plum bez słowa przytuliła chłopca.

*

Kiedy brała kąpiel w wannie wykładanej czarnym marmurem, zadzwonił telefon. Na szczęście jeden aparat był zawieszony obok wanny.

- Halo... Mamó... Nie, nie jest za wcześnie, już nie śpię. Zresztą, już prawie dziewięta. Tak, mamó, nadal czuję się tak, jak wczoraj wieczorem... Tak, zmęczona, ale szczęśliwa... O, tak, miło wrócić do domu... Wiem, chłopcy są ze mnie dumni...

Po tym wstępie Plum musiała wysłuchać opinii matki o najświeższym skandalu w rodzinie królewskiej. W pewnym momencie głos w słuchawce zmienił barwę.

- Jesteś dziś jakaś nieswoja, kochanie. To niestrawność? Skutki **tej** ich tłustej, obcej kuchni? O co chodzi, kochanie? Powiedz mamie...

Plum wybuchnęła płaczem.

- To n-nic ta-akiego - wyrzuciła z siebie, łkając - nic, na-aprawdę, mamoo...

- Nie bądź niemądra. Kochanie, powiedz swojej starej matce, w czym rzecz. Bądź grzeczną dziewczynką.

I nagle Plum przypomniała sobie dni, kiedy częściej słyszała ten kojący głos. Zrozumiała, że rozmawia z jedyną osobą na świecie, której zawsze ufała. W kilku urwanyh, nie dokończonych zdaniach opowiedziała o zdradzie Jenny.

Matka oburzyła się.

- Lajdaczka... Wyhodowałaś zmięję na własnym łonie... Moja biedna dziewczynka... Nigdy jej nie lubiłam... Miała coś takiego w oczach, co przypominało mi wujka Alberta, wiesz, tego, który uciekł z oszczędnościami własnej matki...

- Mamoo, nie byłam pewna, czy zrozumiesz, jak się teraz czuję.

- Ależ! To tak, jakbyś straciła bliskiego ci człowieka. Pochowałaś właśnie przyjaźń. Jesteś oburzona i zła na cały świat. Przytłacza cię smutek i poczucie osamotnienia. Strata to strata. Zawsze jest bolesna, zawsze trudna do zaakceptowania.

Pół godziny później, gdy Plum szła do skrzynki na listy, telefon odezwał się ponownie. Tym razem Jim chciał przedyskutować sprawę letnich wakacji, które po części miał spędzić z obydwojma chłopcami. Max, Toby i Jim w każdej wakacje zdobywali się na jakiś męski wyczyn. Tym razem mieli w sierpniu udać się na spływ kajakowy przez *gorges* du Verdon, francuską zminiaturyzowaną wersję Wielkiego Kanionu w Colorado.

- Jim, dlaczego nie uzgodnisz tych szczegółów bezpośrednio z chłopcami?

- spytała ze źle maskowaną złością. - Na pewno byłoby to łatwiejsze, prawda? Przecież nie mogę robić dla was zakupów w sklepie ze sprzętem wojskowym. Nie znam się na tym! Zabierz kiedyś chłopców do Laurence'a Comera i kupcie wszystko, co będzie wam potrzebne.

Mógłby przynajmniej jej pogratulować nagrody zdobytej na Biennale. Właścza gdy miał zamiar zrzucić na nią tę nudną robotę.

- Plum, mieszkasz tuż obok sklepu. Zajmie ci to tylko pół godziny - błagał Jim. - Oczywiście za wszystko zapłacę. Jeśli mimo wszystko nie zgodzisz się, stracę cały dzień na podróż do Londynu.

Plum skapitulowała.

- No, dobrze. Przeczytaj listę jeszcze raz.

Jednak zamiast odczytać treść zamówienia, Jim zapytał:

- Dostałaś moje kwiaty?

Nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Posłałeś mi kwiaty?

- Kwiaty i powinszowania. Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Jesteś tutaj żywą legendą, naszą najznakomitszą absolwentką. Musiałaś być wniebo wzięta, gdy ogłoszono wyniki. Jenny i Lulu pewnie także.

- Och, Jim... Nie wiesz, co się stało... Ta paskudna historia z Jenny...

Jim, niegdyś szkolny kolega, powinien zrozumieć, czym dla Plum była zdrada jej najlepszej przyjaciółki.

W miarę opowiadania o podwójnej grze Jenny niedowierzenie Jima z wolna przeradzało się w oburzenie, a potem gniew, kiedy zdał sobie sprawę, że Toby i Max mogli stracić matkę. Odpowiadając na jego pytania, Plum opisała swoje dochodzenie, odkrycie, że Jenny zajmuje się fałszowaniem obrazów, oraz przebieg wypadków w Wenecji.

- Nie potrafię przestać myśleć o tym przerażającym incydencie - zwierzyła się, zamykając swą opowieść.

- Trudno nazwać incydem to, że Jenny próbowała cię zabić! Niech ją szlag, zasłużyła sobie na dłuższy pobyt w szpitalu. Jak długo tam będzie?

- Wraca razem z matką w sobotę wieczorem - odrzekła Plum pośpiesznie. - Po jej powrocie chyba nie uda mi się już zdobyć żadnych dowodów przestępstwa.

- Co wtedy? Policja?

- Przypuszczam, że tak, ale zanim pójdę na policję, muszę dysponować jakimiś dowodami przeciw Jenny.

- Na pewno coś już na nią masz.

- Za mało. Muszę odnaleźć jej tajną pracownię. Oprócz pracowni w mieszkaniu miała na pewno sekretne miejsce, gdzie przygotowywała fałszykiaty. I muszę to zrobić do soboty.

- Jak się do tego zabierasz?

- Pójdę do jej mieszkania i rozejrzę się za jakąś wskazówką. Jenny była nieostrożna, kreśląc jaszczurkę w swoim szkicowniku do codziennych ćwiczeń. Skoro raz popełniła błąd, mogła popełnić go co najmniej jeszcze raz.

- Szkicowniki są do siebie podobne - podpowiedział Jim. - Może Jenny spakowała go, bo nie zauważyła, że już nie jest czysty. Jesteś pewna, że istnieje jakaś zakonspirowana pracownia?

- W pracowni urzędowej w mieszkaniu nigdy nie widziałam niczego, co przypominałoby holenderskie martwe natury.

Jim zastanawiał się nad czymś przez dwie, trzy sekundy.

- Posłuchaj, wiem, że to nie mój interes, ale wydaje mi się, że nie powinnaś iść tam sama. To może być niebezpieczne. Sama twierdziłaś, że Jenny na pewno miała współników. Breeze nie może ci towarzyszyć?

- Mówiłam ci... Breeze tylko puka się w czoło, kiedy wspominam o fałszerzach. Zrobiłby wszystko, aby mnie powstrzymać.

- Jeśli sobie zyczysz, mógłbym na jeden dzień przyjechać do Londynu - zaoferował. - Poszedłbym z tobą do mieszkania Jenny, a potem zrobiłbym

zakupy na wakacje. Chyba nie powinienem obarczać nimi **ciebie, kiedy** masz na głowie takie problemy.

- Miałam zamiar poprosić Lulu.
- Plum, potrzebny ci mężczyzna... Może będziesz potrzebowała ochrony. Pomyślmy... Dzisiaj mam od rana zajęcia, potem jestem umówiony na lunch z naszym nowym wykładowcą... Mogę złapać pociąg odchodzący o drugiej dwadzieścia. Będę na dworcu Waterloo około czwartej... U ciebie mogę być o czwartej trzydzieści. Pasuje?

- Możemy spotkać się już na Waterloo - zasugerowała Plum, wzruszona propozycją Jima. Ze skrucłą odnotowała, że od kiedy poślubił Sally, stał się łagodny i przyjaźnie nastawiony do świata.

- Nie, nie wychodź mi naprzeciw. Pociąg może się spóźnić, a trzeba mieć niezwykłe szczęście, żeby znaleźć wolne miejsce na parkingu przed Waterloo.

- Nie jestem pewna, czy powinnam cię w to mieszać.

- Plum, jeżeli to, co zamierzamy, nie jest niebezpieczne, wyjdziemy na dumiów; jeżeli jednak jest niebezpieczne... Chłopcy na pewno chcieliby, żebym z tobą poszedł.

- Ale nie powiesz nic Maxowi albo Toby'emu? Nie chcę, żeby się martwili... I nie będziesz za moimi plecami rozmawiał z Breeze'em?

- Nie powiem nikomu - obiecał.

*

ro następnych dwóch kwadransach zatelefonowała Lulu. Wróciła właśnie do domu po odprowadzeniu Wolfa na plac zabaw. Słyszając wesoły głos przyjaciółki, Plum po raz kolejny tego dnia rozplakała się do słuchawki, a potem, pociągając nosem tłumaczyła, co stało się z Jenny.

- To jest niczym nie kończący się koszmar, tylko że wszystko dzieje się w biały dzień! - wykrzyknęła na koniec. - Nazywają to szokiem pourazowym.

- Biedaczka! - powiedziała Lulu w taki sposób, że Plum rozplakała się jeszcze bardziej. - Posłuchaj, Plum, jesteś tego pewna? Po prostu nie mogę uwierzyć, że Jenny mogłaby... Dzięki Bogu, że poleciała do niej matka... Nie mogę znieść myśli, że Jenny leży połamana w jakimś szpitalu w obcym kraju, gdzie nie może nawet porozumieć się z pielęgniarkami...

- Lulu, a ja? Ja już się nie liczę?! Czym sobie zasłużyłam na to, co mnie spotkało? Jeżeli trzymasz stronę Jenny, to nigdy więcej nie chcę cię widzieć!

- Trzymam i jej, i twoją stronę - odparła nieszcześliwym głosem. - Plum, skarbie, przestań płakać... Och, cholera jasna, nie mogę do ciebie przyjść. Dziś rano ma zjawić się nowa kandydatka na opiekunkę do dziecka... Może ty wpadniesz do mnie, co? Przynieś fotokopie tych holenderskich obrazów. Mam pewien pomysł. Przepuszczam, że wciąż potrzebujesz dowodów?

- Jak najwięcej. Zaraz będę.
- Kiedy byłaś w Wenecji, policja przypadkiem aresztowała jakiegoś narkotykowego bossa, który przyznał się do zamordowania Leo. Był jednym z jego klientów. Podejrzewał, że Leo trzyma w domu trochę towaru na czarną godzinę. Zakradł się nocą, ale Leo obudził się i przyłapał go na gorącym uczynku.
- Biedny Leo. Co za bezsensowna śmierć!

Podobnie jak ciocia Harriet, Lulu wiodła życie w kuchni, aczkolwiek nie tak eleganckiej. Okna wychodziły na przygnębiające zaułki dzielnicy Bayswater, a namalowana przez Lulu na ścianach dżungla nie wyglądała tak dowcipnie jak dawniej (gdy w pomieszczeniu nie było żadnych mebli). Wyglądała teraz równie beznadziejnie i pośępnie jak nocny lokal w świetle dziennym. Stół kuchenny nie miał nic wspólnego z drewnianym antykiem ciotki Harriet. Był to nowoczesny, łatwy do czyszczenia mebel z plastyku. Oprócz pozostałości po śniadaniu znajdował się na nim otwarty szkiecownik, szylkretowy kot, kask motocyklowy i cała kolekcja zdemolowanych zabawek, wśród których wyróżniał się pozbawiony oczu pluszowy miś, spijający razem z Wolfem.

- Masz może aspirynę? - zapytała Plum, dokładając do bałaganu na stole swoją torebkę i torbę z dokumentami.

Usiadła i podparła się łokciami. Lulu natychmiast dostrzegła, że paznokcie u jej rak były nierówno poprzygryzane.

- Przykro mi. Nie mam tu nic podobnego. Może wypijesz kubek herbatki ziołowej?... - Lulu zatrzymała wzrok na podkrążonych, hiacyntowych oczach przyjaciółki. - Ulala! Skarbie, nie wyglądasz najlepiej!

Plum z trudem powstrzymała się, by nie wybuchnąć płaczem.

- Lulu, rozumiesz, jak się czuję, prawda? Gdzieś w podświadomości wiesz, że ktoś może wystawić cię do wiatru, ale żeby zdradziła cię przyjaciółka?

- Tak jakby zdradziła cię siostra - powiedziała cierpko Lulu. - Nie wiem, co myśleć o Jenny. Jeśli tak potraktowała przyjaźń z tobą, co czuła do mnie? Ty nie możesz jej ufać, a ja mogę? Przez lata Jenny bawiła się z nami w kotka i myszkę, ukrywając prawdziwe uczucia... Mam wrażenie, że nie znam tej kobiety. Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę ją znać.

- Jak przyjaciółka może zrobić coś takiego?

- Mogła to zrobić, bo nigdy nie była przyjaciółką - stwierdziła ze smutkiem Lulu. - Udowodniła to.

Plum wytarła nos, popiła herbatkę i poczuła się odrobinę lepiej.

- Lulu, masz jakiś pomysł, gdzie Jenny sporządzała fałszykaty?

Po kilku minutach zastanawiania się Lulu podsunęła pewną myśl:

- Może korzystała ze swojej starej kwatery przy Westbourne Grove. Plum była zaskoczona.
- Myślałam, że zrezygnowała z wynajmu, gdy przeprowadzała się do Craven Hill Gardens.
- Nie. Pytałam ją, czy mogłabym wynająć jej starą pracownię w suterenie, gdzie czynsz był bliski zeru, ale Jenny stwierdziła, że w dalszym ciągu potrzebuje tego lokalu na pracownię.

Plum szeroko otworzyła oczy.

- Gdzie dostanę klucz?
- Nie mam pojęcia. Może Jenny zostawiała go u sąsiadów. Jeżeli tak, możesz spróbować go wydobyć.

Jednak obie doskonale wiedziały, że w niszczących, zaszczurzonych budynkach przy Westbourne Grove mieszkali emigranci i bezrobotni Irlandczycy na zasiłku. Plum w swym eleganckim, jedwabnym kostiumie będzie postrzegana przez nich jako potencjalny wróg.

- Jenny nie ufałaby nikomu na tyle, aby powierzyć mu klucz do pracowni. Klucz musi być gdzieś w jej mieszkaniu.

Plum popatrzyła na zegarek. Jedenasta. Czula potrzebę działania. Wydawało jej się śmieszne, żeby czekać pięć i pół godziny na przyjazd Jima, kiedy może wykorzystać ten czas na przeszukanie apartamentów Jenny. Dozorca widział ją wiele razy, chyba wpuści ją do domu. A gdyby potrzebowała towarzystwa, mogłaby nawet poprosić go, żeby wszedł z nią na górę. Dozorca obroniłby ją przed jakimś łajdakiem przycajonym w mieszkaniu.

Kiedy ponownie spojrzała na zegarek, było już pięć po jedenastej. Nie mogła siedzieć tutaj z założonymi rękami.

Wyłumaczyła Lulu, że musi zmienić plany.

- Nie powinnaś iść tam sama - stwierdziła przyjaciółka. - Nie mogę ci towarzyszyć. Za pół godziny muszę zabrać Wolfę z placu zabaw. Jim nie mógł przyjechać pociągiem o jedenastej dwadzieścia?

- Nie mógł. Ma zajęcia, a potem obiad z nowym wykładowcą. A ja mam czas tylko do jutra. Kiedy Jenny wróci, natychmiast sięgnie po telefon, ostrzeże współników, a ci bezzwłocznie zniszczą wszystkie obciążające ich dowody. Zresztą mogła znaleźć sposób, żeby ostrzec ich wcześniej. Każda upływająca godzina zmniejsza prawdopodobieństwo znalezienia czegokolwiek w sekretnej pracowni.

- Na miłość boską, bądź ostrożna.

Plum przytuliła Lulu, porwała ze stołu torebkę i wypadła za drzwi.

Trzy minuty później Lulu zbiegła po schodach, trzymając zapomnianą przez przyjaciółkę torbę z dokumentami. Otworzywszy frontowe drzwi, zobaczyła, jak czarny porsche znika za rogiem.

- Cześć, Lulu.
- Odwróciła się na piecior.
- O, Mandy. Cześć. Wróciłaś już do Londynu? Myślałam, że miałaś zamiar poobijać się po świecie.
- W Istambule skończyły mi się pieniądze. Muszę odbudować swoje oszczędności i dlatego powróciłam do zawodu opiekunki. Twój adres był pierwszym, który dano mi w agencji.
- Dzięki niebiosom, że mi ciebie zesłały. Mogę powierzyć ci Wolfa!
- Od kiedy?
- Od zaraz. Wiesz, gdzie trzymam wszystko, co potrzebne. Mamy tu taki sam bałagan jak zawsze.
- Cudownie. Zadzwońię do agencji. Pieniądze na lunch nadal w czajniku?

O jedenastej trzydzieści Plum stała pośrodku słonecznego salonu w mieszkaniu Jenny i zastanawiała się, gdzie rozpocząć poszukiwania klucza.

Do dwunastej trzydzieści zdążyła przeszukać pokój gościnny, sypialnię, łazienkę, kuchnię i drugą sypialnię, przerobioną na pracownię, w której było żadnego śladu wskazującego na fałszyfikaty: żadnych materiałów, książek czy posterów do skopiowania. Kompletnie nic.

Ze złością pomyślała, że przyjdzie jej przekopywać się przez dokumenty przechowywane w biurku. Z tego, co mówiła Lulu, wynikało, że Jenny nie opłaca gotówką czynszu za wynajem lokalu przy Westbourne Grove. Skoro płaciła czekami, gdzieś powinny leżeć ich kopie jako dowód wpłaty.

Miała nadzieję, że wystarczy przejrzeć rachunki, lecz zawiodła się. Gdyby odkryła nazwisko właściciela domu przy Westbourne Grove, mogłaby spróbować dostać się do suterenu za jego pośrednictwem. Ale czy miało to jakiegokolwiek szanse powodzenia? Właściciela tamtego domu na pewno trudniej byłoby namówić do współpracy niż dozorcę w Craven Hill Gardens, który bez jednego zbędnego słowa otworzył Plum drzwi od mieszkania Jenny. Może gdyby powiedziała mu o wypadku Jenny i skłamała, że koleżanka potrzebuje kilku drobiazgów do szpitala...

Rozważała możliwości dalszego postępowania, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Serce skoczyło jej do gardła. Zła na siebie za tak nieposkromioną lekliwość, podeszła do drzwi. Ostrożnie wyjrzała przez wizjer.

Na zewnątrz stał przyjacielsko usposobiony dozorca. Chciał wiedzieć, kiedy Jenny wyjdzie ze szpitala. Pełniła funkcję sekretarki Wspólnoty Lokatorów, a ogrodnik skarżył się, iż nie otrzymał poborów za poprzedni miesiąc.

Po krótkiej wymianie zdań Plum zamknęła drzwi, zasunęła łańcuch, a potem

oparła się plecami o twardą płytę. Poziom adrenaliny z wolna powracał do normy. Pomyślała, że zrobiła się nerwowa i nadpobudliwa. Wzrok padł na płaszcz i kurtki, znajdujące się na staroświeckim wieszaku...

Skoczyła naprzód i zaczęła wpychać dłonie do kieszeni kolejnych ubrań: wielkiego zimowego palta, szkarłatnego płaszcza, podarku od Plum, wieczorowej pelerynki z czarnego aksamitu, kurtki zostawionej przez jakiegoś kochanka, starego beżowego płaszcza przeciwdeszczowego. W kieszeni tego ostatniego wyczuła coś twardego.

Z uczuciem radosnego triumfu patrzyła na klucz, leżący na wyprostowanej dłoni. Nie był to mały, błyszczący kluczyczek o skomplikowanym wzorku nacięć, ale stary, ciężki i wielki klucz. Plum nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała klucz do pracowni przy Westbourne Grove, ale wiedziała jedno: klucz, który trzymała w dłoni - zimny, masywny i zaśniedziały - na pewno nie pasował do nowoczesnego mieszkania. Był to stary klucz do starego domu.

Podniecona odkryciem pobiegła do telefonu, aby powiadomić Lulu.

- Natychmiast jadę na Westbourne Grove - powiedziała na zakończenie.
- Weź taksówkę. Nie powinnaś parkować porsche przed domem. Ach, zostawiłaś u mnie torbę.
- Nie szkodzi. To tylko dokumenty do sprawy. Odbiorę je później.

*

Krótko po pierwszej znalazła się przed brudną kamienicą czynszową, w której Jenny zamieszkała po przyjeździe do Londynu. Dawno temu była to siedziba dobrze prosperujących biznesmenów, dziś zasiedlały ją zubożałe rodziny. Imponujące schody, prowadzące na portyk, służyły za wspólny ganek.

W otoczeniu sfory dzieciaków siedziała na tych schodach zmęczona, blada kobieta z włosami pomarańczowego koloru, a obok niej gruba czarna babcia w jednoczęściowym turkusowym kostiumie. Za nimi, oparty o oblażoną z farby kolumnę stał chudy Hindus, ubrany w wytarty, o wiele za duży brązowy garnitur.

Dwie ładne, wielkookie czarnoskóre dziewczynki z włosami przewiązanymi wstążkami zbiegły ze schodów i chwyciły torebkę Plum.

- Pani, pani, ma pani papierosy?
- Przykro mi, nie mam.

Plum nerwowo spoglądała na ludzi blokujących drogę do frontowych drzwi. Powiedziała sobie, że to głupota bać się tych ludzi.

Wewnątrz, w holu stały pod ścianą pordzewiałe kubły na śmiecie, wały się stare, zużyte sienniki śmierdzące uryną oraz jakiś złom, który niegdyś mógł być rowerem. Plum szybko przeszła obok tych skarbów i skierowała się do

drzwi pod schodami prowadzącymi do piwnicy. Z biciem serca wyjęła z kieszeni klucz.

Bez problemu zagłębił się w zamku.

Plum weszła do środka i z ulgą pośpiesznie zamknęła drzwi od środka. Przez kilka bardzo długich sekund szukała palcami kontaktu. Nie znalazła.

Na drżących nogach zaczęła schodzić w dół, żalując, że założyła pantofle na wysokim obcasie. Wprawdzie dodawały jej wzrostu, ale okazały się teraz bardzo niebezpieczne. Mimo to udało jej się dotrzeć do ostatniego stopnia. Szurając nogami po podłodze wyciągniętymi rękami namacała klamkę od głównego pomieszczenia. Nacisnęła ją. Bała się, że drzwi nie otworzą się, ale ta najczarniejsza wizja się nie sprawdziła.

Westchnęła z ulgą, gdy przestąpiła próg pomieszczenia rozjaśnionego bladym światłem dnia przenikającym przez ponure, zakratowane okienko.

Rozejrzała się wokół. Kiedyś była tu kuchnia, w której przygotowywano gigantyczne posiłki dla jakiejś wiktoriańskiej rodziny. Teraz pomieszczenie było zaskakująco czyste i niemal całkowicie pozbawione sprzętów. Wyjątek stanowił drewniany, wyższy niż zwykle, stół z metalowym blatem, pod którym skrywała się jakaś maszyna. Plum wiedziała, co uruchamiał przycisk „on/off”. Był to sprzęt do próżniowej obróbki płócien, odnawiania i łatania wyrw.

Komu było potrzebne takie urządzenie oprócz konserwatora obrazów? Może... fałszerzowi?

Wróciła na korytarz, znalazła kontakt i zapaliła światło. Poszła do bocznego pokoju, używanego przez Jenny jako pracowni. Wewnątrz panowały absolutne ciemności. Kolejny raz musiała szukać kontaktu.

Nie widziała jeszcze tak czystej pracowni. Właściwie nigdy nie widziała czystej pracowni - podczas malowania nie sposób uniknąć zabrudzenia farbami choćby skrawka pokoju. Po prawej stronie drzwi wejściowych stał pod ścianą metalowy segment z półkami, na których starannie poustawiano puszkę i tuby z farbami. Na jednej z niższych półek znalazł miejsce czajnik i akcesoria potrzebne do zaparzenia kawy. Nad nimi stał równy szereg książek o sztuce. Ich okładki wskazywały na częste użytkowanie. Na najniższej półce upchane były jakieś szmatki i stare gazety.

Okna, dokładnie naprzeciw wejścia, zostały starannie zasłonięte drewnianymi okiennicami. Pod nimi stała sztaluga z płótnem skierowanym ku oknom. Po lewej stronie sztalugi wysokie krzesło, stolik, a na nim czysta paleta i blaszany dzbanek z pędzlami.

Wstrzymując oddech, Plum prawie biegiem pokonała całą długość pokoju i zatrzymała się przed płótnem. Była to mała martwa natura. Z centralnie położonego koszyka z owocami wysunęło się kilka wiśni i brzoskwiń. U podstawy koszyka leżały kwiaty, a po prawej stronie nadgryziona brzosk-

winia. Obraz był zaledwie naszkicowany ołówkiem, a malarz dopiero zaczynał kłaść farby: na początek brązowo-zielone tło i jaskrawe żółte tony.

Plum patrzyła właśnie na zaczątki obrazu, który z całą pewnością mogłaby przypisać Balthazarowi van der Ast.

Minęła godzina czternasta, gdy Lulu sięgnęła do torby pozostawionej przez Plum i wyjęła teczkę z dokumentami. Znalazła kopertę, a w niej fatokopie. Otworzyła ją. Na stół wysypały się zdjęcia, wśród nich odbitka z polaroidu.

Lulu podniosła ją i dokładnie obejrzała. Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała przypomnieć sobie jakąś bardzo ważną rzecz. Pogrzebała w torbie Plum, szukając lupy. Uzbrojona w szkło powiększające wróciła do polaroidowej odbitki.

W jednej chwili zrozumiała, że Plum znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Podskoczyła do aparatu telefonicznego i wykręciła numer kierunkowy do innego miasta.

*

Plum miała dowody wiążące Jenny z pracownią fałszerza, ale wciąż nie znalazła niczego, co by jasno wskazywało, że to Jenny jest autorką falsyfikatów. Nie natknęła się też na nic, co naprowadziłoby ją na ślad współników. Postanowiła przyjrzeć się książkom na półce. Być może tam tkwiła jakaś wskazówka.

Nagle usłyszała jakiś hałas za plecami.

Odwróciła się, irracjonalnie oczekując, iż zobaczy dwie dziewczynki, które zaczęły ją na schodach przed domem.

Ku jej zdumieniu na progu pracowni stał jej były mąż.

- Jim! Przyjechałeś wcześniej pociągiem... - urwała w pół słowa, a jej uśmiech błyskawicznie zaczął nikać. Przystojna twarz Jima była napięta i blada, cienkie wargi zaciśnięte między zębami. Spoglądał szarymi oczami jakby była nieznajomą.

Plum połapała się w sytuacji.

- Skąd wiesz o tym miejscu? - zapytała.

Jim cichutko zamknął drzwi. Miał na sobie czarne dzinsy, kurtkę w kolorze khaki, a dłonie skrywał w rękawiczkach. Przyniósł ze sobą dużą torbę.

- Cóż, teraz już wiesz... - stwierdził wyzywająco.

Plum domyśliła się, że Jim wsiadł do pociągu odjeżdżającego z Portsmouth o jedenastej dwadzieścia i przyszedł prosto na Westbourne Grove. Liczył, że będzie miał trzy godziny na usunięcie wszelkich obciążających dowodów.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - spytał szorstko. - Myślisz, że chłopcy będą zachwyceni, kiedy pošlesz mnie za kratki?

„Musi być zdenerwowany - pomyślała - jeżeli zagrywa swą najlepszą kartę tak szybko”. Poczła się znacznie pewniej. Dysponowała wieloma atutami i powinna wygrać, jeśli tylko nie wpadnie w panikę i nie zapomni, jak prowadzić rozgrywkę. Zmusiła się do myślenia. Powinna ustalić, gdzie się kryje brakujące ogniwo między Jimem a Tononem. Z Jenny na pewno tego nie wydusi. Ale Jim mógłby się wygadać...

- Oczywiście, że nie chcę pošłać cię za kratki.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziałaś, że nie byłaś jeszcze na policji. Dobrze pamiętam?

Malujące się na twarzy szalone napięcie świadczyło, jak ważne jest dla niego potwierdzenie.

Plum przypomniała sobie sugestię Breeze'a, że powinna poczekać z powiadomieniem policji, kto wysyłał anonimy z groźbami.

„Kiedy pójdziesz na policję - powiedział wtedy - będzie to już nieodwołalne. Więc zanim to zrobisz, musisz być pewna, że chcesz pošłać Jenny do więzienia”. Plum niemal poczła się winna, gdy dodał: „Może poczekasz, aż wróci do Londynu. Nie ma pośpiechu. Zdążysz zafundować tej biednej kreaturze odsiadkę”.

Czy powinna jednak powiedzieć Jimowi, że nie powiadomiła policji? Żałowała, że nie pamięta, co powiedziała przez telefon. Jednego była pewna: nie powinna przeczytać samej sobie. Mogłaby go rozwścieczyć.

W rozmowie telefonicznej zapewne powiedziała mu prawdę, a więc że nie zawiadomiła policji.

Oparła się plecami o metalowe półki i spokojnie stwierdziła:

- Nie, policja nie wie, że Jenny jest fałszerzem.

- Fałszerzem? Widzę, że wciąż z taką samą bez troską używasz niektórych słów. Może nazwiesz ją zbrodniarką?

Plum przypomniała sobie ich dawne kłótnie małżeńskie. „Nie daj się sprowokować - powiedziała sobie. - Nie daj się wciągnąć w osobiste przytyki. Skieruj rozmowę na malarstwo, posługując się starą metodą: udobruchaj go pochlebstwami”.

- W jaki sposób dałeś się w to wciągnąć? Myślałam, że nie cierpisz Jenny.

Z czasów małżeństwa znakomicie pamiętała cięte uwagi, jakimi raczyła obydwie jej przyjaciółki. Jego antypatia raczej nie była udawana.

Jim uśmiechnął się szeroko.

- Byłaś zbyt pochłonięta sobą, by zauważyć, że już w college'u Jenny zakochała się we mnie bez pamięci.

Więc to nie Breeze był mężczyzną życia Jenny! Przyczyną nienawiści do Plum był... Jim.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Nie, nie spaliśmy ze sobą. Wystarczy jednak, że kiwnę palcem, a twoja przyjaciółeczka pada przede mną na kolana.

Plum musiała zwalczyć w sobie niechęć do Jima narastającą z każdą chwilą.

- Jenny ci ufała.

- Zawsze ufa się temu, kogo się kocha. Kiedy Jenny zdała sobie sprawę, że nie mam ochoty zdjąć jej majteczek, zdecydowała, iż stanowią znakomity materiał na starszego brata.

- Jenny szukała partnera, który zająłby się fałszowaniem metryk. A ty jesteś grafikiem.

Plum wydawało się, że był to znacznie ważniejszy powód, dla którego Jenny zainteresowała się Jimem. A może znowu wychodziła na naiwniaczkę?

- Jenny wiedziała, że potrzebuję pieniędzy.

- Skąd niby to wiedziała?

- Każdy nauczyciel mający dzieci na wychowaniu potrzebuje pieniędzy.

- Więc pracowaliście razem od chwili, gdy Jenny opuściła Billa?

- W 1988 roku. Mieliśmy listę klientów Billa. - Roześmiał się. - To znaczy tych, którzy nabywali fałszyfikaty.

„Pochlebstwa, pamiętaj o pochlebstwach” - powtarzała w myślach.

- Znakomicie sobie radziłeś, Jim, ale nie byłeś przecież mózgiem całej operacji. Kto był szefem?

Mówiąc, przesuwiała się powoli w stronę sztalugi.

- Do cholery! To ja zorganizowałem każdy najmniejszy szczegół! - wykrzyknął Jim, wyraźnie rozdrażniony. - To ja zaaranżowałem dystrybucję. To ja przygotowałem metryki i to ja wyszukiwałem stare materiały w antykwariatach albo na wyprzedażach staroci.

Milimetr po milimetrze posuwała się do wyznaczonego celu.

- A dystrybucja? Poprzez Gillian Carteret?

Jim zdumiał się. Wyglądał na przestraszonego.

- Ją z tego wyłącz!

- Jim, prowadzą do niej aż trzy tropy. Wciąż posiada jeden fałszyfikat. Powiesiła go w sypialni.

- Jak Jilly mogła zrobić coś tak głupiego?!

- Jilly?

- Nazywała się Jilly Thompson, zanim wyszła za tego nadętego skurwiela.

Plum przypomniała sobie:

- No, jasne. Jilly Thompson była w college'e chyba na tym samym roku co Lulu.

Plum bardzo chciałaby zetrzeć ten głupi uśmiezek z jego twarzy.

- Niech mnie szlag, jeśli jeszcze coś ze mnie wydusisz... - warknął Jim. - Ty dziwko! Co kombinujesz?!

A jednak za szybko się przemieszczała.

Jim ruszył w jej kierunku. Teraz nie miała już na co czekać. Porwała ze sztalugi nie ukończony obraz i ukryła go za plecami.

Jim bez zastanowienia rzucił się do przodu. Miał zamiar odzyskać płótno.

Plum pchnęła na niego sztalugę trzymetrowej wysokości. Jej prawe ramię uderzyło Jima w twarz. Zawył z bólu, przyciskając do czoła obie dłonie.

Plum wyczuła szansę. Drzwi były tak blisko.

Jednak gdy tylko je otworzyła, Jim złapał ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Nie zmieniałaś się, ty suko!

Z czoła sączyła mu się krew. Sięgnął po obraz, ale Plum przywarła plecami do ściany. Poczuła na sobie ciężar jego ciała. Z Jenny mogła podjąć walkę, wobec siły Jima była niemal całkowicie bezradna.

- Ty mała, arogancka kurewko! - ubliżał jej.

Bliski kontakt zdawał się wyzwać w nim agresję. Nienawidził jej; zazdrościł sukcesów, które tylko podkreślały jego własne porażki.

Położył dłoń na jej czole i uderzył głową o ścianę. Plum zobaczyła pod powiekami pomarańczowoczerwoną lunę. Jim potrząsał nią niczym rozszalałe dziecko szarpiące szmacianą lalkę. Potem chwycił różową chustkę na jej szyi i zacisnął. Plum krzyknęła z bólu. Siniaki jeszcze nie zdążyły się zagoić.

Gdy Jim zaczął dusić ją rękami, wypuściła płótno na podłogę i spróbowała zerwać jego dłonie.

Nie udało się. Jim zaciskał dłonie coraz mocniej. Nie mogła krzyczeć, z gardła dobywał się tylko charkot. Zmagając się, chwiali się, deptali zapomniany obraz.

Plum znajdowała się już na skraju utraty przytomności, gdy zmusiła się do ostatniego wysiłku. Z całej siły wepchnęła prawy kciuk w lewe oko Jima.

Były mąż wrzasnął z bólu i oderwał lewą rękę od jej szyi.

Wyczuła, że uścisk zelżał. Wykręciła mu się, osunęła po ścianie. Na czworakach popęzła w stronę schodów.

Jim stanął na progu, gdy zaczynała wchodzić na górę. Rzuciła przez ramię paniczne spojrzenie. Błądź jego twarzy i płomień w oczach zmroziły ją, niemal sparaliżowały. Instynkt nakazywał co sił biec w górę, ale umysł podpowiadał, że Jim na pewno dopadnie ją, nim zdąży dostać się na szczyt schodów. Przelotnie pomyślała o zaalarmowaniu kogoś krzykiem, ale taka próba byłaby skazana na niepowodzenie. W tym budynku krzyki mogłyby wywołać co najwyżej uniesienie brwi.

Zmusiła się, by odwrócić się przodem do napastnika i zaczęła, aż zbliżył się na odpowiednią odległość, a wtedy kopnęła go w twarz.

Jim ponownie zawył z bólu. Zatoczył się do tyłu, ale już po chwili ponowił szturm na schody.

Za każdym razem, gdy usiłował ją złapać, kopała go w głowę lub tułów, a stopy zawsze docierały do celu.

Cofała się w górę schodów, jeden stopień i kopnięcie, znowu jeden stopień i zamach nogą z pantofelkiem na obcasie. Raz udało jej się rozorać tym obcasem policzek Jima.

Za każdym razem, gdy Jim cofał się, patrzyła w jego złośliwe oczka i była pewna, że coś kombinuje, szuka jakiegoś cwane go sposobu, obmyśla zaskakujące posunięcie.

Plum nie miała żadnego planu. Po prostu chciała dotrzeć na szczyt schodów. Nagle poczuła na plecach metalową futrynę. W jednej chwili zdekoncentrowała się, straciła równowagę.

Jim tylko na to czekał. Pochylił się, schował głowę między wyciągniętymi ramionami i rzucił się do przodu. Oburącz chwycił Plum za nogi.

Krzyknęła przeraźliwie, świat zawirował szaleńczo. Zwarci w uścisku spadali po kamiennych schodach.

Kilka razy uderzyła głową o metalowe barierki poręczy, twarde, kamienne stopnie gruchotały jej kości, wrzynały się w ciało. Na koniec wpadli na ścianę u podnóża schodów. Plum czuła na sobie ciężkie ciało Jima. Z przażeniem uświadomiła sobie, że znalazła się w pułapce.

Już na granicy świadomości usłyszała gdzieś łomotanie i jakieś krzyki docierające spoza drzwi wychodzących do holu. A potem odgłosy podobne do rąbania drewna... ciężkie uderzenia... pękające drewniane drzwi. Ze szczytu schodów zbiegli ku niej jacyś umundurowani mężczyźni. Usłyszała znajomy, przenikliwy głos Lulu, wykrzykujący słowa:

- Szybciej! Pośpieszcie się, psiakrew!

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Piątek, 12 czerwca 1992

Siedziały na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. Plum zapytała:

- Lulu, skąd wiedziałaś, że znalazłam się w tarapatach?

- Otworzyłam kopertę z dokumentami i wypadło z niej zdjęcie Jilly Thompson. Rozpoznałam ją natychmiast. Nie da się zapomnieć tego marudnego wyrazu twarzy, długich włosów, jak u wiedźmy, i wylupiastych oczu. Ponieważ Jilly stała obok obrazu, niechybnie będącego martwą naturą holenderskiego malarza, zrozumiałam, że jest to zdjęcie, o którym opowiadałaś, zdjęcie Gillian Carteret, wykonane w jej sypialni. W następnej sekundzie olśniło mnie, iż Jilly Thompson i Gillian Carteret to jedna i ta sama osoba. Łatwo odgadłam, że łącznikiem między nią a fałszerzem był nie kto inny tylko Jim.

Lulu była zażenowana. Nie chcąc denerwować Plum, nigdy jej nie powiedziała o romansie, jaki łączył Jilly Thompson i Jima. Oznaki były na tyle jasne, że każdy mógł się zorientować: pewnego razu obydwójce „przypadkiem” zatrzasnęli się w klasie na ponad godzinę. Były też inne dowody na faworyzowanie jej przez Jima. Potem Jilly otwarcie przechwalała się, że ma na swoje skinienie najprzystojniejszego wykładowcę w college'u. Ich flirt stał się publiczną tajemnicą.

Tak więc gdy Lulu zobaczyła Jilly na polaroidowym zdjęciu, natychmiast odgadła, że Jim nie przyjedzie z Poitsmouth, by pomóc Plum, ale po to, by ją powstrzymać, a może wyrządzić krzywdę.

Zatelefonowała do Hampshire Art College i poprosiła Jima do aparatu. W odpowiedzi usłyszała, że nie ma go na uczelni. Tego dnia nie miał w planie żadnych zajęć. Więc Jim skłamał Plum, co utwierdziło Lulu w jej podejrzeniach.

Plum ściszyła głos tak, żeby policjanci siedzący z przodu samochodu nie słyszeli jej słów. Zapytała:

- Jak to się stało, że na ratunek wysłano mi oddział do walki z narkotykami?

Lulu skromnie spuściła oczy.

- Nie wiedziałam, z którym wydziałem policji jesteś w kontakcie. Spodzie wałam się, że mogę mieć kłopoty ze znalezieniem właściwego człowieka, a jeżeli już go znajdę, z wytłumaczeniem, dlaczego się niepokoję. Zabrałoby to za dużo czasu. Zanim przekonałabym gliny, że jesteś w niebezpieczeństwie, mogłaś już zostać zamordowana, poćwiartowana na drobne kawałeczki, zapakowana do walizek i pozostawiona w przechowalni bagażu na dworcu Paddington. - Zachichotała. - Wiedziałam, jak skłonić gliniarzy, żeby ruszyli tylko z miejsca. Powiedziałam, że handlujesz narkotykami i udałaś się na spotkanie ze swoim hurtownikiem. Powiedziałam, że można u ciebie dostać wszystko: prochy, kokę, trawkę, hasz, ale nie chciałaś dać mi na kredyt, więc z zemsty zadzwoniłam na gliny... Zabrzmiało to chyba przekonująco, bo zapytali mnie, czy jestem gotowa pojechać z nimi celem dokonania iden tyfikacji.

Siedzący obok kierowcy inspektor z wydziału narkotyków odwrócił się z uśmiechem na ustach.

- Mówiła bardzo przekonująco, może mi pani wierzyć, pani Russell. Już myśleliśmy, że zapuszczamy panią na czternaście lat! To maksymalny wymiar kary za posiadanie narkotyków klasy „A” z zamiarem prowadzenia sprzedaży.

- Ocaliłaś mi życie, Lulu.

Plum otoczyła przyjaciółkę lewym ramieniem i przygarnęła ją do siebie. Brylantowy pierścionek błysnął w słońcu. Wciąż tuląc Lulu, zsunęła pierścień z palca.

- Pokaż swoją dłoń.

Położyła pierścionek na dłoni przyjaciółki i zamknęła nad nim palce Lulu.

- To powinno załatwić sprawę twojej hipoteki.

- O, mój Boże... - wykrztusiła Lulu. - Nie mogę... Chociaż... Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy!

- Wiem, wiem... Wolność! - stwierdziła Plum. - Poza tym, mam dość brylantów. Są tylko źródłem ciągłego utrapienia, a ich ubezpieczenie jest niezwykle kosztowne. Jak magnes przyciągają ludzką zawiść, rodzą przemoc, prowokują opryszków. Jako inwestycja wcale się nie sprawdzają, bo w pięć minut po zakupie potrafią stracić połowę swojej wartości. Będę zachwycona, jeśli ten bezużyteczny przedmiot pozwoli spłacić waszą hipotekę.

Lulu włożyła pierścionek na swój mały palec.

- Trudno mi w to uwierzyć! Od tak dawna staram się pozbyć tego choleme go długu. Ben bez końca posługuje się nim jako wymówką, aby na wszystkie moje propozycje mówić „nie”. - Poruszyła palcem. Oglądając błyski, rzucane przez klejnot, powiedziała: - Czy masz coś przeciwko temu, że ponoszę go przez kilka dni, zanim go sprzedam? Tak dla zabawy...

Niedziela, 14 czerwca 1992

Gdy poszła odwiedzić Jima, zrobił na niej wrażenie człowieka pełnego skruchy. Przebywał w celi na posterunku policji. Następnego ranka czekała go wstępna rozprawa przed sądem. Został oskarżony o fałszerstwo i czynną napaść fizyczną.

Plum, myśląc o jego synach, próbowała wyperswadować policji stawianie oskarżenia o czynną napaść fizyczną. Inspektor odpowiedział wtedy:

- Przecież każdy widzi ślady na pani szyi. Przyłapaliśmy go na gorącym uczynku. Nie możemy przymknąć oka na próbę uduszenia.

Gdyby nadal byli małżeństwem, można by potraktować zajście jako małżeńską sprzeczkę. Wtedy oskarżenia by nie było.

Skoro jednak nie można go cofnąć, Plum nie wpuszczono do wyłożonej białymi kafelkami celi Jima. Mogła jedynie zajrzeć do środka przez wizjer. Jim leżał w ubraniu na skórzanym materacu rozłożonym na ławeczce ciągnącej się przez całą długość celi. Na jej końcu znajdowała się otwarta miska klozetowa. Małe okienko naprzeciw drzwi było zakratowane.

- Dzięki, że próbowałaś zmniejszyć zakres oskarżenia.
- Szkoda, że się nie udało. Próbowaliśmy też wydstać cię za kaucją.
- Żał mi dzieci. Pewnie wykopią mnie z college'u.

Jim doskonale wiedział, że już nie wywinie się od więzienia. Wiedział, że żona i dzieci wstydzą się go. Nie miał ochoty na rozmowę.

Tuż przed zakończeniem wizyty Plum zapytała go, czy zadzwonił wtedy rzeczywiście tylko w sprawie wakacyjnych planów. Pamiętała, że było coś podejrzanego w jego głosie. Nie potrafiła tego nazwać, ale podejrzenie nie dawało jej spokoju.

- Twoja matka zatelefonowała do mnie i po raz pierwszy w życiu powiedziała mi coś użytecznego. - Uśmiechnął się żałośnie. - Powiedziała, że pograżyłaś się w rozpacz. Podobno Jenny napadła na ciebie, ponieważ odkryłaś, że fałszuje obrazy. Natychmiast zadzwoniłem do ciebie, aby dowiedzieć się, co, u diabła, się stało.

W okół posiniaczonej szyi owinęła pomarańczową chustkę; miała na sobie żółtą, bawełnianą sukienkę i cienkie sandały na korkowym obcasie, które nie wydawały najślabszego dźwięku w zetknięciu z gumową wykładziną szpitalnych korytarzy.

Plum zatrzymała się na progu sali, w której leżała Jenny. Z wyjątkiem twarzy, trudno było znaleźć jeden skrawek na jej ciele wolny od bandażu lub

plastrów. Na twarzy nie było plastrów, nie było też jakichkolwiek śladów wyrzutów sumienia. Tylko oskarżenia.

- Spodziewam się, że wiesz, jak się to skończy - warknęła Jenny z głębin szpitalnego łóżka. - Wyląduję w więzieniu!

- A czego się spodziewałaś w razie wypadki?

Jenny chrząknęła.

- Masz chyba świadomość, że to przez ciebie zamkną Jima w więzieniu. Jak sądzisz, co powiedzą na to jego dzieci?

Plum myślała o tym przez wiele godzin. Teraz milczała. Miała nadzieję, że chłopcy nie będą jej winić. Ze swej strony będzie musiała pomóc im przejść przez trudne pierwsze miesiące.

- Nigdy się nie domyśliłam - odezwała się Plum - że kochałaś Jima.

- To typowe dla twojej gruboskórności! Ja, przeciwnie, zdałam sobie sprawę, że Jim cię kocha, nawet wcześniej niż ty... - Rozmarzonym głosem wspomniała: - Od tamtej pory szczerze cię znenawidziłam... Pamiętasz, jak wracaliśmy z noworocznego balu, stłoczone w starym fordzie Jima razem z dziesięciorgiem innych śpiących ludzi? Miałam zostać ostatnia w samochodzie, ale nie... to ty zostałam. Pamiętam, podciągnęłam leciutką sukienkę i zapadając się w śniegu szłam do frontowych drzwi. Odwróciłam się, aby pomachać wam na dobranoc.

Jakaś gruda utknęła Jenny w gardle. Dopiero po chwili mówiła dalej:

- Oboje zapomnieliście o moim istnieniu. Jim głąskał cię po twarzy, jakbyś była jakąś cholerną maskotką, najdelikatniejszą i najwspanialszą pod słońcem. Nie ściskaliście się nawet, on tylko patrzył, pożerał cię wzrokiem... czuł do ciebie to, co ja czułam do niego.

- To było dawno, dawno temu - łagodnie powiedziała Plum. - Zapomnijmy o tym, Jenny.

- Nigdy o tym nie zapomnę! Stałam w cieniu, z dala od jasnego kręgu latarni i czułam się jak wyrzutek, jak ktoś, kogo należało się pozbyć.

- To nie moja wina - zaprotestowała Plum.

- Na pewno go sprowokowałaś! - rzuciła jej w twarz Jenny. - Mniejsza z tym. Unikałam cię, aż do rozpoczęcia wiosennego semestru, dopóki nie wiedziałam, że dam sobie z tym radę. Ale wkrótce znowu otrzymałam cios. Jakby zaciskała się wokół mojej piersi obręcz bólu. Tym razem nie miało to nic wspólnego z Jimem.

Jenny przerwała na chwilę, jakby chciała przywołać wyraźne wspomnienie.

- Przypominasz sobie dzień, w którym po raz pierwszy malowałyśmy farbami olejnymi? Moja sztaluga stała naprzeciw twojej, ponieważ malowałyś my siebie nawzajem. Pod koniec zajęć stary Davis chodził jak zwykle po sali. Mojej pracy poświęcił dwie sekundy, a potem zatrzymał się przy tobie. Zawołał swojego kumpla, profesora Briggsa, i obaj przyglądali się twojej pracy, szepcząc do siebie, jakby oprócz ciebie nikogo z nas nie było w sali.

- Jenny, nie możesz mnie winić za...
- Dlaczego nie? To przez ciebie czułam się podle! - Lodowatym spojrzeniem zmierzyla Plum. - Na początku mówiłam sobie, że równie dobrze mogłabym być zazdrosna o Picassa albo o Jane Fonde, ale ich tam nie było przy mnie! To nie oni zamieniali moje życie w ruinę!

Plum chciała powiedzieć, że jest jej przykro, ale nie mogła wyrzucić z pamięci dwóch anonimów z groźbami i zaciskających się na szyi dłoni Jenny.

- Jedną z najpiękniejszych chwil w życiu przeżyłam wtedy - zachichotała złośliwie - gdy wybuchnęłaś płaczem w toalecie i powiedziałaś, że jesteś w ciąży. Nie mogłaś spojrzeć rodzicom w oczy. Nie wiedziałas, jak przekazać nowinę Jimowi. Doskonale rozumiałam, jak strasznie musiałaś się wtedy czuć. Byłam w siódmym niebie! Co za rozkosz! Myślałam, że zdecydujesz się na skrobankę, ale nie zrobiłaś tego. Obręcz bólu zaciskała się na piersi, gdy tylko wyobraziłam sobie, że dziecko Jima mogłoby rosnąć w moim ciele.

Jenny uśmiechnęła się szerzej.

- Dokładnie wiedziałam, kiedy Jim przestał być ci wierny. Poznałam to nie po tym, jak patrzył na inne dziewczęta, ale po tym, jak patrzył na ciebie. Przyprowadziłaś go o mdłości! Obserwowałam, jak jego zdudzenie przemienia się w rozgoryczenie, a potem wrogość. W końcu Jim i ja połączyliśmy się. Nie w miłości, ale w nienawiści. W nienawiści do ciebie!

Plum poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Jak Jenny mogła przez tyle lat tak przebiegle ukrywać swoje prawdziwe uczucia?!

- Jenny, nigdy nie pojmę, jak mog...
- Och, odpięrdol się ode mnie!

*

Wracając samochodem ze szpitala, prowadziła niemal automatycznie. W myślach toczyła kolejną dyskusję, tym razem na temat wciąż nie rozstrzygniętego dylematu: kogo wybrać, Breeze'a czy Paula.

Mąż wcale nie ułatwiał jej decyzji. Cokolwiek do niego mówiła, zawsze obracał to w argument za przyznaniem ich małżeństwu jeszcze jednej szansy. Plum nie spodziewała się, że Breeze będzie tak wyprowadzony z równowagi groźbą jej odejścia. Wydało jej się to bardzo wzruszające, ale nie zdołało zatrzeć urazy. Przewrotnie zadawała sobie pytanie: czy uczucia jej męża dotyczyły utraty Plum jako kobiety, Plum jako żony, Plum jako malarki, a może Plum jako jego osobistej własności? Czy uczucia Breeze'a byłyby identyczne, gdyby Paul nie istniał? Czy jego niechęć do Paula miała swoje źródło w typowo samczym stosunku do życia, wyrażającym się ostrzeżeniem: „trzymaj się z dala od mojego terytorium”?

A co z odpowiedzialnością? Kiedyś złożyła uroczystą obietnicę, że będzie kochać i szanować Breeze'a, dopóki ich śmierć nie rozłączy. Śmierć, a nie

pożądanie. Nie mogła użyć jako wymówki okoliczności, że Breeze złamał obietnicę- Nie zwolnił jej tym samym z jej odpowiedzialności. Może powinna sobie przypomnieć ten fragment, gdzie mówi się „na dobre i na złe”? Czy taka obietnica w ogóle cokolwiek znaczyła? A jeśli nie znaczyła, to dlaczego?

Może dlatego, że kobieta, która ją składała, już nie istniała? Możliwe, że była to obietnica, której żadna kobieta nie może z czystym sumieniem wypowiedzieć, gdyż nie potrafi spojrzeć w swoją przyszłość.

Logika i poczucie obowiązku nakazywały Plum pozostać z Breeze 'em. Jednakże uczucia łagodnie, lecz systematycznie popychały ją w kierunku Paula. Tych uczuć nie można było lekceważyć, a tym bardziej zniszczyć. Te uczucia istniały i nadal będą istnieć, obojętnie jaką podejmie decyzję.

Jak długo będzie nieszczęśliwa? Jeśli nie połączy się z Pauliem, jak długo będzie trwało zacieranie się wspomnień o nim? Breeze twierdził, że wspomnienia na pewno znikną, ale mógł się mylić.

Ma przecież tylko jedno życie. Czy jej przyszłość powinna być wyznaczana przez poczucie winy czy też przez radość?

Czy naprawdę chce przyszłości, w której miałyby się zmierzać z uciążliwościami wynikającymi z zamieszkania w obcym kraju, gdzie musiałyby posługiwać się obcym językiem, uczyć się obcych zwyczajów i, na dodatek, wychowywać dwie dziewczynki innej narodowości?

Ciotka Harriet prawdopodobnie zasugerowałaby, żeby Plum najpierw stanęła mocno na własnych nogach, pożyła odrobinę na własny rachunek, zanim ostatecznie zdecyduje się wstąpić po raz trzeci w związek małżeński.

Przypomniała sobie słowa ciotki Harriet, według których każda kobieta jest odpowiedzialna za własne szczęście. Jak również, na odwrót, za brak tego szczęścia - dodała Plum.

Tylko jedna rzecz wydawała jej się absolutnie oczywista: wybierała między życiem, które nie dało jej szczęścia, a życiem, w którym czerpała radość z samego istnienia.

Co by się stało, gdyby uczucia Paula okazały się tylko przemijającym zauroczeniem, jak przypuszczał Breeze?

Było kilka minut przed dwunastą, kiedy zaparkowała samochód pod domem. Cieszyła się, że Breeze nie wróci z Zurychu aż do piątku. Dawało jej to czas na uporządkowanie uczuć i podjęcie ostatecznej decyzji.

Gdy przekreślała klucz w zamku frontowych drzwi, ktoś z tyłu położył dłoń na jej ramieniu.

Krzyknęła i aż podskoczyła. Odwróciła się, by spojrzeć wprost w błyszczące,

błękitne oczy patrzące spod czarnych brwi. Przez jej ciało przebiegł dreszcz podniecenia.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

Plum rzuciła się mężczyźnie w ramiona.

- Paul, kochanie! Co za wspaniała niespodzianka!

- Pomyślałem, że najprościej będzie przyjechać do ciebie i zabrać cię ze sobą. Mamy zarezerwowane bilety na samolot odlatujący do Bordeaux o drugiej trzydzieści.

- Do Akwitanii - wymruczała Plum.

- Tak. Masz pół godziny na spakowanie się.

Plum zerknęła na drzwi. Wróciła do samochodu, wyjęła kluczyki ze stacyjki. Otworzyła torebkę i wyszukała zapasowe klucze od domu, a potem wszystkie klucze po kolei wrzuciła do skrzynki na listy.

Teraz mogła już zbiec po marmurowych schodach, w dół, na ulicę i prosto w przyszłość.

PODZIĘKOWANIA

Do tej pory wszystkie książki pisałam odręcznie: *Oko tygrysa* jest pierwszą powieścią napisaną przeze mnie na maszynie. Chciałabym więc podziękować w tym miejscu Queen's College Secretarial School w Londynie za wyśmienity, siedmiodniowy kurs pisania na maszynie i obsługi edytorów tekstu (w 1992 roku kosztował mnie 200 funtów), po którym, podobnie jak cała grupa, potrafiłam pisać dwadzieścia słów na minutę.

Szczególnie jestem wdzięczna Suzanne Baboneau z wydawnictwa Pan Macmillan, która była tak uprzejma, że przyjechała do Monako na trzy dni, w całości wypełnione ciężką pracą redakcyjną; Geraldine Cooke i Cyrze McFadden, które również odwiedziły mnie w Monte Carlo i odważnie poddały mój manuskrypt krytyce. Jak zwykle, jestem dłużniczką moich agentów, Mortona Jankłowa i Anne Sibbald, za ich zainteresowanie, uprzejmość i ochronę.

Pragnę też wyrazić słowa podziękowania ludziom, którzy zajmowali się bardziej przyjemnymi aspektami mojego życia w Monako, co pozwoliło mi całkowicie poświęcić się pisarstwu: Richardowi MacLellanowi i Davidowi Solomonowi oraz Roselyn Haudberg, która nie uznawała posiłków bez śmietany i wina.

Za zredagowanie manuskryptu pod kątem specjalistycznej wiedzy jestem wdzięczna: Nicola Jacobsowi; anonimowej - oczywiście - inspektor, która użyczyła mi ułamka ze swojej rozległej wiedzy i ogromnego doświadczenia; Charlotte Abrahams, która w jeden dzień wykonała w Londynie zdumiewającą w swym wymiarze pracę badawczą.

Rosyjska kosmonautka Walentyna Tierszkowa, Joan Whiffen, czyli „lady Dinozaur” z Nowej Zelandii oraz Ivana Trump były uprzejme porozmawiać ze mną o tym, czego kobiety naprawdę chcą od życia. Oprócz tej trójki oraz ciotki

Harriet wszystkie postaci występujące w powieści są fikcyjne i w żaden sposób nie są związane z rzeczywistymi osobami: jakiegokolwiek podobieństwo do kogokolwiek z żyjących ludzi jest czysto przypadkowe.

Malarkom Gillian Ayres, Deryck Healey i Mary Lee-Woolf serdecznie dziękuję za wprowadzenie mnie w sekrety ich rzemiosła. Dzięki nim wiem, jak smakuje malarstwo.

Za fachowe informacje, poparcie i konstruktywną pomoc dziękuję mojej rodzinie: synowej, Georginie Godley Conran; rodzinnej fałszerce, mojej siostrze Isabel Carr, pracującej w zawodzie grafologa; ciotce Dorothy Spittle; moim synom Jasperowi i Sebastianowi Conran.

Za wynajdywanie lub sprawdzanie pewnych ulotnych detali w wielu dziwnych miejscach adresatami moich podziękowań są następujący ludzie:

w Francji: William Waterfield za wiadomości z zakresu botaniki; Francois Marat, rybak z Nicei i znawca łuskoskrzydłych; Alexander Mosley, dobrze znający nie najlepsze dzielnice Paryża; Charlotte Mosley, specjalistka od tych lepszych rejonów miasta; Roger Batt za doskonałą znajomość mojego edytora tekstu;

w Australii: Ita Buttrose i Susanna de Vries-Evans, którym jestem wdzięczna za cenne rady; Kate Halfpenny za miłe dyskusje; James Fraser za wiedzę geograficzną (tylko on wie, gdzie są najlepsze plaże);

w Wielkiej Brytanii: cały Fine Arts and Antiques Fraud Squad ze Scotland Yardu, Patrick Grayson z Jules Kroll Agency oraz Walter Whyte, niegdyś pracownik CID; Phillip Saunders z magazynu „Trace” i Robin Townley z Sotheby’s, którzy również nie żalowali mi swego czasu i fachowej wiedzy; dr Dennis Friedman, który nauczył mnie, jak łamię się ręce i nogi; Angela Lambert, przesyłająca fascynujące notatki na temat postępów Cleo; księżna Bedford, zaopatrująca mnie w najświeższe anegdoty; baronowa Brigstocke, zachwycająca erudycją; markiza Lothian, moja „rosyjska łączniczka”.

Za cierpliwość i fachowość pragnę podziękować Leslie Waddingtonowi i Timowi Hiltonowi. Henry Meyric Hughes, dyrektor działu wystaw malarstwa w Hayward Gallery, opowiedział mi wiele interesujących rzeczy na temat historii Biennale (część z nich była zbyt niechlubna, aby włączyć je do niniejszej powieści). Wiadomości te uzupełnili Sandy Naim z British Council, Isobel Johnston, Andrew Rose, Muriel Wilson i Mary Oppenheim.

Wiele radości sprawiły mi rozmowy o brylantach, jakie prowadziłam z Christopherem Macdonaldem, pracującym dla Tiffany’ego. Za dostarczenie mi książek, których nakłady dawno uległy wyczerpaniu, dziękuję Douglasowi Matthewsowi i Edwardowi Preedy z London Library, Geoffreypowi Baileypowi z księgarni Harrodsa, Robowi Cassy z księgarni Hatchardsa i Joe Saumaurezowi Smithowi z księgarni Heywood Hill w Londynie.

W Monako podziękowania otrzymują: Carson Churchill Pratt, Jacqui

Graham Margaret Frazer i Julia de Biere, posiadaczka Oka *sans pareil*, z którymi dyskusje nad tematem tej książki były niezwykle twórcze; w Nowym Jorku: Sandi Mandelson, której gorąco dziękuję za bezcenne rady projektant Kenneth Jay Lane za stworzenie pięknej biżuterii, na którą może sobie pozwolić każda kobieta; projektantka mody Anna Sui, odnowiedzialna za podróżnicze kreacje Plum; Avril Giacobbini za podzielenie się wiedzą o galeriach Soho;

w Los Angeles: jak zwykle Joanne Brough, której nigdy nie zapomnę rozkoszy utknięcia w gigantycznym korku w towarzystwie Judy Hilsinger.

Szczególnie jestem wdzięczna Elizabeth Chatwin, nie tylko za jej wiedzę dotyczącą fałszerstw obrazów, lecz także za sprezentowanie mi książki swojego męża, Bruce'a Chatwina, wydrukowanej własnym nakładem. *The Morality of Things*, „Moralność rzeczy”, dostarczono mi, kiedy już ukończyłam pracę nad powieścią, ale była dla mnie przypomnieniem, jak zaczęła się ta historia.

Bruce wiedział, że zaczęłam kolekcjonować między innymi rzeźby murzyńskich szczepów z zachodniej Afryki. Po lekturze o niebezpieczeństwach związanych z zakupem i zdradziecką naturą posiadania rzeczy przyniósł mi pewnego dnia piękną rzeźbę zakupioną w Paryżu. Była wielkości arbuza i nawet przypominała go kształtem. Wydrążono ją w środku, a przy bliższej lustracji okazało się, że jest wykonana z brązu. Z jednej strony miała niezbyt szerokie rozcięcie. Za nic nie potrafiłam odgadnąć, do czego to coś miało służyć.

- To bransoletka na rękę - wyjaśnił Bruce. - Posiadała ją ulubiona żona jednego z kacyków w Beninie. Jest tak ciężka, że po jej założeniu kobieta nie mogła ruszyć się z miejsca.

Przestałam zbierać afrykańskie rzeźby.